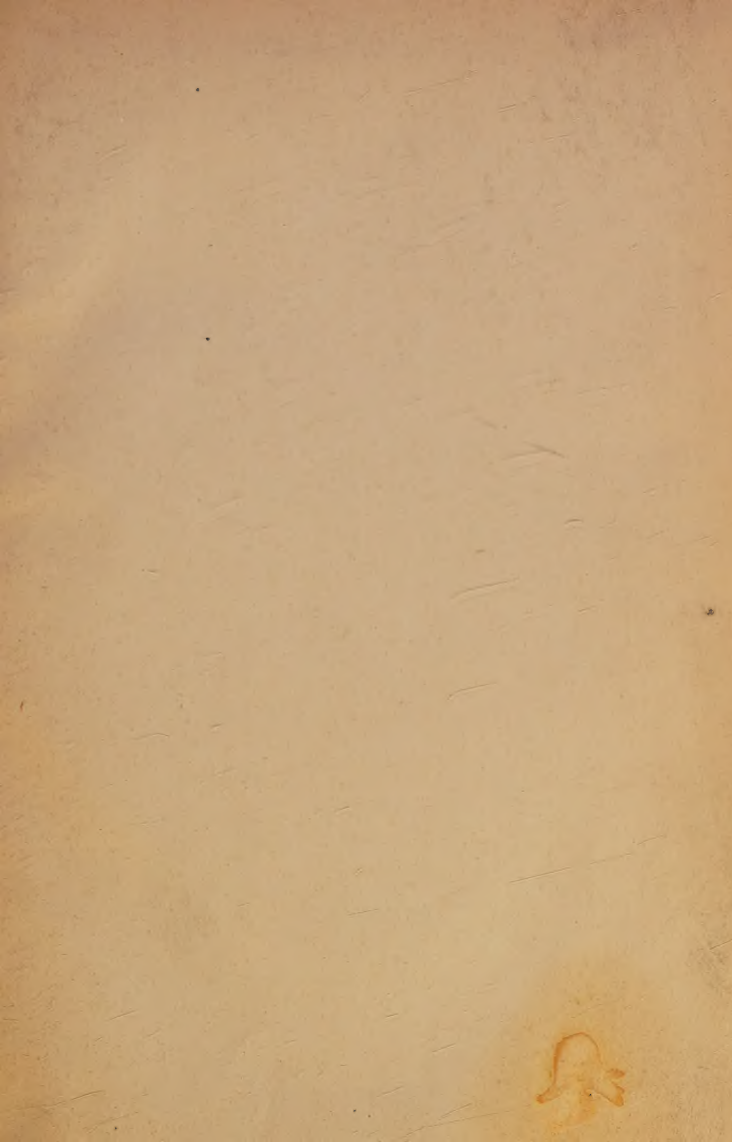


NRLF-1
MAIN





KONIEC EPOPEI



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

KONIEC EPOPEI

TOM I

WYDANIE TRZECIE



WARSZAWA
M. OSTASZEWSKA I S-KA
AL. JEROZOLIMSKIE 23
1924

Printed in Poland



NEUMAN & TOMASZEWSKI



a stole leżała ogromna mapa świata. Wsparty na łokciach o stół, ze skroniami, wciśniętymi między zwinięte pięści, siedział, patrząc w nią, cesarz Napoleon Bonaparte.

Nagle wstał, pchnął mapę palcami i, założywszy ręce w tył, począł chodzić dużym krokiem po pokoju Tuilerjów.

I znowu usiadł i znowu patrzył na mapę.

Nie, nie, nie widział tego — — nie widział punktu zwycięstwa.

Ni punktu zwyciężenia.

Gdzie? W jakim miejscu?...

Moskwa? Petersburg?

Anglja miała Londyn, Austrja Wiedeń, Prusy Berlin, Hiszpanja Madryt — —

Rosja ma dwie stolice i Azję za sobą...

Europejska Anglja, Austrja, Prusy, Hiszpanja., Włochy miały granice — — gdzież ma je Rosja? Kamczatka?

Angielskiego, pruskiego i hiszpańskiego króla, austriackiego cesarza można było dosięgnąć w ich państwach — — gdzież można dosięgnąć cesarza Aleksandra?...

Wówczas, w roku 1803 wszystko było gotowe, i on, cesarz Francuzów, mógł napisać do admirała dowodzącego flotą francuską, La Touche-Tréville'a: „W ciągu sześciu godzin zawładniemy cieśniną La Manche i staniemy się panami świata“.

Wszystko było pewne. 160,000 wojska stało w siedmiu obozach na wybrzeżach kanału La Manche, 1,809 płaskich statków było gotowych, aby przewieźć tę armję, flota francuska nie powinna była zwyciężyć potężniejszej floty angielskiej — powinna była tylko walczyć i osłonić przewóz przez cieśninę.

Dwa lata pracowano, dwa lata pokoju poświęcono na pracę.

Jego genjusz podyktował mu plan kampanji morskiej równie świetny, równie niezawodny, jak kampanje, co go z generała uczyniły pierwszym konsulem, z konsula cesarzem Francji, o którym słusznie powiedziano, że „nie pozostawiał losowi nic z tego, co można mu było zabrać“. Trzy floty francuskie: z Rochefortu z admirałem Missiessą, z Tuluzy z Villeneuve, z Brestu z admirałem Ganteaume miały zwrócić na siebie potęgę morską Anglii, a niezmiernie szybkim ruchem znalazłszy się u wybrzeży hiszpańskich, połączyć się z hiszpańską eskadrą Gravina i popłynąć do kanału La Manche, podczas gdy flota angielska miała ich jeszcze szukać i ścigać po oceanie daleko od ojczyzny. A wówczas Anglija, wróg osobisty Napoleona, byłaby upadła przed nim na kolana, wraz ze swoją dumną arystokracją, która jego koronację nazwała osadzeniem jakobinizmu na tronie, jego tytuł cesarski obelgą

dla wszystkich królestw, a jego istnienie powodem do „nieubłaganej wojny“.

I jego genjusz wojenny dyktował mu równocześnie drugi plan, wtargnięcia do Indyj, dokąd już w 1802 roku wysłał na przeszpiegi generała Decaen, wzniesienia tam powstania, powalenia Anglii nad Gangesem, porażenia Londynu zdobyciem Kalkuty...

Lecz wystarczyło niedołęstwo jednego Villeneuve'a, jego bojaźń, która skłoniła go, wbrew rozkazom Napoleona, do zaniechania, mimo wszystko i za wszelką cenę, przybycia do kanału La Manche i zatrzymania tam floty admirała Nelsona tylko przez czas, którego potrzebowała armja cesarska na wylądowanie w Anglii, aby cały plan w nic się rozpadł. Villeneuve uląkł się Nelsona i 13-go sierpnia 1805 roku w kwaterze swojej w Pont de Briques otrzymał Napoleon wiadomość, że eskadra francuska uciekła i dała się zamknąć w porcie Kadyksu. Zablokowano ją.

Wówczas, po strasliwym wybuchu gniewu i żalu, Napoleon w przeciągu godziny podyktował mu plan kampanji od Ulm aż do Wiednia przez Austerlitz. Z nad wybrzeży oceanu Atlantyckiego, trzysta mil, armja miała maszerować nad Dunaj. Marsze, czas ich trwania, miejsca spotykania i łączenia kolumn, niespodziewane ataki, ruchy, a nawet błędy nieprzyjaciela: wszystko w tej godzinie dyktatu było przewidziane. Dwa miesiące, trzysta mil i dwakroć sto tysięcy nieprzyjaciół dzieliły tę chwilę od jej spełnienia, a jednak już tam w Boulogne widział on główne momenty i wypadki wojny, ich czas, ich miejsce,

ich następstwa. Pola walk, pola zwycięstw, nawet dni wkroczenia do Monachjum i Wiednia.

I weszło słońce pod Austerlitz.

Austria, Rosja, Prusy, cała Europa zatrzęsa się i upadła mu do nóg.

To był pierwszy czyn Wielkiej Armji. Rok 1805 był pierwszym rokiem jej istnienia i chwały.

I w owym roku była owa noc cudowna, noc cudowna z pierwszego na drugi grudnia... Gdy naprzeciw niego stały armje austriacka i rosyjska z obu cesarzami, a on ruszył konno z małą eskortą ku linjom nieprzyjacielskim... Gdy natknął się na posterunek kozacki i ledwo umknął ku swoim w pełnym galopie... Gdy potem, zsiadłszy z konia i idąc pomiędzy nocujących żołnierzy do swego namiotu, potknął się na korzeniu obalonego drzewa, a najbliższy grenadier pochwycił garść słomy, zapalił i nad głową wznosił, aby mu świecić.

Na ten apel porwali się inni żołnierze. Pięćdziesiąt tysięcy zwitków słomy, zatkniętych na bagnety, rzuciło lunę na mroźne, grudniowe niebo. „Rocznica koronacji! Niech żyje Cesarz!“ Vive l'Empereur! — nieśmiertelne.

Uderzono w bębny, muzyka zadęła w trąby.

Napróżno wołał: Cicho! Do jutra! Nie myślcie o niczem innem, tylko ostrzcie bagnety! na bagnetach błyszcząły płomienie...

Wróg sądził, że obóz francuski zwija się i opuszcza miejsce, ucieka.

Tem więcej, że zuchwały adjutant cesarza Aleksandra, Dołgorukij, oświadczył swemu panu, iż armja francuska jest zdemoralizowana, Napo-

leon uważa się za zgubionego i że trzeba się spieszyć z bitwą, bo się wymknie.

Haha!

Gdy cesarz Aleksander, złudzony wysłaną doń, aby tem pewniej uderzyć, propozycją pokoju, wynalazł dla Napoleona tytuł „szefa narodu francuskiego“, który położył na adresie ultimatum z żądaniem opuszczenia Włoch, lewego brzegu Renu i Belgji: obaj cesarze i ich świty śmiali się i cieszyli tym wynalazkiem tak niemal, jak pewnością zwycięstwa.

Wymykał się — otoczony światłami, jak Bóg gwiazdami, on, bóg wojny, pan zwycięstw i klęsk zadawanych...

Co za obraz we wspomnieniu — pięćdziesiąt tysięcy płomieni dookoła siebie, w obozie, w przeddzień walki, słońca pod Austerlitz...

I wstało to słońce.

„Żołnierze! — rzucił w proklamacji. — Trzymać się będę zdala od ognia, jeżeli ze zwykłym męstwem poniesiecie popłoch i strach w szeregi nieprzyjacielskie. Lecz jeśli zwycięstwo wahać się będzie choć chwilę jedną, ujrzyście waszego cesarza narażającego się na pierwsze ciosy, gdyż zwycięstwo nie może się wahać“...

Lecz, gdy żołnierze francuscy „uwieńczyli swe orły nieśmiertelną chwałą“, wówczas dumny Franciszek II Habsburg-Lothringen pojechał szukać pokoju i tytułował go już „cesarską mością“.

Spotkali się nie znając.

— Pan jesteś cesarzem austriackim?

— Cokolwiek... Tylko nie wiem, czy chcesz pan o tem wiedzieć... Czy mam zaszczyt mówić z cesarzem Napoleonem?

Wskazał Franciszkowi drugiemu puste pola dokoła, między Austerlitz a Goeding, pośród forpoczt obustronnych.

— Oto pałace — rzekł, — w których wasza cesarska mość zmusza mnie mieszkać od trzech miesięcy.

— No, nieźle się tu powodzi waszej cesarskiej mości, nie trzeba mieć do mnie urazy — odpowiedział cesarz Franciszek.

I wtedy dał Napoleon w rozmowie dobrą radę Franciszkowi.

— Proszę mi ufać — powiedział — i nie łączyć spraw swoich ze sprawami cesarza Aleksandra. Jedna tylko Rosja w Europie może prowadzić wojnę dla fantazji. Zwyciężona cofa się do swoich pustyń, a wy płacicie swojemi prowincjami.

Pograżył się w zamyśleniu — — piękne dni, piękne lata chwały...

Aleksander Wielki, Hannibal, Juljusz Cezar, Karol Wielki — — on...

Pan Europy...

Nie! Zawsze cesarz rosyjski był panem drugiej połowy kontynentu, jak król angielski był panem oceanów.

Napoleon rzucił okiem na mapę.

Co za przestrzeń ta Rosja!

Dokądże pójść? Gdzie się zatrzymać?

Szaleństwem byłaby myśl o podboju Rosji — zresztą po co, na co?

Ale należało go pokonać!

I ten kolos niech zadrży!

Cesarz powstał, jakby jakimś nerwowym

rzutem poderwany z fotelu, i począł znów chodzić po pokoju.

Na czele swojej armji jedzie, jedzie...

Paryż, Frankfurt, Drezno, Warszawa, Wilno, Smoleńsk, Witebsk, Moskwa, Petersburg...

On jeden tylko może się na coś podobnego ważyć, może czegoś podobnego dokonać.

Ba! Jemu jednemu tylko wolno coś podobnego pomyśleć.

Jak jemu jednemu wolno było pójść do Egiptu, pomimo floty angielskiej i Nelsona, nakazać Europie system kontynentalny, zamknąć dla towarów angielskich porty całej Europy...

A gdyby pójść do Azji środkowej i południowej...

Jak Aleksander Wielki...

Wszakże już myślał o tem.

Gdy chciał z Morza Śródziemnego uczynić wewnętrzne jezioro francuskie, gdy chciał przez Saint-Jean d'Acre przejść do Indyj i zadać śmiertelny cios Anglikom, z Egiptu przenieść wojnę nad Ganges!

W tysiąc ósmsetnym roku omawiał z cesarzem Pawłem wyprawę rosyjsko-francuską nad Dunaj, morze Kaspijskie, do Azji zachodniej i do Indyj angielskich...

Dziś także tam chce iść, na Wschód, lecz przeciw cesarzowi Rosji, gotówby przeciw niemu zawrzeć przymierze nawet z Anglią.

Strzepnął palcami niecierpliwie.

„Godzina Anglii wybiła!“ — pamiętają jego słowa, gdy się gotował do wyprawy angielskiej — ale godzina Anglii nie wybiła wtedy i słowa jego były mylną wróżbą.

Czyżby się mylił i teraz?

Prostu przepaść...

Stepy, pustynie, kraj bez granic...

Jeden tylko z cywilizowanych monarchów, Aleksander Wielki, przedsięwziął wyprawę równie daleką, lecz on szedł do bogatego, przepysznego, urodzajnego państwa Darjusza, małą swoją Macedonję i prowincje greckie szedł zamienić na olbrzymią monarchję perską i jej nie kończące się posiadłości, w których zarządzili satrapi. Aleksander Wielki mógł pójść i mógł nie cnieć wrócić nawet — zdobywał świat, zdobywał nieporównanie więcej, niż zostawiał za sobą. Ale cóż zdobyć mógł w Rosji on, Napoleon, cesarz Francuzów?

Cesarz Aleksander Pierwszy nie był Darjuszem, którego można było zwyciężyć i z tronu zrzucić, ani Rosja nie była Persją, którą możnaby podbić — -- czegoż więc tam szukać, po co tam iść?

Po co się zapuszczać w bagna, lasy, pustkowia, w kraj mgły, mrozu i wichru, w ponurą Północ, w kraj głodu i ciemnoty i po co ryzykować?

Dla chwały i dla zemsty?

Dla upokorzenia cesarza Aleksandra za obrażającą odmowę ręki siostry, wielkiej księżniczki, którą sam uprzednio proponował w Tylży na żonę Hieronima Bonapartego; dla ukarania go za zniesienie ukazem cel od towarów, przywożonych do portów rosyjskich morzem pod flagą neutralną, co było otwarciem tych portów Anglii; za zabronienie przewozu przedmiotów zbytku z zagranicy, to jest z Francji, i obłożenie wina

ciem niepomiernie wysokiem, co było wymierzone przeciw Francji; dla nowej chwały, dlatego, aby z kolei po Medjolanie, Rzymie, Wiedniu, Berlinie, wejść w triumfie do stolicy carów i stamtąd ukazać się zdumionemu światu, który go widział na Alpach i pod Piramidami?

Nie, cesarz czuł, że te przyczyny, jakkolwiek ważne, wielkie i potężne, nie są wszyskiem, nie wypełniają jego dumy, że zostawiają w jego mózgu miejsce próżne, ogromną wolną przestrzeń.

A to miejsce próżne, tę ogromną wolną przestrzeń wypełnia poczucie woli silniejszej, niż wszystko, co tkwi w jego umyśle i w duchu.

Przeląkł się.

Czuł, że go pcha, że go zmusza iść jakiś jakoby rozkaz — w te stepy, w te bagna i lasy, w te pustkowia, w ten kraj głodu i ciemnoty, mgły i mrozu, w tę Północ, że zmusza go tam iść coś tak, jak dobrego pływaka zmusza coś do rzucenia się w wirującą otchłań wodną, jak dobrego strzelca zmusza coś do szukania niebezpieczeństw, a dobrego jeźdźca do dosiadanania dzikich koni z tabunu — — — tak, tak, on musi się spróbować z Rosją tam, wewnątrz niej, w jej granicach przepastnych...

Tak, tak...

Cokolwiek się stało, jakiegokolwiek są powody, cokolwiekby mógł powiedzieć, cokolwiekby mógł pomyśleć, przed wszyskiem innem, nad wszystko inne pcha go w głąb Rosji siła, której się nie może oprzeć, nie oprze i nie opiera.

Rosja szła w myśl testamentu Piotra Wielkiego; dążyła do podboju wszystkiego, co było do

podbicia, dążyła do zawojowania świata. Olbrzymią kulę rosyjską rozpędziła potężna, postrach budząca imperatorowa Katarzyna — — mimo pewnej wstrzemięźliwości, mimo pewnego idealizmu cesarza Aleksandra, pielęgnowanego przez Czarotoryskiego, olbrzymia kula rosyjska gnała dalej, była za potężnie pchnięta przez cara Piotra, za potężnie rozpędzona przez cesarzową Katarzynę — — wtem od zachodu powstało nagle, jakby wulkanem wyzionęte olbrzymie imperjum francuskie, z ekspansją równą ekspansji rosyjskiej. Te dwie moce ku sobie szły, zbliżały się — Napoleon położył Rosji tamę: Wielkie Księstwo Warszawskie — cesarz Aleksander chciał Rosję do jego granic austriackich dotoczyć, przez Wielkie Księstwo wtoczyć ją na Galicję. Jego podziw dla geniuszu Napoleona mógł być prawdziwy, ale jego przyjaźń była zawieszeniem broni po Iławie i Frydlandzie, była ludzeniem dla odwrócenia czujności, dla uzyskania czasu — do czasu.

Napoleon to czuł.

Dlatego 28-go lutego 1811 roku wysłał do Aleksandra list pełen wyrzutów, rozdrażnienia, mający niby na celu usprawiedliwić zabranie Oldenburga, list kończący się prośbą, aby był czytany bez uprzedzenia, życzliwie, a grożący wojną, nimby Napoleon sam wyraźną groźbę wojny usłyszał.

I cóż odpowiedział cesarz Aleksander?

Pośród papierów i map leżał na stole ten list, datowany 25 marca, z Petersburga, list długi i groźny.

„Panie Bracie — pisał cesarz rosyjski — ani moje uczucie, ani moja polityka nie zmieniły się

i niczego więcej nie żądam nad utrzymanie naszego przymierza. Czy nie jest mi raczej wolno przypuścić, że to raczej Wasza Cesarska Mość zmieniła swoje usposobienie dla mnie? Sądzę, że powinienem mówić z taką samą szczerością, z jaką Wasza Cesarska Mość mówiła w liście swoim do mnie. Wasza Cesarska Mość zarzuca mi, że protestowałem w sprawie Oldenburga. Ale czyż mogłem tego nie uczynić? Mały kawałeczek ziemi, jaki posiadał jedyny mój krewny, spełniający wszystko, czego od niego żądano, członek konfederacji, a przez to protegowany Waszej Cesarzowskiej Mości, którego posiadłości były zagwarantowane artykułem traktatu tylżyckiego, został mu odebrany bez tego nawet, aby mi Wasza Cesarska Mość jedno słowo o tem była doniosła. Jakaż wartość mógł mieć ten kawałek ziemi dla Francji? I czy to postąpienie dowiodło przyjaźni Waszej Cesarzowskiej Mości dla mnie? Owszem, wszystkie listy, zewsząd pisane w tym czasie, dowodzą, że Wasza Cesarska Mość chciała mnie dotknąć... Sądzę, że dowiodłem więcej niż jeden raz, że byłem mało wrażliwy na usiłowania tych, w których interesie leżało poróżnić nas, a najlepszem tu jest świadectwem, że za każdym razem porozumiewałem się z Waszą Cesarzowską Mością, opierając się zawsze na naszej przyjaźni. Lecz gdy fakta, które zaszły, potwierdziły to, o czem mówiono, to najmniej, co mogłem uczynić, było przedsięwziąć, co każe rozsądek. Zbrojenia Księstwa Warszawskiego postępują ciągle. Powiększono stan wojska tego Księstwa ponad stosunek nawet do jego ludności. Nie przestano pracować nad nowymi fortyfikacjami. Gdy przeciwnie te, które ja ka-

załem budować, są nad Dźwiną i Dnieprem. Wasza Cesarska Mość jest zanadto żołnierzem, aby nie wiedzieć, że gdy kto buduje fortyfikacje odległe od granicy, jak Paryż od Strasburga, to z pewnością niema intencyj napastniczych, ale wyłącznie obronne. Moje uzbrojenia ograniczyły się do nadania lepszej organizacji pułkom, które już istnieją. To jest to, czego Wasza Cesarska Mość nie przestaje robić u siebie. Zresztą wszystko, co się dzieje w Księstwie Warszawskiem, jakoteż pomnożenie ciągle wzrastających sił Waszej Cesarskiej Mości w północnych Niemczech zmusiły mnie do tego. Taki jest obecny stan rzeczy. Co do moich fortyfikacyj, dowodzą one raczej, jak daleki jestem od myśli ataku. Moja taryfa, postanowiona tylko na rok jeden, nie ma innego celu, jak tylko zapobiec obniżeniu się mego handlu i dostarczyć mi środków do trwania w systemie, który przyjąłem i którego się trzymam z taką wytrwałością, a mój protest, dyktowany tem, co jestem winien honorowi mego kraju i mojej rodziny, motywowany zgwałceniem traktatu tylżyckiego, dowodzi owszem najwymowniej mojej chęci zachowania przymierza z Waszą Cesarską Mością... Rosja nie potrzebuje podbojów i posiada może nawet za obszerne terytorjum. Gennjusz o tyle wyższy, który uznaje w Waszej Cesarskiej Mości pod względem wojennym, nie zostawia mi żadnych złudzeń co do trudności walki, jakaby mogła powstać między nami. Zresztą moja miłość własna jest zaangażowana w utrzymaniu przymierza z Francją. Postawiwszy je jako zasadę polityki Rosji, po dosyć długiem zwalczaniu dawnych przeciwnych opinij, czyż mogę budzić

podejrzanie, że własne dzieło chcę zniweczyć i wypowiedzieć wojnę Waszej Cesarskiej Mości, a jeżeli Wasza Cesarska Mość pragnie jej tak niewiele, jak ja, to jej z pewnością nie będzie. Aby Jej dać jeszcze jeden tego dowód, oświadczam się Waszej Cesarskiej Mości odwołać się do Niej Samej w kwestji poprawienia sprawy oldenburskiej; niech Wasza Cesarska Mość postawi się na mojem miejscu i niech oznaczy Sama, czegoby żądała w podobnym wypadku. Wasza Cesarska Mość ma w ręku wszystkie środki po temu, aby dwa cesarstwa jeszcze silniej się zjednoczyły i aby zerwanie stało się raz na zawsze niemożliwe. Co do mnie, jestem gotów dopomagać Jej w tej idei. Powtarzam, że jeśli wojna będzie, to dlatego, że Wasza Cesarska Mość jej chciała, a uczyniwszy wszystko, aby jej uniknąć, będę umiał naówczas walczyć i sprzedać drogo moją egzystencję. Czy chcesz, Najjaśniejszy Panie, zamiast tego, uznać we mnie przyjaciela i sprzymierzeńca? Znajdziesz mnie z temi samemi uczuciami przywiązania i przyjaźni, któreś znajdował we mnie zawsze. Proszę Waszą Cesarską Mość przeczytać także mój list bez uprzedzenia i nie widzieć w nim nic, jak tylko bardzo wyraźną chęć wyrównania rzeczy.

A l e k s a n d e r “.

Coraz głębiej, coraz wyraźniej rysowała się przed Napoleonem osoba i polityka cesarza Aleksandra.

Aleksander lękał się go i zazdrościł mu.

Cóż bowiem za porównanie było między ostatniemi zdobyczami Rosji i Francji Napoleońskiej?

Rosja, wskutek szczęśliwej wojny szwedzkiej, posiadała Finlandję, na co potrzebowała zgody Napoleona, zajęła kilka powiatów w Mołdawji i Galicji i popchnęła nieco swe granice w Azji — cóż zdobył cesarz francuski?

Przedewszystkiem zadał on cios polityce Piotra Wielkiego i jej dziedzictwu, wypierając wpływ rosyjski w Niemczech. W Związku Reńskim, który stworzył i którego stał się protektorem, ugrupował drobne dynastje, spowinowaczone z dynastją rosyjską; zbudował czysto francuskie Królestwo Westwalskie i dwa półfrancuskie Księstwa Bergu i Frankfurtu. Oderwał prowincje Austrii i Prus. We Włoszech porobił częścią departamenty francuskie, częścią utworzył Królestwo Włoskie i Królestwo Neapolitańskie. Kazał się nazwać posretnikiem Związku Helweckiego i był lennym władcą Księstwa Warszawskiego. Panował nad wyspami Jońskimi, nad Illiryją, nad Adrjatykiem, do Bałtyku miał dostęp pizez zaprzyjaźnioną Danję. Zagarnął z kolei Holandję, jako przyrzecze rzek francuskich; zagarnął łączącą Szwajcarję z Włochami rzeczpospolitą Walijską, zagarnął udzielne Księstwa Salm, Arenberg i Oldenburg; zagarnął trzy miasta dawnej Hanzy. Stworzył trzy departamenty zależne: Ems Wyższe z miastem Osnabrueck, Ujścia Wezery z Bremą i Ujścia Elby z Hamburgiem i Lubeką, jako trzydziesty drugi dział wojskowy. Trzymał załogę w Gdańsku, przez Danję, Gdańsk, Lubekę władny na wodach północnych, niemiecko-rosyjskich. Dla walki z handlem angielskim i jej przewagą morską wszedł i walczył w Hiszpanji i Portugalji. Na sto siedemdziesiąt dwa miliony mieszkańców

Europy siedemdziesiąt jeden milionów poddał swemu berku: Od Pirenejów do Odry, od Sundu do Cieśniny Messyńskiej „wszystko było Napoleonem“.

Aleksander podziwiał go — niezawodnie i szczerze. Podziwiali go zresztą wszyscy, nawet wrogowie. Jego genjusz, jego potęga, jego chwała odurzały, upajały świat.

Także uległ mu: pobity musiał szukać jego przyjaźni, musiał się zgodzić na ofiarowaną mu przyjaźń, z której zaraz w Tylży przedewszystkiem dla siebie umiał wyciągnąć korzyść i której właściwej, rzeczywistej wartości próbę i przykład dał w 1809 roku, podczas wojny z Austrią, gdy „sprzymierzony“ jego korpus spóźnił się wszędzie na granicy Galicji, nie walczył z Austriakami wcale i gdy Józef Poniatowski spiął konia i koniem wywalił sobie drogę, chcąc wjechać do Krakowa, przez zagradzających mu drogę posłanych na pomoc Napoleonowi dragonów Suworowa.

Napoleon zaczynał rozumieć politykę Aleksandra, ale nie znał jej dokładnie.

Oto gdy Aleksander jechał świadczyć swą przyjaźń cesarzowi Francji, zaproszony do Erfurtu, gdzie Napoleon po klęsce Duponta pod Bajlen w Hiszpanji, po wygnaniu z Madrytu króla Józefa Bonapartego, czując, że Europa odzyskuje odwagę, przewidując, że Austria spróbuje zawiązać nową koalicję, chciał zabłysnąć przed światem niezachwianą i zawsze równie wielką potęgą: chytry, podstępny i podły, genjalny dyplomata, wróg republiki i Napoleona, niewygodnych podróży i zrazów polskich, wielki pan, napoleoński książę

Beneventu, odwieczny książę de Talleyrand Perigord, były minister francuski spraw zewnętrznych, zawsze jeden z pierwszych ludzi Cesarstwa, pod pozorem, że wobec postanowionego rozwodu z Józefiną wybada Aleksandra co do ewentualnego małżeństwa z którąś z jego sióstr wielkich księżniczek, postarał się uprzedzić spotkane przyjaciół monarchów, aby powiedzieć:

— Najjaśniejszy Panie, po co tu przybywasz? Ty powinienes ocalić Europę, ty jeden możesz stawić czoło Napoleonowi. Naród francuski jest cywilizowany, ale jego monarcha nie; monarcha Rosji jest cywilizowany, ale jego naród nie jest dotąd. Monarcha rosyjski powinien więc być sprzymierzeńcem Francji. Ren, Alpy, Pireneje — to jest zdobycz Francji, reszta jest zdobyczą cesarza Napoleona; dla Francji jest to obojętne.

I Aleksander słów tych wysłuchał. I ujrzał, jakby palcem pokazywane, rysy i skazy budowy, dla oka tak imponującej zewnętrznie; dowiedział się, że wola narodu francuskiego i wola cesarza nie była już jedną i tą samą, że obudziła się już opozycja przeciwko planom cesarza. A stąd niedaleko było do przeświadczenia, że kolos napoleoński mógł mieć nogi gliniane.

Tego Napoleon nie wiedział; wiedział, że Aleksander potrzebuje go, korzystając bowiem z rewolucji, wygnania Selima III i zamętu w Turcji, chce zająć „klucz do swego domu” — Konstantynopol; wiedział, że dlatego Aleksander mówi głośno, iż „gdy my dwaj się porozumiemy, cały świat będzie musiał zgodzić się z nami” — i, ofiarowawszy w Erfurcie wielkiemu księciu

Konstantemu sadzoną brylantami szpadę, cesarzowi Aleksandrowi ofiarował swoją własną...

Naówczas Aleksander rzekł:

— Przyjmuję ten dar przyjacielski, a Wasza Cesarska Mość może być pewną, że nigdy jej przeciw niemu nie dobędę.

Ale cesarz Aleksander był wytwornym, subtelnym, daleko widzącym dyplomatą. Zrozumiał to Napoleon, że nie przestał być dlań nigdy awanturnikiem z Korsyki, uzurpatorem, gwałcicielem porządku Europy i mącicielem świata, zrozumiał to, że cesarz Aleksander widział się zmuszonym, chciał i postanowił — zaczekać.

I gdy wydawało mu się, że pora już nadeszła, zażądał od Napoleona cofnięcia się z Prus, cofnięcia ztamtąd wojsk francuskich, wiedząc, że żądanie to spełnione byłoby takim ciosem dla majestatu Cesarstwa, iż równałoby się początkowi dobrowolnego abdykowania z tronu. A zatem — wojna.

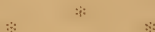
Jak niegdyś Odysseusz upoił winem olbrzymia Polyfema, syna Posejdona, aby mu potem rozpalonym przy jego ognisku kołem drewnianem jedyne w głowie na środku czoła oko wypalić: tak admiracją, która do chwały nie dodawała już nic, bo nic do niej nie można było dodać, ale która złociła kopułę panteonu olbrzymich czynów; tak głoszeniem, że chciałby nawet nie-szczęścia, aby zmanifestować, jak bardzo jest oddanym—syna Marsa, Bonapartego, upajał i usypiał cesarz Aleksander. Tymczasem szukał przeciw niemu przymierza w Austrii, Prusach, Szwecji, Anglii.

Napoleon poznawał go.

Nie mogąc się z nim równać na polu walki, nie mogąc z nim współzawodniczyć w koncepcjach politycznych, Aleksander był od niego dyplomata zréczniejszym, subtelniejszym—a przede wszystkim cierpliwszym.

Spokojny na swoim tronie, syn, wnuk, prawnuk cesarzy, miał spokój posiadania, bo nie potrzebował zdobywać, umiał czekać, bo nie potrzebował się spieszyć. Był dynastą, nie „małym kapralem“ z pod Lodi i Arcole.

Lecz Napoleon Bonaparte miał także swoich przodków: jednym z nich był Hannibal, który nie obawiał się przejść przez Alpy, drugim był Juliusz Cezar, który nie wahał się przejść przez Rubikon — trzecim Aleksander Wielki, który mieczem przeciął węzeł gordyjski i podbił Azję.



Cesarz Aleksander nie przeszkodził temu, aby na wieść o rozwodzie z Józefiną, gdy wszystkie dwory, z wyjątkiem saskiego, zadrżały o swe panny, wdowa po Pawle I, cesarzowa matka, nie wydała na gwałt swej starszej córki za Jerzego Oldenburskiego, i nie zmusił jej do oddania Napoleonowi drugiej, młodszej, wielkiej księżniczki Anny, której Napoleon zażądał. Obaj postąpili, jak im ich charakter dyktował; Napoleon dał Aleksandrowi przez ambasadora Caulaincourta dwa dni do namysłu, Aleksander wziął ich cztery razy po dziesięć, czterdzieści. A gdy wdowa po Pawle Pierwszym raz jeszcze powtórzyła swoje „bezecny korsy-

kański uzurpator“ — odmówiono Caulaincourtowi wielkiej księżniczki, jako za młodej do zamęścia, mimo, że ambasadzie francuskiej było wiadomem, iż dała już dowody fizycznej dojrzałości.

„Gdyby to zależało ode mnie — mówił Aleksander do Caulaincourta — miałbyś pan moje słowo, nimbyś pan wyszedł z tego gabinetu, gdyż, powtarzam panu, ta myśl mi się uśmiecha. Rozważę to i dam panu, jak pan żąda, odpowiedź, ale trzeba mi najmniej dziesięciu dni“...

A potem co? Po tych dziesięciu i dziesięciu i dziesięciu i jeszcze dziesięciu dniach?

„Nie mogąc dać cesarzowi Napoleonowi, jako gwarancję mojej przyjaźni, jednej z mych sióstr, wychowam moich braci w uczuciach przymierza i poczucia wspólnych interesów obu państw — oto była rekompensata ze strony cesarza Aleksandra za lekceważenie mężczyzny, monarchy, przyjaciela i zwycięzcy.

Nie dość tego! Gdy niezmiernie szybko doszło do skutku małżeństwo z córką potomka cesarzów rzymskich, arcyksiężniczką Marją Ludwiką, Aleksander nie wahał się rzucić głośno podejrzenia, że Napoleon starał się równocześnie o żonę na dwie strony, w Petersburgu i Wiedniu, i ogłosił to jako powód obrazy.

Olbrzymi kolos rosyjski i jego mądry cesarz urągali mu. Czynili to samo pod maską przyjaźni i sojuszu, co czynił monarcha, rząd i lud angielski jawnie jako wróg osoby, władzy i państwa cesarza Francuzów.

W piersi Napoleona wrzał gniew. Odwykł on dawno od cudzej woli, nie przywykł do ha-

mowania swojej, gorzej, do spotykania na jej drodze tam i wstrętów. Czuł się najwyższy ze wszystkich śmiertelnych i chciał, czuł prawo do tego, aby wszyscy to czuli...

Więc też przede wszystkim w zwykły swój nie liczący się ze słowami sposób przekonanie to wbijał w duszę ambasadora rosyjskiego, staroego księcia Kurakina, któremu wprost krzyczał w uszy: „Nie jestem tak głupi, abym wierzył, że idzie wam o Oldenburg! O Oldenburg się nie prowadzi wojny... Nigdy nie będę nikogo uspokajał jakakolwiek rekompensatą nad Wisłą! Żebyście tu nawet obozowali na Montmartre, jeszcze nie ustąpię cała z Księstwa! Gwarantowałem jego całość! Będziemy się bić!”

Lecz jeśli będzie wojna z Rosją, któż jej chce? Życzyłaby jej sobie Austria i Prusy, gdyby mogły przypuszczać, spodziewać się, że zostanie pobity, lecz tego nie przypuszczają, ani się nie spodziewają. Owszem i Austria i Prusy dostarczą mu wojsk swoich, staną na jego rozkaz jako jego sprzymierzeńcy, mimo tylkrotnych upokorzeń w Wiedniu, mimo wzajemnej przysięgi przeciw niemu Fryderyka Wilhelma III i Aleksandra I na grobie Fryderyka Wielkiego w Berlinie w 1806 roku, po klęsce.

Czy wolno mu chcieć więcej?

Nigdy Karol Wielki nie miał szerszego cesarstwa.

Czy nawet za cenę ustępstw nie zatrzymać się, nie wstrzymać tych krwawych rumaków wojny, ciągnących jego triumfalny rydwan?

Wszak po klęsce Duponta pod Baylen w Hiszpanji armja jego nie ma już tego uroku niepo-

konanej. Wszak pod Eylau zwycięstwo tem tylko zaznaczył, że pozostał na polu bitwy dni ośm, podczas gdy Bennigssen cofnął się w nocy. Bitwa nie była wygrana. Złowrogi wówczas okrzyk wydała armja na pobojoisku, na którym, jak na polu rzeźni, leżało dwadzieścia kilka tysięcy rannych i poległych jego żołnierzy — nie wołano tam „vive l'Empereur!“ — ale wołano „niech żyje Francja! Niech żyje pokój!“ Wszak tam przyniósł mu adjutant te straszne, szpik w kościach mrozące słowa dowódcy czter-nastego pułku polskiej jazdy: „Zanieś pan cesarzowi ostatnie pozdrowienie od nas, którzy konamy, posłuszni jego rozkazom; oddaj mu orła, któregośmy otrzymali z jego ręki“.

Wszak pod Aspern-Essling, gdy mu zburzono statkami pełnemi kamieni mosty na Dunaju, gdy w ten sposób rozdzielono mu armję, gdyby większą energję był miał arcyksiążę Karol, mniejszą Massena, bitwa mogła być straconą, zamiast Wagramu, triumfalnego wejścia do Wiednia i pokoju, dyktowanego z Schoenbrunn, mogła być klęska.

Czemkolwiek był jego genjusz, jakkolwiek był wielki, jak niegdyś Pallas Atene bajecznego Odysseusza, Fortuna chwytła go za ramię, ilekroć mu groził los, aby go dźwignąć z toni na powierzchnię — lecz czy tak będzie zawsze?

Czy nie dość jest już tej potęgi tak nie do uwierzenia, tak przechodzącej wszelką wyobraźnię, jak był ten, który tę potęgę zdobył?

Któż drugi mógł kiedy powiedzieć: połóżcie kompas na mapie i znajdźcie środek pomiędzy Paryżem a Petersburgiem, przyjadę tam, aby po-

dzielić z cesarzem Rosji Europę na mój Zachód i jego Wschód?

Tak—dosyć już — — ach tak! dosyćby było, lecz gdy on ogłosił świat za dosyć wielki, aby się nie musiał na nim spotkać z Aleksandrem, Aleksander uznał go za zbyt ciasny, jeżeliby szło o sprawę polską.

Myśl cesarza znów wzięła inny obrót.

A gdyby pobić Rosję—i tę jeszcze... I temu kolosowi zdruzgotać krzyż pacierzowy, postawić stopę na czole... Gdyby i to jeszcze... Gdyby i do Moskwy i do Petersburga wjechać w triumfie... Gdyby Rosję cofnąć do Azji, zamknąć od niej raz na zawsze ludy zachodniej Europy, wyprzeć ją z cywilizacji, której grozi...

To byłby czyn nad czyny, to byłaby chwała nad chwały...

Czemże on jest właściwie na arenie świata, wieków i historii? Jest człowiekiem Europy.

Nie Francja, nie Polska oczekują po nim wielkiej fundacji — oczekuje jej Europa.

Jego wojny, to nowe życie, to kruszenie zgniłych praw, to nowy porządek narodów...

Na arenie świata, wieków i historii, on jest tym zdobywcą, który za Aleksandrem Wielkim, wbrew Attyli i Dżingishanowi, wbrew Mongołom, przetacza się z Zachodu na Wschód, jak się oni ze Wschodu na Zachód przetaczali.

Takie snadź jest prawo tego olbrzymiego ładu, tej części świata, dzielonej na Europę i Azję. Tak według uczonych twierdzeń co kilkanaście, co kilkadziesiąt tysięcy lat przelewają się oceany, tworząc ziemie, gdzie były wody, wody, gdzie były ziemie.

Takie jest prawo natury.

Prawem natury jest i on.

Europa musi podbijać Azję, Azja musi podbijać Europę.

A jego życie własne, to życie największe z żywotów ludzkich, musi mieć swoje rozwiązanie, musi mieć akt swój piąty.

Czterykroć zrywał się do boju, jak orzeł skrzydlaty. To cztery akty życia.

Czuje potrzebę rozwiązania go, potrzebę powszechnego pokoju. Jeszcze wyprawa rosyjska, jeszcze piąta wojna, jeszcze piąty pogrom, jeszcze zgniecenie Anglii, a potem będziemy odpoczywali.

Nastąpi powszechny pokój. Pod jego berłem i protektoratem mądre i zbawcze instytucje uszczęśliwią ludy. Jak jest Cezarem rewolucji; tak dech nowego życia rozwieje na świat.

Jego gwiazda świeci jasnym płomieniem!

Lecz jeśli...

Głowa potentata zwisa ku pierśiom.

Jeśli...

Losy — — muszą się spełnić...

* * *

Pan stu trzydziestu departamentów Francji, lenny zwierzchnik królestw: Włoch, Neapolu, Hiszpanji, Westfalji, Bawarji, Saksonji, Wirtembergu i trzydziestu księstw, stanął siedemnastego maja 1812-go roku w Dreźnie, jak we własnem mieście.

Na powitanie jego pośpieszyli wszyscy książęta Związku Reńskiego, którego był protekto-

rem, teść cesarz Franciszek austriacki z żoną, następca tronu pruski—życzył sobie tego.

Od dziewiątego maja, kiedy opuścił Paryż, pochód jego był jednym triumfem.

„Spróbujcie zerwać jego pęta — powiedział Goethe Niemcom—nie zdołacie; ten człowiek jest dla was za wielki.

To siła żywiołu“.

Więc bieżano, by ujrzyć „zjawisko nadnaturalne“.

On zaś szedł na straszną wojnę, jakby z niej już powracał zwycięski.

A wśród wszystkiego miał dosyć pamięci, by, okazując rodzinny związek z prastarym, najarystokratyczniejszym domem Habsburgów, upokorzyć parwenjuszowską, jak on sam, dynastję Hohenzollernów.

Otoczył się władcami Europy, aby pokazać cesarzowi Aleksandrowi jego osamotnienie.

Aby pokazać jemu i światu swą potęgę. W przedpokojach jego, gdy wstawał, obcy panujący ocierali się o jego adjutantów. Jego obecność niwelowała różnice urodzenia i stanu. Wobec niego wszyscy byli równi.

Wiódł on wojska z Francji, Belgji, Holandji, Austrii, Prus, Związku Reńskiego, Włoch, Szwajcarii, Hiszpanji, Portugalji i Polski. Od Ebro i Tagu, od Sekwany i Loary, od Renu do Elby, od Elby do Odry maszerowały pułki. Polacy przeszli z Hiszpanji przez Pireneje, zawsze gotowi, zawsze wierni, zawsze waleczni, zawsze zadowoleni, że poświęcają się dla ojczyzny, że poświęcają się także dla kogoś obcego, że walczą o swoje, że ich chwali ktoś obcy, a przede-

wszystkiem, że ktoś inny za nich myśli, kieruje nimi i prowadzi ich.

Król pruski, Fryderyk Wilhelm III Hohenzollern, zrazu wołał nie uświetniać swoją obecnością zjazdu władców niemieckich w przedpokojach Napoleona. Nie był pewny przyjęcia, on, którego państwem i osobą Bonaparte pogardzał.

Gdy wreszcie ośmielił się i postanowił sprezentować swój hołd, podobny do drugiego „hołdu pruskiego“, Napoleon tupnął nogą i krzyknął:

— Czego tu chce?! Dostyc mam ciągłych jego listów i reklamacyj! Po co jeszcze przyłazi dręczyć mnie swoją figurą? Czegóż mu jeszcze trzeba?!

Generał-adjutant hrabia de Narbonne pojechał zaprosić do Erfurtu cesarza Aleksandra, ale napróżno.

Przywiózł odpowiedź, że tam zdobędą się na wszelkie poświęcenia i ofiary, aby przedłużyć wojnę i odeprzeć najazd. Aleksander powiedział wyraźnie: „Nie łudzę się bynajmniej, wiem jak wielkim wodzem jest cesarz Napoleon, lecz mam po mej stronie przestrzeń i czas. Niema tak zapadłego miejsca na mojem terytorjum, dokąd bym się nie cofnął, ani tak dalekiego, którego bym nie bronił, zanim się zgodzę na hańbiący pokój. Ja nie atakuję, ale nie złożę broni, dopóki choć jeden obcy żołnierz znajdować się będzie w Rosji“.

A więc fatalność chce, aby dwie największe potęgi ziemi spotkały się z sobą pour des peccadilles de demoiselles... Jeszcze chce ująć Aleksandra. Każe mu powiedzieć przez Czernyszewa, że pour des peccadilles de de-

moiselles będzie się bił z rycerską galanterją, bez wszelkiej animozji. Każe powiedzieć, że, jeżeli okoliczności pozwolą, zaprasza cesarza Aleksandra na śniadanie u obopólnych forpoczt, albowiem jeszcze się można porozumieć i nie przelewać krwi setek tysięcy ludzi, gdyż dwaj cesarze nie zgadzają się co do koloru wstążki: *parce que nous ne sommes pas d'accord sur la couleur d'un ruban*. Chce tej wojny niechcąc, dąży do niej szukając obejścia. Lecz wielka armja, la Grande Armée, opuściła Drezno. Bonaparte, który był zdolnym do największych czynów i największych błędów pomiędzy wielkimi, łudził się o wiele zadługo sojuszem i przyjaźnią z Rosją. Tam już w sierpniu 1810-go roku, w rok po Wagram, postanowiono wojnę zaczepną przeciw Bonapartemu, której przygotowanie dojrzeć miało pod płaszczem przyjaźni monarchów. Władza i państwo Bonapartego zanadto się rozrosły, klęski pod Austerlitz, Eylau, Frydlandem zanadto tkwiły w pamięci. Wielkie Księstwo Warszawskie z 1715 mil kwadratowych i dwóch milionów mieszkańców wzrosło po Wagramie do 2,700 mil i trzech i pół miliona ludności, budżet wojenny trzynastu milionów z 1807-go roku dzwignął się do czterdziestu milionów w 1810-ym, przewidywano go na pięćdziesiąt milionów na rok następny, co się też stało. Siła zbrojna trzydziestotysięczna podwoiła się.

Z cudownemi mirażami na oczach pojechał przyjaciel cesarza Aleksandra, książę Adam Czartoryski z Petersburga do księcia Józefa Poniatowskiego w Warszawie.

Ale niedługo potem Poniatowski pod dyrektywą Napoleona w Paryżu reorganizował swoją armję, o której pisał Francuz, baron Bignon:

„Chłop polski jest żywy, inteligentny, odważny. Nigdzie, może nie wyjmując nawet i Francji, człowiek od pługą nie staje się tak prędko żołnierzem. Gdzieindziej rzemiosło wojskowe nagina charaktery do biernego posłuszeństwa i przygotowuje bardzo często narzędzie w ręku rozkazodawców. Tu rzemiosło to było terminatorem cywilizacji”.

Potem Napoleon powiódł nad Niemen trzysta pięćdziesiąt pięć tysięcy Francuzów i trzysta dwadzieścia pięć tysięcy cudzoziemców, z tysiąc trzystu dwudziestu siedmiu armatami, materiałem 500 pontonów do budowy sześciu mostów, olbrzymim parkiem oblężniczym i stu pięćdziesięciu tysiącami koni. Przez Toruń, Gdańsk, Królewiec maszerował nad Niemen — już zdradzony. Już poseł pruski Knesebeck, z polecenia Króla Fryderyka Wilhelma, zapewnił w Petersburgu, że działanie wojenne poddanego marszałkowi Macdonaldowi dowódcy pruskiego korpusu, Yorka, będzie tylko pozorne. Już ambasador austriacki w Petersburgu, Lebzelter, z polecenia cesarza Franciszka II-go uspokoił, że rola korpusu austriackiego księcia Schwarzenberga będzie równoważną z rolą korpusu rosyjskiego księcia Galicyńskiego w 1809-ym roku w Galicji. Nim Napoleon przestąpił granicę Rosji, nim pierwszy strzał padł, zdradzony był poza sobą, w tyle; po bokach armji ugrupowane były obce i nieprzyjazne Francji elementy.

Napróżno wojskowi zadawali sobie pytanie, dlaczego tam właśnie umieszczał tego rodzaju

aliantów, jak Austriacy i Prusacy, dołączając do nich Westfalczyków, Bawarów, Sasów, zamiast wpośrodkowywać te korpusy między te wojska, których mógł być pewien? Czy przypuszczał, że jest to obojętne, bo skończy się na przygotowaniach wojennych, bo sam ich widok zastraszy, Rosja pośpieszy zawrzeć pokój i wojny, której chciał i nie chciał równocześnie, nie będzie; czy sądził, że zastąpią mu drogę u granicy, zwycięży swoją środkową armją od czoła i wówczas natychmiast o pokój go poproszą; czy mniemał, że pochód jego naprzód będzie tak szybki, a tak triumfalny, że bocznych i tylnych osłon raz nie będzie trzeba brać w rachubę, mając, nota bene, poza niemi około pół miliona rezerw, powtórę, olśnione zwycięstwami, nie będą one ani dość śmiałe, ani skłonne do czegokolwiek poza ślepe posłuszeństwem jego woli i rozkazom?

Naówczas w Petersburgu przeistoczono postanowiony w 1810 roku plan ofensywy w defensywę. Radę, którą sam Napoleon dał Franciszkowi II w 1805-ym roku na polu Austerlitzu, powtórzyli w 1811-ym Aleksandrowi I Anglicy. Pustynię i zgliszcza radził rzucić między armję rosyjską i armję napoleońską generał Barclay de Tolly; szybkość i zuchwalstwo ruchów armji Napoleońskiej zwrócić przeciw niemu. Im szybciej i zuchwalej będzie szedł naprzód, tem prędzej odetnie się od podstaw i zasobów, napotykając przed sobą pustynię i zgliszcza. Należy liczyć na spoistość armji rosyjskiej w przeciwieństwie do konglomeratu francuskiego i na klimat. Należy unikać batalji, ale nękać, niepokoić, demoralizować, wycieńczać i osłabiać armję przez otoczenie

jej chmurami kozaków, Baszkirów i Kałmuków, napastniczych, jak wilki i lotnych jak wiatr. Należy czekać, aż mimo olbrzymich zapasów, mimo organizacyjnego geniuszu Napoleona i niesłychanych jego przygotowań i środków na to, Wielka Armja, La Grande Armée, trudami i niedostatkiem zdziesiątkowana, stopniała od chorób, dezercji i śmierci na polu walk, zmożona i sparaliżowana mrozem, stanie się strawą kul działowych, oliarą karabinów i bagnetów i łupem regularnych wojsk Rosji.

Tak utopić miano armję, licząc, że nie dojdzie ona dalej, niż do ujścia Dryssy do Dźwiny, gdzie miasteczko Dryssa miało się stać obozem oszańcowanym kresem pochodu „dwudziestu narodów“. Kampanja ta obronna miała być wzorowana na akcji Wellingtona przeciw Massenie w Portugalji, akcji zwycięskiej, podobnie, jak sposób wojowania Napoleona można było porównać ze sposobem prowadzenia wojen przez Cezara.

Wiódł Napoleon dwadzieścia korpusów. Nieśmiertelną starą gwardję pieszą prowadził książę Gdańska, marszałek Lefebre; młodą książę Treviso, Mortier; konną książę Istrii, marszałek Bessières — trzydzieści sześć tysięcy ludzi. W dywizji generała Claparède maszerowały trzy przybyłe z Hiszpanji pułki Legji Nadwiślańskiej.

Książę Auerstaed i Eckmühl marszałek Davoust, może obok Masseny i Moreau największy wódz ze współczesnych Napoleonowi, wiódł korpus pierwszy, sześćdziesiąt siedm tysięcy ludzi; książę Reggio, marszałek Oudinot, korpus drugi ludzi trzydzieści ośm tysięcy; książę Elchingen,

a później Moskwy, „najwaleczniejszy z walecznych“, *le brave des braves*, marszałek Ney, trzydzieści siedm tysięcy, korpus trzeci; Eugenjusz Beauharnais, wicekról włoski, korpus czwarty, ludzi czterdzieści dwa tysiące; Poniatowski Józef, książę i późniejszy marszałek Francji, korpus piąty, trzydzieści sześć tysięcy ludzi; generał hrabia Gouvion-Saint-Cyr wiodł korpus szósty, ludzi dwadzieścia pięć tysięcy; generał Reynier korpus siódmy, ludzi siedemnaście tysięcy; król Westfalji Hieronim Bonaparte korpus ósmy, dziewiętnaście tysięcy ludzi; marszałek Victor, książę Bellune, prowadził dwadzieścia tysięcy ludzi w korpusie dziewiątym; dziesiąty korpus marszałka Macdonalda, księcia Tarentu, liczył trzydzieści dwa tysiące ludzi; jedenasty wiodł książę Castiglione marszałek Augerau, pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Trzydzieści tysięcy miał w korpusie austriackim książę Szwarzenberg, z zamiarem zdrady. Czterdzieści dwa tysiące koni liczyły pierwszy, drugi, trzeci i czwarty korpusy rezerwy jazdy, pod wodzą generałów Nausouty, Montbruna, Grouchy i Latour-Maubourga. Dwanaście tysięcy żołnierzy liczyły pułki techniczne.

Narody tej największej wyprawy świata były mieszane; tylko czwarty korpus stanowili sami Włosi, szósty Bawarzy, siódmy Sasi, w dziesiątym osobną masę stanowili Prusacy pod Yorkiem, z zamiarem zdrady. Polaków było osiemdziesiąt siedm tysięcy, dwadzieścia pięć tysięcy koni. Z tych 36,000 w piątym korpusie Poniatowskiego, pod Zajączkiem, Dąbrowskim i Kamienieckim, od Grodna już Kniaziewiczem, dywizjonerami; pod

brygadjerami Tyszkiewiczem, Dziewanowskim, Pawłem i Antonim Sułkowskim, krewnym nieśmiertelnego wodza z pod La Valette na Malcie, zdobywcy Aleksandrii w Egipcie, wojownika z pod Piramid i Sallahych, w służbie Napoleona, zabitego pod koniem Józefa Sułkowskiego.

Inne pułki polskie rozdzielono po innych korpusach. Miał dywizję hiszpańską w IX-ym korpusie marszałek Victor, pod wodzą Girarda, miał Macdonald w X-ym korpusie w dywizji Grandjeana brygadę Michała Radziwiłła; mieli w rezerwowym korpusie jazdy dywizjoner Bruyères brygadę Niemojewskiego, w IV-ym dywizję Roźnieckiego Latour-Maubourg. Ale te pułki rozrywano później i przydzielano rozmaicie.

Miała gwardja cesarska pułk szwoleżerów w konnej gwardji marszałka Bessières; pod Wincentym Krasińskim i pod Chłopickim szły w korpusie młodej gwardji owe trzy przybyłe z Hiszpanji pułki Legji Nadwiślańskiej. Część, jak trzynasty pułk piechoty, siódmy i ósmy pułk szwoleżerów-lansjerów, pułk ósmy Łubieńskiego zostały w rezerwie, nie przechodząc granicy rosyjskiego imperjum.

Na trzy armje oddzielne rozłączył Wielką Armję wódz naczelny. Pierwsza Murat, Davout, Oudinot, Ney, Macdonald, Nausouty i Montbrun, szła ku Kownu i Tylży; wiódł ją on sam. Beauharnais, Saint-Cyr, Grouchy, druga, szła na Pielony, na południe od Kowna. Trzecia pod Hieronimem Westfalskim, Poniatowskim, Raynier, Latour-Maubourg szła na Grodno. Nad Bugiem stał Szwarczenberg z Austriakami.

Tak maszerowało nad Niemen przeszło pół

miljona żołnierzy Armji Wielkiej, której czterdzieści tysięcy niedobitków przekroczyło za pół roku z powrotem.

Rosja wysiliła się na dwie armje; korpusy Wittgensteina, Baggowuda, Tuczkowa, Ostermanna, Doktorowa, korpus wielkiego księcia Konstantego, korpusy jazdy Uwarowa, Korffa, Pahlana, 135.000 ludzi pod Barclayem de Tollym z kwaterą w Wilnie; druga pod Bagrationem, 66 tysięcy, z kwaterą w Wołkowysku. Na Wołyniu stał Tormasow z 43-ma tysiącami, w Rydze Essen z piętnastoma, w Mołdawji Czyczagow z 55 tysiącami, poza tem garnizony, rezerwy, kozacy — razem do czterystu tysięcy zbrojnych.

Zasadnicze różnice armji francuskiej i rosyjskiej były olbrzymie: armja francuska, licząc rezerwy, pozostawione za sobą, była trzykroć liczniejsza od rosyjskiej, w bój, w teorji, prowadziła przeszło półtora raza więcej żołnierzy; armja rosyjska była jednolita i broniła własnych ognisk domowych. Armję Napoleona, z wyjątkiem Polaków, wiodła wola imperatora, chęć sławy i chciwość łupów — armję rosyjską przenikała do szpiku kości nienawiść. Armja francuska oddalała się o setki mil od swojej naturalnej podstawy, armja rosyjska walczyć miała w swoim kraju. Ale ponad wszystko wybijała się różnica między największym wodzem świata i generałami, którzy nie wznosili się nad miarę talentów. Wreszcie wódz ten był zarazem monarchą, podczas gdy cesarz rosyjski nie był „wojownikiem z rzemiosła“, nie był bożyszczem żołnierzy, osoba jego nie była zarazem orłem i świętością armji, orłem wojny i świętością stanowiska.

Już cesarz Napoleon był w drodze. Ma wejść do Poznania. Przez Poznań ruszyć dalej, może na Warszawę, może na Wilno... Nadchodzi zbawca, oswobodziciel... Wszystkie serca w Wielkopolsce biły radośnie.

Tymczasem w polskich pułkach ciągnących z Zachodu żołnierze narzekali:

— Polska, Polska — mówili — wiosna, ładna wiosna, deszcz, zimno, mgły... W Hiszpanji, psia-krew, zima cieplejsza, niż wiosna w Polsce. Powiedz sam, kamrat, widziałeś ty gdzie koło Saragosa takie błoto?

— Ba! Przecie sam cesarz powiedział, że oprócz ognia, wody, powietrza i ziemi, dowiedział się w Polsce, że jest jeszcze piąte: błoto.

— Tam ci, psia mać, w Hiszpanji, człowiek nie był pewny nie dnia, nie godziny, ale minuty. To z za muru, to z za drzewa gruch! leżysz, albo koń pod tobą. Jakeś nie zabity, a dostali cię, oho! Nie trza czyścić, ani piekła. Co było do przeklucia, to ci Hiszpan przekłuł, a co było do oberżnięcia, to ci Hiszpanka odrzezała. Nie bój się! Nie miałeś się po co schylać, bo to świnia zjadła, albo koza zadnią nogą kopła. Ale, panie święty, co za niebo! co za słońce! co za drzewa! co za kwiaty!

— A wino, co?

— Ogień, panie święty, ogień żywy!

— Nie jedz, nie śpij, nie wypocznij, tylko się bij. Ale jakeś chwilę dopadł na ziemi legnąc, pierściami pociągnąć powietrza — raj. Tak jakby cię rodzona siostra po żebrach głaskała.

— Albo kto inny, lepszy.

— Jabym był tego nigdy nie powiedział, myślałem nieraz: kiedyby się już raz wyrwać z tego zięjącego śmiercią piekła—a teraz mi żal. Jabym się, jak Boga kocham, wrócił do Hiszpanji. Do tych biwaków naszych. Do tych ognisk z pachnących drzew, do tych gór strasznych, skąd kule leciały, jak deszcz. Jak Boga kocham, choć mi tam dwa razy nogę przestrzelono, wróciłbym się do Hiszpanji.

— I ja.

— I ja.

— Nie było znać tej biedy, co u nas. Lud hardy, chłop, jak pan.

— Prosta dziewczucha wiejska z nad Ebro jak u nas kasztelanka.

— Z nad Wisły.

— Albo Sanu.

— Albo Bugu.

— Albo Bzury.

— Albo Wieprza.

— Hahaha! Czy to jest gdzie taka rzeka?

— Jest.

— No to ta chyba z płota nie wyłazi. Cesarz by w niej użył.

— Dali mi tu zaraz na dawnej granicy kwaterę — nie łzę, żebym tak zbawiony był, chlewek hiszpański czystszy był, niż ta kwatera — mówił kapral. — Do drewniśmy się wynieśli, a wszy, com na tej kwaterze nabył, tom z munduru lampką prosto do szkiełka zbierał.

— Ha, co robić... Wywiedli nas, już się tam może nie wrócimy...

Cesarz tylko Moskala pobije, jeszcze się do Hiszpanji wróci... Bo tam spokój nigdy nie będzie długo. To lud morowy.

— A Anglicy go jątrzą.

— Jabym się tam i darmo służyć zgodził, żebym tylko jeszcze na świat tamtejszy mógł spojrzeć, na hiszpańskie dziewczęta...

— I na niebo...

— Na 'tamto słońce...

Tak mówili ludzie, z których wielu blizny srogie i rany straszne z Hiszpanji wyniosło.

Słyszeli te mowy i oficerowie, ale i im mimo niebezpieczeństw okropnych, na które narażeni tam byli, mimo nadziei patriotycznej, z jaką ciągnęli za orłami Napoleona, za cudnym krajem hiszpańskim tęskno im było.

— Jakie tu wszystko szare, jakie smutne — powtarzali sobie.

— Jakie biedne!

— Nędza, ciemnota, barbarzyństwo...

— To dopiero tu. Ale co tam dalej — na Mazurach, na Litwie, Rusi...

— Rzeczywiście, strasznie posępną mamy ojczyznę.

— A mnie jeden oficer rosyjski, huzar, pod Eylau wzięty, mówił, że kiedy przez Polskę maszerował, to mu się tak zdawało, jakby z lasu w pole wyszedł.

— Ba! W Rosji jest jeszcze gorzej. Tam już nie wiem nawet, czy kiedy słońce świeci.

— Straszna to będzie wojna.

— Ej, albo jej i wcale nie będzie. Kto się Napoleona tknął, to się przewrócił. Austriacy, Prusacy, Hiszpanie — a sami Rosjanie? Już ich

dwa razy w dwóch wojnach fortuna rozumu uczyła.

— Podobno i cesarz liczy na to, że się cesarz Aleksander przeleknie i pokój zawrze.

— Albo zaraz, albo po pierwszej bitwie.

— W której naturalnie Napoleon na głowę zwycięży, bo on inaczej nie potrafi.

— Jeszcze teraz, kiedy się zrobił starszy i niecierpliwszy.

— I kiedy o synu myśli, o królu rzymskim.

— Król Rzymu. To w starożytności, za cesarów, znaczyło: król świata.

— Oto też Napoleonowi szło.

— Oto mu i od początku idzie. A fortuna jednak kołem się toczy -- mówił jeden ze starszych oficerów.

— To też to -- ozwał się milczący dotąd rodmistrz ulański, Zaremba.

Poznań gotował się na przyjęcie Bonapartego. Widziano go już w Wielkopolsce w 1806 roku, zwycięzcę z pod Jeny, triumfatora -- jak zawsze i wszędzie. Od tego czasu urósł jeszcze. Był już rzeczywistym lub moralnym panem połowy Europy. Dał tego dowód, gromadząc ją na rozkaz pod swemi znakami. Obywatelstwo wielkopolskie, przyjażniąc się z wojskiem, służąc już lub wstępując osobiście do szeregów ojczystych, entuzjazmowało się do czynów, których wielki wódz miał dokazać.

Dwudziestego siódmego maja nadbiegły wieści, iż cesarz wstąpi do Poznania, zatrzyma się tam i odbędzie przegląd wojsk. Tłumy ludzi krążyły gorączkowo po ulicach. Fabrykowano na gwałt transparenta, iluminacje miasta. W arysto-

kracji kto nie miał, na wagę złota, byle zdążyć, sprawiał sobie strój dworski na przyjęcie oficjalne, projektowane w wielkiej sali dawnego refektarza jezuitów.

Wojsko czyściło broń, aby się świeciła, jak lustro, pucowało konie, stroiło się do parady, ostatniej niezawodnie przed paradą wojny.

Dwudziestego dziewiątego maja, o dziewiątej wieczorem, wjechał Napoleon do pierwszego znacznego polskiego miasta. Cały Poznań wybiegł na ulice, wybiegł na powitanie wielkiego imperatora. Udekorowane dywanami domy zajaśniały od świateł, a na pierwszej bramie, przez którą cesarz przejeżdżał w otoczeniu sztabu i gwardji francuskiej i polskiej, błyszczał ogromny napis: *Heroi invincibili* — niezwyciężonemu bohaterowi. Cesarz jechał pozornie łaskawy i dobrze usposobiony; na przemówienie powitalne prezydenta miasta, Rozego, odpowiedział kilka uprzejmych słów i posunął się ku bramie miejskiej, gdzie go przyjmowali dygnitarze: prefekt hrabia Łódzia-Poniński, gubernator kraju między Odrą i Wisłą generał Dessoles i gubernator departamentu Poznania generał Aksamitowski. Na ulicy Klasztornej, którą miał cesarz jechać do przeznaczonego sobie mieszkania w kolegium jezuitów, zbudowano drugą wspaniałą bramę triumfalną, z napisem: *Restauratori Patriae* — odnowicielowi ojczyzny. Portal wieży zdobił transparent z olbrzymim napisem: *Grati Poloni Imperatori Magno* — wdzięczni Polacy wielkiemu imperatorowi. Po obu stronach wieży dwie olbrzymie piramidy rozlewały dokoła siebie „morze ognia”. Pięć transparentów zdobiło ratusz, w któ-

rego klatce schodowej oświetlone promiennie wisały nie zdjęte jeszcze przez ich dawnych wasalów i hołdowników Prusaków, portrety polskich królów. Nad złociście połyskującymi herbami miasta lśniły się inicjały: N. M. L. — N. J.

Dalej złoty orzeł francuski płomieniał obok herbu Wielkiego Księstwa Warszawskiego.

Zalana ogniem była wieża ratuszowa, kościół farny, kościół bernardynów i wieża przy nim, na której raził wzrok potężny transparent z napisem: *Napoleoni Magno Caesari et Victori* — Napoleonowi Wielkiemu Cesarzowi i Zwycięzcy — w pośrodku z potwornej wielkości laurowym wieńcem. Łoża wolnych mularzy postawiła przed swoim gmachem piramidę z mistycznych godeł, nad którymi wznosiła się olbrzymia litera N. i orzeł Napoleoński. Miasto tonęło w blasku. „Widno było, jak w dzień“. Wszystkie orkiestry wojskowe grały. Nie krzyczano, ale ryczano: *Vive l'empereur!* Niech żyje cesarz! A on jechał przez to miasto płonące, kryjąc pod sztuczną maską niepokój, niepewność i troskę.

Nie takie, o nie takie uczucia rozsadzały jego młodą pierś, gdy ośmnaście lat temu, po zwycięstwach pod Montenotte, pod Millesimo, po nieśmiertelnej batalji pod Lodi, otoczony w jednej chwili podziwem świata, okryty chwałą, wjeżdżał w triumfie do oswobodzonego od Austriaków Medjolanu.

Był to dzień piętnastego maja. Powietrze było przesycone aromatem. Po starych murach lombardzkiej stolicy spływały laury zielone, liście winne i róże ponsowe. Stara, ogromna katedra

gubiła w błękitnem niebie swoje arabeski. I tam wzniesiono łuki triumfalne, tak, jak tu, ale ci, którzy mu nieśli klucze miasta, mieli w rękach gałązki oliwne.

Albowiem nie cesarz tu przyjeżdżał, ale wódz wolnej, wolność niosącej, narody wyswobadzającej wielkiej Rzeczypospolitej francuskiej; nie nowy cesarz, lecz wódz wolnego, świadomego siebie ludu, pogromca niewolniczych werbowanych wojsk potomka germańskich cesarzy; albowiem nowy świat, nowa era, nowa zorza ludzkości zdawała się błyskać z pod kół rydwanu młodzieńczego zwycięzcy.

• Ach! Cóż to były za czasy!

Gdy poszedł za Alpy wprowadzić w czyn ten plan kampanji, co przez napuszonego generała republiki, Scherera, i tchórzliwego generała Kellermana w topograficznym wydziale departamentu wojny nazwany został „dziełem warjata, którego należy czemprowadzić zamknąć w szpitalu“ — otrzymał od Francji tyle pieniędzy na prowadzenie wojny, że każdemu ze swoich podkomendnych generałów mógł dać po cztery luidory, ośmdziesiąt franków, tylko Massena dostał pięć, aby kupić papier na pisanie rozkazów w sztabie generalnym...

Żołnierze byli bez żołdu, bez butów, a mundury sprzedawali za szczyptę tytoniu lub kawałek chleba. Na karabinach brakło bagnetów. Nędznych sześćdziesiąt armiat — teraz miał ich półtora tysiąca — ciągnęły chore pokaleczone muły. Biwaki były pod palącym słońcem, lub w śniegu; noclegi w norach ciemnych, trofea i zdobycze na wrogu — kasztany. Generałowie, oficerowie

i żołnierze sypiali i jędali razem. W kolumnach maszerowano, ale gdy ujrzeli wroga, rzucali się na niego, jak wściekli, każdy za siebie, choć wszyscy bracia i przyjaciele. Nie zawsze generał czy pułkownik dowodził — czasem po nieudanym ataku, wiedzionym przez oficera, prosty grenadier z szeregu chwytął sztandar, wiódł i zwyciężał.

Obdarcy, głodni, podobni do hordy Altyli, dzicy i czarni od prochu, szli i zwyciężali tak, jak on im kazał. I po bitwie pod Lodi, gdy uczuł sam, iż odegrać może i powinien „rolę decydującą na arenie wypadków świata“, starzy żołnierze republikańscy zgromadzają się w nocy przy ognisku obozowym i uchwalają, że ich wódz jest za chudy, za mały i za młody, ma niecałe lat dwadzieścia siedm, nie miał przeto czasu dosłużyć się rangi, ale zasłużył już na tytuł „kaprała“, po którym może awansować dalej.

Napoleon, patrząc na poznańską, wieżę bernardyńską roztopioną w świetle i na ogromny transparent z literą N. i wieńcem laurowym uśmiechnął się w powozie,

Mały kaprał...

Ach! Wówczas szedł naprzód, przed siebie, przed siebie! Szedł po sławę, po chwałę, po znaczenie, po moc, po potęgę!..

Gdy krzyknął do żołnierzy: „Rzuciliście się, jak potok z wyżyn gór Apenińskich“, to czuł, że sam się tak rzucił „przewrócić, rozbić i rozproszyć wszystko, co sprzeciwiać się będzie jego pochodowi“.

I wołał: „Piemont wyzwolony z pod tyranji

austrjackiej, oddał się naturalnym uczuciom pokoju i przyjaźni Francji“...

Czyż to będzie mogła powiedzieć o sobie Polska? Czy mógłby tu powtórzyć teraz: Ludy włoskie! Armja francuska przychodzi zerwać wasze pęta... lud francuski jest przyjacielem wszystkich ludów“...

Nie — inny był stosunek jego do Włoch pod jarzmem austrjackim, jak do Polaków pod panowaniem cudzem.

Polska — oddała mu usługi — jednak nie uczyni dla niej nic ponad to, co leżeć będzie w jego własnym interesie.

Ta iluminacja, te tłumy, te transparenta i okrzyki — to wszystko mieści się w jednym wyrazie: wolność!

Lecz cóż to jest Polska? Kto zna jej historję? Kogo wydała?

Walczyła z nim w jego szeregach we Włoszech, w Austrii, w Prusach, w Hiszpanji, czy nie dosyć, że utworzył Wielkie Księstwo Warszawskie?

Nie, nie, ogłosić cokolwiekbądź dla Polski, zdradzić się z jakimkolwiek dla niej zamiarem, to znaczy uniemożliwić sobie wszelkie petraktacje z Aleksandrem, pogrzebać wszelką nadzieję i możliwość zakończenia wojny, bez wojny, wszelką możliwość układów i pokoju.

Nie, nie!

Z niczem odzywać się nie można. Trzymać trzeba Polaków w zawieszeniu. Niech się spodziewają wszystkiego, niech wierzą we wszystko, ale niech nie wiedzą nic. Żadnych wyraźnych przyrzeczeń, żadnych sformułowanych zobowią-

zań. Tyle tylko, aby wyteżyli wszystkie siły. A gdyby rezultaty wojny były bardzo pomyślne, bardzo znakomite i bardzo doniosłe — wówczas będzie można stworzyć z Polski jakieś drugorzędne państwo pod protektoratem Francji, przedmurze od Wschodu, jak niegdyś była Polska przedmurzem chrześcijańskich monarchij od Turków i Mongołów.

Lecz dalsze słowa z przed lat ośmnastu wiorowały po jego niezmęczonej, nigdy niewyczerpanej i nigdy nie roniącej nic z siebie pamięci.

Jesteśmy przyjaciółmi wszystkich ludów, a szczególnie potomków Brutusa...

Nie chciał, nie śmiał powiedzieć: Cezara...

Obszedł — jak Alpy.

Żołnierzom republiki, generałom republiki i republice rzucił Brutusa — dla siebie, dla siebie jednego zachował Cezara.

I stał się nim.

Lecz czy mógłby dziś, jak lat ośmnaście temu, krzyknąć głośno na świat cywilizowany, iż da Europie pokój, pełen chwały, który odpłaci wszelkie jej ofiary?

Nie! tego zawołać nie może.

I ani on sam, ani nikt inny nie wierzy już w pokój, nie widzi kresu wojny. Jeżeli zostanie pobity, powstanie przeciw niemu koalicja, jeżeli zwycięży — pójdzie do Indyj, dalej, precz, do Azji, z Kalkuty uderzyć w serce Anglię — a żołnierz jego stanie się żandarmem świata od Oceanu Atlantyckiego, Morza Śródziemnego, Morza Niemieckiego, Bałtyku, z nad Ebro, Tagu, Dunaju, Cisy, Sawy, het gdzieś za Wołgę, Ural, po Eu-

frat, Tygrys, Ganges, Himalaje... Anglja, Hiszpanja, Portugalja, Włochy, Belgja, Holandja. Austrija, Prusy, Rosja, Persja, Indje pobite lub podbite — czy to nie jest sen straszny nawet dla tego, komu się śni, komu może się śnić, kto się go śnić waży.

I jakież hasło ludziom rzuci, w imię czego to wszystko?

W imię woli swojej? Dlatego, że jest taki, jak jest, tak wielki, tak potężny, dlatego, że może tak chcieć, że tak chce?

I któż zdolen będzie tak panować po nim? Jakież żelazne kręgi, prócz bagnetów w jego tylko dłoni, zdołają podtrzymać taką budowę? Czy wszystko to, jeśliby się nawet dokonało, nie pozostanie w pamięci świata tylko jak sen, jak widzenie, podobne grozą i strachem do widzeń Apokalipsy; jak wieść, w którą uwierzyć będzie trudno, jak baśń jakaś potworna, nadludzka legenda? Czy późne, późne wieki nie będą opowiadały sobie o Napoleonie, jako o symbolu ruchu ludów Europy, Zachodu na Wschód?...

Gdyby teraz zwyciężył, gdyby Rosję wyparł aż za Moskwę, gdzieś w północ lodową i w stepy Sybiru — wówczas byłby samowładnym panem Europy, wówczas, gdyby chciał, mógłby strącić dyszącą ledwie pod jego ostrogą w proch z tronu dynastję pruską, mógłby znieść dom austriacki, braćmi swymi i marszałkami swymi obsadziwszy trony, stałby się „najstarszą dynastją w Europie“, jak stał się „jej człowiekiem“, „człowiekiem Europy“...

Pogrążony w myślach nie widział trasparen-tów z ognia i nie słyszał okrzyków triumfalnych

dookoła siebie. Czemże to było dla niego, który był już zmuszony podnosić ramionami świat...



Nazajutrz rano stanęło wojsko na Placu Działowym, a tłumy otoczyły szeregi. Lecz zamiast cesarza, ukazał się marszałek Mortier, który pochwalił to, co zobaczył. Wykonywano zwykłe ruchy przeglądu przed marszałkiem, z uczuciem zawodu, który miało równie wojsko, jak publiczność.

Przegląd odbywał się pośpiesznem tempem — już miał się ku końcowi. Nagle, galopem, z kilku generałami i adjutantami nadleciał cesarz i przeleciał mimo szeregów ku władzom cywilnym, zgromadzonym w komplecie, które zląawszy za zbyt młodego rekruta, odjechał tak szybko, jak przyjechał.

O dwunastej wysłuchał mszy, a potem odbywało się zapowiedziane wielkie przyjęcie w sali dawnego refektarza jezuitów.

Wszystko, co było wybitnego w mieście, zjechało się paradnymi ekwipażami. Dostojnicy, dygnitarze, arystokracja w strojach dworskich, we frakach, haftach, żabotach, koronkach, wstęgach atłasowych, pludrach i pończochach, z orderami, jakie kto tylko posiadał.

Cesarz wszedł. Prosto, szybko, jakby czasu nie miał. Zbliżył się do postrojonych, w pełnem poszanowaniu oczekujących go reprezentantów Wielkopolskich, stanął przed nimi i rzekł szorstko:

— Moi panowie! Wolałbym was widzieć

w butach i przy ostrogach, z szablą przy boku, jak wasi przodkowie podczas najazdu Tatarów lub kozaków. Żyjemy w czasach, gdzie trzeba być uzbrojonym od stóp do głów i trzymać dłoń na rękojeści miecza.

Dostojnicy urzędowi i rodowi stropili się, a po sali powiało zimno, jakby chłodny powiew wiatru przeszedł po kościach.

— Bonapartego zawsze musi być czuć kozarami — szepnęła jedna z pań. — Może ma i rację, ale pocóż to tu wnosić i tak bez początkowych liter alfabetu!

— Nie tak go sobie wyobrażałam—szepnęła druga. — Myślałam, że jest imponujący, ale on jest groźny!

— Straszny!

Tymczasem cesarzowi przedstawiał prefekt Poniński panów wielkopolskich; kolei swej czekał hrabia Szołdrski, ekscellencja, właściciel ogromnego, niemieckiego orderu, pełnego emalii. Skłonił się głęboko, wyprostował i łysnął emalią na piersiach. Wtem krótko dotąd zbywający prezentowanych Napoleon popatrzył nań i zapytał:

— Ilu pan ludzi zajmujesz w swoich fabrykach?

Szołdrski, który nie miał ani jednej fabryki, zmieszał się mocno i czy nie wiedział, co odpowiedzieć, czy wskutek pomieszania, milczał.

— Vous faites en porcelaine?—powtórzył Napoleon z uśmiechem złośliwym w kątach ust.

Szołdrski, który się był zaczerwienił mocno, stał się z czerwonego purpurowy i milczał.

Wiele osób, zwłaszcza pomiędzy wojskowymi, zrozumiałwszy dowcip cesarza, tłumilo śmiech. Zakłopotanie powiało po sali. Hrabia Poniński pośpieszył uratować sytuację i odezwał się:

— Najjaśniejszy panie, to jest jeden z najbogatszych właścicieli ziemskich w kraju, hrabia Szoldr —

— Ah! C'est très bien! — rzekł Napoleon i obrócił się gdzieindziej.

— Wychowany! — szepnęła jedna z pań. — Boże!

— Gbur! — szepnęła druga.

Już poczęto cesarzowi przedstawiać damy. Napoleon poznał „całą Wielkopolskę“ szybko i bez zajęcia. Widać było, że spełnia oficjalny obowiązek. Po starszych matronach i mężatkach prezentowano panny, między innymi ośmastoletnią ale ogromnie tłustą i nadnaturalnego wzrostu hrabiankę Mycielską.

Napoleon był jej pod szyję. Spojrzał na nią wzdłuż i wszerz i zapytał:

— Combien avez-vous d'enfants?

Panie poponowały, a panna Mycielska odpowiedziała bardzo grzecznie:

— Nie mam wcale, najjaśniejszy panie.

Napoleon zdziwił się.

— Jakto? Rozwiodłaś się pani?

— Nie, najjaśniejszy panie, tylko nie wychodziłam za mąż, jestem jeszcze panną.

— Ah — oświadczył Napoleon — nie trzeba zanadto wybierać, pani nie masz czasu do stracenia.

Towarzystwo zmieszało się niesłychanie.

— Cóż za porównanie z Poniatowskim! — mówiła hrabina Kwilecka, osoba ferująca wyroki w Poznaniu. — Ten wydaje się, jak burza, tamten, jak słońce. Wszakże to także nieustraszony rycerz, a jednak bez tego marsa wiecznego na czole, bez tych wiecznie drzemiących i gotowych wybuchnąć błyskawic w oczach. Miły, powabny, ujmujący, pełen wdzięku, widać, że człowiek serca, uczucia.

— Moja pani — odpowiedział jej stary szambelan Turno — sercem, ani uczuciem nie buduje się państw.

— Być może, ale jeżeli rozum i wola buduje, to nie wierzę w taką budowę, której serce i uczucie nie podłożyły fundamentów.



yła noc głęboka.

W powozie swoim, wsparty głową o poduszki siedzenia, jechał cesarz półdrzemiąc. Jednostajny tentent koni jego eskorty i zgrzyt kół powozu uśpił go. Wyciągnął przed się nogi i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, dał się wieść gdzieś w noc, w ciemność... Sen morzył go i nie pozwalał mu zebrać myśli. Usiłował, ale nie mógł powiedzieć sobie, dokąd właściwie jedzie? Ma ta noc jaki kres, jaką granicę? Noc i kraj zlewają się wspólnie, jakby w jedno... On, armja cała, ludzie, konie, armaty, wozy — wszystko krąży się coraz dalej, coraz głębiej w tę noc-ziemię, czy ziemię-noc. Głusza nieprzerwana otacza sobą jego, ludzi, konie, armaty, wozy — czy podróż ta trwać będzie wieczność? Niema granicy, ani kresu. Gdzież, kiedy i dlaczego się zatrzymać? Dalej, dalej; dalej... Mrok i spokój niewypowiedziany...

Cała jego dusza nuży się w tym spokoju. Po wszystkich swoich bitwach, wojnach, dojeżdża do jakiegoś kresu, do jakiejś wyspy szczęśliwej. Gdzieś, daleko, jego syn, mały, cudny, z oczyma i twarzą anioła, świeci się tak, jak ognik błędny, ale i on jest daleko, bardzo da-

leko... Naokoło jest wojsko, armja, marszałkowie, generałowie, żołnierze, markietanki, ale to są wszystko raczej cienie, raczej jest to wojsko cieniów, nie ludzie. Maszerują w niewypowiedziany spokój, który dlatego rozlał się przed nimi, aby ich w siebie przyjąć. W tem słysząc bęben — jeden, drugi, trzeci — rozlega się głuchy apel bębnowy, krytych czarnem suknem, potem milczenie, a on słyszy jakoby swój własny głos:

Imię de Latour d'Auvergne'a, pierwszego grenadjera Francji, będzie wymieniane podczas wszystkich apelów, a kapral oddziału, do którego należał, odpowiadać będzie: padł na polu chwały!...

Cesarz słyszy jakoby podpis swój, własne swoje imię: Napoleon...

Nagle powóz zatrzymał się. Cesarz ocknął się; reszta snu, czy marzenia, błąkała mu się koło głowy.

— Co się stało? — zapytał.

— Najjaśniejszy panie—odpowiedział w mroku adjutant — czoło kolumny stanęło nad rzeką.

Napoleon nie dał mu dalej mówić, otrząsnął w jednej chwili. Wstał w powozie, wyprostował się i zawołał:

— Rustan! Konia!

Natychmiast Mameluk Rustan podał mu siwego arabskiego wierzchowca. Cesarz wsiadł, spojrział na zegarek przy świetle latarni powozu, rzekł do siebie półgłosem: druga w nocy — i ruszył naprzód stępa.

Szum fal rzeki dochodził go.

— Niemen — granica rosyjska...

Lecz w tej chwili wydało mu się, jakby grunt usunął się pod nogami konia. Pochylił się gwałtownie naprzód i przez łeb konia, który się potknął, przeleciał i runął na piasek.

Głos jakiś zawołał w ciemności:

— Zła wróżba; Rzymianin by się cofnął!...

Napoleon zerwał się i, nim mu nadbieżono z pomocą, wsiadł napowrót. Uderzył szpicrutą konia po prawej łopatce, ściągając równocześnie gwałtownie cugle, i zapytał:

— Kto to zawołał?!

Nikt nie odpowiedział.

— Któż zawołał?! — powtórzył pytanie.

Lecz odpowiedzi nie otrzymał.

Jak wśród cieniów.

Nie pociskał konia, aby szedł. Siedział na nim nieruchomo, prawie niepewny, czy rzeczywiście ktoś krzyknął, czy mu się zdawało.

Mrok począł topnieć. Od wschodu ukazywało się blade światło, a w świetle tem zamajaczyły opary, unosząc się nisko nad ziemią. Drzewa i ich konary widniały rozemglone, nie dające się oznaczyć w liniach. Leniwa, ciężka senność tłoczyła ziemię. Wśród nieobudzonych brzegów płynęła powoli, ociężała rzeka. Nad wszystkim panował smutek. Smutek, w którym musiało utonąć wszystko, co się do niego zbliżyło.

Lecz Napoleon zapanował nad sobą i nad nim. Rozesłał rekonesanse i rozkazał, aby do zachodu dnia, który wstawał, rzucone były trzy mosty pod miasteczkiem Poniemeń. Potem zwrócił konia i kazał sobie wskazać kwaterę, w której miał dzień, czekając na ukończenie mostów, przepędzić.

Był dwór szlachecki, okazały, nie pałac magnacki, ale dom bardzo zamożnego obywatela.

Gdy cesarz w towarzystwie szefa sztabu jeneralnego, księcia Neufchatelu i Wagramu, Berthiera i adjutanta generała hrabiego de Narbonne wjeżdżał w dziedziniec, gospodarz, u którego zapowiedziano kwaterę cesarską, wraz z dwoma synami, podrastającymi chłopakami, stał w bramie, w paradnym kontuszu z czapką w rękę, witając niskim ukłonem gości.

Napoleon salutował go lekko i, dojechawszy stępo przed ganek, podobny do ogromnej altany obrosniętej dzikiem winem i powojem, zsiadł z konia i dotknął kielichów, zwisającego nad nim powoju, mówiąc:

— Jakie to ładne.

Poczem, wstąpiwszy na schody od ganku, zapytał obywatela:

— Pan się nazywa?

— Słupść, najjaśniejszy panie.

Napoleon stanął.

Spojrzał na szlachcica, potem na hrabiego de Narbonne.

— Répétez! — rzekł do szlachcica.

— Słupść, najjaśniejszy panie — powtórzył szlachcic.

— Narbonne: répétez!

Ale wykwintny i piękny, młodzieńczo prosty, mimo pięćdziesięciu siedmiu lat, były minister Ludwika XVI, wychowanek dworu Ludwika XV, hrabia Ludwik de Narbonne uśmiechnął się i rzekł:

— Après vous, majesté. Nigdy nie miałem zdolności większych od ciebie, najjaśniejszy panie.

Napoleon zaczął się śmiać.

— Eh, bien, monsieur Sliougne, pokaż mi pan mój apartament i każ mi zrobić kąpiel, tylko gorącą.

Marszałek Berthier, wyniosły, jak zawsze i jak zawsze nic nie widzący poza rozkazem Napoleona, szedł za nim sztywno, zaś hrabia de Narbonne uśmiechał się jaknajprzyjaźniej do pana Ślupścia, ot tak, przez wersalską uprzejmość, z przyzwyczajenia.

W sali jadalnej, przez którą przechodzili, pozostał hrabia de Narbonne z panem Ślupściem, w tej chwili zaś wyszła z alkierza w tureckim zarzuconym na ramię szalu pani Ślupściowa. Spostrzegłszy pana de Narbonne, chciała się czym prędzej cofnąć, lecz było już za późno. Dygnęła więc nisko, szepcząc splecioną:

— Excusez, monsieur le maréchal —

Ale hrabia de Narbonne ukłonił się jej jeszcze niżej, mówiąc:

— Jestem tylko adjutantem jego cesarskiej mości, mościa pani, i mam honor się przedstawić: Ludwik hrabia de Narbonne.

Pani Ślupściowa dygnęła ponownie.

— Eufrozyna Ślupściowa, née Żaba.

— Zachwycony jestem, mościa pani, zachwycony —

— Za pozwoleniem, mościa pani, za pozwoleniem — przerwał jej najuprzejmiej pan de Narbonne—przedewszystkiem musimy pomyśleć o kąpielu dla cesarza. Może nie spać, nie jeść, ale kąpać się musi. Przedewszystkiem wanna!

Pan Ślupść spojrzał na żonę, a żona na niego.

— Wanna — mruknął. — Froziu, jakoż to będzie?

— Albo co? — zapytał hrabia de Narbonne.

— Ano to — odparł Ślupść — że u nas to jest niby tak: jak jest ciepło, to kto chce, to się kąpie w Niemnie, a jak jest zimno, to znów tak nie upierając się.

W chłód do wody nie spieszo — dodała gospodyni.

De Narbonne zaczął się śmiać wesoło:

— Mości państwo! Mamy pół miliona wojska za sobą. Kąpiel być musi!

W tej chwili pani Ślupściowa uderzyła się palcem w czoło, klasnęła w ręce i zawołała:

— Panny!

Dwie dorosłe panny, blondyny, w rannych szlafroczkach, wychyliły się z za drzwi.

— A cóż mama każe?—zapytała jedna.

— Biegajcie! Jest na strychu wanna, co się w niej nieboszczka ciocia Tyszkiewiczowa kąpała. Umyślnie dla niej u Tatarczucha zrobiona. Każcie znieść i natychmiast wody nastawić. Na kąpiel dla cesarza. Wannę wyparzyć i wyszować. Monsieur le comte — zwróciła się do pana de Narbonne—jest wanna, po mojej ciotce, madame la comtesse Tyszkiewicz.

— Doskonale! A niezawodnie ładna była ciocia hrabina?

— Może, za Augusta Drugiego — mruknął jeden z młodych Ślupściów, który się wsunął właśnie do pokoju.

Panny widocznie musiały przejść przez pokój, aby spełnić polecenie matki, gdyż stanęły przed panem de Narbonne i dygnęły zalotnie.

— Moje córki—przedstawiła je pani Ślupścio-wa.—Prędko, panny, kąpiel dla cesarza!

Panny wybiegły z pokoju, a w chwilę potem, gdyby pan de Narbonne był rozumiał po polsku, byłby słyszał ich głosy w dziedzińcu:

— Prędko! Parania! Basia! Mania! Żwawo! Wannę ze strychu! A bodaj cię gęś kopła, wla-
złaś mi na nogi! Toż co ty robisz, nie leż do
stajni sama! Panie Kukło, zawołać parobków!
Niech wodę noszą! A ja taki w pysk trzasnę
tego szelmę! Zagraj! pójdziesz! Nie plątaj się
pod nogami! Całą noc nie spałam, jeszcze muszę
wannę szukać! Widzisz ją, delikacik! Ja tożę
całą noc nie spałam. Rapsztur! Patoroczle!

Cesarz Napoleon siedział rozebrany, w koł-
drze, kłął, niecierpliwił się i bił szpicrutą w dy-
wan pod nogami.

— No, powiedz sam, Narbonne — mówił do
obecnego hrabiego — cóż to za naród, gdzie
nawet kąpieli doczekać się trudno!

— Najjaśniejszy panie, ale za to wanna bę-
dzie po ciotce hrabinie Tyszkiewiczowej.

— *Tiens!* Siostra Poniatowskiego jest Ty-
szkiewiczowa. Siedzi w Paryżu i traci pieniądze.

— Otóż nareszcie.

Pan Ślupść wprowadził z triumfem wannę
do pokoju cesarza. Wniosło ją dwóch parobków,
a za nimi trzy dziewczki niosły po dwie konewki
wrzącej wody.

— *Eh bien.* Malo — rzekł Napoleon.

— Wodę w Niemnie każę zagrzać, najjaś-
niejszy panie! — rzekł pan Ślupść z ukłonem.

Wreszcie kąpiel była gotowa i cesarz siadł
w wannie pani Tyszkiewiczowej. Kazał wyjść

lokajom swoim i zostawił tylko pana de Narbonne, który siedział na fotelu za pozwoleniem cesarskiem.

— Slugne-tugne-dugne—slugne-tugne-dugne — powtarzał Napoleon, bijąc palcem bańki wody na powierzchni. Potem ozwał się:

— Mój drogi Narbonne, Rosji obawiałem się zawsze. Przed Tylżą, przed Austerlitz, pized cesarstwem. Myślę, że dlatego uporządkowałem po rewolucji ludy zachodu, aby zwalczyć Wschód Europy.

Potem, jakby chcąc się przekonać i utwierdzić w myśli, dodał:

— Cała trudność jest natury moralnej. Trzeba pobudzać, ale nie rozpętywać namiętności. Podnieść Polskę, ale jej nie uzależniać, zapewnić niepodległość Wschodowi Europy, ale go nie rewolucjonizować. Wśród rozpętania namiętności zginął mój biedny wuj Ludwik Szesnasty. Wojną zgniotłem anarchję, teraz zgniotę Wschód Europy.

— Polska — zaczął hrabia de Narbonne, korzystając z przerwy, jaką uczynił cesarz. Ale Napoleon podjął:

— Polaków lubię na polu bitwy. To dzielna rasa. Ale co do ich sejmów na koniu, z gołą szablą w ręce, ich liberum veto; daj mi z tem pokój! Na pół republikańska Polska mogła sobie wegetować bez wielkiej szkody, ale jej odbudowanie teraz byłoby czem innem trochę, jak jej trwanie bez przerwy. Dużo o tem myślałem; ostatecznie chcę mieć w Polsce obóz, ale nie forum. Mamy zresztą Wielkie Księstwo Warszawskie. Dosyć na tem. Zabiorę Moskwę, ale nie chcę żadnego klubu ani w Warszawie, ani w Krakowie,

ani nigdzie indziej. Nie będę rozniecał ognia republikańskiego u narodu dwudziestomiljonowego, który jest zdolny do diabli wiedzą jakiego mistycznego, czy demagogicznego fanatyzmu. Nie, mój kochany Narbonne, jeżeli Polacy są mi potrzebni, to tylko do meblowania pola bitwy. I tu właśnie jest klucz zagadnienia. Trzeba w Polsce wywołać gorączkę patriotyczną bez wywołania gorączki liberalnej przez dłuższe obcowanie z Francuzami i dlatego trzeba ją przejść prędko, iść daleko, pociągnąć za sobą całą jej siłę bojową, pchnąć ją przeciw północy, uderzyć tam w głowę i w serce, ale nagłością ciosu ogłuszyć i wroga i sprzymierzeńca. Oto co jest.

Napoleon spojrzał na generała de Narbonne i począł palcami podbijać powierzchnię wody do góry, ale de Narbonne widząc, że cesarz milczy, odpowiedział:

— Najjaśniejszy panie. Nie rewolucjonizować, ale narodowo zorganizować Polskę, pokryć armją koryto Wisły i Niemna, zrestytuować naród, któryby ci dał dwieście tysięcy żołnierzy, dźwignąć od jednego zamachu ziemię między Poznaniem, Gdańskiem i Wilnem i oczekiwać wroga w najdalszej dawnej granicy, a gdyby nie przybył, uważać za wygraną batalję to, czego się dokonało: oto uważałbym za cel kampanji tysiąc ośmset dwunastego roku. Za pozwoleniem, najjaśniejszy panie. Austria i Prusy były zwyciężone w Wiedniu i Berlinie. Ale Rosja nie będzie zwyciężona w Moskwie. Najświetniejsze zwycięstwo nie spowoduje tym razem poddania się wszystkich miast, oddania wszystkiego w ręce zwycięzcy. Ale jest pole do naprawienia opłakanego błędu

panowania Ludwika Piętnastego, a protektorat Francji nad Polską byłby oparty na jednym z największych czynów, jaki kiedykolwiek został dokonany.

Cesarz milczał chwilę, a potem spytał niespodzianie:

— Mój drogi Narbonne, czy masz drugiego Sobieskiego w kieszeni?

Generał spojrzał zdumiony na cesarza, ten zaś rzekł:

— Widzisz. I ja go nie mam także. Co ty robisz?!

Generał de Narbonne cofnął nogi, albowiem woda zaczęła przeciekać z zeschniętej wanny.

— Ah, ah, — roześmiał się Napoleon. — Wanna hrabiny Tyszkiewiczowej zaczyna puszczać! Czy ci Polacy nigdy się nie kąpią? Ale słuchaj: Austrię łatwo bym odszkodował Illirją, a Prusy razem z Fryderykiem Trzecim mam w pięcie. Ale skądżebym wziął króla, któryby musiał być zarazem wielkim politykiem i wielkim wodzem? To nie jest Królestwo Neapolitańskie, gdzie wystarczą ostrogi Murata.

Generał de Narbonne wstał.

— Najjaśniejszy panie — rzekł z mocą — od tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego, od lat dwudziestu, jestem ci duszą i ciałem oddany, ale ośmielał się błagać cię w imieniu tych wszystkich, którzy milczą, a to samo czują, co ja, nie wiedz do Rosji tej cudownej fortuny Francji, która tylekroć razy zwyciężyła w Europie i która może w niej długo panować w tobie i twojej dynastji. Podnieść tu na granicy rosyjskiej państwo, wolne pod twoją opieką, czyż to nie do-

syć? Cóż ci da więcej marsz na Moskwę? Odejdiesz z ośmset mil od Francji, narazisz siebie i świat na nieprzewidziane wypadki, podczas gdy tu, nad Wisłą i Niemnem, wszystko byłoby jasne, proste, stanowcze, jak wola geniusza. Obawiam się nawet dla twojej chwały gigantycznego wysiłku...

Napoleon zaczerwienił się, milczał chwilę, potem rzekł:

— Siądź i słuchaj, proszę cię. Ludy pierwotne są zabobonne, jeden cios w serce państwa, w świętą Moskwę, odda mi je, zaś wielkość Rosji to jest tylko więcej pola do zaznaczenia zwycięstw.

Nagle oczy cesarza zaświeciły, poruszył się w wannie, podniósł głowę i jakby w jakiejś ekstazie mówił:

— Zresztą, mój drogi, ta długa droga, to jest droga do Indyj. Aleksander Wielki poszedł tak samo daleko, jak ja do Moskwy, aby dotknąć mieczem wód Gangesu. Z Egiptu, gdyby nie Saint-Jean-d'Acre, byłbym tam już poszedł, bo już wtedy sobie to powiedziałem. Byłbym podbił pół Azji i byłbym wrócił, aby zdobyć, wracając, trony Francji i Włoch. Pomyśl: kilka bitew, Moskwa wzięta, Rosja pokonana, może nowy tron do rozporządzenia... Dla Wielkiej Armji dotarcie nad Ganges i zanurzenie w jego wodzie bagnetów, nie jest w dziewiętnastym wieku niepodobieństwem. Anglja zostanie ugodzona śmiertelnie, Francja stanie się panią zachodu i panią wolnych mórz. Tak jest. To, co jest pewne, i to, co jest niepewne, polityka obecna i przyszłość bezgraniczna, wszystko rzuca

nas na drogę do Moskwy i nie pozwala nam, jak ty chcesz, biwakować w samej Polsce... Turcja wyśle swoich spahów przeciw kozakom Kutuzowa, cały Zachód idzie z nami... Aleksander, który sam nie potrafi dowodzić, czy przegra, czy się cofnie, zawsze będzie zdyskredytowany. Widzisz, że to wszystko jest dosyć mądrze skombinowane — zostaje tylko ręka Boga, z którą się liczyć trzeba zawsze, ale myślę, że ona będzie z nami...

Narbonne patrzył na cesarza nie przekonany, ale przerażony. Widział on coraz lepiej, że myśl Napoleona jest zawsze równie potężna, lotna, okrężna i jasna, ale coraz mniej licząca się z rzeczywistością, a także odgadywał, że Napoleon rzuca sobie sam na oczy słońca, aby się olśnić i załsnąć. Siedzący w tej cieknej powoli wannie wydawał mu się raczej marzycielem, poetą, wizjonerem, niż człowiekiem czynu. Ale Napoleon mówił dalej:

— Wierz mi, jestem z najlepszej rasy cesarów, z tej, która zakłada fundamenty. Jestem jak Trajan, Djoklecjan, Aureljan, jednym z tych ludzi, którzy się rodzą sami z siebie i dźwigają świat. Znasz historję, więc porównaj mój rząd z rządem Djoklecjana, tę sieć, którą rozciągnąłem tak daleko, te oczy imperatora, które są wszędzie, i tę władzę cywilną, którą umiem utrzymać w całej potędze w nawskroś wojowniczym państwie. Krytykuję mnie ci, którzy nie znają dynamiki socjalnej. Popatrz: uspokoiłem lud uzbrajając go; przywróciłem majoraty, arystokrację, szlachtę dziedziczną pod ochroną bagnetów gwardji cesarskiej, złożonej z synów chłopskich, z drobnych mieszczan, z po-

spółstwa. Zobaczysz odegramy jeszcze wielką rolę w Europie... Ah, ah! Wanna pani Tyszkiewiczowej zaleje cały pokój! Narbonne, ty się chyba pierwszy raz w życiu cofasz?

Nadszedł dzień nieznośnie, ciężko upalny. Ani namiot w ogrodzie, ani mieszkanie nie dawały schronienia. Po obiedzie, z nudów, cesarz wdał się w rozmowę z panią domu, która ośmieliła się wyrazić swój zachwyt nad imieniem Napoleona. Cesarz, którego ubezwładniło i rozśrubowało gorąco, uśmiechnął się i raczył powiedzieć:

— Tak, to imię w istocie jest piękne. Matka moja nazywała mnie z początku z włoska Napoleone i musiałem poprosić ją przez brata Józefa, aby zaczęła wymawiać po francusku. Wątpię, aby kto drugi nosił imię Napoleona we Francji, ale we Włoszech nie jest rzadkie. Był nawet jakiś tyran medjolański, Visconti, czy Strozzi, który się nazywał Napoleon, a nazywali go zdrobniale Napi, albo Napia, zwyczajem włoskim. Jakikolwiek on tam był, źle skończył ten mój pan homonymus, jak zresztą powinni kończyć wszyscy prawdziwi tyrani. Pobity i wzięty do niewoli, został zamknięty w żelaznej klatce i tam umarł.

— Ah mój Boże! — wykrzyknęła pani Ślupściowa. — Co za los okropny! — Napoleon zaczął się śmiać:

— Co nie wpływa, że imię Napoleon jest ładne.

— I nowe — odezwał się z uszanowaniem stojący nieopodal krzesła cesarza w amarantowym kontuszu i srebrzystym żupanie pan Ślupść. — Wybacz, wasza cesarska mości, że ośmielę się

rzec słowo: nowy wielki człowiek — nowe wielkie imię.

Napoleon popatrzył nań, potem wyjął z kieszeni tabakierkę złotą z rubinami i wręczył panu Ślupściowi, mówiąc:

— Proszę na pamiątkę mego pobytu w pańskim domu.

Pan Ślupść chciał cesarza pocałować w rękę, ale ten na to nie zezwolił i dotknął mu palcami głowy, mocno już szpakowatej. Widocznie był kontent z komplementu, do tego stopnia, że po kolacji, którą jadł w towarzystwie hrabiego de Narbonne, Berthiera i księcia Vicenzy wielkiego koniuszego ambasadora rosyjskiego Caulaincourta, stanął niespodzianie w drzwiach salonu na dole, w którym, odstąpiwszy prawie wszystkie pokoje cesarzowi do rozporządzenia, siedziała zgromadzona rodzina państwa Ślupściów. Cesarz zdumiał się, albowiem oprócz rodziców i panien i oprócz proboszcza, który przyszedł choć zdaleka zobaczyć „cesarza Napoleona“, siedziała na fotelu cudnej urody młoda osoba, z pękiem róż zatkniętym u gorsu. Wszyscy zerwali się z miejsc i ona powstała także.

— Najjaśniejszy panie, co za honor — wybąkała gospodyni domu zmieszana.

— Najpiękniejszy dzień mego życia — rzekł pan Ślupść, kłaniając się, aż mu wyloty do kolan z ramion spadły.

— E bella! — ozwał się Napoleon, wskazując młodą osobę oczyma, do Caulaincourta i Narbonne'a.

— Cud! — szepnął hrabia de Narbonne.

— Najjaśniejszy panie — rzekł pan Ślupść, nie wiedząc, czy etykieta pozwala prosić panującą osobę dalej do pokoju z drzwi, w których jej się podobało zatrzymać, — racz pozwolić przedstawić sobie naszego proboszcza, księdza Narbuttowicza i naszą krewniaczkę, Teresę Mirską.

— Née Żaba — dodała pani Ślupściowa.

— Kuzynka? Czyja? — rozpoczął zaraz indagować swoim zwyczajem Napoleon nie ruszając się z drzwi, skinąwszy głową księdzu i cudnej pani.

— Nas obojga, z miecza i kądzieli, sire.

Napoleona owładło to, co go owładało zawsze w pierwszej chwili wobec kobiet: zakłopotanie i nieswoboda. Patrzył na cudne, kasztanowate włosy cudnej pani, na oczy tak ciemnoszafirowe, że się zdawały raczej czarne z szafirową glazurą na wierzchu, na czoło, podobne do frontu marmurowej świątyni greckiej i usta podobne do uśmiechu dnia słonecznego, na szyję białą jak narcyz i dumne piersi, widne z dekolitu, na wcięcie spływające w stan, jak fala snu o kraju wrózek, i na biodra zaokrąglone zda się dłonią boga rzeźby, na wdzięk iście królewskiej postawy — i nie znajdując nic innego w głowie, choćby w niej szukał, zapytał ostroszorstko, rozkazującym tonem:

— Gdzie pani mąż?

— Umarł, najjaśniejszy panie — odpowiedziała mu melodja głosu pani Mirskiej.

— Czy dawno?

— Lat temu cztery.

— Ma pani dziecko?

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Dlaczego?

Cesarz uczuł, że się zapytał i ordynarnie i głupio; zawstydził się przedewszystkiem hrabiego de Narbonne, wychowanego na dworze Ludwika XV-go. Spojrzał nań ukradkiem. De Narbonne stał nieco za nim obok, niewzruszony, jak słup w mundurze.

Pani Mirska zarumieniła się lekko i odpowiedziała:

— Mój mąż, wychodząc po ślubie z kościoła, poślizgnął się i rozbił głowę o schód kamienny.

— Ah! Ah! Co za nieszczęście — rzekł cesarz. — Dlaczego pani nie idziesz drugi raz za mąż?

Pani Mirska nie odpowiedziała; zrobiła tylko pełen szacunku ruch głową i rękami.

Cesarz, postąpiwszy kilka kroków, usiadł w fotelu, który mu pan Ślupść podsunął skwapliwie. Dał ręką znak, aby obecni usiedli. Wtem wzrok jego padł na szpinet.

— Która z pań gra?—zapytał tonem, jakby się pytał: ilu ludzi w szwadronie?

— My wszystkie gramy—odpowiedziała pani Ślupściowa—i ja i moje córki.

— A pani? — zwrócił się cesarz do pani Mirskiej.

— Ah, to druga Barbier, druga Grassini — zawołała pani Ślupściowa.

— Niechże więc nam pani co zaśpiewa. Będzie to może ostatnia godzina pokoju — rzekł cesarz.

— *Inter arma silent Musae* — odezwał się hrabia de Narbonne.

— A więc — poprosił rozkazem Napoleon.

Teresa Mirska usiadła przy szpince. Lecz jakież było zdumienie cesarza, gdy z klawiszy wydobył się jakby rum bębnow i dźwięk tręb wojennych, a potem niski, cudny głos cudnej pani począł raczej mówić, niż śpiewać:

„Soldats, voilà vos drapeaux! Ces aigles vous serviront toujours de point de ralliement. Ces drapeaux seront partout où votre Empereur les jugera nécessaires pour la défense de son trône et de son peuple.

Vous jurez de sacrifier votre vie pour les défendre et de les maintenir constamment par votre courage sur le chemin de la victoire.

„Vous le jurez?“.

„Żołnierze, oto wasze sztandary! Te orły służyć wam będą zawsze za punkt zborny. Te sztandary będą wszędzie, gdzie wasz cesarz uzna je za potrzebne do obrony jego tronu i jego ludu.

Przysięgacie poświęcić wasze życie w ich obronie i dzierżyć je stale waszą odwagą na polu zwycięstwa.

Przysięgacie?“

Na bladą rzymską twarz Napoleona wybiegło wzruszenie. Podniósł się z fotelu, na szpince zaś warczały bębny.

W salonie państwa Ślupściów panowała ci-sza zupełna. Hrabia de Narbonne ocierał oczy palcami.

— Pani—rzekł cesarz,—czy pani jest wrózką Litwy? To mówiłem do żołnierzy na Polu Mar-

sowem przed wojną austriacką, przed Austerlitz. Skąd pani to zna?

— Sire — odpowiedziała Teresa Mirska — byłam wówczas w Paryżu i ten numer Monitora mam dotychczas.

Napoleon spojrział na zegarek.

— Czas. Może to ostatnia godzina pokoju.

Adieu.

Teresę Mirską wziął za rękę i rzekł, topiąc w jej czarno-szafirowych oczach swoje niebiesko-stalowe, przenikliwe źrenice:

— Do widzenia po wojnie — na drodze zwycięstwa. Obrócił się ku drzwiom, wtem Teresa Mirska schyliła się, podała się cała ku cesarzowi, i gwałtownym ruchem wydarte z za gorsu jej róże sypnęły się Napoleonowi pod buty z ostrogami, tak, że buty w kwiatach zagrzezły.

— Ah, ah! — zawołał. — Dziękuję!

I stał zakłopotany. Lecz hrabia de Narbonne schylił się szarmancko, podjął jedną z róż i z pełnem uszanowania spojrzeniem na Teresę, podał ją cesarzowi.

Napoleon wziął kwiat, zasadził z lewej strony pod wielką gwiazdą legji z orłem za odwinięty i zapinany na guziki biały rabat mundur i rzekł:

— A zatem do widzenia — na drodze zwycięstwa!

A cudowny głos cudnej pani, która wyprostowała się, jak posąg, powtórzył za nim:

— Na drodze zwycięstwa.

Księżę Vicency i hrabia de Narbonne patrzyli na Mirską, jak na zjawisko.

Napoleon uśmiechnął się tym uśmiechem,

który miał podobnie, jak grozę oczu, z nikim i z niczem nieporównany, i wyszedł.

Zaraz za drzwiami zwrócił się do towarzyszków:

— Co za entuzjazm patriotyczny, co? Jeżeli cała Litwa jest taka?! Teraz pewnie usłyszymy z okna pieśń legionów!

Lecz nie usłyszał pieśni legionów, mazurka Dąbrowskiego; szpinet istotnie zadźwięczał, jak surma bojowa, ale Marsyljanką, a nad nim zagórował głos tak potężny, że zdawało się, iż drewniane ściany domu rozsadzi.

„Le jour de gloire est arrivé... — brzmiał cudowny głos cudnej pani.

Tymczasem przed cesarzem, który zeszedł na dziedziniec, pojawili się pan Słupść i pani Eufrozyna Słupściowa z obu synami i z obu córkami, oraz ksiądz Narbuttowicz, staruszek.

— Odprowadzamy pokornie do drzwi domu naszego waszą cesarską mość — rzekł pan Słupść wzruszonym głosem. — A oto, najjaśniejszy panie, prośba moja i żony mojej. Widzisz tu, najjaśniejszy panie, dwóch synów moich, Witolda i Olgierda. Jeden ma lat ośmnaście, drugi siedmnaście. Konno jeżdżą, jak twoi lansjerzy, strzelba im družba od pieluch, a i szablą nie obca. Ubogi szlachcic nie mam się czem wywdzięczyć za honor, jaki ninie spotkał, żem największego męża historii, najpotężniejszego z władców, jacy kiedy byli, gościł u siebie — więc proszę cię, najjaśniejszy panie, ubogi przedniemeński Litwin, przyjm tych chłopców moich do wojska swego, niech służą, niech walczą, niech i zginą...

Tu szlochanie przerwało mowę panu Ślupściowi; płakała pani Ślupściowa i panny Ślupściówny, a Teresa Mirska, która zeszła ze schodów, stała blada przy blasku pochodni szaserskich i służby dworskiej, bo zmrok już zapadł.

Cesarz popatrzył na obu chłopców, jasnych niebieskookich blondynów, którzy stali za ojcem z ogniem w oczach, i rzekł:

— Dobrze. Berthier, niech idą do ósmego pułku ułanów księcia Dominika Radziwiłła. Oddam ich wam oficerami. Będą się chlubić, że podemną służyli. Adieu!

Marszałek Berthier dobył notes, w którym zapisał rozkazy cesarza.

— Chłopcy! Będziecie się bić przy cesarzu! — rzekł pan Ślupść, dławiąc łzy. — Vive l'empereur!

— Vive l'empereur! — powtórzyli młodzi Ślupściowie, pani Eufrozyna Ślupściowa i panny dyszkantem.

— Sire — zaszlochała pani Ślupściowa — jestem taka szczęśliwa! Wszakże to największa ofiara...

Płacz nie dał jej mówić.

— Choćby zginęli... Jedyni moi...

Ale staruszek ksiądz Narbuttowicz zwrócił się do Ślupściów:

— Powiedzcie mu, powiedzcie mu, bo ja nie umiem, niech go Bóg prowadził!

I podniósł ręce, trzęsące się ze starości, do góry.

Cesarz skinął ręką już z konia i, puściwszy po swojemu wolno cugle, uderzył szpicrutą srebrzystosiwojabłkowego z długim białym ogonem

i długą grzywą Taurisa i ruszył z miejsca galopem po swojemu zgarbiony, ze zwieszoną głową, z odstającymi kolanami, ostrogami obróconymi do boków końskich i stopami odstawionymi, a za nim ruszyła jego świta i eskorta.

Długo stali państwo Ślupściowie, ich rodzi-
na, domownicy i służba w milczeniu nieruchomi
po odjeździe Bonapartego, aż pan Ślupść ozwał
się do Teresy Mirskiej:

— Wiedział ja, mówię ja kochanego pana, że
kuzynka wielki świat, ale żeby tak, no, żeby tak,
tego ja nie spodziewał się nawet po kuzynce.
Toż kiep by był—tu się pan Ślupść obejrzał, czy
jeszcze gdzie jaki Napoleoński generał, albo
szaszer nie stoi — kiepby był, mówię ja kocha-
nego pana, żeby tu już na Wszystkich Świętych
nie wrócił!

— Cesarz był oczarowany! — rzekła pani
Ślupściowa.

— Cała doba spać jemu nie zechce się —
rzekła najmłodsza panna.

— Comtem ampiru mnie zrobić powinien —
rzekł pan Ślupść. Toż podjąłem go bez mała
jak książe Panie Kochanku w Nieświeżu króla je-
gomości. A co Terenia, ha? Zaimponowała! Dali-
bóg, mówię ja kochanego pana, zaimponowała!
Sapieżanka nie potrafiłaby nic więcej. Widziałeś,
księżę proboszczu? Krew! Oto co — szlachta!

Wtem starsza panna, snadź sentymentalna,
podniosła oczy na księżyc i rzekła powoli:

— Księżyc wschodzi — — kochać chce się...

Tymczasem Napoleon gnał nad rzekę. Wieść o jego pojawieniu się na granicy musiała już zelektryzować tłumy.

Pojawił się nad brzegiem. Mosty stały. Nie przeszkadzał ich budować nikt.

Cesarz rozkazał kilku saperom przepłynąć łódką rzekę. Nie znaleźli na drugim brzegu nikogo. Spokój zupełny. Dopiero po pewnym czasie pojawił się oficer kozacki, komenderujący patrol, sam jeden.

Zatrzymał konia i zapytał:

— Kto idzie?

— Francuzi!

— Czego chcecie? Pociąg przeszli granice Rosji?

— Aby się z wami bić! Zająć Wilno! Oswobodzić Polskę! — odpowiedzieli saperzy.

Oficer zawrócił konia w miejscu i począł odjeżdżać w las. Trzech żołnierzy strzeliło za nim. Nikt nie odpowiedział.

Napoleon szarpnął ze złości cugłami Taurisa, usłyszawszy strzały.

— Po co?! Na co?! — krzyknął. — Dlaczego strzelono?!

A więc już francuskie strzały padły w Rosji, za granicą rosyjską, a więc wojna się już zaczęła... Więc już?!

Tymczasem z głębi borów, pod osłoną chmur, które zakryły księżyc, wysuwały się kolumny Wielkiej Armji. I stanęły nad rzeką. Cesarz zabronił rozpaścić ogniska; w głuchej ciemności, z bronią w rękę, obstawiona czatami równie, jak ona, pogrążonemi w ciemnościach, czekała dnia Wielkiej Armji.

Cesarz wszedł do swego namiotu na wzgórku. Cisza obstąpiła go taka, że wydało mu się, iż słyszy zgromadzonych koło niego dwieście tysięcy serc. Wsłuchiwał się w tę melodię jakąś razem w tej chwili uroczystą i straszną, nawet dla niego. Siedział na postawionem w namiocie krzesle polowem z nogą opartą na bębnie i słuchał. Ani jedno drzewo nie szemrało. Tylko biło te dwakroć sto tysięcy serc ludzkich.

Niepokój go ogarnął. Chciałby, aby już minęła noc, był dzień. Odurzyła go ta muzyka serc bijących.

Zdawało mu się, że ci cisi, ciemni ludzie pytają go biciem swych serc: dokąd nas wiedziesz? Kto z nas polegnie? Kto wróci?... To nie my tam idziemy, to wiedziesz nas ty... Nie jestto wojna z koalicją przeciw Francji, jednoczącej się z twoją osobą, to tylko ty nas przywiodłeś, ty jeden, ty...

Więc żeby tę muzykę zagłuszyć, Napoleon zsunął nogę z bębna, pochylił się i zaczął palcami cicho uderzać w napiętą skórę rytm marsza piechoty. Lecz dwieście tysięcy serc biło mocniej. Więc zaczął im się tłumaczyć, że musiał uprzedzić cios na jego i na ich chwałę gotowany...

— Chwały miałyśmy dosyć i ty także przez nas — odpowiadały serca. — Rzeki krwi ludzkiej utworzyły morze twojej chwały. Czerwone rzeki krwi rozlały się w złote morze blasku koło twojej głowy. Imię twoje wieki trwać będzie, lecz kto będzie znał nasze imiona? Drabina twojej chwały to nasza męka, szczeble jej to nasze rany. Wszechmocna twoja ręka, jak wszechmocna ręka

od Boga zesłanej zarazy, odbiera nam nasze życie w męczarniach. Widziałeś już góry ciał człowieczych pobitych dla twojej chwały; słyszałeś jęki, od których groza ogarnia i widziałeś cierpienia, od których widoku wzrok staje się obłąkany. Wszystko dla twojej chwały. Boś przyszedł człowiek obcy, nieznany, przyszedłeś Napoleonie Buonaparte z Korsyki, aby ze śmierci i męki ludzkiej w Europie budować sobie jednemu piramidę chwały. I wybudowałeś ją w bezbrzeżu pamięci ludzkiej większą niż piramidy Egiptu, z których wołałeś wiek po wieku wieków czterdzieści — dla twojej chwały. Czerwona jest piramida twego imienia, czerwona od krwi i rycząca jest bólem ludzi i koni. Stój!!!

Cesarz zerwał się z krzesła.

— Narbonne! — zapytał. — Jak myślisz, o czym szepcą żołnierze?

— Najjaśniejszy panie — odpowiedział generał adjutant cesarski — spodziewają się ujrzeć jutro brzeg Niemnu, zapełniony witającymi ich Litwinami. Spodziewają się ujrzeć wyciągnięte do siebie ręce, spodziewają się usłyszeć okrzyki radosne. Po tej ciemnej chłodnej wilgotnej nocy, po trudach marszu, po setkach mil przebytych spodziewają się otrzymać kosze wina i chleba, widzą się otoczonymi miłością, troską i staraniem. Spodziewają się tłumu, który wylegnie na spotkanie ich potęgi i chwały!

— Co mówią oficerowie?

— Starsi milczą spokojnie, młodszy mówią, że gdybyś im, sire, kazał iść do piekła, odpowiedzieliby: marchons! — maszerujemy!...

A więc kłamały żołnierskie serca, : kłamało
dwieście tysięcy serc...

Kłamało!

Więc cesarz wstał i przy nadchodzącem
świetle dziennem rozkazał odczytać wojsku pro-
klamację wojny.

„Proklamacja rozpoczęcia kampanji rosyjskiej.

Kwatera cesarska w Wiłkowyszkach, 22-go
czerwca 1812.

Do Wielkiej Armji.

Żołnierze!

Druga wojna polska zaczęła się; pierwszą
skończyły Frydland i Tylża. W Tylży Rosja
ślubowała wieczny sojusz z Francją i wojną
Anglii. Gwałci dzisiaj przysięgi! Nie chce dać
żadnych wyjaśnień swego niepojętego postępo-
wania, póki orły francuskie nie powrócą za Ren,
pozostawiając naszych sprzymierzeńców na jej
łasce. Przeznaczenie zawisło nad Rosją; niech
się spełnią jej losy. Czyż ma nas za skarłatych?
Czyż nie bylibyśmy już więcej żołnierzami z pod
Austerlitz? Wtacza nas między hańbę i wojnę:
wybór nie będzie wątpliwy. A zatem naprzód:
za Niemen, nieśmy wojnę w jej ziemie. Druga
wojna polska, jak pierwsza, chwałą znaki francu-
skie okryje. Ale pokój, który zawrzemy, przy-
niesie z sobą gwarancję i położy tamę zgubne-
mu wpływowi, który Rosja od lat pięćdziesięciu
wywierała na sprawy Europy“.

Już wstało słońce. Ale litewski brzeg
Niemna był pusty, piaskiem zasnuty i lasem za-
rosły. Nikt nie stał nad nim z wyciągniętymi rę-

koma, z okrzykiem powitania, z koszem chleba i wina i sercem, pełnem miłości i troski. Brzeg Niemna był pusty.

Naówczas tysiące oczu podniosło się ku wzgórz, o trzysta kroków od rzeki, gdzie stał namiot cesarza, a przed nim cesarz z założonemi w tył rękoma.

Lecz w tej chwili porucznik ułanów Tomasz Kolski, porwany nie liczącym się z niczem zapalem, krzyknął:

— Vive l'empereur!

— Vive l'empereur! — poszedł krzyk po armji.

Cesarz zwrócił się i salutował.

Już armja była dumną, że jest sama swym siłom pozostawiona, że jej potęga jest wyższa nad potrzebę jakiejkolwiek czyjej troski, że idzie czynić dobrze nieproszona, sama, nie dbając i o podziękę.

Vive l'empereur! — huczało po lasach Niemna.

A cesarz przypomniał sobie nocny gwar serc, uśmiechnął się i dał sygnał.

Jako trzy fale złota, srebra, ponsu, amarantu, szafiru, błękitu, zieleni i bieli, fale szerokie, bez skończenia długie, ruszyły trzy kolumny armji ku trzem mostom na Niemnie, wynurzając się z lasów, napęlniając sobą doliny, pagórki ich zbocza, płynąc podobne do trzech tęcz olbrzymich, po ziemi pełznących.

Naówczas Napoleon dosiadł siwo-jabłkowitzego, z srebrzystym blaskiem sierści, o długiej białej grzywie i długim białym ogonie Taurisa.

I wysoko na wzgórzu stojąc patrzył, jak dwie dywizje awangardy szabel się nieomal chwyciły, aby być pierwsze za mostem i pierwsze z nieprzyjacielem się zetrzeć. Wodzowie rozjąc je musieli.

Poczem cesarz uderzył Taurisa i leciał w dół galopem, podobny do błysku.

Już chrapy rozdawszy sadził ogier cesarski nad Niemen.

— Vive l'empereur! — ryczały masy wojska.

On zaś dopadł brzegu, szarpnął cugle, aż się koń pod nim zarył na zadzie w piasku i wjechał na most.

Lecz gdy ułani w rzekę się rzucili wpław z lasem chorągiewek, gdy upał się wznógł, niecierpliwość zdjęła cesarza, a zdumienie, że nikt nie broni przeprawy, w gniew się zmieniło i ruszył koniem naprzód, pędem, jakby sam jeden chciał się potykać z nieprzyjacielem.

Gnał w pustkę litewską, coraz dalej i dalej, lecz nie napotkał nikogo. Bokami tylko od czasu do czasu zagrzmiąta armata — snadź awangarda polska ścierała się z kozakami. Napoleon wrócił ku mostom.

Upał palił go, dusiło ciężkie parne powietrze; czuł dziwne zmęczenie w ciele, niepodobne do żadnego, jakiego doznał w życiu. Nie było to uczucie znużenia po trudzie, ale coś, co owładało ciało niezależnie od niczego, samo przez się, samo z siebie, jak choroba.

Zwrócił konia w marsz.

Ale na niebie, z którego lał się zar słońca, zaświeciło ponad pustkowiem i lasami Litwy od wschodu światło żółte, złowrogie. Na błękit bez

obłoków wychynęła znienacka siarkowa jasność i zawisła w przestrzeni, a śladem niej nadpłynęły sine posępne mgły o złym wzroku i utrwaliły się w bezdni powietrznej. Lecz już ciągnęły na widnokrąg chmury czarne, ogromne, ciężaru żelaza i ponure, jak trumna. Poczęły się rozprze-strzeniać, rozszerzać, rozwlekać. Olbrzymiemi ławicami o strasznych twarzach zasłały przestwór kirem i potoczyły się pod słońce. Zwolna sięgały go, wznosiły się ku niemu, powlekły doń poczwarne ciała. Jęły je wchłaniać, jak ośmiornica poczwarna w głębi mórz wchłania czerwono barwicznego opromnionego polipa, co wisi na skale ponad nią. Zamroczył się świat. Ławice chmur, wychylające się z za kresów ziemi, zespoliły się, zsunęły ze sobą. Pomrok groźny, podobny do fatum, leżącego na bezludnych górach nad doliną, spoj-rzał na świat.

Powietrze stłumiło się, skupiło w sobie, zbiło w kłęb i zamarło.

Potwór burzy wisiał nad ziemią i pił jej strach. Rozdymał kir swego widoku, panował.

W ciszy straszliwej groźby pełny, podobny był do podziemia, w którego wnętrznościach gotuje się śmiertelny wybuch.

Cesarz patrzył na niebo: zali to jego zwiastuje, zali to jemu grozi ta burza?

Zielone lasy, zielone pagórki i zielone doliny, które zrazu pożółkły były od fosforu nieba, ściemniały. Mrok zapadł na ziemię. W oczach przymgliły się i zasępiły źrenice, mimo oporu wzroku. Dzień noc prawie pożarła i puścił się gęsty, nagły, rżesny, grubokroplisty deszcz.

Wtem błysło.

Długi, zygzakowaty, płomienny sznur przeleciał czarną ławę chmur od wschodu ku zachodowi; wraz po nim drugi podobny do połamanej pod kątami olbrzymiej strzały ognistej — chwila ciszy i jeden po drugim zaryczały dwa grzmoty, dwa groiny, pod których hukiem ziemia zda się ugięła się, jak płyta blaszana pod uderzeniem młota.

Burza zaczęła szaleć.

Wśród czarnego oniemiał dnia runęła nawałnica grzmotów. Niebo zaczęło płonąć błyskawicami i huczeć, jak wśród gniewu Pańskiego. Deszcz zamienił się w potworny upust ulewy, ulewa w potworny grad. Szum straszny napęłnił i zgłuszył powietrze, a duszące gorąco przestoczyło się w dojmujące zimno. W jednym momencie grunt spłynął potokami wody, roztopił się, zalał bagnami i sadzawkami na nizinie; na wzgórzach cała trawa pokryła się grubym lodowatym żwirem gradu.

Świat poddał się burzy, — bezwładny, podobny do wielbłąda w pustyni, który, zarywszy nozdrza w piasek, czeka, aż samum przewieje.

Błyskawice w przelocie wiały ciepłem na twarze, druzgocąc z trzaskiem drzewa, z których grad ciął liście z całemi gałęziami i którym wichher odrywał konary, walił je z pni, lub z korzeniami darł z podłoża we wykroty. Lasami, przez sosny, świerki, graby, dęby, brzozy, olsze i buki, przez zieloną zszytą gęstwę, z szumem morza w bruzdy gnąc korony liściowe, zataczając się w konarach i chyląc wierzchowce drzew igłowych, pędził wichher z szybkością i gwałtem rzeki, która tamę przerwała.

U kopyt cesarskiego konia ptak jakiś wielki, głuszec, czy puchacz, wieją widać z pośród lasu porwany, runął w powstały momentalnie moczar, zatrząsał rozpaczliwie skrzydłami i wzniósł się w górę, gdzie nim wyjące powietrze krąg zatoczyło i podniosło go podobnego do łódki na szalejącem morzu z urwanemi z lin żaglami.

Więcej niż trzy godziny trwała burza. Zdawało się, że coraz nowe jej złomy napływy od wschodu, z coraz dalsza, coraz sroższe i przerażliwsze.

Wreszcie olbrzymie czarne ławy chmur poczęły maleć i rzednąć, pioruny stały się mniej natarczywe, pozostał tylko mrok dnia i zimno.

Nakazano biwakowanie, aby oschnąć, otrząść się i przyjść do siebie. Dziesięć tysięcy koni padło, wiele furgonów ugrzęzło w piaskach i błotach, choroba widniała na wielu twarzach.

— Żle — mruczał jadący obok porucznika Kolskiego czterdziestopięcioletni rotmistrz ułański Zaremba, z Galicji.

— Co pan mówisz, panie rotmistrzu? — zapytał Kolski.

— Nic. Cesarz spadł z konia przed Niemnem, burza powitała go za Niemnem — — źle to wróży.

— Żeby lepiej siedział, a gorzej myślał, to przedewszystkiem mybyśmy tu dziś nie jechali — rzekł Kolski.

Zaremba odpowiedział mu pochmurnie.

— Otóż to, a to się dopiero pokaże, czy dobrze, że jedziemy.

— Jakto?! — wykrzyknął Kolski prawie oburzony.

— Lękam się, aby nasza zła gwiazda nie pociągnęła za sobą gwiazdy Napoleona.

I jechał w milczeniu, myśląc, że jest już stary i że cudowne zjawisko, spotykane na salonnach paryskich, piękniejsza od wszystkich najcudowniejszych kobiet Włoch, Hiszpanji, Austrii i Francji Teresa Mirska, nigdy nie może być dla niego niczem innem, jak tylko zjawiskiem i że najlepiej by było po wiernej służbie Napoleona zginąć gdzie na polu bitwy na stepach rosyjskich.

Wtem eklererzy marszałka Oudinota zatrzymali się. Na Wilji kozacy zerwali most. Armja stanęła.

Napoleon zaklął. Przypomniawszy sobie Somosierre. Miał pod bokiem ułanów polskich. Wpław! Szukać brodu!

Ruśnięt na arabie z skoku we wzdętą powodzią rzekę adiutant Bastachy Sanguszko, woda prysła i poszedł za nim szwadron ułanów. Wezbrany prąd począł rwać konie, w złomiskach zwałonego mostu poczęły się plątać. Groza ogarnęła armję na brzegu.

Cesarz zsiadł z konia, w butach wszedł do wody i krzychał: w górę! pod prąd! — a saperów rozkazał posłać z pomocą.

Obalił z koniem prąd podporucznika Trzecińskiego; wzniosł Trzeciński tonące ramię do góry, krzyknął vive l'empereur! — i porwała go rzeka.

— Vive l'empereur! — zawołał ułan, któremu fala mętna zalewała usta i pogrążył się w głębi.

— Niech żyje cesarz! — zabrzmiało ponuro

tużi tam z nad huczającej rzeki. Tonęli. Nim się wydarli, kilkunastu zginęło.

W niemej grozie patrzała na to armja, na brzegu Wilji.

Tak polscy ułani szukali brodu dla Napoleona.

*

*

*

Gorączką gnana i pędzej od wlokącego za sobą przeszło dwieście tysięcy ludzi cesarza, jechała do Wilna Teresa Mirska. Rwała ją tam zarówno myśl, jak serce. Na kilka mil przed miastem powóz jej w tęgą czwórkę kasztanów ze strzałkami pana Słupścia zaprzężony mijał młodego podróżnego, ubranego z wiejska po ekonomsku, z węzełkiem na plecach i kosturem w ręku. Mężczyzna był więcej niż średniego wzrostu, dobrze i zgrabnie zbudowany.

Że długą i uciążliwą drogę odbywał, znać było po butach i ubraniu.

Mirskiej się go żal zrobiło; kazała stanąć i zawołała:

— Hej, wasze! A daleka droga?

Wędrowiec zatrzymał się, popatrzał, uśmiechnął, ale nie odpowiedział.

— Daleka droga? — powtórzyła Mirska —

Czy głuchy?

Wędrowiec znowu się uśmiechnął, a uśmiech miał dobrego dziecka i zaprzeczył głową.

— Czy niemy?

Skinął głową potakująco.

— Jadę do Wilna — mówiła Mirska, — jeżeli ci tam droga, to siadaj na wóz z rzeczami, ot tam z lasu wyjeżdża.

Wyjeżdżał istotnie z lasu duży wóz z kuframi, również w czwórkę okazałych szpaków zaprzężony. Koło niego kilku konnych dworskich hajduków ze strzelbami przez ramię, z pistoletami w olstrach i kordelasami przy boku.

Wędrowiec uklonił się i, podziękowawszy wdzięcznym uśmiechem, wlaź na uczynione mu na rozkaz pani miejsce na wozie, na którym, oprócz woźnicy jechały dwie służące, panna szatna i pokojówka.

Mirska kazała ruszać.

Wjechano w bagna.

Ciężkie one były do przebycia zawsze, po deszczach stawały się poprostu trudne.

Powóz Mirskiej, z dwoma tylko ludźmi na koźle, dawał sobie rady, ale naładowany wóz, na którym siedziało czworo ludzi, ciągnęły szpaki z wysiłkiem, wreszcie stanęły.

— Hej, niemy — zawołał woźnica Mazur — zleźta ino!

Wędrowiec zlął, ale to nic nie pomogło.

Zlął więc i furman i rade nierade służebne — wóz zagrzął i ruszyć się nie dawał.

Z sześciu hajduków zsiadło z koni naprzód dwóch, potem trzech, наконец wszyscy i, dzierżąc konie na zarzuconej na ramię trędzli, ciągnąć za koła zaczęli. I tak nie szło; tylne koła, na których największa leżała waga, zapadły jak w cement.

Nagle wóz dźwignął się. Hajducy obejrżeli się zdziwieni — to ów niemy wędrowny, który

stał z boku, jakby nie śmiał pomagać niewzywany, kostur odrzucił i wóz za zadnią karę podparł.

— No czegożeście stał, jak głupi? — ozwał się doń woźnica. — Adyście mogli zaraz pomóc, kiedyśta sam taki niedźwiedź.

— Nie daj, Panie Boże, przygody — rzekła panna służąca — to już nie czekaj wasze, a bij, gdy cię taką siłą Pan Bóg obdarował. Widziała wielmożna pani? — zwróciła się do Mirskiej, której powóz przystanął, śnać, żeby się nie oddalać od zbrojnych.

— Widziałam; daj mu pruskiego talara, Klaro.

Ale obcy niemowa, który uśmiechnął się uniewinniająco do woźnicy, a potakująco do panny służącej, schował ręce za siebie.

— Wasze nie przyjmie? — spytała panna Klara.

Potrząśł przecząco głową.

— Jakiście to hardy — odezwał się woźnica. — Może szlachcic, czy co? Ale już na wóz nie wlaźta, aż błoto miniewa. A to się jeszcze przydać może, kiedyście sam taki.

Jeszcze w drugim miejscu w roztopie niemowa za szprychy ujawszy sam już, bez pomocy wóz popchnął.

— Nie wstąpiłby wasze do nas do służby? — zapytała panna służąca, siedząc znowu już na suchem miejscu, na wozie, obok niemowy. — Do koni?

Ale niemowa odmówił po swojemu.

Droga stała się lepsza, i Mirska mogła swobodnie oddać się myślom.

Jechała upojona.

Dumna imperatorska głowa Bonapartego, jego rozkazów przywykły głos, uścisk ręki i niewysłowionego uroku uśmiech, utkwily jej z nadmierną mocą w uczuciu. Czuła się osobą i sprawą Bonapartego przejętą do szpiku kości, przeniknioną niemi.

A wraz z jego osobą i z jego sprawą łączyła osobę tego, którego tajemnie kochała i przez którego tajemnie była kochana, księcia Michała Ogińskiego.

W cudownym tym człowieku, na którego niebo zesało, zda się, wszystkie dary, chciała Teresa Mirska widzieć to, do czego, mimo całego bohaterstwa i wspaniałej szlachetności duszy, nie dorósł książę Józef Poniatowski, czem mógł być może stać się Józef Sułkowski.

Kochała go, więc widziała w nim wszystko.

Kochała jego cudne, złożone blond włosy w lokach, okalające mu boską prawie twarz jakoby aureolą złocistą; kochała jego czoło zadumane, klasyczne, czoło natchnienia i tęsknoty, oparte na dwóch długich, ręką Rafaela zarysowanych łukach brwi, pod którymi jaśniały ogromne, podługne, najpiękniejsze na świecie, błękitne oczy; kochała rysy jego twarzy dłutem Praksytelesa gładzone, z ustami, których wdzięk jedynie z wdziękiem ust kobiecych dał się porównać; kochała jego śliczną postawę, śliczne ręce i stopy, najrasowsze z rasowych, ciało i duszę jego, naprawdę ulatującą na skrzydłach pieśni. Kochała, wszystkiego chciała dla niego, wszystkiego spodziewała się po nim. Nie czczy tytuł, mitrę książęcą, ale światło promienne w najśmielszych snach swoich widziała na tem czole, podobnem do obłoku pełnego, boga-

tego lata. Nie złej sławy Szczęsny Potocki, nie rycerski, ale bez wybitnych talentów ordynat Dominik Radziwiłł, nie Adam Czartoryski, podniosłego umysłu, lecz wbrew idący powszechnej opinii nie posępnego nazwiska, choć czczony już i kochany bohaterski Poniatowski wydawał jej się wybrańcem bogów w narodzie. Kochała i nie zdawała sobie z niczego sprawy, tylko ze swojej ślepej miłości.

I zdawało jej się, że teraz наконец znalazła czego pragnęła. Wszechmocny Bonaparte, dla którego nie było nic niepodobnego, który świat stwarzał od nowa, którego wola waliła i wznosiła trony, to słońce, które koło siebie zapalało nowe gwiazdy — Bonaparte mógł wszystko. Zawsze go wielbiąc, umiłowała Bonapartego za to, co uczyni dla narodu całego, za to, jakim blaskiem zapłonie przy nim, z jego mocy, nazwisko jej oblubieńca. Więc pędziła do Wilna, aby pchnąć najżywiej ku Bonapartemu Ogińskiego, którego cesarz znał jeszcze z czasu pierwszych swoich kampanij.

Wówczas to, po zwycięstwach włoskich młodzińczy emigrant, poseł patriotów polskich w Stambule, wysłał na ręce Józefa Sułkowskiego pismo do Napoleona, zaklinając wybawcę z pod jarzma austriackiego Włoch, aby stał się ojcem narodów i Polski.

„Słuchaj, Sułkowski, cóż mam mu odrzec?— powiedział dwudziestosiedmioletni wódz, w którego ręce losy milionowego ludu składano—cóż mogę mu obiecać? Odpisz swemu rodakowi, że kocham Polaków i że wysoko ich sobie cenię...., że po skończeniu wojny włoskiej pójdę sam osobiście na czele Francuzów....., lecz powiedz im

także, że Polacy nie powinni polegać na obcej pomocy“....

Otóż szedł teraz, po latach piętnastu, nie tylko generałem na czele Francuzów, ale imperatorem Zachodu, na czele połowy Europy. O ślub uczyniony upominają się prochy Sułkowskiego, o ślub ten upomnieć się powinien Ogiński.

Ileż cudnych, brylantowych i tęczowych myśli snuło się przez głowę Teresy.

Zajechała w Wilnie do dalekiej ciotki, Modlańskiej, Rozalji Pingwin-Modlańskiej, tak samo z domu, tak zwanej pani starościny, niewiadomo dlaczego, bo mąż, który już nie żył, nigdy za czasów polskich starostą nie był.

Wyszła naprzeciw Teresy pani Modlańska, jak zwykle: suknia szara, buty wysokie pod spódnicą, pęk kluczków na fartuchu, baba ogromna, gęba czerwona, o chytrych, małych, niebieskich oczach, nos długi, bardzo brzydko zagięty, ramiona wysokie i szerokie, biust jak antałek, tył wysoko wzniesiony, wypięty i ogromny, biodra nieproporcjonalnie szerokie — burak na antałku, a antalek na becze. Wszystko to okraszał uśmiech obleśny.

Teresa nie zносиła tej ciotki, ale Modlańska, wydzierżawiwszy majątek, przeniosła się do swego domu w Wilnie, gdzie odnajmowała Teresie kilka pokojów na pierwszym piętrze.

— A, kuzynka, jak zdrowie? — ozwała się skrzypiącym barytonem. — Tak i cóż kuzynkę od Ślupściów wyгнаło? Napoleon?

— Jak się ma kochana ciocia? Książę Michał był?

— A kuzynka odkąd się z nim tak spoufa-
liła? To że to książę Ogiński, pan, wielki mie-

cznik litewski, a kuzyna co? Zwykła szlachcianka, jak i ja.

— Wiem, wiem, ale czy był?

— A cóż to tak nagle się go zachciało, a? Sześć tygodni kuzynki nie było.

Teresa zniecierpliwiona zwróciła się do kluźnicy Maszewskiej.

— Maszewska, czy był podczas mojej nieobecności książę Ogiński?

— Raz tom widziała, ale czy więcej, to Wincenty będzie wiedział — zaśpiewała Żmudzinka Maszewska.

— Ale, ale—przypomniała sobie Mirska—zabrałam na drodze jakiegoś wędrownego niemowę.

— U Pana Boga! — przerwała jej pani Modlańska. — A toż co nowego?! A kuzynce niemowa po co?! Karzeł — no, jeszcze, ale niemowa?

— Ależ nie, ciociu! Szedł wędrowny, kazałam się przysiąść na wóz z rzeczami. Niech go Maszewska do izby czeladnej zaprowadzi.

— U Pana Boga! — wykrzyknęła z indygnacją pani Modlańska. — Za nic! Jeszcze złodziej!

— Pocziwie mu z oczu patrzy, ręczę cioci.

— Za nic! Za nic! — grzdykała pani Modlańska. — A toby jeszcze i jeść trzeba dać! Za nic! Za nic!

— No to gdzież on przenocuje? Ja go nie mam gdzie podziąć u siebie.

— A cóż to on naprzód wiedział, że kuzynkę spotka, czy co?

Teresa tupnęła z niecierpliwością końcem trzewika i zawołała na pannę służącą do sieni:

— Kłaro! Gdzie niemy?

— Poszedł, proszę wielmożnej pani. Ukłonił się i poszedł.

— Trzeba było zatrzymać!

— A toż wiedziałam, że pani starościna wypędzi.

— Dobrześ wiedziała! Słusznieś wiedziała! Bo wypędzę!

— Ciociu, cesarza jeszcze niema w Wilnie?

— A djabeł mi do niego! Nie wiem!

— Ależ ciociu! — rzekła Teresa, tłumiąc oburzenie. — Przecież to kwestja życia i śmierci!

— A djabeł mi do tego! — przerwała pani Modlańska. — U mnie kwestja życia i śmierci, to czy mi Rymkiewicz czynsz za kwartał wypłaci.

Teresa nie odrzekła ani słowa i poszła do siebie na piętro.

— Czy książę był podczas mojej nieobecności? — zapytała lokaja Wincentego, który wraz z inną służbą wynosił jej walizy.

— Był, proszę wielmożnej pani, dwa razy i kazał sobie dać znać, jak wielmożna pani przyjedzie.

— No to niechże Wincenty pośle.

Kazała sobie kąpiel zwarzyć, aby się z długiej i męczącej podróży otrząsnąć, i jęła się ubierać.

Jakże piękną być chciała.

Nie włożyła żadnego klejnotu. Wszystkie jej klejnoty mniej były warte, niż jeden brylant, który Ogiński nosił na palcu. Włożyła suknię białą, letnią, rozpuściła włosy falą na ramiona i siadła do szpinetu, który stał w jej salonie.

Lecz nie mogła długo grać. Wstała i przeszła ku oknu. I znowu grać zaczęła, niecierpliwa, pragnąca.

— Nie przyjdzie! Nie przyjdzie! — szeptała sama do siebie.

Lecz po jakichś trzech kwadransach zaturkotał pojazd — wyrzwała z za firanki — tak jest, to był pojazd Ogińskiego.

Ogiński nie wszedł, ale wbiegł po schodach i wpadł we drzwi.

Dawno już nie był młodzieńcem, ale jego piękność zdawała się być silniejsza od czasu, a czar jego postaci opromieniała sława artysty i to artysty, tak wielkiego pana.

Wyciągnęli ku sobie ręce, oboje zachwyceni. Tonęli oczyma we wzajemnej urodzie.

— Ileżem tęsknił! — rzekł Ogiński z szczerem melodramatem w głosie.

— Nie więcej ode mnie, najpewniej—odpowiedziała Mirska z okrągłym wdziękiem.— Jednak sprzedaż mojej zaniemeńskiej wioski moim kuzy-
nom wymagała dłuższego u nich pobytu. Teraz zostanę już w Wilnie — przy tobie.

Ogińskiemu na sekundę zmarszczyły się brwi, lecz Mirska dostrzegła to zmarszczenie.

— Co tobie jest? — zapytała.

— Nic. Nic zupełnie.

— Czyżbyś wyjeżdżał teraz?

— Nie... Może być, później nieco może wypadnie mi wyjechać. Ale nie mówmy o tem!

Obie ręce Teresy Mirskiej, które trzymał w dłoniach, podniósł do ust, a potem ogarnął ją ramieniem i przycisnął ku sobie.

Usta Teresy z niekrępowaną namiętnością wpiły się w jego usta.

— Czyż jeszcze nie? — szepnął Ogiński, gdy rozłączyli wargi.

— Nie, ty wiesz — nigdy... Nie mogę być żoną twoją, nie będę nałożnicą...

— Słuchaj — szepnął Ogiński — nieraz mi przychodzi na myśl, że Karol Radziwiłł na mojem miejscu kazałby cię był porwać!

— Aby mię potem, jak Potoccy Gertrudę Komorowską, rodzina twoja utopić kazała?—uśmiechnęła się Teresa.

— Ach, co?!

— Słuchaj, wiesz: widziałam Napoleona.

Ogiński zerwał się z fotela i zawołał:

— Gdzie?! Już?!

— Już. Za Niemnem, u Ślupściów. Kwaterował tam dzień, czekając na budowę mostów.

— A więc już... — rzekł Ogiński, jakby gubiąc się w myśli. — No i co?

— Miałam zaszczyt mu śpiewać.

— Oczarowany był, naturalnie.

— Nie wiem. Ale przyrzekł mi zobaczenie się z powrotem — na drodze zwycięstwa.

— Na drodze zwycięstwa — powtórzył Ogiński, zgubiony w wewnętrznej myśli.

— Ty coś ukrywasz przede mną — rzekła Mirska. — Zgaduję.

— Ja? Cóżbym ja przed tobą krył? Znasz całą moją duszę i wszystkie jej zamysły.

— Właśnie dlatego; właśnie, że znam ciebie, widzę, że coś ukrywasz. Czy zastanawiałeś się nad rolą, jaką masz odegrać wobec Bonapartego?

Ogiński usiadł, milczał chwilę i odpowiedział powoli:

— Zastanawiałem.

— Jedna jest tylko dla ciebie droga — ta, którą teraz obrał Dominik Radziwiłł, Roman Soł-

tyk, Włodzimierz Potocki. — ta, którą ty sam obrałeś niegdyś, oddając Kościuszcze siebie i pułk własnych strzelców konnych!

Ogiński spojrzał jej w oczy.

— Tak sądzisz?

Teresa objęła mu szyję rękoma i przytuliła policzek do jego twarzy, mówiąc:

— Tylko tak.

Ogiński wyjął z kieszeni złotą tabakierkę z mitrą, ułożoną z drobnych rubinów na pokrywce, i zażył tabaki.

— Cesarz Aleksander zaczął.

— Opuścił już Wilno? — spytała żywo Mirska.

— Nie, nie jeszcze —

— Mocno zgnębiony?

— Przed pięciu czy sześciu dniami był dla niego bal w Zakrecie u Bennigsena.

— I był tam?!

— W wybornym humorze.

Teresa spojrzała zdumiona na Ogińskiego.

— Jakto?

— Rosja nie boi się tej wojny. Przewidują ciężkie ofiary, ale wierzą w swój klimat, w czas i w przestrzeń.

— No i w genjusz Napoleona?

— Tego nie zapoznaje tu nikt, a najmniej sam Aleksander. Ale Rosjanie wierzą, że ich klimat i przestrzeń potężniejsze będą nawet od genjuszu Napoleona.

Teresa zawahała się.

— A więc go ostrzeż! — rzekła.

— Ja? A kimże ja jestem dla niego? Taki a taki książę Ogiński i nic więcej. Oj, kobietko, kobietko! Czy myślisz, że do Bonapartego można

sobie pójść i powiedzieć mu: mój cesarzu, w Rosji bywa zimno, a do Moskwy jest daleko? Oj, kobietko, kobietko! A zresztą on przecież to wie tak dobrze jak ja, albo lepiej. Od czegoż jest Bonapartem? I jest z nim przecie i ambasador rosyjski Caulaincourt, i Poniatowski, i Dąbrowski, i Chłopicki, i Zajączek, i Roźniecki, i Sokolnicki i mnóstwo jeszcze ludzi wybitnych, którzy wiedzą, czem jest wojna z Rosją — w Rosji.

— Więc jakto? — zapytała Mirska z niepokojem. — Więc ty suponujesz, że impreza Napoleona może się nie powieść?

— Ja? Ja jestem pewny tego.

Mirska zbladła.

Po chwili jednak zawołała:

— A więc właśnie!... A więc właśnie my, tutejsi —

— O tem myślała już mądra głowa — rzekł Ogiński.

— Czyja?

— Ksawerego Lubeckiego.

Teresa wybuchnęła.

— Dlaczego ty się zawsze poddajesz? Już raz pociągnął cię Szczęsny Potocki, nim później oczarował cię Kościuszko! Dlaczego, jeśli nie radzisz się nikogo komponując twoje polonezy, w polityce szukasz cudzej rady, jakbyś nie mógł, czy nie chciał iść własnem przekonaniem? A zresztą, jeśli już i z tej strony brać rzeczy, któż jest Lubecki, a kto ty? Jesteś wielkim miecznikiem litewskim, twoje nazwisko jest hełmańskie i za Ogińskim pójdzie tłum szlachty, nie tylko nawet litewskiej; o Lubeckich mało kto wie poza ich powiatem.

— A czegoż ty chcesz po mnie? — zapytał Ogiński.

— Czy pamiętasz twój list od Sułkowskiego, z Konstantynopola?

Ogiński zaczerwienił się.

— To było dawno — rzekł.

— To cóż?

Ogiński ujął Teresę za rękę.

— Moja najdroższa — zaczął z pieśczołą w głosie — najukochańsza, podniosłaś moje nazwisko: Ogiński —

— Tak.

— Jestem Litwinem; godności senatorskie i buławy hetmańskie, które piastowali Ogińscy, to były godności senatorskie litewskie, to były buławy hetmanów litewskich. Jesteśmy Litwą, Jagiellonowie złączyli nas z Koroną, ale Korona upadła i bądź pewna, że nie powstanie. A jeżeli nawet Napoleon pobije Rosję i jeżeli stworzy po raz drugi samodzielne państwo polskie, odbierając Austrii Galicję i przyłączając pruską Wielkopolskę, czy myślisz, że dłużej to potrwa, niż jego życie? Kto raz coś posiadał, ten chce odzyskać, gdy mu się wydrze. Nie tam jest przyszłość nasza, ani najbliższa w związku z Napoleońską Polską, ani dalsza z tą Polską, którą prędkiej, czy później czwarty raz podziela, prawdopodobnie tylko między Austrię i Rosję, gdyż wątpię, aby po klęskach obecnych Prusy jeszcze kiedy wróciły do potęgi. Rozumie to dobrze Lubecki. Przyszłość Litwy jest w unji, nie lubelskiej, ale z cesarzem Aleksandrem, w unji, która Litwie przyniesie ziemie ruskie, te, które unja lubelska złała z Koroną. Lubecki —

— Lubecki życzy może kariery! — przerwała niecierpliwie Teresa Mirska.

— Lubecki jest człowiekiem rozumu—odpowiedział Ogiński—Lubecki to mąż stanu, Metternich Polski. Polacy nie umieli się utrzymać, upadli—a wraz z nimi upadła Litwa. Więc co? Więc mamy dalej z nimi pchać ich taczki, gdy wspañiała łaska imperatora Rosji może nas poprostu zmartwychwywołać? Byłoby to szaleństwem głów niedojrzałych!

— Cóż zatem? — zapytała Teresa. — Cóż wy myślicie?

— Co? — rzekł powstając Ogiński. — Otóż wielkim księciem Litwy będzie cesarz rosyjski. Oto to, że, stając się nietylko wiernymi poddanymi ale i aljantami cesarza Aleksandra, musimy oponować Napoleońskiej Polsce Aleksandrowską Litwę, przez to samo stajemy się jej nieprzyjaciółmi, przez to samo dążyć będziemy do jej dezorganizacji i osłabienia, przez to samo żywioł polski będziemy uważali za wrogi nam. Warszawską tajną agitację Napoleońską zwalczamy tu i paraliżujemy. Mnóstwo wybitnej szlachty jest za nami.

— A jeżeli Napoleon pobije Aleksandra, jeśli odbierze Litwę i zawładnie nią?

Ogiński stropił się; na jego cudną twarz wystąpiło zakłopotanie.

— Jeśli odbierze Aleksandrowi Litwę i zawładnie nią? — powtórzył.

— Cóż wtedy?

— Wtedy? Nie mówiłem o tem z Lubeckim... Teresa popatrzała nań ze smutkiem.

— Wtedy Lubecki będzie myślał o unji z Napoleonem — rzekła. — Czy tak?

Na twarzy Ogińskiego malował się dobroduszny ambaras.

— A no wówczas — — wówczas — jął mówić wolno — chyba, że tak —

Teresa zaczęła się śmiać.

— A jeżeli powtórzy się historia puławska z przed lat kilku i teraz Napoleon po Fryderyku Wilhelmie otrzyma do rąk listę tych, którzy przeciw niemu konspirowali?

Ogiński zmieszał się niezmiernie, ale po chwili podniósł dumnie głowę i chciał się odezwać, lecz Mirska zawołała:

— Wiem, wiem, mój jedyny! Wiem, że nie pozwoliłbyś sobie oczu zawiązać, gdyby nawet aż do tego przystało! Wiem, że nie chciałbyś być gorszym szlachcicem od szlachty francuskiej, która z dumnie podniesioną głową wstępowała na szafot a nawet z konceptem i szyderczo-wzgardliwym uśmiechem na ustach. To wiem i o tem nie wątpię. Znam cię. Ale tego nie będzie. Lecz —

Szybko rzucił Ogiński, jakby chcąc się po-deprzeć:

— Na Ukrainie Braniccy są naszej opinji—

— Braniccy mają swoje specjalne obowiązki — rzekła Mirska niechętnie.

— Moja najdroższa — począł znów szybko Ogiński, kładąc rękę na poręczy fotela Teresy— Rosja się tej wojny nie boi, Rosja jej chce, żąda. Cesarz Aleksander wie, że Francja i Europa znużone są Napoleonem, wie także, że Napoleon nie zwycięży go. A wówczas pomyśl sobie, samo przez się rządne Litwa, Wołyń, Podole i Ukraina w przymierzu i pod opieką najpotężniejszego monarchy świata, jakim jest i będzie

monarcha Rosji! Nietylko zwycięstwa dają miarę potęgi mocarstw—dają ją i klęski. Patrz, jaki po Jenie jest stosunek Prus, jaki po Wagram stosunek Austrii do Napoleona, a jakież uszczerbek w stosunku Rosji uczyniły nieszczęśliwe batalje pod Austerlitz, Iławą, Frydlandem? Owszem w Rosji z dumą powtarzają i powtarzają prawdę, że po obu zwycięskich z Rosją kampanjach Bonaparte szukał przyjaźni Rosji, starał się o nią. Bo Rosja to jest olbrzym, który tak wyrósł, jak dąb, z korzeni i pnia. olbrzym o niepożytej i naturalnej, wiekuistej sile, na którego korze zarasta bez śladu zacięcie, a imperjum Napoleona jest sztucznie sklezione, jak było imperjum cesarów rzymskich, które się też po nieszczęśliwych wojnach w gruzy, w proch i w niwecz rozpadło.

— Więc ty przewidujesz klęskę Bonapartego?

— Klęski nie, zbyt wielkim jest wodzem, ale znużenie nie kończąca się wojną, równe przegranej, a jego syn będzie tylko cesarzem Francuzów.

— I ta robota, którą podjąłeś z księciem Lubeckim, wydaje ci się pewną?

— Jedyłą racjonalną i jedyną pewną. Wierz mi: nie szukam osobistej kariery, o którą posądzasz Lubeckiego, moim sądem, zupełnie niesłusznie i fałszywie. Ale cóż ja mogę zyskać, co zarobić, że tak to nazwę? Żaden urząd najwyższy nie jest tak wysokim, aby nie był tylko dodatkiem do tej pozycji światowej, jaką zajmuję z przodków moich. Nie potrzebuję zostawać szambelanem, abym mógł bywać na dworze. Ja idę szczerą drogą, z głębi moich narodowych, patriotycznych litewskich uczuć. Zbawienie i oca-

lenie Litwy widzę jedynie w aljansie z Rosją, owszem, widzę w tem jej nową chwałę, jako odrodzonego Witoldowego Wielkiego Księstwa. Wierzę tylko w cesarza Aleksandra.

— Dawniej wierzyłeś tylko w Bonapartego — rzekła Mirska.

— Zarówno uczucie, jak i rozum polityczny zmusza mnie do zmiany opinii.

— Nieodwołalnie?

Ogiński zastanowił się. Żądano od niego słowa, na które można mu było dać odpowiedź jego udziałem w akcji targowickiej Szczęsnego Potockiego i brygadjerstwem w 1794 roku, pod Kościuszką, na czele pułku własnych strzelców konnych; były to dwa fakta główne, pomniejszych było wiele więcej. Wszak wprost w oczy powiedział mu Kazimierz Nestor Sapieha, marszałek litewski: obywatel jesteś zacny, ale polityk najlekkomyślniejszy! Co prawda, Sapieha nie miał najmniejszej racji! Rozum stanu nakazywał zmieniać zdanie. Bonaparte także był republikaninem, nim został cesarzem, był wrogiem Prus i Austrii, nim zawarł z niemi aljans, był przyjacielem Rosji, nim wypowiedział jej wojnę. Czas idzie i ludzi ponosi.

— Nieodwołalnie — powiedział — ale dosyć tej polityki? Czyż po to tu przyszedłem? Czyż po to tak czekałem na ciebie? Czy takie słowo, jak polityka, powinno wykrzywiać twoje stworzone tylko do pocałunków i słów miłości cudowne usta, obrażać twoje stworzone tylko do szeptów amora prześliczne uszka? Pójdź oto — siądę do szpinetu, zaakompanuję ci i zaśpiewasz. Ah, powiadam ci, jeszcze wciąż brzmi mi w uszach

Kreutzer. Prawie, że gra lepiej, niż stary Gavi-niès. Wszak mówiłem ci, że grałem mu poloneza, na jego skrzypcach, w paryskiej ambasadzie rosyjskiej, na przyjęciu u księcia Kurakina—był zachwycony. Także Baillot i Rode, pani Ladurner—znamienici skrzypkowie! Można pływać w muzyce! Pleyel, Kalkbrenner i te cudne harfiarki: panny Rousseau i Molinos! Powinnaś ty się uczyć na harfie. Boska niebiańska muzyka!

To mówiąc, siadł do szpinetu, uderzył kilka akordów i znowu począł mówić:

— Przypominam sobie to przedstawienie „Bardów“ Lessueura. Ośm lat nie chciano wystawiać, dopiero na rozkaz cesarza wystawiono. Po trzecim akcie cesarz kazał go wprowadzić do swojej łoży. Publiczność aplaudowała gromko. Lessueur zaczął łyzy ocierać. Publika wołała: *vive l'empereur! vive Lessueur!* Lessueur chciał się retirować, zmieszał się strasznie, ale Napoleon wziął go za ramię, wyprowadził na przód łoży, posadził go na swoim miejscu obok cesarzowej i przez kwadrans go tam trzymał. Przez cały czas teatr trząsł się od krzyków i oklasków. Nazajutrz Duroc, wiesz, wielki marszałek pałacu, zaniósł Lesseuerowi legję honorową, patent na dyrektora orkiestry cesarskiej i złotą tabakierkę z wyrytą inskrypcją: „cesarz Napoleon autorowi „Bardów“. A w tabakierce — piękny prezent — dwadzieścia tysięcy franków w biletach bankowych. Nie pamiętam takiego entuzjazmu w operze. Ja sam płakałem i, jak cię kocham, bez egzageracji, byłbym Bonapartemu ręce ucałował, gdy widziałem tego bohatera z tylu bitew, tego straszliwego zwycięzcę i pogromcę

i pana świata, jak ustępował swego miejsca, aby zrobić miejsce artyście. Wielki, szlachetny, ekspedycyjny człowiek!

Mirska podniosła na Ogińskiego załzawione od żalostnej miłości oczy.

On zaś entuzjazmował się dalej:

— A Cherubini! Spontini! Gdzie do nich „Flet zaczarowany“, albo „Don Juan“ Niemca Mozarta! Jest kilka pięknych i wdzięcznych melodyj, ale nikt nie wróży tym operom dłuższej przyszłości. Tylko Włosi mają jenjusz muzyczny! No, co będziemy śpiewać?

Twego „Mazurka“ — rzekła Mirska. — Pieśń legionów.

Ogiński zerwał się od szpinetu.

— Tereso — rzekł z wyrzutem — czyż za-
służyłem — —

— Czy pamiętasz — podjęła żywo Mirska, — że kiedy cię na recepcji u senatora, hrabiego Lecouleux de Cauteleu, poproszono o zagranie „Pieśni o legionach“, jak nazywano twój mazurek, jeszcze wtedy generał Bonaparte powiedział: „Pieśń o walecznych legionach, bo ci Polacy biją się zawsze, jak djabli“. Pamiętasz?

Ogiński rozkaprysił się.

— Jesteś zła, niedobra, bez serca! Dokuczasz mi! Dlaczego trujesz mi tę chwilę szczęścia, aniele? Dlaczego ty... chciałbym się gniewać, a nie mogę... przeproś... zagraj i zaśpiewaj coś pięknego.

— Nie znam nic piękniejszego — rzekła Teresa, siadając przy szpinecie — nad to.

Ogiński drgnął. Z klawiszów wybiegł jego mazurek. Mirska spojrzała na Ogińskiego. Sie-

dział w fotelu, z twarzą zakrytą dłonią. Naówczas Mirska podniosła głos. Ogromna, jakby nie z piersi kobiecej, ale z niebieskiej przestrzeni dobytą fala śpiewu napełniła komnatę. Nadludzką jakąś potęgą zadźwięczała ponad Ogińskim jego własna melodia, do której Wypicki dorobił nieśmiertelne słowa.

Imię Bonapartego zagrzmiało w niej, jak piorun... „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę — będziemy Polakami“...

Teresa zachwiała się i pochyliła wstecz. Zerwał się Ogiński, aby ją podeprzeć ramieniem, wołając:

— Tereso! Na Boga! Co ci jest?

— Nic. Niestety.

Ogiński począł mówić, prawie półszepem:

— Czekalem na ciebie, zabiegałem tu po dwakroć. Wiesz, że cię kocham, kocham nad wszystko i wierzę w twą miłość. Ja wyjeżdżam i ty wyjedziesz ze mną... wyjedziesz... prawda?

Teresa podniosła się z krzesła.

— Chcesz opuścić Wilno — przed Bonapartem?

— Tak — odpowiedział Ogiński, zniżając wzrok.

— I chcesz, abym ja za tobą pojechała?

— Ach tak, tak! O to przyszedłem cię prosić.

— Nigdy! — krzyknęła Mirska.

Ogiński zbladł.

— Czułam to! Widziałam twoją duszę, twoją duszę piękną i czystą i z nią mówiłam śpiewem. I ugięłam się — —

— A więc mamy się rozstać?!

Mirska wykrzyknęła prawie:

— Nie czyń tego! Nie wyjeżdżaj! Nigdy więc już, nigdy, nigdy cię nie zobaczę?!...

Głośny, spazmatyczny płacz wybuchł z jej piersi.

— Oh, nie czyń tego!

U nóg cię błagam!

— Nie wrywaj z serca mego sztuki żywego ciała!

Ogiński stał, jak oghuszony.

— Michale! Jedyny mój! Śnie i gwiazdo mojego życia, jedyna moja miłości, jedyna — do-
zgonna! Nie rozcinać krwawą ręką serc naszych!

Osunęła się do nóg Ogińskiego, objęła mu kolana, mówiąc wśród łez:

— Błagam cię, zostań! Nie opuszczaj mnie!

— Jedź więc ze mną — zaczął Ogiński —
Pojedziemy dokąd chcesz. Nie na północ — —
do Belgji, lub Holandji...

Lecz Mirska potrząsnęła przecząco głową.

Ogiński mówił, jakby do siebie, jakby z żalem:

— Jam tu najwięcej pracował, jam najwięcej
czynił, najgorliwiej agitowałem —

Dało się słyszeć pukanie do drzwi.

— Kto? — zapytał Ogiński.

— Jaśnie oświecony książę — poznał z za
drzwi głos panny służącej Teresy — jegomość
książę Lubecki każe bardzo przeprosić i powie-
dzieć, że nie mógł nigdzie jaśnie oświeconego
księcia pana znaleźć, domyślił się, że jaśnie oświe-
cony książę pan muzykuje z wielmożną panią
i kazał powiedzieć, że w niecierpiącym zwłoki
bardzo ważnym interesie czeka, gdyż jest ostatni
czas wyjeżdżać. Forpocztę cesarza Napoleona

pokazały się niedaleko miasta. Wyjazd jest przyspieszony.

Ogiński zawahał się chwilę.

— A nie! Sprawa publiczna! Obowiązek względem ojczyzny! — rzekł — Milcz serce! Tereso! Jedź ze mną!

I pochwyciwszy Mirską, która mu się osunęła do nóg, w ramiona, podźwignął ją z posadzki.

— Jedź ze mną!

Lecz Mirska z zaciśniętem gardłem rzuciła mu się na szyję i, tuląc się do niego wśród płaczu, poczęła całować jego lica i oczy.

Powtórnie zapukano.

— Jegomość książę Lubecki znów przysłał z ulicy kozaka — zaczęła panna służąca — każe powiedzieć, że najmniejsze choćby tylko opóźnienie wyjazdu nie mogłoby być —

— Sprawa publiczna! Sprawa publiczna! Salus Lithuaniae — wyrzekł szybko Ogiński. — Tereso!

Ale Mirska pochwyciła jego ręce do ust, ucałowała je i, dusząc jakiś śmiertelny płacz chustką, wyszła do drugiego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Chwilę stał bezradnie Ogiński — nie mógł nawet zawołać — pod drzwiami była panna służąca — więc postąpił parę kroków i, nie uchylając drzwi pokoju, do którego weszła Teresa, powiedział zciszonym od wewnętrznej emocji głosem:

— Jedyna! Bądź zdrowa! Do widzenia! Na krótko!..

Czy mu się zdawało, czy istotnie usłyszał odpowiedź Teresy:

— Na zawsze!

Nie mógł już dłużej czekać — wyszedł, przybierając usilnie zwykły wyraz twarzy.

— Naści mościa panno — rzekł do panny służącej, dając jej dukata — za fatygę.

Panna służąca dygnęła mu najniżej, jak zdołała.

Ale był pod takim wrażeniem chwili, że nie wytrzymał, by nie powiedzieć Lubeckiemu, kiedy już siedział obok niego w powozie:

— To osobliwa, jak w najwznioślejsze rzeczy często się miesza prostacka trywjalność.

— Czemu to mówisz? — spytał Lubecki.

— Pani Mirska śpiewała mi właśnie motet Cherubiniego, kiedy zapukała do drzwi ze swoim ordynaryjnym gminnym językiem służąca.

— Dalibóg — odrzekł Lubecki — przepraszam cię. Ale za godzinę, lub dwie mogą tu wpaść ułany, czy szasery Bonapartego.

*

*

*

Istotnie też ukazanie się armji Napoleońskiej pod Wilnem było tak nagłe, że gdy za radą Barclaya de Tolly 28-go czerwca 1812-go roku rano cesarz Aleksander Pierwszy opuszczał miasto, zaniechując jego obrony w myśl planu defenzywy rosyjskiej, niemal jednocześnie major Suchorzewski z szóstego pułku ułanów pułkownika Pągowskiego, dywizji Bruyera w korpusie Nansouty'ego, wyrwawszy się przodem, wpadł do Wilna z ułanami, z jedną kompanją przebiegł rogatki, prze-galopował opuszczone już przez wojsko rosyjskie miasto i doleciał do mostu, który podpalili za sobą kozacy. A już Napoleon mógł wiedzieć,

z jakim nieprzyjacielem czynić mu przyjdzie, albowiem uprzedniego dnia wieczorem huzarzy francuscy omal klęskę ponieśli od szarżujących kozaków, teraz zaś doniesiono mu, iż olbrzymie magazyny zboża pod Wilnem płonęły, zapalone własną ręką rosyjską.

Tak zapowiadała się kampanja.

Napoleon wjeżdżał do Wilna zły, zaniepokojony, pełen szyderczych, gorzkich i impertynenckich wyrzutów dla swego sztabu jeneralnego, nawet posuwający się do groźby wobec generała kawalerji, Montbruna. Utrzymywał, że pozwolono się wojsku rosyjskiemu wymknąć, że wypuszczono je, podczas gdy tu, pod Wilnem, powinna się była odbyć pierwsza batalja, pierwsza wygrana, któraby może była odrazu batalją ostatnią i po której możeby został zawarty pokój. W południe 28-go czerwca, w kilka godzin po wyjeździe cesarza Aleksandra wraz z księciem Michałem Ogińskim i wielu innymi większymi i mniejszymi panami litewskimi, witało Wilno Napoleona podobnie jak Poznań. Przed nim kroczył ósmy pułk ułanów księcia ordynata Nieświeskiego, Dominika Radziwiłła, za nim szedł służbowy szwadron szwoleżerów gwardji, Bonaparte otoczył się ułanami.

Pod ten czas mówili do siebie starsi oficerowie armji:

— Do dwóch błędów zasadniczych, które cesarz już popełnił, t. j. do pozostawienia za sobą Schwarzenberga z trzydziestu tysiącami Austriaków i pruskiego korpusu Yorka, podczas gdy w Austrii sto siedemdziesiąt tysięcy, a w Prusach sześćdziesiąt tysięcy wojska stoi gotowych

do wystąpienia przeciw nam, gdyby tylko kampanja wypadła niepomyślnie, dodaje cesarz obecnie dwa drugie... Nie chcąc bezwarunkowo i raz na zawsze palić mostów między sobą a cesarzem Aleksandrem, nie ogłasza powszechnej insurekcji w Polsce i w sprawie polskiej bierze na wzgląd wyłączenie wielkich panów polskich, podczas gdy ci panowie wraz z całą idącą za nimi szlachtą na gębie mają „liberté“, a niczego się tak nie boją, jak żeby im francuskie nowinki nie „zdemoralizowały“ poddanych chłopów, których duszą, nie mówiąc już o strachu, w razie niepowodzenia Napoleona, przed możliwą konfiskatą majątków. W ten sposób Napoleon działa i połowicznie i fałszywie; nie zdobywa dla siebie, o co się starać winien, i nie uwzględnia ewolucji, jaka się odbyła w ostatnich lat dziesiątkach nawet w Polsce...

Stał niemy Wartałowicz, przywieziony przez Mirską do Wilna i zamieszkały kątem u jakiegoś ubogiego szewca, na ulicy i byłby duszę dał, aby zobaczyć cesarza Napoleona. Ale będąc potulnej wskutek kalectwa natury, mimo wielkiej siły nie pchał się, owszem usuwał innym i przez to oprócz dywanów w oknach i na balkonach i ponad niemi pięknie poubieranych osób nie widział nic. Był moment, kiedy zawołano koło niego: cesarz! cesarz! — huknęło: *vive l'empereur!* ale on właśnie wtedy trzymał w powietrzu przed sobą dziesięcioletnią dziewczynkę, piszczącą i trzepocącą rączkami, której różowa sukienka z falbankami zasłaniała mu oczy, tak, że tylko róg czarnego kapelusza dojrzał, a potem i to znikło, zasłonięte granatowymi mundurami szwoleżerów.

Jakaż była radość Wartałowicza, gdy, wróciwszy wieczorem zziębnięty i zmęczony do swego gospodarza szewca, zastał w domu postawionych kwaterą sześć koni ułańskich i pięciu ułanów z kapralem. Poglądał na nich, jak na święte obrazy, oni zaś bez ceremonji wpředce się z nim spoufalili i kazali mu wody koniom przynieść. a potem, gdy widzieli, że się koni nie boi i obchodzić się z niemi umie, przeręczali się nim bez ceremonji.

On zaś robił najchętniej.

— Te — ozwał się doń jeden z ułanów, na którego wołano Antek — nie umiesz gadać?

Wartałowicz uśmiechnął się wstydliwie i zaprzeczył głową.

— Śpiewać umiesz?

— Antek, przechero, daj mu pokój! — rzekł drugi ułan.

— Te — koński podpis w zęby! — odpowiedział Antek koledze. — Mnie przychodzi Napoleońska myśl do głowy. Weźmy go ze sobą, niemowę.

— Po co?

— Będzie nam konie pucował i poił, szable i ostrogi chędożył. Niemy, poszedłbyś z nami, ułanami?

Wartałowicz ręce złożył przed ułanem.

— Widzisz? Jak się modli? Te — draniu sakramencki! Panie kapral? A cobyśmy tę cholere zabrali na wojnę?

— Niby kogo? — zapytał kapral, Miechowiak z zadartym nosem i kwadratową gębą.

— Niby niemowę.

— Przydać, toby się mógł, ale czy my to oficerowie, aby go nam pozwolili brać?

— Oficerowie, nie oficerowie... A no, jak nie pozwolą, to tkwij u siewca!

Wartałowicz znów złożył dłonie, a nawet schylił się, chcąc kaprała pocałować w rękę.

— Dajże pokój! — rzekł kaprał. Wtem ułani porwali się na równe nogi. We drzwiach stajni ukazał się wachmistrz Dybul.

— Jak tam? Co tam, ma się rozumieć? — zapytał. — Wszystko w porządku, Pukała?

— Wszystko, melduję posłusznie, panie wachmistrz — zgłosił kaprał.

Wystąpił krok naprzód ułan Antek, wyprostował się przed Dybulem i rzekł:

— Panie wachmistrz, melduję pokornie, mamy prośbę.

— No, ma się rozumieć, jakim?

— Panie wachmistrz, my byśmy chcieli tego oto niemowę z sobą wziąć.

Usłyszawszy te wyrazy, Wartałowicz buchnął na kolana przed wachmistrzem i rękoma mu buty obłapił.

— Proś, jak rodzonego ojca; pocałuj w kolana! — rzekł Antek.

Wartałowicz przycisnął usta do kolana wachmistrza Dybula.

Wachmistrz uczuł się wzruszony.

— Jak rodzoną babkę! — komenderował ułan Antek.

— No, ma się rozumieć, wstań — powiedział wachmistrz. — Umie koło koni robić?

— Umie.

— Jeździć umiesz?

Wartałowicz skinął mocno potakująco głową.

— Panie wachmistrzu — ozwał się kaprał Pukała — melduję pokornie, utopił się nom we Wilji, kiej my brodu szukali, Ciaptok, co konie do kucio trzymał. Nimo teroz drugiego takigo w szadronie, a ten sie mi zdaje ze siłom w gnatkach. Ctery putnie naroz niesie, ani się nie przychyli. Do kucio by móg być i do roboty takiej, co Ciaptok robił.

— No — odparł wachmistrz Dybul — jeno nie wiem, czy niemego pozwoli szel szwadronu przyjąć. Ale go ty, Jamrozikowski — zwrócił się do ułana Antka — jutro rano do mnie na kwatere przyprowadź. Bo to kaprał majom racyje — ubyło ludzi w szwadronie szesnastu, na miejsce ciaptoka by się zdał zdrowy człowiek. Adju.

— Pocałuj w rękę pana wachmistrza, jak dziekana — rzekł ułan Antek do Wartałowicza.

A gdy Dybul wyszedł, dodał:

— Przedewszystkiem twój dewular jest taki: w Matkę Boską wierzyć, za cesarza umrzeć, ile razy ci każe, choćby i trzy razy na dzień, i mnie konia, popręgi, buty, siable i inne bagaże przez wdzięczność, że cię matka porodziła, pucować. Zrozumiano? Kompril?

Po wieczery Jamrozikowski zaczął się umizgać do szewców, zaś ułan Makuch siadł na progu stajni, objął kolana rękami i śpiewał tęskną pieśń ze swoich stron:

Hej pancerni towarzysze jadom
w dalekom drogę,
a mnie jeden poniechał z dzieciąteckiem
niebogą.

Hej, pancerny towarzyszu, mości
mościwy panie,
ty pojedziesz, a mnie one dziecko
ostanie?

Hej, Maryś moja, Maryś, dziewczę
z kurnej chateńki,
wrócę do ciebie, jeśli z tureckiej
nie zginę ręki.

Jeśli nie zginę z tureckiej ręki,
z tatarskiej dłoni,
wrócę do ciebie, Maryś moja, Maryś.
we troje koni.

Na jednym tureckim, karym bachmacie
powiozę siebie,
a na tej drugiej, tatarskiej myszatej klaczy
zaś ciebie,

a na tym trzecim polskim siwym ogierze
twe miłe dziecię —
hej, módlże się, Maryś, szukaj mnie sercem
na świecie...

Hej, upłynął miesiąc, dwa i trzy miesiące
przeszły jak z procy,
słychać pod oknem końskie tupanie
śród nocy.

Hej, zrywa się Marysia, do okna leci
w jednym płócienu —
pewnie przyjechał towarzysz pancerny
po ciemku.

Hej, pewnie przyjechał na tureckim koniu,
karym bachmacie —
wiedzie klacz tatarską, siwego ogiera
ku chacie.

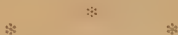
Hej, wyrzała przez okno, upadła bez życia
wpobok kolebce — —

tylko siwy polski ogier popod oknem
śnieg depce...

Pokrwawione było siodło i strzemiona
Maryś niebogo — —

ni turka-bachmata, ni tatarskiej klaczy,
ni kogo...

Oool!..



Ułan Antek zaprowadził Wartałowicza na kwaterę wachmistrza Dybula, zawadziwszy po pro-dze stragan przekupce z bułkami, że się wywalił, trzepnąwszy Żydka wileńskiego po kastorowym kapeluszu, a eleganckiej Żydówce wymalowawszy zgrabnie na plecach krzyż wapnem z pod muru-jącego się domu podniesionem, skąd też podjętą garść piasku Wartałowiczowi wysypał za kołnierz.

Wachmistrz stał na kwaterze w domu, gdzie mieszkali szef szwadronu Mielecki, rotmistrz Za-remba i porucznik Kolski.

Siedział rano przed domem i fajkę palił.

— Melduję pokornie, panie wachmistrzu, że przyprowadziłem niebogę, chciałem powiedzieć niemowę, ale go widać wszy gryzą, bo ciągiem ramionami rusza — rzekł Antek.

Wartałowicz istotnie ramionami ruszał, bo go piasek gryzł za koszulą.

— No ty, ułan Jamrozikowski, tylko nie za dużo! Subordynacja! Mores!—odpowiedział wachmistrz, ale znać było, że Antkowi wiele pozwalał. Poczem zwrócił się do niemowy:

— Potrafisz konia trzymać przy kuciu? Opo-żądzić jak się należy? Posłusznyś? Nie głupi?

Wartałowicz na wszystko dawał znaki potakujące.

— No to chodź na górę. Mówiłem o tobie panu porucznikowi Kolskiemu.

Dybul wsadził fajkę w kieszeń i, pozostawwszy Antka przed bramą, poprowadził Wartałowicza na piętro. Zapukał.

Na gromką odpowiedź: proszę wejść! — Dybul otworzył drzwi od pokoju, w którym mieszkali dwaj niżsi komendanci jego szwadronu.

W pokoju było tyle dymu, że Wartałowicz jak w obłokach ujrzał młodszego oficera, który w portkach i koszuli golił się przed zwierciadłem ściennem w złoczonej salonowej ramie, i drugiego, starszego, który z fajką na długim cybuchu leżał w łóżku, mając przed sobą filiżankę kawy.

— Aha! to pewnie ten niemowa, o którym mi wczoraj wachmistrz wspominałeś — ozwał się golący się oficer, zwracając głowę od lustra. — Powiedziałem panu rotmistrzowi, ale pan rotmistrz ani chce o tem słyszeć i mówi, że na śmiechby się naraził, ktoby się z tem do szefa szwadronu i pułkownika zgłosił.

— Się ma, panie rotmistrzu — rzekł Dybul — przydałby się na miejsce nieboszczyka Ciaptoka. Gadać nie potrzebuje, tylko słuchać. Ja w tej, ma się rozumieć, myśli, bo nie widzę nikogo pomiędzy ludźmi w plutonie, ktoby go zastąpił.

Kolski patrzył na naiwne, zastraszone oczy Wartałowicza, na jego pocziwą przystojną twarz o smętnych ustach, po których teraz błakał się uśmiech wstydu, załęknienia, nieśmiałości — i żal mu się go zrobiło.

— Jak się nazywasz? — — prawda! — a, może pisać umie. Umiesz?

Wartałowicz skinął głową.

— Wachmistrz, tam leży papier i pióro.

Wartałowicz napisał i podał papier.

— Michał Wartałowicz, katolik, lat dwadzieścia, znajda, wychowanek księdza proboszcza Fasolkowskiego z Pucimuszek — czytał po chwili półgłosem porucznik Kolski — pragnie służyć wojskowo i głowę położyć za kraj rodzony — — doczytał pocichu.

— Charakter pisma ładny. Mogłby się i w kancelarji, nietylko do kucia koni przydać. Tak pragniesz służyć?

Wartałowicz położył rękę na sercu.

— No, panie rotmistrzu, cóż, że nie gada? Z cesarzem by i tak nie rozmawiał. Może się przyda. Ludzi nam w szwadronie ubyło —

Ale rotmistrz się obruszył:

— Jeszcze czego. Słyszane rzeczy! Kaieka w pułku! Niema o czem mówić!

Kolski popatrzał na niemowę. Lzy mu świeciły w oczach, a twarz przybrała wyraz nieopisanego smutku i upokorzenia. Kolski wzruszył ramionami, chcąc dać poznać, że nie poradzić nie może.

— Niema o czem mówić — powtórzył rotmistrz, mający widocznie czem innem zajętą myśl.

Wartałowicz pokłonił się i zwrócił w widocznej rozpaczy, lecz nagle sięgnął ku postawionemu w kącie blisko drzwi ciężkiemu kawaleryjskiemu pałaszowi Kolskiego, podniósł go i, ująwszy

pochwę dwoma palcami za sam koniec, wyprostował z nim rękę i błagalnie spojrzął na oficerów.

— Tam do diabła! — zawołał Kolski. —

A to siła!

Zaś wachmistrz Dybul, zapominając snadź o subordynacji, rozpoczął do rotmistrza Zaremby:

— Melduję pokornie, panie rotmistrzu, grzech by był takiego odścigać, a to on w polu najdzikszego konia do kucia przytrzyma i pół fury siana na sobie uniesie. Jak Boga kocham, grzech by był. Niczem nieboszczyk Ciaptok!

Zaremba widać lubił ludzi silnych, bo popatrzał uważniej na Wartałowicza i ozwał się doń:

— A to ty tak chcesz służyć, kochanku? Gwałtem? Ale jakże to będzie, kiedy nie gadasz? A jeździć umiesz? Bić się chcesz?

Wartałowicz przełożył szablę do lewej ręki i podniósł dwa palce u prawej do góry.

— Dybul, proszę iść do szefa szwadronu i powiedzieć, co i jak i że ja proszę, żeby pan szef się postarał u pułkownika, żeby ten człowiek był przyjęty. Powiedzieć, że z powodu nadzwyczajnej siły oddać może wielkie usługi, zwłaszcza, że o skompletowaniu szwadronu mowy już niema. Jeżeli go przyjmą, wypróbować zaraz jak jeździ. Byłby dobry do remontu.

W ten sposób Michał Wartałowicz, rodem podobno z Suwałk, niemy Achilles strasznej wojny, przyjęty został do armji Napoleona.

Ah, jakże biło mu serce w piersi! Trzydzieści mil z Pucimuszek moczarami, puszcza i pustkami szedł, w końcu już bez chleba, niemy, niemy, niemy... Gdy inni pod chorągiewkami stali, dlatego, że mówić mogli... Gdy innych

werbowano, pod broń wołano — — on się bał, on drżał, że go odpędzą...

Darł się ze swoją niemotą przez lasy i pomiędzy wojska obce. Krył się przed niemi, uciekał. Bo mogli go wziąć za szpiega, niemotę za symulację. Wreszcie dotarł pod opiekę Matki Ostrobramskiej.

Byliby wygnali, jak psa. Na szczęście Matka Boska Ostrobramska podsunęła mu pod oczy pałasz. Ach! Jeśli pałasz go do wojska wwiedzie, bodaj by zginął pałaszem przebity na zwycięskim polu...

— To wszystko cesarz! To wszystko Napoleon! — rzekł Kolski — Entuzjazm szalony! Masz pan, taki prosty człowiek, kaleka, Bóg wie skąd.

— Każdy dzień ma swój świt, swoje południe i swój zachód — odpowiedział rotmistrz Zarembo. — Obawiam się, aby Napoleon zachodu swego nie zaczął.

— On go nie zacznie nigdy, możesz pan być spokojny! — rzekł Kolski. — On jeżeli zagaśnie, to tak, jak kometa, albo jak wulkan — ze śmiercią.

— Ha no vederemo. Widziałem go pod Aspern-Essling, kiedy mu Austriacy zwalili mosty na Dunaju i odcięli go z trzydziestu tysiącami od armji na stracenie, jak powiedział do marszałka Masseny: Massena, ty jeden potrafisz stawić czoło arcyksięciu! I Massena ocalił odwrót i jego i wojska. Pod Eylau, od ataku piechurów rosyjskich ocalił go Murat. Inaczej byłoby wszystko razem z nim w łeb wzięto.

— A ja myślę, że teraz zacznie się sprawdzać to, co wyrzekł, że niedługo jego dynastja będzie najstarsza w Europie. U Napoleona nie-

masz nic niepodobnego. A wówczas! Pomyśl pan, panie Zaremba! No, pomyśl pan tylko!...

— Myślę.

— Pomyśl tylko, panie rotmistrzu. Już cesarz mieszka w tym samym pokoju, gdzie tydzień temu jeszcze mieszkał cesarz Aleksander! Bez jednej bitwy, bo cóż tych tam drobnych utarczek z kozakami, w których kilkuset ludzi z obu stron padło, nawet liczyć niema co! Co za wspaniała wróżba na całą przyszłą wojnę!...

Istotnie tylko tydzień temu w pokoju, który dziś służył za gabinet pracy Napoleonowi, dwudziestego piątego czerwca cesarz Aleksander pisał ostatni swój list do przyjaciela z Erfurtu i Tylży, list suchy i zimny, choć jeszcze utrzymany w tonie pojednawczym:

„Panie bracie, — brzmiał ten dokument, po którym zagrzmiąły armaty, — dowiedziałem się wczoraj, że mimo tej lojalności, z jaką dotrzymałem moich zobowiązań względem Waszej Cesarskiej Mości, wojska jej przekroczyły granice Rosji... Jeżeli Wasza Cesarska Mość zechce cofnąć swoją armję z terytorjum rosyjskiego, będę uważał to, co zaszło, jako niebyłe i pojednanie między nami będzie jeszcze możliwem. W przeciwnym razie Wasza Cesarska Mość zmusi mnie widzieć teraz w niej nieprzyjaciela, którego nic nie sprowokowało z mej strony. Od Waszej Cesarskiej Mości zależy oszczędzić ludzkości klęsk nowej wojny. Pozostaję Waszej Cesarskiej Mości dobrym bratem.

Aleksander“.

Ale oddając ten list, o którym wiedział, że jest tylko czezem słowem, kryjącem intencję zupełnie inną, ministrowi policji, generałowi Bałaszowowi, do doręczenia Bonapartemu, Aleksander dołączył instrukcję:

— Powiedz pan, że ręczę honorem, że nie będę traktował o pokój, dopóki chociaż jeden żołnierz francuski będzie na ziemi rosyjskiej.

Z tą instrukcją, w towarzystwie podoficera kozaków i trębacza, generał Bałaszow wiozł list do Napoleona.

Trzydziestego czerwca szambelan cesarski, hrabia Turenne, wiódł go przed Napoleona z listem od cesarza Aleksandra do tego samego pokoju, w którym list był pisany.

Napoleon jadł obok śniadanie, lecz natychmiast odepchnął krzesło, na którym siedział, i przeszedł do gabinetu, gdzie natychmiast także zalał generała potokiem słów:

— Cieszę się, generale, że pana poznaję; Wiem, że pan jesteś szczerze przywiązany do cesarza Aleksandra, będę więc do pana mówił szczerze i proszę pana o wierne powtórzenie moich słów. Cesarz Aleksander ma złych doradców. Czego się spodziewa po tej wojnie? Jestem już panem jednej jego prowincji bez strzału i zanim wiemy jeden i drugi, o co się będziemy bili.

Bałaszow patrzył spokojnie na Napoleona, który widocznie był rozdrażniony do wysokiego stopnia. Cesarz Aleksander wybierał na posłów swoich ludzi o wypróbowanej i doświadczonej zimnej krwi, mądrze i przenikliwie, jak na wielkiego dyplomate przystało. Posłowie nie psuli dzieł cesarskich.

— Najjaśniejszy panie, — odpowiedział Bałaszow—armja waszej cesarskiej mości przeszła całą Europę; nasza nie opuściła swego kraju.

— Aha. I cóż dalej?

— Najjaśniejszy panie: mimo wszystko, co zaszło uprzednio, przepaść między dworem petersburskim i angielskim nie jest tak wielka, aby przez nią nie można było rzucić mostu.

Napoleon pobladał i prawie krzyknął:

— Zapewne! W Londynie też tylko na to czekają. Wystarczy posłać kurjera i wszystko będzie w mig załatwione! Co? Cesarz Aleksander mówi, że to nie on rozpoczął wojnę? A któż to przez swego ambasadora oświadczył, że będzie wtedy dopiero ze mną gadał, gdy wycofam z Prus załogi francuskie? Czy tak się pisze do panującego, którego się poważa? Nie pisaliście z pewnością takich not do najmniejszego państewka, a dwór francuski napewno nie otrzymał nigdy podobnej! Mogłem raz wyleźć z Prus, mogłem z nich także wyleźć drugi raz, ale nie wtedy, kiedy się ode mnie żąda tego przez noty. Żeby mi dali Moskwę i Petersburg, to jeszcze uważałbym taką notą za wypowiedzenie wojny! Wszystkie dwory mi to przyznały!

Cesarz począł krążyć ogromnemi krokami po pokoju, a Bałaszow musiał pośpieszać obok. Wtem lufcik okienny uderzył z łoskotem o ramę, zerwał się bowiem wiatr. Napoleon zamknął go żywo. Ale że się znów otworzył, wyrwał go z ramy i grzmotnął na ulicę, aż szkło bryzło i dźwiękło¹.

¹ Autentyczne.

Potem złapał Bałaszowa za ramię i zaczął mówić niesłychanie prędko, gwałtownie:

— Nigdyście jeszcze żadnej wojny nie zaczęli w takim nieporządku. Jaką macie dyrektywę? Pociąg spalił za sobą tyle magazynów? Trzeba ich było nie zakładać wcale, albo umieć spożytkować. Czy tam u was myśleli, że ja tu przyszedłem przypatrywać się Niemnowi, a nie żeby go przejść? Czy nie wstyd was?! Od Piotra Pierwszego, odkąd Rosja jest mocarstwem europejskim, nigdy jeszcze nieprzyjaciół nie przeszedł waszych granic, a ja jestem w Wilnie. Zająłem całą prowincję bez bitwy. Choćby przez wzgląd na waszego monarchę, który tu dwa miesiące miał swoją kwaterę cesarską, powinniście byli Wilna bronić. Choćby dla tego samego! Jakim duchem chcecie natchnąć żołnierzy? Do Austerlitz mieli się za niezwyciężonych, ale od Austerlitz wiedzą, że będą pobici. I nie będą się bili dobrze! Nie przecz pan! U was tej wojny nikt nie chce, z wyjątkiem niemieckich doradców Aleksandra, którzy go chcą zgubić. Nawet Anglja nie chce tej wojny, bo się boi nieszczęść dla Rosji, a nawet największego z nieszczęść, rozumiesz pan? Anglja uważa Rosję za jedyną potęgę, mogącą mi w Europie stawić czoło, ale gdy Rosja zostanie osłabioną, cóż zostanie w Europie?

Napoleon zatrzymał się, aby odetchnąć; Bałaszow skorzystał z tego i wsunął:

— Wojna jest zawsze wątpliwą, najjaśniejszy panie.

— Ale nie ta! — odparł Napoleon, zaczerpnąwszy powietrza. — Wasi ludzie są bitni? Moi

też. Samych Polaków mam ośmdziesiąt tysięcy—
 będą ich miał dwieście! A co to za lud! Co
 za entuzjaści! Wściekli są, będą się bili, jak lwy!
 Il n'y a rien au monde qu'ils ne veulent entre-
 prendre pour reconquérir leur ancienne patrie!
 Czego możecie być pewni, to że stracie polskie
 prowincje. Nigdyście jeszcze pod gorszą wróżbą
 wojny nie zaczęli!

— Najjaśniejszy panie, spodziewamy się ją
 dobrze zakończyć — wtrącił Bałaszow, lecz Na-
 poleon, jakby nie słysząc, unosił się dalej:

— Po utraconych prowincjach polskich za-
 czniecie tracić własne. Pójdę aż do waszych
 pustyń. Jestem przygotowany na dwie, trzy
 kampanje, a wy temu nie wydołacie. I co po-
 traficie zrobić sami bez sprzymierzeńców, kiedy-
 ście nie potrafili zrobić ze sprzymierzeńcami,
 z Austrią, ani z Prusami? Dalibóg, cesarz Ale-
 ksander miał takie piękne widoki w Tylży,
 a zwłaszcza w Erfurcie. Zdecydowałem się dać
 mu Finlandję, a potem Mołdawję i Wołoszczyznę,
 a potem byłby miał i Księstwo Warszawskie, nie
 teraz lecz później, z czasem. Cesarz Aleksander
 sam sobie wszystko zepsuł, a dziś co? Zawarł
 ze mną pokój, kiedy naród tego nie chciał,
 a teraz wypowiada mi wojnę, kiedy naród jej
 nie chce. Żeby się otoczył Rosjanami — dobrze.
 Ale cóż to będzie za komenda? U mnie, w cie-
 mną noc, o drugiej, czy trzeciej, jeżeli mi dobra
 myśl przyjdzie do głowy, w kwadrans rozkaz
 jest wydany, w pół godziny wykonują go for-
 poczty — u was Armfeld proponuje, Bennigsen
 bada, Tolly roztrząsa, Pfuhl się sprzeciwia,
 a wszystko djabła wart! Skończy się na tem,

że z rosyjską protekcją Prus zaanektuje Prusy dla Francji. Powiedz pan cesarzowi Aleksandrowi, że mam ze sobą pięćset pięćdziesiąt tysięcy z tej strony Wisły, ale powiedz mu pan także, że ja jestem człowiekiem rachunku, nie namiętności. Jestem przygotowany, ale nie mam nic przeciw pokojowi. Wyjdę z Wilna, gdy będę miał satysfakcję. Zapewnij pan cesarza, że moje uczucia dla niego są zawsze te same, niezmiennione z Erfurtu i Tylży, że umiem cenić i cenię jego piękne przymioty... Ah, mój Boże! Coby on miał za wspaniałe panowanie, żeby nie był zerwał ze mną! Byłbyś pan widział za dziesięć lat!

Bałaszow milczał.

Nagle Napoleon zapytał:

— Jak się jedzie do Moskwy?

— Tak, jak do Rzymu — odpowiedział Bałaszow z uśmiechem — każda droga prowadzi. Karol Dwunasty wybrał się na Połtawę.

Napoleon udał, że nie słyszał. Począł umyślnie jakby do siebie:

— Jedna wojna więcej, jeden więcej triumf. Zresztą wojna to jest prawo głów koronowanych.

Polecił własne cesarskie konie dać Bałaszowowi i pozostał sam.

Gniew ściągnął mu brwi. Grał komedję. Straszyl Rosję, sam, mimo swoich olbrzymich sił, mimo swego genjuszu i mimo wiary weń i w swoją gwiazdę, nie będąc pewnym, czując, że to więcej on, niż Aleksander, „s'est jeté dans cette guerre par fatalité de son sort“.

Zwycięży, musi zwyciężyć, on nie może być pobity, a jednak...

Ach, co za podła epoka życia! Gdzież jest ten czas, kiedy przed Austerlitz, w wilję bitwy, mógł żołnierzom ogłosić te dumne i zuchwałe słowa:

„To zwycięstwo zakończy kampanję, a pokój, który zawrę, godny będzie mego narodu, was i mnie“.

Ha, ha, ha! Jaką głupią minę zrobił Prusak Haugwitz, gdy na gwałt przyleciał nazajutrz po Austerlitz winszować zwycięstwa w imieniu Fryderyka Wilhelma i gdy usłyszał, oddając list swego króla: „Fortuna zmieniła adres na tych komplementach“...

Tylko siedm lat temu, a jakże dawno...

Jakże dawno, kiedy przez Eylau, w zimie, wśród takiej nędzy, że starzy gwardziści z rozpaczą odbierali sobie życie, wśród głodu ściskającego żołądek, gdy żołnierze mówili mu wprost, w twarz cesarską: „Trzeba mieć chyba kiepsko w głowie, aby nas prowadzić bez chleba po takich bezdrożach!“, żyjąc na pół zepsutemi rakami, wśród cuchnących trupów ludzkich i ścierv końskich „przysięgał sobie przecierpieć wszystko, aby upokorzyć Rosję“... Jakże dawno od tego, choć to dopiero lat kilka...

Siadł ciężko na fotel.

Co za rola?! Boi się.

Cóż, że zajął Wilno bez bitwy? Aleksander powiedział wyraźnie, że ma przed sobą przestrzeń i czas.

Cofnął się do Petersburga i zostawił za sobą kilkaset mil, przed sobą ma ich tysiące. Jakiemż kłamstwem było to wszystko, ów „rozdzielony“ Wschód i Zachód, ów podział światem!

Skarżył się, że nie miał godnych siebie przeciwników — owszem, miał ich: Anglię, która pobiła jego flotę pod Abukirem i Trafalgarem i pomogła zwalczać jego generałów w Hiszpanji — i Rosję.

Wódz hiszpański Castalanos, rozbiwszy część jego armji pod Baylen, krzyknął: Niech Napoleon nie dąży do rzeczy niemożliwych!

On tego słowa nie znał dotychczas — miał-żeby je teraz zacząć poznawać?!...

* * *

Dano mundur Wartałowiczowi, dano mu mundur granatowy z amarantowemi rabatami, dano mu szablę błyszczącą i lancę z chorągiewką i dano go do szeregu, albowiem okazało się, że na koniu jeździć umie i ma, jak stwierdził kapral, pojętną osobę. Dano mu siwą kobyłę po utopionym w Wilji ułanie Mroczkiewicz, kobyłę tak dzielną, że choć jeździec utonął, ona o pół ćwierci mili zniesiona prądem przecie się wydobyła na brzeg i znalazła swoich, dając tem nowy dowód mądrości, choć już i tak mówiono o niej, że w razie koniecznej potrzeby mogłaby dowodzić patrolem, a nawet plutonem.

Jakże Wartałowicz był dumny i szczęśliwy, jakże błogosławił chwilę, gdy był kawalerzystą, woźnica księdza Fasolkowskiego, od czasu do czasu batem ściągając grzbiet wałacha, od czasu do czasu jego własny, ćwiczył go w jeździe konnej, jako nawet niememu mogącej być potrzebną.

Wcielono go do szwadronu, a że porucznik Kolski oświadczył swoją nad nim opiekę, wach-

mistrz Dybul swoją go otoczył, delikatnie się z Wartałowiczem obchodzili ułani, bo porucznik Kolski miał łatwy gniew i karę ostrą, a wachmistrz ciężką rękę i mir w całym pułku.

Zresztą Wartałowicz gdy jakiego, dowcipniasia usunął, to delikatnie, ale tak, że nie było o czem gadać, jak stalową sprężyną. Chłopcy też byli na ogół dobrzy, on słodkiego obejścia.

Jakże się czuł szczęśliwy!

— Słuchaj, niemowa — rzekł mu na trzeci dzień wachmistrz — jutro jest przegląd wojska, cesarz chce to poprawić, czego w Poznaniu zaniedbał. Siądziesz, ma się rozumieć, na kobyłę, umieścisz się między Antkiem a Piętką, cugle w rękę, ale nic. Masz to zrobić, co kobyła robi. W lewo? — w lewo! W prawo? — w prawo! Marsz? — marsz! Stanie? — stój! Kłus? — kłus! Galop? — galop! Tyle tylko, abyś cugle trzymał i nie zleciał. Powoli to ona cię wszystkiego nauczy. Mroczkiewicz, ma się rozumieć, był głupi, jak cap, a nigdy frontu nie zepsuł. A przecie my tak samo, jak trzeci szaserów, rowy plutonami w linji skaczemy i koń łba nie wysunie, ani ogona nie zostawi. Szenklami nic! Uważaj, żebyś nie spadł, a zresztą nie twoja głowa, tylko kobyły. Siedź i jedź, jakbyś ty był kobyłą, a ona ułanem! No!

Cesarza więc, cesarza zobaczy!...

Wartałowicz obejrzał się, czy nikogo w stajni nie było, a że nie było, ukląkł za kobyłim zadem, przeżegnał się i, aby Panu Bogu podziękować, „Ojczy nasz“ prędko odmówił.

Cały dzień chodził, jak w tumanie, tylko

miął ochotę ułanom na szyję skakać i ścisnąć ich z radości.

Cóżby to ksiądz proboszcz Fasołkowski, cóżby siostra księdza dobrodzieja, pani Broniewiczowa, cóżby ekonom Szyszka powiedział!... Ach! Coby oni wszyscy powiedzieli!...

Trochę lekki wiatr powiewał, kiedy na pole za miastem regimenta się zjeżdżały. A zjeżdżało się teraz wiele pojazdów publicznych i wiele osób śpieszyło pieszo oglądać Napoleona na czele sztabu swego i wojska.

Płynęły pułki, jak rzeki.

Grenadjery w olbrzymich bermycach, karabinierzy, fizyljerzy i woltyżerzy, maszerowali saperzy i pontonierzy, i pierwszy raz usłyszał Wartałowicz niczemu niepodobne, potężne, odrębnie groźne i ponure dudnienie armat, szczęk i zgrzyt łańcuchów przy nich utwierdzonych; ciągnęli Francuzi, Niemcy, Włosi, Holendrzy, Hiszpanie. Ale nad wszystkim górowała konnica.

Jechały cesarskie grenadjery konne, szasery w zielonych mundurach, w białych kamizelkach i spodniach; jechali kirasjerzy na olbrzymich koniach, w blachach lśniących i hełmach z końskimi ogonami, z mieczami u boku; jechali dragoni w kaskach ogonami końskimi zdobnych, szwoleżerzy gwardji i linji, w granatowych mundurach o czerwonych, żółtych, fioletowych rabatach, z dumnymi kitami u czap wysokich i lasem proporczyków nad głową; jechali huzarzy rozmaici i dwa pułki Księstwa, dziesiąty Umińskiego i trzynasty Tolińskiego, błękitno odziane, w czapach na głowach, dziesiąty pułk złoty, trzynasty srebrno zdobiony. Jechały holenderskie huzary

czerwone i tyle było barw w oczach, że zdawało się, iż tęczę to płyną, tęczowe rzeki wojska, złotem słońca, blaskiem gwiazd, srebrem księżyca osnute.

A owi dowódcy, owi komendanci i generałowie — lśnili jak święci w kościele, tyle kolorów, tyle metalu błyszczącego na nich siedziało. Zewsząd zaś płynęły sztandary pułkowe, chorągwie postrzępione i podarte od kul, o zblakłych od deszczów, spiekot i kurzu świetnych niegdyś barwach, i nowe, bijące w oczy połyskiem nad nowemi pułkami.

Wartałowicz siedział na siwej kobyle między ułanami Antkiem i Płetką, za plecyma rotmistrza Zaremby i wachmistrza Dybula i patrzył.

Olśniony, zdumiony, otumaniony nad wszelki wyraz szczęśliwy i dumny — — on także był częścią armji cesarza Napoleona!

Wtem w trąby uderzono i w bębny zagrzmano. Powietrze przepęłniło się dźwiękiem i grzmotem. Zdawało się, że pierzcha, aby uczynić miejsce ogłaszającej się chwale i mocy cesarza, że pierzcha strwożone i słabsze, rozbite i wyparte, jak puch mleczu, gdy nań dziecko dmuchnie. Zdaleka — ah nie! Wartałowicz oczom nie wierzy — serce młotem mu wali, oddech ku gardłu się wznosi, ręka traci władzę na cuglach, kolana tracą siodło, podeszwy strzemiona — — —

Vive l'empereur! — zaryczało w przestrzeni.

Wartałowicz oślepl — otworzył usta — i on — i on — krzyknie — zachwiał się na koniu, zamroczyło mu świat — vive l'empereur! ryczało koło niego — łzy buchnęły mu do oczu, stracił pod sobą konia —

— Te! Nie międl!—usłyszał szept nad uchem, i wyciągnięty daleko łokieć Antka Jamrozikowskiego pod bok go podparł. Oprzytomniał.

A cesarz Napoleon Bonaparte w małym czarnym kapelusiku, w szarym rozpiętym płaszczu, na białym koniu jechał na przeciw zdala stępo, a za nim sztab, a w sztabie generałowie i oficerowie polscy.

Wartałowicz ścisnął cugle garścią, nogi wparł w strzemiona — łzy zatrzymał i falą pamięci się zalał.

Tam, w Pucimuszkach, o tej godzinie ksiądz proboszcz Fasolkowski, mszę odprawiawszy, kawę smaczną, dymiącą pije, przez siostrę dobrodziejkę, panią Broniewiczową, przysposobioną, a pan organista Bulikowski i ekonom Szyszka stoją, pan organista przy szafie spiżarnianej, ekonom pod oknem. Tylko jego tam brak, aby właśnie teraz, w tej chwili, księdzu proboszczowi fajkę nakładał tureckim tytoniem, przez samego Radziwiłłowskiego plenipotentą, pana Żmurłowicza, prezydentem co roku na kolendę przysyłanym.

Białe firanki wiszą w oknach, fuksje, róże, lewkonje, georginje, hjacenty i rezedę na nich stoją i pachną; wielki biały kot, Sułtan, księdzu proboszczowi o rękaw się opiera, pod łokieć mu podchodzi, głową i grzbietem go muska, mruczając, a ogonem to ku twarzy, to ku filiżance z kawą zamiata, że proboszcz ogon ręką odsuwać musi, a szpic Truś siedzi obok krzesła pani Broniewiczowej, patrzy na nią mądrymi, czarnymi ślepiami, baczny na jej każdy ruch, pełen uszanowania dla księdza proboszcza, z pańska grzeczny dla organisty Bulikowskiego, zdaleka trzymający się od

ekonoma Szyszki i wysoko lekceważący całą niemą osobę Wartałowicza, zaś wprost wyzywający wobec służącej Kunegundy.

Ksiądz proboszcz Fasolkowski wypił kawę, fajki niema mu kto zapalić—Wartałowicza niema. Zapala mu ją pewnie organista, albo ekonom.

I zaczyna się zwykła rozmowa — rozmowa niemal jedyna i niemal ciągła, czego to dokonał, co to już zrobił Napoljon Bonaparty i czego to jeszcze nie dokona, czego to jeszcze nie zrobi!

Na ścianie nad szafą z bielizną wisi w ramach złożonych między „Obroną Częstochowy“, a „Ucieczką do Egiptu“, wizerunek cesarza. Cesarz stoi w ciemnozielonym mundurze z czerwonym kołnierzem i złotymi epoletami, na piersiach ma pięcioramienną wielką gwiazdę „Legji honorowej“ z orłem cesarskim w obwodzie błękitnej emalii; z pod białego wyłoga do pól piersi spiętego munduru biała kaszmirowa kamizelka wygląda, a za rozpięte jej guziki cesarz rękę prawą założył. Na białych kaszmirowych spodniach szpada wisi z rubinem ogromnym w rękojeści, lewa ręka założona w tył. Z pod wyłoga munduru wzdłuż aż poza szpadę wstęgę purpurową widać wąskim szlakiem, kokardą w tyle pod połą zakończoną.

Z bladej twarzy patrzą spokojnie niebiesko-stalowe oczy cesarza, spokojnie, lecz z taką potęgą, że wytrzymać tej mocy niepodobna.

Ksiądz Fasolkowski zaczyna mówić o „Bonapartym“. Czyta gazety i łowi wszelkie o nim wieści uchem, jakie tylko złowić może.

Ksiądz Fasolkowski nie tylko opowiada o cesarzu, on tak, jak cesarz, walczy. Gdy wpadnie

w zapał, zrywa się z fotela, czy sofy, chwytą laskę, cybuch, czy kropicidło, co ma pod bokiem, w rękę, częstokroć nawet krzesła dosiada i przestacza się w amperera. Tak przeszedł on wielokroć Alpy, walczył pod piramidami, zdobył Somo-sierre, zwyciężył pod Wagram. Ale najwięcej bo-jów stoczył pod Arcole. Niski, gruby, tłusty, czerwony na twarzy, siwy z dwoma podbródkami i za krótkimi rękami staruszek.

— Pani Broniewiczowa, Wiktoniu, patrz serce! — (a już siedzi okrakiem na krześle) — amperer sadi na koniu — (tu krzesło wykonało kilka stukotów naprzód ku szafie z bielizną) — patrzy: cofają się! Ożro ze sztandarem w dłoni nie dokazać nie może, już czterech generałów, Wardję, Bon, Lan, Wern rannych. Cofają się! Niemcy ich prą! Amperer, ale jeszcze nie był ampererem, ino małym kapralem, widzi. Jedzie — (nowy stukot posuwającego się krzesła z proboszczem) — hop z konia. O tak! — (tu ksiądz Fasolkowski zeskakiwał ze stołka) — łap za chorągiew — panie Bułkowski, daj no mi pan ten cybuch — skoczył naprzód! Za mną! Naprzód! Armaty: trrrum! trrrum! On nie! Kapelusz mu spadł, włosy się rozleciały. On nie! Naprzód — powiada — dzieci! Za mną — powiada — anawan! Marsz! Marsz! Armaty: trrrum! trrrum! Karabiny: trrrach! trrrach! trrrach! On nie. Naprzód — powiada — dzieci! Za mną! Sto kul przebiło sztandar! Ojciec niebieski! On nie! Pada adjutant Mujron, zabity, pada generał Winjol, raniony. On nie! Most trrrach! krrrach! Armaty: trrrum! Karabiny: trrrach! trrrach! On nie! Idzie! Ze sztandarem w rękę! Naprzód! Naprzód! Naprzód!...

W niemym zachwycie, z oczyma promieniącymi, ciekąc potem, z cybuchem i sztandarem w lewicy, laską-szablą w prawicy, mały ksiądz Fasolkowski, gruby, tłusty, czerwony, spocony i zasapany, stał między komodą a oknem, bo już się był tak daleko pod Arcole od jadalnego stołu posunął, z twarzą natchnioną nad rozkrzyżowanymi ramionami, wielki, potężny, zwycięski.

Austrjacy uciekali. Alvinzy bił szpadą w furji o kamienie...

I wszyscy w niemem skupieniu patrzyli w księdza Jędrzeja Ogończyka Fasolkowskiego — Napoleona Bonapartego. Chuda, pomarszczona pani Broniewiczowa opuszczała na kolana druty z pończochą, ekonom Szyszka wybałuszał oczy, organista Bulikowski uśmiechał się z rozszerzonymi żrenicami na tyle męstwa, a kurczył trochę z własnego strachu, albowiem cały pokój plebanji pomiędzy kanapę, fotele, stół jadalny, szafę spiżarnianą podręczną ze serami i półgęskami, komodę z obrusami, szafkę z bielizną, kwiaty na oknach, napełniony był grzmotem, hukiem, trzaskiem, rykiem armat, salwami karabinów, krzykami komendy i jękami rannych, ciemny był od dymu i prochu.

„Bonaparty“ zwyciężył.

A niemy Wartałowicz oglądał te zwycięstwa i rozrzewnienie wszystkich.

Ksiądz proboszcz rzucał w kąt laskę albo cybuch, zsiadał z krzesła i chwycił hiszpańską gitarę z nad łóżka. Brzmi polonez:

Już trębacz nas grają,
 bębny apel wybijają,
 srebrne orły się migają,
 szable w pochwach podzwaniają —
 rom tom tom! — (na gitarze).

Bonaparty sam na przedzie
 na Hiszpana naszych wiedzie.
 Przyjechali — wiara szczerą —
 popod wawóz Samosięra —
 rom tom tom!

Kto się waży, kto zdobędzie?
 Hiszpan wszystkich wstrzymał w pędzie.
 Próżno Francuz zły się zżyma,
 Hiszpan się w wawozie trzyma —
 rom tom tom!

Tam jest droga do Madryta,
 a tu nie rusz się z kopyta!
 Cesarz, widząc wały one,
 woła: u są me Polone? —
 rom tom tom!

Kozietulski z Dziewanowskim
 i Niegolewski z Rudowskim
 gdy te słowa usłyszeli,
 zaraz na front przybieżeli —
 rom tom tom!

Amperer Napolijonie
 sto jest koni w tym szwadronie,
 pozwól nam na wroga natrzeć,
 będziesz miał dziś na co patrzeć —
 rom tom tom!

Dobrze dzieci — cesarz mówi —
 pokażcie dziś Hiszpanowi
 co to Polak w boju znaczy,
 drwiący w męstwie z bomb, kartaczy —
 rom tom tom!

Zawszem znał, że w armji mojej
nikt wam kroku nie dostoi!
Zdobądźcie mi dziś te góry
hiszpańskie rozpędźcie ciury
rom tom tom!

bo się moje tu Francuzy
doczekały z dział rekuzy,
a ja za to, gdy powrócę
na Francji pola żyzne —
rom tom tom!

po tej Samosierze sztuce
odbuduje wam ojczyznę.
Wi w a m p e r e r! — tylko krzykli
i w kurzawie dymu znikli —
rom tom tom!

Kozietulski naprzód leci,
szabla mu się w rękę świeci,
Niegolewski, Dziewanowski,
Krzyżanowski i Rudowski —
rom tom tom!

Mało który żywy został,
Lecz zadaniu swemu sprostał.
Wąwóz swoją krwią zrosili,
drogę Francji otworzyli —
rom tom tom!

Cesarzu Napolijonie,
wszyscyśmy jak w tym szwadronie —
za cię ponieść śmierć gotowi,
lecz ty patrz na nasze blizny —
rom tom tom!

Kraj odbuduj Polakowi,
wolność daruj mu ojczyznę —
rom tom tom! rom tom tom! (na gitarze).

Już organista Bulikowski i ekonom Szyszka śpiewać skończyli, ale ksiądz proboszcz uderzał jeszcze akordy na gitarze, a pani Broniewiczowa, w jednej ręce trzymając kłębek bawełny, w drugiej pończochę na drutach, śpiewała cienkim dyszkantem, wysoko:

Cesarzu Napolijonie,
wszyscyśmy jak w tym szwadronie —
za cię ponieść śmierć gotowi,
lecz ty patrz na nasze blizny,
kraj odbuduj Polakowi,
wolność daruj mu ojczyźnie!...
Rom tom tom!

Wszystkie kwiaty pachniały na nowo, knotek przed Matką Boską świecił jaśniej, pani Broniewiczowa, chuda i pomarszczona, jak ksiądz proboszcz Pasolkowski pod Arcole, wzniesione miała oczy, zwilgłe od rosy łez.

Już dzwoniły ostatnie akordy gitary — — następowała cisza.

Pani Broniewiczowa jeszcze trzymała wzrok wlepiony w sufit, proboszcz zaś spoglądał na organistę wzruszony: he, co, co to za pieśń... i co pani Broniewiczowa, Wiktunia, ma jeszcze za głos!..

Regularnie.

Wartałowicz śpiewać nie mógł — słuchał, słuchał, słuchał...

Bębny apel wybijają,
chorągiewki się migają,
szable w pochwach podzwaniają,
Bonaparty sam na przedzie — —

I oto miał go ujrzeć.

O, co za chwila!

Wszyscy na niego patrzą — — ksiądz proboszcz, gospodyni Broniewiczowa, ekonom Szyzka, organista Bulikowski. Są około niego, tuż za ramionami! Wartałowicz! patrz! cesarz! cesarz! Amperer! Napolijon Bonaparty!

Chmura złocista, podobna do chmury burzliwej, żółtofosforycznie promienna, wtacza się przed oczy Wartałowicowi.

Cesarz dojechał do linji wojsk i wstrzymał konia.

Stał przed swoimi generałami najmniejszy pośród nich, a wydawał się Wartałowicowi jak góra ponad nimi, albo jak dąb zielony wśród jarzębin krasnych, oko bawiących.

Ah! Czemuż nie mógł go pozdrowić!...

Ah! Czemuż on nie mógł śpiewać tam, na plebanji...

Napoleon stał przed nim, cesarz, Bonaparte...

Wartałowicz czuł ciemność w oczach, serce biło mu pod mundurem, jak młot.

Nie wierzył własnym oczom — — czy to prawda, czy to on?...

Aby oprzytomnieć, spojrzał na prawo. Tam na brudnym tęgim kasztanie kaprał z nastroszonymi wypomadowanemi wąsami siedział wyprostowany i patrzył w Napoleona. jak w tęczę.

Rzucił okiem w lewo.

Siedział ułan znajomy z kwatery.

Przed nim nieopodal stali na koniach kapitan Zaremba, porucznik Kolski i trębacz.

Więc to była prawda! Jasne słońce zapaliło się w duszy Wartałowicza. Więc siedział oto na Mroczkiewiczowej kobyle naprzeciwko pana pół

świata, zwycięzcy wszędzie i zawsze, władcy, w którego rękach drżały losy jego ojczyzny...

Wartałowicz wyteżył słuch.

Słyszał wyraźnie — — jakby kule szklane, albo srebrne, o siebie trącane — — tak dzwoniły w rękach Napoleona losy...

Czuł, że się na siodle chwieje, że go chce zerwać zeń coś, rzucić do nóg cesarza, na kolana, buty jego błyszczące z ostrogami całować...

Cysarzu Napolijonie,
wszyscyśmy, jak w tym szwadronie —
za cię ponieść śmierć gotowi...

W Wartałowiczu szalało serce.

Wydawało mu się, że niegodny jest, aby siedział tu na koniu, wobec Bonapartego.

Że powinien zakryć oczy, nie śmieć patrzeć.

A jako skrzydła o złotych i purpurowych piórach, za głową Napoleona szumiały bitwy pod Lodi, Arcole, Rivoli, Piramidami, Marengo, Ulm, Austerlitz, Jeną, Frydlandem, Ratysboną, Aspern, Wagram — — bitwy nieporównane...

Wartałowiczowi wydzierало się z serca: cesarzu Napoleonie! wodzu! panie! zbawco!

I gdyby nie usta nieme, byłby chyba krzyknął, byłby krzyknął, choćby go za to w kajdany zakuć miano!...

Wtem cesarz ruszył koniem i podjechał stępem ku pułkownikowi, a jego sztab za nim.

Wartałowicz uczuł, jak prąd wspólny przeszedł po kościach wszystkich w całym pułku, zdawało się, że nawet konie go odczuły.

Pułkownik patrzył w cesarza, jak z kamienia wykuty.

Nagle cesarz ozwał się, głosem suchym, rozkazującym, jakby rwanym — Wartałowicz tyle umiał po francusku z lekcji pani Broniewiczowej, aby zrozumieć:

Ilu ludzi?

Ile koni?

Ilu ludzi przybyło do pułku od dwóch lat?

Skąd?

Z jakiej fabryki pistolety?

Francuskie? Z Tulle, czy Charleville?

Ile koni polskich?

Ile hiszpańskich?

Czy są i węgierskie?

Austrjackie, albo pruskie zdobywcze?

Ile potrójnych szewronów ma trzeci szwadron?

Ile podwójnych?

Ile pojedynczych?

Jaki jest przeciętny wiek żołnierzy w pułku?

Jaki oficerów?

Koni?

Pytaniom tym towarzyszył wzrok tak przenikający, tak nawskroś przenikliwy i tak wyniosłe imperatorski, że Wartałowiczowi aż żal się zrobiło pułkownika, człowieka bardzo już niemłodego, o szpakowatej czuprynie, który jednak na wszystkie pytania cesarza odpowiadał szybko, stanowczo i pewnie.

Nagle Napoleon zwrócił się do wachmistrza Dybula:

— Ile lat służysz? — spytał o wiele uprzejmiej, niż pułkownika.

Wachmistrz wyprostowany i tryskający, tak opięty, z munda, wyprostował się i naprężył jeszcze więcej.

— Wę senk, syr.

— Odkąd we francuskiej służbie?

— Od Lodi.

— Ile razy ranny?

— Sett, syr.

— Je lui accorde la croix.

Marszałek Berthier wyjął notes z za munduru, dowiedział się nazwiska Dybula i wpisał rozkaz cesarski.

Napoleon zaś rzekł do pułkownika:

— Powiedz pan pułkowi, że jestem z niego zadowolony. Ludzie i konie przedstawiają się dobrze. Powiedz ludziom swoim, że spodziewam się po nich wiele i że walcząc w mojej sprawie, walczą także i w swojej.

Pułkownik zwrócił się do szeregów i przetłumaczył słowa cesarskie, a wtedy z tysiąca piersi, jak z jednej, wybuchł okrzyk: *vive l'empereur!*

Poczem Napoleon salutował lekko i ruszył galopem ku huzarom francuskim.

Wachmistrz Dybul nie drgnął, ale spojrzał na prawo i lewo. Wąsy jego zdawały się być bardziej jeszcze sumiaste, a niebieskie wąskie mazurskie oczy bardziej jeszcze świejące. Dookoła zaś jego osoby utworzyła się natychmiast przepaść i aureola, wywołana krzyżem i więcej jeszcze rozmową z cesarzem. Bo krzyże mieli żołnierze ten i ów, ale były całe pułki, w których nie było ani jednego żołnierza, mogącego się poszczycić, że mówił z nim „mały kapral“.

Dybul skrzył lekko głowę i spojrzał na Wartałowicza, ale w oczach młodego żołnierza

wyczytał tyle wzruszenia, że mruknąwszy w myśli „no“, wziął front.

Natomiast rotmistrz Zaremba mruczał półgłosem, patrząc za cesarzem i sztabem.

— Ney, Davoust, Oudinot, Berthier, Murat, Bessiéres, Duroc, Daru, Narbonne, Compans, Nansouty, Sebastiani i kpy Niemcy — którą to nazwą obejmował rotmistrz Zaremba wszystkie narodowości północno-zachodnie w armji Napoleona.

Kolskiemu, który słyszał tę litanję, na jej zakończenie zachciało się śmiać.

Cesarz zniknął wśród masy wojsk z przed oczu Wartałowiczowi.

Gdy zaś pułk wracał z przeglądu na kwatery, śpiewali chórem ułani, a Antek Jamrozikowski najgłośniej:

A kto chce rozkoszy użyć:
Niech idzie w wojencę służyć,
Na wojencę jak to ładnie,
kiedy ułan z konia spadnie.
Koledzy go nie żałują,
jeszcze końmi potratają,
rotmistrz z listy go wymaże,
wachmistrz trumnę zrobić każe.
A za jego trud i pracę
hejnał zagrają trębacze,
tylko grudy zaburczały,
chorągiewki zafurczały.
Śpij kolego! Twarde łoże,
obaczmy się jutro może.
Śpij kolego, a w tym grobie
niech się kraj twój przyśni tobie.
Więc kto chce rozkoszy użyć,
niech w wojencę idzie służyć!..¹

¹ Oryginalna pieśń żołnierska.

Smutną pieśń żołnierską śpiewano.

Bo każdy wie, co go czeka,
droga śmierci niedaleka!

zaintonował Antek Jamrozikowski:

Dla żołnierza, dla ułana,
droga śmierci murowana! —

rozpoczął za nim chór:

Jedna kulka, żegnaj miła,
Już mnie nie będziesz cieszyła.

Nie cieszyła, ni kochała,
ani skrycie obimała.

Jakom ułan, jechać muszę,
szabli mojej zwierzyć duszę.

Lancy mojej z chorągiewką,
bądź mi zdrowa miła, dziewczko.

Na pamiątkę po ułanie
pamiątka ci pozostanie.

Będzie miała ręce, nogi,
oczy światłe, jak ostrogi.

Będzie mówić: mama, tata,
trzy lata mieć za trzy lata.

Jeśli to dziewczyna będzie,
niech siedzi doma na grzędzie.

A jak chłopak na wzór taty,
powiedz go szlakiem armaty.

Podków szlakiem go poprowadź
ku mogiłkom w polu prowadź.

Tam się ojca bjelą kości,
niebieskiej doszedł światłości — — u — ha!

Wtem pułkownik wziął szablę i zakomenderował: Kłusem! Marsz!

Rozkaz powtórzyli dowódcy szwadronów i kompanji.

Dopiero — teraz — zagrało — Wartałowiczowi w uszach.

Szczęk, brzęk, tętent, granie śledzion w koniach oszołomiło go poprostu.

Niewprawny w szyk, trzymał się tylko na Mroczkiewiczowej kobyle, a ta niosła go, jak chciała.

Taką siłę, taką potęgę, taką moc czuł Wartałowicz koło siebie, jakby się stał wichrem polnym. Tyle zdrowia, tyle krzepkości, tyle młodości grzmiało kopyt łomotem, szabel dźwiękiem, rynsztunku grzechotaniem. Jechał uniesiony nad świat, on, żołnierz Napoleona!

* *

Wieczorem tego dnia dał dla cesarza bal generał Pac. Całe towarzystwo wileńskie zgromadziło się w salonach Pacowskiego pałacu, poproszono też wielu oficerów, zwłaszcza z kawaleryjskich polskich pułków.

Napoleon, rozdrażniony i niespokojny coraz więcej, czując nota bene dookoła siebie raczej chłód i przymus, przedstawił się jeszcze gorzej, niż w Poznaniu. Niechęć i niezadowolenie wybiły się na wierzch w jego całym zachowaniu się, mimo może nawet usiłowania, aby się wydać inaczej. To też Zaremba i Kolski, którzy mało kogo tu znali, stojąc za grupą dam, podczas kiedy odbywała się prezentacja, słyszeli urywki rozmów zamienianych półgłosem.

Jakaś wybrylantowana dama mówiła do innej:
— Cóż chcesz? Żeby był wielki, jak świat,

zawsze będzie tylko parwenjuszem, synem adwokata z Korsyki.

— Nigdy mu nie daruję egzekucji księcia D'Enghien! Żeby on, Bonaparte, kazał rozstrzelać Bourbona! — powiedziała tamta.

— I to podobno bezpodstawnie — rzekła trzecia.

— Owszem, są dokumenty na to, że najzupełniej niesłusznie! — dodała jeszcze inna.

— Księżna Rohan chciała jechać do niego, rzucić mu się nawet do nóg, choć był wtedy tylko pierwszym konsulem dopiero, i błagać go o uwolnienie księcia, ale jej nie puszczono. Wiem to od niej samej.

— D'Enghien miał się zachowywać w więzieniu, jak bohater.

— Ah, Ney! Co za twarz! Czysty chłop!

— Bo też nim jest. Nie pamiętam, z którego departamentu. Mówił mi to hrabia Ségur, adjutant Napoleona.

— Czarujący człowiek.

— Patrz, patrz, ci marszałkowie, ci generałowie francuscy! Co to za chamy!

— Gdzie to porównać do tych Galicynów, Dołgorukich, Naryszkina z petersburskiego dworu!

— Cudowni ludzie!

— Jaki pan, taki kram.

— Dziwne. Przed tygodniem byłyśmy w tych samych kamieniach na balu dla Aleksandra.

— Da Bóg, że jeszcze będziemy.

— Wolałabyś?

— Ma być cesarz, to niechże będzie z krwi i kości. Nasze matki kłaniały się panu Ponia-

towskiemu, teraz my musimy się znów kłaniać panu Buonapartemu. Czy nie dosyć tego?

— Co do mnie, to ze wszystkich zbrodni Bonapartego najbardziej mnie oburza jego targnięcie się na papieża.

— Bezbożnik!

— Świętokradca!

— Szkoda, że Marji Ludwiki nie przywiózł.

— Ach, jak mi jej żal! Być żoną takiego brutal!

— I do tego będąc arcyksiężniczką.

— A jednak ma z nią syna. Widocznie więc winą była po stronie Józefiny, a nie jego.

— Najlepszym tego dowodem jest przecie Walewska.

— Nietylko ona jedna.

— Ach, opowiadał mi ktoś pyszną anegdotę. Bonaparte kazał przyjechać do Tuilierjów jakieś aktorce. Podobno bardzo ładna. Wieczór. Kaze jej iść do drugiego pokoju, a sam siada nad mapą. To biedactwo czeka i czeka, w końcu zdobywa się na odwagę i puka leciutko. Kto tam?—To ja.—Ubierz się pani i jedź do domu. Nie mam czasu.

— Kanalja! Bo choć to tylko aktorka, ale przecie zawsze kobieta.

— Jabył mu pokazała!

— Cóżbyś zrobiła? Ciekawam.

— Co? Rozebrałabym się do naga i weszła do jego pokoju.

— Hahaha! Po tym frazesie poznałabym cię wszędzie! Jesteś jedyna!

— Brawo. Ale wiesz, co onby zrobił?

— Tu chyba niema dwóch zdań?

— A jakby cię, zamiast „tego“, szpicrutą? Bo u niego i oto nie trudno. Bije w brzuch generałów.

— Ba! Niedość na tem! Kopie ich!

— Jabym go zabiła! Niechby spróbował!

— Czemu się nie mogę wydziwić, to że arystokracja francuska chce służyć pod nim. Nawet między jego marszałkami jest stara szlachta: Davoust, Gouvion Saint-Cyr — —

— Przecie na dworze jego są i Montmorency, Rochefoucauldy, Noailles, Choiseul, książęta Luynes, Chevreuse'y, nie mówiąc już o księciu Talleyrand, bo taka świnia pójdzie do każdego koryta. Opowiadał mi Ségur, jeszcze w Paryżu, ile miał kłopotu, zostawszy wielkim mistrzem ceremonji i mając sobie poruczone wyuczenie tego „dworu“ manjer dworskich.

— Powinien był zacząć od samego pana.

— Widzisz? Murat, król Neapolu, syn oberżysty, czy pocztyljona.

— Czysty pajac!

— Co za manjera!

— Z cyrku.

— Chciałabym go mieć do ujeżdżania koni.

— Podobno we Francji mają już dosyć Napoleona. Już po Tyłży pisała pani de Rémusat, że pokój nie wywarł żadnego wrażenia, wszyscy są zniechęceni, narzekają, że zwycięstwa nie wywołują podziwu, cuda już spowszedniały — a to przecie sześć lat temu i już potem była znów wojna austriacka i znowu teraz wojna — za dużo tego dobrego. Do czego to dojdzie?

— Pan Bonaparte stanowczo przeciaga strunę.

— Ciekawam, czy to prawda, że go Talma uczył manjer?

— Cóż on umie? Ręce na piersiach, jedna z przodu, druga z tyłu, albo obie w tyle. Gracji za grosz. Jakie porównanie między nim, a wytwornym, eleganckim, ujmującym i subtelny cesarzem Aleksandrem!

— Patrz, jak się przed nim nasi mężowie płaszczą.

— Spodziewają się po nim Bóg wie czego. Coby mógł zrobić, to zostawić nam jakiego księcia krwi, choćby nawet już którego ze swoich braci, żeby był dwór w kraju.

— Masz rację. Towarzystwo bez dworu musi podupadać. Jak się tu ożywiło, gdy przyjechał cesarz Aleksander. Albo i teraz na przykład. Dwór, choćby mały, jest dla nas konieczny. Żebyśmy po tej wojnie miały u siebie jaki pałac królewski, czy wielkoksiążęcy i jakieś życie podobne do życia stolic, to ostatecznie nie miałabym nic przeciwko niej.

— Boję się tylko, że nam majątki poniszczą.

— I jest jeszcze druga obawa: żeby się chłopci i wogóle cały plebs nie zaraził od jego żołnierzy powietrzem rewolucyjnym. Bo choć to cesarstwo, ale wszystko to czuć jakobinizmem.

— On sam to tylko Robiespierre na koniu jak go dowcipnie nazwała madame de Staël.

— Zresztą ja wam powiem, moje kochane: ja mam przeczucie, że Napoleon nie wróci z tej wyprawy, zginie, albo tam co, a wtedy wszystko wróci do dawnego porządku. Z rewolucją i rewolucyjnymi prądami dadzą sobie bez niego rady.

— Ale zawsze, słuchaj, to wielki człowiek.
Odmówiłabyś mu?

Rozmowa urwała się śmiechem.

Zaremba był tak wściekły, słysząc te mowy, że gdy jakaś wileńska miejscowa parafjalna znakomitość, mówiąc z nim, zauważyła o sobie, że i on także jest tłusty i taki niski, jak Napoleon, Zaremba rąbnął bez namysłu:

— Tak, tylko że Napoleon jest wielkim cesarzem francuskim, a pan tylko nadętym wileńskim kauzyperdą!

Lecz czy ów mecenas się obraził, czy wołał się nie obrazić, Zaremba już nie widział, albowiem zobaczył rzecz, która w nim całą istotę wstrząsnęła.

Oto cesarz Napoleon, który zbliżał się, postąpił naraz krok naprzód, gdy mu kogoś chciało przedstawić, wpadając w słowo prezentującemu Pacowi:

— Ah, ah! To pani? Otóżem już zaczął drogę zwycięstwa.

Tylem do Zaremby zwrócona stała smukła, czarno ubrana kobieta — do niej cesarz się ozwał. Rotmistrz poznał ją: to była Teresa Mirska.

Po słowach cesarskich, tak wyjątkowych, natychmiast koło Mirskiej utworzyło się otoczenie. Wielkie damy, które wygadywały na Napoleona, bezwzględnie się ku niej posunęły. Ale Zaremba spostrzegł, że Mirska, choć uśmiecha się uprzejmie i uprzejmie odpowiada, właściwie nikogo nie widzi i gdzieś zupełnie gdzieindziej patrzy. Nigdy nie była tak piękną, jak teraz, w czarnej sukni, wieczorowej, z czarnymi koronkami, bez żadnych

klejnotów, jakby w żałobie, blada bardzo i z jakimś maskowanym bólem w twarzy.

— Cóż to za cudowna osoba! — ozwał się do Zaremby Kolski, wskazując oczyma Teresę.

— To? A, ładna, tak. Nawet znam ją trochę.

— Winszuję!

— Przecie to każdy może. Każ się przedstawic i tańcuj. Zaraz grać zaczną.

— Ba! To jaka Radziwiłłowa, czy Sapieżyna? Wysokie progi.

— Wcale nie, znam ją z Paryża —

Ale rotmistrz nie dokończył, nie chciał wymówić nazwiska Mirskiej, tego świętego nazwiska, które dla Kolskiego, było tylko mianem pięknej, ponętnej kobiety. W niej zaś wszystko było dla Zaremby święte.

— Jakże się nazywa? — pytał Kolski.

— Zapomniałem. Ktokolwiekbaż ci powie.

Lecz Zarembie wydało się, że go Mirska spostrzegła; zimno i gorąco mu się zrobiło, gdy nagle Mirska, rzuciwszy jakiś światowy frazes którejś z dam na pożegnanie, posunęła się żywo w jego stronę.

Zaremba pomimowoli uczynił front.

— Witam waszmość pana, panie rotmistrzu — odezwała się, podając mu rękę — prawie żem umyślnie pana szukać tu przysła.

— Do rozkazu waszmość pani — rzekł rotmistrz, pocałowawszy Teresę w rękawiczkę.

Trudno tu i mówić, na balu.

— Rzecz poważna?

— Dla mnie tak. Ot podejźmy tam w róg salonu. Kiedy armja wyrusza?

— Nie wiem. Cesarz nie dał poznać swego

postanowienia. Ale, mościa pani, czy wolno zapytać?

— O co? Proszę.

— Żałoba-li to jaka? Strój tak czarny?

— Żałoba, tak — odpowiedziała Mirska.

— Ktoś z godnej rodziny?

— Więcej, rotmistrzu — rzekła, gdy już byli poza masą Pacowskich gości — ja muszę ekspjować czyjaś duszę.

— Jakto? Nie jest mi jasnem —

— Chcę iść z wami — za kogoś.

— Na wojnę?

— Tak.

Rotmistrz chciał mówić, ale nie powiedział w końcu nic: stanął po wojskowemu, skłonił głowę i oświadczył:

— Nie pytam o nic, ale jakże to będzie?

— No jużci, że do szeregów iść nie mogę — rzekła Mirska — jestem kobietą. Ale pojedę za armiją pielegnować rannych.

— Są chirurgowie, lekarze ambulansowi.

— Przydam się.

— Waszmość pani — rzekł Zaremba — nie pytam się, ani pozwalam sobie nawet w myśli własnej chcieć badać powody, jeżeli są jakie oprócz miłosierdzia chrześcijańskiego i wzniosłej szlachetności duszy, które intencję nasunęły, ale czy pani dobrodziejka zastanowiła się kiedy: co to jest wojna?

— Właśnie że tak i dlatego się na nią wybieram.

— Jak wola — rzekł Zaremba, dusząc w sobie wzruszenie i chęć objęcia Mirskiej za kolana, na kolana przed nią padłszy.

— Mości rotmistrzu—rzekła ona—nie znam w wojsku nikogo lepiej od pana. Wiem nietylko, co to jest wojna, ale także, co to jest żołnierz, zwłaszcza tu, gdzie oprócz pocziwego naszego, tłum z rozmaitych stron świata pośpiesza. Panu się w opiekę oddaję.

Rotmistrz nic nie zdołał wykrztusić; skłonił się głęboko głową, Mirska zaś rzekła:

— A teraz żegnam pana, do widzenia. Gdy będziecie mieli wyruszać, proszę dać mi wiadomość. U księcia Poniatowskiego przez siostrę księcia, hrabinę Tyszkiewiczową wyrobię sobie permisję. W ostateczności, gdyby mnie nie chciano do rannych, pojedę jako markietanka, a pójdę.

— Boże! Pani!? — wykrzyknął z duszy rotmistrz.—Markietanka?!

— Chcę być pod waszmość pana opieką. Do widzenia.

Zaremba ucałował rękę Mirskiej dwukrotnie i prosto poszedł do bufetu, gdzie łyknął jeden po drugim trzy duże kieliszki stuletniej litewskiej starki. Ale miał uczucie, jakby nie wypił nic.

— Cóż to, rotmistrzu, piękność pana uwiodła w róg salonu i znikła?—zapytał go Kolski.

Zarembie pięść się ścisnęła; nie chciał nic odpowiedzieć, ale się przemógł i rzekł:

— To święta osoba. Niech ci to wystarczy, poruczniku Kolski.

* * *

W nocy z 15-go na 16-ty lipca Napoleon opuścił Wilno.

Wartałowicz leżał obok kobyły, trzymając jej cugle za łokieć założone, z głową opartą o sнопек jęczmienia i patrzył w niebo lipcowe, pełne gwiazd spokojnych.

Na pół spał, na pół czuwał. Nie myślał o swoim dzieciństwie, ani młodości w Pucimuskach, ani o bitwie, w której niewątpliwie udział wziąć mu przyjdzie, ale o cesarzu, gdzieś opodał w namiocie, pewnie z głową podpartą na rękach, przy stole zasłanym mapami, na polowym krześle, jak snuje wielki plan pochodu na Moskwę, o wszystkim wie, wszystko pamięta, wszystko przewiduje — niewyciężony, z ludzi największy. Szasery gwardji spieszone stoją na sirazy przed namiotem, w zielonych krótkich mundurach, lub piesze grenadjery gwardji w bermycach i półrakach granatowych na białych spodniach. Wszyscy posnęli znużeni, generałowie, sztabowi oficerowie, marszałkowie Francji, tylko cesarz sam jeden wśród tej wiernej straży wie wszystko za wszystkich, pamięta wszystko za wszystkich, przewiduje wszystko za wszystkich i zwycięży sam, sam jeden wiernymi rękami, wiernymi nogami, wiernymi sercami swoich żołnierzy. Dobry, kochany, wielki cesarz, zbawca...

Gdzieś daleko zabrzmiała trąbka.

Siwa kobyła Mroczkiewicza łeb dźwignęła w górę, chrapami pociągnęła powietrze świtu i zarżała zcicha. Wartałowicz poklepał ją po karku.

Popatrzała nań zdziwionemi oczyma.

Wartałowicz zrozumiał to spojrzenie.

Jakto? Przed bitwą, kiedy może ułan ją, lub ona ułana na wieczność pożegna, kiedy może oboje zabici, oboje ranieni będą, nic jej jeździec do powiedzenia niema?

Wartałowicz przytulił lico do siwego pyska kobyły i objął jej kark ramionami. Kłacz skrzyła głowę i nozdrzami go w piersi, w mundur trąciła. Wartałowicz wyjął z kieszeni od spodni jedyny, jaki posiadał, kawał chleba, połamał i podał go na dłoni kobyle.

Spojrzała, jakby się pytała, czy ma więcej, czy to nie jest ostatni żołnierski chleba kawałek.

I był ostatni. Ale na tej kobyle miał on jechać w słońce... Objął jej głowę i do siwego pyska nad nozdrzami usta przycisnął.

Nieopodal na derce siedział z podniesionemi pod brodę kolanami rotmistrz Zaremba i fajkę palił. Od wyruszenia z Wilna nie widział Teresy Mirskiej, która gdzieś na tyłach armji z ambulansem jechała. Raz jeden mignęła mu jej twarz — twarz cudna i smutna, jak na piersiach umarłego gałąź kwitnącej wiśni — wychylająca się z szarego kaptura.

— O święta pokutnico nie swojej winy — westchnął w myśli Zaremba.

Tu owdzie parsknął koń, tu owdzie stąpnęło kopyto, brzęknęła potrącona w ciemności nocnej szabla.

Oh, jakże samotnym czuł się Zaremba!

Jakże odcięła go od wszystkiego, od świata całego miłość ku Teresie... Jakoby klata z gałęzi smrekowych, gęsto zapleciona w mroku, ogarnęła go i skryła dla oczu ludzkich i ludzkich żywotów.

Lecz tam — nieopodal — — był cesarz.

Myśl Zaremby pobiegła ku niemu. On wiedział, on czuł, że Bonaparte nie śpi, że się łamie ze swoim przeznaczeniem.

Jak Jakób biblijny z Aniołem.

On widział, jak olbrzymi potwór szary o łbie kosmatym, łapach pół małpy, pół niedźwiedzia, z oczami świecącymi widziadła, zmaga się z Bonapartem. Cesarz chwycił go za przedręcza, odpiera go, odpycha — — z rozpaczą, z wysiłkiem, byle go na pierś swą nie puścić... Cesarz walczy ze zwątpieniem.

Wierny mu był, od Lodi, od błyskawicowej młodości cesarza — — wierny mu był wszędzie, pod Alpami i w Egipcie i na wszelkich polach. Dusza Zaremby pobiegła do cesarza, wtargnęła do jego namiotu, upadła przed cesarzem na kolana i zawołała: Panie!...

Zaremba drgnął.

Ty śpisz? — zapytał Napoleon.

Rotmistrz Zaremba porwał się na równe nogi.

— Nie śpię, najjaśniejszy panie! — odpowiedział w pozycji.

— Polacy, obudźcie słońce z pod Austerlitz!

Cesarz oddalił się, utonął w mroku.

Szedł czaty przegładnać, jak często. Widział go tak już Zaremba z dziesięć razy. Słuchać było jak szedł krokiem pewnym, krótkim jak rozkaz w bitwie.

Bóg wojny zczepił w mroku.

Rotmistrz Zaremba stał wciąż wyprostowany.

Słowa cesarskie huczały mu w głowie, jak dzwon. Poszedł z niemi do generała brygady. Niemojewskiego.

O czarodzieju!

* * *

— Te — mówił Antek Jamrozikowski, warszawskie dziecko, obok Wartałowicza w szeregu — jak cię kozak za parasol nad brodą ściśnie, to jak będziesz wołał „pardon!“ kiedyś taki rozmowny?

Wartałowicz uśmiechnął się, ułani roześmieli się głośno.

— On mądry — prawili dalej Antek — co sobie zaoszczędzi w gębie, to gdzieindziej odbije. Jabym nie chciał być tą Tatjaną Władimirówną Kutasową, którą on spotka. He, masz ochotę, co?

— Hu hu hu — rechotali ułani.

— Cicho chamy! — zwrócił się do ułanów Antek — kiedy dystyngowana osoba mówi. Moja stryjenka samej księżniczce Elżbiecie Lubomirskiej płęć co wieczór ciepłą wodą od oficyn na rano naprawiała.

— Jakże to? — spytał porucznik Kolski, który dosłyszał rozmowy za sobą.

— Melduję pokornie, panie poruczniku, kiedy się wstydzę nazwać te serengę po imieniu, za pozwoleniem i wybaczeniem pana porucznika dziatki się bawią czemś podobnem w śmigus.

— A ty gałganie! — zawołał Kolski. — Toś tamto mógł powiedzieć, a za śmigus przepraszasz.

— A to tak, proszę pana porucznika, jak z tą dziewczką na wsi — ozwał się wachmistrz Dybul. — Wpadła do pokoju i mówi: prose wielmożnej pani, pies krowie urwał?

— Co jej urwał? —

— Kiedy się wstydze powiedzieć.

— No gadajże, nie bądź głupia!

— To, co przez... wisi.

Ryknęli śmiechem ułani, jak jeden.

— Wracający do tej księżniczki — podjął Antek Jamrozikowski — cerę miała po tych wieczornych karlsbadach, jak płatek białej róży. Ja się nawet sam w niej zakochałem, tylko nierówność stanu stała na przeszkodzie.

— Czy być może? — zawołał rozbawiony Kolski.

— Bo była właśnie przed ośmiu i pół miesiącami wyszła za mąż — rzekł Antek, zakładając paznokieć za paznokieć z dystygowaną dyskrecją.

— Ach, ty, szelmo pyskata! śmiał się Kolski. Wtem trąba zabrzmiała.

Bywaj zdrowa, Bronisławo,
ty na lewo, ja na prawo —

krzyknął Antek Jamrozikowski, skacząc na siodło.
Za trąbą zabrzmiała komenda.

Ułani stanęli w szeregu.

Rano było chłodne, wczesne bardzo, iskrzące od słońca.

Dowodzący brygadą szóstego i ósmego pułku generał Niemojewski wyjechał przed front i zawołał:

— Baczność dzieci! Cesarz kazał Polakom obudzić słońce z pod Austerlitz!

— Niech żyje cesarz! — zagrzmiało po szeregach, krew wbiegła do serc dumnych i ufnych.

Zagrała trąba do marszu.

— Babko miłosierdzia Pańskiego — westchnął Antek. — To ci będzie dopiero tramblam polka!

Wartałowicz jechał pierwszy raz w szeregu na bitwę.

Wszystko wydawało mu się inne, odmienne. Konie inaczej szły, chorągiewki inaczej furczały, inaczej grały trąby, inaczej dzwoniły szable. Wszystko w tem rannem, świeżem słońcu lipcowem, w rannej, świeżej, lipcowej rosie, było inne.

Napoleon Wielki nacierał na armję rosyjską.

Wodzowie rosyjscy skłonili cesarza Aleksandra do opuszczenia armji i odjazdu do Petersburga. Obawiali się jego łatwej depresji moralnej, gdyby ponieśli klęskę. A stawić postanowili czoło Napoleonowi. Pod Dryssą, w miejscu, gdzie zatrzymać się miał jego pochód, stał Barclay de Tolly. Bagration maszerował wstecz pod Smoleńsk. Talenta generałów rosyjskich zmierzyć się miały z genjuszem Napoleona. Mógł on odciąć Barclaya od Witebska i przerwać komunikację między nim, a Bagrationem. Porzu-

cono więc obóz pod Dryssą, by prawym brzegiem Dźwiny dojść do Witebska, zasłaniając się rzeką przed zaczepnem działaniem Wielkiej Armji. Ale Napoleon równie szybko formował własny plan, jak odgadywał plan nieprzyjacielski. Ruszył z jazdą szwagier jego, król Neapolu, Joachim Murat, na Witebsk. Poczęto ścigać, osaczać Barclay'owską armję. Przeprawili się konni Bawarzy wspaniale przez Dźwinę pod Bieszeńkowicami. Montbrun po prawym brzegu Dźwiny, Grouchy od Kochanowa i Orszy od strony Dniepru zabiegali Barclayowi drogę. Eugenjusz Beauharnais, Nansouty z korpusem jazdy, marszałkowie Ney i Oudinot następowali. Barclay de Tolly znalazł się w matni. Bonaparte wyciągnął rękę, omotał go palcami koncentrujących się korpusów. Schwyci i zmiażdży, jak pod Austerlitz.

Trzeba się było ratować.

Poświęcił Barclay de Tolly cały korpus generała Ostermanna, aby armję uwieść.

Pod Ostrownem zatrzymał się Ostermann w arjergardzie, kryjąc odwrót ku Witebskowi prowadzony.

Stojący w szeregu, 25 lipca, ujrzał Wartałowicz po raz pierwszy bitwę.

Widny pobok szósty pułk ułanów nagle, przy zewie trąb, ruszył z miejsca. Zrazu stępa, potem kłusem powolnym, potem szybszym.

Widział Wartałowicz, bo od linji ruszyli, lekko, z ukosa ku jego czołu, w równie zieloną błyszczącą trawą pokrytą, jak się szereg pierwszy posunął z miejsca w marsz, za nim dalsze; słońce grało na metalu, mundurach, chorągiewkach i koniach.

Jechali coraz prędzej, ławą, prędzej, prędzej, niby widowisko cudowne, przechodzą w galop, przeszli — świetna jazda rosyjska pędzi naprzeciw — słysząc w ułanach głos komendy, widąc manewr, ruchem flankowym nagie natarli na pułk dragonów, Wartałowicz słyszy, jak rotmistrz Zarembo mówi: ingryjski — dojechali. Rozpoczęła się rzeź. Z daleka patrzył Wartałowicz szeroko rozwartemi oczyma na tę zgrozę. Nowe pułki kawalerji rosyjskiej, nowe szarże huzarów francuskich. Pułk szósty ułanów okrył się chwałą. Rosyjskie męstwo nie wytrzymało naporu. Z ingryjskiego pułku dragonów padło rannych i zabitych 350 żołnierzy, 22 oficerów, połowa. Jazda rosyjska zepchnięta cofnęła się w lasy, nieoparta dostatecznie przez piechotę. Ostermann ściągnął wojsko pod Ostrowno. Murat przed nadejściem Eugenjusza Beauharnais nie mógł atakować dalej, nie miał piechoty. Ostermann, Konownicyn i Pahlen utrzymali się w lesie pod Ostrownem i postanowili mężnie nazajutrz walczyć z przemocą, zatrzymać pochód Bonaparte-go, zginać, ale ocalić armję.

Pułk ósmy ułanów z zazdrością spoglądał na pułk szósty, który już walczył.

I znowu przeszła noc w obozie.

— Te — mówił Antek do niemowy — nie śpiewałeś dziś polki, ale jutro zaśpiewasz na pewno:

Tramblam, tramblam, tramblam ino,
z piecza krokiem Michalino!

Nie pozwolono ułanom rozsiodłać koni, ale popuszczono popręgów i na uździenicach konie

się pały. Nie było obawy nocnego ataku.

Rozpalono ognie. Ułan Makuch, który był muzykalny, wyjął piszczałkę z za munduru i począł na niej grać tęskne kujawiaki. Ale Antek Jamrozikowski począł mu się na wywleczonym skądś grzebieniu sprzeciwiać „polką mularką z Bednarskiej ulicy“, dopóki go sen nie zmożył i dopóki go wachmistrz za ucho nie dźwignął, aby siadał na koń i wartę z kapralem zlużować jechał.

I znowu rano zagrały trąby na bitwę.

Długi przeciągły zew, groźny i złowieszczy, jak błysk piorunu.

Pułk wyruszył ze stanowiska.

Rozpoczęła się walka wściekła.

Rosjanie stali jak mur.

Odparli ataki wicekróla Eugenjusza Beauharnais, odparli ataki króla Neapolu, odparli z grzotem: hurra! wyszli z lasu — żołnierze, o których Fryderyk Wielki mówił: trzeba ich naprzód zać, a potem popchnąć, żeby się przewrócili.

Ośmdziesiąty czwarty pułk Kroatów napróżno opór stawia. Coła się przed wychodzącymi z lasu na równinę masami Rosjan, zostawiając przed sobą trupy i jęki rannych. W ośmdziesiątym czwartym piechotnym pułku Kroatów wszczyna się po płoch—dziesiątkują go, miażdżą.

— Rany Boskie! Rany Boskie! — słyszy Warłłowicz poza sobą.

Nie ogląda się, nie wolno. Tam poza nim stoi mazur Jakób Buła, chłop z pod Łowicza, ojciec dzieciom, fernal szefa bataljonu, Mieleckiego, stąd do wojska weszły. Rany Boskie! — powtarza rozpaczonym szeptem.

Muszą mu się trząść żółte wasy, płowo-
żółte, jak pszenica mazurska.

— Te! — szepce do Wartałowicza Antek
Jamrozikowski. — Słyszysz?

— Inacy, jak na manibrach — szepce Piętka
z pod Kalwarji.

Groźne spojrzenie kaprała — cisza.

Gruchot karabinów, huk armat niepokoi ko-
nie. Antek ściąga cugle. Piętka przygłaskuje
nieznacznie, aby kaprał nie zobaczył, kark wa-
łacha; siwa kobyła Mroczkiewicza stoi jak z ka-
mienia wykuta.

Wtem zimny dreszcz wstrząsnął ciałem
Zaremby.

Artylerja, broń cesarza, cofa się.

Artylerzyści zapręgają przodki armat, zawra-
cając je pędem, uciekają...

Zaremba otwiera usta, oddech mu się rwie,
zatrzymuje...

Wartałowicz nie zdaje sobie z tego sprawy.
Żołnierze Napoleona nie mogą się cofać. Wtem:
ciotko Ukrzyżowanego! — krzyczy mu nad uchem
Antek.

Kula rosyjskiego piechura gwizdnęła mu
koło czapki.

— Cicho psiakrew! Aż umrzesz! — gromi
go wachmistrz Dybul i obraca się do frontu.

Antek Jamrozikowski, dziecko warszawskie,
pokazuje mu szybko dłuższy koniec języka z po-
między zębów.

Wartałowicz widzi, że rotmistrz Zaremba
pobladł strasznie, jak trup; toż samo wachmistrz
Dybul, porucznik Kolski. Wszyscy mają oczy

wpatrzone w artylerję. Wartałowicz zrozumiał: artylerja ucieka!

Jęło mu serce w piersiach.

Widzi popłoch.

Runęło wszystko na jedną drogę, armaty, piechota, tłoczą się, płaczą, wicherzą, nie słysząc krzyku dowódców, nie widząc ich już, zginęli w tłoku pogromu.

Hurra! Hurra! — prą się, jak stado bawołów za wilkami, rosyjskie piechury z rozwitych sztandarów gajem nad sobą.

Hurra!...

Pogrom!... Cesarskich wojsk!...

Wtem na czoło ułanów wypada jeździec cudowny. Pióra białe u kołpaka, mundur szamierowany złotem, ciemnozielony, czerwone pantalone, koń pod nim kary, skórą lamparcią przykryty, a twarz jego młoda jak z brązu, a oczy jego mężne, jak oczy lwa.

Skinął szablą krzywą, aż błysło — zamachnął się nią nad głową, nad piórami, jak sierpem księżycą nad pękiem chmur.

— Marsz! Marsz!

Co za dźwięk trąb! Co za trąbienie groźne, grzmiące, przebiegło powietrzem! Wartałowicz ścisnął lancę ręką i siodło nogami. Bo już leciał. Siwa kobyła Mroczkiewicza знаła sygnały. Porwała się z kopyta. A przed pułkiem ułanów gnał z szablą ku wrogowi wzniesioną „le beau sabreur“, „król konnicy“, szwagier Napoleona, król Murai.

— Marsz! Marsz! — grzmieli po szeregach dowódcy.

Widział Wartałowicz Zarembę z pałaszem wzniesionym, jak sadił przed nim na kasztano-

watym „Turkusie“, widział młodego, jak sam, porucznika Kolskiego, cienkiego w pasie, niby panna, rwącego na tureckiej klaczy „Zulejce“, z szablą w ręku z taką gracją utrzymaną, jakby bukiet nad głową hrabiance Zamoyskiej podawał.

Dudniała ziemia pod końmi.

Podle ucha końskiego wedle przepisu dzierzył Wartałowicz pikę ułańską, a za plecyma czuł ostrza lanc Kuby Buły i szlachcica Wiktora Małagowskiego.

Zamęt, zaślep owaładł Wartałowiczem.

Tylko czuł, jak jego potężne mięśnie stał w sobie biorą, jak się pręży od siebie, rozciąga, a skupiony jest w sobie, zwarty, zmocowany, jak kute żelazo.

Murat zjechać chce w bok, kierować ruchem ułanów—pocisnął konia, skreślił, chciał przed szeregiem przegnać i od skrzydła prowadzić — — nie może. Gdzie spojrzy: lance za nim, tły końskie parą bijące i twarze ułańskie rozpalone — — nie sposób przejechać przed niemi—nie zdąży. Więc machnął lekko szablą z lekceważeniem i jak komendant pułkowy wiódł szarżę czołem, z wodza armji na komendanta pułku zdegradowany.

— Jezu!—usłyszał Wartałowicz koło siebie.

Wałach Piątki potknął się, czy kulą wziął, czy nogi splątał w pędzie, zwałił się na łeb, załamał przodkiem, runął z nim Piętka z kaskiem, lancą, pałaszem; dziura się utworzyła po prawej ręce Wartałowicza, lanca Buły wytknęła się naprzód z drugiego szeregu — Jezu! — zajęczało jeszcze z pod brzuchów końskich, już nie ludzki, ale zwierzęcy jęk — ale nim przebrzmiał — Boże

mój — krzyknął kaprał, w nos kulą karabinową uderzony, ręce rozwarł, w tył się chybnął, na kark koński odgiął i przypadł, kilka skoków tak siedział i rypnął z siodła pod kopyta szeregow, martwy już, czy jeszcze żywy, nie wiadomo.

— Nie daj się! — wrzasnął nad uchem Wartałowiczowi Jamrozikowski.

Wartałowicza zaś niósł galop koński jak śpiew kościelny. On już czuł, że zacznie! Jakimś olbrzymim głosem ryknął pułk ułański.

To już.

Smignęła salwa kul po szeregu, usłyszał ją Wartałowicz, ale jej już nie widział. On z lancą podle ucha końskiego wedle nauki wpadł w jakiś kocioł, lancę odparł w bok łokciem prawym wyżej czaka za uchem i pchnął tak strasznie, że piechur rosyjski z gardła tylko posoką miał czas bryznąć, ośknął łeb kobyli jak czerwoną szpycą i znikł Wartałowiczowi z oczu. Wartałowicz uczył ból w łydce z boku, jakby nań drzewo spadło — grenadjer rosyjski olbrzymi kołbą go tizasnął — nie było czasu ukiąć — tyłcem piki w czoło go Wartałowicz uderzył, tamten ręce rozkrzyżował i w tył padł, a w tej chwili młody, śliczny oficer rosyjski, z pistoletu w pierś Wiktora Małagowskiego, który się w pierwszy szereg podsunął, trafiwszy, trupem położył.

— Te! — wrzasnął nagle Antek Jamrozikowski.

Wartałowicz spojrział.

Na koniu Antka, oparty lewą ręką o udo jeźdźca, prawą chwyciwszy się grzywy, kolanami przykurczony, przybity do nogi Antka i siodła, kosooki muzułmanin, snadź zręczny i zażarty, jak

małpa, snadź broni pozbawiony w walce, wisiał i białe zęby, jak żbicze, w lico ułana wpił. Ledwo zdążył. Wartałowicz puścił cugle, lewicą za kark strasydło ułapił, oderwał, zerwał, dźwignął, na ziemię przed kobyłą grzmotnął, a Antek w grzbiet pikę wbił, wstrząsnął Tatarem i pojechał dalej.

— Zuch! — krzyknął Wartałowiczowi Zaremba, lecz w tej chwili bagnetem w metalową podpinke czeka pod brodą dostał, aż się na koniu zachwiał. Rąbnął piechura przez czapę, piechur odskoczył, pchnięcie powtórzył, rotmistrza chybił i w pistolet w olstrze ugodził. Sekundę stanął zdumiony, zląkł się, splunął na karabin i uciekać zaczął. Zaremba za nim, ale mu major rosyjskiej piechoty drogę zajechał. Poczęli się rąbać.

Murata widział Wartałowicz walczącego, jak żołnierz. Siekł krzywą szablą, czerwony od krwi na zielonym złoconym mundurze i lamparcim czapraku. Wartałowicz bódł lancą, jak dzik kłębem. Miejsce się zrobiło wolniejsze przed nim, szereg się rozluźnił, a z szeregu wypadł Kuba Buła z obu rękami podniesionemi do góry, cugle i lance rzuciwszy, wrzeszcząc na gardło: Jezus Maryjo! Ratuj się chto w Boga wierzy! Jezus Maryjo!...

Podsunał się ku niemu Kolski — płazem konia w czoło wyciął przez oczy, aż się zarył na zadzie.

— Rannyś?! — krzyknął Kolski do Buły.

— Nie! Od strachu! — odkrzyknął Buła, szarpnął konia i poleciał dalej z krzykiem rozpaczny. Chciał go porucznik w plecy szablą

żgnąć, lecz mu piechur rosyjski „Zulejkę“ w brzuch bagnetem uderzył, klacz wspięła się i na plecy runęła z Kolskim na pole bitwy.

Byłby go Wartałowicz ratował, naparty jednak przez następujących ułanów, naprzód ruszyć musiał walczyć i zabijać.

Rzut jakiś straszny, pęd bezgraniczny, wręb śmierci huraganem niesiony — — bój zasłonił mu widok, rękę na cuglach skaleczono mu bagnetem, siłacz jakiś w tłumie bitwy lance wydarł z jego żelaznej ręki i w łeb go nią zdzielił, aż się Wartałowiczowi zaćmiło w oczach, a jego własna lanca na jego własnym łbie się złamała. Wartałowicz, nim szablę z pochwy wychwycić zdołał, pięścią na odlew machnął, ale i pięść mu w kleszczach jakiejś dłoni awięzła, siódła się konwulsyjnie lewicą złapał, w tem dziki wrzask rozdarł mu uszy, pięść mu puszczone, a kobyła zębami z ramienia napastnika kość z pod munduru obnażyła. Wartałowicz uwolnioną pięścią twarz żołnierzowi strzaskał i cofnął się pod naciskiem bagnatów. Cała gromada krzepkich, silnych i odważnych rosyjskich piechurów parła w tę stronę. Sierżant pełną ku niemu karabinem, Wartałowicz szablą bagnet z lufy zdarł, lecz zobaczył przed oczyma śmierć. Trzy sztyki błyszczące wysunęły się ku niemu. W tem: bij! bij! zawołały dwa młodziutkie głosy i dwa młode chłopaki wsunęły lance między jego piersi i bagnety, podbiły te i odbiły od jego piersi. Młodszy dostał pchnięcie w lewe ramię, ale nie spadł tylko cugle puścił, starszemu wbił bagnet świeżo nadskakujący żołnierz w kark koński. Koń także nie padł. Wartałowicz szablą głowę

komuś przewalił. Ale cofali się we trzech, ledwo się opędzając. Minutę zresztą tylko trzymali się razem. Olgierd... Witold! — zawołali chłopcy. Ten, który nazywał się Witold, bronił się wraz z Wartałowiczem, drugiego odepchnięto i zamroczył się w bagnietach.

Straszny żal się go Wartałowiczowi zrobiło — i jednego i drugiego. Zdarł kobyłę cugłami — mach mach! — dwu piechurów przewrócił. Ruszył naprzód, na bagnety, zakrwawiło mu się w oczach, coś dziwnego się z nim stało, uczuł próżnię w koło siebie, potem stracił czegekolwiek czucie...

*

*

*

Szósty pułk ułanów, powiedziony do szarży, pracował w pocie czoła, jaśniejącego blaskiem męstwa. Pod majorem Suchorzewskim, tym, który pierwszy wpadł przed Napoleonem i całą armją do Wilna i Wilno z końca do końca ze szwadronem przeleciał, trzy konie zabito, on sam ranę odebrał. Komendant obu pułków, szóstego i ósmego, żołnierz z pod Kościuszki i Dąbrowskiego, generał Niemojewski, ciężko został raniony.

Mimo strat i mężnego oporu, zwyciężył jednak w pierwszym tem spotkaniu szalony „król konnicy” — Ostermann cofał się pod Witebsk, gdzie osłoniąca przezeń stała armja Barclaya de Tolly.

Napoleon parł naprzód. Chciał bitwy — bój pod Ostronem dla obopólnych sił był potyczką. Ujrzał nazajutrz przed sobą za rzeczką Łuczycą

80,000 Rosjan. Nareszcie! Stali w pełnej odwagi postawie, w silnej pozycji. Będą bronili Witebska!

I choć była dopiero jedenasta rano, kazał trąbić na spoczynek, zaprzestać ataku. Wjechał między tyraljerów na front, na wzgórek, gdzie mu podano śniadanie. Ustawiono mu szybko stolik polowy, srebrną na nim zastawę i przyniesiono piezzonego kapłona, chleb i pół butelki Chambertina. Zdarzyło się przy tem, że lokaj w chwili, kiedy nalewał wino, w bok kulą rosyjską dostał i zwałił się poza krzesło cesarza z butelką w ręce.

— Zabity?—zapytał Napoleon, zwracając się za siebie.

— Tak jest, najjaśniejszy panie — odpowiedział adjutant, generał hrabia Narbonne.

— Oblał mi mundur z tyłu?

— Nie, najjaśniejszy panie; uważał.

— Hm — rzekł po chwili Napoleon, któremu inny kamerdyner nalewał Chambertina — tu się ze mną inaczej obchodzą, jak pod Aspern na wyspie Lobau na Dunaju. Poszedłem na brzeg, z za drzew, nie pamiętam już z kim z generałów, oglądać pozycje austriackie. A z drugiego brzegu Dunaju zdejmuję kapelusz jakiś oficer arcyksięcia Karola, macha nim do mnie i woła: najjaśniejszy panie! tu nie dla ciebie miejsce! Cofnij się, bo cię zastrzela!... Nie wiem, czy mu potem arcyksiążę i mój teść byli wdzięczni za to ostrzeżenie pod Wagram. Narbonne—kieszek wina?

— Z miłą chęcią, najjaśniejszy panie. Za zdrowie Piotra Pawłowicza, który mierzy w mój

kieliszek. Sire!—zwrócił się Narbonne z dworską galanterją do Murata, który właśnie nadchodził.

Napoleon wstał żywo naprzeciw swego szwagra ze słowami:

— A więc nakoniec będziemy mieli jutro bitwę! Kazałem zaprzestać ataku, aby zrekonoskować i doczekać się reszty korpusów armji.

— Najjaśniejszy panie — odpowiedział Murat—żołnierze się dziwią. Dognali nieprzyjaciela, który ich mordował ucieczką i nagle mają stać.

— Do jutra! Piąta rano! Słońce z pod Austerlitz!

— Barclay się znowu cofnie. Doczeka nocy i ucieknie.

— Będzie bronił Witebska, zobaczysz. Nie obroni go, to inna sprawa, ale nie może nas puścić bez bitwy dalej. Byłby skompromitowany. Musi dać czas Bagrationowi dojść do Orszy. Jego osłonił Ostermann, on z kolei musi osłonić Bagrationa.

— Więc nie atakujemy? Nim ucieknie? A robi to napewno!

— Nie.

Murat wściekły oddalił się i kazał postawić swój namiot nad brzegiem Łuczycy, prawie w środku nieprzyjaciół.

— Murat jest pierwszy kawalerzysta—mówił Napoleon do adjutantów—ale na strategji nie rozumie się nic a nic.

— Jednak jego królewska mość, król Neapolu, miewa instynkt—rzekł któryś z generałów.

— Miewa, ale w tym wypadku nie może być inaczej. Barclay nie może nie zasłonić Ba-

grationa i skompromitować się oddaniem Witebska bez boju. Mowy niema o tem.

Cesarz wsiadł na konia i ruszył oglądać i rozpoznawać teren jutrzejszej walki.

Jednak nazajutrz rano ośmdziesiąt tysięcy armji rosyjskiej nie było za Łuczycą.

Napoleon nie chciał wierzyć przysłanym z wieścią o świcie adjutantom Murata. Kazał posuwać się wolno, ostrożnie, przewidywał zasadzkę.

Murat kłął na czem świat stoi.

— Czas się tylko traci! — powtarzał. — Tu nikogo już niema!

Napoleon czas tracił wjechał powoli w sam środek obozu Barclaya de Tolly.

Obóz był pusty.

Napoleon stłumił wykrzyk podziwu, ale niemniej zdumiał się. Rzekłbyś, że zwyciężony dawał przykład zwycięzcy.

Obóz, założony z największą sztuką wojenną, opróżniono tak, że nie pozostała w nim jedna paczka gwoździ do podków, jedna onuczka do butów; żaden nawet ślad, w którą stronę ruszono.

Jaką była niezrównana symetria, kunszt w założeniu obozu, taki był niezrównany porządek wyjścia z niego.

Sztab Napoleona stanął bezradny; cesarz przygryzł usta. Murat przysłał mu jedyne go żołnierza rosyjskiego, którego znaleziono śpiącego pod krzakiem.

— Barclay musiał dostać wieczorem jakieś wiadomości od Bagrationa — rzekł Napoleon krótko. — Nie może inaczej być.

— Król Neapolu — ośmielił się zacząć któryś z marszałków.

— Król Neapolu nie nie wiedział! — krzyknął Napoleon. — Marsz! W pogoń!

Poszła więc bez celu armja w pogoń za Barclayem, podług rozkazów; sześć godzin brnęła w piasku, w czas spiekoty słonecznej, a gdy noc zapadła, umierając z głodu i pragnienia, znalazła wodę w błocie. Cesarz, prawie biały na twarzy z gniewu i trudu, rozkazał rozbić namiot swój na dziedzińcu jakiegoś zamku. Zgromadzili się koło niego szwagier król Neapolu, pasierb Eugenjusz Beauharnais i szef sztabu jeneralnego Berthier.

Nikt nie śmiał się odezwać.

Napoleon wstał i zaczął chodzić po namiocie z rękami w tył założonemi. Nagle stanął przed Eugenjuszem i ozwał się do niego, jakby nie mogąc zapanować nad własną myślą:

— Ładnie się zaczyna, co? Bagration wymknął się Hieronimowi z pod Grodna, a Barclay de Tolly nam z pod Wilna. Myślałem, że dotychczas armji rosyjskiej już nie będzie.

— Mogło jej nie być — rzekł Murat.

Napoleon popatrzył nań złośliwie.

— Tak, żebyś ty był dowodził i tu i tam!

Murat umilkł. Cesarz począł znowu chodzić nerwowo.

— Mnie samemu już drugi raz wymyka się z rąk ta przekłeta armja! — wyrzekł jakby do siebie.

— Jak myślisz — zwrócił się nagle do Berthiera — dokąd poszedł Barclay?

Berthier ruszył ramionami; on był od tego, żeby słuchać rozkazów.

— Nie wiem, najjaśniejszy panie.

— A ty wiesz Eugenjusz?

Eugenjusz Beauharnais uczynił gest podobny, jak książę Berthier.

— A jego królewska przewidująca mość król Neapolu?

Murat rzucił zuchwały wzrok na cesarza, ale zgasił go w oczach równie szybko, jak go zapalił, i odpowiedział:

Może poszedł nad Dźwinę, na lewo.

— Albo na Smoleńsk, na prawo — rzekł Napoleon.

Murat zawahał się, Napoleon roześmiał się z niezbyt ukrytem lekceważeniem i począł znów krążyć po namiocie.

— A jednak muszę ich zmusić do stanowczej walki, muszę ich zgnieść! — mówił do siebie.

— Berthier — podjął po chwili — trzeba będzie wszystko zorganizować na Litwie: pobudować szpitale, założyć magazyny, powyznaczać punkty spoczynku. Linja operacyjna będzie miała setki mil.

— I tak mieliśmy iść do Moskwy — zemścił się Murat.

Napoleon stanął. Usta zadrgały mu. Chwilę jakby ważył grom w ustach, ale ograniczył się do syknięcia raczej z gniewu, niż słów wyraźnych:

I pójdziemy!

— Teraz jednak — podjął znów do Berthiera — czy nie lepiej nam tu przystanąć? Murat! Co z twoją kawalerją?

Murat zaczerwienił się, zmieszał i milczał.

— Nie wiesz? Pościg jazdy? — wychylił się za namiot. — Turenne! Belliard!

Adjutant, młody hrabia de Turenne, pobiegł po dowódcę jazdy, generała Belliard.

— Jazda z pościgu? — zapytał Napoleon wchodzącego generała.

— Kawalerzyści wlekli konie piechotą po piasku za uzdy, najjaśniejszy panie—zameldował Belliard.

— Kozacy?

— Przewracali naszych.

— Ah, ahl... Stan?

— Sześć dni marszu dalej, jesteśmy bez kawalerji, najjaśniejszy panie.

— Zatem Barclay od Dźwiny przez Witebsk, Bagration od Berezyny przez Bobrujsk połączą się w delcie tych rzek. Dobrze! Tam ich złapiemy! Ha! żeby konie kawalerskie miały skrzydła! — zawołał Napoleon!

— A piechota buty siedmiomilowe — mruknął Murat.

— Tak, tak, natenczas wszystko postępowałoby tak szybko, jak moja myśl, i armja rosyjska nie istniałaby już dotychczas! Ah! Gdyby wszystko mogło postępować tak szybko, jak moja myśl! — mówił cesarz z niecierpliwością, z zapałem, z tragedją w głosie.

Niezadługo wielka armja cesarska wkraczała do pustego i niebronionego Witebska, pełnego dymu z płonących magazynów rosyjskich. Na ulicach nie witał nikt.

— Tu niema już Polaków — rzekł Napoleon ze smutkiem i troską, jadąc przez wyludnione ulice.

Zdawało się, że zrażony powitaniem zechce ruszyć odrazu, pomimo wszystko, dalej. Lecz

gdy jeden z pałaców miejskich obrał sobie na kwatere, refleksja poczęła ogarniać jego umysł. Brzęcząc ostrogami przeszedł się kilka razy po pokoju nowej siedziby, poczem nagle odpasał szpadę, rzucił ją mocno na stół, zasłany już mapami, i oświadczył:

— Zatrzymuję się! Chcę rozpoznać się w położeniu, skupić siły, dać wypocząć wojsku i zorganizować Polskę. Kampanja 1812-go jest skończona! Reszta na rok 1813-ty!

Wyjrzał przez okno.

— Te murowane domy tam, przed pałacem, zwalić — wskazał księciu Berthier. — Zastanawia front. Tak, tak. Nie popełnie głupstwa Karola XII-go. Przechimujemy w Witebsku. Urządzą tutaj dwór. Ambasadorowie mają tu przyjechać. Rozkażę przysłać tu aktorów z Paryża, a publika przyjeżdżać będzie z Wilna i z Warszawy. Teatr, reduty, koncerty, bale, jak w stołecy. Na przyszły rok będziemy zimowali w Moskwie, w 1814-ym w Petersburgu. Wojna rosyjska trwa trzy lata.

Ten frazes rzucił dla słuchaczy. Pewny był propozycji pokoju ze strony cesarza Aleksandra.

— Narbonne, co się tam jeszcze dymi? — zapytał nagle.

— To? — odpowiedział hrabia do Narbonne. — Bagatel! Zaraz zgaśnie.

— Resztki magazynów rosyjskich? Nie ogłódzą nas! Scytyjska metoda wojowania! Do roboty Berthier! Rozkazać gwardji ufortyfikowanie murów. Rozciągnę linję wojenną od Rygi, którą trzeba zająć, do Połocka, dwieście mil. Organizacja Litwy, powstanie w Polsce. Działanie

powolne, zamiast nagłego zwycięstwa. Niema już trudności wyżywienia wojska; kraj je wyżywi. Garnizony Mińska i Wilna komunikować się będą bez przeszkody z Witebskiem. Wszeikie dystansy pomiędzy poszczególnemi karpusami armji są na ziemi przyjaznej i gotowej do pomocy. Rosja z pierwszym krokiem inwazji francuskiej utraciła połowę swych podbojów, których nie śmiała i nie będzie śmiała bronić. Dajcie mi jeść!

Szybko, dyktując polecenie, jadł cesarz obiad, dyktował je dalej przy czarnej kawie, do Paryża, Wilna Warszawy, Gdańska i rozrzuconych na sieci setek mil kwadratowych korpusów armji, które rozwieźć mieli kurjerzy.

Poczem zwrócił się znów do otoczenia:

— Tu jednak niema już Polaków!

Narbonne spojrzał na niego ze smutkiem; już w Wilnie zaledwie dwadzieścia osób ze szlachty dało się zgromadzić, jako asysta honorowa. Magnateria nie mogła się pozbyć obawy przed powrotem Rosjan. Wierzyła w to nierównie więcej, niż w warszawskie słowa Matuszewicza, akt warszawskiej konfederacji generalnej i jej prośbę do Napoleona „aby raczył osłonić swą opieką kolebkę odradzającej się Polski“.

— Czy niema tu nikogo z miejscowego obywatelstwa? — zapytał Napoleon.

— Owszem, najjaśniejszy panie—oświadczył hrabia de Narbonne—nawet w pałacu jest księżę Ogiński.

Napoleon podniósł głowę.

— Ogiński? Jakto? Michał Ogiński uciekł przede mną z Aleksandrem do Petersburga.

— Te też nie ten, inny, najjaśniejszy panie.

— Ogiński pisał do mnie list przez Sułkowskiego, szesnaście lat temu. Ale teraz przestał we mnie wierzyć.

Wzgardy i lekceważenia pełny uśmiech zarbił na moment usta cesarza.

— Przyprowadź go tu, tego innego Ogińskiego.

Wprowadzony przez hrabiego de Narbonne, wszedł książę Ogiński, człowiek stary, poważny, stryjeczny księcia Michała, i skłonił się głęboko.

— Książę Ogiński?—ozwał się cesarz krótko.

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Co mówią na Litwie?

— Czy mogą być szczerzy, najjaśniejszy panie?

— Tak. Proszę o to.

— Zbroją się na wezwanie waszej cesarskiej mości, ale obawiają się Rosji —powiedział Ogiński.

Napoleon nie dał poznać wrażenia spowodowanego temi słowy.

— W Polsce? — pytał dalej.

— Widziałem się ze szlachtą z Korony. Mówili, że gdybyś był, najjaśniejszy panie, ogłosił urzędowe powszechne unicestwienie rozbiorów i rekonstytucję dawnej Rzeczypospolitej, 300.000 wojska stanęłoby pod bronią.

— Byłbym miał wojnę z Austrią i Prusami. Dziś są to moi sprzymierzeńcy.

Bonaparte pomimowolnie spojrział na Narbonne'a; przypominał sobie, że mówił mu, iż Austrię możnaby odszkodować za Galicję i Illyrję, a że o Prusy nie dba.

— Tak, tak — powtórzył — byłbym miał wojnę z Austrią i Prusami. Zresztą Polacy są lekkomyślni. To jest naród jeszcze lekkomyślniejszy

od Francuzów. Kochają po francusku wolność i niepodległość, ale nie mają ani wytrwałości francuskiej, ani uporów. Wszystko entuzjazmem i skokami. Szeroki plan, gdzie wielki i mały narażać się musi na nieprzewidziane niebezpieczeństwa, przechodzi moralne siły Polaków.

— Daliśmy dowody — podjął Ogiński.

— Tak, tak — przerwał mu Napoleon — daliśmy dowody, nie biorąc Moskwy, kiedy ona was wzywała, a nie umiając jej odeprzeć, kiedy ona przyszła. Leszczyński, Sasi, trzy rozbiory, targowica — oto są wasze dowody.

Ogiński schylił głowę.

— Oto na jakiej wartości i sile moralnej miałem się oprzeć — kończył Napoleon. — Ruszyć na Rosję, mieć z tyłu wojnę z Austrią i Prusami i oprzeć się na Polakach? Piękna perspektywa! Zresztą nie uznaję was godnymi niepodległości, dopóki się nie okażecie jej godnymi, powstając sami przez się wszędzie, we wszystkich waszych dawnych prowincjach.

Ogiński odpowiedział:

— Polacy powstaną wszędzie, gdy ty, najjaśniejszy panie, ogłosisz powszechną ich niepodległość.

— Ogłoszę, gdy powstaną — odpowiedział Napoleon.

— Błędne koło — mruknął hrabia de Narbonne.

Konfederacja generalna, zawiązana w Warszawie, ofiarowała ci wszystko, najjaśniejszy panie — rzekł Ogiński. — I twe słowa, sire, wyrzeczone do deputacji warszawskiej w Wilnie, nosimy wszyscy w sercu wyryte. Powiedziałeś

- Wybickiemu: Opatrzność pomyślnym skutkiem uwieńczy świętość waszej sprawy.

Napoleon zachnął się niecierpliwie.

— Tak, tak! A Polacy z Wybickim, Tomaszem Ostrowskim, Konstantym Czartoryskim, Stanisławem i Aleksandrem Potockim i Stanisławem Zamoyskim na czele uczuli się obrażeni, że nie chciałem wziąć na siebie względem Polski roli tej Opatrzności i powiedzieć: tak a tak się stanie! Przecież ja także tylko jestem człowiekiem! No i co? Księstwo Warszawskie dało mi armję linjową, ale poza tem co? Gdzie są jakie rezerwy, zapasowe kadry? Litwini się boją, a Polacy więcej krzyczą, niż co robią naprawdę. A nie tylko krzyczą, bo i płaczą swoim zwyczajem. Wszystko, co zrobili, to przez mego ambasadora, Pradta. Pradt zrobił wszystko. Gdyby nie Pradt i Poczciwy Fryderyk August saski, to i w Warszawie nieby nie było! Najdzielniej znaleźli się wasi dawni Tatarzy. Jakżeto? Az — Az —

Berthier wyjął z za munduru notes i począł czytać nazwiska:

— Maciej Azulewicz, Samuel Murza Achmatowicz, Abraham Murza Korycki, Samuel Ulan.

— O, o! — podjął cesarz. — Ci wam dają przykład zdeterminowanej odwagi i dzielności. Nie wierzę w bohaterstwo słowiańskiej krwi. Nie jesteście rasą przeznaczoną do wielkich działań. Odsiecz Wiednia była epizodem Słowiańszczyzny, momentem. Czy jest gdzie drugi naród na świecie, któryby się tak dał rozebrać, jak Polska, albo tak pozwalał wchodzić w swoje granice państwowe, jak teraz Rosja? Bez bitwy?

Zwrócił się oczyma do hrabiego de Narbonne, wyzywając go, jego, który tak dobitnie manifestował był jeszcze w Paryżu i potem obawę wobec wojny z Rosją.

Narbonne milczał.

— O czem myślisz de Narbonne? — spytał cesarz.

— Słucham — odpowiedział generał.

— No to ja odpowiem za ciebie: myślisz o idach marcowych Cezara.

Roześmiał się, wstał z krzesła i, skinąwszy głową, przeszedł do sąsiedniej komnaty pałacu.

* * *

Ja cię kocham, moja Wikto,
albo i ja, albo i kto,
albo i kto, albo i ja,
albo cała kompanija, rach! ciach! ciach! —

wysławiał z plastrem na gębie Antek Jamrozowski, rwąc do jakiegoś ognistego mazura, którego Makuch grał na harmonji, Białorusinkę, Swentynę, czy Tatjanę, służącą w karczmie.

Toż co? — broniła się dziewczyna, nie mając pojęcia o tańcu, do którego ją zapraszano.

Nie pytaj się: toż co? toż co?
bom nie dzikim zaporozcą;
jak cię wytnę w bok, sobako,
zara będzie: tako! tako — rach! ciach! ciach!

improwizował Antek.

Porwana w tan Swentyńska, czy Tatjana, poczęła podskakiwać i uganiać się z Antkiem Jamrozowskim po izbie, rechocząc przez białe zęby.

— Mości panowie ślacha! Wszystkie pary! — komenderował Antek.

Złapał więc ułan Kułszycki z pod Brześcia córkę Żydówki, a ułan Lipkoń z Pragi za Wisłą samą starą Żydówkę do tańca.

Rach, ciach, ciach! Rach, ciach, ciach!

wykrzykiwał Antek.

A że pary do pary brakło, porwali się razem dwaj ułani, Skrobik i Toczykiewicz, i poszli za poprzednimi.

W alkierzu zaś, za ścianą, Wartałowicz patrzył w cudną twarz i cudne oczy, co się nad nim schylały, i czuł białe ręce, co mu zmieniały bandaż.

Rypnął go ktoś kolbą w dach od czaka, aż dach i czako zniął, a jego zamroczył do znaku. Już nic nie wiedział, jak dostał się do alkierza w karczmie żydowskiej w Witebsku. Leżało obok niego dwóch ułanów. Buła z przebitym brzuchem i drugi ułan, kaprał z szóstego pułku, oraz kilku innej broni rannych żołnierzy. Lekarz Francuz się pomiędzy nimi uwijał i cudowna blada pani w czarnej sukni. Mówiła po polsku.

Lepiej ci? — zapytała Wartałowiczowa, zmieniając mu okład i widząc snadź, że przytomnie patrzy.

Wartałowicz spojrzał na nią, uśmiechnął się i kiwnął głową.

— Boże mój! Mowę mu odjęto! — zawołała cudna pani.

— On nie gada. Niemowa — ozwał się kaprał, który go znał.

Czarno ubrana pani pochyliła się nad Wartałowiczem.

— Niemowa? Czyś nie ty jechał na moim wozie, dźwigał go za koła?

Wartałowicz skinął głową i znowu się uśmiechnął.

— A więc na toś wędrował— rzekła Teresa Mirska wzruszona i położyła mu rękę na ramieniu.

— Jezus Maryjo! — jęczał Buła.

I zaczął płakać:

— Umre, umre! Umre, umre!

Rach, ciach, ciach! Rach, ciach, ciach!—

huczał Antek z szynkownianej izby.

— Ojej! Ojej! — jęczał Buła. — Jezusie Maryjo, ratujcie mnie! O! O! Ratujcie mnie wszyscy święci!... Księdza...

Wtem gwar podniósł się w wielkiej szynkownianej izbie.

Dajcz ferfluchte Bajer z Saksem!
Jak nie, to w mordę szuwaksem!

grzmiał Antek Jamrozikowski podniesionym i podnieconym głosem.

Przez nagle pchnięciem niespodzianem odchylone drzwi ujrzała Teresa Mirska pomimowoli rzecz wysoce niepospolitą: Antek Jamrozikowski, nie przestając tańcować i nie puszczając z objęć Swentyny czy Tatjany, dźwignął nogę w hołubcu wyżej głowy i walącego się nań z pięściami dragona, Bawara, trącił wewnętrzną stroną prawej kostki w lico, aż Bawar gruchnął na podłogę.

— Wiwat! Warsiawskie dziecko! — zawyli ulani.

Dragon zerwał się z podłogi, a już innych pięciu czy sześciu gnało mu z ławy z za stołu na pomoc. Antek Jamrozikowski kopnął delikatnie Swentynę czy Parasnę w tył i stanął w walecznej postawie, Kulszycki, Lipkoń, Skrobik i Toczykiewicz toż samo, a Makuch grzmotnął harmonją w łeb jednego z dragonów i skoczył ku swoim.

Teresa zatrzaskała drzwi.

Kłatwy i krzyk żołnierzy, pisk i wrzask Żydów i dziewczek napelniły jej uszy. Zatuliła twarz rękami.

Łomotanie się jak szybko powstało, tak szybko ucichło. Harmonja znowu zagrzmiała. Rach, ciach ciach! — wytupywał Antek Jamrozikowski.

* * *

— No i cóż? No i cóż?—pytali żywo przybyli za Ogińskim Poletyło i Korsak wychodzącego z apartamentu do wstępnych salonów cesarskich Tyszkiewicza, który również znalazł się w Witebsku, szukając cesarza, przedstawiony mu jako kuzyn siostry Poniatowskiego w Paryżu.

— Nic — odpowiedział smutno Tyszkiewicz.

— Jakto nic?!

— Jest niepojęty. Chce, abyśmy wywołali powstanie na Wołyniu, pomogli Schwartzenbergowi wypędzić stamtąd Tormassowa, ale nie chce dać ani jednego miliona na uzbrojenie Litwy i robi wrażenie, jak żeby mu jakikolwiek ruch na Litwie był zupełnie obojętny.

Poletyło, Korsak i Ogiński popatrzyli na siebie z przykrem zdziwieniem.

— Jakże cię przyjął?

— Nie można zimniej. Zauważył, że schu-
dłem od czasu, kiedy innie widział w Tuilerjach.

— To wszystko?

— Wszystko.

— Panowie skonsternowani? — ozwał się
podchodząc grzecznie hrabia de Narbonne. —
Wątpię, żeby cesarz tu naprawdę został. Już roz-
kazy fortyfikacji zostały zawieszone. Czy można
sobie wyobrazić cesarza Napoleona siedzącego
ośm miesięcy w Witebsku?

— De Narbonne! — dał się słyszeć głos cesarski.

Jenerał skłonił się uprzejmie panom litew-
skim i wszedł do gabinetu Napoleona. Zastał go
w irytacji.

De Narbonne — rozpoczął cesarz — co po-
wie Europa? Europa, którą przyzwyczailiśmy do
podziwu i przerażenia? Co powie, widząc nas
zatrzymujących się tu, u granic dawnej Polski,
w zakazanej jakiejs mieścinie, zwanej Witeb-
skiem? Napoléon à Fitepsque. Gdzie jest Na-
poleon? Napoléon est à Fitepsque. No?

De Narbonne milczał.

— Fitepsque! Fitepsque! — powtarzał cesarz
w podrażnieniu z umyślnym akcentem. — Na to
tu przyjść, z Paryża, aby zimować à Fitepsque....
Zwyciężyć bez bitwy i zdobyć Fitepsque.
Nie, zbyt śmieszne. Po Medjolanie, Rzymie,
Madrycie, Berlinie — Fitepsque. Zbyt śmieszne!
Kto słyszał o Witebsku?!

Naprzód, naprzód! Tylko w pochodzie na-
przód jest dla nas cel!

Począł krążyć po salonie i mówić szybko.

— Świat musi się zdziwić. Musi zobaczyć
znów nad nami słońce chwały. Polityka tego

wymaga. Cesarstwo powstało z chwały i oparte jest na chwale. Zatrzymać się, to znaczy się cofać. Nam nie wolno stawać. Większe jest niebezpieczeństwo w tem zatrzymaniu się bez żadnej racji w triumfalnej drodze, niż w pochodzie naprzód. Wierz mi, de Narbonne. Czy mam się ośmieszyć w oczach świata, że spędziłem z połowy Europy pół miliona wojska, aby zamieszkać w tej dziurze litewskiej, czy ruskiej? Aleksander proponuje mi pokój. Ale nie przysłał mi propozycji pokoju do Witebska. Gdybym tu stanął, zdyskredytuję się wobec generałów rosyjskich. Barclay de Tolly i Bagration czekają nas pod Smoleńskiem. Tam muszą przyjąć spotkanie. Po zwycięskiej bitwie możemy zatrzymać się w Smoleńsku i tam poczekać do wiosny 1813-go roku. Ale po zwycięskiej bitwie. To będzie co innego. Wtenczas Smoleńsk stanie się najgłośniejszem miastem w Europie.

Stanął, założył lewą rękę w tył, prawą za mundur na piersiach, milczał chwilę i znowu zaczął jakby pod prądem nowej fali myśli, która zatarła poprzednią:

— W armji jest dysenterja. Nawet w gwardji. Lepiej jest być w obozie, niż w szpitalu. Musimy iść naprzód. Ah! Moskwę zająć! Narbonne! Tego roku jeszcze! Tej jesieni! Zawsze maszerowaliśmy nagle, prędko, porywczo! W tem leży moja siła. Mam teraz, po tylu zwycięstwach, zmieniać taktykę? Szukać nowej metody bojowania?... Moskwa... O—to jest miejsce godne ze strony Aleksandra propozycji pokoju. W Moskwie oczekiwać ambasadorów cara rosyjskiego z propozycją pokoju, jakiegoś Dołgorukiego, Bu-

turlina, czy Naryszkina. To jest godne mnie, mojej chwały.

— Najjaśniejszy panie—odezwał się de Narbonne—intendentura skarży się na coraz większą trudność wyżywienia wojska.

— Więc tembardziej naprzód!

— Armja jest już zdziesiątkowana trudami, głodem, chorobami, bez wojny.

— A więc tembardziej, tem rychlej naprzód!

Otworzył drzwi do sąsiedniego salonu, w którym siedzieli zgromadzeni: szef sztabu Berthier, wielki koniuszy ambasador francuski Caulaincourt, jenerałowie: Mouton hrabia Lobau, Duroc i hrabia Daru, oraz król Neapolitański Murat.

Powstali na widok Napoleona.

— Panowie, co czynić? Zatrzymać się tu, czy iść dalej?—zapytał Napoleon.

Gdy nikt nie zabrał głosu, odezwał się książę Friulu, wielki marszałek pałacu Duroc:

— Najjaśniejszy panie, ani w Smoleńsku, ani nawet w Moskwie nie doczekasz się pokoju; będziesz tylko dalej od Francji. Pokój uciekać będzie przed nami, jak bitwa i dłużej jeszcze. Bitwę będziemy mieli, ale gdy nasz żołnierz będzie upadał ze znużenia, a połowa naszej kawalerji będzie bez koni. Zwyciężymy, ale oni się cofną. Cofną się i wzmocnią posiłkami, ponieważ będą u siebie w domu, podczas gdy my nie będziemy mieli skąd brać posiłków.

Napoleon przeszedł oczyma na Caulaincourta.

— Pieczone ziarna zielonego żyta nie powstrzymają dysenterji—rzekł Caulaincourt.

— Berthier?—zapytał cesarz.

— Najjaśniejszy panie—odpowiedział książę Neufchatelu — rozłożyłeś kampanję rosyjską na lata trzy.

Wtem niepytany ozwał się Murat niecierpliwie.

— Jestem najprzeciwniejszy pozostaniu tu! Zwyciężaliśmy wszędzie, zwyciężymy i teraz! Kto się boi, niech wraca!

Napoleon spojrzał na niego z wdzięcznym wyrazem oczu; nieporozumienie z pod Ostrowna zostało wyrównane.

— Moi panowie—rzekł, siłąc się na spokój—powodów opuszczenia Witebska i marszu na Moskwę jest mnóstwo. Między innemi i ten: ja zawsze atakowałem. Dać się atakować wydaje mi się równie niegodnem mnie, jak niebezpiecznem. Nie mam doświadczenia w defenzywie i nie odpowiada ona moim zdolnościom wojennym.

— Więc marsz stąd i koniec! — zawołał Murat. — Choćby djabła przyszło wziąć za rogi.

Wtem we drzwiach ukazał się kurjer. Napoleon postąpił żywo ku niemu. Kurjer podał mu pakę popieczętowanych listów. Cesarz rozrywał pieczęcie nerwowym ruchem, przebiegał momentalnie papiery wzrokiem i rzucał je na ziemię. Nagle zbladł.

Wszyscy drgnęli pomimo woli.

— Bernadotte — ozwał się Napoleon z wysiłkiem — zawarł z Rosją przymierze. Niema już kwestji finlandzkiej i od strony Szwecji Rosja jest bezpieczna. Pokój turecko-rosyjski został przez Wielką Portę ratyfikowany. Armja naddunajska Czyczagowa, wolna obecnie, może nam przeciąć komunikacje. Cóż to znów?!

We drzwi wchodził szef szwadronu lekkokonnych, Antoni Potocki.

— Od kogo? — zapytał Napoleon.

— Od księcia Poniatowskiego, najjaśniejszy panie.

— Co książę donosi? Bagration odcięty?

— Najjaśniejszy panie, książę Poniatowski otrzymał w Słucku rozkazy sztabu jeneralnego, lecz ze znacznem opóźnieniem. Zmienił natychmiast dyrektywę na Ihumeń i Mohylów, lecz zastąpić księciu Bagrationowi nie zdołał.

— Przekupstwo! — krzyknął Napoleon, nieprzytomny prawie z gniewu.

Potockiemu uciekła krew z twarzy i zadrgały wargi.

— Niedołęga! — krzyczał Napoleon. — Galant warszawski! Do łóżka k.... warszawskim miód wybierać! Stopień jeneralski odebrać każę!... W jakim stanie wasz korpus? — dorzucił po chwili. Oburzony Potocki wykrztusił:

— Szkorbut, głód, utrudzenie śmiertelne.

— Jaki stan liczebny? — przerwał cesarz.

— Dwadzieścia trzy tysiące.

— Co?! Gdzież reszta?

— Pomarła lub zginęła.

— Dezercja! — krzyknął Napoleon wściekły — ilu was uciekło?!

— Najjaśniejszy panie — odpowiedział z godnością, choć w wojskowym rygorze Potocki — z polskiego korpusu odliczają się tylko trupy.

— Więc tem gorzej dla Poniatowskiego! — grzmiał Napoleon. — Miał rację Sokolnicki, że Poniatowski nie powinien być niczem więcej, jak

pułkownikiem lekkokonnych! Marsz! Możesz odejść!

Potocki salutował i wraz z poprzednim kurjerem opuścili salę cesarską.

— Ah, ah! — zawołał Napoleon, uderzając pięścią w stół. — Czy diabli się sprzęgli! Rosja oswobodzona od Szwecji i Turcji! Poniatowski zdradza! A jeszcze ten upał przekłety!

Ale to nic! Pójdę do Smoleńska! Zajmę go! Stamtąd jest droga do Moskwy i do Petersburga. To jest klucz Rosji. Pójdę równocześnie na obie stolice. Jedną zniszczę do gruntu, drugą zachowam. Moskwa z Petersburgiem nienawidzą się. Rywalizują z sobą. Z tego można wyciągnąć nieskończone korzyści. Gdy zdobędę Moskwę, Aleksander musi mi proponować pokój. A jeśli tego nie uczyni, zaproponuję mi go bojarzy. Nie? — to wejdę w porozumienie z tłumem. Tłum zrozumie swój interes: wolność. Rosja będzie zgubiona!

— Najjaśniejszy panie — rzekł Berthier ze łzami w oczach — rozciągniemy się za nadto maszerując dalej; nastąpi wkrótce także straszna rosyjska zima, podczas gdy tu, w Witebsku —

— Mouton! — zawołał Napoleon z błyskami w oczach.

Chłodna, okrągława, wygolona twarz generała Mouton miała wyraz śmiały i stanowczy.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł — jestem żołnierzem, mówię otwarcie. Ani jakieś wiktuały angielskie wprowadzone do Rosji, ani nawet restauracja jakiegoś Królestwa Polskiego nie są dostateczną racją tej wojny, której ani wojsko, ani my nawet nie pojmujemy ani celu, ani ko-

nieczności i mojem zdaniem należy wogóle za-
trzymać się tutaj.

Napoleon zsiniał z gniewu. Zdawało się, że się rzuci na Moutona. Ze stołu poleciała waza alabastrowa i rozbiła się w drobne kawałki. Zdawało się, że mały jego korpus ogromniał, że żrenice przestały być żrenicami, ale stały się żywym płomieniem. Trzy razy tupnął nogą, coraz silniej, z coraz większą pasją. Nakoniec krzyknął strasznym poprostu głosem:

— Ha do stu tysięcy djabłów! Powozy, konie, liberja, pałace w Paryżu! Fotele i pantofle! Kanapy i szlafroki! Ąbiady i polowania! Z mojej łaski! Za głęboko w złocie was zanurzyłem! Nie chce się wojny! Jasnym panom! Po ogrodach się przechadzać! Z łaski mojej! Z łaski! Z łaski! Z łaski! Za duęo wam dałem! Chce się wracać!

Kroćset tysięcy! — dokończył dusząc się z furji. — W biwakuście się porodzili i w biwaku pomrzeciel

Kopnął drzwi od swego gabinetu i wypadł tam, zatrzasnawszy drzwi za sobą.

Kiedy w parę godzin później wezwany de Narbonne stawil się o zachodzie słońca przed cesarzem, ten na postawionem na środku pokoju łóżku polowem leżał tylko w bieliźnie, z zaciśniętymi pięściami na oczach.

De Narbonne, jesteś? — zapytał.

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Jestem chory. Brałem opium, który mi Méthivier spreparował. Narbonne, trzeba iść na-przód, albo umrzeć. Ale imperator musi umrzeć

na czele. Wtedy nie umiera dla historii... Trzeba raz skończyć tę gorączkę zwątpienia...

— Słucham, najjaśniejszy panie.

Napoleon odjął pięści od oczu.

— Ten upał mnie trawi!... Narbonne, ja nie mogę stąd wracać. Czy oni, Berthier, Caulaincourt, Mouton, rozumieją: kto to jest Napoleon Bonaparte? Bonaparte nie zatrzymuje się po drodze, nie wraca... De Narbonne, nie wiem, czemu nasuwa mi się teraz to wspomnienie... Kiedy byłem w Egipcie, odjechałem od mego sztabu i świty daleko, pod wieczór. Poniosło mnie w pustynię. Gdy się obejrzałem, był za mną tylko jeden trębacz gidów. Miał dobrego konia. Dał mi zjeść i napić się ze swojej manierki. A potem mi powiada: obywatelu jenerale, gdybyś nie miał tak wytrwałego konia, byłbyś został w nocy na pustyni sam.

A ja mu wtenczas odpowiedziałem: Bonaparte nie jest nigdy sam... De Narbonne, czy ty wiesz, co jest wszędzie ze mną?

Hrabia de Narbonne milczał z szacunkiem.

— Moja gwiazda -- rzekł cesarz.

Patrz — słońce zachodzi. Widzisz, jaka jest jeszcze pełna pora lata. Mam przed sobą trzy miesiące czasu. Mniej mi potrzeba było do Austerlitz i Tylży.

Nie obawiaj się Prusaków między Francją a Rosją, zbyt dobrze pamiętają Jenę. Nienawidzą nas, ale jeszcze więcej się nas boją.

Zaawansowaliśmy się zbyt daleko. Kości są rzucone. Nie myśl, że ja nie rozumiem i nie widzę wszystkiego. Zwycięstwo tylko może nas wyzwolić z błędnego koła wahań i wątpliwości.

Bądź zresztą pewny, że prawo fizyczne jest jedno dla wszystkich ciał. Upadek państw przyspiesza się własnym ciężarem. Rosja nie broni się. Ostatnie ciosy nastąpią szybko.

Nie myśl także o kosztach wojennych. Po wojnie z Rosją zwrócę się przeciw Prusom i zmuszę je do zwrócenia kosztów.

Zawołasz mi Berthiera; wydam rozkazy do marszu na Smoleńsk.

Napoleon mówił głosem cichym, łagodnym, prawie słodkim i jakby stłumionym z osłabienia. Hrabiemu de Narbonne przypomniawszy się z Plutarcha opis, gdy tysiące mil od ojczyzny słonecznej, Aleksander Wielki, chory śmiertelnie, rozkazał się przenieść z Babilonu na wyspę wśród fal Eufratu i tam otoczony wodzami i dostojnikami słuchał relacji dowódcy floty, Nearcha, marzył, roił, tworzył i panował do ostatniego tchu swego żywota.

Zali u nowoczesnego Aleksandra Wielkiego dzień dzisiejszy jest tylko zwiastunem przyszłości? — myślał encyklopedysta adjutant cesarza.

W tem zadzwoniły ostrogi. Wszedł Murat. Rozchylone usta, z których błyskały śnieżne zęby, rozognione oczy, twarz w kolorach tłumaczyły, dlaczego zapomniał o etykiecie, wszedł nie mel-dowany i nie wołany. W ręce trzymał dużą ćwiartkę papieru.

— Najjaśniejszy panie—zaczął—czytaj! Oto jest proklamacja rządu rosyjskiego, rządu twego przyjaciela z Tyłży i Erfurtu, rozrzucona po całej Rosji. Przetłumaczył mi ją adjutant Zenowicz. Proszę cię, najjaśniejszy panie.

Napoleon wziął papier w rękę i zaczął czytać półgłosem:

„Wróg, z bezprzykładną perfidją, grozi zniszczeniem naszego kraju. Nasi dzielni żołnierze chcą się rzucić na jego bataljony i rozbić je, ale my nie chcemy ich poświęcić na ołtarzu tego Molocha. Trzeba powszechnego powstania przeciw powszechnemu tyranowi. Zbliża się, ze zdradą w sercu, a prawością na ustach, wprząc nas w legjony swoich niewolników. Wygnajmy tę szarańczę. Z krzyżem w sercu, a żelazem w dłoni! Wyrwijmy zęby tej głowie lwa i obalmy tyrana, który chce obalić świat!...”

— Najjaśniejszy panie—zawołał Murat—czy wobec takich proklamacyj można się tu spodziewać propozycji pokoju?! Czy nie należy raczej obawiać się ofensywy ze strony Rosji?!

— Bez wątpienia — odpowiedział zcicha cesarz, rzucając papier na podłogę.

Nazajutrz rano trąby Napoleońskie obwieściły pochód na Smoleńsk.

Jechał Wartałowicz w szeregu o świcie po rannej rosie. Głowę miał przewiazaną, ale czako po zmarłym w żydowskim alkierzu Bule wdział na nią i zdrów się czuł, jakby cudem przez cudną panią uzdrowiony. Konie raźnie parskwały, ułani zaś śpiewali chórem:

Jak Czarniecki do Poznania
po szwedzkim zaborze,
dla ojczyzny ratowania
wrócim się przez morze!

Marsz, marsz Dąbrowski
do Polski z ziemi włoski,
za twoim przewodem, za twoim przewodem
złączem się z narodem!

I dalej po lasach zroszonych, z boku stojących, szumiała pieśń: .

Mówił ojciec do swej Basi
cały zapłakany:
słuchaj jeno, pono nasi
biją w tarabany!
Marsz, marsz Dąbrowski
do Polski z ziemi włoski,
za twoim przewodem, za twoim przewodem
złączem się z narodem!...

Śpiewali utani; ale Wartałowicz nie śpiewał
razem z nimi. Był niemy.

*

*

*

Pułkownik Toll powziął plan śmiały: zaatakować Napoleona w Witebsku. Jako szef sztabu generalnego przedstawił go połączonym pod Smoleńskiem wodzom: Barclayowi de Tolly i księciu Bagrationowi. Plan zyskał aprobatę. Oficerowie rosyjscy wrzeli chęcią rozprawy, pienili się z upokorzenia i wstydu wobec ciągłego unikania bitwy i ciągłego odwrotu. Korpusy francuskie były rozrzucone, Toll proponował uderzyć w środek, na Witebsk, rozerwać armję francuską i rozerwaną częściami pokonywać. Poparł go znajdujący się w obozie wielki książę Konstanty, poparł go Bagration wbrew opozycji naczelnego

wodza, przewidującego szkoła Barclaya de Tolly. Barclay de Tolly lękał się geniuszu Bonapartego.

Doktorow, Tuczkwow i sam Bagration poprowadzili trzy kolumny. Już 8-go sierpnia Platow z kozakami i Pahlen z regularną jazdą z korpusu Doktorowa spędzili z pola jazdę francuską Sebastjaniego pod Inkowem. Książę Wittgenstein stawiał Francuzom zacięty opór. Murat miał rację: Rosjanie rozpoczęli atak. Ale Napoleon rzucił w powietrze planem ofensywy pułkownika Tolla, jak piłką. Jednym rozkazem armja francuska znikła z przed oczu maszerującego na Witebsk Barclaya de Tolly, albowiem przerzuciła się na lewy brzeg Dniepru i maszerowała na Smoleńsk, skoncentrowana z nadludzką niemal szybkością. Atak rosyjski uderzył w próżnię. Olbrzymie lasy babinowickie zaślonyły oczom nieprzyjaciela flankowy, obchodzący ich marsz wojsk Napoleońskich. Ósmego sierpnia starli się Platow z Sebastjanim: czternastego stał Napoleon ze skoncentrowaną armją 186,000 ludzi pod Krasnem, zagrażając Smoleńskowi i komunikacji armji Barclaya de Tolly z podstawą operacyjną w Moskwie. Pułkownik Toll oniemiał.¹

— Plan pański był znakomity — rzekł doń Barclay de Tolly — tylko że Bonaparte ma zawsze jeszcze znakomitszy.

— Rzeczywiście — zaczął pułkownik Toll, nie wiedząc co powiedzieć — nie sądziłem —

— Właśnie o to szło.

Barclay de Tolly spojrzał na twarz pułkownika.

¹ O genialnym manewrze Napoleona mówią z uwielbieniem wszyscy historycy 1812-go roku.

— Ja nie chciałem — rzekł. — Wielki książę, Bagration, Doktorow, wszyscy chcieliście atakować Bonapartego.

— Wszyscy chcieli ataku — oficerowie i żołnierze — rzekł pułkownik Toll.

— Przyjdzie czas na atak, ale nie teraz. Kiedy Bonaparte nie będzie mógł i nie będzie miał z kim wracać. Flegmy, flegmy i jeszcze raz flegmy! Nie ten zwycięży Napoleona, który go pobije, ponieważ go nikt nie pobije, ale ten, który go wyczerpie.

— Plan wydawał mi się pewny — rzekł Toll.

— Mój pułkowniku. Bonaparte utył, ale nie ścieżał. Niech ci się przypomnia słowa tego kapitana austriackiego z pod Mantui, z 1796 roku: „Wszędzie jest i wszędzie równocześnie, z przodu z tyłu, z boków, nie wiadomo jak się ustawić, aby mu się zastawić! Ta nowa metoda prowadzenia wojny jest wbrew wszelkim regułom, trudno to już wytrzymać, das ist ja unertraeglich, nie do zniesienia!“ Tak się biedne kapitanisko austriackie wzięte do niewoli wyżałało przed Francuzami, a Bonaparte stał mu za plecami i śmiał się po cichu. Bonaparte ma rację, kiedy mówi, że z nim honorem jest nawet przegrać. W każdym razie plan twój, pułkowniku, miał jedną dobrą stronę: upuścił zbyt gorącej krwi naszym rosyjskim paniczom oficerom i przekonał Francuzów, że umiemy się bić. Dziś Napoleon i jego sztab dokładnie wiedzą, z kim mają do czynienia.

— Gdybyśmy go byli jednak rozbili w Witebsku, panie feldmarszałku?!

— Byłoby Aleksander Wielki, Hannibal, Juliusz Cezar i pułkownik Toll — rzekł, śmiejąc się i kładąc poufale rękę na ramieniu pułkownika Barclay de Tolly.



Smutny, pełen gorzkich, niepokojących uczuć jechał Poniatowski na czele swego korpusu, wezwany rozkazem cesarskim z Mohylowa pod Smoleńsk. Zwał się pierwszym ułanem Polski, jak Latour d'Auvergne, którego imię powtarzać miano przy każdym apelu z odzewem „padł na polu chwały!“, pierwszym był grenadjerem Francji. Nie naczelne dowództwo sił polskich, ale to pierwsze ułanństwo Polski, kładło na barki Poniatowskiego ciężką, wielką rękę narodu. Bo naczelnym wodzem V-go korpusu mógł być po nim kto inny, ale on był pierwszym żołnierzem ziemi krwi.

Zachodziło przed nim słońce szeroką, ogromną falą koło kręgu. W czerwieni niebios tonała przed nim kula słońca, złotoogniasta, za brzożami różowemi i sinoponsowemi, schodziła wołno, w bezmierność. Spokojna, pusta równie wchłaniała w siebie słońce płomienne i wojsko, błyszczące, które prowadził. Zda się, za skraj ziemi, w otchłań płomieni.

Las na widnokręgu, od boku, palił się zorzą zachodu, w szezodze purpurowej malował się taśmą olbrzymią — — bez końca.

Tętniło za księciem wojsko...

Jakiż to, jakiż to rycerz ogromny?

Koń pod nim czarny i zbroja na nim czarna...
Skórę lamparcią ma przez kark i drzewo w stal

okute, jawór Achillesowy, w prawicy wzniesione. Hełm w czarnych piórach na głowie mu się pu-
szy — — jakież to, jakież to rycerz ogromny za-
jeżdża księciu drogę, naprzeciw dąży od pustki?

Wewnątrz zwróconemi oczyma widzi go Po-
niatowski.

Dziwny, dziwny los wspólny...

I on z obcym cesarzem wojował, obcemu
cesarzowi służył...

Poznał go Poniatowski.

Wyolbrzymisz że się ty, o książę, do tej
postaci wiekowej, do tej ogromnego rycerza po-
staci?

I on padł, odwrót cesarski zasłaniając, obce-
go cesarza.

Oto jedzie pierwszy ułan Polski naprzeciw
pierwszego Polski rycerza...

Wzdrygnął się Poniatowski w siodle.

Ręką przetarł czoło, spojrzał przed siebie,
w step, nie było nikogo.

A jednak jechał, był tu, naprzeciw niemu,
na karym koniu w czarno-szmelcowanej zbroi
z czarnemi piórami na hełmie, tu, naprzeciw, Za-
wisza Czarny.

Wezbrało dumą serce Poniatowskiego.

A! Choćby mu i los podobny padł!

Choćby, zasłaniając odwrót Napoleona, polec
przyszło, jak tam, nad Dunajem, polec przyszło,
gdy odwrotu przed Turkami Zygmunta Luksem-
burczyka dzielić nie chciał, Czarnemu Zawiszy
z Garbowa.

Ale znał się pierwszym ułanem Polski, znał
się w huf święty wliczon, znał się wśród bohate-

rów. Jeśli padniesz, o książę, a któż cię witać podąży?

Otóż witać podążą dwaj nieśmiertelni, Achilles z Hektorem; oto rękę do ciebie wyciągnie obrońca mostu, rzymski Horatius Cocles; oto Roland, róg Ronsewalu zwiesiwszy na wstędze, witać cię przyjdzie; Gotfryd de Bouillon, krzyżowców wódz, Ryszard Lwie serce, król Anglii i sułtan Saladin; oto wyjdzie naprzeciw Cyd hiszpański i twój polski rodny Czarny Zawisza Sulimczyk z Garbowa, pierwsi rycerze świata.

Książę Poniatowski, zali cofniesz się kiedykolwiek?

Zali jest śmierć, zali jest zguba, zali jest strach, przed którymbyś wyboczył?

W nieśmiertelny huf wejdiesz rycerzy świata, herosów, z Leonidasowego pucharu pić będziesz, a trzystu Spartanów na cześć twoją w tarczy miedziane mieczami uderzy — — Termopylami w echo.

Poniatowski odwrócił głowę. Był sam. Dywizja kawalerji ciągnęła za nim na zmęczonych koniach. Za kępą drzew, w pustce rzuconych, zabielił się dwór, pobok wsi jakiejs stojący. Nie zwracając uwagi pod ogłód mimo jechał książę.

Wtem z za parkanu ogrodu wychyliły się dwie różowe główki dziecinne, potem trzecia, znikły i znów wychyliły ciekawe i zastraszone.

— Dzień dobry! — zawołał Poniatowski.

Główki znikły, jak ścięte, lecz znów się pokazały, z mniej przerażonemi oczyma.

— Swój! Polak! — wołał książę.

— Polak? — zapytał najstarszy chłopczyk.

— Polak.

— Nie Niemiec?

— Ani nic podobnego? — dodała dziewczynka.

— Nic, nic podobnego — roześmiał się książę. — Jest tatuś w domu?

Chłopczyk zawahał się, ale odpowiedział po chwili:

— Jest.

— A mamusia?

— I mamusia.

— I dziadzio, i babcia, i ciocia Bolesia, i mademoiselle. Piją kawę — dodała dziewczynka.

— Pobiegnijcie do tatusia i zapytajcie, czy hrabia Potocki, szef brygady księcia Józefa Poniatowskiego, który tu z wojskiem nadciąga, może odpocząć chwilę i czy kawy dostanie?

— Dobrze! Zaraz! — odpowiedział chłopczyk.

— Ah! To pan jest z wojska księcia Poniatowskiego! — zawołała dziewczynka.

— Pan jest z wojstä księcia Poniatowskiego! — powtórzył najmłodszy chłopczyk.

I wszystko troje pobiegli od parkanu wewnątrz ogrodu ku białemu dworowi.

Książę patrzył za nimi: starszy chłopczyk mógł mieć lat dziesięć, dziewczynka dziewięć, młodszy pięć.

Poniatowski podjechał powoli ku bramie podwórza. Stał w niej już średniego wieku szlachcic z wyżłem przy nodze, w kapocie szaraczkowej.

— Mam honor adjutanta jego książęcej mości witać? — ozwał się serdecznie.

— Potocki—odpowiedział książę. — Pozwól waszmość pan, że się zaprosi na kawę.

— Sercem całem! Sercem całem! — odrzekł szlachcic. — Proszę!

Wjechał Poniatowski w bramę, konia mu parobek wziął, a on sam, przez pana domu prowadzony, do jadalnego pokoju wszedł, gdzie cała rodzina przy kawie zgromadzona siedziała. Pani, dwoje siwowłosych staruszków i młoda panna. Za krzesłem matki stały dzieci. Wszyscy byli wzruszeni zapowiedzianym gościem i powstali na powitanie.

— Jasnie wielmożny hrabia Potocki, szef brygady korpusu księcia Poniatowskiego — rekomendował szlachcic.

— Mości panie hrabio — rzekła, podchodząc ku niemu pani domu, — szczęście to dla nas. Prosimy.

— Pałasz, panie hrabio, choć na moment odepnij — podjął szlachcic.

— Dobrze.

Chciał szlachcic pałasz odpięty własnoręcznie w kącie postawić, ale już stał przy Poniatowskim najstarszy chłopczyk i błagalnie nań patrzył.

Więc Poniatowski odpięta broń w ręce mu podał, a dziecko w obu rękach małych ją trzymało, rozplamienione całe i czerwone, zawstydzone i wzruszone do głębi duszyczki.

— Tadiu, postaw, — rzekł ojciec.

Chłopczyk spojrzał na ojca z wyrzutem, wahał się sekundę, zaniósł pałasz w kąt i stanął przy nim.

Ojciec skinął nań ręką.

— Ja tu — — ja tu — — będę pilnował — powiedział chłopczyk cichutko drżącemi, jak do płaczu, ustami.

Poniatowski dosłyszał, uśmiechnął się doń, a chłopczykowi oczy się zaszkliły.

Podano księciu kawę, a tymczasem dziewczynka wyszła z pokoju. Opowiadał książę, jak na rozkaz Bonapartego po siedm mil dziennie drugi już dzień robią, w dwie dywizje piechoty, szesnastą Zajączka i ośmnastą Kniaziewicza i dywizję kawalerji, podczas gdy siedmnasta dywizja Dąbrowskiego z brygadą kawalerji pchniętą została rozkazem cesarskim na obserwację Bobrujska, oraz osłanianie Mińska przed ewentualną dywersją generała Oertela, stojącego w Mozyrze, gdy pojawiła się przed nim dziewczynka z pękiem kwiatów zerwanych w ogrodzie, świeżych i pachnących, róż, narcyzów, lewkonji i rezedy i położyła mu je z dygiem obok filiżanki. Poniatowski cofając się za rączkę ją wziął i pocałował.

— Charmée—powiedziała, dygając powtórnie

Poniatowski pił kawę, jadł do niej świeżą doskonałą babę i pachniał mu ten polski dwór, cichy i spokojny. Wisiały na ścianach portrety przodków w kontuszach, zbrojach pancernych i mundurach z herbem „Orlą“ w bokach portretów na tle malowanym. Poznał książę dwa mundury—jeden artyleryjski, drugi mundur lansjera, dwaj ludzie młodzi, a portrety czarną krepą obwiedzione.

— Polegli? — zapytał.

— Bracia moi młodszy—odpowiedział szlachcic. — Jeden pod Ulm, drugi pod Saragossą.

Jeszcze tu i trzecią pamiątkę możemy pokazać. Bolesiu.

Bładowa o smutnej twarzy przystojna panna, siedząca naprzeciw, wyciągnęła z za gorsu medaljon, otworzyła i podała księciu.

Poniatowski rzucił oczyma na miniaturę i rzekł:

— Tę twarz widziałem — — ale tak! Ten młodzieniec stał obok mnie trzeci w szeregu, kiedy z karabinem prowadziłem pierwszy bataljon pierwszego pułku piechoty do ataku w lasu fałęckim. On padł —

Cała rodzina otaczała już księcia.

— Dzieci! Wnuki moje! — zawołał siwy starzec. — Patrzcie! Oto wódz z pod Raszyna!

A najmłodszy chłopczyk ukląkł, pocałował wodza w but zakurzony i, podniósłszy ku niemu obie rączki, wypowiedział z zachwytem:

— Tsiąże Józef Poniatowski!...



Wzruszony wyjechał Poniatowski za bramę białego dworu. W ciężkiej, gorzkiej służbie, gdy dla trwania przy Napoleonie odrzuciwszy wszystko, co mu proponował cesarz Aleksander przez Sanguszkę, przez Czartoryskiego, przez pułkownika Tolla, co zdawało mu się spływać tęczowym potokiem pomyślności dla niego, złotym potokiem szczęścia dla kraju, w armji francuskiej narażony był na upokorzenia, lekceważenie, zaniedbanie i piekące wyrzuty cesarza, że o chleb dla wojska się upomina, kiedy o Polskę walczyć idzie, a plany jego pewne, zbawcze i niezawodne wywołania

pożaru w dawnej Rusi polskiej Napoleon jednym zaprzeczeniem zniweczył; gdy duszę jego żarła zhora złych przeczuć i posępnych myśli, te dzieci polskie wyrosły przed nim jak kwiaty na gruzami zapełnionej drodze. Ten chłopczyk tam, pałasza jego w kącie pilnujący, ta dziewczynka ze swoim wyuczonym dygiem i swoją papuzią francuszczyzną, ta polska panna dziewięcioletnia serce mu swoje całe w różach, lewkonji i rezedzie na obrus koło serwety kładąca, ten pięcioletni entuzjasta, ten poeta z wulkanem malutkiego serduszka w piersi dziecięcej:—śliczna godzina życia, lilja pamięci. Książę Józefie, ty dla nas, dla nas idziesz walczyć—mówiły te dzieci—my nie mamy rycerza naszych serc, daj nam dźwięk imienia, od którego zawsze zadzwonią nasze serca, jak od srebra czystego. Niech imię twoje, Józefie Poniatowski, stanie się wzniosłą myślą naszych dusz. My chcemy być szlachetne, bądź nam wzorem. Pomnij, że wszystko można ludziom zabrać, lecz szlachetności duszy zabrać im nie można i że udaje nieprzyjaciół, jeśli szlachetnością duszy pomiata. Pomnij, książę Józefie Poniatowski, że jakakolwiek jeszcze przed nami dola, jakakolwiek tragedję bytu przyszłe nam wieki gotują, my chcemy mieć ciebie, jak naszą ukochaną gwiazdę na oczach, my, dzieci polskie, chcemy mieć swój ideał honoru, męstwa, bezinteresowności, pogardy wszystkiego, co niskie, miłości wszystkiego, co najwyższe godności i bohaterstwa, niezłomności i ofiary, my, dzieci współczesne tobie i te, co po tobie przyjdą, chcemy mieć w tobie rycerza myśli naszej bez trwogi i zmazy.

Pamiętaj o tem dziś, jutro i zawsze i aż do końca, pierwszy ułanie Polski...

W tak głębokiej zadumie jechał ksiązę, iż nie zauważył, że żołnierze jego, przyspieszwszy tempa, tuż za koniem jego się znajdowali.

Ocknął się i ujrzał za sobą z boku swego adjutanta Kickiego w ponsowym mundurze.

— Jesteś? — odezwał się.

— Do rozkazów waszej książecej mości. Na godzinę niemal drogi wyprzedziłeś nas, mości ksiązę.

Chciałem być sam.

— Myślałeś, mości ksiązę, o krzywdach naszego korpusu, jakich doznawaliśmy pod bratem Bonapartego i jakich zapewne przy nim samym doznawać będziemy?

— Nie — odpowiedział Józef Poniatowski — myślałem o Zawiszy Czarnym i dzieciach polskich.

Kicki nie zrozumiał, ale odczuł, że tu jest coś, co jest większe nad myśl codzienną, unilkł i przyciągnął cugle, aby koń wodza niósł go przodem i wyprzedzał wszystkich.

Z cichą dumą i godnością przyjął Poniatowski wybuch nie liczącego się z niczem gniewu, jakim go Napoleon przy zameldowaniu się pod Smoleńskiem przywitał. Zdawało się, że wszystkie błędy brata Hieronima i niepowodzenie komenderującego po Hieronimie marszałka Davout na jego głowę chce zwalić. Huraganem wymowy wykazał wszystkie błędy, nie miarkując się w słowie. Poniatowski tłumaczył się i widział jedno:

że Bonaparte trawiony jest wewnętrzną troską i palony niepokojem.

Unosił się, wymyślał, ale widać było, że przedewszystkiem głuży się sam. Stalowo-błękitne potężne jego oczy rzucały ciemne ognie, nie podobne do zwycięskich wiosennych błyskawic, ale do piorunów posępnej, chmurnej jesieni. Groza w nich była większa jeszcze, ale mocy nieodpartej mniej.

Przed Napoleonem stał za ogromnemi murami Smoleńsk, klucz Rosji, „święte miasto“.

Magazyny napelnione chlebem dla ludzi i furazem dla koni — — spoczynek, dumny, triumfujący sztandar ze złotym orłem na głowie nad paladum rosyjskiego carstwa.

Armje rosyjskie Barclaya de Tolly i Bagrationa uderzyły w próżnię, wahały się, nie było ich pod Smoleńskiem. Rozgrzany zwycięstwem nad zacięciem broniącym się Newerowskim, marszałek Francji Ney kawalerją, jak w Prusach, chciał zdobyć fortecę. Odrzucono go z kulą pistoletową w kołnierzu i kilkuset za nim poległymi huzarami i piechurami. Ney cofnął się i wjechał na wzgórek, skąd ujrzał nieprzejrzone kolumny połączonych już armij rosyjskich, ciągnących na obronę miasta.

Widział Poniatowski Napoleona jak lew pędzącego na wzgórek za Neyem, który po niego zgalopował, a gdy marszałek ukazał studwudziestotysięczną masę rosyjską, widział, jak Napoleon uderzył w ręce, jakby chciał zawołać: mam ich nareszcie!

Potem, pchnięty rozkazem Napoleona, stanął wraz z Muratem w prawem skrzydle armji, przed

sobą mając szeroką równię między miastem, lasem i Dnieprem, gdzie miała stoczyć się bitwa, za sobą wraz z całą armją francuską jary, wąwozy przepaści i, w razie klęski, zgubę pewną.

— Najjaśniejszy panie — rzekł generał inżynierji Eblé do Napoleona — armja opiera się o śmierć!

— Ale przed nią jest życie i zwycięstwo! — odpowiedział cesarz.

Barclay de Tolly, mimo naporu Bagrationa, Bennigsena i wielkiego księcia, znów wywabić się nie dał na pole. Lękał on się genjuszu, którego gromy silne były jak kły słonia, a niespodziane jak ruchy węża. Armja rosyjska nie przyjęła otwartego boju. Napoleon nakazał szturm do miasta.

Wyleciał Poniatowski na czele swoich hufców. Żar płonął w ich sercach. Cesarz na nich patrzył!... Piekły lance, paliły karabiny... Przed nimi był Smoleńsk...

Armja rosyjska ani nie wyszła w bój przed miasto, ani go nie obroniła, ani w nim nie zagrzebała się pod gruzami cegieł i kamieni, wśród wzywającego do konania ryku dział. Uprowadzając mieszkańców, podpaliwszy magazyny, zadawszy kolosalne straty wielkiej armji, Barclay de Tolly opuszczał płonący Smoleńsk.

Złudnie doniósł generał Dalton marszałkowi Davout, że bataljony rosyjskie wychodzą z miasta, oficerowie sprawiają je w szyk.

Znów krwawa róża bitwy zakwitła na moment przed oczyma cesarza.

Belliard rzucił się z kawalerzystami naprzód — bataljony rosyjskie i artylerja posuwały się drogą ku Moskwie.

Gniew, rozpacz, wściekłość poryły twarz Napoleona. Jak wilk ścigany przez panterę, armja rosyjska wymykała się ze strasznej walki.

Szukano brodu na Dnieprze. Belliard chciał z kawalerją odciąć arjergardę rosyjską, szukano brodu, topiono konie, sam Napoleon latał wzdłuż Dniepru na białym ogierze, narażając się na granaty i kartacze, jak szalony, — brodu nie napotkano.

— A więc trzeba będzie przejść Smoleńsk i pójść dalej! — krzyknął, zsiadłszy z konia i rzucając się na łóżko polowe w namiocie.

Naówczas Murat mu odpowiedział:

— Oni nie chcą bitwy! Stańmy już! Dostyc tych wyścigów!

— Nie chciałeś zostać w Witebsku.

— Tak, ale teraz błagam cię, sire, stańmy już! Oni będą cofać się ciągle. Stańmy!

— Nie staniemy. Pójdziemy na Moskwę! — odparł gwałtownie cesarz. — Muszą jej bronić, muszą zostać pobici!

Murat rzucił się na kolana i złożył ręce przed cesarzem.

— Ta Moskwa nas zgubi!

— Nie! Honor, chwała tego żąda! Tam odpoczniemy.

— Najjaśniejszy panie! Moskwa to śmierć.

— Tam tylko mogę stanąć.

— Zgubisz siebie i nas!

— Muszę być w Moskwie i będę!

Ze zwieszoną na piersi głową wyszedł Murat z namiotu cesarza. Lecz wnet oprzytomniał. Dosiadł wierzchowca i w pole, gdzie armaty francuskie podwójnie silna artylerja arjergardy rosyjskiej wśród piekielnego huku gruchotała, w sam środek piekła wjechał. Zatrzymał konia i stanął nieruchomy. Rzucił się ku niemu na spiętym rumaku jenerał Belliard, wołając:

— Królu, zginiesz bez pożytku i bez sławy! Uchodź stąd!

Lecz Murat pchnął konia naprzód.

— On chce zginąć! — zawołał Belliard, łapiąc się dłonią za głowę, do nadbiegłych oficerów swego otoczenia; posunął się jeszcze naprzód, przez ryk armat rzucając krzyk:

— Królu! zginiemy przez ciebie wszyscy!

— A więc cońijcie się i zostawcie mnie samego!

— Niel...

Wówczas Murat zdarł konia, spiął go ostrogami, skoczył na nim w górę, jak w cyrku, i galopem wypadł z pod nawałnicy granatów.

Od 14-go sierpnia, od walki z dywizją Nowerowskiego pod Krasnem, kiedy dziewiąty pułk ułanów z Krzyckimi na czele zdobył 5 armat; z jednym tylko dniem wolnym od boju, na który przypadły właśnie urodziny cesarza, piętnastego sierpnia, przez następne dni: szesnasty, siedemnasty sierpień Zaremba, Kolski, który się szczęśliwie z pod „Zulejki“ pod Ostrownem wydobył i na jakimś koniu ułańskim jeździł, wykurowany Wartałowicz i oplasterzony Antek Jamrozikowski z ognia nie wychodzili. Wywiązała się rycerska emulacja

między ludźmi, których przywiódł Poniatowski z pod Mohylewa, a tymi, którzy od początku kampanji w głównym korpusie przy cesarzu służyli. Obecność Poniatowskiego dodawała bodźca Napoleonowskiemu. To był ich wódz właściwy. Widzieli go byli podczas defilady na stanowiska, na prawem skrzydle obłęźniczem, gdy cesarz, „na przeprosiny“ uprzejmie z nim rozmawiając, ręką go obejmował.

Widzieli go w boju walczącego z bezprzykładnem męstwem. Widzieli Sokolnickiego dwa dni na parapecie dawnej w ziemię zapadłej pozycji armat Zygmunta III-go, wśród ognia, w wichrze kul, spokojnie co godzinę ślącego cesarzowi raport z obserwacji Rosjan nad Dnieprem. Widziało wojsko polskie w ogniu sławnych wodzów, starego Zajączka z Baru, Kniaziewicza z pod Hohenlinden, jenerałów Grabowskiego i Chłopickiego. Był tam nieustraszony podpułkownik artylerji Sowiński, ten, co się miał później poddać „tylko Bogu“. Szał ogarnął polskie pułki. Polskiemися rękami darte są mury Smoleńska, których 150 armat Napoleona zdruzgotać nie może, których „strzelbą swą wedle potrzeby“ Żółkiewski „otworzyć“ nie mógł i niemożność tę królowi Zygmunutowi tłumaczył. Krwią spłynęły polskie pułki. Pułk drugi grenadierów, bagnety pochyliwszy, przez wyłom w ulicy już miasta w twarz wziął salwę dwu armat i setek karabinów rosyjskich. Padli szturm wiodący jenerał Grabowski zabity i ranny podpułkownik Krukowiecki. Owdzie szwadron szwoleżerów polskich z Dezyderym Chłapowskim na froncie osłaniał Napoleona rekognoskującego

okopy i mury Smoleńska pod gromami armat i karabinów rosyjskich. Odparci szarżą flankierzy kozaccy od osoby cesarskiej, gdy granat rosyjski wśródku szwadronu pękł i ludzi z końmi poszarpał, licząc na trwogę wznieconą, hurmem atak przypuścili. Ale cesarz „zrekognoskował, co chciał“ i za lancami szwoleżerów powrócił do obozu.

Smoleńsk, zapalony granatami z zewnątrz, podpalony umyślnie wewnątrz, płonął. Nadeszła noc, a z nią łuna olbrzymia padła na niebo.

Nowożytny Cezar siedział przed swoim namiotem na wzgórzu. Jenerał Mouton hrabia Lobau ze zdobytych już rowów fortecznych rzucał pękające granaty na miasto. Mury dwoiły huk echem. Olbrzymie zawieje i wichury płomieni wznosiły się wśród nastającej ciemności na strop, wiały ku sobie skrzydłami, jak potwory piekielne chyliły się ku sobie, zginały i waliły ku sobie wzajem, przerażające, okropne i groźne. Z wielu stron miasta wyrywały się płomyki, świeciły, błyszczały, jak gwiazdy, migotały, rosły, wydzieirały się w górę różgą ognia i rosły w zawieje i wichury płomieni, zlewając się z morzem jaszkrawo szalejącego pożaru.

Nowożytny Cezar siedział z założonemi na piersi rękoma przed swoim namiotem i patrzył.

Pojawił się przed nim adjutant.

— Co? — zapytał cesarz.

— Najjaśniejszy panie, marszałek Mouton czuje się przerażonym pożarem, który wzniecił; zapytuje, czy ma przestać już strzelać dalej?

— Niel

Adjutant salutował i pognął na stanowisko.

Nowożytny Cezar... Oto wyprawa do Brytanji... Tak jest: podbój Gallji, wyprawa do Brytanji, zdobycie Ekbatany i Babilonu, czyny Gaiusa Juliusa i Cezara i czyny Aleksandra syna Filipa króla Macedonji...

— Narbonne — zwrócił się do hrabiego de Narbonne, stojącego po za nim — czy ty uważasz, jacy my jesteśmy starzy, jak przeszłość ciąży już na nas... My wszyscy późniejsi musimy się oglądać wstecz, na naszych poprzedników, chcemy, czy nie chcemy, musimy porównywać nasze dzieła z ich dawnymi czynami. Rzeźbiarze muszą myśleć o antykach, malarze o Rafaelu; ja sam muszę myśleć o czynach Cezara i Aleksandra Wielkiego.

— Ci zaś myśleli o czynach poprzedników. Aleksander Wielki, sire, marzył o Achillesie, Achilles niewątpliwie na wyrywki umiał wymienić dwanaście prac Heraklesa i wszystko, czego dokonali Tezeusz, Meleager, Perseusz i Jazon.

— I ci niezawodnie wstecz za siebie patrzyli.

— Najmniej z tem ambarasu miał Herakles: patrzył wprost na Olimp, na ojca Zeusa.

Napoleon uśmiechnął się.

— Zdobycie więc Smoleńska wywodzi się wprost od Zeusa z Olimpu?

— Przedstawia niewątpliwie olimpijski widok, najjaśniejszy panie.

Napoleon zaszepił się. Zrozumiał, co krył hrabia de Narbonne w ostniem słowie.

— Trzeba będzie zarządzić najrozleglejszą pomoc sanitarną, zarówno dla naszych, jak i ro-

syjskich żołnierzy. Wojna byłaby wspaniałą rzeczą, gdyby nie tyle cierpienia — rzekł.

Nagle zniecierpliwiał się, wstał z krzesła i krzyknął na adjutanta:

— Turenne! Jedź do marszałka Mouton! Niech strzela póty, póki mu granatów starczy! Niech utopi Smoleńsk w ogniu!...

De Narbonne spojrzał na Napoleona. Przypomniały mu się słowa Talleyranda pod Austerlitz: staje się szalony!...

Napoleon usiadł znowu na krześle i założył ręce na piersi, ale już nie mówił do nikogo ze świty. Patrzył przed siebie na pożar miasta, a czasem na majaczące w mroku sylwety rozstawionych przed nim nigdy nieodstępnych strzelców konnych, co kilkanaście kroków, frontem na zewnątrz, z palcami na cynglach karabinów. Patrzył i dziwił się: wśród ryku dział wydało mu się, że głos dzwonów dolatuje od zdruzgotanego i płonącego miasta.

Z innej strony marszałek Davout, rozmawiając ze swoim sztabem, odezwał się:

— Żeby tu się jaki zuch znalazł i poszedł się przekonać, czy Rosjanie są jeszcze w mieście, czy też nie? Ale tam piekło! Taki się nie znajdzie!

— Owszem, panie marszałku — ozwał się głos z pomiędzy blisko stojących żołnierzy.

— Kto taki?

— Maquaron, sierżant drugiego bataljonu dwudziestego pułku piechoty.

— Pójdiesz? Tam do tego piekła żywego?

— Pójdę.

— I wrócisz do mnie?

— Choćby przez dobre wychowanie, panie marszałku, gdyż będziesz czekał.

— Skąd jesteś?

— Gaskończyk.

— No, naturalnie! Łatwo się było domyśleć po odpowiedzi. Więc idź.

Maquaron, pozostawiwszy karabin, aby mu nie przeszkadzał, poszedł. Przekraczał rannych i zabitych i dostał się pod mur miasta. Panoowało milczenie.

Południowiec „à doubles muscles“ wdrapał się na mur — nikogo. Zsunął się na drugą stronę i postąpił ostrożnie kilkanaście kroków, gdy usłyszał słowiański język. Scierpł. Zabić się dać lub się poddać? Przysiadł za szkarpą domu, a z drugiej strony dochodziło go:

— Te, Lipkoń, pocóżeś ty tę pierzynę przyniósł? Pieniądze bierz, złoto, srebro. Z pierzyną nie pojedziesz do Moskwy, a stary nie stanie, aż tam. Dużo masz?

— Tam nie było nic. Ino ta pierzyna.

— A ty, Kulszycki?

— Ja mam dwieście rubli srebrem.

— W cóżeś schował?

— W nogawicę z gaci żydowskich.

— Lipkoń, podsadź no mnie, wliżę ja w to lipo¹. No. Hop! Baczność, bo szkło polecie!

Usłyszał drżący Maquaron cios, jakby szablą

¹ Okno po złodziejsku.

brzęk szkła tłuczonego. Pisk rozdarł powietrze, a po chwili ten sam głos męski zawołał:

— Lipkoń, Kulszycki, drapcie się tu!

— Cóżeś tam znalazł? Złoto?

— Furda złoto! Jaja na jajecznicę i spódnice! Filles!

— O! — zagrzmiało z za szkarpy. — Antek, brachu! Spuść prześcieradło! Wliziem!

— Filles? — pomyślał Maquaron. — To nie mogą być Rosjanie... Ale kto?

Wychylił ostrożnie oczy — przy budzącym się dniu poznał polskie mundury. Filles! — pomyślał i wynurzył się z za szkarpy.

— Werdo? — zawołał jeden ułan.

— Francais!

— Franse?!

Maquaron wyciągnął prawicę, ułan przypatrzył mu się i uścisnął go za nią.

— Filles? — zapytał Maquaron.

— Łuj — odpowiedział ułan.

W dwie godziny później sierżant Maquaron stawiał się przed marszałkiem Davout.

— Wróciłeś? — zapytał marszałek.

— Podług rozkazu — odpowiedział Maquaron.

— Cóż?

— Tam są Polacy.

— Polacy?! Jakto?!

— Polscy ułani.

— Cóż tam robią?

— Rabują i..... a oto dowód, panie marszałku.

I sierżant Maquaron podał marszałkowi podwiązkę.

Antek Jamrozikowski pierwszy wdarł się do Smoleńska, pierwszy w nim rabował i pierwszy — — —

Nazajutrz nikt tak, jak on, nie brał do siebie słów buletynu cesarskiego.

„Konduita korpusu polskiego wprawiła w zdumienie Rosjan, nawykłych lekceważyć Polaków: uderzyła ich wytrwałość i dzielność, jakiej dali oni dowody w tej potrzebie“.

Nim Francuzi zamarzyli o tem, bohaterski Poniatowski ze swoim korpusem był w Smoleńsku.

* * *

Rozmawiano po francusku.

Głośnie oklaski nagrodziły śpiew księżny Teodory.

— Cudownie! Cudownie! — unosiło się towarzystwo.

Wtem we drzwiach salonu ukazał się kamerdyner i na złotej, czy złoconej tacy podał księżnie Zeneidzie listy.

— Ah, madame Glinka—zwróciła się księżna Zeneida, rzuciwszy okiem na adresy — to do pani.

Pani Glinkowa wyciągnęła szybko rękę po list, odpieczętowała go drżącemi palcami i, wypowiedziawszy „przepraszam“, zaczęła czytać. Wrażenia malowały się na jej twarzy, czytała prędko, łzy napływały jej do oczu i kapały na papier.

— Księżno—zawołała, snadź nie mogąc opamiętać wzruszenia. — Pozwól pani, że odczytam list głośno. To od mego męża ze Smoleńska.

Całe towarzystwo umilkło.

— Proszę—odpowiedziała księżna Zeneida.—

Czytaj pani.

Pani Glinka zaczęła rwącym ze wzruszenia głosem:

„8mego sierpnia. Smoleńsk.¹

Widziałem obraz straszny, byłem świadkiem burzenia Smoleńska. Zwalenie się Lizbony nie mogło być okrutniejszem. Czwartego nieprzyjaciół atakował Smoleńsk; piątego od wschodu aż do czarnej nocy, dwanaście godzin bez przerwy trwała bitwa przed murami, na murach i za murami. Rosjanie nie ustępowali, bili się jak lwy, Francuzi, a raczej byłoby sprawiedliwiej powiedzieć Polacy, nacierali na mury z wściekłością i rzucali się do bram i na bastjony; nakoniec, znużony oporem, Napoleon rozkazał spalić miasto. Wtedy chmura bomb, granatów, pocisków wybuchowych i kartaczy rzucona została na domy, wieże, magazyny i kościoły; i domy i kościoły i wieże zajęły się i wszystko, co się mogło zapalić, stanęło w ogniu. Żar napełnił miasto. Dym różnobarwny, wśród słońca krwawy, grzmot bomb wybuchających, ryk dział, trzask kul karabinowych, warczenie bębnow, krzyki starców, jęki kobiet, i dzieci; cała ludność na kolanach, z rękami wzniesionemi ku niebu: oto co było przed naszymi oczyma i uderzało nasze uszy, co rozdzierało nasze serca. W nocy wyniesiono obraz Matki Boskiej Smoleńskiej. Pośępny głos dzwonów mieszał się z łoskotem walących się domów. Wrzawa bitwy towarzyszyła żałobnej procesji, oświetlonej blaskiem pożaru. Napoleon rozkazał, aby Smo-

¹ List autentyczny kapitana Glinki.

leńsk był wzięty piątego, ale piątego miasto nie było wzięte. Szóstego wczesnym ranem, oh! kolej losu! czego broniono z takim uporem, opuszczono bez ceremonji. Wódz naczelny miał swoje przyczyny. Teraz Smoleńsk jest olbrzymią masą popiołów. Okolice miasta są okolicami Wezuwjusza po wybuchu. Nasi ustępują gwałtownie. Zbrójcie się wszyscy, kto może — woła wódz naczelny w swojej proklamacji. Obecnie jest to wojna narodowa“.

Towarzystwo milczało.

— Mąż pani mieszka w Smoleńsku — zapytała księżna Teodora.

— Jest kapitanem — odpowiedziała prawie szeptem pani Glinkowa.

— Dziękujemy Bogu, że ocalał — powiedziała z pańską uprzejmością księżna Teodora.

— Dokądże teraz pójdzie Bonaparte — ozwał się Piotr Pawłowicz Zastrow, szlachcic, sąsiad księżnej Zeneidy.

— Do Moskwy — rzekł książę Maksym, mąż księżnej Teodory.

Wtem zabrzmiał silny, dźwięczny, młody kobiecy głos:

— Nigdy!

Księżna Zeneida spojrzała.

To odezwała się ośmnastoletnia Olga Piotrowna Zastrówna, stojąca wraz z młodzieżą we drzwiach salonu.

Księżna Zeneida popatrzyła na nią i powtórzyła:

— Nigdy?

Olga Zastrówna zbliżyła się ku niej z rozpromienionemi oczyma z pod kosych rzęs; na wy-

stające ostro jej policzki wybiegła krew. Cała jej postać silna i bujna zdawała się stężyć. Stała przed księżną Zeneidą i prawie krzyknęła z mocą:

— Nigdy!

Księżna Zeneida uśmiechnęła się.

— Czy wy mu zastąpicie drogę, Olgo Piotrówno?

— Cała Rosja mu ją zastąpi!

— Nawet ci od Kamczatki?—zapytał rozparty w fotelu, z nogą niedbale założoną na nogę i ręką jeszcze niedbalej przewieszoną przez poręcz, leniwy lew petersburski, hrabia Aleksy Aleksiejewicz, kuzyn Zastrówny.

— Nawet góry lodowe morza Północy! — wykrzyknęła prawie Olga, rzucając nań rozplamieniony wzrok.

— Ale to je trzeba będzie mrozić, jak szampan, bo się roztopią w sierpniu—powiedział hrabia Aleksy.

— Aleksy Aleksiejewiczu—ozwał się szlachcic Iwan Iwanowicz Płutow—lepiej wy wyzwijcie Bonaparta na szampańskie. Przepije on? Tak my jego. Przepijecie wy? Tak pójdzie sobie. A w Bogu nadzieja odwiozą jego do Francji pijaniuteńskiego.

— Owszem — odpowiedział hrabia Aleksy—wyzwę ja Bonapartego na szampana, ale nie uda mnie się, wy jego, Iwanie Iwanowiczu, na dowcip.

— Ja przecie myślę, że Bonaparte nie będzie śmiał się porwać na Moskwę — rzekł Piotr Pawłowicz Zastrow.

— Bonaparte wszystko śmie — powiedziała księżna Teodora. — Nawet papieża porwać.

— Nie, nie! — zawołała Olga Zastrówna — Mielizby obcy, wrogowie, wejść do świętej Moskwy? Miałyby tam wtargnąć barbarzyńskie hordy obcego żołdactwa?! Gdzie zamek święty carów naszych stoi, gdzie nasze święte cerkwie, ołtarze, przed którymi dusza całego narodu się modli, dzwony, które słysząc od krańca do krańca ojczyzny? Nigdy! A!

— Unosisz się, kuzynko — rzekł hrabia Aleksy.

— A ty? A ty co?! Tobie nic?! Cóż ty myślisz?!

— Myślę, że jeżeli Napoleon wejdzie do Moskwy, to trzeba będzie mu ustąpić z drogi i pojechać na resztę lata pod Petersburg.

— Hahaha! — zaśmiał się Iwan Iwanowicz, chcąc się przypodobać hrabiemu Aleksemu. — Rosja jest dosyć duża. Jest gdzie i Bonaparta z armją pomieścić.

— Ale czy jest dosyć duża także, aby pomieścić mogła hańbę, że obcy, wróg przełamał jej granice, wydarł jej zdobycze, pobija jej wojsko i grozi wkroczeniem na jej świętą ziemię i do jej serca, jej stolicy? — wybuchnęła Olga Zastrówna.

— Powtarzasz się — powiedział niedbale hrabia Aleksy. — Zresztą stolicą jest obecnie Petersburg; Moskwa ma drugorzędne znaczenie.

— I hańba ma drugorzędne znaczenie?!

Hrabia Aleksy spojrział z niesmakiem ku księżnie Zeneidze.

Oldze Zastrównie płonęły oczy, a pierś wzdymała się od wewnętrznej burzy.

— Olgo Piotrówno — odezwał się milczący dotąd stary książę Konstanty, ojciec księżny Teodory — nie egzagerujmy. Rosji Bonaparte nie zawojuje. A jest to zwykła kolej świata; biliśmy my, biją i nas. I my znowu będziemy bili. Bili Prusacy pod Fryderykiem Wielkim, biją Prusaków za Napoleona. Wygraliśmy pod Maciejowicami z Kościuszką, przegrali pod Frydlandem z Bonapartem. To tak zawsze. Jeden nie będziesz wojował i zwyciężał. I przegrywać musisz.

— I przeczeka się zły czas — rzekł Iwan Iwanowicz. — I Bonaparte, choć wielki, nie wieczny, i wojna z nim nie wieczna. Zawrą pokój, z Moskwy pójdzie, czego by tu siedział? Biliśmy się z nim pod Austerlitz, pod Eylau, pod Frydlandem, a potem była zgoda. Opatrzność opatrznością. Wie, co robi, a sprzeciwiać się nie trzeba. Ustąpi Bonaparte i wróci do Paryża.

— A Księstwo Warszawskie, a Litwa, a Ruś, co? — rzuciła Olga Zastrówna.

— Zabrać nie zabierze, krajów w kieszeni nie schowasz. No choćby je oddać jemu, czy zwrócić Polakom przyszło, Bóg dał, Bóg wziął. Rosja i tak dosyć z łaski Boga duża. A wy nie irtujcie się, Olgo Piotrówno, bo gniew nie tylko piękności, ale i zdrowiu szkodzi.

Olga Zastrówna, która stała tyłem oparta o stół, wyprostowała się, jakby ją co sparzyło.

— Jak wy tak mówić możecie, Iwanie Iwanowiczu! Czy niema w waszem sercu nienawiści do wroga? Czy nie czujecie pod nogami waszemi, że cała ziemia własna drży z hańby, gdy ją obcego najeżdźcy stopa depce?! Nie słyszycie

drzenia świętych dzwonów rosyjskich po cerkwiach, o które uderza daleki huk armat Napoleona?! Ha, na Boga! Gdybym była Rosją, zalałabym mu morzem krwi drogę do Moskwy, a gdyby wszedł, zabiłabym go zemstą!

Wysilona ze wzruszenia padła na krzesło.

— Wam co, wody? — zawołał przestraszony Iwan Iwanowicz.

— Krwi! — odpowiedziała przez zaciśnięte zęby Olga Zastrówna.

Jej oczy, wzrok i głos były tak straszne, że wszyscy umilkli. Tylko zielone oczy księżny Zeneidy patrzyły na nią spokojnie i tak, jakby spoglądały na obrazek.

— Straszny ten Bonaparte — odezwiała się cichym głosem wzruszona księżna Teodora.

— A mnie się on podoba — powiedziała, wsunawszy łyżeczkę konfitur w usta, księżna Zeneida.

— Jakto?

— Urodzić się na Korsyce synem adwokackim i grozić stolicy carów rosyjskich — tego lada kto nie potrafi.

— Tygrys! — wykrzyknęła księżna Teodora, odzyskując głos.

— Najwspanialszy zwierz. Dałabym pół mego majątku, gdyby Bonaparte był do nabycia. Głaskać przez rękawiczkę po głowie Bonapartego, co?

— Jak swoich sześćset rysaków — rzekł Aleksey Aleksejewicz z niedbałym uśmiechem.

— Tak!

— Bonaparte w roli kamerdynera.

Księżna Zeneida spojrzała przymrużonemi zielonemi oczyma.

— Bonaparte w roli tygrysa w klatce — rzekła.

— Boję się, żeby się rozmnożył — odbił się hrabia Aleksy.

Iwan Iwanowicz otworzył usta do śmiechu, ale się plasnął cicho dłonią w usta, księżna Zeneida zaś odpowiedziała spokojnie:

— Z nikim nie chciałam mieć dziecka, z Bonapartem chciałabym je mieć.

Olga Zastrówna siedziała wysilona i milcząca na krześle; powoli wstała i wyszła na balkon. Owiał ją wieczorny zapach ogrodu. Oparła się ciężko o marmurową poręcz balustrady i zaciśnęła oczy pięściami.

* * *

Noc nie zsyłała snu na oczy imperatora we Wiaźnie, wydartej z płomieni, podłożonych przez cofających się Rosjan.

Wycie rannych w Smoleńsku zdawało się jeszcze napelniać mu uszy. Setki ich marły w ocalałych od ognia stodółach dzień, dwa i trzy dni bez opatrunku, bez pomocy, bez pożywienia, bez wody, gnijąc w gnoju własnych ran i własnych wnętrzności, żywiąc się szarpaniem ciałami pomarłych towarzyszy. Nie starczyło ani lekarzy, ani środków leczniczych, ani płótna nawet na bandażę. W papiery, darte z archiwów, zawijano rany. Napróżno rozsyłał pomiędzy rannych własne wino i złote monety.

Ryczeli z boleści, a ryk ten brzmiał tej nocy w uszach Napoleona.

Walki, walki i walki — — bez zwycięstwa.

Demon jakiś fatalny wydarł mu je pod Smoleńskiem, pod Walutynową Górą. Gdy Barclay de Tolly się cofał, gdy Ney atakował jego kolumny, chroniąc działa, rannych i transporty, najdawniejszy towarzysz boju, druh wszystkich wojen, dowódzca VIII-go korpusu Junot, który mógł, zaszedłszy przez lasy i bagna z tyłu lewe skrzydło rosyjskie, wziąć armję tę we dwa ognie, zniszczyć ją i skończyć wojnę, nie uczynił tego. Stał na czele swych Westfalczyków i wahał się. Napróżno stał do niego adjutantów Ney; Junot obawiał się odpowiedzialności — — „niema rozkazu“.

— Najjaśniejszy panie — powiedział kiedyś hrabia de Narbonne — genjusz twój myśli za wszystkich; obawiam się, aby kiedyś nie zemściło się to na nim.

Napróżno Murat, nie słysząc dział Junota, sam przeleciał pędem lasy i bagna dowiedzieć się, co się stało? Napróżno porwawszy jego kawalerję westfalską, powiódł ją do ataku i zniósł tyraljerów rosyjskich. Gdy krzyknąwszy: Kończ! Tu twoja chwała i buława marszałkowska — pognął ku swoim z powrotem, Junot ataku nie dokończył, „nie miał rozkazu“.

Armja rosyjska ocalała.

Fatalizm!

Oto on sam, zwycięzca tylu pól, jenerał Moranda z częścią korpusu Davouta, który już miał przejść do ataku również z tyłu na prawe skrzydło Rosjan i niechybnie sprowadzić zwycięstwo, myląc się co do pozycji, zatrzymał.

I cóż z tej strasznej, krwawej morderczej bitwy, gdzie trupy leżały na trupach, cóż z niej?

Rozrzucił krzyże i stopnie, rozdał nagrody i obwieścił, że bitwa pod Walutynową Górą była „najpiękniejszym czynem naszej historii wojennej; z żołnierzami, którzy ją stoczyli, można zdobyć świat; którzy padli, padli śmiercią nieśmiertelną...“ Oto wszystko...

Bratał się z żołnierzami, był w każdym pułku, wywoływał do dekoracji najdzielniejszych z najdzielniejszych, oficerowie wskazywali, żołnierze potwierdzali, cesarz przyznawał — — popularyzował się, bo czuł, że rwie mu się łańcuch z ogniw triumfów kuty w cesarskich triumfalnych rękach.

I czuł się słabszym już. Władzę, którą we wszystkich uprzednich wojnach dzierżył niepodzielnie we własnej dłoni, rozproszył między wodzów, wodzów nie umiał już trzymać w jednej tylko idci: idci komendanta, pierwszego konsula, cesarza. Gdy po zwycięstwie Gouvion-Saint - Cyr'a pod Połockiem złazował awangardę Ney'a przez Davouta i Murata, między systematycznym Davoutem i porywczym Muratem wybuchły spory bezprzykładne, demoralizujące generalicję, gorszące oficerów. A wszędzie dokoła ognie, płomienie. Wszystkie wsie, wszystkie miasta, dokąd dochodzi z wielką Armją, spalone lub płonące. Między linią jego wojsk, a linią wojsk Barclaya de Tolly jest trzecia linja — pożarów. Barclay de Tolly pali Rosję za sobą, niecąc dla wielkiej armji głód i nędzę.

Aleksander I patrzy z Petersburga na te pożary i milczy.

Niecierpliwość jakaś szalona, rozdrażnienie do gotączki dochodzące wyrywa więc z ust jemu pierwsze słowo do Aleksandra. Każe pisać list bez znaczenia szefowi swego sztabu Berthierowi do Barclaya de Tolly, aby te słowa móc podyktować na końcu: cesarz poleca mi prosić pana o zakomunikowanie jego uprzejmych pozdrowień cesarzowi Aleksandrowi; powiedz mu pan, że ani koleje wojny, ani nic, coby się zdarzyło, nie może zmienić przyjaźni, którą ma dlań cesarz Napoleon.

I znów walka, znów pożar. Z morderczego upału, z bójek około każdego bagna, każdej kałuży, gdy on sam otrzymywał męty, zamiast wody: znów pożar Wiazmy i spustoszenie przez cofających się Rosjan, nim Murat i Davout wpadli gasić miasto, i znów kłótnie Murata z Davoutem — — i wiadomość, że Aleksander I każe z powodu „zwycięstw pod Witebskiem i Smoleńskiem w Petersburgu śpiewać Te Deum“...

Ha!

Byłyż to przegrane armji Aleksandra, czy był to plan zgubny i straszny?

Lecz gdzie on jest, Cezar nowożytny, tam wąż losy Europy — — tam przeważać się i ugiąć na jego stronę muszą, powinny wszystkie plany, wszystkie rachuby. Nie może inaczej być z człowiekiem, który, gdzie stąpi, tworzy centrum świata, którego stopa wlecze środek świata, jego równowagę za sobą.

Lecz cóż mówi Europa? Zna ją zbyt dobrze. Europa nienawidzi go, czyha na jego klęskę. Zimno, trzeźwo on zdaje sobie sprawę. Jedno postrzeżenie, że słabnie, jedna sylaba, któraby

przeleciała przez usta Europy: Napoleon się kończy...

Zimny dreszcz przeszył ciało cezara...

A przecież ta Europa czeka od dwu miesięcy na wiadomość o jego zwycięstwie napróżno.

Dla czego nie posyła zdobytych rosyjskich sztandarów przez Wiedeń, Drezno, Berlin do Paryża?

Jeśli zwyciężał dotąd, to kto? Davout pod Mohylowem, Ney pod Walutynową Górą, Schwarzenberg pod Horodecznem, cudów waleczności dokazuje Murat, chwałą okrył się Poniatowski pod Smoleńskiem, słysząc nazwiska wodzów — nie grzmi dotąd, jak piorun piorunów, najpierwsze imię świata: Bonaparte...

Gdyby nie wierzył w swoją gwiazdę, gdyby ona nie błyszczała złotymi promieniami na niebie — — tak — — mógłby zwątpić...

Odebrał Rosji wszystko, co zdobyła na Polsce — — mógł powiedzieć Europie: to dosyć, tego chciałem...

Lecz to byłoby kłamstwem, kłamstwem przed światem... Można było zbyt lekceważyć świat, aby dbać o prawdę, lecz czy można było oszukiwać własną chwałę, własny genjusz?

Czy nie wywołałoby to zemsty?

Czy oszukana chwała, okłamany genjusz, genjusz zgwałcony, nie zapragnąłby odwetu?

Czy pierwszy krok wstecz nie byłby pierwszym krokiem odwrócenia własnej fortuny?

Nazajutrz wielka armja posunęła się naprzód.

I znów pod Carowem Zamieściem, skąd niegdyś hetman Żółkiewski ruszał pod Kłuszyn, oszań-

cował się Barclay de Tolly i znów cofnął wstecz przed Napoleonem.

Lecz dosyć już tego było armji, oficerom, wodzom, szlachcie i całej Rosji. „Zdrajca!“ — krzyknęto na mądrego Szkota. Obóz rosyjski zawrzał ruchem. Rozkazem carskim usunięty z dowództwa zdał Barclay de Tolly naczelną komendę przysłanemu do armji staremu feldmarszałkowi Kutuzowowi, nieszczęśliwemu przeciwnikowi Napoleona w bitwie „trzech cesarzy“ pod Austerlitz.

Dnia 1-go września wielka armja stanęła w Gzacku.

Ściągnął z nią korpus polski Poniatowskiego po niewysłowionych trudach, nadśluchując, skąd huczą armaty awangardy króla Murata i stąd biorąc dyrektywę marszu w bezdrożach, oznaczając sobie postoje — — bez chleba, bez paszy dla koni, w nędzy.

Ale z odwagą w sercu.

Weselna szła wielka armja.

Przed nią stała Moskwa — — przed nią była wielka, Napoleońska, cesarska bitwa...

Kutuzow przybył, Rosjanie mieli się przestać cofać...

Napoleon dał wojsku spoczynek, zaprowadzał ład i porządek, doczekiwał się maruderów.

135,219 ludzi, 90,507 piechoty, 29,129 jazdy, 587 dział zgromadzić zdołał pod Gzackiem. W tem korpus Poniatowskiego 8.340 liczył piechoty, 1,658 jazdy, 36 dział polowych, 18 pułkowych, 6 artylerji konnej. Stopiło się wojsko polskie w trudzie i walkach, zżarł je pochód za bogiem wojny.

„Półtawę“ zapowiedział przed Moskwą parlamentarz rosyjski, wysłany do obozu francus-

kiego, pod pozorem parlamentarstwa z celem obserwacji; „Półtawę“, którą w Wilnie zapowiedział Napoleonowi Bałaszow.

Wielka armjaadowała się.

Chciała mieć godnego siebie przeciwnika, zucha, rezoluta, pełnego brawury, fantazji, lekceważenia niebezpieczeństwa i wiary w siebie. „Półtawa, Półtawa“ — powtarzało trzynaście dziesiątków tysięcy ludzi. Co przyszło do Gzacka, to, prócz poległych bohaterów, było wyborem armji.

W obozie zaś rosyjskim krytykowano Napoleona.

Powinien był zostać w Smoleńsku — mówili jenerałowie rosyjscy — powinien był się nawet cofnąć z powrotem i zająć linję między Witebskiem a Mohylowem. Powinien był pójść do Kijowa z prawem swoim skrzydłem, lub postać tam Davouta; powinien był zorganizować armję polską, co byłoby mu dało łatwo 100,000 ludzi; powinien był zmusić Austrię albo do dania mu reszty swej armji, albo do przysłania przynajmniej broni i amunicji dla świeżej armji polskiej, co Austria, obawiając się go, byłaby uczyniła; powinien był przezimować w Smoleńsku, czy Witebsku, zasłoniwszy leże zimowe silną linją obronnych posterunków i w 1813-tym poprowadzić kampanję stanowczą, która zmusiłaby do ofiarowania mu pokoju, jakiego żądał...¹

Lecz Napoleon nie uczynił tego.

Z obu więc stron gotowano się radośnie do śmiertelnego boju. Armja rosyjska dyszała jego żądzą, ze zgrozą myśląc wraz z całą Rosją o ha-

¹ Pamiętniki jenerała majora armji rosyjskiej barona Loewensterna.

niebnym, tchórzliwym marszu wstecz, do którego zmuszał ją „Niemiec“, Barclay de Tolly.

Barclay de Tolly zaś spokojnie oddał dowództwo Kutuzowowi, spokojnie zajął miejsce swe jako podkomendny; wiedział on, że jeżeli nawet Napoleon zostanie przez Kutuzowa pobity pod Moskwą, tak daleko od podstaw swoich, że klęska wielkiej armji może się stać jej pogromem, to on go tu przyciągnął, uporczywym oporem odwrotu niszcząc i marnując jego siły, a jednak otwierając mu ciągle drogę do posuwania się w głąb Rosji, gdzie powinni byli w obecnych warunkach znaleźć grób on i jego żołnierze. Wielki wódz nie zapoznawał jedyne go, fenomenalnego, największego w historii świata geniuszu wojennego Napoleona — lecz widział, że na djamencie tego umysłu poczyną rysować się skaza.

* *

Podobne uczucie nosił w duszy rotmistrz Zaremba. Widział tę skazę, a nie śmiał jeszcze sam przed sobą przyznać, że djament umysłu Napoleona już pękł. Wszystko, co czynił cesarz, wydawało mu się poczynaniem jakby w mroku myśli.

Rozumiał on, dlaczego Napoleon parł naprzód, pragnąc Barclaya de Tolly zmusić do stoczenia bitwy, nimby się z Bagrationem połączyć zdołał, zwyczajem stosowanym zawsze gromienia rozdzielonych sił przeciwnika skoncentrowaną swoją przewagą. Lecz szalony ten pochód w ciągu sześciu tygodni kosztował przeszło 100,000 straconych ludzi, a gdy genialnym rzu-

tem od Witebska ku Smoleńskowi jednak nie zdołał cesarz zniweczyć armji rosyjskiej i dalej się znów o 55 mil w głąb Rosji zapuścić postanowił, Zaremba zadrżał.

Zadrżał on o wszystko, co mu było najdroższe, najcenniejsze, najświętsze.

Cesarz, ów wódz nieporównany, chwiał się. Wydawało się Zarembie, jakby słońce olbrzymie, ogniste i promienne, wszechmocne, z drogi swej przez Boga wskazanej zbacało. Chwiał się cesarz pod Eylau, ale inaczej. Zaremba widział tę twarz giganta, gdy po morderczym, krwawym boju nie cofnął się nieprzyjaciół, nie posunął się naprzód żołnierz francuski. Cesarz stanął w miejscu; ale stanął tak, jak tygrys, który zwałił się na bawoła i nie przytłoczył go od razu do ziemi. Zdawało się, że mięśnie twarzy cesarza w stał powleczonej skórą się zamieniły, a oczy jego, gdy trzeba będzie, prawdziwemi błyskawicami z chmur zdjętemi błysną. Zwycięstwo było z nim pewne, jawne, niezachwiane, konieczne. Taki wódz nie mógł być pokonanym.

Nie mógł być pokonanym Napoleon mimo Aspern-Essling, gdzie mu zdruzgotanemi na Dunaju mostami z rąk zwycięstwo wydarto. Zdawało się, że olbrzymią rzekę porwie w ramiona i piersiami bieg jej, gdy trzeba będzie, odwróci.

Z twarzy Napoleona widniał zawsze nie upór wiary, rzecz gorzka i tragiczna, lecz wiara. A ta zwycięża.

Posępne jego oczy pełne były natchnienia i tej potęgi, która jutrzejszy dzień czuje w swym ręku od siebie zawisły.

Teraz Napoleon był inny.

Wzrok jego płonął nie płomiennem widzeniem faktów, ale wizjonerstwem: w twarzy jego nie było woli wyniosłej i królewskiej, ale zaciętość gorączkowa zawzięcia. Nie szedł on po zwycięstwo, ale szedł, bo nie mógł, nie umiał się zatrzymać. Nie przestrzeń rosyjska była w jego rękach, ale on tonął, wchłaniany był w tę przestrzeń.

A włókł on przecie za sobą dwie najdroższe dla Zaremby rzeczy: miłość jego serca i miłość jego duszy — Teresę Mirską i Polskę.

Zaremba kochał cesarza. Kochał jego chwałę i jego triumfy, kochał jego rozkazy, podobne do rozkazów lwa i jego zamiary, podobne do zamiarów orła, Zaremba kochał genjusz Bonapartego. Przez lat piętnaście tym genjuszem żył, był on jego myślą poranną i jego myślą wieczorną, Zaremba żył przez piętnaście lat w znaku Napoleona Bonapartego.

Żył tak, jak połowa świata.

Gdy o mil kilka od cesarza szarżował na czele swego szwadronu, Zaremba myślał, że tam gdzieś na wzgórzu, albo jak kot uczepiony na dachu jakiegoś domu, otoczony szaserami pieszo i szaserami na koniach, z palcem na cynglu karabinków, Bonaparte z pola bitwy spojrzał od czasu do czasu przez lunetę i w jego stronę. A wtenczas, widząc masę wojska, widzi i jego. I tego dosyć było Zarembie. Czuł, że wzrok cesarski, jak kołujący promień słońca, przez sekundę zatrzymuje się i na nim. Jemu więc, prostemu żołnierzowi, jakich były miliony przed nim i jakich będą miliony po nim, padło

w udziale walczyć przed oczyma największego wodza historii. Zaremba znał ten honor i rozumiał, czem żołnierz, jak on, za taki honor płaci. Wszystkie krople krwi Zaremby były niczem innym więcej, jak tylko strumieniem woli Napoleona. Zaremba walczył, jak walczy żołnierz pierwszego znaku świata.

A z owym wodzem największym sprzęgły się losy jego nieszczęśliwej ojczyzny, tego kraju, którego życie było niemal tak dawne, jak życie rodu Zaremby, którego on był wiecznym szlachcicem, szlachcicem formatorem, piastowskim legendowym wojem i oraczem. Widział Zaremba swoich przodków za Bolesławów i Leszków, Łokietka i Kazimierza, formujących unję w Horodle i unję lubelską, znał się za Batorego i Wazów i oto z krajem całym dostąpił do krawędzi przepaści i runął. Potężna dłoń olbrzymia gdy kraj chwyciła za włosy, by z otchłani go wyrwać, chwyciła i jego. Możeż być większe pole do bitwy dla żołnierza: pod rozkazami cezara kraj swój odbijać!...

Lecz cesarz chwieje się — — drży z Napoleonem Polska — — — drży serce Zaremby i o tę dziwną, cudną kobietę, która krwawe rany obwiązuje, tragedję jakąś tając i duszę czyjąś ofiarą swoją okupując. Zaledwie razy parę widział ją Zaremba. I nie mógł się do niej zbliżyć, często opodał bardzo od niej będąc, i nie chciał. Bał się narzucać. Zdala tylko zobaczać ją się starał. Ale oto czuł, że nadchodzi bój straszny, bój decydujący. Dotąd go ryngraf husarski, dobrze krwią pradziadów obłany, strzegł, ale te-

raz czuł Zaremba przed sobą bój, jakiego wieki nie widziały i nie zapomną.

Poszedł więc wieczorem, gdy wojsko wczas miało, ku ambulansom, gdzie spodziewał się znaleźć panią Mirską. Znalazł ją zajętą skubaniem szarpi wraz ze służbą lekarską.

— Mości pani — salutował ją, kłoniąc głowę.

— A! To pan, panie rotmistrzu — zwróciła Mirska żywo twarz. — Cieszę się, że pana widzę. Bodaj od dwu tygodni nie widziałam.

— Biłem się, mościa pani.

— Wojna jest straszną rzeczą. Nie wiem, czy możesz sobie wystawić, panie rotmistrzu, co działo się w Smoleńsku. To przechodzi wiarę i imaginację. Lekarze francuscy mdleli. Generał Rapp, gdy wszedł do szpitala, w którym od trzech dni leżeli zapomniani przez wszystkich ranni, dostał zawrotu głowy i o mało nie padł na ziemię.

— A waszmość pani, jakże znosiła te straszności?

— Bez drgnienia powiek: jam przecież pokutnica cudzego śmiertelnego grzechu. Mnie nie wolno się cofnąć.

— I zbawisz-że tę duszę, o pani? — zawołał Zaremba.

— Błogosławieństwa rannych posyłam jej. Krążą one koło niej i wzywają ją do opamiętania.

— Wiara mistyczna?

— Zali myślisz, panie rotmistrzu, że świat cały nie jest jednym i że dusze ludzkie nie mogą się komunikować ze sobą myślą, jak cząstki powietrza, którem my oddychamy tutaj, komunikują się z cząstkami, któremi oddychają ludzie o setki

mil od nas oddaleni? Wierzę w to, panie rotmistrzu, i wierzę, że modlitwa matki może zdaleka zmienić pęd ciosu szabli nieprzyjaciela nad głową syna w walce.

— Mościa pani — rzekł Zaremba z uśmiechem łagodnym — morderczą mieć będziem przeprawę, ale żadnych niema już ust, coby się za mną modliły...

— Matka waszmościna nie żyje?

— Od dwudziestu lat zgórą.

— Siostry?

— Nie miałem wcale. Już to widzę, że, jeśli Bóg mnie z własnej chęci w wypadku nie ochroni, czakiem ułańskim nałożyć przyjdzie.

— Nie chcę pytać dalej — rzekła Mirska.

— I nie pytaj pani.

— Panie rotmistrzu — rzekła ona powstając — są pewnie inne ręce, milsze niż moje, droższą by też o wiele, bo moja i wcale pretensji niema, była ofiara; lecz że tu nikogo takiego, ile wiem, poblisko nie masz, przyjm pan ten mój medaljon na bój, który cię czeka. Proszę.

Mówiąc tak, Mirska wyciągnęła z za sukni wiszący na piersiach swych medaljon z Matką Boską na złocie i podała go Zarembie.

— Proszę.

Zarembie oczy się zaćmiły. Przecie nic nie powiedział. Wziął medaljon złoty i w rękę Teresę milcząc pocałował.

— A gdy wrócisz cały i zdrów do drogiej sobie osoby — mówiła Mirska — lub gdy taką, szczęśliwie odbywszy kampanję naszą, spotkasz, poproś, niech ona znowu gorącą modlitwę na intencję odmówi — — głos jej zatrzymał się —

— nawrócenia się tego — — — za którego ja ekspjację czynię.

Zarembie zdławiło się gardło. Jeszcze raz pocałował Teresę w rękę, skłonił się i odszedł.

*

*

*

— Któż to jest Kutuzow? — pytał Napoleon ambasadora swego petersburskiego, Caulaincourta.

— Książę Kutuzow, najjaśniejszy panie—odpowiedział Caulaincourt przywykły do dyplomatycznych sprawozdań i powiadomień—jest człowiekiem, którego przysłanie do armji przez cesarza Aleksandra wywołało taki entuzjazm, że, jak wiem to od pewnego Francuza, ubiegłego do nas z Moskwy, w Moskwie na ulicach padano sobie w objęcia i ściskano się i całowano. Uważają się tam już za ocalonych. Kutuzow jest człowiekiem starym, ale bynajmniej nie zużytym. Główne cechy jego charakteru: powolność, ostrożność, zawziętość i chytrość, wiek tylko spotęgował. Rosja kocha go i uwielbia jako starego typu człowieka, z pokolenia Suworowa, jako człowieka, który umie być równie miły dla kupca, jak dla szlachcica, dla prostego żołnierza, jak dla feldmarszałka; ponieważ wysoko go ceni i wysoko mu ufa i zaszczyca go swemi wyjątkowemi względami dwór, ponieważ wreszcie okazał się pierwszorzędnym wodzem w wojnie tureckiej. Ale jako główną podstawę do wiary w genjusz wojenny Kutuzowa uważają w Rosji nie jakieś nadzwyczajne zwycięstwo w trudnych warunkach, lecz to, że on jeden z całej armji ro-

syjskiej i całej armji austriackiej przewidział i przepowiedział klęskę pod Austerlitz. Jest to, najjaśniejszy panie, umysł niemniej kombinacyjny jak Barclay de Tolly, o wiele więcej od niego przebieglejszy i zdolny do podstępów, a bodaj jeszcze ostrożniejszy. Umie użyć ludzi, jak mało kto, pochlebia im, budzi współzawodnictwo, Niema sytuacji, którejby nie umiał wyzyskać i obrócić na swoją korzyść. Gdy się z tem połączy wiarę w niego, przywiązanie do niego i uwielbienie dla niego w Rosji, nienawiść do Barclaya de Tolly i pewność, że Kutuzów jest przeznaczony przez opatrność nie tylko do obrony i zwycięstwa, ale i do zmycia hańby Rosji — ktokolwiek z największych wodzów dowodziłby w tej chwili Wielką Armją, Turenne, Condé, czy sam Fryderyk Wielki — Kutuzow byłby to przeciwnik straszny.

Hrabia de Narbonne, stojący przy oknie pokoju dworku, w którym znajdowała się kwatery cesarska, patrzył na Napoleona. Napoleon słuchał słów Caulaincourta z najspokojniejszym wyrazem twarzy. Ani jedno drgnienie policzków, ani jedno poruszenie ustami, ani jeden ruch powiek nie zdradził w niczem, aby to, co o Kutuzowie mówił Caulaincourt, najmniej go zaniepokoiło. Napoleon słuchał o Kutuzowie żywym, jak gdyby mu czytano ustęp powieści, któraby go notabene nieszczerze interesowała.

— Tak może słuchać tylko Bóg o ludziach — szepnął de Narbonne do młodego hrabiego Turenne. — On nie wierzy, aby był człowiek, któryby mógł być czemkolwiek wobec niego, choćby był cyklopem i skały dźwigał.

— Jenerale — odparł młody Turenne — on ma rację. Tylko zapomina, że ponad nim jest Bóg — — niedocieczony.

— I fatum—dodał klasyk de Narbonne.

Potem Napoleon się śmiał. Odkąd na arenie boju pojawił się Kutuzow, czoło każdej kolumny Wielkiej Armji, gdziekolwiek się pojawiło, obskakiwane było przez kozaków. Kawalerja upędzać się za nią musiała nieustannie, nie mając niby z kim walczyć, a ciągle w ruchu, ciągle zajęta i niespokojna, nużąc siebie i konie do ostatniej pary. Wściekał się o to Murat, wreszcie nie wytrzymał: wyleciał pewnej godziny naprzeciw kozaków sam jeden z nagą szablą w dłoni, zatrzymał się na kilka kroków przed ich linją i, nastawiwszy strasznego marsa, nie umiejąc się do nich odezwać, szablą wskazał im odwrót z tak zuchwałym teatralno-imperatorskim gestem, że kozacy otwarli wielkie oczy i, nie wyjmując swoich oficerów, zawrócili się w miejscu i odjechali kłusem. Murat zaś stał z wzniesioną szablą jak jenerał naczelny na manewrach.

— Ah, ah! To jest niestychanel!—powtarzał cesarz. — Co za fantazja! Tylko Murat coś takiego potrafił...

Na siwosrebrzystym, jabłkowitym, o długiej białej grzywie i długim białym ogonie, ogierze, stał Napoleon i patrzył na bój pod Możajskiem i Kołockoj.

Kutuzow oświadczył się zatrzymać pochód Wielkiej Armji i do „świętej Moskwy“ jej nie puścić.

Był dzień piątego września.

Siły z obu stron równe.

Cesarz rzucił armję włoską pod Compansem i Muratem na lewe skrzydło i w centrum, prawe skrzydło wiódł Poniatowski. Na obu skrzydłach zawrzał bój równocześnie.

Nakoniec była bitwa.

Cesarz patrzył na obraz utęskniony od tylu tygodni ciężkich i przeklętych. Nie rozpoczął się to już bój zwodny, maskujący uplanowany ruch wstecz. To był zastęp w drodze Wielkiej Armji. Tu ją wstrzymać postanowiono.

Wstrzymać... może odwrócić...

Zadrgały cesarskie wargi.

A zaś Wartałowicz z lancą w ręce, wprawny już żołnierz, rozgorzały i zajałty, miał przed sobą, przed porucznikiem Kolskim i rotmistrzem Zarembrą, przed szefem szwadronu Mieieckim i przed pułkownikiem, wodzą V-go korpusu, Józefa Poniatowskiego.

Marsz! Marsz!

Wartałowicz pochylił się na kark Mroczkiewiczowej kobyły. Ścisnął kolanami siodło, ale lancy podle przepisu wedle ucha kobyły nie wyciągnął. Na własną rękę każdego puszczonego z ułanów w zarośla, wyprzeć z nich tyraljerów rosyjskich. Wściekły ogień rozwinęły bowiem za nimi baterje rosyjskie. Z reduty Szewardynskiej walono z dział, aż ziemia i niebo drżały. Przez Anglików dostarczone drażone kule zasypywały gradami wyrzucanych z wnętrza pocisków nacierające kolumny Napoleona. Dwadzieścia cztery armaty Poniatowskiego zaledwie wytrzymywały ogień przeciwnika. Szesnasta dywizja Krasińskiego i ośmnasta Kniaziewicza rozwinęły się bataljonami pośród krzaków i zarośli, Krasiń-

skiego od lewa, Kniaziewiczza od prawa. Padają ludzie z V-go korpusu, jak muchy, giną oficerowie. Szefowi brygady artyleryjskiej, Sowińskiemu, armatnia kula nogę prawą urywa.

Padł Sowiński, jak dąb, wznak, ale szabli nie puścił. Omdlał z bólu, a szabli nie puścił. Pochwycili go artylerzyści z ziemi, w tył unieśli; za linję strzałów. Ale on oprzytomniał, oczy otworzył i zawołał: stać!

Więc stanęli, dzierżąc go w powietrzu.

— Na ziemię!

Więc położyli generała.

— Nogę mi obwiązać!

Nie było czem. Ale oto nadbiega kobieta, pani jakaś, w czarnej sukni, młoda, cudna. Płótno ma w ręku, przykłęka. Krwią czerwoną buchające żyły zaciska. Obwija nogę generała, czyni bandaż. Potem rękę starego generała całuje, on ją zaś w czoło pocałował. Niema jej czasu dziękować. W górę chłopcy! — krzyczy.

Więc podjęli go artylerzyści na rękach.

— Do armat!

Więc niosą go z powrotem.

— Na ziemię!

Więc położyli na ziemi pośród dział.

— Na wrocki — krzyczy generał na kanoniera, na ziemi leżąc: — W prawo! Cwierć cała wyżej! Elewacją! Turski! — woła na adjutanta: — Trzecie i czwarte działo naprostować na front reduty!...

Widział Zaremba Mirską, w galopie przebiegając nieopodal mimo, jak przez mgłę.

Pierwszy raz przyszło się Wartałowiczowi z kutą w blachy kawalerją mierzyć. Spędził ze

swoim pułkiem jegrów w tyraljerce, kłując z góry w brzuchy, jak Pan Bóg wraz z wachmistrem Dybulem kazali, gruchnął lancą w pancerz kirasjera, pękło drzewce lancy w jedną stronę, zwałił się kirasjer z konia w drugą. Wyrwał Wartałowicz szablę, rznął przez hełm następnego kirasjera, prask, prask, szabla w szablę, szczyrba, w szczyrbę, spiął kobyłę i bokiem konia cisawego uderzył. Grzmotnął kirasjer na ziemię z koniem, inny zaś z olbrzymim impetem tuż obok Wartałowicza zasiekł dwu ułanów, piki im mieczem pogruchotałszy i im samym niemal głowy od karków odrębując, a wołał: hop! hop! psiakrew!— po polsku.

Wypadli huzarzy francuscy—ruszyły dragony rosyjskie. Zjechali się, uczynił się szczyk straszny. Pękły szwadrony Napoleońskie; przerwano je. Poczęły się cofać, mieszać. W rozegnane runęli Rosjanie. Siekli jak opętani. Widok nowy zdumiał oficerów na pozycji postawionej piechoty francuskiej. Na drodze szalonej jazdy rosyjskiej, wysłana poprzód kolumna polskiej w pomoc tyraljerom V-go korpusu, znalazła się kompania szesnastego pułku piechoty kapitana Jana Skrzyneckiego. Lecieli na nią kirasjerzy jak huragan.

Ogromny, śliczny kapitan dał rozkaz. Sformowała kompania w mig czworobok. Na bliski dystans dopuszczono atakującą jazdę—zahuczało, wykwił płomień i dym. Rozbryznięli się kirasjerzy, jak chmura potężna, kiedy o sterczący szczyt skały uderzy. Klasnął w ręce generał brygady francuskiej i zawołał do pułkownika Weyssenhoffa, który przybył w tej chwili na plac boju.

— Komendancie! Jedź pan do waszego wo-

dza, do księcia Poniatowskiego i powiedz mu pan, że to najświetniejszy czyn wojenny, jaki się zdarza widzieć! Wszyscy jesteście świadkami!

Wpadł król neapolitański, Murat, z konnicą Wielkiej Armji, jak piorun. Zwarł się z walczącym małorosyjskim, głoćzowskim i ordeńskim pułkiem kirasjerów, z charkowskim i czernichowskim dragonami. Przepała ich. Szefa brygady, Artura Potockiego, z głową mieczami porąbaną od śmierci ocalono.

Już mrok zapadał.

Jazda rosyjska ustąpiła. Pchnięto piechotę Wielkiej Armji. Maciej Rybiński, podpułkownik 15-go pułku, wołyżerskimi czternastu kompanjami osłaniał ten atak. Compans grzmiał z armat w redutę Szewardyńską, którą potrzykróć 61-y pułk piechoty francuskiej bagnetami zdobywał. Poniatowski od Jelni, Morad od Szewardyna parli w nią. W mroku już, o 9-ej wieczorem 61-szy zdobył Szewardyńską redutę. Hiszpanie walczyli na równinie poboku. Noc zapadała. Bitwa kończyła się wśród grzmienia karabinów i armat.

Napoleon widział pierwsze rzeczywiste zwycięstwo. Gwałtownemi rozkazami rzucał pułki na pozycje. Kirasjerzy Bagratjona zbłąkanemu w ciemności podczas marszu na pozycję pułkowi piechoty Davouta, nim się bagnetami zasłonił i z nieforemnych brył ogniem błysnął, trzystu ludzi wycięli.

Pułk Napoleoński zajął wskazane stanowisko. Zapadła noc.

— Patrz — rzekł hrabia de Narbonne do młodego hrabiego Turenne, stojąc przed namio-

tem cesarza — noc uciszyła wszystko. Bogowie dali ciemności, aby człowiek także był nie tylko zwierzęciem, ale bywał i człowiekiem.

— Co do mnie — roześmiał się młody przystojny Turenne — zgodziłbym się chętnie moje nocne człowieczeństwo powierzyć jakiej Mimi, czy Luizie. Wojował Achilles, ale przecie, u staro djabła, miał w namiocie Bryzeidę!

— I udźce baranie na stole — westchnął hrabia de Narbonne. — Znudziły mi się już te kury cesarskie. Patrz, jakie nasze ognie rzadkie, blade, nierówne, a tam po stronie rosyjskiej, jak błyszczą! U nas znowu nic nie przygotowano dla wojska, nawet drzewa.

— Prędzej zdobędą Moskwę.

— Już w nic w tej wojnie nie wierzę... Ktoś idzie.

— To? Caulaincourt.

— Dobry wieczór księciu Vincency. Skąd pan wraca?

— Zwiedziłem redutę Szewerdyńską. Trup na trupie.

Caulaincourt wszedł do namiotu cesarza.

Napoleon leżał na pół rozebrany na łóżku polowem; nie spał.

— Ilu jeńców? — zapytał wchodzącego Caulaincourta.

— Ani jednego.

— Co?!

— Ani jednego, najjaśniejszy panie.

Napoleon usiadł na łóżku; wyraz gorzkiego zdziwienia wymalował mu się na twarzy.

— Ani jednego? — powtórzył. — W ziemię się zapadli?!

— Nie, najjaśniejszy panie, tylko nikt się nie dał wziąć.

— Czy kawalerja źle szarżowała?

— Król Neapolu jest z niej zupełnie zadowolony.

— Cóż, ci Rosjanie chcą zwyciężyć albo umrzeć?

Niepokój zdradził się w oczach cesarza.

— Najjaśniejszy panie: Turcy kaleczą i torturują jeńców, to samo opowiadają generałowie i oficerowie rosyjscy o nas, żołnierz więc woli się dać zabić, niż się poddać—odpowiedział Caulaincourt.

Cesarz pochylił głowę, chmura zadumy przepłynęła mu przez czoło i usta się ścisnęły. Nagle podniósł głowę i rzekł:

— Caulaincourt, proszę cię, poślij kogo możesz, aby te parki artyleryjskie, które są jeszcze w drodze za nami, jaknajprędzej tu przybyły. Niech adjutanci zabijają konie, ale niech pędzą na złamanie karku i niech tu artylerję sprowadzą. Żołnierz, który tak walczy, może być pokonany tylko armatami. Dobranoc, Caulaincourt. Jeżeli tam jest Narbonne, to niech tu przyjdzie.

— Mam zaszczyt życzyć dobrej nocy, sire.

Gdy hrabia de Narbonne wszedł do wnętrza namiotu, cesarz zapytał:

— Co tu tak zimno? Co na dworze?

— Deszcz zaczął padać, zimny, jak u nas w grudniu, sire.

— Cóż to?! Czyżby już jesień?

— Boję się, że już, najjaśniejszy panie.

— Myślisz, że nam znowu nie uciekną, jak pod Smoleńskiem?

— Za pozwoleniem waszej cesarskiej mości djabli to tylko jedni wiedzieć mogą.

— De Narbonne, fe! Ty wierzysz w djabła?

— Na tyle, żeby nim kląć, najjaśniejszy panie.

— Jeżeli wierzysz w djabła, to musisz wierzyć i w Boga, wolterjanin?

— Kiedy się boję, sire.

— A kiedy się nie boisz?

— To nie. Król Neapolu, najjaśniejszy panie.

— A! Joachimie! Czy myślisz, że oni nam znowu nie uciekną?

— Djabli wiedzą! Zdaje mi się czasem, że ich ogień słabną — odpowiadał Murat, otrząsając przy wejściu do namiotu krople deszczu.

— Cóż u pioruna z tymi djabłami! Wszyscy klniecie, jak trębacz! Jakto?

— Nawet zdawało mi się, że słyszałem ruch w obozie rosyjskim.

Napoleon strzepnął ściśniętymi pięściami w powietrzu.

— Ah! Żeby to już był świt! — westchnął.

Lecz gdy nastąpił świt, armja rosyjska stała w bojowej pozycji pod Borodinem.

Radość wybuchła w obozowisku Wielkiej Armji.

Radość, ruch, gorączkowe przygotowania.

Żołnierz, który od dwóch miesięcy przeszło ścigał fantom zwycięskiej bitwy, miał ją nakońiec przed sobą, bo ani chwili o zwycięstwie nie

wątpił — był żołnierzem Napoleona, Napoleon był jego wodzem.

Czyszczono broń, jak na paradę. Po tej bitwie wkroczy się do Moskwy, w triumfie, ku podziwowi świata, czego to znów Wielka Armja małego kaprała nie dokonała, na wszelką wygodę, wszelaki zbytek, wszelaką uciechę. Bogate moskiewskie sklepy otworzą swoje ramiona, a jak nie, to się im w tem dopomoże, jak słusznie twierdził przewidujący Antek Jamrozikowski.

— Chłopcyl! — zakomenderował Dybul. — Na jutro paradne mundury, konie wypucować, jak szkło, jutro, ma się rozumieć, wielki dzień! Niczem Austerlitz, Jena, Wagram! Jutro, ma się rozumieć, cesarz skończy, ma się rozumieć, z Rosją. Niech żyje cesarz!

— Wiwat!

— Wartałowicz, choć nie krzyczysz, to choć paję rozedrzyj! — kończył Antek Jamrozikowski.

Nowe życie wstąpiło nietylko w zdrowych żołnierzy. Chorzy i ranni zdawali się zapominać o swych cierpieniach.

— Nasza pani! — wołali do Teresy Mirskiej. — Już koniec naszej niedoli! Cesarz zdo-będzie Moskwę, będziemy se leżeli po pałacach, jak hrabiowie! Wódki w bród, wina w bród, mięsa, chleba zagwałcenie! Chirurg rosyjski do każdego, bo wszyscy w niewolę pójda. A komu braknie, to mu cesarz z Petersburga przysłać każe. Kawę nam będą do łóżek szlachcianki podawały! A jak pozdrowiejemy, to cię, наша pani, do cesarza na zamek carski na rękach, kto je ma, zaniesiemy, niech ci da legję honorową, bo żeby nie ty,

toby nas tu połowa wykapała była! Wiwat cesarzu! Wiwat nasza panu...

Biegli maruderzy, odszczepieńcy potraceni, pod broń. Nie chcieli mieć wstydu, że przy zwycięstwie nie byli: bali się, że im do łupów droga zagrodzona będzie.

Zapomniano o głodzie wśród radości powszechnej...

W tym dniu dwa razy wstrząsnęło się serce cesarskie.

Kurjer przywiózł z Hiszpanji wiadomość o klęsce fatalnego dla cesarza Marmonta pod Arapiles koło Salamanki, o grożącej utracie Madrytu — — wiadomość straszną dla dumy i planów Napoleona; drugi przywiózł mu portret syna.

Cesarz wziął w ręce popiersie dwuletniego króla Rzymu i postawił go na krześle obozowem przed sobą w namiocie. Oddalił wszystkich i portret ucałował. Całował oczy dziecka, jego włosy, jego twarzyczkę, rączkę gołą. Zapomniął, że całuje zimne, martwe płótno. Jedyne ty moje kochanie prawdziwe — powtarzał. — Jedyne ty moja miłości! Życie moje! Wszystko moje...

Odstępował od portretu i zbliżał się znowu, napatrzeć się, nasycić nie mógł. Cudne dziecko o złotych włosach i oczach błękitnych zdawało się doń uśmiechać. Napoleon ukląkł na kolano i patrzył ze stopionem w piersiach sercem.

Lecz nieopodal zagrała trąba szaserska na apel.

Cesarz podniósł się. Ujął obraz w ręce i, kawszy postawić przed namiotem swoim krzesło, oparł go na niem. Na straży obok portretu stanął z gołą głową adjutant hrabia de Turenne.

Cesarz, otoczony marszałkami i generałami, stanął przed portretem. Za nim oficerowie, podoficerowie, najbliżsi żołnierze. Wieść rozbiegła się po obozie. Kto mógł pośpieszał zobaczyć na własne oczy syna wielkiego cesarza, „małego kaprała“. Tłum rósł. Ze wszystkich stron napływali żołnierze. Zmieszały się bermyce grenadjerów, czapki saperów, kaszkiety artylerji z kirasjerskimi hełmami, ułankami, huzarkami, zdobnemi w kity czapami strzelców konnych. Cesarz z generałami odstąpił. Żołnierze zostali sami naprzeciw portretu króla Rzymu. Ileż zachwyków, ileż uwag, ileż powiedzeń wzruszonych piersi, ileż życzeń pod adresem ojca i syna we wszystkich językach Zachodu Europy...

— Będzie jak ojciec! — ktoś wołał.

— Niech mu tylko wasy urosną!

— Szczęśliwa ta, co go niańczy!

— Choćby była samą księżną Montmorency, szczęśliwa, że go dotknąć może!

Zaby był Batory takiego chłopca zostawił!..

— Albo Zygmunt August!...

— Oby był i naszym królem!

— Vive l'empereur!...

— Niech żyje cesarz!...

Napoleon zaś stał przed namiotem, ręce w tył założywszy, i uśmiechał się. Nagle skinął ręką i rzekł:

— Zabierzcie go! Niech nie patrzy zbyt wcześnie na pole bitwy!

Z krańca w kraniec obozu poleciały te słowa cesarskie. Kto nie widział dziecka, zbyt oddalony stanowiskiem, na posterunku stojący, lub zajęty pracą obozową, dowiadywał się i powtarzał: ka-

zał syna zabrać, żeby nie patrzył zbyt wcześnie na pole bitwy...

Żołnierze płakali. O cudny jedyny syneczku wielkiego ojca!... O postaci gromowładnego, który prawicą pioruny rwące się, jak szalone rumaki, przytrzymując, lewicą zasłaniał twarzyczkę portretu dziecka, któryś pokazał krwawym swoim żołnierzom, aby nie patrzyło na okropność wojny!...

Ile prawdy? Ile teatru? — myślał hrabia de Narbonne. — Lecz jeśli teatr, wszystkich królów i wszystkie ludy można było zaprosić na przedstawienie...

Cesarz wsiadł na konia. Przegnał ze sztabem z pozycji na pozycję, wzdłuż frontu armji rosyjskiej. Zrekognoskował teren i szybko począł wydawać rozkazy.

Eugenjusz Beauharnais będzie osią. Prawe skrzydło rozpocznie. Gdy zdobędzie korzystając z lasu redutę, która jest naprzeciw, zwróci się w lewo i pomaszeruje na flank rosyjski, stłaczając i pchając całą armję Kutuzowa na jego prawe skrzydło i do Kaługi.

Trzy baterje po sześćdziesiąt armat staną w nocy naprzeciw redut rosyjskich, dwie przeciw lewemu skrzydłu, trzecia przeciw centrum. O świcie Poniatowski ze swemi pięciu tysiącami pójdzie na starą drogę smoleńską, okrążając las, o który opiera się prawe skrzydło francuskie i lewe rosyjskie. Zasłoni jedno, a zaniepokoi drugie. Armaty Poniatowskiego dadzą sygnał. Wtedy cała artylerja otworzy ogień na lewe skrzydło Kutuzowa. Rozchwieje szeregi i odsłoni reduty, a Davout i Ney rzucą się tam. Wesprą ich Westfalczycy Junota, potem Murat z kawa-

lerją, wreszcie cesarz z gwardją. Od lewego skrzydła wejdzie się w pozycje armji rosyjskiej, której centrum i prawe skrzydło zostaną przez ten ruch odsłonięte i prawie otoczone.

Ponieważ Kutuzow skoncentrował przeważne siły w centrum i na prawem skrzydle, zagrażając drodze do Moskwy, jedynej linii operacyjnej Wielkiej Armji, ponieważ główne siły francuskie, sam cesarz z dwudziestu tysiącami gwardji, uderzając na lewe skrzydło Kutuzowa, będą miały Kaługę między sobą, a tą jedyną drogą odwrotu— korpus włoski stojący w tej stronie zostanie wzmocniony dwiema dywizjami Davouta i kawalerją Grouchy'ego. Lewy bok osłoni 10,000 ludzi skombinowanych włoskich i bawarskich pułków.

Lecz jenerałowie towarzyszący Napoleonowi z niepokojem widzieli, że cesarz podczas przejazdu często zsiada z konia i opiera się o armaty. a nawet czoło przyciska do nich. Przebywał linię całą i wydawał rozkazy, ale widocznie ból jakiś od czasu do czasu przemagał go i zmuszał do wstrzymywania się w drodze.

— Ależ on jest chory! — mruknął król Neapolu do hrabiego de Narbonne w krótkim galopie na skrócie.

— Jeden dzień tylko jutrzejszy, najjaśniejszy panie, i odpocznie w Moskwie.

— Mam najgorsze przeczucie. Odradzałem tę Moskwę — —

Napoleon obejrzał się,

Poznał, że rozmawiano o nim, i rzucił Muratowi i hrabiemu de Narbonne jedno spojrzenie. Ale to spojrzenie było spojrzeniem pana, któ-

rego panowanie nad wszystkimi jedna tylko śmierć może skończyć — — — zdawała się móc skończyć...

— Cesarz, najjaśniejszy panie — szepnął de Narbonne do Murata, gdy Napoleon znów zsiadł z konia i oparł czoło o lufę — nie znajduje odpowiedzi, tylko w olbrzymich snach, do których ucieka się przed złą rzeczywistością. Niebezpieczeństwo cesarza leży w zbyt wielkiem napięciu jego wyobraźni i namiętności. Nikt w historii nie nadużył tak rzymskiego zdania: *navigare necesse est, vivere non necesse*, w takiej metafizycznej palingenezie.

Murat popatrzał na hrabiego de Narbonne. Nie zrozumiał łacińskiego przysłowia, a gdy go nie zrozumiał, arystokratyczny wychowanek dworu Ludwika XV-go nie mógł sobie odmówić satysfakcji, mimo całej czci dla woli Napoleona, która zawodowego kawalerzystę zrobiła królem i, mimo uwielbienia dla męstwa „pięknego rębacza“, aby sobie z niego lekko nie zadrwić. Jadący obok generał Lauriston przygryzł usta. Murat zaś mruknął: bez wątpienia, bez wątpienia — i odwrócił twarz.

— Narbonne — szepnął Lauriston, gdy Napoleon znów wsiał na konia i ruszyli dalej — bój się Boga! Cóż ty wygadujesz królowi?!

— Kiedy czasem, choć go podziwiam, nie mogę się opędnąć myśli, że on powinien u mojej siostry, księżny Polignac, chłopców uczyć jeździć konno na dziedzińcu.

— Ah! ty! Legitymistol!

— Oddajcie co boskiego Bogu, co cesarskiego cesarzowi.

— Narbonne — szepnął Lauriston — jesteś, jak na cesarski kłus z pieca na łeb z tej górki, zbyt subtelny. Flaki się trzęsą. Boli go brzuch, a różnie jak warjat!

Napoleon spieszył się. Przed nim nieopodał za wawozem trawą zarosłym wznosił się wzgórek, skąd spodziewał się zobaczyć obóz rosyjski. Wjechał nań i przystanął.

Była tam cisza i spokój. Widać było ruch, przygotowywano się tak samo, jak i po stronie francuskiej. Przez lunetę widzi cesarz jakoby procesję jakąś, orszak jakiś krążący po obozie rosyjskim. Nie może pojąć, co to jest. Dowiedział się później, iż to Kutuzow kazał uroczystym pochodem obnosić między pułki obraz Matki Boskiej, uniesiony przez cofającą się armję Barclaya de Tolly ze Smoleńska. Dowiedział się również, jaką mowę wygłosił do swoich żołnierzy stary wódz rosyjski. Napoleon Bonaparte jest powszechnym despotą! — wołał. — Tyrańskim mącicielem świata! Glistą! Arcybuntownikiem, który wywraca ołtarze i plami je krwią! Który prawdziwą Arkę Pańską w obrazie Matki Boskiej Smoleńskiej wystawił na profanację ludzką, na zmiany pogody¹. Miasta w popiołach, żony bez mężów, matki bez synów, dzieci bez ojców — oto jest dzieło Bonapartego. Cesarz z Petersburga patrzy na swoje wojsko, oczekuje po niem zwycięstwa zdeptania wrogów i uwolnienia ziemi rosyjskiej od najścia dwudziestu barbarzyńskich narodów z Bonapartem na czele! Najmniejszy żołnierz, równie jak pierwsi jenera-

¹) Ségur.

łowie, poświęcony jest przez Boga na obronę nieba i ziemi rosyjskiej! Miecz archanioła Michała będzie walczył z tym potworem Napoleonem!..

Zapadła noc, noc przed bitwą.

Cesarza opuściło panowanie nad sobą i spokój. Biegali adjutanci patrzeć, czy błyszczą ognie rosyjskie, czy Kutuzow się nie cofa? Niepokoi go stan żołnierzy, ich siły wycieńczone tyłu trudami i głodem. Czy wytrzymają?!...

— De Narbonne — mówi — lękam się... lękam się o wojsko... Bessières! Niech gwardji dadzą trzydniową porcję ryżu i sucharów. De Narbonne — mówi ze złości — jeżeli Wielka Armja nie wytrzyma, gwardja mnie ocali. Ufam jej.

Odgiał gwałtownie zasłonę namiotu.

Na warcie stał pieszy strzelec gwardji, z długimi wąsami.

Światło z namiotu oświeciło mu twarz.

— He, Colas! — zawołał cesarz.

Strzelec uczynił front.

— Colas, nie mylę się, poznaję cię po szramie z pod Austerlitz — pamiętasz naszą rozmowę z cesarzem Aleksandrem w Eriurcie?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Szedłem pod rękę z cesarzem ze schodów pałacu, tyś stał na warcie, jak teraz. Pokazałem cię razem z twoją szramą koło ucha Aleksandrowi i powiedziałem: co myślisz, najjaśniejszy panie, o żołnierzach, którzy takie ciosy wytrzymują?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— A cesarz Aleksander na to: a co myślisz,

najjaśniejszy panie, o żołnierzach, którzy takie rany zadają? Pamiętasz?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— A co ty mu odpowiedziałeś, pamiętasz?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— No —

— Odpowiedziałem: ci już nie żyją.

— Colas — rzekł Napoleon — czy otrzymaliście potrójną porcję ryżu i sucharów?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Jak zejdziesz z warty, powiedz, że to ja kazałem rozdać.

— Podług rozkazu, najjaśniejszy panie.

— Powiesz żołnierzom swego pułku, że cesarz i król Rzymu życzą im dobrego spoczynku.

— Podług rozkazu, najjaśniejszy panie!

— Colas, czy ty wiesz, że jutro musimy zwyciężyć?

— Tak będzie, najjaśniejszy panie.

„Śmierci, nie szczędzisz nikogo,
niema przed tobą ochrony,
ani berła, ni korony
królów ocalić nie mogą,
ani ocalą cesarze,
kiedy śmierć ich palcem wskaże.....“

Zdaleka doszła uszu Napoleońskich żołnierska pieśń. Cofnął się do namiotu i dał znak ręką, żeby wszyscy wyszli.

Wówczas postawił przed sobą portret synka na krześle. Usiadł naprzeciw niego. Błękitne słodkie oczęta patrzyły weń.

A przed temi oczyma w przeddzień decydującej bitwy poczęła się toczyć rzeka żywota ojca.

Ileż krwi!

Chaos trupów...

Straszne w konwulsyjnych skrętach, pokurczone z bólu rozścielają się coraz szerzej, szerzej... Wszystkie pola bitew mieszczą się w tym namiocie... Jak okiem sięgnąć, jedno żniwo śmierci.

A on, kosiarz straszliwy, stoi ponad niem.

Widzi się cesarz nad temi polami batalji na białym koniu, w małym swoim kapeluszu, w płaszczu szarym, z legją honorową na piersi.

Nieskończona przestrzeń pól bitewnych, setki tysięcy poległych...

I na cóż to wszystko?

„Mort, tu n'epargnes personne,
tout fléchit dessous tes lois..“

— Dla ciebie! — wykrzyknął cesarz półgłosem, wyciągając dłoń ku portretowi dziecka.

Oto jest usprawiedliwienie, oto jest wytłumaczenie wszystkiego.

Pracował dla syna, jak umiał.

Każdy ojciec to robi.

Uczyniłem go pierwszym dzieckiem świata, pierwszym dzieckiem historii...

Nie — — wszak przed trzema jeszcze laty nie było tego dziecka, nie przeczuwał go nawet...

Kłamie sam przed sobą.

Gwoli własnej mocy, własnej ambicji tę nieskończoność rozciągnięte pola trupami zaszielone.-.

Scepter i korona tego dziecka z krwi i męki ludzkiej wyrosła...

Ah!...

Cesarz zakrył twarz rękami.

Ah! Gdyby to dziecko, mały król Rzymu, brzydziło się wojną...

Gdyby brzydziło się męczarnią rannych i konających...

Gdyby berło jego i korona, z męki ludzkiej wyrosłe, były mu wstrętne...

Gdyby odtrącało od siebie krwią ociekłe ich złoto...

Gdyby w łóżeczku swoim cesarskiem budziło się przerażone słyszaniami we śnie jękami rannych, charczeniem konających...

Ah!...

Gdyby kiedyś powiedziało ojcu: nie chcę twojej korony i twego berła! Z ich diamentów kapią krople krwi!...

Ah!...

Cesarz zacisnął oczy pięściami i opuścił głowę na wspartych łokciami o żebra rękach.

De Narbonne wsunął się ostrożnie do namiotu; Napoleon drgnął, przywołał go i odezwał się!

— Wojna... Cóż to jest wojna? Rzemiosło barbarzyńców, gdzie cała sztuka zasadza się na tem, aby być silniejszym w danym punkcie!...

Fortuna jest zmienna... Zaczynam to już odczuwać... Nie jestem tym, którym byłem...

Gdybym przegrał... Czy pośród generałów wierzą w zwycięstwo?

— Tak, sire, ale bardzo krwawe.

— Wiem! Ale gdy złączymy w Moskwie bataljony w marszu i maruderów, będę miał więcej wojska po bitwie, niż przed bitwą. Poślij przekonać się, czy ognie rosyjskie błyszczą?

Porwał go kaszel suchy i głęboki.

Potem przez parę godzin z rzędu otwierały się przed oczyma hrabiego de Narbonne straszliwe wylomy, które w stalowym organizmie Bonapartego porobiły trudy wojen. Widział, jak gorączka ogarnia ten umysł nadzwyczajny. W gorączce wysyłał adjutanta za adjutantem przekonywać się, czy Kutuzow nie ucieka. Cierpienie pęcherza, które zmusiło go zsiadać kilkakrotnie z konia podczas dnia wywołało boleści. Pragnienie stało się straszne. Jednak koło 2-ej w nocy stanął koło krzesła, na którym oparty był portret i, położywszy rękę na ramie, począł dyktować:

„Obóz cesarski na wzgórzach Borodina, 7-go września 1812-go roku, druga rano.

„Żołnierze, macie bitwę tak przez was upragnioną! Zwycięstwo od tej chwili zależy od was; jest dla nas konieczne. Da nam dostatek wszystkiego, dobre leże zimowe i szybki powrót do ojczyzny!

Okażcie się takimi, jak pod Austerlitz, pod Frydlandem, pod Witebskiem, pod Smoleńskiem, i niech najpóźniejsza potomność opowiada z dumą o waszych czynach w tym dniu. Niech mówią o was: on był w owej wielkiej bitwie pod murami Moskwy!”

Proklamacji nie rozdawać, zatrzymać — rzekł, przeczytawszy ją — jeszcze mogą nam się wymknąć...

Teraz zapanowało milczenie. Cesarz odwrócił krzesło i siadł na niem, jak na koniu, naprzeciw portretu syna. Oczy jego przymknęły się zwolna, ale widać było, że nie śpi. Był chory, cierpiał.

Tak mijała godzina za godziną, trzy długie godziny, podczas których hrabia de Narbonne drzemał, usiadłszy za pozwoleniem cesarskiem w kącie namiotu, od czasu do czasu spoglądając na tytana, nad którego głową widział kołyszący się cień sępicz skrzydeł. Tragiczny miał obraz przed oczyma: olbrzymią moralną potęgę, podległą fizycznemu cierpieniu i obraz dziecka, które istnienie swoje zawdzięczało krwawym furjom wojny, a którego fortuna wznosiła się jak złota kopuła na gmachu, zbudowanym z kości pomordowanych ludzi.

Wtem szybki chód rozbudził go. Była piąta. Wszedł do namiotu adjutant i zameldował cesarzowi, który zwrócił ku niemu głowę:

— Najjaśniejszy panie, marszałek Ney rozkazał mi oświadczyć, że armja rosyjska znajduje się na zajętem wczoraj stanowisku.

Napoleon porwał się z krzesła. Gorączka, choroba znikły mu z twarzy.

Wielkie stalowe błękitne źrenice zagrały ogniem. Wyprostował się i przypinając szpadę zawołał: A więc nareszcie! Naprzód! W bramy Moskwy! Wskazał ręką portret syna, aby go schować, i, wyszedłszy z namiotu, wsiadł na siwojabłkowego Taurusa, którego Rustan Mameluk trzymał już pod siodłem.

Zagrały orkiestry pułkowe, zabrzmiały trąby i zaturkotały bębny. Sztaandary i złote orły wzno-

siły się dumnie ponad szeregami. Wojsko przygotowało się, jak na paradę.

Cesarz popatrzał koło siebie.

Nigdy jeszcze nie miał on stoczyć takiej bitwy. Była to bitwa podobna do walk nad Granikiem i Gaugamelą, do nieśmiertelnych, wieki kruszących bojów Aleksandra Wielkiego. Setki mil dzieliły armję Napoleońską od Francji.

Będziez to zwycięstwo godne zwycięstw perskich Macedończyka?

Aleksander Wielki siły miał w stosunku do sił perskich olbrzymio mniejsze — tu siły są niemal równe, po 120,000 ludzi z każdej strony. Lecz wojsko Darjusza było liche, zniewieściałe i tchórzliwe, jego wodzowie rozmiękli w zbytkach i rozkoszach, wodzowie z tytułu nie z serca, głowy i ręki. On zaś miał naprzeciw siebie żołnierza bitnego, żołnierza, który „w karności, wytrwałości, znoszeniu trudów wojennych przewyższał Francuzów nawet“, stojącego murem na, przeciw śmierci, działającego w boju, jak machina, uporczywego i maszynowo zaciętego, w dodatku sfanatyzowanego i przepojonego nienawiścią. Na czele zaś takiej armji stał Barclay de Tolly, którego jakże nieśluszenie zlekceważył w rozmowie z Bałaszowem w Wilnie, gdy, jako wódz defenzywy, okazał się nieporównany i własną z nim jego maksymą: „wojna jest kalkulacją godzin“ walczył; stał księżę Bagration, Gruzin, uczeń Suworowa, który tyle dał męstwa i talentów wojennych dowodów, że go z zajznakomitszymi generałami Wielkiej Armji, z Lannes'em, Neyem, nawet genjalnym Davoutem porównywano; stał

wreszcie ów starzec, Kutuzow, któremu nazwę opatrznosciowego człowieka Rosji nadano.

Skarżyłem się, że nie mam godnych siebie przeciwników — myślał cesarz — otóż teraz, jeśli niema wśród Rosjan mnie, w każdym razie zresztą wszystko jest równe, kromi tego, że oni są pod swoją Moskwą, a ja jestem o 700 mil od Paryża... Jeżeli Kutuzow przegra, zgubiona będzie Moskwa i Aleksander proponuje mi pokój, który przyjmę chętniej, niż może on samby się spodziewał; jeśli ja przegram...

Cesarz nie chciał dokończyć myśli.

La guerre c'est un calcul d'heures, ale bitwa pod Borodinem będzie szalą w rękę przeznaczenia...

Dał rozkaz, aby teraz odczytano proklamację bitwy. Natychmiast po pierwszych wyrazach od pułku polskich szwoleżerów gwardji rozległo się: *wiwał cesarz! hurra!..*

Napoleon zdjął kapelusz i ukłonił się szwoleżerom.

Potem ruszył, a za nim sztab ku polu bitwy, orkiestry poczęły cichnąć za nimi.

Jechał za cesarzem hrabia de Narbonne i patrzył w niebo. Stało ciche i spokojne i wydawało się czekać. Dziwnie głuchy zdawał się hrabiemu de Narbonne poranek. I ziemia była cicha, jak niebo. De Narbonne myślał: bóg wojny jedzie na bój. Niebo i ziemia czekają w skupieniu, w napięciu, na jego dzieło. Świat umilkł, grzmi tylko *tentent* konia cesarza...

Wtem zahuczały armaty.

Hrabia de Narbonne westchnął i, choć był wolterjaninem, palcem wskazującym prawej ręki

ponad cugłami krzyżyk przed sobą uczynił, a kolanami siodło mocniej ścisnął.

Ah! Ces Russes!...

Wraz z cesarzem zatrzymali się w zdobytej 5-go września reducie Szewardyńskiej.

Rosjanie zaś stali rozciągnięci od rzeki Moskwy aż do lasów pod Utią. Na prawem skrzydle Miłoradowicz oparty o rzekę Moskwę z rzecką Koloczą przed linią, wśród wzgórz i parowów, w pozycji mocnej. W centrum dowodził Doktorow, na lewem skrzydle Bagration. Przed nimi reduta Rajewskiego i trzy szance, „flesze Bagratjonowe“ koło wsi Semenowskoje. Koło Uti, na kraju prawego skrzydła Tuczkwow w olszynach, z grenadjerami Strogonowa i piechotą Konownicina, dwie dywizje, pięćdziesiąt dwie armaty. Kozacy Karpowa. Za linią wojsk generał Markow z milicją w piki zbrojną; przed pozycją jegry tyraljery. Luka między Tuczkwem a Bagrationem wypełniona jegrami. Regularnego wojska do 120,000; kozaków i opółczenia do 20,000.

Napoleon usiłował zachować spokój.

Jednak dusza jego drżała. Nie czuł, że panuje nad polem walki. Nie czuł on w rękach swoich cugli, zwykłych prowadzić straszny wóz śmierci, rydwan zabójczy, w którym śmierć ugaśniała się między szeregami. Nie opanował on siódmego września pod Borodinem szalonych rumaków z krwawą pianą u pysków, które rydwan ten ponosiły. Wprzągł je, ale lejce pękały mu w dłoniach. Po raz pierwszy uczuł, że nie jest ich panem.

Mimowolnie niespokojny wzrok rzucił na hrabiego de Narbonne, który stał obok. Było to mgnienie oka, urwane, krótkie, ale de Narbonne je zrozumiał. Cesarz chciał się przekonać w obawie, czy kto stan jego wewnętrzny dostrzega? Dostrzegł go Narbonne i umiał ocenić. Rozpoczął się Talleyrandowski „początek końca”. Napoleon Wielki wstępował w jesień.

De Narbonne schylił rozumną głowę...

Rozhukała się batalja.

Eugenjusz Beauharnais uderzył na szaniec Rajewskiego pod Borodinem; sto armat wspierało atak Compansa na szaniec Bagrationa pod Semenowskoje; Poniatowski parł na Ulicę, głoścąc się donośnym grzmotem armat zdaleka.

Głowę cesarza, tak zinną i niewzruszoną w godzinach boju, głuchą na wrzawę walczących, a wsłuchaną w zegar własnego mózgu, przeszły bolesna, piorunowa błyskawica.

Uderzony nagle ostrogami siwy ogier cesarski rzucił się naprzód. Napoleon jak żar elektryczny zbliżył się do komendy lewego skrzydła. Począł rzucać rozkaz za rozkazem, podniecać pułki, miotać iskry słów na lewo i prawo, aż wzdął huragan bitwy od frontu, zamiast kierować ją linią skośną, podług własnego pierwotnego planu, którego wartość znał sam najlepiej. Unosił się, aby samego siebie oszołomić i rozplómić w godzinie zgnębienia.

Szałeństwo ognia owładnęło Wielką Armją. Król Neapolu, wicekról Włoch, marszałkowie Ney i Davout, jenerałowie Compans, Rapp, La Bruyères walczyli, jak żołnierze. Wielki zwycięzca z pod Auerstaedt, większy, niż sam Napoleon,

pogromca Prusaków, marszałek Davout, padł konuzjowany, lecz nie chciał zdać dowództwa i poszedł w cześć walki. Jenerałowie Wielkiej Armji ginęli pośród żołnierzy. Walczono na śmierć i życie.

Jermołow, Woroncow, Bagration, Bagowud, Tuczkwow bronili się w szanicach, jak bawoły w ostępie obskoczone przez tygrysy.

Napoleon patrzył.

Widział on dwie olbrzymie siły zmagające się z sobą, widział walkę dwóch światów.

Zarły się ze sobą płomienie starej kultury Rzymu i wschodniego porządku. Czuł on, zdawał sobie sprawę, że to nie tylko jego waga się losy, ale że się tu spotkały dwie dusze ludzkości, sobie przeciwne. Tak nie walczy żołnierz o wygraną, nawet o wypoczynek i dostatek — — tak walczyć mogły zachodnie hufy Gotfryda de Bouillon z zastępami Wschodu.

Linje walczących gięły się i łamały. Odrzucone wstecz, porywały się naprzód.

Widział cesarz pułki i bataljony swoje, jak leciały w płomień i topniały w nim, czeły, jak czezną w ogniu polana drzewa ręką nocującego w lesie drwala rzucane. Szły i szły naprzód, lecz coraz mniej pozostawało ich w pozycjach.

Cesarz patrzył przez lunetę na tyraljerskie walki wołyżerów i fizyljerów swoich, na bataljonami dawane salwy grenadjerskie i ataki kawalerji, podobne do przelotów myśli graniczącej z obłędem. Widział działa swoje na baterjach podobne do wulkanów. Lecz czuł, że bój ten nie jest zupełny, że w rozwiniętych sztandarach,

w dumnych złotych orłach, w hałasie trąb i bębnow, w wykrzykach wodzów niema ducha, który od Alp przez Egipt wiódł armję jego od zwycięstwa do zwycięstwa.

Cesarz czuł się zemdlony wewnątrz.

Otrząsał się, rwał, przełamywał — — stan omdłałości nie ustępował.

I lęk.

Lęk, którego nie znał, obcy mu dotąd.

Gość ten straszny, upiór ten zabójczy zleciał nań z przestworzy, jak nietoperz potworny, w mgliste błony swoich skrzydeł głowę mu owiał, oczy mu zaćmił, lodowe stęchłe powietrze grot ponurych wiał mu w oblicze.

— Turenne! — krzyknął cesarz do adjutanta. — Oni się wydrą Polakom, zajdą z tyłu Neyowi i Muratowi! Jedź! Patrz!

— Najjaśniejszy panie — odpowiedział Turenne, skręcając konia — gdyby gwardję —

— Nie! Dzień jest długi! Trzeba umieć czekać. Wszystko zależy od czasu. Cza jest podstawą wszystkiego. Jeszcze zawczasie. Trzeba się rządzić zastanowieniem...

Hrabia de Turenne spojrzał zdumiony na cesarza. Jakto?! To Napoleon daje taką odpowiedź?! Gubi się w zdaniach, wypowiada ich sześć, zamiast zawrzeć myśl całą w jednym rozkazie?

Lecz cesarz zsiadł z konia i, oddawszy go Mamelukowi, począł się przechadzać powoli ze szpicrutą w założonych w tyle rękach, z głową schyloną i oczyma zwróconemi ku ziemi.

Tymczasem dowódca szóstego pułku ułanów, zuchwały Suchorzewski, na czele stu ochot-

tników wydarł wydartych Francuzom przez pułk kirasjerski sześć armat polowych. Tymczasem przed Semenowskojem król Neapolu pod lawą dział stał do szarży pułk za pułkiem korpusów Nansouty'ego i Latour Maubourga. Tu Herzog von Meklemburg z ręki francuskiej śmierć męzną poniósł, tu mgła zasłoniła oczy rannego śmiertelnie księcia Bagrationa, wodza, który był sercem armji rosyjskiej. Tu dywizja piechoty Frianta, naparta przez szalony atak konnicy rosyjskiej, poformowała się w czworoboki zaparte ołowiem i żelazem.

Murat w pióropuszu białym widnieje pośród nich. Już pierśi konne jeźdźców rosyjskich zdają się być hutą, w której zwęgła się zanurzone luty i bagnety francuskie. Lecz nagle przed oczyma Murata jako tęcze migocą. Oto gnają 3, 11 i 16-ty pułk ułanów Latour-Maubourga, pułki mazowieckie, gnają Sasi w kirysach i kirasjerów pułk Małachowskiego; ich trąby przeciągłe mosiężne brzmia wśród rozgłosu salw, podobne do głosu syreny morskiej podczas wycia burzy. Frianta dywizja oswobodzona. Więc naprzód, na redutę!

Lecz reduta ziele ogniem piekielnym. W twarz bluźnięte granatami kolumny zatrzymują się, chwieją.

— Co to jest!—krzyczy król Neapolu.

— Widzisz pan, że tu przecie zostać niepodobna! — odpowiada jeden z pułkowników, nie bacząc na tytuły.

Murat popatrzył na niego.

— Eh—powiada spokojnie, opuszczając szablę na pendencie i w bok się podpierając—a ja myślę, że podobna.

Spojrzał nań pułkownik. Krótko, bo nie było czasu. Wprostował się i:

— Masz pan rację — powiada. — Żołnierze Naprzód! Marsz na śmierć!

Więc piechury Frianta poszły, jak lwy.

I tu Prusacy oddali ostatnią w historii usługę Polakom. Ułani pruscy wykłuli i wyrąbali z chmury nieprzyjaciela złotych huzarów Umińskiego.

Tu padł generał jazdy Montbrun, którą rzucił Napoleonowi pod Somo-Sierrą wyraz „niemożliwe!“, którego cesarz „nie znał“ był wówczas.

Przy okopach redut, przy szańcach działały się rzeczy straszne.

Żołnierze Wielkiej Armji darli się na nie, jak jaszczury — pierściami i brzuchami przylegając. Żołnierz stwarzał pozycje, o jakich nie śniło się jego dowódcom na ćwiczeniach. Wdrapując się strzelał i nabijał, strącany jedną ręką odpierał atak z góry z szańców, drugą zasłaniał się od ciosów najeżdżającej go kawalerji rosyjskiej.

Zdawało się, że zębami chwyci się usypiska.

Wtem zamraczało mu się w głowie; ugodzony zsuwał się, lub kotłował w dół, aby być zmiażdżonym pod nogami swoich i wrogów.

Strzelano sobie prosto w twarz, w usta otwarte, gruchotano z góry czaszki, pruto z dołu bagnietami brzuchy.

Piekło szalało koło szańców.

Z reduty Szewardyńskiej, wspierając lunetę na ramieniu prezentującego broń szasera z eskorty, patrzył Napoleon na pole walki.

Nagle przypadają doń adjutanci marszałków, kurzem okryci, z ogniami w oczach.

To marszałek Ney i król Murat żądają posiłków.

Napoleon namyśla się, nie decyduje się. Dał rozkaz, cofnął.

Czas upływa.

Murat śle nowego gońca. Przypada przed Napoleona adjutant Murata Borelli, a za nim przypadają także do jego stóp kule rosyjskie.

— Najjaśniejszy panie — woła Borelli — król Neapolu błaga o posiłki. Nie możemy wytrzymać! Nieprzyjaciół już ze swej strony przechodzi do ataku.

Cesarz waha się. Nie może się zdobyć na postanowienie. We wnętrzościach czuje ból i w całym ciele omdlałość. Pot rosi mu czoło.

— Dobrze — powiada — do Borellego — wracaj do króla Neapolu. Jedź!

Krzyknął.

To jedno ostatnie słowo z mocą — aby się pozbyć Borellego.

— Młoda gwardja naprzód — komenderuje.

Borelli salutuje z rozplómiennym wzrokiem, wspina konia i oddala się.

— Stać! — woła cesarz do młodej gwardji.

Pociera czoło.

On, Napoleon Bonaparte, podchodzi, oszukuje adjutanta.

Marszałek Mouton, wódz młodej gwardji, zaciska pięść. Daje komendę.

— Co to? — pyta cesarz.

— Stracono linię, najjaśniejszy panie, trzeba ją wyrównać — —

Krok za krokiem, powoli, marszałek Mouton posuwa młodą gwardję ku bitwie.

Lecz cesarz spostrzega się.

— Stać! — powtarza rozkaz i młoda gwardja staje. Cesarz nie chce jej puścić od siebie. Znów przechadza się. Nikt nie wie, jak się czuje źle.

Kule padają koło niego, nie lękał się ich nigdy. Dziś są mu one obojętniejsze niż zawsze, omdłałość umysłu nie pozwala mu zwrócić na nie uwagi.

Lecz nagle brwi jego zbiegają się. Oczy stalowo-błękitne ciemnieją, ich blask staje się prawie czarny, ciało Napoleona staje się ogromne.

— Tygrys obudził się — myśli hrabia de Narbonne.

Lauriston przedstawia właśnie potrzebę pomocy armat, rezerwy, cesarz wahał się; nagle daje rozkaz. Rozkaz dawny, krótki, imperatorski. Lecz rozkaz ten jakby wysilił go. Ożył na sekundę. Siada na krześle polowem i opiera głowę na rękach; na twarz jego występuje rezygnacyjna obojętność.

Przybiegają gońcy z wieścią o śmierci poległych generałów. Przybiegło ich kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu.

Cesarz słucha, wstaje, przechadza się chwilę i znów siada.

— Nie jest to spokój genjusza—szepcze hrabia de Narbonne do młodego Turenne'a—słońce się zniża.

Ośmdziesiąt armat rezerwy Lauristona grzmi ze wzgórz, rwąc w strzepy bataljony i szwadrony rosyjskie, których masą zbitą tylko wódz o genjuszu Napoleona umiałby sterować pod deszczem granatów.

Bitwa pod Borodino przestaje być dziełem sztuki wojennej. Furje mordu chwytają szwadrony, bataljony, pułki, brygady i dywizje za ramiona i rzucają je na siebie nawzajem. W chaosie piekielnym piersi ludzkie spierają się z pierściami końskimi, drzewo wgniata się w mózgi, stal nurzy się w wnętrznościach, buty grzęzną w ranach, rozdzierają je podkuciem, kopyta zapadają się w zwarte usta i w odkryte tętniące jeszcze serca, podkowy unoszą z sobą krwawe strzępy wydartych wnętrzności. Ciało miesza się z kośćmi, jelitami, ścięgnami, kałem, mózgiem w potworną papę czerwoną, gorącą i pełną wyziewu pod podeszwami piechurów i kopytami jezdnych. Wichrzy się w tej papie rzucona stal, drzewo padłych łożysk karabinowych, rzemienie, sukno, sprzączki, sztandary, orły, trąby, blachy. Walają się w niej ścierwa koni pobitych, dźwigają z niej rżące łby o czerwonych krwią zaciekłych oczach rumaki bojowe, na brzuchy koni do góry obrócone, z nogami rozstawionymi, jak na brzuchy kochanek w miłości, padają trupy żołnierzy kadłubem żygającym posoką. Przysiadają konie na zadzie, chrapiąc strasznie, z ranami okropnymi, podczas gdy jeźdźcy z tych potworów zeskakują, wyplątując się ze strzemion, lub też walą się w tył na głowę, z rękami wyciągniętymi nad czaka i hełmy. Oczy ludzkie zwisają na bagnietach, lance wyrywają języki z gardeł, przebijając karki, szable rozłupują czoła i wargi. Potworne wycie zespala się z krzykiem, ryk z grzmieniem karabinów, jęk, kwik i rzenie koni z grzmotem armat. Chmura dymu, kurzu, oparów krwi unosi się ponad blaskiem, szczękiem i wirem szabel

kawaleryjskich, jasnym mrokiem bagnetów, huraganem kotłujących się w powietrzu kolb. Kłęby ludzi i koni zwierają się, zataczają, toczą, wznoszą i opadają, szturmują na się, gną — — — lecz gdzieżeś, boże wojny?!

Kędyżeś jest ty, coś oczyma swemi o stalowo-błękitnej ciemnej barwie przebiegał takie pola, jeden jedyny patrząc na nie, jak na „zawile równanie rachunku“, jeden jedyny oczyma swemi sterujący te kotły szalejącego elementu ludzi? Kędyżeś ty, coś nad takimi kotłami, wśród szалу powszechnego, do nie ludzkości spokojnie wypowiadał: los bitwy jest zależny od jednej chwili, od jednej myśli; maszeruje się kombinacyjnie, zderza, walczy czas jakiś, następuje decydujący moment, jeden błysk w mózgu i najmniejsza rezerwa zwycięża...

Genjusz! Obudź się!

Ty, coś rękami gromów i darów pełnemi potrząsał nad światem, elemencie elementów, siło boska zaklęta w człowieka, dumny wodzu pychy, zdobywco nienasycony, ojczy, który tron świata jedynej swej miłości, jedynemu synowi budujesz...

Wstań! Ozwij się!

Spłyn ku hufcom twym, jak Lucyfer z zagwiami w żrenicach, ty, coś z rąk twych prąd elektryczny w setki tysięcy ludzi przelewał, coś myślą twą, wolą, intencją setki tysięcy mózgów ludzkich napełniał, coś rozkazem twym ze sztandarów czynił samumy, orły twoje w płomienie zaklinał — — głosu twego rozkazu, triumf zdobędziesz!...

Czy nie czujesz, że dwudziestu narodów różnojęzycznych myśl, że przeszło stu tysięcy ludzi myśl z twą myślą związana jest, iż z myśli twojej, jak ze słońca, promienie pędzą i światłem twojej duszy świat twojej armji świeci?!

Wybuchnij, „siło żywiołu“, zabiysnij iskrą lontu, która miny zapala i bramy wysadza w powietrze — — — nie! on śpi!...

On się boi losu, obojętny na kule i śmierć własną.

On, który nie lękał się świata, nie lękał się wyzywać wszystko pod gwiazdą swą: lęka się losu odmiany...

Napróżno Belliard błaga go w imieniu Murata: niech młoda gwardja idzie choć zdaleka za nami, niech się chociaż pokaże! Niech tylko stanie na wzgórzach za nami—zwyciężymy!...

Bo w strasznym boju w podartym od kul białym płaszczu, szamerowanym złotem, sobolami obszytym, w kołpaku z białemi piórami, w kurcie polskiej z zielonego atlasu, w czerwonych spodniach ze złotym lampasem, w żółtych butach węgierskich, na czarnym koniu wschodnim pod lamparcim czaprakiem, z krzywą szablą w ręku, nurzy się le beau sabreur, Murat.

Dwieście szwadronów jazdy rzucił na redutę pod Semienowskoje, na Barclaya de Tolly. Eugenjusz Beauharnais sekunduje go piechotą. Kirasjerzy, lansjerzy, karabiniery i dragony Wielkiej Armji ścierają się z jazdą rosyjską. Dywizja ułańska Rożnieckiego, pułk 3, 11 i 16 o biało-amarantowych proporczykach, walcząc bez przerwy, zdruzgotana jest przez ciężką jazdę rosyjską raz, formuje się, szarżuje i znów zdruzgotana jest

przez rezerwy Korfa i Kreutza, które dwieście szwadronów Murata kruszą. Pada ranny pułkownik ułański Adam Potocki, w jedenastym pułku pada połowa żołnierzy, z dwudziestu sześciu oficerów pada dwudziestu trzech. Od świtu walczą, ręce mdleją, Eugenjusz Beauharnais z bohaterskim dziewiątym pułkiem piechoty „dzieci paryskich“ wdziera się na redutę, sparty, wyteża ostatni dech, aby się odeprzeć nie pozwolić. Już i ich spychają z pozycji nieubłagani zakuci w pancerze jeźdźcy rosyjscy. W furji bojowej nic ich wstrzymać nie zdoła.

Lecz trąby, trąby trąbią...

Cudny dzwon trąb bitewnych, posiłkujących towarzyszy-braci...

To znów do ataku pędzą ci, co już raz zwycięstwo na stronę Murata przeciw Bagrationowi przechylili.

Wypatrzonem lunetą przez jenerała kawalerji Montbruna miejscem, gdy piechota zdobywa ją od frontu: od tyłu, kędy wchodzi w nią może wojsko rosyjskie, atakuje ją kawalerja. Już padł kulą armatnią powalony Montbrun, już padł dowodzący po nim brat księcia Vicency, jenerał Caulaincourt, lecz wdarł się przed śmiercią w szaniec z żelazną kawalerją. Ogień działowy reduty zmiata atakujące szeregi Napoleona, pękają czaszki, miażdżone są ręce piechurów, wdrapujących się na wały od kolb, przebijane ich twarze i piersi bagnietami, rozstrzeliwują ich obrońcy, strzelają z łuf przystawianych do ciał. Lecz jeźdźcy opancerzeni szaleją wewnątrz reduty. Tną piechurów i artylerzystów. Ich konie przesadzają armaty, wypełniają sobą wewnętrzne ob-

wałowanie. Na jednych jeźdźców żelaznych zwalili się drudzy. Prą ich. Szczęk mieczów o miecze i dźwięk ich o hełmy i pancerze jest tak potężny, że słyszać go wśród ryku armat i huku karabinów... Zwyciężają rosyjscy obrońcy reduty.

Lecz trąby, trąby trąbią...

Cudny dzwon trąb bitewnych, posiłkujących towarzyszy-braci...

Granatowe szwadrony dwa kirasjerów Małachowskiego, brygada biała kirasjerów saskich Thielmanna, rwąc przez rowy, wały, przez zwwały trupów, rannych i konających, runęły w redutę Barclaya de Tolly.

Jako olbrzymi niedźwiedź naparty przez psy, broni się, gromiąc je łapami, krwawe ślepią błyskają mu z oczu, czerwony jezor z krwawą pianą zwisa mu z czarnego pyska, psy padają pod ciosami jego łap, coraz nowe nadbiegają, wpijają mu zęby w boki, w piersi, w gardło, wtem straszne kundle i nierozwartych pysków buldogi od zadu go napadły, on zachwiał się, przysiadł, krew go uchodzi, ból go uśmierca, słabnie: tak reduta traciła moc. Cichły armaty i karabiny, ginęli ich strzelcy.

Podobna do zalewanego wzdętem morzem wulkanu reduta zagasta. Prą się fale wód, gnają pędem straszliwym pchane jedne przez drugie, gdy ziemi trzęsienie wyrwało je z łoża, wspiernione grzywami rozbryzganymi w chaos piany świecącej, wdzierają się na ziejącą płomieniem górę, w ogniu spala się woda, lecz przybywa jej coraz więcej, więcej, bałwan zwala się za bałwanem, w czeluść wulkanu leją się wody, ogień ulega. Z toni morza dobywają się czarne dy-

miące ozreby krateru, posępne krawędzie. Wulkan tonie zalany.

Reduta Rajewskiego pod Semenowskoje wzięta.

Lecz dookoła reduty bój nie ustaje. Wściekłość wojsk obustronna jest tak wielka, że nie idzie tu o zwyciężenie wroga, o wygranie bitwy, ale o zadawanie śmierci. Ci ludzie chcą przedewszystkiem zabijać. Ich dusze nabrzmiały palącym żarem nienawiści wzajemnej. Z odsłoniętą własną piersią godzi się w pierś przeciwnika, aby go tylko dosięgnąć.

Ułani polscy i pruscy kończą to żniwo śmierci.

Lecz cesarz nie posyła rezerwy.

Napróżno trzykroć razy słał Murat Belliard do Napoleona. Napróżno Belliard przekłada mu, że widać już pomieszanie w armji rosyjskiej. Grodzą jeszcze zarośla przed nią drogę, ale generałowie rosyjscy nie wyzyskują już warunków bitwy, zmieszani; jednym atakiem można wedrzeć się w środek armji Kutuzowa, zdecydować o losie bitwy, o losie Rosji!

Cesarz posyła go, aby raz jeszcze sprawdził.

Belliard zdumiony, oszołomiony, posłuszny jest rozkazowi cesarza. Powraca. Już zagajenia, opustoszone przed chwilą, po przed armją rosyjską, roją się znów od tyraljerów, armja opanowuje się, moment minie, a wówczas trzeba będzie może nowej batalji — — —

Bóg piorunowych błysków bitewnych, tygrysih rzutów, wysyła wodza gwardji, marszałka Bessières, aby zbadał „postawę Rosjan“.

Ustawili się na nowo, więc cesarz chce mieć

jeszcze wyraźniejszą „szachownicę“ — — il veut voir plus clair sur son échiquier! — i pokazuje starą drogę do Moskwy, której jeszcze nie zdołał owaćladnać Poniatowski. Chce czekać.

Belliard pędzi do Murata, od Murata pędzi adjutant do bohaterskiego marszałka Ney'a. A sto milionów fur beczek djabłów! Chłopska bohaterska krew zawrzała w lwie pośród marszałków Wielkiej Armji. Co robi cesarz w tyłach armji?!

Na tośmy przešli siedmset mil, aby nie zdusić Rosji, ale zdobyć pole bitwy? Jeżeli Napoleon chce robić wszędzie cesarza — jazda do Tuilerjów! Obejdziemy się, kroćset djabłów! Póki dowodził, dobrze, ale teraz niech nam nie przeszkadza, jazda do Paryża, potrafiśmy dowodzić bez niego, sacré nom de Dieu!...

Po odjeździe Belliarda Daru, człowiek zaufania Napoleona, przedstawia mu konieczność wystawienia gwardji w ogień, w tej chwili, już.

Lecz błękitno-stalowe mętne z omdiałości wewnętrznej źrenice wielkiego wodza zwracają się ku niemu i po raz pierwszy w życiu Bonaparte mówi:

— A jeżeli jutro będzie bitwa, kim ją stoczę?!...

Młody Turenne chwytą z konia za rękę hrabiego de Narbonne. Kochał Burbonów, ród jego dumny i wyniosły zrosł się z domem królewskim, lecz ci królowie nie wydali przez tysiąc lat, przez dziesięć wieków nikogo, ktoby z korsykaninem mógł się zrównać, ktoby się mógł choć przybliżyć ku niemu. Więc młody wnuk królewskich burbońskich bohaterów oddał swe usługi Francji

pod wodzą pana de Bonaparte — — i to on?! on?! on?!... Bonaparte nie rzuca się, jak orzeł na zdławionego borsuka, aby go dobić, lecz lęka się, że borsuk może się jeszcze bronić!

Bonaparte, on, który zwyciężył płomieniem swego ducha, odpowiada rozmysłem, obawą?!

Młody hrabia de Turenne ciśnie rękę de Narbonne'a, jak w kleszczach; lecz za całą odpowiedź otrzymuje smutne, pełne rezygnacji spojrzenie wolterjanina encyklopedysty i krótkie słowo które już słyszał: słońce zachodzi...

Naówczas młodą pierś adjutanta, potomka wojowników bez trwogi, łkanie, które ledwie tłumi, porywa. Chce rzucić kapelusz swój i szpadę swoją pod stopy Bonapartemu. Historia Francji miała Rolanda Palatyna, rycerza rycerzy; miała pana du Terrail, Bayarda bez trwogi i zmazy, miała Franciszka I-go; miała wielkiego Ludwika II-go de Bourbon, prince de Condé, wodza wodzów, i Henryka de Latour d'Auvergne, wicehrabiego Turenne, zwierciadło męstwa i geniuszu bitew — — z nich wszystkich największy Napoleon Bonaparte kruszy, łamie, druzgoce chwałę własną, chwałę, która jest już własnością i zaszczytem Francji, blaskiem francuskich rycerzy?! Niweczy ich własność?!

Na wezwanie o pomoc Eugenjusza Beauharnais odpowiada Napoleon, aby podwoił wysiłki; na czwarte wezwanie Murata zezwala wyruszyć kawalerji gwardji i czeka spokojnie przeszło trzy kwadranse, aż znajdą jej dowódcę.

Ruszyli.

Lecz już było za późno. Kutuzow owładnął swoje zastępy. Koncentrują się, kupią, szeregują, bój wre, ataki postępują po atakach, kontrataki

po kontratakach, Muratowi i Neyowi brak tych dziesięciu tysięcy piechoty gwardji, któremi mogliby złamać i zniweczyć armję rosyjską, a które Napoleon zachowuje, będąc „o siedmset mil od Francji“.

Myśli o tem, kim będzie staczał jutro nową bitwę, nie chce spostrzec, zrozumieć, że w jego ręku leży, aby już więcej żadnej bitwy nie było, że może armję Kutuzowa zniszczyć doszczętnie, że może sam sprawić, aby jutro Rosja nie miała się kim bronić i osłaniać...

Na prawem skrzydle słabemi siłami piątego korpusu i dywizją westfalską z nadto zmiennem szczęściem potyka się z Tuczkowem, a gdy ten legł ranny, z Bagowudem — Poniatowski. Ze zmiennem szczęściem, lecz z męstwem niewzruszonem i trudem szczerym i wytrwałym. Zgubna metoda szkoły austriackiej wysyłania w ogień pojedynczych bataljonów poszczególnie paraliżuje ataki księcia, mimo szalonej ich odwagi i szalonej odwagi naczelnego wodza. Zarośla olszynowe stanowiły pole rozdrobnionych najkrwawszych zapasów. Bohaterską chwałą okrywa się szef brygady Maciej Rybiński, który jednym bataljonem 15-go pułku piechoty zdobywa szaniec, mamelon, rosyjski i dział trzynaście grenadjerów pawłowskich. Lecz wałą się na jego bataljon pułki grenadjerskie: petersburski, ekaterynosławski, Krakczewja, lejbgrenadjerski i muszkieterskie pułki Willmanstrad i Biełozorsk, któremi sam Tuczko dowodzi. Zalany taką chmurą Rybiński wyrwał chorążemu srebrnego orła i. sam go niosąc, wydarł się z paszczy zgonu, trzystu ludzi zostawiając poległych. Nad mamelonem

powiał znowu sztandar rosyjski i bluznęło stamtąd kartaczami sześć dział pozycyjnych. Rannego śmiertelnie Tuczkowa zastąpił Bagowud.

Dopiero koło 3-ej po południu, pod surowymi rozkazami cesarza, Poniatowski całą siłą ruszył na nowo do ataku, utraconą redutę odzyskać.

Runęła od boku, osłaniając szturm piechoty, jazda. Srebrni luzarzy Tolińskiego oskrzydłili kozaków, na których trzy pułki ułańskie od frontu szarżowały. Bagowud okopy opuścił, orły Napoleońskie błysły znowu z wyżyny.

Kutuzow cofał się na całej linii na stanowiska rezerw pod gradem dział Wielkiej Armji.

Pole bitwy było zdobyte.

Z trudem, po przyniesieniu mu tej wieści przez Belliarda, wsiadł cesarz na konia i z reduty, zdobytej przed dwoma dniami, pojechał wolno do reduty, zdobytej świeżo, do Semenowskoje, prosto pod padające tam jeszcze pociski.

Deszcz kul podzielał na jego osłabłe cierpieniem wewnętrznym członki, jak tusz otrzeźwiający. Poczut się w ogniu, on, który w nim i z niego wyrósł. Ruszył przejrzeć ostatnie pozycje Rosjan; chciał im je wydrzeć. Lecz gdy Murat, wskazując na poszarpane okrutnie pułki, zażądał znowu gwardji, począł się wahać. Młody Turenne ścisnął pięści, wbijając paznogie — Napoleon Bonaparte słuchał marszałka Bessières, który tłumaczył Muratowi, że między cesarzem a Francją leży pół Europy, że tylko ta garść gwardji ręczy za bezpieczeństwo cesarza...

Cesarz zsiadł z konia i znów piechotą szedł, powoli, niepodobny do zwycięzcy, ach! jakże

niepodobny sobie, bogu wojny, który genjuszem swoim łamał prawa świata!

Ze zwału trupów wyszedł, z jatek, z rzeźni tak strasznej, jakiej on sam nawet nigdy nie widział przedtem, przy której pola bitwy pod Marengo i Eylau blade i milły. Usiadł, powróciwszy do namiotu, i milczący patrzył w ziemię.

Widział wały trupów wyższe, niż wzrost olbrzyma.

Leżały jedne na drugich ciała po trzy, cztery, pięć, po dziesięć jedno na drugim.

Ze zwałów tych płynęły rzeką straszne jęki, błagania o ratunek, rżenie i chrapanie konających, przekleństwa i wzywania Boga z pośród zimnego milczenia trupów.

Pełne oczy przyniósł cesarz sztywnych a powykęcanych i powyłamywanych w konwulsjach członków, krwi, ran oczy przerażających i strat przepastnych.

Milczał, siadłszy w namiocie, dokąd powrócił. Milczano na około.

Poczęły się meldowania.

Czterdziestu dziewięciu francuskich generałów, trzydziestu siedmiu pułkowników zabitych lub rannych.

Straty Wielkiej Armji około dziesięciu tysięcy ludzi zabitych, przeszło dwadzieścia tysięcy rannych.

— Ilu jeńców rosyjskich? — zapytał cesarz.

— Ośmiuset.

— Co?!

— Tylko tylu, najjaśniejszy panie.

— Armat wziętych?

— Dwadzieścia dział pozycyjnych, zdemon-
towanych.

— Sztandarów?

— Ani jednego.

— Straty rosyjskie?

— Około sześćdziesięciu tysięcy ludzi za-
pewne.

— Jakto?! Na polu bitwy dziewięćdziesiąt
tysięcy ludzi!

— Mniej więcej, najjaśniejszy panie.

Wzrok Napoleona zdradził przerażenie we-
wnętrze.

— Dziewięćdziesiąt tysięcy — — powtórzył.

I to on, on jest za tę liczbę odpowiedzialny
przed Europą...

— To rzeź — rzekł.

— Walczono zbliska, najjaśniejszy panie.

— Tak, walczono zbliska — powtórzył.

Wydobył z kieszeni od płaszcza złotą taba-
kierkę i wzięwszy szczyptę rozsypał prawie wszy-
stko na mundur, nim doniósł do nosa; potem
bezmyślnie podsunął ją stojącemu naprzeciwko
Berthierowi, który meldował.

Podniósł po chwili rękę, aby skinąć, że chce
być sam, lecz wstrzymał ją w pół ruchu.

Pełna grozy myśl przeszpiła mu mózg.

Czy zaczynam już się przeżywać?

Jest siedem lat od zwycięstwa pod Auster-
litz, rok więcej niż określiłem czas, który jeszcze
powinienem dowodzić...

Czy jestem już zużyty?

Czy moja epoka wojny już minęła?

Czy ta bitwa, w której szpada moja, szpada
litościwa, błyskiem biorąca do niewoli dziesiątki

tysięcy przeciwników, przemieniła się w kosę śmierci tak okropną, nie jest słowem gniewu Fortuny, sprzyjającej dotąd? Czy genjusz, który unosił się dotąd nademną, nie przemienia się w furję, której wściekłość schłonać chce świat, a w potopie krwi i mnie samego pogrążyć?

Jakże głuche, jak straszne jest to milczenie dokoła...

Równie strasznie jest milczenie żywych, jak umarłych...

Kilka armat, ośmiuset jeńców, ani jednego wziętego sztandaru...

To bój z żubrami o puszcę...

Armja Kutuzowa pobita, ale nie zniweczona...

Armja francuska zajęła pole walki — — więcej nic.

Cesarz słuchał w milczeniu strasznego sprawozdania.

Dzień chylił się ku zachodowi.

Marszałkowie, generałowie i adjutanci milczeli.

To więc była ta bitwa tyle upragniona?

To była ta bitwa, którą tylekroć razy zapowiadał, którą groził Rosjanom, krzepił swoją armję wśród nędzy i trudów?

To była bitwa, której wieść pójdzie na Europę, dotrze wszędzie? To jest to walne zwycięstwo?

Cesarz czuł na sobie ciężar wzroku swych generałów.

Czuł, jak na potężne barki jego, na dumną sławną jego głowę góry wyrzutów toczyli — — bo jeśli był chory, gdyby im dał był gwardję swoją, Kutuzow byłby jego jeńcem, armja rosyj-

ska by nie istniała, zwycięstwo byłoby jednym z największych zwycięstw świata, większem niż Austerlitz, niż Frydland, niż Wagram, które decydowały o losach państw...

Spojrzał na hrabiego de Narbonne.

Także to „im Rosja większa jest, tem lepiej, tem więcej pola do zwycięstw?“

Po raz pierwszy Bonaparte spuścił przed wzrokiem człowieka wzrok, po raz pierwszy pochylił pod spojrzeniami ludzkimi głowę.

Żałoba Francji, triumf Anglii, zelektryzowanie Prus i Austrii i Hiszpanji — — — i tyle siły straconej o tyle mil od Francji...

Ah! żeby co przerwało to straszne milczenie!

Lecz wojsko milczało. Jednego okrzyku, jednego „hurra“, jednego „vive l'empereur!“, jednego dowodu dumy, echa radości — — nic, nic...

Ah! Chciał wstać, podnieść się z krzesła, zerwać się — —

Lecz nie mógł.

Nie zdołał.

Myśli niewypowiedziane sztabu Wielkiej Armji, który go otaczał, rosły nad nim w góry olbrzymie, ciężar go cisnął, gniótł, miażdżył. Powinien był zniweczyć Kutuzowa. Sparaliżował klęskę...

Wtem wpadł Murat.

Dwanaście godzin boju nie znużyło go. Wzrok jego świecił porywem, głos błyszczał ogniem.

Była dziesiąta wieczór, lecz nie ciemno. Widział armję Kutuzowa w pośpiechu, w nieładzie przechodzącą rzeczkę Moskwę.

— Kawalerji gwardji, najjaśniejszy panie! — krzyknął. — Dopędzę, zdruzgotam!

Napoleon popatrzał nań. Jeszcze pod Smoleńskiem miałby ochotę rzucić mu się na szyję, uścisnąć go. Dziś bał się. Nie chciał żołnierza jednego stracić z gwardji. Chciał ich mieć wszystkich koło siebie, nietkniętych. Coś ludzkiego biegało w nim o to. Chciał mieć mur koło siebie, osłonę.

Odmówił.

Murat zderzył końce palców obu dłoni. Zamleło mu się jakieś słowo w ustach, którego nie powiedział. Spojrzał na lewo i prawo na generałów, chrząknęło mu mimowoli gardło, oparł lewą rękę na gardzie szabli, zawahał się, jakby nie wiedział, co zrobić ze swoją osobą, i, uczyniwszy parę kroków w bok, stanął obok generałów.

— Już po nas — zdawały się szeptać jego wargi¹.

Tymczasem Wartałowicz pracował straszliwie na polu bitwy.

Rozdarta kulą działową kobyła Mroczkiewicza przywalała go sobą w ataku. Zwalilo się nań dwóch ułanów, nim się z pod kobyły dobył. Potem przelatywał ponad nim wicher kawalerji. Koń kirasjera rosyjskiego załamał się i runął zadem na zabitych ułanów, karkiem w dół, tak, iż pysk żywy przeciw twarzy Wartałowicza, leżał. Koń chrapał strasznie. Wartałowicz, przytłoczony kłaczą swoją, dwoma ludźmi i koniem, choć nie czuł kości pękniętej w sobie, nie mógł się uwolnić. Gorący, okropny oddech ranionego konia szedł

¹ W trakcie bitwy generał Lichaczew, wzięty do niewoli, powiedział do Ségura: „Ach panie generale! Co za klęska! Czy sądzisz pan, że wasz cesarz pozwoli nam nadal pozostać Rosjanami?”

Ségur: Pamiętniki.

mu prosto w nozdrza, w oczy i w usta. Wartałowicz przeżył się, tężył, wyciągał, padł o zmroku, już noc napływała, on wydostać się nie mógł. Czuł, że siły traci i że z wysilenia poczyną mdleć; krew zatapiała mu usta.

Wtem usłyszał nad sobą kroki i ujrzał postać ludzką, rosyjskiego żołnierza.

• Jęknął.

— Kto? — zapytał głos. — Żyjesz?

— Wódkę masz?

Żołnierz schylił się. Wartałowicz ręką pokazał mu, aby mu z korpusu i nóg zepchnął konia kirasjerskiego.

— Dostań wódkę!

Wartałowicz pokazał mu, że nie może.

— Dasz? — zapytał żołnierz. — Język ci wyrwali? Dasz?

Żołnierz ukląkł i począł łokciami spychać konia.

— Palce u obu rąk mi koło armaty przejechało— powiedział.

Gdy zepchnął kirasjerskiego konia, Wartałowicz poczuł się wolniejszy. Mógł się już nawet o własnych siłach z pod trupów i swojej klaczy wysunąć, uczynił ruch, lecz w tej chwili żołnierz, który klęczał, pochylił się i Wartałowicz poczuł zęby jego na gardle.

— Wypilbyś! — warknął żołnierz i wpił mu zęby w gardło.

Ból i strach targnął Wartałowiczem; olbrzymia jego siła oprzytomniała; wydarł się z pod konia i trupów w sekundzie, schwycił żołnierza ze swej strony oburącz za gardło i zdławił.

Żołnierz rozwarł szczęki i jęknął.

— Puść!

Wartałowicz trzymał go; żołnierz począł mu się chwiać w rękę. Wartałowicz zwolnił uścisk palców, odjął lewą rękę, pomacał gardło, gdzie poczuł krew, i począł ją rekawem obcierać.

Potem pchnął żołnierza od siebie, który padł na wznak na ziemię z kłęczek.

Wówczas Wartałowicz zebrał wszystką moc i z pod trupów i Mroczkiewiczowej kobyły się wydobył.

Ból twardy przejmował mu grzbiet i nogi. Leżał ciężko na ziemi we krwi zakrzepłej, która pole bitwy broczyła.

Żołnierz dyszał chwilę, potem wycharczał:

Wódki! Obiecałeś!

Koniam z ciebie odwalił...

Byłbyś tam zgnił...

Szkoda, żem cię nie zdążył udusić. Teraz nie dasz nic. Sam wypijesz. U was wszyscy tacy!...

Wartałowicz poszukał manierki i znalazł ją przy sobie pod bokiem. Podciągnął się ku żołnierzowi, schylił się nad nim i, zdjawszy z siebie, podał manierkę, lecz ten nie mógł jej wziąć. Więc Wartałowicz podjął mu lewą ręką głowę z ziemi, a prawa przytknął mu manierkę do ust i począł go poić. Żołnierz pił; gdy wypił połowę, Wartałowicz odjął mu manierkę od ust i zatkał.

— Pies! — warknął żołnierz, skreślił głowę i zębami go za udo schwycił przez spodnie.

Wartałowicz ujął go za kark i w pierwszej chwili chciał mu skruszyć kręgi. Ale potem oderwał go tylko od nogi, przygniół mu dłoń

głowę do ziemi, cofnął się nieco plecami i, wysiłony szamotaniem się pod koźmi, spartł się o siodło charczącego konia kirasjera.

Morzył go bezwład, ale się lękał żołnierza. Czuł jeszcze jego zęby na gardle. Chciałby się był odciągnąć, lecz kości miał jak zmiażdżone.

Chciałby był wypocząć. Naokoło były trupy. Lecz żołnierz ze zgniecionemi palcami leżał przed nim i mimo mroku Wartałowicz czuł wpite w siebie jego oczy. Widział też jak próbował on niepostrzeżenie przysunąć ku sobie manierkę, leżącą między nimi z niedopitą wódką.

Śmiertelne znużenie ogarniało Wartałowicza.

— Zabiję żołnierza szabłą — myślał — reszty wódki mu nie dam, bo sam Bóg wie, jak tu długo będę... Zabiję go, będę spokojny...

Wysunął pałasz z pochwy; żołnierz zrozumiał, ciemny jego kształt skulił się i z gęby wyszło skomlenie.

Wartałowicz pałasz wyciągnął, ale nie przygważdżał nim żołnierza do ziemi — nie mógł tego przemóc na sobie.

Zabij go, będziesz miał spokój. Gdy zaśniesz, albo omdlejesz, zagryzie cię jak pies i ukradnie twoją manierkę... Zabij go... Zabiłeś już sześciu ludzi, coś ten jeden więcej znaczy... I tak będzie kaleka... Chciał cię udusić... Ugryzł cię w nogę.. Zabij go...

Myślał tak, ale nie zabijał, nie mógł się zdecydować, namyślał się i zdrzemnął.

Lecz to trwało sekunde. Nie wiadomo, dlaczego otworzył nagle oczy; żołnierz wstał i pochyłony nad nim już rozwierał szczęki, aby go znów chwycić niemi pod gardło.

Wartałowicz pchnął go lewą pięścią w pierś, że się zatoczył i cofnął o kilka kroków. Ale nagle podsunął się i butem chciał przygarnąć manierkę. Wartałowicz uprzedził go i przysunął ją szybciej ku sobie szablą.

Podjął i, zawiesiwszy ją na sobie, chciał wstać, aby się oddalić. Lecz nie zdołał. Był jak pogru-chotany.

Pozostał więc wsparty o zdychającego ko-nia; naprzeciw niego stał żołnierz. Zrozumiał on, że Wartałowicz nie może się ruszyć. Począł się śmiać.

— Ja cię przetrzymam—rzekł—ty zaśniesz, a ja ci wódkę ukradnę.

Wartałowicz czuł, że niedługo opuszczą go do tego stopnia siły, że pałasza nawet nie utrzyma w ręce. Walczył z omdleniem mózgu i członków. Zimno przenikło go. Ujął manierkę i chciał ją przytknąć do ust. Lecz w tej chwili żołnierz przysunął się o krok. Wartałowicz wyciągnął rękę z szablą, lecz zaledwie potrafił grozić nią przed sobą. Słabł zupełnie.

— Jak wypijesz, to cię uduszę, jak zaśniesz!—wołał żołnierz. — Połóż!

Wartałowicz wypił parę łyków i zdawało mu się, że przybyło mu sił; lecz był to pozór. Owszem, z neodpartą władzą poczęły go opanowywać niemoc i senność.

— Kiwnij zię jeszcze dwa razy, już się nie obudzisz więcej — szydził żołnierz. — Ja gwóźdź zębami przetnę, nie dopiero twoją grzdykę...

Widzisz, trzeba ci było zabić — marzyło się Wartałowiczowi, któremu postać żołnierza w mroku

poczęła już majaczyć. Widział ją tylko bliższą siebie o krok, znów o krok, o krok...

Lecz nie mógł już podnieść szabli, mimo wysiłku woli. Jak przez mgłę patrzył na cień przysuwający się. Rozpacz bezwładna i lęk prze-rażający zapały mu dech w piersiach, pot skropił mu czoło.

Wtem usłyszał za sobą przeciągły, straszny pisk męski. Tylko szalony może taki głos wydać z siebie. Kształt ludzki w mroku z wyciągniętymi przed się rękoma przesunął się koło niego w potwornym skoku i runął na żołnierza. Ten zwrócił się i, wrzasnąwszy „Boże zmiłuj się!“, począł uciekać. Ów drugi z piskiem ścigał go i dopadł. Ryk rozdarł ciszę nocną. Zakotłowało się. Lecz widać ranny jakiś przydeптany został w walce, gdyż dała się słyszeć kłątwa niemiecka, ogień błysnął i huknął strzał pistoletowy. Znów jęk „Boże zmiłuj się!“ głosem konającego i pisk okropny.

Jeszcze jakieś cienie koni, jeden w galopie, przebiegający mimo, drugi wlokący się ze stękanem — — Wartałowicza zmógł bezwład zupełny.

Zimno. Chłód dotkliwy. Ksiądz Fasolkowski w pokoju pani Broniewiczowej w Pucimuskach pochyła się nad nim i owija go szalem pani Broniewiczowej, śpiewając mu nad głową:

Już trębacze nasi grają,

bębny apel wybijają.....

...Bonaparty sam na przedzie.....

Rom, tom, tom!... na gitarze.

O! Ksiądz proboszcz! Jego pucółowata, słodka, promienna, dobrodusznna twarz! Pochyliła się nad nim!...

Z konia patrzył nań błękitno - stalowemi oczyma cesarz Napoleon.

Wartałowicz chciał się zerwać, zrobić front, ale potrafił tylko dźwignąć się wsparty na pałasz i podnieść rękę do czaka.

Był dzień; chmury tłoczyły się na niebie, lał deszcz zimny i wicher szumiał ponad polem bitwy.

Cesarz ruszył dalej, a za nim świta. Nie słyszał Wartałowicz jednego głosu między generałami. Koń jednego z generałów uderzył kopytem w głowę leżącego rosyjskiego kirasjera. Żołnierz jęknął boleśnie.

Naówczas milczący cesarz krzyknął:

Ah! Ah! Boże! Ratuście go! Prędszej! Jak można tak jechać! Podnieście go! Zabierzcie! Prędszej! No! Ah! Al

— Najjaśniejszy panie, to Rosjanin — zawarzył adjutant hrabia de Turenne, jakby chcąc uspokoić cesarza.

— To wszystko jedno! Niema nieprzyjaciół po zwycięstwie, są tylko ludzie! Prędszej! Macie moją chustkę! Obwiążcie mu ranę! Ah! On umiera!... Nie! Podnieść go! Ostrożnie! Do Larreya!*) Ah! Jak on jęczy! Boże mój!...

Panowie oficerowie! Dopomóżcie żołnierzom! Proszę jechać, gdzie słyszać jęki. Tylko ostrożnie! Ostrożnie! Nie kaleczyć rannych! Wszyscy tu są już równi, pamiętajcie o tem! Niema nieprzyjaciół! Wobec cierpień, jak wobec śmierci...

Całe pole jęczało, zdawało się, że ziemia krwawa jęczy.

*) Larrey był głównym chirurgiem Wielkiej Armji.

Cesarz jechał dalej.

— Vive l'empereur! — wyrzekł jakiś ułan z szóstego pułku, głowa zwisała mu w tył i skołał. W boku tkwiła mu złamana pika kozacka.

Cesarz zatrzymał się. Zdjął krzyż legji z piersi i podał go hrabiemu de Turenne, mówiąc: — Przypnij mu go i niech go tak pocho-wają.

Nigdy nie widział ran tak strasznych. Ciężkie kule rosyjskie dały ciało ludzkie. Koń cesarski stąpał w krwi, rozmiokłej w deszczu, broczył kopyta w kałużach krwawych. Wicher wył koło uszu Napoleona ponury i złowrogi. Ołowiem zamknięte było słońce.

Góry zwłok i padłych koni, zdemontowanych dział i pogruchotanych wozów z amunicją łamowały drogę. Koń jakiś ze strzaskanym zadem, dźwignął się właśnie, gdy cesarz nadjeżdżał, na przednich nogach i zarżał boleśnie.

— Czy i temu da krzyż? — szepnął dowódca konnej gwardji, Bessières do hrabiego de Narbonne.

— Angielski park — odpowiedział mu de Narbonne. — Ścieżki dziko zarosły.

Cesarz dosłyszał.

— Rzeczywiście angielski — rzekł. — Anglja te szpalery trupów zasiała. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi — dodał po chwili.

— Blisko sto, najjaśniejszy panie.

Napoleon rzucił na hrabiego de Narbonne krótkie, cięte spojrzenie.

— Sześćdziesiąt — powtórzył.

— Tak powie Europie — szepnął Bessières,

nachylając się do adjutanta. — Lęka się tej olbrzymiej cyfry.

— Może się wstydzi — szepnął de Narbonne.

Naokoło zaś kłębiły się zwłoki, usiłowali się podnieść z ziemi ranieni, wlec się ku ratunkowi. Jedni kłęli, drudzy wzdychali i jęczeli, inni mówili koncepty. Okaleczali na nogi robili sobie kule i podpory z gałęzi drzew, które posępny przedstawiały widok, gnąc się i szumiąc w wichrze, opalone od strzałów armatnich, posiekane i poszarpane od kul. Wiele padło potrzebaskanych, inne szumiały nad ruinami domostw i siedzib ludzkich, nad zwaliskami, pełnemi grozy i żałoby, w których jakby przerażone kulity się sprzęty życia zwykłego, zalewane deszczem i smagane wichrem.

W rowach i koło szanieców widział cesarz rzeczy, od których wzrok tęgl pod powiekami. Tam z pod ciężaru stłoczonych ciał wyglądały twarze spokojne, z rozwartemi trupieniami żrenicami i rozwartemi trupieniami ustami, lub twarze spokojne z zamkniętymi oczyma i ustami, sino białe, którym dała spokojność nieludzka męczarnia. Tam zwisały z redut trupy głową w dół żołnierzy, którzy się darli na szaniece, z ranami, jakby je lwy wyszarpały. Z wzniesionego na zaszczytnionej nodze buta kirasjera holenderskiego kapłała woda deszczowa w otwarte usta w znak pod nim leżącego pułkownika jegrów rosyjskich, ciekąc po ostrodze i napiętku.

— Mamo! Mamo słodka! — jęczał jakiś młody karabinier francuski konając.

— Dobij! Dobij! — odzywało się z kilku stron, z pośród tych złomisk ludzkich. — Dobij! Dobij! Ah! Nie mogę już! Dobij, kto w Boga wierzył.. Wody!.. Jezul.. Piekło i szatani!.. O! O!..

Ludzie konali strasznie, w bezsilnej męczarni. Cesarz szybko skrzył konia. Tam już nie było co pomóc; dokończyć nikt nie miał odwagi.

— Ah! Ah! Ah! — wyło za cesarzem. — Śmierci... Śmierci!..

Jeden z karabinierów konał w straszny sposób. Wyprężył się, jak łuk w powietrzu, czołem tylko i końcami butów na ziemi oparty. I tak wyprężony trzymał się w powietrzu, a z piersi jego rwało się tylko od czasu do czasu krótkie: ałk! ałk!...

Koń cesarski o mało nie nastąpił na woltjera Westfalczyka, leżącego na wznak, pozornie już martwo, z pianą z otwartych ust ciekącą, o którego życiu świadczyło tylko grabanie jakby rytmiczne palcami po ziemi. Z otwartego boku wyszła mu na wierzch czerwona wątroba.

Kozak ówdzie leżał przygwożdżony przez wklęsłość między gardłem a obojczykiem szpada, której właściciel, oficer piechoty, już nie wyjął z rany; trzymał na szpadzie obie bezwładne ręce martwy. Szpada prześlizgnęła się bokiem koło tchawicy.

Cesarz skinął na przechodzącego mimo chirurga.

— Wyrwij mu!

Chirurg wyciągnął szpadę. Kozak powstał prawie, jakby pociągnięty za krwawą szpadą na kształt żelaza za magnesem—i padł, chwyciwszy się za ranę okropną.

Były trupy, którym kopyta końskie twarze zmiążdżyły. Kirasjerowi rosyjskiemu wbito snadź kolbą hełm tak, że mu pół twarzy po nos w nim uwięzło. Nie mógł się z tej strasznej uwięzi wydobyć, gdyż obie ręce miał pocięte szablami. Czasem leżał spokojnie, czasem przy nowym paroksyzmie bólu wił się i tarzał po ziemi. Z konia jego wylały się wyprute bagnetami jelita.

Owddie o szklanych oczach rozwartych leżał generał francuski, w zastygłej ręce trzymając przed oczyma wyjęty z pugilaresu pęczek ciemnoblond dziecinnych włosów. Lewe ramię miał odwalone okrutnym ciosem szabli jakiegoś wielkoluda; prawą ręką potrafił jeszcze dostać pugilares z za munduru i z niego włoski dziecka.

Cesarz zatrzymał się nad tym trupem sekundę. Tam, w Paryżu, był jego syn... Tu, nieopodal, w obozie portret tej jedynej prawdziwej miłości jego życia...

Cesarz siłą powstrzymał łzy, cisnące mu się do oczu. Świętego coś było w tej zastygłej ręce ojca, w tych szklanych oczach, zda się po śmierci jeszcze wpatrujących się nieruchomemi źrenicami we włosy dziecka.

— Ah! Voilà! Bon jour, mon vieux! — usłyszał cesarz nagle z boku. Piechur, którego znał z pod Ulm, leżał z wyklutem jednym okiem, z potrzaskanymi ramionami, z okropnym krwawym brzuchem. — Jedno zwycięstwo więcej, co?

Mrugnął cynicznie okiem, którem patrzył.

— Pozdrów tam w Paryżu Marjanę Gros-cu! Możemy razem do niej chodzili, kiedy byłeś głodomorem porucznikiem? Pachniało jej ze wszystkich miejsc, którą dusza wygląda, sacré

bleu. Tak samo u Marjanny Grosuł, jak u Marji Ludwiki!

Cesarz odjeżdżał szybko.

— Hej! Mały kapral! Powiedz Marjannie, że sierżant Maquaron, zwany świńską szczecina, nie przyjdzie już więcej pod „Żółte prześcieradło“ — usiłował wołać żołnierz. — Wyciąga kopyta nad strumykiem Moskwa!...

Dalej w cesarza wlepił się wzrok tak straszny, że zadrżał pod nim w siodle. Na pniu zgruchotanej kulą armatnią topoli siedział brodaty chłop z opołczenia. Obie nogi miał przetrącone w goleniach. Nie rzekł on słowa, tylko swojemi chłopskimi, tępemi, wyblakłemi oczyma patrzył w twarz cesarza. Nie poruszył się, nie podniósł palca.

— Patrzy na mnie, jak na Antychrysta — ozwał się półgłosem Napoleon do Berthiera.

Całą postać Napoleona wraz z wierzchowcem zdawały się ogarniać oczy chłopca. Patrzył, jak na zło, zesłane na świat przez Boga, podczas gdy nieopodal jasnowąsy piechur litewski nie widział nic, nie spojrzał na nic, tylko trzymał oczy w niebo wzniesione, jakby zupełnie oderwany od życia. Krew spływała mu deszczem z czaszki.

Jak słup złowróźbny pozostał za Napoleonem brodac, siedzący na pniu topoli.

Ówdzie podnoszono z ziemi młodego Francuza, huzara, który miał urwane obie dłonie.

— Ostrożnie! Ostrożnie! — wołał żartując. — Bo mi pierścionek od narzeczonej spadnie!...

Tam przed koniem cesarskim pełzała czerwona poczwara. Krwią umazany dokąd czołgał

się ten żołnierz? Po co? Odwrócił głowę z wypalonemi oczyma, głowę okropną, potworną. Przystanął chwilę usłyszawszy tentent i znów czołgać się począł, jak jaszczur ogromny.

— Czego chcesz? Dokąd się chcesz dostać? — zapytał go Napoleon.

— Nie wiem, muszę, muszę — odpowiedział po włosku żołnierz.

Podjęli go z ziemi ci, co zbierali rannych.

W Napoleonie Wielkim dusza skruszyła się. Panował nad sobą, lecz smutek nieogarniony przywalał go. Gdyby był przynajmniej pokonał Rosję... Lecz pobił tylko armję Kutuzowa...

— Co myślicie? — zwrócił się niespodzianie do świty.

— Jeden dzień twego zdrowia więcej, najjaśniejszy panie — rzekł adjutant hrabia Filip de Ségur — losy Rosji byłyby zdecydowane.

Napoleon poruszył wargami, lecz nie odpowiedział. Oczy jego padły na żołnierza w mundurze rosyjskim, który siedząc na ziemi patrzył na obie nogi swoje, pogruchotane kolbami. Patrzył i potrząsał nad niemi głową. Twarz miał rybaka gdzieś od północnych mórz azjatyckich. Wpatrywał się w swoje nogi pogruchotane, jakby myślał, jak wróci na nich tak daleko, tam do siebie. Gdy podniósł wzrok na sztab francuski, nie spojrział z nienawiścią. Tylko pokazał ruchem głowy swoje nogi, jakby się pytając: cóż teraz będzie?

Cesarz chciał już wyjechać z tego pola bitwy. Zaczęło mu być na niem duszno, straszno. Skreślił w bok, gdy koń jego wzdrygnął się i cofnął, o mało nie nastąpiwszy na pysk konia, leżącego na ziemi w kałuży krwi, rozdarty bagnetem, że

kości czerwone wyglądały z mięsa i skóry zbroczonej.

Cesarz, który tyle pól bitwy oglądał, począł doznawać zawrotu głowy.

Pocisnął konia ostrogami i kłusem powracał do namiotu. Lecz ścigała go myśl, że to wielkie pole bitwy nie było polem ani pod Marengo, ani pod Austerlitz, ani pod Jeną, ani pod Frydlandem, ani pod Wagram. Rosja leżała przed nim niepokonana. Nawet pochód do Moskwy mógł mu być jeszcze zamknięty. Z żadnem z wielkich zwycięstw starożytności Borodino nie mogło być porównane. Nie padło państwo; przeciwnie, naród nie został zwyciężony, tem mniej pobity.

Zwolnił biegu.

Czy może być, aby on, ze swoim wojskiem, z Wielką Armją, zaledwie pole walki osiągnął? Nawet bez zdobyczy, bez trofeów?

Zwrócił się do jadącego za nim szefa sztabu.

— Ilu to wzięto jeńców?

— Ośmiuset, najjaśniejszy panie — odpowiedział Berthier.

— Dział?

— Dwadzieścia pozycyjnych zdemontowanych.

— Polowych?

— Żadnego.

— Sztandarów?

— Żadnego.

Wiedział to wszystko, już raz to meldowano. Po co się pytał? Czy chciał jeszcze raz usłyszeć, że wygrał z nim bitwę, ale nie pogromił Kutuzowa?

Nie chciał, jednak się pytał. Oszołomiony się czuł, zamroczony. Napróżno jakby dłonią zdzie-

rał mrok, zalegający mu mózg. Nie mógł przyjść do siebie, opanować się.

Jedno słowo, jeden dźwięk, jedna sylaba, rzucona na Europę: Napoleon się kończy...

Ah!

Przeklęty wicher rosyjski! On to, dmąc skądś od lodów północy, z Sybiru, mroził w nim krew, przeszywał go chłodem, zastudzał w nim siły. On wył tak ponuro nad okropnem polem bitwy, że obraz jej stawał się wizją zdruzgotanego przez szatany piekła. Przekłete niebo! Jednego blasku słońca nie dawało. Chinury ciemne, ołowiane, ciężkie zaścielały je, tłocząc go swoim ciężarem. Zimny deszcz północy przenikał jego ciało do kości, paraliżował tętno jego serca, ruch jego mózgu. Czy natura wypowiadała mu wojnę? Przed wzrokiem jego stała olbrzymia wizja rosyjskiego cesarstwa. Stepy jakieś niezmierne, zasłane śniegami, pustynie i góry lodem pokryte, morza mrozem zabójczym ziejące - na nich huragany, zamiecie. Jeśli to wszystko powstanie przeciw niemu?...

Fatalizm pchnął go tutaj... Wszystkie przyczyny angielskie, hiszpańskie, austriackie, polskie i rosyjskie: to była tylko gra tego fatum, które czarne i nieprzejrzone wciągnęło go tu jak w przepaść.

Czyż Rosja, Północ chce go zmóc?

Czyż na jego potęgę elementu, o której wie, którą zna w sobie, elementy podniosły się z ziemi?

Czyż za ziemi elementami nie podniosą się i elementy ludzi, za potęgami natury i potęgi dusz i ciał ludzkości?

Dotąd zwyciężał — słabsi byli przeciwnicy, lecz czy nie przyjdzie godzina, gdy naprzeciw staną potęgi świata nawet dla niego za silne?

— De Narbonne — zwrócił się, dojeżdżając do namiotu — czy nic nie może być wiecznem?

— Owszem, najjaśniejszy panie — odpowiedział de Narbonne.

— Cóż?

— To pytanie genjuszów.

Napoleon w zamyśleniu zsiadł z konia i oddał go masztalerzowi.

Tak — powiedział, wszedłszy do namiotu — to pytanie genjuszów jest rzeczywiście wieczne...

* * *

Wśród ciągłych utarczek, które dowodziły, że wróg dawszy się pobić, nie dał się zwalczyć, a które wskutek rany w nodze pod Krymskoje pozbawiły korpus polski najdzielniejszego z generałów, Chłopickiego, podobnego zawsze do skały między piorunami w czas boju: Wielka Armja bez radości i bez uczucia triumfu ciągnęła pod Moskwę.

Na białym koniu jechał na jej czele jej wódz zwycięski.

W mózgu cesarza wichrzyły się myśli tak chmurne, jak było niebo rosyjskie ponad nim. Wicher miotał połami jego płaszcz i szarpał grzywę wierzchowca, który grzął w rozmokłej od deszczów ziemi. Posępna, ponura jesień otwierała swą otchłań przed Bonapartem.

Z przysłoniętymi powiekami, zapadnięty w głąb swoich myśli, nie wiedział cesarz prawie,

że koń jego wspina się pod górę, w tem okrzyk:
Moskwa! Moskwa! zabrzmiał koło niego.

Olbrzymi, pierwszy prawdziwy okrzyk triumfu
od czasu wkroczenia w granice Rosji.

Moskwa! Moskwa!

Cesarz spojrział.

Z Gór Worobejskich, na które był go wy-
niósł wierzchowiec, spojrział przed siebie i zo-
baczył jądro Moskwy, stolicę carów rosyjskich,
u stóp swoich.

Naówczas serce uderzyło mu mocniej.

Rzucił oczyma na prawo i lewo.

Przecież triumf!

Żołnierze wyrzucali w górę czapki i zawie-
szali je na bagnietach i lancach, twarze ich się
śmiały, wzrok błyszczał, a usta szeroko otwarte
powtarzały nazwę wylonionego z poza wzgórza
miasta.

Bonaparte znów się uczuł, czem bywał.

Ołaczał go las dumnych piersi, podniesio-
nych głów, promiennych twarzy i jaśniejących
oczu.

Moskwa! Moskwa!..

Zsiadł z konia.

Natychmiast zeskoczyło czterech szaserów
gwardji z koni i ustawiło się wkoło cesarza
w czworobok, natychmiast drugich czterech na
koniach ustawiło się w taki sam czworobok.
Cesarz przystąpił do tego, który stał przed nim
i, oparłszy mu lunetę na ramieniu, przysunął do
niej oko. Szaser wyprostował się, jak słup,
i sprezentował broń.

Napoleon patrzył na miasto.

Ale więcej jeszcze patrzył ukosem na swój sztab oficerski..

Jenerałowie trzymali kapelusze w rękę, niema otęcz czci olśniewała cesarza.

Oto znów wchodził do stolicy.

Do łańcucha stolic świata, do Medjolanu, Rzymu, Madrytu, Berlina, Wiednia, do miast Egiptu i Azji, dołączał nowy brylant swej sławy, brylant największy, najdziwniejszy: Zdobycie Moskwy!

Jego sztab, marszałkowie Francji, jenerałowie gwardji i armji znowu odczuli, kim jest on, kim być nie przestał.

Okupiona omdłałość jego duszy i ciała pod Borodinem.

Zapłacone trudy marszów i walk.

Zapomniane błędy, wahania się i zwłoki.

Nikt, tylko on, nie mógł zgromadzić takiej armji; nikt, tylko on, nie mógł prowadzić jej; nikt, tylko on, nie mógł rozkazać jej iść z Zachodu na Północ; nikt, tylko on, nie mógł pchnąć genialnym rzutem z pod Witebska pod Smoleńsk i nikt, tylko on, nie mógł kazać jej patrzeć na Moskwę i wprowadzać jej w triumfie o siedmset mil od jej stolicy powszechnej do miasta, które dla Europy było prawie baśnią.

Nietylko odzyskał swój nimb, ale rozelśnił go jeszcze.

Pięćset cerkwi złociło poniżej Gór Worobejskich kopuły, las rósł przed oczyma czerwonych, niebieskich, zielonych, żółtych wież, widniały szeroko dachy pałaców, kamienic i domów, nad srebrną wstęgą wody puszyły się zamki, zielono kwitły sady, ogrody, pola podmiejskie.

Był dzień 14-go września.

Od 9-go maja, od dnia wyjazdu z Paryża, upłynęły cztery miesiące.

Byłby cesarz chciał wyjąć kazać z opakowania portret syna, byłby mu był chciał pokazać Moskwę, świeży, olbrzymi liść lauru nad jego główką promienną.

Byłby był chciał zwołać wszystkich królów świata, aby stojąc tak, jak marszałkowie Francji, z odkrytymi głowami, w pełnej poszanowania postawie, z nie śmiejącymi wyjść z ust słowami podziwu, uwielbienia i kornej służby, patrzyli na jego moment chwały, bez porównania.

Teraz, gdyby cesarz Aleksander tu był, mógłby Aleksandrowi darować Moskwę.

Teraz, gdyby cesarz Aleksander wjechał na przeciw, byłby mógł pośpieszyć ku niemu i, wyciągając doń rękę, zwrócić mu „święte miasto“ jego kraju.

Teraz mógłby mu oddać i drugie „święte“ jego miasto, klucz Rosji: Smoleńsk — — teraz mógł być zawrzeć z nim godny wielkiej wojny i wielkiej armji pokój i jako triumfujący gość, już nie jako triumfujący zwycięzca, wjechać do Moskwy poprzód marszałków pierwszego narodu świata i generałów największego obszaru kontynentu, aby setki tysięcy oczu patrzyło nań w podziwie, który po prawej ręce cara jedzie jako pierwszy imperator świata, jako król królów.

— Talatta! Talatta! Morze! Morze! — wołało dziesięć tysięcy Greków, wracających z Azji do Europy z Ksenofontem, gdy je wreszcie ujrzeli, ojczyzny się dobić spodziewali. Moskwa! krzyczymy my, gdyśmy siedmiuset milami od Francji

oddaleni. Wolałbym, abyśmy już krzyczeli: Paryż! Paryż! — ozwał się hrabia de Narbonne do młodego Turenne.

Lecz młody adjutant cesarski zdawał się mowy jego nie słyszeć. On jak w gwiazdę patrzył w Bonapartego i kajał się w duszy własnej, we własnym sumieniu. On zwątpił, zwątpił o tym, który z ducha rycerstwa Francji najjaskrawsze wykrzeszał płomienie, zwątpił o wodzu, który nad Francją nieznanym jej, nieśnionym, niemarzonym powiał sztandarem chwały... On poważił się sądzić go i krytykować, on, który był niczem i tylko dawną krwią rycerzy Francji w żyłach swoich się szczycił...

Obraził nie tylko Napoleona, ale obraził całego ducha rycerzy francuskich, którzy od Rolanda z Ronsewalu miłość i żądzę sławy złali, skupili w osobie korsykańskiego zdobywcy, tego, który im wszystkim górował, jak orzeł sokołom góruje.

Turenne byłby ruszył koniem, a zbliżywszy się tuż do osoby cesarskiej, byłby z konia się pochylił i rękę cesarską, krusząc się i błagając w milczeniu o przebaczenie, pocałował.

Wtem Napoleon wsiadł na siodło.

Poruszyła się eskorta gwardyjskich francuskich strzelców konnych i polskiej gwardji lekkokonných.

Wielka Armja maszerowała do Moskwy.

*

*

*

Wyciągnięta na otomanie w buduarze swego moskiewskiego pałacu, księżna Zeneida czuła się

zupełnie samą w mieście. To, co w niem pozostało, tego ona nie uważała za ludzi.

Gubernator miasta, hrabia Roztopczyn, gdy stary Kutuzow wbrew swej przysiędze Moskwy nie ocalił, a potem ze strategicznych względów opuścić ją postanowił, rozkazał ludności wyjść z bram. Rozkaz ten dał sam, na własną rękę.

Cesarz Aleksander rozkazu Roztopczyna ani nie zatwierdził, ani mu się nie sprzeciwił.

Roztopczyn powziął plan straszny.

Z polecenia cesarza Aleksandra, kiedy tenże, wstępując do miast po drodze z Wilna i budząc w nich nienawiść do wroga, zapal i ofiarność patriotyczną, cofał się do Petersburga, mechanik niemiecki sporządził olbrzymi balon, który miał wznieść się nad armją francuską i ztamtąd spuścić na Bonapartego deszcz ognia i żelaza. Ale wszystkie próby zawiodły. Balon ze śmiercią nie zawisł nad Bonapartem i Bonaparte szedł zwycięsko do Moskwy.

Wówczas hrabia Roztopczyn postanowił go w Moskwie zagładzić.¹

Arystokracja i szlachta, bogate i średnie kupiectwo, unosząc z sobą, co można było zabrać, wyemigrowało z miasta. Powoli, z płaczem i jękiem, wyruszały za nimi uboższe warstwy ludności. Pozostawały ostatki, nędzarze i ci, którzy chcieli rabować.

Księżna Zeneida nie opuściła swego pałacu. Została w nim z całą złużbą, z kołniami, z dworem.

¹ W Kremlu założona była mina, którą zniszczył oficer artylerji Gourgaud, adjutant Napoleona, a która miała wysadzić w powietrze cesarza, sztab jeneralny i gwardję cesarską.

Roztopczyn wpadł do niej sam.

— Księżno, na miły Bóg! — zawołał po francusku. — Ostatni czas! W mieście już prawie pusto! Pozostaną albo ci, którym się nie nie spali, albo ci, których ja tu zostawiam.

— Wiem o tem.

— No więc?

— Ekscelencjo, jeżeli ja wolę nie wyjeżdżać —

— Powinienem panią kazać wyprowadzić gwałtem! Dla twego własnego dobra.

— Tego nie robi hrabia Roztopczyn. Może spalić Moskwę wraz ze mną nawet, ale nie może się względem mnie zapomnieć.

Roztopczyn siadł na krześle.

— Czyż żal księżnie pałacu? Jest on o wiele bogatszy od mego, ale i moje domy są dużo warte, a poświęcam je na pastwę ognia.

— Arystokracja rosyjska z takim gestem ofiarowała swoje pałace, z jakim arystokracja francuska ofiarowywała swoje szyje pod gilotynę — odpowiedziała księżna Zeneida.

— Cóż mieli robić?

— Ale powiedz mi, hrabio, czy spalenie Moskwy jest konieczne?

— Z dwóch przyczyn. Naprzód obawiam się, że Bonaparte wymógłby tu na Petersburgu haniebnny pokój, którego warunki by tu, na Kremlu, nad grobami carów, dyktował; powtórę obawiam się rewolucji, którą mógłby wywołać. Żywioły, które we Francji stworzyły tak zwane „prawa człowieka“, ciągną z Napoleonem, niosą to powietrze w swoich ładownicach. I u nas jest partja illuministów, czekających na Napoleona.

Nie jest to tajne nikomu. Niebezpieczeństwo pobytu Francuzów w Moskwie jest równie wielkie dla sfer wyższych rosyjskich, jak dla niższych. W naszym świecie są zawsze głowy chętne nowinom z Zachodu. Pamiętaj też, księżno, że stan drobnych kupców, rzemieślników, drobnych przemysłowców, był tym, który przedewszystkiem tworzył rewolucję w Paryżu. Chłopi francuscy są wolni. Napoleon przewraca świat. Pośród jego marszałków są synowie chłopów i małych mieszczan. Porwał on się na kościół, wprowadzie rzymsko-katolicki, ale bądź co bądź władzę duchowną religiji, którą wyznaje. Pomiedzy francuską wolnością, równością i braterstwem, a Rosją, trzeba rozlać morze materialnego ognia, gdyż inaczej mogłyby się zacząć palić nasze dusze.

Księżna Zeneida popatrzyła na Roztopczyna swojemi zielonemi oczyma.

— Ogłosisz, ekscelencjo, naturalnie, że to Francuzi podpalili Moskwę i nota bene z rozkazu Napoleona?

Roztopczyn zdziwił się mocno.

— A księżnie skąd to wiadomo?

— Mój hrabio, wprowadzie trzy czwarte mego życia spędzam zagranicą, ale domysleć się tego mogłam przecie.

— Tak. Wzbudzę taką nienawiść, taką wściekłość i taką żądzę zemsty przeciw Francuzom i Bonapartemu, że o żadnym pokoju mowy być nie będzie mogło, a wszystko, co francuskie i zachodnie, będzie budziło wstręt, zgrozę i odrazę. Nasza święta Rosja pozostanie nadal tem, czem jest i być powinna, i da Bóg pozostanie na zawsze!

— Amen — rzekła w szczególny sposób księżna Zeneida. — Ale czy zastanowiłeś się ekscelencjo, do jakiego stopnia spowodować możesz głód, nędzę i rozpacz dziesiątków tysięcy uboższej ludności, gdy ją wypędzisz z miasta bez chleba i bez dachu?

— Tego właśnie potrzeba! Cała Rosja wszere i wzdłuż powinna krzyknąć z boleści nad losem mieszkańców spalonej Moskwy, aby tem głośniej potem krzyknęła: zemsta!

— No, a jeśli Francuzi ogień ugaszą?

— Kazałem wynieść wszystkie sikawki z miasta. W ogrodzie moim nagromadzone są materiały wybuchowe i palne. Przygotowana jest już banda podpalaczy pod kierunkiem oficerów policji, a oprócz tego każę wypuścić więźniów z kaźni i każę im podpalać wzamian za wolność.

Księżna Zeneida roześmiała się.

— Istotnie, ekscelencjo, rzecz obmyślona do ostatnich szczegółów. Gdyby z takimi szczegółami obmyślono plan defenzywy, możeby Napoleon nie był pod Moskwą.

— A gdy tu jest, powinien zginąć i zginie! Anglja radzi nam wytrwać do ostateczności.

— Jaki ten mądry Zachód jest jednak głupi! — rzekła księżna Zeneida. — Ale co to jest?

Z ulicy brzmiały hymny pobożne i podnosiły się jęk, płacz, biedania i narzekania.

— To z duchownymi na czele opuszczają miasto procesje plebejuszów moskiewskich — objaśnił Roztopczyn.

— Hm — ozwała się po chwili milczenia księżna Zeneida — jednak nie można ci zaprzeczyć, ekscelencjo, że twój pomysł ma rozmiary

rzymskie. Nie powstydziliby się go w podobnej sytuacji żaden z Gracchów, ani Scypionów. Także nikt z rodziny Dżingishana, ani Tamerlana. Tak na rozdrożu stojąc cywilizacji Zachodu i Wschodu, łączysz w sobie genjusz Europy i Azji.

— Zbyt pochlebne zdanie — odpowiedział Roztopczyn. — Ja czynię, co mi nakazuje moje pojęcie honoru patriotycznego i politycznego rozumu. Spełniam wolę genjuszu Rosji. Nie potrzebuje ona cywilizacji zachodniej.

— „Ani mód, ani idei, ani fryzjera, ani nauki,“ jeśli się nie mylę? — ozwała się księżna Zeneida. — Tak pisałeś w swoich „Jawnych myślach o czerwonych schodach“¹, ekscelencjo?

— Tak.

— Podziwiam cię.

— Dlatego mogłem tak pisać, że poznałem do gruntu to, o czym pisałem. Rosja powinna mieć swój rosyjski mur, jak Chiny chiński.

— Ale w tym murze bramy, któredy by można wychodzić, a któredy by nie można wejść. Wszak tak?

— Tak, ona powinna być wolna. Jej stosunek do reszty Europy powinien być równie nie krępowany, jak skrępowanym powinien być stosunek reszty Europy do niej.

Jestem tego samego zdania, choć nie umiem tego tak znakomicie wytłumaczyć.

— Ponieważ prawa Rosji powinny być inne, jak innych narodów.

— Czemuż to?

¹ Czerwone schody na Kremlu słynne zamordowaniem Naryszkina.

— Spójrzij księżno na mapę.

— Prawda! Że też to kobieca głowa zawsze musi być słaba! Teraz rozumiem także lepiej legendy o bohaterach chłopach patriotach, o cudach, o zwycięstwach nad Francuzami, które rozsiewałeś, ekscelencjo, wśród mieszkańców Moskwy od początku kampanji. Tak powinienesz być postępować. Nawzajem też trzeba było gniesć illuministów. Teraz rozumiem, dlaczego ich tak prześladowałeś.

— Powinni byli być wszyscy powieszeni. To są ludzie zarażeni zachodnim trądem.

Zielone oczy księżny Zeneidy patrzyły na hrabiego Roztopczyzna z wyrazem, którego on sam określićby nie umiał. Wobec zbliżającej się armji nieprzyjacielskiej, wobec rozpaczliwej emigracji z Moskwy, była tak spokojną, jakoby koło niej, ani przed nią nie działo się nic nadzwyczajnego. Roztopczyzna mieszał i ten jej spokój i to, że nie mógł jej odgadnąć. Powstał więc i rzekł po rosyjsku:

— No, ale ostatni czas! Błagam, księżno Zeneido, uchodźcie z miasta! Memu synowi kazałem się ostatni raz pokłonić Moskwie, za godzinę ona stanie w ogniu! Wy jesteście jedyną osobą z towarzystwa, którą nakłaniać muszę. Ołbrzymi wasz majątek pozwoli wam odbudować pałac jeszcze piękniejszy i tem cenniejszy, że za fundament służyć mu będą kości barbarzyńskich najeźdźców z Zachodu. Tu zaczną się rzeczy straszne. Co mogłem, kazałem wywieźć z pałaców, muzeów, archiwów, cerkwi. Reszta padnie pastwą pożaru. Ja sam wyjeżdżam. Uchodźcie!

— Mój hrabio — odpowiedziała spokojnie księżna Zeneida — jeżeli Bonaparte ma dosyć odwagi, aby wejść do Moskwy, w której nigdy nie był, to ja, która się w niej urodziłam, nie będę mniej odważną od niego i zostanę.

Roztopczyn popatrzał ze zdumieniem.

— Księżno — rzekł — albo jesteś zuchwałą, jak orzeł kirgiski, albo wierzysz w czary. Wszakże tu wpadnie żołdactwo francuskie, jeśli już nie obawiasz się pożaru; rozpocznie się rabunek.

— Eksclencjo, ja zobaczę Napoleona i mam nadzieję, że postawi przed moją bramą kompanję piechoty.

— Ależ bramy nie będzie, bo pałac się spali!

— Każe go obronić, lub da mi mieszkanie bezpieczne od ognia.

— Gdyby choć coś uratować, wywieźć z tych bezcennych rzeczy, które księżna posiada!

— Nie są dla mnie cenniejsze od mojej własnej osoby — a ja zostanę.

Roztopczyn wstał i skłonił się.

— Gdybyś, księżno, była miljonerką kupcową, kazałbym cię może wynieść z twego pałacu — waszej książęcej mości nie śmiem. Zrobiłem wszystko, co do mnie należało.

Wyszedł.

Księżna Zeneida podeszła ku oknu. Przez ulicę walił się tłum na wozach, pieszo, uwożąc i uprowadzając chorych, starych, dzieci i ratując najszacowniejsze części dobytku. Płacz i jęk bił w okna.

Księżna Zeneida wróciła do swego pałacu w Moskwie ze wsi, skąd wszyscy jej goście na wieść o przegranej Kutuzowa pierzchnęli, aby się

udać do Petersburga. Lecz ona pojechała do Moskwy.

Chciała zobaczyć Bonapartego, spotkać się z nim.

— Rurykowiczówna nie ustąpi ze swego pałacu przed parwenjuszem z Korsyki. Stanie na przeciw jego stutysięcznej armji z marszałkiem dworu, czterdziestoma lokajami, dwustu kozakami w liberji i sześćdziesięciu pokojówkami, pomywaczkami, praczkami, a sztandar będzie niosła pierwsza garderobiana w otoczeniu kucharzy i kuchcików — kpił sobie hrabia Aleksy...

Napoleon stał na Górze Zbawienia i oczekiwał deputacji poddańczej z Moskwy.

Napróżno.

Nikt nie przybywał.

Dumał to, czy strach powstrzymał bojarów rosyjskich od złożenia hołdu zwycięzcy ich samowładnego cara? Czy nieświadomość obyczajów zdobytych stolic?

Nowym od dawna dla Moskwy był zwycięzca przed bramami, nowym dla zwycięzcy obyczaj moskiewski.

Cesarz czekał. Poślał naprzód Murata i polecił generałowi Durosnel, aby mu przyprowadził władze i notablów miasta. Cekał i niecierpliwił się. Może oni się nawet poddać nie umieją — powtarzał, trzepiąc szpicrutą o cholewę. Lecz nie przychodzili pokłonić mu się bojarzy, których żądał.

Posłany do miasta hrabia Daru nikogo nie znalazł.

Pochwycono wreszcie kilka nędznych indy-

widuów i tych gnano przed cesarza — — czy aby jego, czy aby siebie złudzić?

Napoleon widział jasno: wchodził do Moskwy, jako zwycięzca, ale miasto odwracało się doń plecami. Nie chciano o nim wiedzieć. Pogardzało nim!

Stłumił się w sobie, on umiał kuć w marmurze swoje rysy, kiedy lawa z piersi do mózgu mu waliła! Uśmiechnął się z wzajemną pogardą. Pogardę okazano jego przyjsciu, jego osobie — — widziało ją jego otoczenie, trzeba było coś powiedzieć, czemś podnieść się ponad dumne, czy straszne milczenie Moskwy.

Wzruszył ramionami lekceważąco.

— Ah! ci Rosjanie nie zdają sobie sprawy z wrażenia, jakie sprawi zajęcie stolicy!

Powiedział, wymusił z siebie te suche wyrazy — — do głębi serca ugodzony postawą, jaką wobec niego przybrały żywioły reprezentacyjne Moskwy. Zakuwał twarz w lekceważenie — dygotał wewnątrz z gniewu, chęci odwetu i przykrości.

Rolę rycerza postanowił był wziąć na siebie. Chciał olśnić świat, zaimponować Aleksandrowi I-mu. Gdy zbliżał się do Moskwy, układał sobie, jak moskiewscy bojarzy z gubernatorem Roztopczynem na czele w podziwие stać przed nim będą, gdy z ust jego popłyną same słowa szlachetne, gdy wszechmocna dłoń jego zatrzyma nad miastem chmurę klęski, której się spodziewali, gdy ani jeden dom splądrowany, ani jeden mieszkaniec atakowany nie będzie, gdy ugięci przed Napoleonem bojarzy zobaczą, że przed wszystkimi innemi świeci nad głową jego gloria

cywilizatora. Rycerskość, szlachetność, wspaniałość, myślność, polor, kurtuazję, humanitarność — oto, co mieli zobaczyć mieszkańcy Moskwy. Nowe słońce miało zapłonąć w starych murach miasta, a olśnieni jego mieszkańcy mieli zniewolonymi się uczuć powitać w osobie zwycięzcy: kapłana, chorążego, mesjasza kultury.

Wyludnione ulice urągały temu zamiarowi, drwiły zeń.

Miasto pierzchnęło przed nim, jak przed Attylą. Pozostawiono mu domy — — czy na pastwę?

Tam na dole brzmiały już w ulicach dźwięki marsyljanki trąb wkraczającej awangardy Murata i brzmiały okrzyki żołnierzy: *le jour de gloire est arrivé!* — — lecz na Górze Zbawienia gniew obrazy i wytrąconego z ręki planu wrzał w piersi cesarskiej.

Nic więc w tej wojnie nie dało się przewidywać!

Kampanja, która się finiała w lipcu zakończyć zwycięstwem lub pokojem na Litwie, powlekła się pod Moskwę w połowie września. Rosjanie przyjęli taktykę nieoczekiwaną, miasta ich nie są poddawane, lecz płoną, cesarza Aleksandra nie skompromitowało wobec narodu ani złe dowództwo, ani ucieczka, i Moskwa nie korczy się, aby uwieścić, lecz pozostaje pusta — nikt nie wychodzi naprzeciw kultury Zachodu...

— To nie jest Europa — zwrócił się do najstarszego ze swoich adjutantów, hrabiego de Narbonne.

— Tak jest, najjaśniejszy panie — odpowiedział de Narbonne — to Rosja.

W ponurą pustkę wkraczał Bonaparte 15-go września 1812-go roku, aby stanąć na zamku w Kremlu. Czuł ból za czyn oibryzmi, którego podziw nie zapanował u zwyciężonych nad wszystkimi innemi uczuciami, jakieby mogły rodzić się w ich duszach. Chwała Napoleońska była powszechną własnością świata — i tych, którzy z nim zwyciężali, i tych, których pobijał; widzieć go pragnął świat, matki zdobytych stolic podnosiły dzieci na rękach i pokazywały im tego, w którym personifikował się triumf mocy ludzkiego ducha — — w Moskwie witały go puste ulice, zamknięte bramy i okna domów. Tam był Cezarem, Karolem Wielkim, Ludwikiem Czternastym, fundatorem królestw, twórcą instytucyj, strasznym, lecz krzewicielem nowych praw — — tu „Molochem, który chciał pożreć świat, gadem, głową lwa, której trzeba było wyrwać zęby“...

*

*

Wyjść z Kremlu?!

Być zmuszonym uciekać?!

On, zwycięzca?!

Co za tragedia i co za śmieszność!

Wszedł na zamek pobitego przeciwnika po setce tysięcy trupów własnej i jego armji, aby go zeń wypuszczonych z kazamatów więziennych kilkuset rabusiów z pochodniami wypędzało?!

Bezprzykładne!

Wszystko to jest bezprzykładne! Bezprzykładna jest ta wojna, ten kraj, ten lud, ta metoda wojowania... bezprzykładny jest pochód i bezprzykładne zwycięstwo...

Musi być bezprzykładne — — ty sam jesteś bezprzykładny — zasyczało mu w ucho.

Drgnął głową mimowoli.

Najwyraźniej mu syczał w ucho śmiech.

Nie, nikt się nie śmiał. Jenerałowie stali niemi, nie śmieli już nalegać na opuszczenie Kremlu, choć wszystkim śmierć groziła. Prochy artylerji stały pod oknami cesarskiego apartamentu. Jedna iskra z pożaru miasta.

Błdzi byli wszyscy z tłumionej trwogi.

Ale milczeli.

Nie, ten śmiech, ten syk nie pochodził od żadnego z nich.

Któż tu drwi zeń, kto szydzi?

Czy szatan?!

Pierwszy to raz doznaje tego uczucia.

Tak tak! Wszystko, co jest w nim i koło niego, jest tak wielkie, chwala i okropność jego losu są tak olbrzymie, że ludzkie szyderstwo wyglądałoby tu jak ślina na rozpaloną blachę splunięta — — to Szatan szydzi. On sam!

Wszak i tu jest w piekle.

Naokoło, jak okiem spojrzeć z góry zamku, szaleje pożoga.

Płoną tysiące domów, pałaców, cerkwi.

Na czarnem od nocy i słoty niebie wicherzy się wśród huraganu wiejącego łuna.

Ha! Wszystko jest wielkie!..

Tak wielkie, jak ty — syczy Szatan.

Odepchnął szwagra Murata, pasierba Eugenjusza Beauharnais, szefa sztabu Berthiera — — nie wyjdzie z zamku.

Dwa dni temu dopiero zawołał:

Jestem więc nakoniec w Moskwie, w starym pałacu carów! Na Kremlu!

Dwa dni temu...

Pełne, pełne dwa dni — syczy Szatan.

Hahaha!

Co za śmiech brzmi w cesarskiem uchu.

Co za śmiech?

To mój!...

Może twój?

Twój własny?

Napoleonku! Napoleonku Bonaparte, cesarze Francji, nowożytny Hannibalu, Aleksandrze Wielki, Attylo, zdobywco i zwycięzco, nie imaginuj! Nie spędzaj na biednego djabła! To ty sam się śmiejesz we własne ucho! Ja się nie potrzebuję za ciebie śmiać. Szatan. I cóż ty myślisz?!

Hła! Co za pogardy pełen wzrok!

Zielone oczy Szatana.

Zielone, zimne, jak lód, mroźne, jak sztylety spiczaste lodu.

Ja, Szatan, mam się z ciebie śmiać? A czemu ty jesteś?

Patrz? Oto twoja potęga!

Zdobyte miasto w ogniu.

Potoś szedł!

Patrz! Oto twoja mądrość, twój genjusz, twój rozum!

Hahal

Genjusz Napoleona Bonapartego, pogromcy królów, pali się na ruszcie paruset złodziei moskiewskich, jak pieczeń szpikowana — — nie, jak papier!

Chwała Napoleona Bonapartego, pogromcy państw, płonie jak papier na ogniu, wznieconym

przez paruset złodziei moskiewskich — — pozostanie z niej popiół.

Wiatr dmuchnie i nic nie zostanie.

O piekło!

Europa cała, świat cały...

Czem byłeś innem, jak nie kolosalnym aktorem na arenie dziejów? Czyż nie wspaniała dekoracja?...

Napróżno do kolan jego rzucili się Murat, Eugenjusz Beauharnais, Bérthier, Krasiński Wincenty, wołając: „Uciekaj, najjaśniejszy panie! Uchodź! Tu śmierć! Prochy artylerji przed pałacem! Jedna iskra!”

Napoleon odepchnął ich.

Jedna iskra!

Od jednej iskry zależy los świata.

Ha! Gdyby ten zamek cały i on sam i ci wodzowie i armja cała była ze stali!

Gdyby napróżno ci Scytowie spalili swe miasto!

Lecz pożar wzmaga się.

Już piecze twarz.

A więc!

Konia! Pięćdziesięciu szwoleżerów polskich!

Do pałacu Petrowskiego!

Wjechało w wąską ulicę płomieni. Przewodnik stracił głowę. Z obu stron leciały głównie, płonące gonty, cegły rozpalone, ziejące żarem blachy. Na koniach zatliły się czapraki. Zguba!

Wtem nadbiega oddział piechoty świadom już, którądy iść potrzeba. Sześciu szwoleżerów otoczyło swemi osobami cesarza, aby go od iskier, drew gorejących i płomieni osłonić. Cesarz ze-

skoczył z konia, zakrył oczy i twarz rękoma, dwaj żołnierze podparli go pod ramiona, wyrwano się z iczeluści.

Naprzeciw niesiono jenerała. To marszałek Davout książę Eckmühl, raniony pod Moskwą, nieść się kazał w płomienie, aby ratować z nich cesarza.

Ze łzami w oczach objął go ramionami; lecz cesarz miał twarz marmurową. Cesarz nie mógł się bać ognia, nie mógł się trwożyć, nie mógł się lękać, nie mógł się cieszyć ze swego ocalenia, nie mógł dać wyrazu radości i wzruszeń. Do cesarza przystęp mógł mieć tylko majestat. Napoleon wyszedł z ognia spokojny, powitał bohaterckiego w obowiązku Davouta spokojnie — — był majestatyczny.

Tylko w uszach jego syczał śmiech — — Szatana, czy jego własny?

Nazajutrz, z przeczuciem, że spalenie Moskwy wróży straszne, katastroficzne nieszczęście, powrócił na Kreml.

Dziewiętnastego pożar zgaś.

Bonapartemu już nic nie było tajem.

Podpalaczom musiano odrąbywać ręce, aby puścili z nich zagwie i pochodnie. Rozstrzeliwano ich, jak psów. Przez pięć dni podpalali, dopóki ostatni nie został schwytany lub zabity.

Szatan, który się pierwszy raz na Kremlu pojawił Napoleonowi, kładł mu w rękę pióro, które cesarz z niej wypuszczał.

Napoleonku, Napoleonku Bonaparte, to wszystko jest bezprzykładne.

Bezprzykładne, jak ty sami!

Czyż twoja historia, historia tak wielkiego człowieka, tak wielkiego monarchy, nie powinna być we wszystkim odmienna od historii innych monarchów i zdobywców? Siedzisz oto na zamku zwyciężonego pod Borodinem władcy Rosji w jego stolicy, i ztamtąd napiszesz do niego list, w którym pod figurą będziesz go błagał o pokój. Z tu-
petem, bo wszakże siedzisz na jego zamku w jego stolicy po zwycięskiej bitwie—z błaganiem o pokój, bo wszakże widzisz, że ci przepaść pod nogami rośnie.

Grzmotnął piórem cesarz o biurko, wstał i chodzić począł po komnacie.

Lecz co?

Co było przed nim?

Strach.

Strach, jakiego nie znał w życiu.

Majestat, majestat, czyż majestat Bonapartego może się bać?...

Lecz co było przed nim?...

Ze zgnilizny, z popiołów, z ruin Moskwy powstawał ku nieustraszonemu strach.

Cóż, że jest w Moskwie. Cóż choćby się mimo pożaru ostać w niej, nawet przezimować w niej potrafił. Wojna się już skończyła — teraz zaczniesz się jakieś żarcie, jakaś nie ludzka, ale psia walka.

Usiadł przy biurze carskiem i ujął pióro.

Już pisał z Wilna przy biurze carskiem w pokoju, skąd car uciekł przed nim.

No dalej, to drugi tom — — pisz...

Szataniel

Nic, nic innego nie pozostaje — — próbuj się ocalić!

Jak echo po skałach poleciał głos tego wyrazu.

I cesarz zaczął.

Moskwa, dwudziestego września 1812 roku.

„Panie Bracie, dowiedziawszy się, że brat ministra Waszej Cesarskiej Mości w Kassel był w Moskwie, poleciłem mu przybyć i zatrzymałem go czas pewien. Poleciłem mu udać się do Waszej Cesarskiej Mości i dać Jej poznać moje uczucia. Piękne i wspaniałe miasto Moskwa nie istnieje już: Roztopczyn kazał je spalić...”

Cała armja, wszyscy oficerowie drżą, że nas oskarżą o spalenie Moskwy... Trzeba temu wszelkimi sposobami zapobiec. Nie my dopuściliśmy się tego barbarzyństwa!

Nie z mego rozkazu!...

Napoleonku Bonaparte, czy chodzi ci w istocie więcej o opinię, czy o współczucie świata, że ci spalono miasto, w którym szukałeś już od Witebska ratunku? Czy pamiętasz, co mówiłeś w Witebsku adjutantowi swemu, hrabiemu de Narbonne, gdy cię odwodził od darcia się naprzód?

„Niebezpieczeństwo pcha nas do Moskwy. Kości są rzucone. Nasze ocalenie zależy od zwycięstwa” — pamiętasz? Powiedz bez obłudy, czy nie spaliłbyś nie połowy, jak rabusie Roztopczyna, ale całej Moskwy, gdyby ci to dogadzało? Wiesz, o co ci chodzi? O upozorowanie przed światem twojej klapy, o współczucie świata i o wzruszenie Aleksandra I-go. Tak, tak, o wzruszenie. Zwycięzca będzie usiłował wzruszyć zwyciężonego. To jest bezprzykładne. Jak ty sam.

Pisz dalej, Napoleonie Bonaparte, nowożytny Hannibalu, Cezarze i Aleksandrze Wielki, pogromco ludów i królów, pisz, kochanie...

„Czterystu podpalaczy ujęto na uczynku; wszyscy oświadczyli, że podpalali z rozkazu tego gubernatora i dyrektora policji; zostali rozstrzelani“.

Rabusie, ale poddani carscy, z twego rozkazu. Panujesz w Moskwie, Napoleonie Bonaparte...

„Ogień zdaje się zgasił nareszcie. Trzy czwarte domów jest spalonych, czwarta część pozostała. To postępowanie jest straszne i bezcelowe, Czyż ma za zadanie pozbawić nas zapasów? Ale te zapasy były w piwnicach, których ogień nie mógł dosięgnąć. Zresztą, jak można zniszczyć jedno z najpiękniejszych miast świata i dzieło wieków, dla tak wąskiego celu? To postępowanie, którego się chwycano od Smoleńska, przywiodło sześćset tysięcy rodzin do nędzy. Sikawki Moskwy popsuto lub wyniesiono; ale część broni z arsenału dano żołczycom, co zmusiło dać parę strzałów na Kreml, aby ich stamtąd wypędzić. Ludzkość, interesy Waszej Cesarskiej Mości i tego wielkiego miasta chciały, aby mi zostało powierzone czasowo, ponieważ armja rosyjska je odsłoniła; należało pozostawić tu władze administracyjne, municypalne i gwardję cywilną. Tak uczyniono dwa razy w Wiedniu, w Berlinie, w Madrycie; tak my sami uczyniliśmy w Medjolanie podczas wkroczenia Suworowa. Pożary uprawniają rabunek, do którego żołnierz porywa się, aby o szczątki walczyć, z płomieniem. Gdybym przypuszczał, że podobne rzeczy dzieją się z rozkazu Waszej Cesarskiej Mości, nie pisałbym do Niej tego listu — —“.

Aleksander...

Jak zrozumie?

Czy nie odkryje nędznego, marnego pochlebstwa, wymuszonego strachem, grozą sytuacji?

Czy ta groza sytuacji nie stanie mu dopiero właśnie jasna, tak jasna, jak jest w istocie?

Oh, Napoleonie Bonaparte, jakże na psy zeszedłeś!

Nad czemże to się ty zastanawiasz?

Czy jest to pomysł piorunujących zwycięstw we Włoszech z roku 1794, który generałowie departamentu wojny, panowie Scherer i Kellerman nazwali „idjotyzmem i warjactwem“?

Czy jest to pomysł ruiny Anglii w Indjach azjatyckich przez zajęcie Egiptu?

Czy plan kampanij austriackich lub pruskiej?

Oh, Napoleonie Bonaparte, jakże na psy zeszedłeś!

To, nad czem się zastanawiasz, to jest plan zjednania sobie względów Aleksandra I-go, w którego państwo wlałeś i skąd nie wiesz, jak wyleźć. Oh, Napoleonie Bonaparte, bohaterze wieków, genjuszu świata!

W zamrużone, w dół schylone nad kartą papieru oczy Napoleona świeciły zielone oczy szatana.

Oh! Jakże drwi!

Jak okropnie!..

Kiedyś Aleksander ulegał czarowi...

Naprawdę.

Lecz waż — — czy i wtedy był szczery?...

Pochlebstwo, wiszące na końcu pióra, co sprowadzi? co wywoła?

Łaskę — — —

Ah!

Bonaparte wzdrygnął się, rzucił pióro — —
Zielone szatańskie źrenice!

Napoleonie Bonaparte! Aleksander roześmieje
się w Petersburgu i rzuci twój list, depcząc butem
pokłon twój, Cezarze świata!

Bonaparte oparł czoło na postawionych na
sobie pięściach.

...Wojna 1812-go jest skończona, wojna
1813-go dokończy reszty...

...Nie popełnimy błędu Karola XII-go...

...Co nazwał niegdyś de Narbonne w roz-
mowie z tobą fatalnym doradcą wielkich dusz
i wysokich fortun?

Dumę!

W każdym czynie, w każdym błędzie nawet,
w każdym kroku twego dnia znajdowałeś coś, co
pochlebiało twojej dumie...

Upadek następuje szybko; przyspiesza się
własnym ciężarem...

Odwążysz się na możliwe szyderstwo Ale-
ksandra? Więcej! Na otwarcie mu może oczu
na swoje rozpaczliwe położenie, z którego może
nie zdawać sobie jeszcze sprawy dokładnie?

Lecz pisz!

Próbuj!

Próbuj się ocalić!

Pisz!

„ale uważam za niemożliwe, aby ze swemi
zasadami, sercem swoim, racjonalnością swych
idei, dała Ona upoważnienie do podobnych eks-
cesów, niegodnych wielkiego monarchy i wiel-
kiego narodu. Podczas kiedy wyniesiono z Mo-
skwy sikawki, pozostawiono 160 dział, sześć-
dziesiąt tysięcy nowych karabinów, milion sześć-

króć stotysięcy ładunków dla piechoty, przeszło czterysta tysięcy funtów prochu, trzysta tysięcy funtów saletry, tyleż siarki etc. Prowadziłem wojnę przeciw Waszej Cesarskiej Mości bez animozji: bilet od Niej przed, lub po ostatniej bitwie byłby zatrzymał mój marsz i byłbym był nawet gotów być dla Niej poświęcić korzystać wkroczenia do Moskwy“.

Bonaparte stracił oddech.

Zapał mu go jakiś ciężar.

Fatalnym doradcą wielkich dusz i wysokich fortun jest duma...

Uh!

Topiell Topiell

Toń, pływaku światła

Toń z głową!

Z dumnym, czarnym twoim kapeluszem, koroną światła

„Jeżeli Wasza Cesarska Mość zachowuje jeszcze dla mnie jakieś resztki dawnych uczuć, weźmie z dobrej strony mój list. W każdym razie nie może widzieć jak tylko moją dobrą wolę w mojem przedstawieniu Jej, co się dzieje w Moskwie. Poczem, Proszę Boga, Panie Bracie, aby raczył mieć Waszą Cesarską Mość w Swojej świętej i godnej opiece. Waszej Cesarskiej Mości
dobry brat

Napoleon“.

Gruby, zimny pot rosł czoło cesarza.

Nie było ono zroszone potem, kiedy po blokadzie admirała Villeneuve'a w Kadyksie plan dwa lata temu przygotowanej kampanji przeciw

Anglii zmieniał w ciągu godziny na plan kampanji przeciw Austrii i — Austerlitz.

Zdybany w Moskwie urzędnik policji, Jakowlew, miał się stać legatem cesarskim do Aleksandra I-go z tym listem...

O, Napoleonie Bonaparte, triumfatorze!...

* * *

Cesarz omal nie cofnął się.

Oczy te widział.

Widział już.

Zielone oczy miał Szatan, który z niego szydził...

— Najjaśniejszy panie — mówił adjutant hrabia de Narbonne — pewna księżna rosyjska pragnie ci złożyć swój hołd.

Napoleon spojrzał na jej ręce. Przyszła mu na myśl Charlotte Corday. Księżna Zeneida dostrzegła jego spojrzenie, choć trwało sekundę. Sire — rzekła z ukłonem dworskim — nie jestem Judytą...

Bonaparte zmieszał się. Zmieszał się strasznie. Dał znak głową hrabiemu de Narbonne, aby się oddalił. Poczem podsunął fotel księżnie Zeneidzie, sam siadł naprzeciw i zapytał:

— Pani przyszła?

— Zobaczyć cię, sire.

— Masz pani sztylet pod suknią?

— Mam.

Cesarz panował już nad sobą; nie drgnął.

— Nie mówi się, jeśli się chce zabić.

— Oto jest, sire.

Wyjęła sztylet i podała mu.

— Oddasz mi go, sire, gdy będę wychodziła.

— Dlaczego pani nie chcesz go użyć?

Nie miałam zamiaru. Noszę dla własnej obrony.

Napoleonowi błysnęła myśl.

— Jesteś przysłana, pani?

— Nie.

— Co więc panią sprowadza? — spytał z uczuciem zawodu.

— Między innemi rzeczami także i ciekawość.

— Gdzie byłaś pani podczas pożaru?

— W swoim pałacu.

— Spalił się?

— Nie. Moi ludzie uratowali go z małemi uszkodzaniemi.

— Dlaczego pani została w Moskwie?

Dlatego samego, dlaczego prosiłam o audjencję, sire.

— Byłaś pani ciekawą mnie widzieć?

— Tak, sire.

— Roztopczyn postąpił po barbarzyńsku.

— Być może, sire.

— Wasz cesarz powinien go wysłać na Sybir.

— Wszystko mi jedno, sire.

— Nie zaczepiono pani?

— Jakiś szaser polski wziął mnie pod opiekę na ulicy. Wasza cesarska mość znajduje coś w moich oczach; czuję to i widzę.

— Oczy pani widziałem. Czy była pani w Paryżu?

— Byłam tam tylko jako młoda dziewczynka, przed tobą. Od czasu rewolucji nie byłam.

— Ile pani masz lat?

— Trzydzieści.

— Dlaczego nie przyjeżdżałaś pani potem do Paryża?

— Ponieważ brzydziłam się rewolucją.

— A potem?

Księżna Zeneida nie odpowiedziała.

Napoleon podniósł brwi.

— Śmiało! — roześmiał się. — Rozumiem. Ale dobrze siedzę w siodle, co?

— Najjaśniejszy panie, teraz podobasz mi się. Jesteś niski, ale masz twarz rzymską i potęgę w jej wyrazie. Tak, teraz jesteś Napoleonem Bonaparte, w tym dumnym i zuchwałym ruchu, z wyzywającym spojrzeniem oczu. Pozwól sobie to powiedzieć, najjaśniejszy panie, jesteś wspaniały.

Zimne, zielone oczy błędziły po cesarzu. Spojrzenie ich ziębiło go. Zimne były i ostre, jak zamrożone sztylety. Nie wiedział, co powiedzieć. Roześmiał się powtórnie.

— Nie śmiesz się szczerze, władco świata — rzekła księżna Zeneida.

Napoleon obruszył się. Któż teraz kiedy przemawiał doń tak poufale i tak zuchwale?! Ta kobieta chyba jest na pół szalona?!

I ma te same zielone oczy, które patrzyły weń, gdy pisał list do Aleksandra.

Jestże to wróżba, pierwszy zły zwiastun — upadającej fortuny?..

Ta myśl tak zaciemniła jego mózg, że nie odpowiedział na zuchwalstwo księżny, nie kazał jej wyjść...

Zabobonna trwoga przewiała mu przez duszę. Nie jestże to wcielony szatan?..

Uśmiechnął się znowu i powiedział.

— Nie widziałem jeszcze tak zuchwałej i pewnej siebie kobiety.

— Nie widziałeś jeszcze Północy, najjaśniejszy panie.

Napoleon spojrzał na jej zimne oczy, jakby w lodzie rzeźbioną twarz i chłodny uśmiech białych warg.

— Jeżeli jesteś pani symbolem Północy — rzekł — to Północ jest piękna.

— I straszna — ona dodała.

— Nie dla mnie.

Księżna Zeneida położyła mu rękę na rękę, którą trzymał opartą na kolanie.

— Jak moja dłoń, najjaśniejszy panie, przykryła twoją rękę, tak przykryje cię śnieg. Uciekaj!

— Ja?!

— Tak, ty, sire!

— Widziałeś pani moją armję na przegłazdzie? Na wielkim placu Kremla?

— To są żywe trupy.

— Jakto?!

— Jak moja dłoń pokrywa twoją rękę, najjaśniejszy panie, tak ich pokryje śnieg. Uciekaj!

Napoleon wstał.

— Nie, senhora — rzekł. — Być może, że zapóźno wszedłem do Moskwy. I Cezar popełnił błąd, dając się w Aleksandrii obłec przez marynych Egipcjan. Ale Cezar znajduje swoją godzinę odwetu. Człowiek genjuszu odnajduje się zawsze, tak samo po błędzie, jak po nieszczęściu.

— Przewidujesz je więc, sire?

Napoleon spostrzegł, że wymknęło mu się z ust to, co dręczyło jego myśl, ale czego nie powinien był mówić.

— Cokolwiek zrobię — powiedział — będę panem położenia. Jeżeli zechcę przezimować, tylko pół Moskwy spalono; jeżeli zechcę pójść na Petersburg, mam czas; a jeżeli zechcę cofnąć się, aby przezimować na Litwie i na przyszły rok z wczesną wiosną, w marcu lub kwietniu wyruszyć z powrotem do Rosji nie z Paryża, ale o sześćset mil bliżej, z Wilna, także mogę. Większa trudność leży w wyborze decyzji, niż w jej doprowadzeniu do skutku.

— O nie — zawołała księżna Zeneida — ty stąd nie wyjdiesz, najjaśniejszy panie, dopóki nie będziesz zmuszony. Potęga twoja, drażniona dumnymi wspomnieniami dawnych zdobyczy, każe ci siedzieć na łupie, aby się wszystkim tobie samemu zdawało, żeś go posiadał naprawdę. Słuchaj! Północ przezemnie mówi do ciebie, Północ lodów, śniegów, wichrów, głodu i pustyni! uciekaj! Jaka jest druga myśl moja, nie zgadniesz.

— Myśl? Ostrzegasz mnie, pani. Widzę tylko twoje dobre życzenie.

— Tak i nie. Nie chcę, aby nad genjuszem twoim, genjuszem rasy romańskiej, triumfowali Kutuzow, Bennigsen, Roztopczyn i Pahlen. Kocham tylko Włochy, twoją ojczyznę. Chcę twego ocalenia od zguby, którą ci Północ gotuje. Ale jaka jest jeszcze druga myśl moja, tego ani ty, najjaśniejszy panie, nie zgadniesz, ani ja tobie nie powiem.

Bonapartemu poczęła ta zielonooka kobieta ciężać, była zbyt czelna i zuchwała.

— De Narbonne — zawołał porywczo. — Niech przed pałacem księżny stoi stale dwunastu

polskich wołytyżerów z oficerem. Głową mi ręczą za bezpieczeństwo! Co cztery godziny luzować. W dzień i w nocy! Natychmiast!

— Więc do widzenia?

Bonaparte nie odpowiedział: odwrócił się plecyma.

Djabelsko piękna! Czego chciała? Kto to?— krzyżowały się pytania pośród jeneralicji i oficerów w pałacu. Jednak cesarz o tej wizycie nie wspominał słowem.

* * *

Komedja! Komedja! Komedja!

I któż się nią łudzi!

Komedją jest powoływanie aktorów z Paryża i dyktat przez trzy wieczory nowego regulaminu dla komedji Francuskiej w Paryżu; komedją wstrętną i tragiczną ciągle gadanie i powtarzanie naokoło do znudzenia frazesu o „swej gwieździe”. Prawdą jest rozpacz.

Austrjacy pod Schwarzenbergiem i Prusacy pod Macdonaldem, którego władza każdej chwili może stać się fikcją, nie stoją już na skrzydłach Wielkiej Armji, ale stoją na jej tyłach i na jeden rozkaz panujących swoich mogą jej zagrozić odwrót. Nadchodzi zimno, a ni Moskwa, ni jej okolica nie może wyżywić Wielkiej Armji — tylko francuscy i polscy żołnierze są wierni, Niemcy, Szwajcarzy, Kroaci, Włosi, Hiszpanie i Portugalczycy burzą się pod pokrywą mało zachowywanej jeszcze subordynacji. Czują oni już, że łódź się pochyla. Tysiącami proklamacyj w ich własnych językach ajenci rosyjscy zarzucają ich

kwatery, namawiając do dezercji i obiecując odeślanie do ojczyzny.

Kutuzow udaje intencje pokojowe. Oficerowie kozaccy kłaniają się na linii awangardy Muratowi, mówią mu komplementy, pozwalają mu komenderować swojemi wedetami, jak francuskimi, ustępują przed nim z wyszukaną uprzejmością z miejsc, które on chce zająć. Głupi Murat namyśla się, czy nie zostać ich królem, królem kozaków! i to wszystko trzeba brać za dobrą monetę, choć się wie, co się pod tem kryje.

Aleksander milczy.

Na list z 20-go września ani słowa odpowiedzi!

Ani słowa!

Położenie zaś jest fatalne! Ani nie można iść naprzód, ani zostać, ani się cofnąć, ani walczyć z nadzieją wygranej. Co począć?!

To jedno jest pewne, że bez rzeczywistego zwycięstwa, bez istotnego pokonania Rosji, pozostawać dłużej na taką odległość od Paryża nie można.

Tak panować można tylko wtedy, gdy się zwycięża świetnie, lub gdy się jest w Paryżu bożyszczem armji. Cesarstwo Bonapartowskie jest dyktaturą, istnieć może tylko przy absolutnej potędze.

Bourbon, od tysiąca lat siedzący na tronie, mógłby wojnę przegrać i panować dalej; zwycięstwami na tron wyniesiony Bonaparte, którego oczy nie dostrzegają nawet woli jego poddanych, klęską może się na nim zachwiać, nawet zeń runąć...

Co począć?!

Z przymrużonemi oczyma godzinami całemi leżał cesarz na sofie na Kremlu, jakby odrętwiały.

— Cesarz robi wrażenie — szeptali jenerałowie — jakby się obawiał, że pierwszy jego krok będzie krokiem wstecz i jakby chciał jak-najdłużej czuć się jeszcze na tej wysokości, której szczyt osiągnął...

Oh ta noc! ta noc!

Czyż powtórzyć się odwrotnie ma historia Kserksesa, który, wiodąc ze Wschodu olbrzymią armję, rozbił się o zachodnią Grecję?

I któż to ma być Miltiadesem? Kutuzow? Roztopczyn? Barclay de Tolly?

Haha!

Lecz co robić?

Straszny, straszny dzień 3-ci października...

Oczy marszałków Francji ponuro patrzyły na gwiazdę cesarską — — spojrzeniem tem mówiąc, że gwiazda čmi się im w oczach...

Komedja!

Czyż sam w to wierzył, gdy zawołał ich i gromki głos wydobywając z piersi, sztuczne ognie niecąc w swoich źrenicach i, po komedjancku naśladowując w nich błysk własnego geniuszu, oświadczał:

— Słuchajcie nowego planu, który powzięłem! Resztę Moskwy spalę! Przez Twer pojedziemy na Petersburg! Księżę Bellune, Saint-Cyr i część korpusu Macdonalda od Dźwiny przez Wielkie Łuki przeć będą Wittgensteina w 70,000 ludzi. Ja sam w drugie 70,000 pójde z Moskwy na Wieliz. Ney i Murat zatrzymają Kutuzowa. Im wystarczy na to 30,000. Zima wprawdzie się zbliża, ale mrozy zaczynają się dopiero w po-

łowie listopada, a do Petersburga mamy tylko piętnaście dni marszu...

Milczenie.

Wszyscy, wszyscy milczą. Davout, Ney, Mortier, Berthier, Bessières — — wszyscy milczą...

Nowy paroksyzm teatru.

He! Jakto?! No?! Czy to wy? Was to nie rozplamienia?! Co? Czy było kiedy co równego?! Nigdy jeszcze nikt takiego planu wojennego nie powziął! Takie tylko zwycięstwo jest godne nas! Co za chwała, co za sława nas czeka, gdy za jednym zamachem, w trzy miesiące, zdobędziemy dwie stolice Północy! No?!
 Milczenie.

Wszyscy, wszyscy milczą. Davout, Ney, Mortier, Berthier, Bessières — — wszyscy milczą.

Wyrwa się Eugenjusz Beauharnais.

Jego dumne serce cierpi za ojczyzną. Nie chce on, aby ten, który nazywał żoną swą jego matkę, aby ten, który wzniósł rodzinę Beauharnais do szczytu jasności, aby ten, którego genjusz nauczył się cześć i podziwiać od dziecka, którego genjusz był i jest kompasem świata, aby ten uczuł nagle, tu, dlatego, że — — —

Otwierają się usta marszałków. Mówią o głodzie, niedostatku, pustyni, klimacie — — cokolwiek mówią, jest to wszystko jedno. Wszystkie ich słowa ściągają się do wspólnego mianownika: poczynamy wątpić...

Oh, ta noc! ta noc!

Poczynają radzić.

Daru powtarza swoją „radę lwa“. Zaprowadzić Moskwę, pobić i zasolić wszystkie okaleczone konie i pozostać w zgłiszczach Moskwy,

która jest jeszcze bądź co bądź miastem, tuzymać się tu przez całą zimę, a na wiosnę rozpocząć akcję zaczepną.

Inni mówią o konieczności odwrotu. Żołnierze się przyzwyczajają do łupieztwa, kradnie, rabuje, bije się o łupy między sobą, dyscyplina się rozprzega, karność zamiera, niżsi oficerowie zaczynają niedowierzać, tracą konieczne ślepe zaufanie w główną komendę — — przezimowanie w Moskwie jest i niebezpieczne i niemożliwe, gdyż ani ludzi, ani koni nie zdołałoby się wyżywić tu przez pięć do sześciu miesięcy...

Car zaś nie odpowiada! Aleksander nie odpisuje z Petersburga.

Ah! Tak dobrowolnie wkopać się w dół pod nogami!

Tak rzucić się w przepaść...

Ah, ta noc okropna!

Z oczyma zaciśniętymi pięściami, na brzuchu, twarzą do poduszki, leżał w łóżku Napoleon, nie mogąc sobie miejsca znaleźć, bezradny, bezsilny w rozpacz.

Pewny był, że gdy Moskwę zdobędzie, pośpieszą go błagać o pokój. W tem wszystko opierał, na tem wszystko budował. Na myśl mu nie przychodziło nawet, aby mogło być inaczej. Rozumiał grozę swego położenia mimo zwycięstw podczas pochodu — musiał dotrzeć do Moskwy, gdyż stąd tylko, zadawszy cios Rosji, olśniwszy Europę, mógł wracać bez śmierci na karku...

Bezprzykładne! Bezprzykładne.

W Moskwie zginać, czy podczas odwrotu z Moskwy?

Odwrót!

On — i odwrótl...

Czołem upadł na poduszkę, zdusił w niej twarz. Łkanie poczęło mu wstrząsać pierś. Łkanie wściekłości, furji przekleństwa. Tak tygrys, chwycony w dżungli w sieci, rozpacza.

Gdzie ocalenie...

Ha!

Caulaincourt był przyjacielem Aleksandra!

Caulaincourt będąc ambasadorem w Petersburgu zdobył sobie tam sympatję ogólną, sam pokochał arystokrację rosyjską i cara.

Tak, on pomógł!

Caulaincourt!

Co za świetna, genialna myśl!

Caulaincourt z radością popędzi do Petersburga, aby położyć kres tej wojnie, której był najprzeciwniejszy.

Był on wprawdzie od długich miesięcy odsunięty od boku cesarskiego z tej przyczyny, ale to nic!

Bahl!

Wstał, obmył się, począł ubierać się szybko bez pomocy.

Już dniało.

Kazał zawołać hrabiego de Narbonne, który miał przy nim kolej służbową.

— De Narbonne — ozwał się — chciałem się poradzić, zanim wysłę dziś rano dekret dla teatru. Lubieś teatr prawda? Kiedyś był młody? Co? Hehe! Musisz się na tem znać. Wtedy to były te wielkie maniery—Célimène, mademoiselle Contat... Wielka komedja...

Co do mnie, to lubię przedewszystkiem tragedję, wysoką, wzniosłą, Corneille'a. Wielcy lu-

dzie tam są prawdziwsi, niż w historii. Widzi się ich tam tylko w momentach majestatycznych. Niema tam tych wszystkich detali, szczegółów, tego przygotowywania potężnych czynów, które przedstawia historia, nota bene najczęściej fałszywie. Tem lepiej dla chwały. Bo, mój drogi, dużo jest nędzy w człowieku, wahań, zwątpień. Tego wszystkiego nie powinno być w bohaterze. Bohater, to statua monumentalna, gdzie się nie widzi ułomności, ani drżenia skóry. Taki Perseusz Benvenuto Celliniego, w którym się nie rozpoznaje talerzy cynowych, rzucanych w formę z wrzącym brązem, by potem z tego powstał półbóg powietrzny. Nieprawdaż?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Nasi poeci nie umieją tego. Genjusz ludzki nie znalazł od czasu Cezara. Choćby Piotr Wielki. Jakże to byłoby wspaniałe widowisko, widzieć na scenie Piotra w latach dwudziestu, bez doradców, prawie bez wykształcenia, w obliczu imperatorskiej regentki i wszechwładnej partji dworskiej, jak go mają za prostaka, a on za jedynym zamachem obala stary porządek i stwarza nową armję, nową flotę i nową stolicę w Rosji.

Podobnie jak ja, który w dwudziestu paru latach dałem nową epokę Francji.

Piotra nie rozumieją dobrze, Piotr chciał dać do swego urodzenia na tronie tę chwałę, jaką się opromienia ten, który tron sam zdobywa. Dlatego opuścił kraj, pracował jako robotnik, był porucznikiem artylerji, jak ja, i stopniowo wzniósł się do wielkości. Zrobił się sam tem, czem mnie zrobiło przeznaczenie.

Napoleon umilkł i znów począł mówić po chwili.

— I ten człowiek dał się nad Prutem na czele armji, którą stworzył, otoczyć, ogłodzić i o mało nie wziąć w niewolę przez armję turecką... To są niewytłumaczone załamania się w wielkich ludziach...

— Tak jest, najjaśniejszy panie—odpowiedzia hrabia de Narbonne. — Car Piotr był nadzwyczajną postacią. Lecz, jeżeli pobił Karola XII pod Półtawą, to nie dzięki swemu genjuszowi, ale dzięki błędowi Karola, który się zanadto zapędził w głąb Rosji, i dzięki klimatowi, a jego następcy liczą na ten sam środek.

— Mój Narbonne — odparł żywo cesarz — mówi się do ciebie o teatrze, a ty zjeżdżasz na politykę. Co prawda, jedno od drugiego nie bywa czasem daleko. Ale nie obawiaj się. Wkrótce odmaszerujemy stąd, z pokojem, czy bez pokoju.

Ale — — czy widziałeś Caulaincourta?

— Albo, najjaśniejszy panie?

— Wiesz — — każ mu tu przyjść!

Napoleon urwał nagle brutalnie. Dusił się. Niebawem stawiał się przed cesarzem Caulaincourt, nieco zdziwiony wezwaniem.

Caulaincourt — — cóż Caulaincourt? Jest od tego, aby słuchał, tak, jak inni... Cokolwiek się dzieje, najwyższe głowy Francji sięgają do stopni, na których stoi tron Napoleona Bonapartego...

Lecz, gdy wszedł Caulaincourt, cesarz powstał i, nic nie powiedziawszy, począł szybko chodzić po pokoju.

Caulaincourt odradzał wojnę, zaklinał, aby jej nie prowadzić, do kolan cesarza w Paryżu się chylił ze łzami w oczach...

Co za upokorzenie!

Ha!

Upływa minuta za minutą, minuta za minutą...

Napoleon nie może opanować pomieszczenia.

Krew bije mu do głowy, czuje, że jego blada, imperatorska twarz staje się czerwoną.

Nie może się przemóc.

Aby uspokoić i odwrócić myśl, poczyną liczyć: dwa a dwa cztery, a dwa sześć, a dwa ośm, a dwa dziesięć...

Nakoniec staje przed Caulaincourtem i odzywa się doń:

— He, co, Caulaincourt, słyszałeś? Idę na Petersburg...

Caulaincourt milczał.

— Idę na Petersburg — powtórzył cesarz. — To cię zmartwi. Zbombarduję to miasto. Trudno. Na wojnie, jak na wojnie. Nie może być inaczej. Jenerałowie są leniwcy, ale gdy każę, pójdą... Co? Myślisz może, że nie? Chciałbym to widzieć!

Caulaincourt milczał.

Gdy zajmę Petersburg, cała Rosja powstanie przeciw Aleksandrowi. Utworzy się spisek. Zamordują go...

Cesarz spojrzał badawczo na Caulaincourta.

— To by było wielkie nieszczęście, prawda?

Ja sam żałowałbym go bardzo. Nietylko ze względu na niego, ale i na Francję. On jest dla nas potrzebny, a jego charakter jest właśnie taki, jakiego sobie Francja życzyć może. Prawda?

Caulaincourt milczał, czekając, co nastąpi do czego to zmierza.

— Ołóż, mój kochany, ażeby zapobiec takiej katastrofie, na którejby i francuskie interesy ucierpiały, chciałbym go ostrzec.

Cesarz popatrzał badawczo.

— Pojedziesz z tem do Petersburga. Zaproponujesz Aleksandrowi pokój w jego własnym interesie. Ostrzeżesz go i powiesz mu, że przez przyjaźń dla niego nie chcę rzeczy doprowadzać do ostateczności. Powiesz mu, że armję mam liczniejszą po Borodino, niż przedtem, gdyż ściągnąłem już i ściągnę jeszcze oddziały pozostawione lub pozostałe w tyle. Powiedz mu, że żołnierz mój pała żądzą pójścia na Petersburg, gdyż wie, że Petersburg nie zostanie tak, jak Moskwa, spalony i że żadna siła ludzka, nawet moja, nie zdoła ocalić miasta przed gwałtem. Powiesz Aleksandrowi, że zwyciężywszy we wszystkich spotkaniach jego armję i zajmwszy serce Rosji, Moskwę, nie chcę już dalej prowadzić wojny i pragnę zawrzeć pokój. Przemawia za tem moja osobista sympatja do Aleksandra, ludzkość, gdyż dosyć już krwi rozlanej, nie chcę zresztą wywołać rewolucji w Rosji, ani jej zdruzgotać do szczętu. Wojna nasza była raczej pojedynkiem — po pojedynku na placu przeciwnicy podają sobie ręce. Mam satysfakcję i wyciągam rękę do zgody.

Cesarz mówił szybko, z gorączkowym akcentem. Wmawiał w siebie, oszukiwał się, chciał to samo sprawić z Caulaincourtem. Lecz Caulaincourt odpowiedział:

— Najjaśniejszy panie, dopóki jeden francuski żołnierz będzie w granicach Rosji, Aleksan-

der o pokój traktować nie będzie. Rosja zdaje sobie doskonale sprawę z warunków, jakie jej daje klimat. Jedno tylko zobaczy: że się pragnie pokoju, bo się go potrzebuje.

To zaś pewna, że im więcej wybór posła będzie wpadający w oczy, tem bardziej zdradzi tę potrzebę i nasze obawy. Co do mnie, tem mniej się nadaję w tym wypadku, że mam właśnie to przekonanie.

Jakto?! Caulaincourt ani słowa nie odpowiada na kwestję rewolucji i groźbę detronizacji, a nawet śmierci Aleksandra?! To, co powiedział Napoleon Wielki, ma za dzieciństwo?! Do tego przyszło?!

Cesarz tupnął końcem buta w posadzkę i przerwał Caulaincourtowi:

— Dobrze; więc posłę Lauristona.

Caulaincourt skłonił się i wyszedł, a w kwadrans po nim stawili się generał Lauriston.

— Pojedziesz do Petersburga — rzeki cesarz, nie próbując już nic wmawiać — proponujesz pokój.

Lauriston milczał.

— Coż myślisz?! — krzyknął niecierpliwie cesarz.

— Że dziś jeszcze należy wymaszewować z Moskwy w drogę powrotną na Kąługę.

Cesarz, który chodził po pokoju, zatrzymał się.

— Na Kąługę, mówisz, bokami? Ja chodzę drogą prostą! Drogą główną! Tak, jak tu przyszedłem! I tak wrócę stąd, ale po zawarciu pokoju!

Udasz się do Kutuzowa i drogę do Petersburga z nim omówisz.

Cesarz wdział kapelusz na głowę, ujął szpic-

rutę w rękę i, biorąc jej koniec w palce, rzekł, jakby kamiennie ciężkimi słowami:

— Chcę pokoju, muszę go mieć bezwarunkowo. Ocalał tylko honor...

Było to jakby wyznanie śmiertelnego grzechu na spowiedzi. Lauriston pochylił głowę, jak pochylić ją może spowiednik wobec wyznania zbrodni królewskiej. Cesarz patrzył nań prawie wilgotnemi oczyma.

Snać nie mógł mówić więcej. Olbrzym ugiął się. Krew wszystka musiała mu zbiec do serca. Położył rękę na ramieniu jenerała, odwrócił się i wyszedł, a za chwilę wyjeżdżał na koniu w towarzystwie eskorty na plac mustry, gdzie kazał robić ewolucje huzarom.

*

*

*

Ah! Czyż naprawdę, naprawdę łamie się oto potęga?!

Więc do Paryża poszedł okrutny rozkaz, że za dezercję synów z wojska mają być karani rodzice!

On włada, on panuje, on rozkazuje! Ma prawo nawet być okrutnym! Może wszystko, co chce, nawet krzywdzić. Jego wola jest prawem, nad sąd, na ocenę, poza złem i dobrem prawem faktu.

Włada, panuje, rozkazuje od Paryża do Moskwy, w Paryżu i Moskwie...

Jenerał Mathieu Dumas, intendent główny, stał wyprostowany od kwadransa i czekał.

— He, Dumas — zapytał nagle Napoleon — czy ranni wyprawieni już są do Smoleńska?

Dumas zdumiał się. Nie otrzymał był przecie żadnego rozkazu.

Spojrzał na stojącego obok hrabiego de Narbonne.

Cesarz przeszedł się jeszcze kilka razy po pokoju i wyszedł do sąsiedniej komnaty.

— Czego on chce? Nic mi nie mówił — zaczął jenerał Dumas.

— On chce, abyśmy wykonali te rozkazy, których powinniśmy się domyślić — odpowiedział mu hrabia de Narbonne. — Stan duszy cesarza musi być okropny. Aleksander wzgardził obudwu jego listami, kozacy zaatakowali Murata, ledwie go kapitan Malczewski ocalił od śmierci, Napoleon zrozumiał, że był igraszką Kutuzowa, że zawieszenie broni i uprzejmości Kutuzowa w pośredniczeniu pokojowem miały na celu, aby jak najdłużej zatrzymać go w Moskwie. Zgadzało się to zresztą z uporem cesarza i z jego zasadą, że nie należy się nigdy cofać, ani przyznać do błędu i że gdy się jest nawet w błędnem działaniu konsekwentnie wytrwałym, to się w końcu wygrywa.

W tej chwili ukazała się we drzwiach głowa cesarza.

— Dumas — rzekł głośno — należy uczynić zakup dwudziestu tysięcy koni. Natychmiast. Powiedział i zniknął.

Jenerał Dumas rozłożył ręce.

— Kpi, czy o drogę pyta? Od kogo? Kiedy chłopci rosyjscy napadają i mordują naszych furazerów? W tej pustce? Czy może od kozaków Kutuzowa?

De Narbonne uśmiechnął się smutno.

— Cóż ty na to, jenerale?

— Przecież on doskonale wie, że rozkaz nie jest do spełnienia — odpowiedział de Narbonne. On się sam łudzi. Nie można z dnia na dzień po dziesięcioletniem przyzwyczajeniu zrezygnować, że na świecie jest jeszcze coś oprócz jego rozkazu. To trudno.

— Ciasto rośło, nie chce opaść — rzekł Dumas.

— Jeżeli cesarz życzy sobie koni, to, je powinien otrzymać — rzekł służbista Berthier.

— No to mu je proszę stworzyć, panie marszałku — wybuchnął zirytowany jenerał Dumas.

— Trudno w to uwierzyć, niepodobna w to uwierzyć — ozwał się jeden z młodszych jenerałów — aby cesarz, kiedy go chciał, nie osiągnął pokoju! To się chyba pierwszy raz zdarzyło! Żeby to się nie stało, czego cesarz chce!..

— Obawiam się, że to się zacznie od dziś powtarzać częściej — rzekł Dumas.

— Oby nie przeszło w nałóg — dodał hrabia de Narbonne.

Cesarz pojechał na rewję. Rozwijały się przed nim i zwiąły dywizje Ney'a. Wtem młody Turenne, który miał słuch doskonały, a znajdował się opodal cesarza, podniósł głowę i zapytał obok stojących oficerów:

— Słyszeliście?

— Co?

— Wystrzał armatni?

— To być nie może! Zawieszenie broni przecież trwa. Pokój jest spodziewany — odpowiedział jeden z jenerałów.

— A jednak — — tak jest! Nie mylę się!

Jenerał Duroc skupił uwagę, posłuchał i oświadczył:

— Tak, to armaty Kutuzowa. Awangarda Murata, obozująca pod Winkowem, jest zaatakowana.

— Mimo umowy, że obie strony obowiązują zawieszenie broni i że go nie można przerwać bez trzygodzinnego wypowiedzenia naprzód! — krzyknął oburzony Turenne.

— Więc znowu wojna! — ktoś zawołał.

Głos ten zabrzmiał, jak jęk rozpacz.

— Trzeba zawiadomić cesarza!

Zapanowało milczenie.

Wtem Duroc wyjechał z grupy oficerów i ruszył ku cesarzowi.

Napoleon, usłyszawszy doniesienie, zbladł jak trup; lecz po chwili odwrócił się do Duroca tyłem i wydał jakiś rozkaz, dotyczący przeglądu. Wtem w pełnym galopie przypadł don adjutant Murata, młody Béranger.

— Mów — rzekł cesarz.

— Najjaśniejszy panie — rozpoczął Béranger — awangarda zaatakowana pod Winkowem, pierwsza linja rozbita, dwanaście armat, dwadzieścia wozów z amunicją, trzydzieści furgonów wziętych, dwóch jenerałów zabitych, do czterech tysięcy ludzi padło, król Murat raniony. Wydarł się szarżami, gdyż tyły miał już odcięte.

— Czy wojsko króla Murata było gotowe do boju? — przerwał nagie Napoleon.

Béranger spuścił oczy i zaczerwienił się.

— Najjaśniejszy panie — odpowiedział — jego królewska mość opierała się na umowie.

— I wyście temu ufali, mając naprzeciw siebie Kutuzowa! — huknął Napoleon. — I dlatego

połowa awangardy z jenerałem piła całą noc, a cały dzień spała, a druga całą noc spała, a cały dzień piła?! Armaty mieliście odsłonięne?

— Niestety! Jenerał Sebastiani ustawić kazał swoje bez żadnej osłony, przed frontem.

Płomień zapalił się w oczach cesarza.

— Mów dalej! Poniatowski? Na prawem skrzydle?

— Najjaśniejszy panie, księżę Poniatowski trzymał pod bronią swój korpus i był dzień i noc gotowy do ataku i obrony. Odparł on bohater-sko nieprzyjaciela.

— Jazda króla Murata?

— Zniweczona.

Płomień w oczach cesarza rozżarzał się. Stał chwilę bez słowa na koniu, potem dał rozkaz przerwania rewji, a z ust jego jak błyskawice wybiegły rozkazy. W parę godzin później Wielka Armja opuszczała Moskwę.

* * *

Ze zwieszonymi głowami w ponurej zadumie wyruszały polskie pułki z Moskwy. Pod Winkowem straciły 500 towarzyszy i jenerała Stanisława Fiszerę.

Wszyscy znali jego życie. Był adjutantem Kościuszki w 1794-ym, był wzięty w niewolę, a za dumę wyniosłą, honor niezłomny, hardość ducha i zuchwalstwo odwagi, srogiem był karany więzieniem, wywieziony na północ. Tułacz potem i legionista, niezłomny na nędzę i głód, jak na polu bitwy i w kaźni, z kolei niewolę poznał austriacką. Z pod Raszyna na płaszcach ranionego wyniesiono. Pod Winkowem z ręką od

kuli strzaskaną, mimo wezwania księcia Józefa, boju nie opuścił i kulą w czoło legł ugodzony, 45 lat żywota męskiego przeżywszy.

Młował go V-ty korpus i znał jego postać niską i wątlą, w której Achillesowy dach mie-szał.

Płakali po nim żołnierze.

W uniesieniu opuszczał Napoleon Moskwę.

Przejęty tajemny list Kutuzowa do Petersburga, wysłany jednocześnie z tym, w którym pod okiem Lauristona pisał do cesarza Aleksandra, iż pokój zawarty być musi, gdyż armia rosyjska nie jest w stanie walczyć dalej, świadczył jak metodycznie zatrzymywano wielką armię w Moskwie, aż do późnej pory, podczas gdy Czyczagow dążył z Wołoszczyzny na Mińsk odciąć jej odwrót.

Ze zwieszonemi głowami, w ponurej zadumie wyruszały polskie pułki z Moskwy. Mówiono: cesarz odnalazł siebie! Wyszedł z Moskwy w sto tysięcy wojska, 550 dział, 2,000 wozów z amunicją, 50,000 koni, ze słowami: Idźmy na Kalugę, biada tym, którzy się na mojej drodze znajdą!... Podobno genjusz cesarza rozbrłysnął na nowo.

Lecz mówiono, że gdy cesarz, przejeżdżając przez ulicę koło pałacu, który ostał się w pożarze, te słowa właśnie wymawiał, w oknie pałacu ukazała się kobieca głowa i dał się słyszeć szyderczy śmiech i głos: Do widzenia na śniegach!

Cesarz miał spojrzeć w górę i wzdrygnąć się.

Szybko wiadomość ta rozbiegła się po szeregach, jako złowieszcza wróżba.

W pamięci wszystkich były też słowa rosyjskich żołnierzy, wymieniane ze strażami polskimi na posterunkach: za dwa tygodnie paznogcie wam poodpadają od mrozu...

Olbrzymim węzem wysuwał się pochód Napoleona z Moskwy. Za armją ciągnęło 50,000 ludzi, mówiących najrozmaitszemi językami, żołnierzy bez broni, kobiet, dzieci, rosyjskich woźniców, tabory łupów, żywności, tumult straszliwy, ciężar, od którego armję mogły ocalić tylko forsowne marsze lub prędzej atak kozacki.

Napoleon milcząc spoglądał na te masy — powinien był na nie przedewszystkiem skierować własne armaty — nie dozwalała mu ludzkość. Niebezpieczeństwo podobnej wędrówki ludów, karawany nomadów, dla siebie i wojska, znał aż nadto dobrze.

Posepne jechały polskie pułki. Cesarz pobijał, ale nie zwyciężył. Nie dokonał niczego i opuścił Moskwę.

Napróżno więc całe bohaterstwo? Tyle trupów, tyle poświęcenia? Tyle zasług i usług? Tyle męstwa? Tyle wspomnień Kircholmu?

*

*

W pościg za wielką^{*} armją ruszyła armja rosyjska, według rady angielskiej „nieublaganej pogoni“. Ruszyli się chłopci z toporami. Gerasim Kurin 5,800 ludzi powiodł za nieprzyjacielem, który „groził paleniem wsi i obdzieraniem ze skóry mieszkańców“. Panna Nadieżda Durowa, chłopka Wasilisa wiodły chłopów na Francuzów.

Na czele czerni, dworskich kozaków i tatarów z mitrami, szytemi na lewem ramieniu, jechały obok siebie konno księżna Zeneida i panna Olga Zastrowa. Spotkały się.

Olga Zastrowa z pistoletami za pasem, z szaszką kozacką przy boku i dubeltówką przez plecy, prowadząc dwa tysiące chłopów ze swej wsi i sąsiednich, natrafiła na poczet kozaków i tatarów księżny Zeneidy i przeżegnała się ze zdziwienia.

— Na miły Bóg! Księżno! Czy i wy za Napoleonem?!

— Jak widzisz — odpowiedziała księżna.

— Wy! Taka dama! Dlaczego nie zebraliście chłopów ze swoich dóbr? Byłoby ich przecie kilkanaście tysięcy młodych mężczyzn.

— Śmierdzą. Zresztą ja nie idę mścić się za ojczyznę i zdruzgotać armji Napoleona, tak, jak wy.

— Więc po co?

— Ja urządzam na niego polowanie par force.

— Nie rozumiem.

— Chce go porwać. Moi tatarzy umieją łapać konie na arkan. Ja go chcę mieć. Dlatego radziłam mu, aby ruszył z Moskwy. Tam go porwać nie mogłam. Widziałam go. Chcę go mieć.

— Car go księżnie odbierze.

— Ucieknę z nim!

— Napoleon ma sto tysięcy wojska. Szarpać je tylko można z tyłu i z boków. Jego samego porwać...

— Według stawu grobla — rzekła wyniośle księżna Zeneida. — Niech chłopci rąbią jego furazerów i maruderów. — Przyznaj — żaden sokół łowny nie polował jeszcze na takiego orła.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

KONIEC EPOPEI

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

KONIEC EPOPEI

TOM II

WYDANIE TRZECIE



WARSZAWA
M. OSTASZEWSKA I S-KA
AL. JEROZOLIMSKIE 23
1924



NEUMAN & TOMASZEWSKI



nieg głucho skrzypiał pod nogami rotmistrza Zaremby, któremu koń padł w zaspie z wycieńczenia. Zaremba szedł luzem, odbity gdzieś wśród strasznej klęski odwrotu Wielkiej Armji od swoich ułanów, poza szeregami marszałka Ney'a, który w sześć tysięcy francuskich bagnatów, trzysta polskich koni i dwanaście armat opuścił Smoleńsk, około siedmiu tysięcy maruderów i cywilnej ludności mając za sobą. Szedł schylony, szablą się obnażoną podpierając, a na swojej czterdziestopięcioletniej głowie czuł ciężar lat stu. Czy ich tam bohaterski marszałek z matni wyprowadzi, czy nie — nie dbał. Wszystko było stracone. Dostawszy się w arjergardę pod komendę Davout'a i Ney'a walczył z napierającą mocą Kutuzowa, ponieważ był żołnierzem i na to tu przyszedł z Bonapartem. Bili się i cofali, aż zapadli za Wielką Armją, stracili łączność z korpusem Davout'a i zostali odcięci przez pułki Miłoradowicza. Teraz albo śmierć, albo niewola. Lepsza pierwsza i czyż warto żyć jeszcze? Bonaparte złamany, a z nim wszystko złamane...

Wtem spuszczoną i ponurą głowę wzięło coś jakby w ręce Zarembie i skrzywiło ją na prawo.

Nieba!!

To Teresa Mirska szła pieszo, w kapturze na oczy, z kijem prostym w rękę.

Zali wzrok nie myli—zmęczony śniegiem?

Nie! Nie!

Ona to, we własnej postaci.

Dzieliły ją od Zaremby trzy idące kobiety.

Posunął się Zaremba w prawą stronę.

— Mościa pan!—szepnął.

Drgnęła Teresa Mirska i spojrzała.

— Dla Boga! — zawołała prawie. — Pan, panie rotmistrzu?!

— Do usług pani dobrodziejki — skłonił się Zaremba.

— A! Gdybym już i brata rodzonego spotkała, więcej bym się nie ucieszyła! — mówiła Mirska, wyciągając ku Zarembie rękę. — A jakież Bóg dobry, że mi pana spotkać pozwolił!

— Niewymownym to i dla mnie jest szczęściem, o ile będę mógł usłużyć pani dobrodziejce — odpowiedział Zaremba, całując Teresę w rękę — lecz niech mi wolno będzie spytać, jakim sposobem znalazła się pani przy arjergardzie marszałka Ney?

— Pielęgnowałam rannych w Smoleńsku, zostałam, gdy cesarz wyruszył, a gdy marszałek wychodził, zabrałam się i ja, wiedząc, że to już czas ostatni.

— I prawda. Rosjanie następują ze wszystkich stron.

— Powiedz mi pan, panie rotmistrzu, którego to dziś mamy? Bo już i rachubę zgubiłam.

— By tylko Bóg dał, aby zdrowie dopisywało! Zdaje mi się, pewny nie jestem, siedmnaśty albo ośmnasty.

— Jeżeli siedemnasty listopada, to rok temu u Honestich na Zarzeczu w Wilnie w imieniny na świętego Stanisława Kostkę tańcowałam. Ktoby był pomyślał! Ach kto?

— Niezbadane są wyroki Boskie.

— Jednak narzekać na nie nigdy nie trzeba. Bo teraz, gdy się tak samotną i zgubioną wśród samych obcych widziała, Bóg mi wiernego i dobrego przyjaciela zsyła. Już mi rażniej w świat patrzeć, mniej zgroza duszę przenika.

Zaremba nie odpowiedział, nie mógł; serce w nim topniało.

— Mości panie — ozwała się po chwili Mirska — masz waszmość nadzieję, że nas marszałek wydobędzie z rąk kozackich? Wywiedzie?

— Wielki to żołnierz, pani dobrodziejko, z bohaterstwa mało mu równych, chyba nieboszczyk marszałek Lannes, nad którego śmiercią pod Wagram cesarz płakał, i nasz książę Józef mu dorównywują. Wszakże — — łatwo to nie pójdzie — — choć niema się czego obawiać — dodał spiesźnie.

Aby jej nie zatrwożyć. Zaremba wiedział przecie, że są poprostu otoczeni przez armję rosyjską.

— Proszę cię, panie rotmistrzu — rzekła Mirska — gdyby potrzeba było, poczekaj — —

Zsunęła rękawiczkę z dłoni i wydobyla z pod sukni sztylet.

— Oto masz. Gdyby potrzeba było. Pchnij mię w serce. Albo nie. Sobie samej zachowam sztylet od ostatniego wypadku, a honor mój twojej szabli powierzam.

— Boże — jęknął Zaremba.

Ona zaś mówiła:

— Panie rotmistrzu, honor mój dla twej szabli niech będzie tak święty, jak orły cesarza Napoleona.

Zaremba skłonił głowę.

Mówić mogli swobodnie, dokoła słysząc było tylko język francuski; zrzadka tu i owdzie dolaływało jakieś słowo włoskie lub niemieckie.

— Sami tu jesteśmy — rzekła Mirska.

— Paruset kawalerji polskiej idzie z marszałkiem, ale ci są w awangardzie.

Ale Zaremba rad był z tego. Wśród tej obczyzny nic go nie mogło dzielić z tajemnie ukochaną, wszystko zbliżać musiało. Co też Opatrzność postanowiła, jakby cudem sprowadzając go z Teresą? Czy — —

Lecz nie śmiał pomyśleć nawet wyrazu szczęście.

— Nie widziałem pani dobrodziejki od bitwy moskiewskiej, szukać w Moskwie i służyć swe ofiarować sposobności nie miałem, z królem Muratem za miastem pod Winkowem stojąc. Jakże pożar miasta waszmość pani przebyłaś?

— Okropne rzeczy się działy! Zapewne panu wiadomo, że Kutuzow zostawił rannych swoich w Moskwie. Ponieważ nasi ranni żołnierze mieli zaopatrzenie, udałam się do Rosjan, którzy, jak łatwo pojąć, mimo, że cesarz Napoleon wydał pod tym względem zaszczyl mu tylko przynoszące polecenia, w wielu względach opuszczenie cierpieli. Bóg widzi, że robiłam, co mogłam, a ci prości ludzie wyciągali do mnie ręce i wołali: wy chyba nasza! Nie mówię ja, by się

chwalić, ale oni wierzyli w to, co im w obozie ogłaszano, że Napoleon ludożerców prowadzi. Znajdowałam się w wielkim drewnianym domu, w którym przeszło dziewięciuset rannych i chorych leżało, gdy pożar wybuchł. Był to dom jakiegoś bogatego kupca, który z Moskwy wraz ze wszystkimi lokatorami uciekł. Imaginuj sobie waszmość pan, co się działo, gdy się dom zajął! Jeszcze teraz ciemno mi się robi, gdy wspomnę. I Dante by nic okropniejszego nie opisał. Kto mógł, to się zrywał i uciekał, ale kto nie mógł, ten miotał się i wył o ratunek. Pamiętam żołnierza, który z oberwanemi kulą działową nogami, na rękach pokaleczonych, bo i te miał pocięte, włókł się po podłodze. Kłęb się uczynił z ludzi. Zdrowsi wynosili zrazu tych, co sami uciekać nie mogli, ale to trwało niedługo. Dym począł gryźć. Już nie było co począć. Dom stanął w ogniu. Nie możesz pan sobie wyimaginaować, rotmistrzu, tego, co ja widziałam i tego, com ja słyszała. W piekle nic więcej usłyszeć nie można. Izby pełne ludzi. Swąd, skwierczenie ludzkiego palonego ciała... Ludzie na ulicy poczęli mdleć. W oknach ukazywały się głowy, nie wiem już jaką mocą ze słomy podźwignięte, bo ci ranni ruszyć się o własnej sile nie mogli przedtem. Chyba kłębili się tak, aż wydzwigali w górę jedni drugich. Gdy dach runął z okropnym trzaskiem... Od żaru cofnąć się trzeba było. Nadbiegli żołnierze marszałka Mortier gasić, ratować. Ośłupieli z przerażenia i grozy, choć tyle bitew przebyli. Ale o gaszeniu pożaru mowy być nie mogło; słoma, na której leżeli ranni, podsycala płomień, że buchał słupami gdzieś pod chimury

nad głową. Z ulicy brano tych, co się wyczołgać potrafili. W żywym żarze, w płomieniu przeszło siedmuset ludzi zginęło w tym domu. Takie sceny działy się w wielu miejscach. Powiadano, że do trzydziestu tysięcy rannych i chorych Rosjan spaliło się w podobny sposób. Nigdy już nic okropniejszego nie zobaczę, choćby mnie nawet Bóg potępił. Opisać się to nie da. Język ludzki okropność życia tylko do pewnych granic wyrazić jest zdolny...

Zaremba zaszklonemi oczyma popatrzał na Mirską. Była to ta sama twarz cudnej piękności, lecz do walki pod Szewardynem, kiedy ją ostatni raz tak bardzo zmienioną widział, jakże jeszcze zinieniona! Twarz ta stała się zapadła, zczerniała, oczy w niej tylko ogromnie powiększone błyszczały, a czoło stało się siedliskiem na wszystko gotowej rezygnacji.

Ukląkłby był Zaremba u jej nóg, lecz ani to było możliwem pośród ludzi, ani by sobie był pozwolił.

Milcząc szli, aż Zaremba zapytał:

— Czemuż pani dobrodziejka nie na wózku? Sporo ich jedzie za wojskiem.

— Ach, już i iść wołałam. Byłam świadkiem okropnego widoku między jadącymi. Nie musiałeś być waszmość pan zbliśka, bo bylibyśmy się wtenczas spostrzegli. Gdyśmy z bram Smoleńska wychodzili, jakaś kobieta rzuciła na zmarzły śnieg z wózka swego pięcioletniego synka, krzyząc: on nie widział Francji! nie będzie jej żałował! ja w niej się urodziłam, chcę ją widzieć jeszcze! Żołnierze oburzyli się. Sam marszałek dwa razy kazał dziecko podać jej na wózek i dwa

razy ta wyrodna matka miotnęła niem na śnieg. Jakże płakało!... Serce mogło pęknąć... Biedactwo...

— I nie zabito jej?! — wykrzyknął Zaremba oburzony.

— Nie, ale tego było już żołnierzom za wiele. Zdaje mi się, że sam marszałek chciał rzucić się na tę kobietę z pięściami. Dziecko podjęto ze śniegu, z wózka kobietę zaś zwleczono i kolbami odegnano. Nie mogła się przybliżyć. Żołnierze zagrozili jej, że kto ją z nich zobaczy, zastrzeli. Dziecko wzięła jakaś pocziwa Holenderka do siebie na wózek¹. Oszaleć można od tych okropności!

— Wojna hiszpańska w tysiąc ośmset ósmym wydała się czemś nieludzkim, jednak przy odrocie naszym, wydaje się lekką nieledwie — rzekł Zaremba. — A co jeszcze być może!...

— Byle się jeno do kraju dostać!

— Ale to daleko jeszcze, pani dobrodziejko, daleko...

Mirska zaś myślała:

Do kraju — — ale po co? Gdzie są te szczęśliwe godziny jej życia, niektóre czekała jedynie, aby wspominać je we dnie na stojące, śnić o nich w nocy późniejsze? I czy w tym kraju nie grzmi głos: książę Michał Kleofas Ogiński zdrajca!... Tego by nie przeżyła...

On zaś nie wie nawet o niej. Może się i dowiedzieć chciał, może z Wilna wiadomości

¹ To dziecko dostało się szczęśliwie pod opieką żołnierzy do Francji. *Ségur*.

zasięgał, lecz tam nie wiadomo, gdzie się ona podziała? A może — — może nie pytał?...

Tak go kochała, tak go wielbiła...

Gdy, jako półbóg, piękny, genjuszem swej natchnionej muzyki w niebo ją podnosił, zdawał się być grać dla niej, dla niej komponować. Gdy u nóg jej siedział, piękną głowę na kolanach jej kładąc, gdy brał ją w ramiona i usta pragnące do ust jej nigdy nie sytych przyciskał — zdawał się być ją kochać... Nie był on zdrajcą, nie, nie! Nie sprzedawał kraju, ani wyniesienia się własnego szukał! A gdyby się teraz spotkali, gdyby spytał: i któż miał rację? któż lepiej przewidywał? Czy ten, co stanął przy Aleksandrze, czy ten, co się ofiarował pysze i zaślepieniu Napoleona?

Lecz gdyby ją widział, jak ucieczkę jego z Wilna na północ ekspiując, nie nad siły kobiece, ale nadludzkie i niehumanitarne znosi trudy, jak pod kulami, co koło niej padały, rannych pielęgnowała, bo jego na tej wojnie nie było — musiałby poznać, jak ogromna, jak niezmierna jest jej miłość, jak wielką jest ta ofiara, której na imię: za ciebie ja.

I jeśli Bóg wrócić pozwoli z przepastnej toni, ze śniegów, z pod mrozu, z nędzy i głodu z pod kuli i szabli i spis kozackich wyrwie i do kraju zaprowadzi, gdy się spotkają — — —

Jakież to będzie witanie?

Co on jej, co ona jemu powie?

Czy nie na zawsze tama wśród nich wykopana?

Nie, nie, oni się już z sobą widzieć, spotkać nie powinni.

Zresztą, gdyby ją był kochał, jak ona jego,

byłby z nią, przy Napoleonie! Ta miłość byłaby go przyniewoliła z nią iść.

Zamało lub wcale nie kochał.

Ale ona kochała, więc że jest tu, w śniegach, w niebezpieczeństwie, na drodze śmierci, nie żałuje...

Zaremba z pod oka na Mirską spoglądał, ozwać się, gdy milczała, nie śmiejąc. Gdy ją w Paryżu pierwszy raz na balu u Tyszkiewiczowej, siostry Poniatowskiego, zobaczył, czyż mógł się spodziewać, że tak kiedy obok niej, szablą się nagą opierając, iść po śniegu będzie? Tłum czekał jej spojrzenia, jej łaski, tłum pierwszej młodzieży, nie tylko z Polski — dziś pokutnica to cudzej winy, winowajcy, którego imię okryła tajemnicą, strzeże jak świętości.

Dziwny, dziwny los...

Dlaczego też to on przyszył serce Zaremby tam, gdzie o nim nie wiedzą? Czemuż istotę ubóstwił, tak odeń daleką? I na nią właśnie ma spadać nieszczęście? I on nic, nic pomóc nie może?

Dziwny, dziwny los...

Najpiękniejszą na ziemi kobietę i największego świata człowieka umiłować, dostać się w ich czarujące koło zakłęte, by nie być nawet znanym... Bo cóż, że zna go Teresa, gdy nic o serca jego tragedji nie wie, gdy jest on dla niej przyjacielem, jakim by mógł być każdy inny na jego miejscu?

Taka to już snadź dola — mruknął przez zęby.

— Co waćpan powiadasz, panie rotmistrzu? — spytała Mirska.

— Że śnieg wilgotny, odwilż—odpowiedział Zaremba.

— Przynajmniej że cieplej będzie.

Wtem zahuczały działa.

— Jezusie Marjo!—krzyknęła Mirska. — Czy to na nas?!

Zaremba wyciągnął głowę.

Ale nie potrzebował nasłuchiwać. Granaty poczęły padać we frontowe linje drobnego oddziału Neya.

Popłoch ogarnął maruderów, rannych i cywilną ludność towarzyszącą marszałkowi. Zaremba zastawiał Mirską ramieniem, aby się na nią nie tłoczono. Rozlegały się głosy trwogi i rozpacz.

Tłum przepchał się w tył koło rotmistrza. on zaś nie cofał się. Wolał być bliżej szeregów wojska francuskiego niż tłumu, a wiedział, że granat, jeśli ma ich oboje znaleźć, znajdzie ich równie dobrze bliżej, czy dalej tych, którzy walczą.

Wkrótce też między nim i Mirską, a linją Francuzów pozostała niewielka] pusta przestrzeń.

Widział Zaremba, jak marszałek Ney, „le brave des braves“, spokojny i niezatrwożony, sztykował swoje szczupłe siły i dwanaście armat do boju przeciw masom rosyjskim, które zastąpiły mu drogę i zajmowały okoliczne wzgórza.

— Jak myślisz, panie rotmistrzu — spytała Mirska — ile może być nieprzyjaciela?

— Z tego, co widzę tam, na wzgórzach, i nadchodzących liczę na kilkadziesiąt tysięcy.

— Pochłona nas!

Zaremba nie odpowiedział; cóż miał do odpowiedzenia?

— Czy to sam Kutuzow?

— Tak mi się zdaje. Nie jestto oddział, ale armja. Uhl!

— Co?

— Zasłoń pani oczy! Nie patrz! Pierwsza linja rosyjska zmiażdży front francuski!

Mirska zasłoniła oczy.

— Co robi marszałek? — spytała po chwili.

— Posuwa się naprzód. Illyrowie atakują od lewego boku. Garstka. Nie wiem, czy czterystu ludzi. Ah! Ah!

— Co?

— Marszałek idzie do ataku! Sam, naprzód! Ze szpadą w rękę! Za nim — — może ze trzy tysiące. Cała rezerwa. Patrz pani, patrz! Na bagnety!

Mirska odsłoniła wzrok, przywykły już zresztą aż nadto do widoków wojny.

Garstka marszałka przewróciła zwycięską dopiero co pierwszą linję rosyjską. Lecz to chwilę tylko trwało. Druga linja rosyjska zalała garść Neyowską ołowiem. Pierzchają! Marszałek, jak szalony, z błyszczącą szpadą uwija się pośród swoich. Gromadzi ich, wstrzymuje, ustawia. Otóż znowu uczynił front przeciw nieprzyjacielowi.

— Po nich — szepnął Zaremba. — Nie pozostanie jeden człowiek!

— Pamiętaj panie, rotmistrzu! — szepnęła Mirska, kładąc dłoń na suknię.

— Pamiętam!...

Ale Kutuzow nie pchnął swoich ludzi na-

przód, jakkolwiek wystarczało „uniesienie nerwowe jednego korpusu, aby skończyć.”

Dlaczego, nie wiadomo. Utopił tylko marszałka, jego oddziałek i tych, co za nim szli, pod deszczem granatów.

Kule wierciły drogi śmierci. Dwieście armat posiadała armja rosyjska. Żołnierzy francuskich opanowała trwoga, lecz trwoga ta minęła, gdy popatrzyli na swego wodza, co stał bez żadnego widocznego wzruszenia, spokojnie, a bacznie obserwując ruch Kutuzowa, który zwolna obsnuwał jego skrzydła, ostrożnie, jakby nie był pewny, czy za nieustraszonym marszałkiem sam Napoleon ze swoją zdziesiątkowaną, ale tak groźną jeszcze mocą ze śniegów nie wyrośnie.

Zapadał mrok.

Poczęło szarzyć niebo i ziemia, drzewa na wzgórzach traciły wyraźny kontur, ciemno stało się nagle, mgły bowiem grube płynęły od północnego zachodu.

Marszałek trzymał ludzi na stanowisku i czekał nocy.

A gdy noc zeszła czarna i około pozostałych żołnierzy zgromadzili się rozproszeni podczas bitwy maruderzy, gromada cywilna i ranni, których jeszcze przybyło, wydał rozkaz marszu wstecz na Smoleńsk.

Wszyscy zdrętwieli.

Lód przebiegł krew w żyłach. Jaki!? Wracać, skąd wyszli?!

Wracać do Rosji?

Adjutant nie powtórzył rozkazu marszałka.

Nie wierzył swojemu słuchowi.

— Na Smoleńsk! Marsz! — rzekł ponownie marszałek.

Żołnierze zmienili front. Cicho zachrzęściały ich buty na śniegu. Maszerowali w tył. Przerażony bezradny i bezwładny ruszył za nimi tłum.

Zaremba starał się z Mirską trzymać jaknajbliżej żołnierzy; wołał niebezpieczeństwo kul, niż tłum.

Zaś Ney pozostawał na ostatku, sam jeden na lichym koniku stanowiąc arjergardę.

Milczenie panowało powszechne.

Czy wódz wiódł ich w samą paszczę zguby?

— Co myślisz waćpan, panie rotmistrzu? — szepnęła Mirska do towarzysza.

— Nie wiem, co mam myśleć... Zgoła nie rozumiem intencji marszałka... Nic nie wpada mi w głowę...

— Co za noc posępna...

— Dzięki też temu ruszyć się było można. Nie obawiaj się, pani.

— Jam już od trwogi odwykła. Jedno mnie jeno dziwi, że cesarz Napoleon tak długo kazał bawić marszałkowi w Smoleńsku, sam zeń kilku dniami poprzód wyszedłszy.

— Musiał mieć powody. Jakie, nie wiem. To pewna, że mu na każdym żołnierzu teraz bardzo, a na Neyu więcej, niż na każdym innym jenerale, oprócz może Davouta, który jest po cesarzu pierwszym strategikiem armji, zależy. Ney, to wierność i odwaga wcielona.

— Wiedział przecież cesarz, że Rosjanie następują.

— Nie znam ja racji cesarza, ale musiały być. Cesarz musi się starać przynajmniej część

armji ocalić. Nie może przecież sam jeden przed Europą stanąć, ale żeby miał marszałka Neya i jego żołnierzy na stracenie, byle wroga zatrzymać, poświęcić, tego nie można przypuścić. To nie leży w charakterze cesarza, ani jako wodza, ani jako przyjaciela. Mógł tylko nie przewidzieć, że nas zaatakują i to tak przeważnie.

— Ah! Zbyt wiele niestety w tej wojnie nie przewidział cesarz!...

— Nie neguję — rzekł Zaremba i umilkł. Myśl jego o Bonapartem krążyła obłądnymi szlakami. Buntowało się w nim piętnaście lat adoracji przeciw krytyce, która w nim rósć musiała. Miał uczucie, że słońce poczęło błądzić na niebie. Ale przecie słońcem jest zawsze. Lub też czy będzie już gasło? I mrok nastanie na świecie?...

Upłynęła godzina pochodu.

Marszałek znajdował się teraz na czele swoich. Nagle zatrzymał się. Szpadę, którą wsunął był do pochwy, wydobył i zakomenderował: stać!

U stóp żołnierzy znajdowało się wgłębienie, niewielki parów, którym musiała płynąć rzeczka.

— Odgarnąć mi tu śnieg — rozkazał.

Kilku żołnierzy kolbami śnieg odmiotło.

Marszałek nachylił się i uderzył szpadą, która dzwiała.

— Łód! — zawołał. — Rozbijcie go.

Żołnierze strzaskali łód kolbami.

— A co jest woda pod nim? Prawda?

— Jest, panie marszałku! — odpowiedzieli.

Ney wyprostował się i zawołał głośno:

— Jesteśmy pod dopływem Dniepru! Pójdziemy wzdłuż niego! On nas zaprowadzi do

rzeki, którą przejdziemy! Nasze ocalenie jest na drugim brzegu Dniepru! Marsz!

Ruszono w milczeniu wzdłuż parowu.

Zamajaczyła w mroku wieś jakaś niewiadoma.

— Polacy! — zwrócił się marszałek do oddziału kawalerzystów. — Skoczcie no, czy nie znajdziecie gdzie człowieka, bo tu pusto się zdaje.

Rozbiegli się polscy żołnierze po kilku i przywiedli niezadługo jedynego mieszkańca wioski, kulawego chłopą.

— Jak daleko Dniepr? — spytał marszałek przez tłumacza.

— O milę.

— Da się przejść po lodzie?

— Nie da.

— Da!

— Powiedzcie generałowi — rzekł chłop — że odwilż popsuka łód, jeszcze słaby zresztą.

Tłumacz powtórzył.

— Wszystko jedno. Nie mamy innej drogi, ani innego ocalenia. Marsz! Chłop naprzód! niech prowadził

— Jeśli lód będzie mocny, wyjdziemy z matni — mówił Zaremba, który się z Mirską ciągle starał trzymać jaknajbliżej regularnego żołnierza.

— Da Bóg!

— Ot już się zbliżamy, słyszać szum.

Ależ w takim razie płynię! Nie zamarznięty! — wykrzyknęła Mirską.

— Bylibyśmy zgubieni. Mogłaby być wprawdzie warstwa lodu w jakim załamie, czy jednak tam właśnie chłop nas prowadzi?

Ale chłop tak prowadził. W skrócie rzeki łód się zwał więcej i utrzymywał jeszcze mimo odwilży.

Znać go było mimo nocy, jak błyszczał. Dalej toczyły się już fale.

— Straszno tu — szepnęła Mirska, przysuwając się mimowoli do ramienia Zaremby.

Szum rzeki w głuchą noc niewymowną grozę miał w sobie, coś, co przez samo zbliżenie się odejmowało odwagę i pętało kolana.

— Łód jest — rzekł Ney.

— Czy jednak wytrzyma, panie marszałku? — odezwał się jeden z oficerów francuskich.

— A jednak innego ratunku niema. Jeśli nie przejdziemy na drugą stronę, rano pochwycą nas kozacy. Jakiż więc mamy wybór? I co nas czeka? W obozie rosyjskim pomrzemy z głodu, tak, jak mrą ci jeńcy rosyjscy, których Wielka Armja prowadziła lub prowadzi. Zjadali jedni drugich.

Ludzie stali nieruchomi—za nimi była śmierć i przed nimi zdawała się czaić w głębiach i odmętach Dniepru — jeszcze straszniejsza.

Gdyby przynajmniej był dzień—ale w mroku nocy łód lśnił i błyskał upiornym blaskiem, złowrogą twarzą.

Ney spojrzał z konia naokoło.

— Podobno niema nas wszystkich w kupie — rzekł.

— Ludzie się roztracili — ozwał się grosmajor Szydłowski, który dowodził polską jazdą.

— Z połowa się rozsypała — rzekł porucznik Przebendowski. — Zwłaszcza kobiety z dziećmi,

które na wózkach miejsca nie znalazły, i ranni ci, co szli pieszo.

— Ah ba!—zawołał ten oficer, który uprzednio o wytrzymałości lodu wątpił. — Na wojnie, jak na wojnie! Mamy przechodzić, to przechodźmy zaraz. Rosjanie na karku.

— A to proszę, wolna droga—ozwał się Ney.

— Jakto, panie marszałku?

— Ja zostanę.

— Jakto?!

— Dopóki się wszyscy, którzy idą ze mną, nie zbiorą.

— Panie marszałku, za pozwoleniem, ryzykujesz własną wolność, może życie.

— Trudno. Na wojnie, jak na wojnie.

— Żołnierz się zdenerwuje, stojąc nad przepaścią wodną!

— Który zanadto nerwowy—proszę.

— I długo będziemy stali?

— Trzy godziny.

— Panie marszałku! W tobie może ocalenie armji, cesarza! Pomyśl!—

— Niech inni myślą — przerwał Ney. — Dobranoc, bo mi się chce spać.

Zsiadł z konia, oddał go kawalerzyście i gdzie stał, tam się w płaszcz zawinął i na śniegu położył. Nim ze zdumienia ludzie wyszli, że ktoś w takim momencie, kiedy o życie gra się toczy, spać może, chrapnął.

— Zdrowo — rzekł Szydłowski.

— Po bohatersku — dodał Przebendowski.

— Z takim żyć i umierać! — zamruczeli jeźdźcy polscy. — On by w Moskwie nie siedział,

jak cesarz, z „kombinezonami politycznemi“ pod sempiterną...

— A no, kiedy stać mamy i to trzy godziny—odezwała się do Zaremby Mirska — to spoczniemy i my. Nie mam ja ochoty, ani odwagi zasnąć, jak marszałek, ale ledwo się trzymam na nogach i z sił opadam zupełnie.

— Ot tam jakiś pagóreczek — powiedział Zaremba—płaszcz pościelę, to siądziemy.

— Zimno panu będzie.

— Noc nie chłodna i mam pod płaszczem kożuszek.

Usiedli.

— Ah, żeby to co zjeść było! — westchnęła Mirska!

Zarembie ścisnęło się serce.

— Nie mam nic, prócz kawałka kwaśnego chleba. Tem tylko służyć mogę.

— Jakże to mam zabrać panu ostatek?

— Nie tknę go. Szczęśliwym, że go podać mogę.

— Tak nie będzie. Jużbym wstydu, ani sumienia nie miała, jedyny i ostatni waszmość panu kasek chleba zabierając. Lecz że wiem, iż się inaczej nie zgodzisz, daj mnie pół, proszę.

— Złam, waszmość pani.

— Nie zdołam, panie rotmistrzu; bez mocy jestem zupełnie. Chleb twardy.

— Zeszeł się. Oto jest, mam honor służyć.

— Dziękuję. W śniegu go maczać trzeba. Zarembie łyż na wąsy kapąły, gdy jadł.

Co za nędza! Co za los! Co się z tej wspinałej, cudnej kobiety zrobiło!

Cień jeno pozostał...

Na śnieguż to, na ułańskim płaszczu, pod grozą spis kozackich, pomiędzy napół zdziczałymi w pogromie ludźmi leżeć temu ciału, którego kształty toczono jeno rozkosz na białą miękką pościel miała wzywać?...

I suchym chlebem się karmić?!...

Widział Zaremba, jak Mirska słaniała się, śmiertelnie strudzona.

— Gdyby snu trochę, pani dobrodziejko — ozwał się. — Ja czuwać będę.

— Sądzi pan, że marszałek całe trzy godziny dotrzyma tutaj?

— Skoro tak powiedział, to pewna. Chyba gdyby nas kozacy znaleźli, ale tego w nocy nie przypuszczam. I oni przecie i konie spocząć i pożywić się muszą. Radzę przespać się trochę, choć na tym płaszczu.

— Pod opiekę się więc panu oddam. Może mnie sen pokrzepi, bo aż życie ze mnie poprostu ucieka z fatygi.

Nie było co, więc Zaremba torbę skórzaną, którą z Moskwy zabrał na drobiazgi, pod głowę Mirskiej podłożył, a owijając ją w płaszcz, czuł, jak nieludzko wychudła.

— Dobranoc waszmość panu — rzekła Mirska ze słabym uśmiechem.

— Dobrego spoczynku życzę, pani dobrodziejko.

— A obudź mnie pan, proszę. Nie odejście mnie — żartowała.

Zaremba nie odpowiedział; nie mógł. Dziecko by się nie polecało inaczej. Tkliwość, rozrzewnienie i rozżalenie mowę Zarembie zatamowało. Stopy Teresy miał wolę całować.

Gdy zasypiała, znak krzyżyka nad nią uczynił.

— A siedź pan blisko mnie — szepnęła już prawie.

— Niech Aniołowie do snu kotyszą i śliczne sny ześlą...

Zaremba fajkę sobie nałożył i zapalił.

Cóż za żalosny posterunek, jakaż najdroższa a smutku pełna warta...

Przypomniawszy sobie chwilę, gdy o cesarzu pod Ostrownem przed bitwą śnił, on się zaś sam przed oczyma jego pojawił.

Tyleż to z triumfalnego pochodu z Paryża na Drezno, z walk zwycięskich, zajęcia Wilna, Witebska, Smoleńska, ze strasznej bitwy borodinińskiej i nieszczęsnego wstąpienia do Moskwy, które najtrzeźwiejszych olśniło, by się klęską okazać?...

Z tego dla samego Zaremby jedno: śpiąca obok Teresa — — choć i w takiej nędzy...

Jej obok siebie śpiącej nigdy nie pomyślał.

O, jakaż dola!

Jakież to spanie opłakane!

Nie pragnienie miłosne, nie tęsknota upojenia, ale żal, litość bezbrzeżna i niezmierna napętniają pierś, wznoszą serce Zaremby.

Nie miał szczęścia w życiu znać, nie było mu pisane — — aż oto godziny doczekał, gdy najmiłsza kobieta w takiej nędzy obok niego spoczywa...

Grube kłęby dymu puszczał Zaremba, ręką je z nad głowy Teresy odganiając.

Ale — —

Opatrzność dziwnie rządzi i cuda się dzieją nadzwyczajne...

Myśl się w nim zmieniała w nieuchwytnę, muzyczne, bez wyrazów marzenie. Tymczasem nadchodzili rozproszeni żołnierze i pozostali za wojskiem maruderzy. Zaremba patrzył, ale jakoby nie widział. Błądził on w krainie, w której nigdy nie był, zupełnie oderwany od ziemi i wszystkiego, co na niej było. Nie pamiętał o niczem, co się działo. Rzeczywistość, istotność i prawda roztopiły się przed duszą Zaremby jakoby w mgłę, którą wiatr popod księżyc niesie, w przemienne światła ją barwiąc.

Zapatrzył się w Teresę, straciwszy z oczu świat wokół.

Żono, żono moja — szepnął pomimo woli.

Jej zaś sen jakiś przyszedł. Bądź zdrow! Na zawsze! — wymówiła półgłosem, snadź cierpiąc we śnie. Lecz potem snadź sen w miły się przemienił. Uśmiechała się.

Przestała mówić i poczęła oddychać równo i spokojnie.

Oh! Przeciem twoja — dosłyszał jeszcze Zaremba tak szepnięte, jakby rozkosz usta rozchyliła.

Wzdrygnął się. Głupi! Ona kocha!...

Gorycz i boleść zalały serce Zaremby, żalność rozpaczna je ścisnęła. Ona cudza!... Nie mniej przeto i droga i umiłowana i święta...

Obudził się marszałek. Może pięć minut do trzech godzin brakło. Rzeżko wstał i zawołał:

— Idziemy!

— Panie marszałku — odezwał się Przebendowski — zesunąłem się na dół z brzegu i badałem lód — on nie jest pewny.

— Hej tam, żołnierze! — zwrócił się mar-

szalek. — Kto pójdzie, na ochotnika, na drugą stronę, przekonać się, czy lód wytrzyma?

Nikt nie odpowiedział.

— No? Nagrody nie obiecuję, bo to by była niehonorowa rzecz. Idzie o ocalenie kobiet, dzieci, rannych towarzyszy!

Nikt nie odpowiedział.

— A co? — mruknął oficer, który natychmiastowy przemarsz przez Dniepr doradzał. — Żołnierz się zdenerwował...

Zaremba spojrzał na Teresę. Spała. Ujął ją lekko za rękę.

Był on już zdecydowany, wahał się tylko, czy obudzić Teresę, czy nie...

Pójdzie.

Ah, i gdyby nie ona, może by się na to męstwo nie zdobył. Czekałby, aż się kto zaofiaruje. Są młodszy, zręczniejsi.

Chciał podnieść rękę Mirskiej do ust, aby ją pocałować i tym pocałunkiem pożegnać, lecz lękał się ją zbudzić.

Otóż losy jej, może życie w jego rękach. Otóż chwila dla kochającego serca najbardziej upragniona; gdy ukochana osoba w tego tylko, który ją wybrał, może ufać, w nim jednym mieć nadzieję. Otóż godzina, gdy te małe białe ręce złożyć się powinny błagalnie, a te cudne drobne usta, tak delikatne, jak rąbek listków stokroci, powinny szepnąć błagalnie: ratuj!

Możeby, może wdzięczność, widok poświęcenia...

Lecz Zaremba jest żołnierzem — nawet najumiłowańszej kobiety zachęty nie potrzeba, aby się ważyć na twardy hazard. I miałaby ją na-

razić na niepokój, będąc jedynym jej towarzyszem — — choć tak słodką byłaby myśl, że ona modli się za niego... Ale ona śpi, a droga przed nią tak długa...

Popatrzył na Teresę, może na wieczne pożegnanie, i powstał.

W tej chwili ozwał się marszałek Ney, który stał obrócony przodem do rzeki i milcząc wodził po niej oczyma:

— Żołnierze, gdybym nie był wodzem waszym i nie miał życia waszego i wszystkich tu obecnych na karku, sambym poszedł.

Mówił spokojnie, lecz nagle wybuchnął:

— Kroćset djabłów! Tchórze jedne! Baby zatracone! Kanalje!

Zaremba zbliżył się do marszałka.

— Czego?—zapytał Ney w furji.

— Pójdę.

— A!! Przecie zuch! Ktoś pan jest? Ułan, widzę!

— Zaremba, rotmistrz ósmego pułku lekko-konnych.

— Pójdziesz?

— Pójdę.¹

— Przystap, niech cię uściskam! Przejdiesz? Bo widać, że łód djabelnie kruchy, a miejscami tak, jakby go nie było.

— Trudno.

— No to jazda! Wal! W Imię Boże! Utoniesz—i takes nie wiekuisty, a wrócisz, to pójdziemy pewniej. Bądź zdrów.

Uścisnął marszałek Zarembę, a choć to był

¹ Un officier se dévoua... *Ségur*.

człowiek o lat dobrze więcej niż dziesięć od Zaremby młodszy, bo coś trzydzieści dwa lata dopiero liczył, lecz tak bohaterski, tak na cały świat sławny, tylu czynów nadludzkiej odwagi i przepotężnej wagi sprawca, że Zaremba schylił się i, choć sam Piastowskim szlachcicem był, a Ney synem francuskiego chłopca, w ramię go niżej epolety pocałował.

Poczem wśród powszechnego pełnego szacunku milczenia zaszutrowawszy marszałka, zsunął się z brzegu i na łód wstąpił.

Słyszał nieopodal szum Dniepru, który się za zakrętem z pod lodu wydobywał.

Przeżegnał się i, wysuwając naprzód rękę z pałaszem, na łód wstąpił.

Odrazu uczuł pod nogą zmiętkłą wilgoć.

Księżyc tyle przez chmury świecił, że dojrzeć można było brzeg drugi i drogę przed sobą, daleko jednak było do lśniącej miesięcznej zimowej nocy, kiedy się nieledwie jak w dzień widzi.

Szablą naprzód próbując, czy się kra nie ugnie, począł iść. Łód zatrzeszczał odrazu.

Krok za krokiem wolno stapał, mając to wrażenie, że blisko brzegu gdyby się załamał, po pachy wpadnie i lub sam się wydostanie, lub go stojący nad rzeką żołnierze wyratują. Trzeba się było jednak coraz dalej pomykać i objął go strach.

Chciał się obejrzeć.

Być może, że Teresa się obudziła, być może, że jej powiedziano, że jej towarzysz Dniepr przebywa, może jej powiedziano: pani mąż... Może na brzegu stoi i lęka się oń...

Lecz nie obejrzał się. Gdyby marszałek Ney

zobaczył, iż głowę zwraca, mógłby pomyśleć, że się zląkł, że żałuje zaofiarowania się — — żywiej postąpił przed siebie.

Teraz czuł, że już jest nad głębią.

Jeżeliby teraz zapadł — po nim...

Dreszcz przebiegł ciało Zaremby.

Straszny, przepastny odmęt Dnieprowy toczył się pod jego stopami.

Lód zakołysał się i mocniej zatrzeszczał.

Zarembie dębem stanęły włosy na głowie.

Wstąpił na krę, odciętą snadź ze wszystkich stron i tylko uwięzioną wśród lodu. Trzeszczeć ustało.

Stanął.

Jeżeli ją przeważy — kra się chybnie i wpuści go pod siebie.

Wróci.

Powie marszałkowi, że przejście jest niemożliwe.

A jeżeli marszałek pójdzie sam i pozna, że pierwsze niebezpieczeństwo spłoszyło go, jak strach na wróble zająca...

Rozszerzył ręce do poziomu i uczynił krok.

Nie tracił równowagi, kra snadź była ściśnięta i nie mogła się przeważać.

Dalej, gdy się na stałą masę dostał, rysy przekraczać musiał, aż, widząc na miejscu prądu, ujrzał lód w tafle popękany, uwięziony wprawdzie, ale odtajające po krańcach. Popróbowwał szablą — uczuł, że się pod nogą ugną.

Zawahał się.

Czarna toń pod nim wydała mu się czemś żywym, jakąś potęgą, którą wyzwał niebacznie, która się zemści.

Słuchał.

Cicho było naokół. Nigdy Zarembie nie wydały się tak cichemi przestrzeń powietrzna i niebo.

Nad głową przyświecał z chmur księżyc, zimny, spokojny i martwy.

Uczuł tę samotność, jaką uczuwa człowiek zbłąkany w górach pośród przepaści.

I sam marszałek wróciłby z tego miejsca.

Wstąpić na te kry byłoby to igranie ze śmiercią.

Lecz straszliwy obraz zaćmił mózg Zaremby.

Kozak pochwycił Teresę za włosy. Nahajką w grzbiet ją uderzył. Wloką ją...

Zaremba nie wstąpił, ale wskoczył na krę.

Wskoczył bezwiednym instynktem na środek — kra zachwiała się, zachybotwała, lecz nie ugięła, Zaremba nie zatrzymał się, lecz skoczył na krę drugą, trzecią, przesadzał rysy i dotarł do lodu o stalnej mocy, skąd brzeg osiągnął.

Odetchnął.

Spojrzał przed się. Pustka i głusza.

Nieskończone pustkowie śniegu — — ten umarły kraj to ziemia zbawienia...

O w jakąż nędzę popadli!...

Lecz trzeba się było spieszyć. Odwilż wzmaciała się, lód stawał się coraz słabszy.

Zaremba jął wracać.

I znów zamajaczyły przed nim rysy, rozpęknięcia i kry ruchome.

Nie wahał się, lecz się poślizgnął. Nie trafił na punkt równowagi kry, przychyliła się i runął.

Padł wznak, barkami na lód stały.

Ręce jakieś potworne pochwyciły go z wody — ciągną.

Chwilę nieruchomy z przerażenia leżał, wreszcie ośmielił się dźwignąć nieco i z grzbietu na brzuch obrócić.

Unióś się na rękach. Na szczęście szabla nie wypadła mu z dłoni. Wbił koniec w lód, wsparł się i począł wstawać.

Kra drżała i chybotwała się. Zaremba podźwignął się na szabli, ukląkł wsparty na niej, lecz nie mógł odważyć się stanąć, aby, całym ciężarem ciała znalazłszy się na krze, nie przeważyć jej i nie zapaść się w czeluść.

Lecz wybór miał tylko jeden: albo wczłogać się na stały lód z powrotem, albo powstać i iść dalej.

Nie wiedząc, czy ostatnia godzina nie bije, powstał, szabłą się na stałym lodzie podtrzymując. Powoli, ostrożnie cofać ją zaczął i do pionu powracać.

Kra schyliła się, Zaremba postąpił w tył, obrócił się twarzą ku swoim i biec począł.

Zmęczony i zdyszany pojawił się przed marszałkiem.

— Jesteś? — zawołał marszałek.

— Do rozkazów, panie marszałku.

— Chwała Bogu! Jakże tam? Możliwe?

— Ciężko, ale możliwe.

— Lód trzeszczy?

— Ustawicznie. Są i pęknięcia i kry stojące.

— O armatach niema mowy.

— Najmniejszej być nie może.

— Konie?

— Ostrożnie prowadzone możeby przeszły, jeżeli przeskoczą złe miejsce przy prawym brzegu. Kto inny by nie przeprowadził, ale Polacy mogą spróbować.

— Wozy z rannymi?

— Zapadłyby się napewno, panie marszałku.

— Co tu zrobić! Co tu zrobić!—Ney załamał rękę. — Mamże ich pozostawić?! — wykrzyknął.

— Przeprowadzić ich na powózkach, panie marszałku, jestto skazać ich na śmierć w Dnieprze.

— Mój Boże! Nieszczęśliwi! A djabli nadali tę wojnę, Napoleona, Kutuzowa, śnieg, lód i wszystko razem! Oszaleć przyjdzie! Jakże ja mam tu ludzi ranionych opuszczać! Niech piorun trzaśnie we wszystkie za... „combinaison politiques“! Bodaż ziemia pochłoneła małżeństwa austriackie, systemy kontynentalne i siedzenia w Moskwie!

Marszałek klął, jak tylko on to umiał, ale cicho. Nie chciał trwogi rozsiać dookoła.

— No, niema co — rzekł — idziemy. Podobnoś tu, rotmistrzu, żonę zostawił?

Zarembie uczyniło się gorąco.

— Tak jest, panie marszałku—odpowiedział, chcąc usunąć wszelkie przypuszczenia.

— Idźże do niej, pokaż się, żeś zdrów i cały, i ruszajcie za drugimi.

Zaremba salutował, poczem udał się do Teresy.

Spała jeszcze.

Pochylił się i ujął ją za rękę.

Ocknęła się łatwo.

— Co? — zapytała

— Idziemy? Dokąd?

— Na prawy brzeg Dniepru.

— Aha! Prawda! Już?

— Tak.

Teresa zerwała się.

— Spałam. Musiałam długo spać. A coś waćpan robił przez ten czas, panie rotmistrzu?

— Ja? Nic. Byłem na tamtej stronie.

— Na prawym brzegu Dniepru? Jakto? Nie rozumiem.

— Poszedłem spróbować drogi.

— No i?

— Zobaczysz pani.

Marszałek rozkazał przedsięwziąć marsz.

Rzuciła się naprzód gromadka ludzi, lecz gdy zaraz przy brzegu łód pod nimi jął trzeszczeć i pękać i woda jęła się wydobywać, poleciał przechodzić Dniepr po jednym.

Rozpoczęła się defilada.

Defilada rozpaczna. Z olodzonego wzgóрка, stanowiącego miejsce wyjścia na drugą stronę, zsuwano się, druzgocąc łód lub łamiąc sobie członki. Raz wraz przerywał ciszę krzyk przeżenienia lub jęk. Byli i tacy, co się załamywali na luźnych krach i tonęli bez ratunku. Wśród wycia, od którego krew się ścinała w żyłach.

Kobiety szalały. Szło im o dzieci, o zapasy, które wiozły, o kosztowności i wartościowe rzeczy, które pobrały z sobą. Płakały, zawodziły, chwytaly tę samą rzecz po dziesięćkroć i odrzucały i padały w końcu bezwładne obok wózków.

Zaremba stojąc obok Mirskiej, usłyszał rozkaz Neya:

— Kawalerzyści z koni! Prowadzić! Armaty i bagaże zostawić!

Na wózkach, na których wieziono rannych, słyszał Zaremba rozmowy.

Jakiś oficer mówił:

— Mądrze robi marszałek, że babom każe

z wózków precz, działa i kawaleryjskie konie zostawia. Jest to wszystko robione z myślą o nas, aby lodu zbytnio nie nateżać i nie osłabiać. A nas tam już jakoś przeciągną i konie przy naszych wózkach przeprowadzą.

— Aż przyjemnie słyszeć, jak się te głupie baby drą. Pah! Tam znowu ktoś tonie — powiedział drugi.

— To nieostrożni tylko. Kto idzie ostrożnie, ten przejdzie.

— Niema obawy — rzekł trzeci. — Znam marszałka. Sam przypilnuje naszego przejazdu.

— To złoty człowiek!

— Djamentowy!

— Pierwszy marszałek Francji!

— Kogo tym się najbardziej bał, to Bessieres'a. To twardy człowiek strasznie i ten niewiele by się na nas oglądał.

— Dlaczegoż my tu jeszcze стоимy?

— Przewiozą nas na końcu. Tak, jak jedziemy w marszu.

Mirska dygotała, słysząc krzyki tonących. Zdawało się, że ją siły opuszczają. Staniała się, że ją Zarembo podtrzymywać musiał, a usta jej szeptały z gorączkową trwogą: Boże! Boże!

— Czy to już w żaden sposób niema innej drogi? — spytała Zaremby.

— W żaden sposób.

— Kule koło mnie upadały, ale zapaść się tam...

Odwlekała przejście, choć Zarembo tłumaczył jej, że im później pójdą, tem lód więcej nadwerężony będzie. Wreszcie ujął ją lekko za ramiona i ozwał się cicho, ale stanowczo:

— Ruszajmy, mościa pani. Ostatnia chwila. Raz już przechodziłem i wracałem, drogę znam, ufaj mi pani, pierwaj po tyśiąć razy sam zginę, niżbym ci się dał utopić. Z Bogiem i naprzód!

Zaremba drżał na myśl o krach spēkanych.

Teresa szła przed nim, jak dziecko, które się boi. Odwracała ku niemu głowę i pytała: czy tu? czy tędy? czy dobrze? On dzierżył ją obu rękami za ramiona, czując jej ukochaną postać w dłoniach i głębię czarną, przepastną pod stopą. Teresa posuwała się za żołnierzem bez broni, który ją poprzedził o jakie sześć kroków. Na lód powydobywała się już woda, tak, że miejscami po kostki brnęli. Wtem straszny krzyk rozdarł powietrze. Żołnierz idący przodem zapadł się do pasa, uderzył rękoma w lód i z okropnym nie-ludzkim rykiem zniknął.

Zaremba poznał. Pierwszą luźną krę minęli już; żołnierz zapadł się tam, gdzie on wracając upadł.

Zmartwiał.

Teresa zatrzymała się.

— Nie pójdę — rzekła — boję się...

Głos miała półprzytomny z lęku.

— Trzeba — powiedział Zaremba.

Nie pójdę! Za nic! za nic!

— Trzeba. Koniecznie.

— Za nic! Za nic!

— Proszę!

— W wodzie śmierć! Okropność!...

— Idą za nami. Musimy iść. Zaklinam!

Stała. Więc Zaremba podjął ją na ręce i postąpił.

Odrazu uczuł, iż mu woda wyżej kostek wybryznęła.

Wola Boska — myślał. — Jeżeli tonąć zacznę, to rzucę ją na lód. Leżąc nie zapadnie i ktoś ją uratuje i zaprowadzi dalej.

Nie widział teraz pod nogami. Skręcił się nieco bokiem — rýsa była przed nim.

Uczynił olbrzymi krok, aby sięgnąć środka płyty lodowej.

Sięgnął.

Lecz teraz było gorzej. Z płyty na płytę. Zaciął zęby, sparł się cały w siebie i kroczył. I teraz dosięgnął punktu, tak, że nie wyruszył z równowagi płyty.

No już! — westchnął. — Chwała Bogu! Teraz tylko na stały lód. Tumi się poślizgnął...

Zimno go przeniknęło.

Wyteżył nogi, poślizgnął się, ukląkł prawem kolanem na lodzie, lewą nogą przeważył krę i zapadł od razu z udem w czeluść podwodną.

Pchnął Teresę z ramion, która z krzykiem: Jezus Marja! zsunęła się na powierzchnię stałego lodu.

Zaremba wleciał w głąb po ramiona.

Tonę — przeniknęło mu przez głowę. Nogi podniósł mu prąd do góry i odrazu pod lód parł.

Wtem obie ręce Teresy raptownie ujęły go za prawą rękę.

— Puść pani! — wysapał. — Bo wciągnę!

— Niel

Za nim zawołał głos męski po francusku:

— Prędeż tam! Utop się albo wyleż, ale nie zawalaj drogii

I drugi głos francuski, przywykły do komendy:

Prędszej! Bo ci pomożemy z pistoletu!

— Puść! — stęknął Zaremba. — Zabiją cię!

— Nie!

Natężył ostatek sił, wsparł się na lewej ręce i wychynął do pół.

— Uratowany! — szepnęła z dyszącej piersi Teresa.

Zaremba podbił się z wody i wydostał na lód. Nie doszli, ale dobiegli na drugi brzeg. Tam wypchnął Teresę sobą na olodzony brzeg, a gdy stanęli na śniegu, Teresa podniosła rękę ku sercu i straciła przytomność z wysilenia.

Tymczasem na lewym brzegu Dniepru, gdzie marszałek nie ruszał się ze stanowiska i pilnował porządku przechodzenia, zwrócił się doń z wózka ranny oficer:

— No, panie marszałku, teraz na nas kolej. Ney nie odpowiedział.

— Na nas kolej teraz, prawda? — powtórzył raniony.

Ney podniósł głowę, zachylił dłonią oczy i odpowiedział głucho:

— Ja was przewieźć nie mogę... Potonęlibyście...

Narazie zapanowało milczenie, jakby wszyscy w grób zapadli. Poczem podniósł się nie krzyk, ale podniosła się wrzawa tak okropna, tak szalona od ryku, jakiej, przebywszy tyle bitew, marszałek Ney nie słyszał jeszcze.

Nieszczęśliwi, z amputowanemi członkami lub z ogromnemi ranami, które ich sił pozbawiły, poczęli jęcząc i płacząc ręce wyciągać do ostatnich odchodzących żołnierzy i maruderów i błagać,

by ich nie opuszczali, nie zostawiali na pastwę losu.

Pomrzemy z głodu! Pomarzniemy! Śniegi nas zasypią! Kozacy nas pomordują! — krzyczeli.

Najtwardsi, a twardym stawał się w tym odwrocie każdy z odchodzących, uszy zasłaniali rękoma, by nie słyszeć.

— Zmiłuj się! Zmiłuj się nad nami, marszałku! — szlochano z wozów.

Straszne, okaleczone postacie poczęły się wydobywać z nich; do stóp Ney'a potoczył się ranny z amputowaną nogą. Widowisko stało się nad ludzkie nerwy. Ney skinął ręką i zawołał:

— Wieście ich!

Poczem sam, ostatni ze zdrowych, ruszył przed nimi na lód.

Szedł szybko, bez namysłu, wstrząśnięty do głębi duszy. Dotarł do brzegu i wdrapał się na wzgórek.

Wtem usłyszał za sobą trzask lodu i wrzask. Lód nie utrzymał. Wózki z rannymi, które wjechały na powierzchnię zamarzniętą Dniepru, poczęły zapadać się w toń. Zdawało się, że na środku rzeki w ciemnościach piekło wyrzuca potępieńców. Zahartowanym żołnierzom na brzegu łkanie jęło rwać i podnosić piersi. Dniepr wył. Przeraźliwie, przeciągle okropnie. Wrzask przeszedł w jęk, jęk w sapanie, charkot, skrzek. I ucichło.

Ucichło dokoła. Ci, którzy stali na brzegu, zdawali się nie oddychać. Zaremba, choć rękę na sercu Teresy trzymał, czy bić nie ustaje, dziękował Bogu, że nie słyszała ani tej wrzawy, ani nie słyszy tego milczenia.

Marszałek Ney stał wsparty na szpadzie, którą dobył, by prowadzić swoich, znieruchomiony.

Nagle rzucił się naprzód, w dół, ku rzece.

Spojrzano za nim.

Czołgał się po lodzie człowiek, pełzał, na kolanach i rękach. Jeden z rannych. Marszałek nie dbając na własne niebezpieczeństwo skoczył na lód i nieszczęsnego doniósł prawie do brzegu.

Nie odsapnąwszy niemal, dał komendę i odprowadził ludzi od strasznej rzeki, z której lewego brzegu dobiegały wyrzekania i wykrzyki pozostałych.

Na płaszczyźnie między pagórkami zatrzymał się i odbył przegląd: z sześciu tysięcy trzystu żołnierzy i siedmiu tysięcy ludzi cywilnych i maruderów, na prawym brzegu Dniepru stanęło wojska trzy tysiące, innych cztery. Przeszło sześć tysięcy ludzi zginęło lub zapodziało się w śniegach. Marszałek dał rozkaz marszu i ruszono wzdłuż rzeki.

Teresa ocknęła się z długiego omdlenia, ale tak bez sił, że Zaremba najął dwu maruderów, płacąc każdemu dwa dukaty naprzód, a po dwa obiecując potem, aby ją nieśli na płachcie. Sam z szablą obnażoną trzymał straż obok.

Jednak w jakieś pół godziny przyszła o tyle do siebie, że zażądała, aby ją puszczono, i iść poczęła, prowadzona przez Zarembę.

Mrok rzedniał nad ranem, gdy jeden z żołnierzy krzyknął, że znać drogę.

Radość zapanowała powszechna, gdyż maszerowano bezdrożem. Lecz tu ujrzano ślady armat, kopyt i licznych stóp.

Uszli przed jedną armją rosyjską, aby napotkać drugą.

Żołnierze zatrzymali się. Ale Ney pchnął ich naprzód bez zwłoki.

Napotkali wieś ludną, pełną żywności, odzieży, ciepłych izb i sotnię śpiących kozaków, których pojmano.

Potem napadł ich Płatow z sześciu tysiącami.

Przez dwie doby dwadzieścia mil walczone, to zbliżając się ku Dniedrowi, to zmuszeni oddalać się odeń, od lasu do lasu, od wzgórka do wzgórka, bez wytchnienia, to odpierając ataki, to nawet sami przechodząc do ataku. Załemba, by nie być wypchniętym między maruderów, chwycił karabin i patronasz zabitego piechura i strzelał, mając Teresę przy sobie.

Już tylko tysiąc pięćset zbrojnych wiódł, sam z karabinem w ręku walcząc, jak prosty żołnierz, marszałek Ney do Orszy, gdzie spodziewał się spotkać cesarza.



Cesarz szedł piechotą z laską z ręku. Przed nim i w koło niego w pewnem oddaleniu szli z szablami dobytymi strzelcy konni eskorty, którzy wraz z nim zsiadali z koni, za nim sztab, poprzód z boków i z tyłu szeregi lub kłęby armji, jego Wielkiej Armji... Po za nią...

Myśl Napoleona zwracała się ustawicznie poza ostatki wojsk i ustawicznie odganiał on ją, jak straszną, poczwarną muchę, która mu na oczach siadała. Tam wlokły się wozy z kobietami, z dziećmi, z rannymi, a za nimi kozacy... Tam

był głód, strach, rozpacz, cierpienie — — tam była śmierć i męki okropne, nieubłagane, przekłete.

Jakże paliło go, piekło ogniem żywym to futro sobolowe ciemnozielonym aksamitem kryte, z szamerunkami, które miał na sobie! Był to niegdyś dar cara Aleksandra, z którego państwa, będąc zwycięzcą, w ostatniej nędzy pod grozą niewoli i wojsk swoich zwycięskich i swej własnej osoby uciekał.

Miał ochotę zerwać futro z siebie, rzucić w śnieg, zdeptać, zakopać własnymi butami, od ostróg podarte na strzępy!

Na sobolim kołpaku ciemnozielonym aksamitem krytym, na kapturze nawdzianym nań, który aż po usta sięgał, na futrze i rękawicach szron się szklił. Śnieg ustał padać, a słońce zachodziło czerwono, jakby z błękitu przejrzało jezioro krwi.

Słońce powoli staczało się z widnokregu.

Cesarz szedł szybko, przesuwając się wzdłuż szeregów wojska, wymijał je.

Począł się wydostawać na czoło bliskich kolumn, stąpających w milczeniu na lewo i prawo, oddalił się od sztabu i szedł w towarzystwie tylko adjutantów, generała hrabiego de Narbonne i młodego Turenne'a.

Przed nim ukazały się zarośla.

Gaje olszynowe, obmarzłe, przejrzyste, bezlistne i nieruchome, wśród których szafirowy od zachodu słonecznego śnieg stawał się ponsowszarym.

Kładli tam wołyżerzy francuscy ogień: może piekli koninę.

— De Narbonne — ozwał się cesarz — tam ogień.

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Pójdźmy się ogrzać.

De Narbonne spojrzał nań z zakłopotaniem.

— No, cóż tak patrzysz?

— Najjaśniejszy panie, warto by się przekonać, co to za ludzie? — odpowiedział generał.

— Widzisz przecie, że wołtyżerzy francuscy. Począł szybko iść ku ognisku.

Wołtyżerzy tyłem byli do niego zwrócenii, nie widzieli go; paru siedziało w kucki nad ogniem, grzejąc ręce, inni stali pochyleni z wyciągniętymi ku płomieniowi między głowy towarzyszy rękami. Było ich siedmiu. Tworzyli ciasny półkrąg koło ogniska, rozpalonego pod gąszczem.

— He tam — ozwał się cesarz, klepiąc jednego ze stojących po ramieniu — zróbcie miejsce, przyjaciele.

Żołnierz odwrócił twarz; poznał cesarza.

Nie rzekł słowa i nie uczynił żadnego ruchu.

— Puśćże, czy nie poznajesz cesarza?! — zawołał żywo młody hrabia de Turenne.

— Mały kapral — rzekł żołnierz nie usuwając się.

— Zbój! — mruknął jeden z wołtyżerów, siedzących w kuczki przy ziemi.

— Wydzieracz dzieci matkom francuskim! — mruknął drugi.

— Po co się pchałeś do Moskwy?! — ozwał się głośno inny. — Dla swojej pychy, dla jakiejś wojny polskiej wytraciłeś pół Francji!

— To się zemści! — rzekł czwarty wołtyżer. — Zobaczysz cesarzu! Jeszcze i tobie przyjdzie na koniec!

Napoleon cofnął się. Oczy miał przerażone. Bez słowa oddalił się, szybko, gwałtownie. Jego laska grzęzła w śniegu, odpychał się nią, uchodził; wszedł na drogę wśród gajów, przeciętą w równą linię.

Słońce stoczyło się, krawędzią tylko półkola jaśniejąc nad płaszczyzną śniegów.

Adjutanci pospieszali za cesarzem, nie śmiejąc spojrzeć na siebie.

Napoleon zaś nie zwracał głowy, darł się przez śniegi, naprzód, naprzód, jakby chciał uciec jaknajdalej od tego miejsca.

— On padnie! — szepnął przerażonym głosem Turenne.

Wtem znowu zamajaczyło ognisko.

Płónięto ono w głębi olszyn, opodal.

Bonaparte stanął.

Popatrzył na adjutantów i roześmiał się:

— Tamci byli w złym humorze, pocziwcy; ci może będą w lepszym.

— Pozwól, najjaśniejszy panie — ozwał się de Narbonne — niech jeden z nas pójdzie się o tem przekonać.

— Ah! Ah!

Ale młody Turenne już brnął w stronę ognia! Cesarz stanął.

— Niech się dowie — tłumaczył hrabia de Narbonne — może mają co do zjedzenia; inaczej nie warto się fatygować...

— Łakomczuchy! Tamci. Bali się, że im zabierzemy tę końską poledwicę, którą piekli.

— Byli pijani, bardzo pijani.

— Uczułem od nich wódkę na dziesięć kroków.

— Musieli gdzieś znaleźć baryłkę.

— Niech piją, byle tylko karabinów nie rzucali!

— Ci mieli swoje.

— I niech rąk nie odmrożą. Za pół roku będę ich potrzebował. Udobruchają się do tego czasu.

De Narbonne milczał.

— Za pół roku, gdy będziemy tędy znowu maszerowali — — —

Tymczasem hrabia Turenne zbliżył się do biwakujących żołnierzy; byli to pomieszani kawalerzyści bez koni z piechurami. Francuzi.

— Hej, kto tam? — zwrócił się jeden do Turenne'a.

— Adjutant cesarski—odpowiedział Turenne.

— Czego?

— Macie co zjeść?

— Mamy. Kopyta końskie i rogi wołowe.

— Albo co? Głodnyś pan — odezwał się kirasjer podmiejskim paryskim akcentem.

Turenne zrozumiał, że jego osoba nie została tu mile powitana, a stopień oficerski i tytuł adjutanta cesarza nie wiele znaczy.

— Głodny nie jestem — powiedział — chciałem tylko zobaczyć, czy macie dość duży ogień, aby się przy nim można było zagrzać.

— Któż to taki by się grzał?

— Cesarz.

— Cesarz?! — zawołał jeden z żołnierzy. — Niech się tylko zbliży!

Kirasjer powstał ze śniegu i wyprostował się na całą długość.

— Powiedz pan cesarzowi—rzekł groźnie—aby się nie zbliżał, bo za nic nie ręczymy! Za wieleśmy wycierpieli i za wiele męki nas czeka, nim powrócimy do ojczyzny naszej.

Wyciągnął rękę.

— Precz! Precz! — zawołali żołnierze. — Morowa zaraza tyle ludzi nie wygubiła, co cesarz! Precz! Precz!

— Precz!!

Turenne odwrócił się i szedł ku Napoleonowi.

— No? Mają tam co zjeść? — zapytał Napoleon, okrążając kwestję.

— Najjaśniejszy panie—odpowiedział młody de Turenne — tam nie można iść.

— Dlaczego?!

— Ci ludzie są szaleni.

— Poszaleli z zimna, czy co?!

— Szaleni są, najjaśniejszy panie.

Turenne rzucił spojrzenie na hrabiego de Narbonne. Cesarz pochwycił to spojrzenie. Chwilę milczał, potem rzekł głuchym głosem:

— Mów wyraźnie — nie chcą mnie puścić do ognia? Jak tamci?

Turenne milczał.

— Rozkazuję ci! Powiedz!

— Najjaśniejszy panie—wybuchnął Turenne—oni grożą —

— Grożą?! Komu? Tobie grozili?

— Nie.

— Więc komu u diabła?! Mnie?!

— Tak jest, najjaśniejszy panie. Odgrażali się.

— Mnie?! Moi żołnierze?!

Napoleon umilkł; widać zbyt wstrząsnęło go, co meldował Turenne.

— Powiedz — odezwał się po chwili — co gadali? Czem grozili?

— Oni są pijani...

W oczach Bonapartego przeleciał blask; widać chciał się uśmiechnąć. Ale usta jego skrzywił tylko bolesny grymas.

— Ah! I ci są także pijani!

Nie mógł zapanować nad sobą.

Wbił łaskę w śnieg, oparł się na gałce obu rękami i stał. O kilkanaście kroków zatrzymali się szaserzy eskorty z obnażonemi szabiami, którzy doszli właśnie.

Bonaparte spojrział na szaserów, wznosił rękę i zamamrotał w kaptur, wskazując ogień:

— Tych tam...

Nie dokończył, mówił tak cicho, że go nikt nie usłyszał; nie powtórzył, co miał na myśli.

— Naprzód! — zawołał nagle. — Już zmrok! Musimy dojść na noc na jakąś kwaterę. Czy nie widać tam gdzie jakiej wsi? Domów? Naprzód! Ruszył.

— Najjaśniejszy panie — rzekł de Narbonne — można by kazać ogień skrzesać.

— Wszyscy się przy nim nie ogrzeją — odparł cesarz wskazując i szeregi swojej armji.

I — dodał po chwili — nie chcę blisko tych, tam...

* * *

Dać rozkaz do odwrotu, to znaczy uznać się zwyciężonym... Pierwszy krok w tył może być początkiem odwrócenia się fortuny...

Co było ustawiczną jego myślą w Moskwie, a nawet w Witebsku już i Smoleńsku, to stało się.

Wśród rozciągniętych na śniegu lub zagrzebanych pod śniegami trupów, wśród konających i daremnie jęczących o ratunek rannych, wśród wozów i armat pozostawionych po drodze, pomiędzy dyszle i koła sterczące z zasp, pozostawiając chorych na pastwę mrozu i kozaków, wśród padłych koni, które stanowiły główny środek pożywienia, w rozprężeniu armji, ze szczątkami jej prawie, musząc się własnych ubóstwiających go niegdyś obawiać żołnierzy, ścigany i osaczony przez wroga, dał się już oto blisko miesiąc ku Francji — nie pobity — — w rozsypce...

Wszystko stanęło przeciw.

Rozpoczęły się dzieła rzeczy niesłychane.

Wodzowie, których on sam stworzył z niczego, wodzowie, którzy byli dotąd tylko ślepe narzędziem wykonującym jego wolę, którzy nie rozumieli dotąd nic poza jego rozkazem, nie obrażali sobie nic poza nim: poczęli oponować.

Oni to wytrącili mu z ręki zwycięstwo, które mogło go było uwolnić od pościgu Kutuzowa, które wyjście jego z Moskwy mogło zamienić w spokojny pochód zwycięzcy, co, ukarawszy pychę nieprzyjaciela, powraca do ojczyzny, które byłoby mu zapłaciło za upokorzenie listu z Moskwy i poselstwa Lauristona.

Oni to pod Małojarosławcem, kiedy rzutem genjuszu ubiec chciał Kutuzowa do Kaługi i zająć jego podstawę operacyjną, gdy Kutuzow pędził na łeb na szyję, aby punkt ten dla siebie ocalić, po krwawych utarczkach 24-go października obawiali się decydującej walki dnia następnego.

Tłumaczyli się, że trzeba będzie pozostawić dziesiątki tysięcy rannych na łup wszystkich cierpień, jakie ich czekać będą — — naprawdę stracili wiarę w nieomylność jego genjuszu, w niezawodność jego gwiazdy.

Bessières wypowiedział pierwszy ów wyraz: odwrót — a on przyjął go milcząc.

Po niesłychanem łamaniu się z sobą on powtórzył go—cofnął się przed Kutuzowem na północ, a wydając rozkaz odwrotu, utracił przytomność. Pamiętną mu do śmierci zostanie narada wojenna w Gorodnie.

I, o ironjo!

Podczas kiedy on w nocy rozpoczął marsz odwrotu na północ, unikając bitwy stanowczej, niechybnego zwycięstwa, w tymże czasie Kutuzow, lękając się również tej walki, obawiając się ryzyka z pierwszym wodzem świata, którego genjusz przewyższał wszelkie rachuby, cofnął się na południe. Armje rozskoczyły się, rosyjska, aby nie być startą i zmiażdżoną, francuska, aby przez nie startą i nie zmiażdżoną armję rosyjską być ściganą i tępiącą do gruntu.

Powracał tedy Napoleon z Moskwy tą samą drogą, którą przyszedł — — spotykając po drodze rannych, pozostawionych za sobą w pochodzie naprzód...

Mróz, głód, klęski, bój ustawiczny towarzyszyły mu. Gdy wstępował do Smoleńska po krwawym boju pod Wiazmą, więcej niż połowa Wielkiej Armji i 200 armat pozostało już poza nim na śniegach Rosji. Gdyby walczano nie na kule i bagnety, ale na zęby własne pod Małoja-

roślawnym 25-go października, nie byłoby takich strat, a armja Kutuzowa byłaby pobita...

Obecnie Kutuzow siedzi na karku Wielkiej Armji, od południa zaś i północy ciągną Czyczagow i Wittgenstein, aby utworzyć pierścień żelazny i zdusić zdobywców carskiej stolicy...

Huk Kremlu wysadzonego prochami, przez opuszczającego Moskwę Mortiera wydał się jak śmiech czartów z piekła wyzierających.

I jak śmiech czarci zaświszczała w powietrzu wieść przywieziona z Paryża.

Nikt więcej, tylko zwykły generał, niejaki Mallet na pierwszą wieść przybyłą do Paryża o katastrofie, wywołał bunt przeciw władzy cesarskiej. Trwało to jeden dzień, uwięziono go — lecz głowa taka się znalazła, lecz Mallet znalazł współpiskowców, lecz to było możliwe, stało się...

Więc praca lat kilkunastu, nadludzka mądrość, nadludzka wola, nadludzkie dzieło mogły być zaatakowane przez pierwszego lepszego człowieka?...

Cesarstwo, owo od Karola Wielkiego, od tysiąca lat niebywałe imperium...

Mogłaż w czyjejkolwiek głowie powstać myśl miedzianego posągu o glinianych nogach?

Czyż, kiedy się patrzy na Alpy, przychodzi na myśl, iż skała wietrzeje, iż to, co wydaje się niespożyte, zczecnie?

Czyż, kiedy się patrzy na brzegi południowej Europy i północnej Afryki, myśli się, że tu był niegdyś ląd, który morze pochłoneło?

A z czemże innem, jak nie z Alpami, jak nie z częścią świata może być porównane cesarstwo Napoleońskie?

I znalazł się człowiek — —

Prawie że niemożliwe!...

Prostu dziwne...

Dziwne, jak wszystko. Rewolucja zatem nie wygasła! Kogóż urodziła ta rewolucja?

Bonapartego. Któż stłumił ją? Bonaparte. Matka więc nie umarła, dyszy w podziemiu, czycha na syna — — okropne!...

Kampanja rosyjska miałażby być początkiem nowych katastrof politycznych?...

Gdy wróg ściga z tyłu, zachodzi drogę od frontu, jeszcze wieść, że tli się myśl zaatakowania cesarstwa?!

Zbyt wiele!...

Miałaby król Rzymu, którego wizerunek zasłonił, aby „nie patrzył zbyt wczesnie na pole bitwy“, być świadkiem rzeczy strasznych?...

Był czas — —

Któż drugi wśród spisków, maszyn piekielnych, zamachów, byłby potrafił w 1800-ym, lat temu dwanaście pracować z takim spokojem, z taką swobodą umysłu, z taką niewzruszoną energją, gdy świat cały, nauczysz się podziwiać genjusz wojenny generała Bonapartego, począł podziwiać genjusz polityczny, administracyjny, ekonomiczny, prawodawczy pierwszego konsula Francji? Miałaby teraz Bonaparte mniej odwagi, mniej hartu, mniej męstwa?

Szukał sam siebie, chciał się odnaleźć, chciał postawić się sam sobie przed oczyma. Wy dobywał ze siebie siły, by uczuć w piersiach ten sam wulkan, w głowie ten sam wichur, które czuł niegdyś. Nie jest przecie kim innym, jest tym samym człowiekiem!...

I wszystko usuwało się pod nogami. Smoleńsk został objedzony przez ciągnące przed główną armją korpusy, przez maruderów i dezertarów z pod znaków; było, które tam miało czekać, trzeba było przedwcześnie zabijać, gdyż słysząc zewsząd jęki rannych i czując woń trupów, jeść nie chciało i popadało w choroby z przerażenia. Urzędnicy intendentury marli wskutek okropnych warunków. Nie było spożyciu i wytchnienia w Smoleńsku, nim zaś z niego ruszono, nadbiegła wieść, iż marszałek Victor błędnym ruchem wypuścił z pomiędzy siebie i dywizji Gouvion Saint Cyr'a korpus Wittgensteina i że Wittgenstein zajął Witebsk.

Ni chwili czasu do stracenia, bo można było zostać odciętym od Litwy. Otwartą była droga na Mińsk, ale trzeba się było spieszyć.

Więc niewypoczęte, nieodżywione wojsko ruszać poczęło ze Smoleńska, drwiąc samo z zachowania pozorów „zwycięskiego powrotu“, które cesarz z pompą zachowywał — dla pozorów.

On jednak nie poddał się, choć nicość pozorów narzucanych sam widział.

Wydobył z siebie spokój umysłu, równowagę ducha i niewzruszone męstwo, które w dniach młodości z pogardą pozwalały mu patrzeć na spiski, zamachy i maszyny piekielne, jakimi otaczali go jakobini i rojaliści za konsulat w Paryżu. Wydobył, bo musiał. Musiał się wydawać większym, niż los — wojsku swemu, nieprzyjaciołom, Europie, sobie samemu.

Zresztą on paść nie może. Aleksander Wielki spalił swoje okręty, gdy wojsko, lękając się iść w głąb Azji, chciało powracać do ojczy-

zny; Cezar na wątlej łądzi ryzykował życie bez chmury na czole. Takich ludzi może zmóc śmierć, ale nie może zmóc los, którego są panami.

Ani Aleksander Wielki, ani Cezar nie znajdowali się w tak strasznem położeniu — wyżej więc od nich stanie, nad nich jeszcze się wzniesie i nad niem nawet panując.

Stał się zewnątrz spokojny i pewny.

Pobłażliwą litość okazał na popłoch, gdy wychodzącemu w kolei porządkowej 14-go listopada ze Smoleńska w dziewięć tysięcy ludzi, zagroziło okolenie ośmdziesięciu tysięcy Kutuzowa. Oto już generał Ożarowski z piechotą rosyjską obszedł go i stanął poza lewem jego skrzydłem.

— Rapp! Nie. Raquet ze swoją dywizją niech idzie przeciw! Ty zostań. Nie chcę, ażebyś tu zginął, ponieważ będę cię potrzebował na Gdańsk — wydał rozkaz.

Generał Rapp osłupiał. Sto ośmdziesiąt mil, dwie armje nieprzyjacielskie, zima i głód dzieliły od Gdańska — a zagłada wisiała nad karkiem.

Za gwardją cesarską wyjść miał ze Smoleńska Eugenjusz Beauharnais, wicekról Włoch, po nim marszałek Davout, na koniec 17-go listopada marszałek Ney z arjergardą.

Lecz gdy Bennigsen, Miłoradowicz, Galicyn, Stroganow, Kutuzow ze wszystkich stron zagrażali równie gwardji cesarskiej, jak oddziałom ciągnącym ze Smoleńska, niezmierna duma rozdeła piersi nowożytnego cezara. Z dobytą szpadą, nie szukając połączenia z poprzedzającym go wojskiem Victora i Oudinota, z korpusami Dąbrowskiego i Schwartzenberga, nie korzystając z nocnego mroku, który się posuwać i wymknąć

pozwał, zwrócił się ku północy ze swą garstką na odsiecz maszerującym za sobą. I wszedł w środek ośmdziesięciu tysięcy na czele sześciu tysięcy swojej gwardji, spokojny i pewny, aby „dość długo bywszy cesarzem, znów stać się wodzem!”

I nie zginął między Smoleńskiem a Krasnem. Jak obłok olbrzymi broniła go chwała Marenga, Ulmu, Egiptu, Austerlitz, Jeny, Frydlandu. Nie rozszarpano lwa, lękano się go jeszcze zanadto.

Z boleścią w sercu, po starciach i bojach, ruszył z Krasnego, gdy ostatnie komunikacje z Litwą zagrożone były odcięciem, doczekawszy się Eugenjusza Beauharnais i ocalonego Davouta, nie doczekawszy się Ney'a.

Przystawał, zatrzymywał się, szedł jeden z ostatnich piechotą, wahając się ustawicznie między chęcią mimo wszystko pospieszenia w poszukiwaniu Ney'a i koniecznością myśli o własnem ocaleniu.

W tej chwili Ney, którego, jak wogóle wszystkich koło siebie, uważał za narzędzie w rękę, przeznaczone do pomnażania jego sławy i chwały, wydawał mu się przyjacielem. Przytem wzięcie do niewoli tak znakomitego marszałka, jak Ney, byłoby triumfem dla Rosji, rozległoby się po Europie, byłoby dokumentem klęski, dowodem tego pogromu, który ukryć usiłował.

Widział od Smoleńska własnemi oczyma nędzę swoich żołnierzy. Znał całą bezowocność i śmieszność zachowywania pozorów, znał, że po złem, jakkolwiek byłoby niezmierne, może przyjść jeszcze gorsze — ale nie chciał, aby o tem wiedziano. Przytem trzeba było podtrzymywać ludzi,

którzy nie mieli co jeść, którym ze skostniałych, bezsiłnych rąk karabiny wypadały, którzy po nocnych wichrach pozostawiali na śniegach całe kompanje towarzyszy, na kości zategłych od mrozu. Więc wołał głośno: — Do Mińska! Tam znajdziemy zapasy, ciepłą odzież, amunicję, rezerwy, które pozwolą nam odpocząć! — i nie dawał po sobie poznać troski i niepokoju. Zresztą w Mińsku przygotowano środków żywności na sześć miesięcy dla stu tysięcy wojska.

Żołnierz dobywał ostatnich sił. Upadając już, podnosił się jeszcze ze śniegów. Wszak tylko do Mińska dowlec się trzeba... Kto zginął, to zginął, ale kto żyw, tego cesarz otoczy tam taką opieką, że o wszystkim, co przeżył, zapomni. Smoleńsk objadła i ogołociła z zapasów awangarda idąca armja marszałka Victora, do reszty wyszczepili chorzy i maruderzy, Witebsk zajął Wittgenstein, lecz Mińsk odplaci za Smoleńsk i za Witebsk. Ziemia to już swoja, litewska, magazyny ogromne. Rany przestawały boleć, odmrożone nogi i ręce parzyć do szaleństwa, wróg trwożyć — — gdyby nie myśl o zatraconym korpusie marszałka Ney'a, wesółoby się szło do Mińska. Cóż zresztą — wojna wojną. Każdy wiedział, że nie na rozkosze tu przybył, ale gdy zle i dobrem się przeplecie...

Wtem komiego ujrano oficera ułanów polskich. Parł się przez zasy ku cesarzowi. Niepokój mimowolny ogarnął żołnierzy, bo twarz oficera nic dobrego wieścić się nie zdawała.

Podjechał do cesarza i skoczył z konia.

— Co przywozisz? — zapytał cesarz.

— Najjaśniejszy panie, Mińsk zajęty — zameldował.

Cesarzowi słowo zostało odjęte. Patrzył niemo na oficera, jakby go nie rozumiał.

Trwało to krótką chwilę; opanował się, zasłonił heroizmem przed oczyma patrzących nań i rzekł zimno:

— Dobrze. Zatem nie pozostaje nam nic innego, tylko otworzyć sobie drogę bagnetami.

Ruina Wielkiej Armji między Witebsk a Mińsk wzięła dyrektywę ku Orszy.

* * *

Ze sianającą się z trudu i osłabienia Mirską został Zaremba sam. Iść nie mogła. Piekielny wichur się zrywał, mroźny lub zwilgłym śniegiem miecący i ludzi do ostatniej rozpacz doprowadzał. Padali i ginęli w nim, niezdolni się wlec. Kolumna marszałka Neya topniała w oczach.

Pozostali za wszystkimi. Noc zapadła. Las jakiś zaczernił im się przed oczyma pod lśnięciem światłem księżyca.

— Dojdźmy tam — rzekła Teresa — i schrońmy się przed wichrem...

Wicher ryczał wśród drzew lub szumiał, jak olbrzymi wodospad. Bezlistne konary gięły się ku ziemi w potwornych skrętach, co w nocy sprawiało wrażenie tak straszne, jakby stada furj w płachtach rozwianych goniły się z wyciem pomiędzy drzewami. Gdy ucichło na chwilę, z innej strony wśród lasu wylaływała nowa rzeka huraganu, prując się przezeń, jak wściekły odyniec przez krzewy tarniny. Czasem dwa przeciwne prądy zderzały się z sobą, a wówczas powstawał zamęt, rozgruch przeraźliwy, drzewa biły o siebie kona-

rami i koronami, stłaczały się i rozchylały gwałtownie, szalone.

Pod ogromny dąb schronili się Zaremba z Mirską u skraju lasu. Nad nimi po niebie przelatywały chmury z tak niezmierną szybkością, że oko ich prawie ścigać nie zdołało. Raz po raz odsłaniał się krąg księżyca wysoko, nadzwyczajnie iskrząco jasny, to mroczył się w pędzących od północnego zachodu obłokach. Przedziwne odkrywało się nad nim niebo, lśniąco szafirowe, cudownie czystego koloru, niby okno, które zawałaly sobą kłęby chmur, lub też ścigały się po niem rozpięzione obłoczki złote, brązowożółte, żółtoseledynowe, fioletowosrebrne, złościeszmaragdowe, tak spieszne i gwałtowne, jak wędrowne sokoły, gdy gnają jaskółki.

Przerażającą dzikością widniało niebo.

Wtem wichur wzmógł się. Runął, jak myśl szybko, smrek wielki, o płytko idących korzeniach, tak, jak żeby go ktoś ściął. Wpadł z krawędzi lasu na śnieg. Przed oczyma Zaremby i Mirskiej stanął jak dom wykrot spiętrzony, z czarnej mieszanej ze śniegiem ziemi wśród korzeni.

Wnet runął nieopodal zdało się jesion, czy klon, utamany z pnia, z trzaskiem, i na pnium zwieszony rozplół konary po śniegu.

— Czy aby nie zginiemy? — szepnęła Mirska z trwogą, tuląc się do dębu.

— Tego dębu żaden na świecie wichur nie wywali — odpowiedział Zaremba. — A gdyby drzewo które na nas padało, zatrzyma się w konarach.

— Nie widziałam podobnego wichru.

— Kiedyśmy przebywali z cesarzem Niemen,

wkraczając na Litwę, podobna burza szalała. Tylko, że to było w lipcu. Jednak do dziesięciu tysięcy koni straciliśmy.

— Czy nas wilki nie napadną?

— Mam szablę i pistolety, zresztą i one chyba w taki czas w gąszczach skulone siedzą.

Nagle wichur uniżył się. Podjął on masę śniegu z ziemi, śniegiem też bluznęły chmury i świat zginął w zamieci. Teresa odwróciła się twarzą do pnia dębu, by móc oddychać. Płaszczem swoim osłonił ją Zaremba.

— Zginiemy — szepnęła.

Byłby się Zaremba posunął z nią w las głębiej, gdzie śnieg rozbijał się o konary i drzewa, ale lękał się, że mogą tam zostać przywaleni, a powtórę i od dębu odstąpić było niepodobna. Nie było tak silnego człowieka, któryby się wichrowi oprzeć zdołał.

A jednak ktoś tam w lesie był, stanowczo był. Przez szum i ryk dolatywał z głębi do uszu Zaremby jęk ludzki. Ktoś tam rosyjskim językiem Boga wzywał. Ranny jakiś żołnierz rosyjski tam ginął.

Podnosiło to grozę tak, że Zarembę, choć tchórzem nie był, dreszcze przechodziły. Zakrywał głowę Teresy, aby nie dosłyszała. Niezbyt daleko ten wzywający zmiłowania Boskiego człowiek leżał.

Wichur wzmógł się do niebywalej mocy. Już i o olbrzymi dąb, który im służył za zastłonę i zaporę, lękać się Zaremba mimowoli począł. To, co się działo w powietrzu i koło nich, wydawało się czemś już niezwykłym, ale napadem

rozpętanych wściekłych potęg wszechświata na ziemię, aby ją zniszczyć. Drzewa kruszyły się poprostu, huragan przestał być ciałem lotnem. Masy jakieś druzgotały las i atakowały przesterzeń. I wszystko wobec wichru zdawało się być drobiazgiem, niczem.

Teresa osunęła się na kolana.

— Pani dobrodziejko nie trzeba — chciał ją podnieść Zaremba.

— Nie mogę ustać, sił nie mam — odpowiedziała z trudem.

Zaremba ukląkł obok na śniegu, aby ją płaszczem osłaniać. Poczem usiadł, wiał ją na kolana przed siebie, jak dziecko, i zatulił.

Nie sprzeciwiała się. Była już prawie nieprzytomna z wyczerpania. Zdawało się Zarembie nawet, że usypia pod płaszczem mimo huragana.

Czuł jej wychudzone ciało, ale nie jak ciało kobiety i to kobiety, którą kochał, tylko jak istoty nieszczęsnej. I tak przesiedział z nią do rana, a gdy wichur się uciszył, isć było trzeba.

Powstała.

Ale nieludzki trud pochodu, dnie wśród walk, noce straszne, głód, wyczerpały do ostatka jej siły.

Już nie szła, ale on włókł ją, po trupach szukając śladów korpusu marszałka Neya.

Szli pustką, las mając po lewej ręce, po prawej pole, wzgórk i znowu las na widnokręgu.

— Jeszcze godzin parę, a złączymy się z cesarzem, z Wielką Armją w Orszy — zaklinał Mirską — jeszcze odrobinę sił...

I podpierał ją i prowadził i nieść chciał, ale

sam wycieńczonym będąc udreka, głodem, fatygą, nocą okropną, nie zdołał; ramiona i nogi mu mdlały, piersi traciły powietrze.

Nagle Mirska zachwiała się i osunęła na śnieg ze słowami: nie mogę dalej...

Bładość śmiertelna powlekła jej twarz.

Było południe. Od wczoraj nie jedli.

Nie zachęcał jej już Zaremba; widział, że byłoby to urągowskiem. Ukląkł przy niej.

Leżała z głową opartą na rękę, ledwo cień swój własny, zmienormalnie powiększonemi oczyma, które niegdyś świat czarowały, błada, że biała prawie, ze zbieletemi ustami i błękitnemi żyłami na skroniach.

Wydawała się już półtrupem. Gdy opadły jej zmęczone powieki w dół, gdyby nie uchylone wargi, któremi chwytala powietrze, możnaby mniemać, że już nie żyje.

Oh! co za rozpacz!

Nigdzie nikogo, żywego ducha, on zaś sam się ledwo szabłą podtrzymywał, aby nie upaść tak samo, jak ona.

A zresztą gdyby i ktoś był? Bezprzykładna, piekielna klęska, widok cierpień ludzkich, który mógł o szaleństwo przyprowadzić oglądającego je i własne zabijające męki zatwardziły serca ludzkie jak kamień na niedolę cudzą. Nie zwracał nikt uwagi na jęki, błagania o pomoc i ratunek, zaklęcia i prośby, konwulsje męczarni i konania, które widział wczoraj, przedwczoraj, od tygodni całych, ciągle te same, ciągle podobne. Ludzie stali się jak ci bogacze, których cały majątek nie wystarczyłby na otarcie łez i zapobieżenie nędzy świata; zobojętnieli, ponieważ pomoc by nie

wydołali. Droga była moszczona konającymi i trupami; dziś ten, który przechodził obojętnie koło żebrzących o litość, wiedział, że jutro tak samo może koło niego przechodzić będą, że uratowany przezeń przebiję go nożem dla jednego kawałka chleba, dla jednego ziemniaka lub garści maki. Ludzie zezwierzęcili w klęsce.

Zaremba, gdy Mirska zdawała się zamierać, cucił ją, śnieg jej do ust podając. Co się z nim działo, sam sobie sprawy nie zdawał. Niebo i śniegi zdawały mu się wirować nad głową.

— Jeszcze, jeszcze — mówił — wstań, droga pani... ja pomogę... Boże!...

Przestała oddychać, powieki jej zapadły, umarła...

Lecz po chwili jakby spoczynku Mirska spojrzała nań i rzekła: Bóg ci zapłać, panie rotmistrzu, Bóg ci zapłać... Ja już nie pójdę dalej...

Nie mogę. Opiekowałeś się mną, jak matka. Bóg cię nagrodi. Pozostaw mnie śmierci i połącz się z tą resztą, która jeszcze jest wojskiem przy cesarzu.

Zaremba wzdrygnął się.

— Panie rotmistrzu — rzekła ona. — Odkupienia śmiertelnego grzechu cudzego dokonałam. Setki rannych uratowanych, zmęczone moje ciało świadectwem tego. Pozostaw mnie! Sił nie masz sam, by mnie ponieść, ja już iść dalej nie mogę. Pożegnaj mnie i rozstań się ze mną...

— Panie! — wykrzyknął Zaremba. — Ja ciebie opuścić?! Z tobą się rozstać?! Nigdy! Póki tchu ostatniego w piersi! Odpocznij, pani, pójdziemy — —

— Nie. Ja już nie mogę. Czuję bezwład w rękach i nogach, w całym ciele. Umrę.

Zaremba pochylił się i głową dotknął jej kolan.

— Pani! — jęknął.

— Nie rozpaczaj. Czemżem ja była dla ciebie? Litość twoja, dobroć i szlachetność kazały ci otoczyć mnie opieką. Obyć Bóg dobrą, kochaną żoną nagrodził. Oby starość twoją takie, jak ty sam, panie rotmistrzu, szlachetne i zacne dzieci otoczyły opieką. Bądź zdrow! Pozostaw mnie.

— Ależ pani! — zawołał Zaremba. — Czegoż to po mnie żądasz! Byłżebym człowiekiem?! Byłżebym żołnierzem?! Byłżebym mężczyzną?!

Wówczas Mirska wskazała palcem południe i rzekła:

— Tam twój obowiązek.

Cesarz żyje, dotrze do Francji, z wiosną na czele świeżego wojska powróci. On już wie, że wyprawie jego brakowało świętej, wielkiej idei przewodniej. On to zrozumiał i wie, z jakim hasłem rozpocząć ma drugą wojnę, aby zwyciężył. Tam jest twój obowiązek, panie rotmistrzu, przy cesarzu, przy jego żołnierzach i przy tej wierze mocnej, świętej, nieugiętej, którą ja mam w sercu. Pozostaw mnie. Ani jeden człowiek nie może ubywać z szeregu. Nie wolno!

Głos jej zabrzmiał silnie i dźwięcznie, ale jakby wysilił ją. Opadła głową na śnieg.

— Boże! — zakrzyknął Zaremba.

Ona zaś szeptać poczęła:

— Wszystko drobiazg człowieczy... Śmierć idzie ku mnie i przyjdzie... Wszystko nic... Lecz

śluchaj, panie rotmistrzu: jeśli spotkasz kiedy księcia Michała Ogińskiego, powiedz mu, że ta, która go kochała za życia szczęśliwa, kochała go także pomimo wszystko w godzinie śmierci... Zaremba pochylił głowę.

— Ty zaś, rotmistrzu, idź! Zgubisz się od swoich. Umrę z myślą, że walczyć będziesz. Idź i powiedz...

Ostatnich słów ledwie dosłyszał Zaremba.

Gdyby był co miał pod ręką! Ani kropli wódki, wina, nie, nie tylko śnieg i na nim, pod nim, w nim trupy, trupy, trupy, jak okiem sięgnąć...

Usiadł obok i ramię pod głowę zasypiającej podłożył.

Jeszcze mu się wydało, że mówi: bądź zdrow!... idź... za cesarzem... on powróci... wielki...

Oddech ustał. Głowa przewisała przez ramię Zaremby. Powieki powoli zapadły.

Zgiął się gwałtownie i położył ucho na sercu Teresy -- nie biło.

I jemu serce jakoby zatrzymało się w pierśsiach.

Bożel Bożel

Pierwszy, podły żal przeleciał przez serce ożywiające się Zaremby -- Gdyby jej przynajmniej powiedział, że ją kochał!...

Chciał ją ratować, trzeźwić, lecz sztywniała mu pod dotknięciem i ciepło ostatnie uciekło z ciała.

Zaremba obejrzał się.

Nigdzie nikogo, dyszel od zagrążnionej w śnieg armaty rosyjskiej sterczał mu nad głową

i stado kruków i wron nadciągało z chmurami od północy.

Krzyknął — — — serce go zniewoliło.

Głos zginął w śniegu.

Podźwignął Mirską — w tył się waliła, już do kłody podobna.

Nie wierzył w śmierć — to omdlenie!

Tarł ją i ucho do serca przykładął — — na próżno. Taka cisza była w piersiach Teresy, jak wokół na stepie.

Usta jej cudne, zimne, zastygłe, zdały się szeptać jeszcze: idź za cesarzem... on powróci, wielki!

Usiadł na śniegu i oparł czoło na rękach.

Nie myślał.

Runął w otchłań duchem całym. Cesarz, Napoleon Bonaparte, zwyciężony. Wielka Armja ucieka, Teresa umarła z nędzy i głodu... Ah!...

Gdy ocknął się było ciemno.

Popatrzał na Teresę — leżała nieruchoma.

Ale Zaremba już miał łód w piersiach.

Złożył jej ręce na piersiach, chciał przeżegnać — — a! Bóg jest zbyt bezlitosny!...

Twardy, zmartwiał w sobie powstał i ruszył, jak kazała.

Szedł przed siebie. Dobit się do jakiegoś zagasłego już nanieconego z chrustu ogniska. Ogryzł pozostawioną kość, końską, czy trupa, nie dbał, i zawalił się jak kłoda, snem zmożony, na popiół.

Gdy się obudził, płaszczyzna śniegowa naokoło pusta była, bez kresu, jak pierwej.

Zaremba widział, że już swoich nie dogoni, ani że sam, bez sił i chleba, dalej się nie po-

wlecze. Więc począł wracać, skąd przyszedł, do trupa Mirskiej.

Odnalazł własne ślady. Wspierając się na pałasz, włókł się po śniegu za nimi i straszny zobaczył widok.

Dwa psy szarpały ciało Teresy Mirskiej.

Jeden z brzucha jej wnętrzości czerwone wyżerał, drugi od nóg pysk podniósł i warcząc kły ku niemu pokazał.

Zaremba rzucił się naprzód z pałaszem.

Psy odskoczyły i usiadły opodal z pokrzwionemi, pyskami, warcząc.

Zaremba przypadł do Teresy.

Nie była zmarłą, gdy ją odstępował. Zadrżało w nim wszystko. Nie była zmarłą!

Oczy miała otwarte ze śmiertelnem w nich przerażeniem, ręce wzniesione od piersi, zeszywniałe, jak do obrony... Ranę na szyi...

Snadź ją pies, kły topiąc w jej ciele, z omdlenia lub letargu ocucił. Okropność!...

Zaremba zaryczał.

Wojska nie doścignie, ją, nieszczęsną opuścił... Na taką śmierć... Aby psy zagryzły...

Podniósł ręce do góry i ryczał w głuche, martwe, ołowiane niebo nad śniegami.

Potem upadł bez czucia i już miesiąc był wysoko, gdy się obudził.

Trupie pole śmierci.

W świetle księżycowem widniały ciemne kształty dwóch psów, które się widać zbliżyć nie śmiały zdecydować.

Zaremba dzwignął się. Krzyknął na psy i szablą ku nim machnął, ale się nie ruszyły. Coś strasznego! Dożreć chcą szczątki Teresy!..

Zaremba więc począł rozgarniać śnieg, gdy nagle psy podniosły pyski w górę, zaniepokoiły się i, zerwawszy się, poczęły uchodzić.

Z za pagórka wysuwał się orszak. Blask miesięczny lśnił na ostrzach spis.

— Kozacy — pomyślał Zaremba, ale mu to było wszystko jedno.

Zbliżali się powoli, gdy na czele ozwał się kobiecy głos:

— Co tam jest?

Snadź dostrzeżono go. Ruszyło kilku jeźdźców naprzód, podjechało ku Zarembie, poczem powróciło ku oddziałowi, który cały nadciągał.

Zaremba siedział przy poszarpanych zwłokach Teresy wsparty brodą na rękojeści szabli w śnieg białej i czekał.

Niezaługo ujrzał nad sobą amazonkę, za którą zatrzymali się strzelcy dworscy i kozacy; za nimi jechało parę furgonów.

— Kto? — zapytała kobieta po francusku.

— Pani — rzekł Zaremba, dla którego zjawisko kobiety z kozakami nie było czemś nadzwyczajnem, w tropy bowiem Wielkiej Armji, mordując zbłąkanych żołnierzy Napoleona, dążyły na czele band chłopskich, zbrojnych w topory i widły żelazne, Nadieżda Durowa, włościanka Wasilissa, Olga Zastrowówna i inne kobiety—jeżeli masz Boga w sercu, każ twoim ludziom, czykolwiek oni są, pomóc mi pogrzebać te szczątki nie w śniegu, ale w ziemi pod nią, bo psy odkopią i pożrą.

— Czyj to trup?

— Świętej.

Kobieta odwróciła się do najbliższego jeźdźca i rzekła po rosyjsku: szalony; — poczem pytała dalej:

— Do jakiej narodowości należała ta święta?

— Była Polką.

— Uszła z Moskwy, czy Smoleńska?

— Poszła dobrowolnie na wojnę z Wilna, aby pielęgnować rannych i chorych.

— A! Pogrzebiecie ją — zwróciła się pani do swoich.

Kilku kozaków zsiadło z koni, na jednym z furgonów były siekiery do rąbania drzewa na opał. Niemi rozgrzebali śnieg i wyrąbali dół w zmazłej ziemi. Ciało nie pozwolił dotknąć Zaremba, ale sam je wsunął na miejsce spoczynku, garstkę włosów szablą odcinawszy. Śniegiem przykryto grób.

— Bóg zapłać — rzekł Zaremba.

— Pan kto? — zapytała kobieta.

— Rotmistrz ułański, Polak.

— Skąd wzięliście się tutaj?

— Szliśmy z marszałkiem Neyem, dopóki nam sił starczyło.

— Każę panu dać pożywienia i jednego z koni luźnych. Jedź do swoich.

Zaremba zdumiał się.

— Jeżeli spotkasz się pan z cesarzem Napoleonem, powiedz mu, że księżna rosyjska pyta go, czy pamięta, kiedy radziła mu w Moskwie, aby uciekał, bo przysypie go śnieg?

Ruszyła dalej.

Zaremba machinalnie ujął konia podwiedzionego za cugle i patrzył za odjeżdżającym orszakiem. Poczem ze zwierzęcym głodem rzucił się

na prowiant, który mu pozostawiono na śniegu. Nie jadł, ale żarł, nie pił, ale lejąc w siebie wódkę. Zdawało się, jakby zapomniał o wszystkim. Potem, obwiązawszy cugle około rękojeści pałasza, który wbił przez śnieg w grunt, runął na miejsce pochowania Teresy i płakał. Przychodziła mu myśl odkopać ją, choćby paznogciami, aby ją jeszcze zobaczyć, ale myśl o jej okropnym wyglądzie napełniała go przerażeniem. Toż więc ma być obraz jej, w pamięci jego wyryty?!!..

Rany psiemimi kłami zadane?!!

I wszystko kozackimi rękoma pod śnieg pogrzebione?...

Otóż, na co go Opatrzność z Mińską zwiodła.

Otóż, na co było to potrzebne.

Otóż, na co poleciła się jego opiece na balu u Paca w Wilnie...

By przynajmniej przez psy rozwłócone jej kości nie były, by przynajmniej w ziemi ją pochowano...

Siadł obok grobu Teresy i objął kolana rękami.

Na to się urodzić komu...

Oto los!

Ukląkł i pacierze, jakie umiał, odmówił. Potem wstał i ku koniowi, co z głową zwieszoną przy pałaszu stał, poszedł.

Odwinął cugle z rękojeści i pałasz ze śniegu wyciągnął. Lecz jeszcze się wahał, jeszcze zdecydować się nie mógł. Wiodąc konia przystąpił jeszcze do grobu.

Oto tu wszystko jego leży!

Załamał rękę.

Po co iść? Po co odchodzić?

Lecz z pod śniegu zda się dobiegł go szept:
On powróci... wielki...

Rozkaz, marsz — rzekł do siebie. — Iść za cesarzem. Tak ona kazała, więc pójdę. Błogosławioną bądź... niezapominaną...

Wsunął szablę w pochwę, ujął cugle i, oparłszy znużone ręce na wysokie kule kozackiego siodła, z nogą w strzemieniu dźwignął się na siodło.

Poczem grób ręką przeżegnał i ruszył za tropem pochodu Ney'a.

Starcem się czuł.

*

*

*

Zaremba zgubił w nocy ślad marszałka. Znakomity biegun tatarski, na którym jechał teraz, po płytkim śniegu niósł go z wichrem w zawody. Zaremba pędził i myślał, że gdyby był miał takiego konia, byłby był może zdążył Teresę na nim gdzieś do ludzkich siedzib dowieźć, zanim w niej życie zamierać poczęło. Wiedział, że jeżeli nie zbłądzi, w jednym dniu wyprzedzić może Ney'a o trzy, albo o cztery dni jego pochodu.

Nigdzie też nie zastępowali mu drogi, ani nie ścigali go Rosjanie. Jechał drogami leśnymi, orjentując się żołnierskim instynktem w stronę, w której spodziewał się napotkać kolumny, marszerujące z cesarzem.

Przy siodle umocowane były porcje siana i woreczek z owsem na grzbiecie konia; koń, karmiony od czasu do czasu, nie tracił sił. Na-

deszło rano, gdy Zaremba usłyszał warczenie bębna.

Ściągnął cugle. Szłażby to piechota rosyjska, czy Francuzi?

Powoli podjeżdżać począł. Warczenie bębna nie posuwało się; dobosze stali w miejscu. Zaremba poznał rytm: to bębnili dobosze napoleońscy.

Ale dlaczego, gdy nie byli w marszu? Nie bębnili również do ataku, bo wystrzałów słyszeć nie było. Bębnili apel.

Zaremba poparł bieguna i wjechał między rzadkie modrzewie na pagórek i w jednym momencie wstrzymał konia.

Na krześle polowem na dole siedział cesarz. Grupą stali za nim marszałkowie i generałowie z królem Neapolu i wicekrólem Włoch na czele, gwardziści, kilkudziesięciu ludzi, ustawionych z jednego boku cesarza, prezentowało broń, po drugim jego boku bito w bębny.

Cesarz siedział na krześle przed wielkiem ogniskiem, nanieconem przed jego butami z drzew suchych, snadź z wnętrza zrąbanego domu, bo nie dymiły.

Widował go Zaremba bladym dziwną bladeścią, ale tak bladym nie widział go nigdy.

Nagle wystąpiło naprzód kilkunastu żołnierzy z orłami i sztandarami, których Zaremba w pierwszej chwili z pomiędzy modrzewi nie spostrzegł i ustawili się we front przed Napoleonem.

Cesarz odezwał się mocnym głosem:

— Znaki pułków, które już nie istnieją, zostaną spalone!

Wystąpił chorąży pułku piechoty linjowej francuskiej, pierwszy z lewego skrzydła, i, sprezentowawszy sztandar przed cesarzem, w płomień go pochylił.

Zaremba stał jak martwy.

Jeden po drugim, za kolejną, chorążowie prezentowali swe sztandary i orły przed cesarzem i w ogień je zniżali, trzymając drzewce zrazu, potem wpychając je w ognisko, które buchało czerwono na roztopłym śniegu.

Cesarz siedział bez ruchu.

Prawą dłoń założoną miał za futro na pierśsiach, lewą oparł na udzie. Sztab cesarski dłońmi przy kapeluszach i czakach salutował kładzione w ogień godła.

Nigdy jeszcze głos bębnow nie wydawał się Zerembie tak głuchym.

I on, ochłonawszy, podniósł palce do daszku od czaka.

Kolejno przystępowali grenadjerzy, fizyljery, wołyżery, ułani, huzarzy, strzelcy konni i piesi, kirasjerzy i karabiniery, dragony; czasem rodzaju broni domyśleć się tylko było można po strzępach i łachmanach mundurów. Wielu nogi miało pookręcane w szmaty, zamiast butów, niektórzy dziurawe, rozłazące się obuwie powiązane mieli sznurkami, byli i prawie bosi. Nędza. Francuzi, Niemcy, Włosi, Polacy, Hiszpanie, Holendrzy...

To był upadek.

Zaremba, który już łzy nad mogiłką Teresy Mirskiej wypłakał, widział, jak hrabia de Narbonne utrzymać się spokój silił, widział, jak wodzowie, tyle lat nic, prócz zwycięstw i chwały nie znający, łkanie tłumili i palcami łzy z lic ścierali,

widział, jak chorążowie szlochając rozkaz cesarski pełnili.

Cesarz zaś sam wydawał się jak zaumarły.

Zakamieniałość jakaś wyszła mu na twarz. Zaremba widział go dobrze. Oczy Napoleona patrzyły w ogień bez drgnienia powiek. Dumna, wyniosła dusza, która wzdęła się do nieznanej nikomu w historii wieków potęgi, o władnęła ciałem. Niebyło tu na nie miejsca. Duch cesarza rozszerzonemi, zmartwiałemi żrenicami patrzył w otchłań swego poniżenia.

I snadź umiał wytrzymać swą mękę, bo, póki ostatni chorąży nie spalił swego pułkowego znaku, cesarz nie poruszył się z miejsca.

Potem salutowali go chorążowie dłońmi podniesionemi do nakrycia głowy, które było rozmaite, od hełmów i kaszkietów do czapek żydowskich i popich, bębny zawarczały ostatnim rytmem — — było skończone.

Cesarz wstał z krzesła.

Zaremba zjechał z pagórka w prawo między żołnierzy. Zaledwie zbliżył się ku nim, dwoje przerażonych, osłupiałych z przerażenia oczu zastąpiło mu drogę. Poznał niemego ułana ze swego szwadronu, Michała Wartałowicza.

Wiedział o Wartałowiczu, że jest bohaterskiej odwagi, musiało więc palenie sztandarów tak straszny na nim uczynić efekt. Zaremba wzruszył ramionami i pojechał ku grupie oficerów.

Wartałowiczowi zaś kręciło się w głowie; szum ją nappełnił, a w tym szumie jakoby na trąbce ułańskiej dzwoniło:

...Już trębacze nasi grają,
 Bębny apel wybijają,
 srebrne orły się migają,
 szable w pochwach podzwaniają.....

.....
 A ja za to, gdy powrócę
 na Francyi pola żyzne,
 po tej w Samosjerze sztuce
 podaruję wam ojczyznę

— He, co? — ozwał się ułan Makuch, co na harmonji grywał. — Djabli wzięli, co?

— Jezusa Nazareńskiego, Pana mego, wzywam, bo jak mi ciotka Aniela, świętości była kobieta, przepowiedziała, gdzie trzaski rąbią, tam drwa lecą — ozwał się Antek Jamrozikowski.

— Cicho — rzekł wachmistrz Dybul — jeszcze cesarz Napolijon żyje. Jeszcze mu oni za to wszystko zapłacą. Czy nas to choć raz pobili? Gdzie? Pożar Moskwy nas pobił. Zima przedwczesna, rabunki magazynów, gdzie przyjdziemy. Słyszałem także, że Schwartzenberg tak, jakby zdradzał. Wittgensteina puścił. Ale jak wrócimy tu na wiosnę — hu! da im też cesarz wszystkim bobu! Co mię dziwi, że pana porucznika Kolskiego nigdzie nie widać?

— Melduję pokornie, panie wachmistrzu, pan porucznik Kolski wziął trzynastu ludzi i pojechał na rekonessans — rzekł Makuch.

— Dyć wiem, ale jużby miał wrócić. Wiadział który tych ułanów?

— Nie.

— Nie daj Panie Boże złego przypadku, zostaniemy bez oficerów. Pana rotmistrza Zaremby też nie widzę już od dni kilku.

Wartałowicz dał znak głową.

— Jest?

Wartałowicz potwierdził.

— Gdzie?

Wskazał ręką.

— Antek, psiajucho, ja po tobie miarkuję, że ty masz ochotę do maruderów przystać. Wiesz, co cesarz ogłosił? Że kto opuści szereg, jeżeli sierżant, to ją straci, jeżeli gimajny, kula w łeb! — rzekł wachmistrz.

— Owa! — zawołał z przestachem Antek Jamrozikowski. — To ani w ważnych okolicznościach oddalić się już nie będzie wolno?! Jeszcze cztery litery pana wachmistrza za krzakiem kto za głowę weźmie!!!...

— Subordynacja! — wrzasnął wachmistrz. — Milczeć, ty szelmo warszawska! Ja ci tu pokażę cztery litery!

— Melduję pokornie, panie wachmistrzu, znam także inne, może nie tak nadobne, które — bym chętnie zobaczył.

Niewiadomo, czyby Antkowi uszła na sucho poufałość, bo się Dybul nasrożył, lecz właśnie podjechał ku nim Zaremba.

— O la Boga! — zawołali ułani. — A pan rotmistrz co za ogiera ma pod sobą?! To koń! choć widno po nim drogę.

— Jeżeli nie macie chleba — rzekł Zaremba — to weźcie tę mąkę.

— Dziękujemy. Byle tylko był czas upiec. Ale czas był. Napoleon, spaliwszy sztan-

dary i orły, poszedł do dworku, w którym mieszkał, biorąc ze sobą tylko szefa sztabu, Bertier'a, i de Narbonn'a.

Na kominie palił się duży ogień.

— Przynieś tu moje paradne uniformy i kostjумы — rozkazał kamerdynerowi.

Gdy lokaje wnieśli kufer, cesarz począł wyjmować zeń własnymi rękoma sztukę po sztuce i rzucać w ogień.

Widział on okropny stan swoich żołnierzy i głośno wołał, że mu ten widok serce rozdziera, ale przedewszystkiem dbał o swoją ambicję. Łamała się w nim wiara w swoją gwiazdę, w niezwyciężoność, w niepodobieństwo po prostu tego faktu, aby dojść miało do zgubnych ostateczności, z jasnem zdawaniem sobie sprawy, że szczęście, towarzyszące mu dotąd, ugięło się, że ucieka ze zgruzgotanem wojskiem, że stać się mogą rzeczy najgorsze, najdalsze, dochodzące do katastrof stanowczych. Atak kozacki pod Małojarostawcem podczas rekonesansu, przed którym ocalała go eskorta polskich lansjerów z Kozietulskim i Hemplem na czele, a który mógł go przy mniejszej dzielności eskorty zagarnąć do niewoli, był przypadkiem, jakiemu podobne zdarzały mu się już pierwej. Nierównie łatwiej jeszcze podczas bitwy być zabitym lub ranionym. Ale to, co mogłoby się wydarzyć obecnie, byłoby czem innem, jak dostanie się do niewoli podczas rekonesansu, na czele stu tysięcy zbrojnego żołnierza. W tej chwili nawet mundur jego, chwycony przez Rosjan, stałby się triumfem, mógłby się stać pośmiewiskiem...

Na tę myśl krew mu uderzyła do dumnej głowy.

Aby od hańby takiej ocalić sztandary, popalić je kazał, i dlatego własnemi rękoma, kryjąc twarz w maskę obojętności, rzucał w ogień uniformy, które miały służyć na galę w Moskwie lub nawet w Petersburgu.

— Papiery?—zapytał kamerdyner, wyjmując z kufra zwój zapisanych arkuszy.

Cesarz spojrzał. Notaty do historii swego życia, historii swego panowania i swoich wojen, „*Komentarze*“ Cezara — — zapobieżenie nudzie półrocznego zimowiska w Witebsku, czy Smoleńsku.

Zaczął się śmiać.

— W ogień — rzekł — w ogień!

I rzucił.

Poczem zwrócił się do Berthier'a:

— Ilu mamy jeszcze pod bronią?

— Ośmnaście do dziewiętnastu tysięcy, najjaśniejszy panie.

— Z pół miliona... ile gwardji?

— Około sześciu tysięcy.

— Z trzydziestu pięciu... Wicekról?

— Tysiąc ośmset.

— Z czterdziestu dwóch... Niema co mówić, Rosja nas zjadła...

Wtem huknęły wystrzały.

— Cóż to?! Atak?! — wykrzyknął i, wysunąwszy szpadę z pochwy, wybiegł z domu.

Alarm okazał się mylnym. Już strach i trwoga stały się panami szczątków armji. Lada głos: kozacy! — wywoływał panikę w najmeźniejszych pułkach francuskich i cudzoziemskich, z wyjątkiem

jednych tylko Polaków. Rozprężenie, zdemoralizowanie ośwładnęło żołnierzy, zanikła karność, topniała ambicja.

Jedni, na których jeszcze, prócz Polaków, liczyć było można, to owe z trzydziestu pięciu tysięcy, pozostałe sześć tysięcy gwardji. Za wiele zwycięstw, za wiele pól chwały i triumfów, za wiele dobra przez cesarza osiągniętego łączyło ich z cesarzem. Ku nim więc postąpił Napoleon. Sprezentowali broń w milczeniu.

Gdyby ci się rozprzęgli — biada!

Ale Napoleon czuł się dla nich zawsze jeszcze półbogiem, bożyszczem, widział po nich, że nawet w nieszczęściu i wstydzie uroku swego nie stracił, że tu nawet błędy jego są traktowane jako krzywda, która ich cesarza spotkała; zatrzymał się więc przed najbliższym bataljonem, powiódł oczyma, których moc i czar znał, po smutnych, pożłobionych trudem, zsieczonych wichrem i spieczonych mrozami twarzach i odezwał się:

Grenadierzy! Cofamy się niepokonani przez wroga, nie pokonujmyż się sami! Dajmy wzór armji! Pomiedzy wami wielu już opuściło swoje orły, a nawet rzuciło broń! Aby poskromić to, nie zwrócę się do praw wojskowych, ale do was samych! Wydawajcie sami na siebie sąd! Karność waszych szeregów powierzam waszemu honorowi!

Poczem posunął się ku następny bataljon z temi samemi słowami i, rozkazawszy je powtórzyć całemu wojsku, powrócił do kwatery.

Berthier udał się między szeregi, de Narbonne zaś za cesarzem.

Napoleon począł chodzić po izbie, założywszy

ręce w tył, w zamyśleniu. Nagle zatrzymał się i powiedział:

— De Narbonne, wszak jeśli zapaśnik wychodzi z walki poraniony i pobity, ale ostatnim kułakiem w brzuchu obali przeciwnika choć na kolano, nie można go nazwać zwyciężonym, prawda? Otóż ja muszę wyjść z Rosji, z jej granic po zwycięstwie. Nie mogę wyjść inaczej. Wtedy będę mógł pójść śmiało do Paryża i tu powrócić, gdy zechcę... Zwyciężyliśmy, a pokonał nas klimat, któregośmy nie znali. Doświadczenie.

Gdy de Narbonne milczał, cesarz, popiwszy kawy, która ochłodziła od rana stała nad kominem, ciągnął:

— Nie chcesz powiedzieć, że kosztowało paręset tysięcy ludzi. Niestety tak. Lecz powiedz mi, czy dzieją się wielkie odkrycia bez ofiar? Przypatrz się choćby Polsce: przekonali się, że ich liberum veto, ich obieralny król, ich bezrząd, nieład doprowadził do upadku, że samoistne wysiłki szlacheckie, aby odzyskać wolność, są bezowocne — ich klęski dają im doświadczenie. Jeżeli cały naród z kilkusetletnią tradycją i bądź co bądź znakomitami chwilami przeszłości mógł stać się pastwą własnych błędów, to i ja mogłem się omylić. Lecz nie wierzę, aby gwiazda moja mnie opuściła. Cokolwiek kto powie o kampanji rosyjskiej, nie zostałem pokonany. Nie wątpię też, że wyjdę stąd jako zwycięzca. Być może, że mogłem być pod Borodinem zniweczyć armję Kutuzowa, wysyłając gwardję; tam byłem ja winien. Lecz pod Małojarostawcem byli winni moi generałowie, którzy nie chcieli bitwy. Otóż teraz, aby wszelkim ewentualnościom zapobiec.

każę spalić parki saperskie, pociągi pontonowe i wszystko, co służy do budowania mostów i pójdę na źródła Berezyny, przez Smoljany po brzuchu Wittgensteina do Wilna. Oudinot i Victor poprzedzają nas z dwudziestu pięciu tysiącami ludzi. Dojdę ich i zetnę z nimi Wittgensteina. Trzeba wysłać biuletyn do Paryża. Niechże mam zwycięstwo na końcu pióra. W każdej wojnie giną ludzie i to nie tylko od kul. W Alpach, w Egipcie, pod Eylau czyż nie padano z trudu, z zimna, od spiekoty, z głodu? Ta wyprawa była olbrzymia, więc i straty w ludziach musiały być odpowiednie. W Wilnie odpocznjemy, żołnierzy odkarmi się. Ci leje i uporządkuje. Kutuzow boi się mnie; oni wszyscy mnie się boją. Po klęsce Wittgensteina nikt kroku za mną nie ruszy po za Berezynę, a przez Niemcy maszerować będziemy do domu, jako zwycięzcy. Jedno mnie tylko dręczy, to los Ney'a. Ale cóż mogę uczynić? Gdybym go mógł odbić, jak mnie tu widzisz, raz jeszcze, jak pod Krasnem, na czele choćby tylko dzieśięciu tysięcy poszedłbym na ośmiedziesiąt tysięcy Kutuzowa do ataku. Ale Ney albo zginął, albo w niewoli. Nie mogę zaprzepaszczać siebie i armji dla niepewnego losu Ney'a... Słuchaj: pójdiesz do jenerała Eblégo i zaniesiesz mu mój rozkaz, aby spalił park inżynierski, pontony i wszystko.

De Narbonne zdumiał się.

— Pontony, sire? — zapytał.

— Tak. Już są niepotrzebne. Żeby tylko jeszcze tego Ney'a wydobyć!.. No idź, generale, powiedzieć Eblému.

— Podług rozkazu waszej cesarskiej mości.

Jeszcze partja nierozegrana, jeszcze jestem Napoleonem Bonaparte. Żołnierz wytrzyma wszystko, ale trzeba mu zwycięstw. Będzie je miał. Nie przywykłem wymykać się i nie wymknę się stąd, tylko wyjdę! — począł mruczeć Napoleon po wyjściu de Narbonne'a, stojąc przy oknie.

A jednak, gdy znajdzie się w Wilnie — myślał po chwili — podziękuję Bogu. Widzę sam, że jestem w matni... Zwyciężyć muszę, nie może inaczej być... Lecz drugi raz nie chciałbym być w podobnej sytuacji za skarby świata. Niech oni jednak widzą wszyscy moją pewność. Będą się bili jak lwy, aby mnie nie zawieść. Pod Małojarsławcem generałowie przekonali się, że ja zawsze mam rację, że trzeba mnie słuchać.

Tok myśli przerwał mu oficer służbowy, meldując przyjście generała inżynierji, Eblé.

— Najjaśniejszy panie, hrabia de Narbonne zakomunikował mi rozkaz waszej cesarskiej mości, abym spalił pontony. Hrabia de Narbonne zapewne źle zrozumiał lub źle usłyszał.

— Przeciwnie. Pontony są nam już nie potrzebne. Konie od furgonów pójda do armat. Armaty są nam potrzebne, a także to, aby ani jedna już z nich nie wpadła w ręce wroga.

— Najjaśniejszy panie, mamy do przebycia Berezynę.

— Obejdziemy ją u źródeł.

— Tam stoi Wittgenstein.

— Właśnie.

Eblé nie śmiał przedstawiać dalej.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się błagalnie — pozwól mi przynajmniej zachować kilka

furgonów z narzędziami. Mogą się nam bardzo jeszcze przydać.

Napoleon pomyślał chwilę.

— Dobrze. Weź sobie. Mosty nie będą nam potrzebne, tylko armaty. Jaknajwięcej armat. I rannych pozostawiliśmy już za wiele na pastwę kozakom. Nie mogę myśleć o tem! Tak samo, jak spokoju mi nie daje myśl o Ney'u. Jednak nie mogę wszystkiego ryzykować, choć wierz mi, gdyby tylko o moją osobę chodziło, nie ustąpiłbym stąd kroku, póki bym przypuszczał, że go mogę ocalić. Tę nadzieję już straciłem prawie zupełnie.

W tej chwili generałowie sztabowi poczęli się gromadzić w kwaterze cesarskiej. Napoleon rozpromienił się mimowoli. Miał znowu wypowiedzieć myśl orlą, zdumiewającą, a najprostszą — to, co było jego genjuszem. I znowu nastąpi dzień chwały, dzień tak dawno nie mający świtu.

— Moi panowie—rozpoczął bez wstępu—postanowiłem opuścić linię operacyjną mińską, połączyć się z księciem Bellune ¹ i księciem Reggio, ² przejść po brzuchu Wittgensteina i dobić do Wilna, okalając Berezynę u źródeł.

Berthier, szef sztabu, milczał, a za nim milczeli inni wodzowie, lecz szwajcar Jomini zaprotestował. Wykazał on, że trzeba się trzymać linii na Borysów, mając most pod Borysowem zabezpieczony przez Dąbrowskiego; maszerować drogą przez Ziemblin i Mołodeczno, a nie pako- wać się w lasy i błota, drogą dłuższą i zajętą przez Czyczagowa.—Przejdźmy pomiędzy dwiema armjami nieprzyjacielskimi — zakończył.

¹ Marszałek Victor.

² Marszałek Oudinot.

Napoleon zachwiał się. Oczy jego straciły blask, a twarz pewność zwycięską. Kazał sprowadzić generała inżynierji Dode'a, który znał pozycję Wittgensteina. Na niecierpliwe interpelacje cesarza generał Dode objaśnił, że pozycja Wittgensteina jest tego rodzaju, iż pobicie go wymagałoby olbrzymich ofiar w ludziach i ogromnej straty czasu.

Naówczas cesarzowi opadła głowa, którą szybko odwrócił, ale na chwilę tylko. Natychmiast wydał rozkaz, aby generał Eblé z ośmiu kompanjami saperów i pontonierów zapewnił przejście przez Berezynę.

Dwudziestego listopada opuścił Orszę, miejsce, w którym płomieniem znaków wojennych wypalił pieczęć swoich klęsk, pozostawiając wicekróla Włoch i marszałków Davout'a i Mortier'a dla pomocy Ney'owi, w którego ocalenie zresztą ani on sam, ani nikt już nie wierzył. Można tylko było czekać cudu. Lecz o dwie mile za Orszą znowu stanął, czekając na wiadomości. Tymczasem na czele pięćdziesięciu jeźdźców polskich Przebendowski dotarł do Orszy i przywiózł wiadomość, że po przebyciu niesłychanych i niewypowiedzianych niebezpieczeństw, po walkach, utarczkach, błędzeniu, z paszczy kozaków Płatowa bohaterski marszałek, prowadząc jeszcze kilkuset żołnierzy i kilkaset osób cywilnych i maruderów, zbliża się i wzywa pomocy. Ruszono mimo ciemności. Eugenjusz Beauharnais pierwszy porwał w objęcia Ney'a, żołnierze jego zaś powitali opłakanych towarzyszy. Natychmiast posłano sztafetę z radosną nowiną do cesarza.

Cesarz siedział na krześle polowem. Zerwał

się z niego, aż podskoczył. Lecz jego pierwsza myśl była myślą ambicji.

— Ah! Ah! — zawołał. — Moje orły ocalały!... Byłbym dał trzysta milionów z mego skarbcza za ocalenie takiego człowieka!.. — dodał.

Ruina Wielkiej Armji posuwała się ku Borysowowi. Wieść o upadku Mińska, świadomość otoczenia przez armie rosyjskie Kutuzowa, Wittgensteina, Czyczagowa podcięły ducha żołnierzy. Nie wierzono w pomyślne wyjście z Rosji. Jak szwedzki Karol XII na Ukrainę, Napoleon powiódł swą armję na zgubę do Moskwy — szemrano bez wiary i bez nadziei.

*

*

*

Nim się porucznik Kolski spostrzegł wraz ze swoim patrolem, obokoczyli go dragoni rosyjscy w brzozowych zaroślach. Ułanów w mig mu wyrąbano, jego samego to ocaliło od śmierci, że koń się pod nim zwinął i padł. Dragoni wzięli go żywcem, a od turbacji ocaliło go, iż oficer dowodzący znajomy mu był jeszcze z czasów tyłżyckich, kniaź X.

— Przykro mi — powiedział po francusku do Kolskiego — ale muszę pana porucznika na kwaterę mego dowódcy prowadzić.

— Służę panu, panie kapitanie — odpowiedział Kolski, dźwigając się ze śniegu i nie tracąc fantazji. Bo zaraz sobie pomyślał, że szwoleżer, szlachcic i do tego mazowiecki, fantazji i w takim wypadku tracić nie powinien.

— Ot wasz Napoleon, czego nie narobił! — rzekł oficer.

— Jeszcze to nie koniec, panie kapitanie. Bywało już różnie z cesarzem czasami, a taki się nie dał i zwyciężył.

— No, ale tym razem nie zwycięży.

— Poczekajmy do wiosny.

— Jeżeli tylko wyjdzie.

— Jakto?

— Z granic Rosji.

— O, ba, panie kapitanie! Możemy się założyć, że nie tylko wyjdzie, ale i wróci!

— Parions.

— Parions!

Kolski spojrzał na kapitana. Był to oficer wysokiej dystynkcji.

— Sto dukatów! — rzekł.

— Dobrze. Sto napoleondorów.

— Do kiedy?

— Pierwszy maj 1813-ty.

— Gdzie?

— W Wilnie.

— Będzie cesarz z powrotem?

— Tak. A na wypadek gdyby który z nas zginął?

— No to i zakład zginie. A teraz proszę o szablę i pistolety.

Dragoni widząc, że ich komendant z Kolskim rozmawia, oczyścili mu ze śniegu konia, który powstał, i jeden z nich trzymał go za uzdę, podczas gdy inni poszli ułanom kieszenie przeszukiwać. Kolski pomyślał chwilę. Był silny i zręczny, mógł być oficera, który szablę do pochwy wsunął, pchnąć sztychem, dragona, który także pałasz schował, przez łeb przejechać, skoczyć na konia i wpaść w gąszcze. Nimby się inni spostrzegli,

byłby daleko. Ale mu to nie wypadło. Nie-można było sztychem niespodzianym przebić człowieka, z którym się uczyniło zakład. Gdyby go tylko zranił i oficer opowiedział, co zaszło, Kolski obawiał się dyshonoru.

Odpiął więc szablę i podał ją kapitanowi, a ten dragonowi oddawszy, poprosił Kolskiego, aby wsiadł na konia.

Dwóch dragonów z palcami na cynglach od karabinków zajechało mu od tyłu.

— Wybacz pan, panie poruczniku, *à la guerre comme à la guerre* — rzekł kapitan.

— *Charmé* — odpowiedział Kolski, któremu miło było, że miał się dostać do niewoli, to przynajmniej przez kniazia do niej wzięty.

W jakąś godzinę później znalazł się Kolski przed kwaterą brygady, do której należeli dragoni. Zaprowadzono go do wielkiej izby, gdzie siedzieli oficerowie po za stołem, na stole zaś stał kociołek dymiący, z którego nalewano do miedzianych i srebrnych kubków połowych.

Posrodku oficerów siedział jenerał, który na widok Kolskiego zmarszczył brwi i już otwierał usta, najwidoczniej do jakiejś obelgi, gdy kapitan szybko postąpił ku niemu i, pochyliwszy się, parę słów mu w ucho szepnął. Jenerał popatrzał nań i twarz wyłagodził. Skinął kapitanowi głową i odezwał się:

— Być może traf szczęśliwy kniaziowi zdarzył się. No, jak tam u was, panie poruczniku?

— Wszystko dobrze, panie jenerale.

— Chleba?

— W bród!

— Siana, owsa?

— Do zbytku.

Jenerał roześmiał się.

— Tak wy by może nam ustąpili?

— Trzeba tylko pójść i wziąć — odpowiedział Kolski.

— Wot maładiec! Tylko pójść i wziąć. Hahaha! A cesarz Napoleon nie skąpy?

— Łatwo się przekonać, panie jenerale.

— Nu, jak tam w chlebie i owsie, tego ja nie wiem, ale w ludziach on nie skąpy. Ze dwieście tysięcy bez mała on nam już ich zostawił, tylko że przyciężkie chłopcy, a to mało który ze sniegu wstać chce.

— Będzie nawóz na wiosnę gotowy — ozwał się major dragoński.

— Ot wy, Arkadyj Arkadyjewiczu, zawsze grubo mówicie. Bez respektu dla armji jego cesarskiej mości cesarza Napoleona. To szarmanterja! Ot choćby naprzykład pan porucznik — jak familja?

— Kolski. Szlachcic.

— Pan porucznik Kolskij. Przez grzeczność do nas przyjechał, bo może my jego potrzebować będziemy. Tymko! — zawołał na kozaczka. — Krzesło panu porucznikowi szwoleżerów jego cesarskiej mości cesarza Napoleona. Kubek wódki gorącej? A?

Kolski był na czczo. Gdy wyjeżdżał na rekonesans, nie było co na zęby położyć. Pochlebilo mu to, że gdy kniaź go jako swego znajomego jenerałowi przedstawił, zaraz ten wyraz twarzy zmienił i siedzieć go prosił. Przyjął kubek.

— Zdrowie Polaków! — rzekł generał i trącił kubkiem o kubek Kolskiego. — To waleczny naród.

Kolski wypił. Krew się w wygłodzonem jego ciele rozpałała odrazu.

— Pięknych manier oficer — zwrócił się generał do kompanji. — Zaraz znać, że Polak i szlachcic, a do tego szwoleżer. No, panie poruczniku Kołskij, ja myślę, że wy z nami takie same zuchy będziecie, jak przeciw nam?

— Jakto, panie generale? — zapytał Kolski.

— No, Austriacy bili się z Napoleonem i pod Lodi i pod Marengo, pod Ulm, pod Austerlitz, pod Wagram, a teraz on zięć austriackiego cesarza i oni na nas z nim przyszli; Prusacy z pod Jeny, Auerstaedt, Frydlandu toż samo. Polityka szybko się zmienia. A wam jeszcze łatwiej, bo nigdy Polacy wszyscy przy Napoleonie nie stanęli.

— Panie generale — rzekł śmiało Kolski — czoło narodu —

— Da, da, — przerwał mu generał — Czartoryscy z nami, Ogiński Michał w Petersburgu, Lubomirscy z nami, pan Stanisław Potocki¹ na Wołyniu i Ukrainie konfederację przeciw Generalnej Konfederacji Warszawskiej na wzór targowickiej zawiązał, pan Wit Potocki z kozakami z Tulczyna i Białocerkwi Lubelskiej i Siedleckiej poza plecami Poniatowskiego najeżdżał i samego Poniatowskiego by porwał, gdyby siłę miał dostateczną. A pan porucznik Kołskij słyszał, co stary hetman, graf Branickij Ksawery, szlachcie

¹ Syn Szczęsnego.

na kontraktach w Kijowie gadał, która się go pytać przyszła, z kim trzymać, z cesarzem Napoleonem, czy z cesarzem Aleksandrem? „Ja sam — powiedział — nie wiem nic. Francuzem, ani Moskałem nie jestem, mówi, bom się Polakiem urodził, a Polakiem nie jestem, bo Polski niema“¹. Oto rozumne słowo. Polakiem nie jestem, powiada, bo Polski niema.

— To zdradzieckie słowo! — rzekł porywczo Kolski.

Jenerał poczerwieniał, ale spojrzał na kapitana i skinął głową.

— No, co tam o tem, panie poruczniku Kolskij. Ja chciałem was tylko przekonać, że czoło narodu waszego z nami, jak za targowicy. Radziwiłłów niema co liczyć, to warjaci. Słyszał ja o waszym Panie Kochanku. Pan bo pan, ale szalony łeb — na carową Katarzynę porwał się! Książę Dominik jak ordynację straci, zmadrzeje. Nieraz o tem u nas się mówi. Nu, panie poruczniku, co się rzekło, to się rzekło. Słowo dym! Kubek, a? Tymko!

Kozaczek nalał.

— Zdrowie szwoleżerów.

Kolski wypił. Duszkciem, w irytacji.

— Nu, panie poruczniku Kolskij — podjął jenerał — kiedy ty z nami łaskaw pić, tak ja tobie powiem, co mnie stary feldmarszałek kniaź Kutuzow polecił. Żeby wy, Iwan Władymirowicz, idąc przodem kogo dostali, a mnie przysłali, ktoby list do jenerała hrabiego Daru²) ode mnie

¹ Askenazy: O sprawie polskiej w r. 1812.

² Daru miał zdradzać Napoleona. Zdania są sprzeczne.

oddął i mnie odpowiedź od niego przyniósł, jaby złota nie żałował. Złotem jaby takiego zucha po uszy obsypał

Kolskiemu krew uderzyła do twarzy.

— Pan porucznik Kolskij nie ma kogo takiego? — ciągnął jenerał.

Kolski nie odpowiedział. Bał się za wiele powiedzieć.

Jenerał pomilczał chwilę, poczem rzekł powoli:

— Nu, pan porucznik Kolskij wie, że stara hetmanowa Branicka osobiście do księcia Schwarzenberga z dukatami petersburskimi jeździła?

Pan porucznik Kolskij wie, że Petersburg przez panią Branicką traktował w Wiedniu, aby Schwarzenberg ze swoim korpusem nad Styrem nie przeszkodził połączeniu się armji wołyńskiej i mołdawskiej pod Czyczagowem, a to z pozorem pięknym, bo kiedy Czyczagow miał 64.000 Rosjan, tak on, książę Schwarzenberg, mając tylko 40.000 Sasów i Austriaków, „musiał“ się cofać, „musiał“ odsłonić Brześć Litewski, trakty na Warszawę i na Mińsk, to jest wasze główne komunikacje, wasze magazyny mińskie? Pan porucznik nie wiedział tego?

— Zdrada! — wybuchnął Kolski.

— Zdrada, zdrada! — powtórzył jenerał. — U panów Polaków zaraz zdrada na języku. Nic dziwnego! Szwoleżerski naród! Nu, co o tem! Słowo dym! Zdrowie twoje, panie poruczniku! Choć ty niby w niewoli, nie szkodzi. Tymko! Kubek pana Polaka!

— A jaka tam niewola—ozwał się adjutant jenerała złym rosyjskim akcentem. — Kolega

byś tu może i krewnych znalazł... Ja sam, niedaleko szukając, z Polski pochodzę. Zawszeć bliższy pan Kolski pana Umlanskawo, niżli pana Charpentier, albo pana von Fass. N'est-ce pas?

Kolski pił. Chciał jaknajprędzej przytomność stracić, zresztą poncz rozogniał mu szybko krew, nieposiloną niczem oddawna.

— No, dość już polityki — rzekł generał. — Pan porucznik Kolskij rozumny człowiek. Na jutro rozmowę odłożym. Szczęśliwy traf może kniazia prowadził. No, dość. Hej, wy, Pawle Michajłowiczu — zwrócił się do jednego z młodych oficerów — do bandurki. Napoleon z Poniatowskim niebardzo nastają na nas. Poweselim się!

Oficer wstał i z pod ściany wziął instrument.

Natychmiast też wystąpił wysoki i smukły podporucznik huzarski, skłonił się przed generałem i naprzeciw oficera z bandurką stanął.

Niebawem izba napełniła się skoczną muzyką i tupotem butów z ostrogami, a generał przyklaskiwał i pokrzykiwał. Do tańczącego przyłączył się drugi i trzeci oficer. Gdy się ci zmęczyli, wystąpili inni. Zabawa szła i wiwaty.

Kolski pijany siedział z boku i patrzył. Wierowało mu wszystko w głowie, generał, oficerowie za stołem i tańczący.

Huzar zjawiał się w „kozaku“, jak na sprężynach. Podskakiwał, przysiadał, nogi wyrzucał, a ostrogi dzwoniły mu do taktu. Był to mistrz.

Ale gdy ten się zmęczył, wystąpił drugi, gwardyjski dragon. Tańczył niegorzej. I trzeci wyszedł, kozak prawdziwy, z kolei. Snadź generał lubił patrzeć na trepaka, bo podrygiwał na

stołku, przytupywał, przykrzykiwał i ręką po stole klaskał.

Kozacki oficer tamtych przeszedł. Zdawał się fruwać po izbie, a gdy uderzył w podłogę, to stałową nogą.

Kolski patrzył pijany. Był on słynnym tancerzem, mazurzystą pierwszym, w Hiszpanji nauczył się kaczuczy, fandanga, bollera, w Austrii walców wiedeńskich, że lepiej od Austriaków tańczył, czardasza znał od oficera Kroata, a Kozaka od Rusinów, co w Wielkiej Armji służyli.

Podrzucało nim na krześle.

— Ha psiakrew! — myślał. — Mochy. Zdaje wam się, że mi zaimponujecie?... Mnie?!... Co gdym z panną Husarzewską na balu u Lubomirskich oberka wyciął, wszyscy brawo dali, a sam księżę w ręce plasnął i jeszcze Polska nie zginęła! zawołał?!... Jabym wam tu pokazał, jak się tańczy, psiakrew sobaka!

Począł nogami cupkać, nakoniec nie wytrzymał; gdy kozacki oficer ustąpił, Kolski posunął się ku muzykowi i rzekł:

— Proszę mnie trepaka.

— Wam? — odpowiedział oficer zdziwiony.

— Mnie!

— Grać panu porucznikowi Kolskiemu, grać! — zawołał generał.

Muzyka zabrzmiała. Kolski zaczął.

— Honor szlachecki, psiakrew, reprezentujesz, nie daj się! — przeleciało mu przez pijaną głowę.

Hop! hop!

Czego dokazywał, sam nie wiedział. Wódka gorąca, nalana na przeposzczony żołądek, odjęła

mu zupełnie świadomość, co robi. Wiedział, że tańczy, ale wydawało mu się, że lata. Przeskoczył oficera z bandurką na stół z kociołkiem i ze stołu nazad ponad jego głowę, na podłogę. Czuł, że szaleje.

Honor szlachecki, psiakrew, zaangażowany! — tyle tylko myślał.

Nakoniec zatoczył się, ale w tej chwili rozległo się gromkie: hurra! — i Kolski, podniesiony w górę na rękach oficerskich, znalazł się w powietrzu.

— Vivat! vivat! — wołali oficerowie, których jak przez mgłę widział.

— Do Petersburga jego! Na dworze go pokazać! — wołali.

— W całej Rosji niema takiego!

— Wszystkich pobił!

— Maładiec!

Postawiono go na podłodze.

Nie pamiętał, gdzie był. Jacy to oficerowie? Wziął generała rosyjskiego do niewoli? Czy kapitana od dragonów? Któż to jest? Nieznajome twarze. Sasi, czy Bawarzy? Albo Holendrzy?

— Wtem usłyszał zapytanie:

— Pojedziesz?

— Do samego djabła pojadę!

— Słowo?

— Słowo! Za rogi przywiode!

— Oficerskie?

— Na honor!

— Pojedziesz do generała Daru z listem?

— Do samego Napoleona!

— I przywieziesz odpowiedź?

— Od cesarza przywiozę!

— Nie, od hrabiego Daru.

— Nic więcej? Jego samego przywiozę! Cóż Daru? Ph!

— Słowo oficarskie?

— Paroli! Do Lucypera pojedę, jakem Kolski, herbu Suche Koło! Vivat, panowie bracia! Niech żyje cesarz Napoleon! „Kiedy się nam pora zdarza, pora zdarza, i taka doba, pijmy zdrowie gospodarza, co się podoba!...“ Vivat cesarz Napoleon!..

Głośny śmiech go otoczył. zawtórowały wiwaty i oklaski.

— He co, panowie, szlachcic, co? Zaimponowaliśmy Moskaluszkom! Niech się nie biorą do nas! Gęby, powiadam, otwierali. Mnie, Kolskiego, mazowieckiego szlachcica, którego panna Zamoyska dwa razy w jednym mazurze wybrała, przetańczyć? Pierwej babie wasy et caetera urosną! Kurdesz, panowie! „I ty, Anulko, wypij razem z nami...“

Zachwiał się, zamroczyło mu się we łbie i zwał się jak długi na podłogę.

* * *

Była noc jeszcze, gdy w kuchni opustoszonej chałupy, gdzie dla ciepła ustawiono mu posłanie, obudził się cesarz. Obudził go trzask szczypanych przez Mameluka Rustana podpałek dla podniecenia ognia.

W ciemności przy pobłysku płomienia zobaczył cesarz obok pieca siedzącego na zydelku adjutanta, generała de Narbonne, który wecował na pasku, zaczepionym o ucho konewki, brzytwę.

— Dzień dobry—odezwał się do niego z pod futra.

De Narbonne powstał z zydła i, wyprostowawszy się, odpowiedział:

— Życzę dnia dobrego waszej cesarskiej mości.

— Siadaj pan. „Małe wstawanie“ w Tuileryjach, co?

Cesarz dźwignął się, zatulił się w futro i siadł na posłaniu.

— To mi się podoba, de Narbonne—rzekł— że się codzień golisz i fryzujesz włosy. Znać na tobie dobrą szkołę Burbonów. Czy książę de Fezensac także się codzień czesze i goli?

— Dawno go nie widziałem, sire.

— Za Ludwika XVI-go nie było już wcale na dworze tej etykiety, co za Ludwika XV-go, albo XIV-go. W każdym razie to, że się codzień golisz, świadczy, że jesteś dobrej myśli i nie poddajesz się nieszczęściu. Jesteś wesoły. Tak, jesteś wesoły.

— Wesoły, najjaśniejszy panie?! — zdziwił się hrabia de Narbonne.

Ale Napoleon umilkł na chwilę, a potem westchnął.

— Ah! te pluskwy! To prawdziwi Tatarzy.... Żadne okrycie przed nimi nie uchroni... Żeby choć kąpiel można wziąć było... Ale w czym?

— Niema nic podobnego, coby na wannę służyć mogło — rzekł Rustan, łamiąc polano na kolanie.

— De Narbonne, pamiętasz wannę pani Tyszkiewiczowej u tych Slugne, Dugne, jakże tam?

Za Niemnem. Ah! Jakie to były jeszcze złote czasy!...

Cesarz zapadł w zadumę; de Narbonne obawiał się przerwać ją.

Siedział długą chwilę milczący i zgarbiony, aż odezwał się:

— Djabeł wie właściwie, czy gorsza jest pluskwa, czy wesz?

— Najjaśniejszy pan zapomina o pchle — zauważył Rustan.

— Pchlę mam za bajbardzo — odpowiedział Napoleon. — Nic sobie z niej nie robię. Wartoby się też zapytać Cuviera, czy pchły znoszą się z pluskwami, czy też nie? Mówił mi ordynat Radziwiłł, że na przykład w puszczy, gdzie trzymają się rysie, tam ustępują żbiki. Jak tylko wrócę do Paryża, zaraz każę Cuviera zawołać.

Ogień buchnął. Rustan podniósł się i, ująwszy duży garnek, poszedł ku drzwiom.

— Dokąd idziesz? — zapytał cesarz.

— Po śnieg. Na czekoladę.

— Dobrze. Jenerale, która może być godzina?

De Narbonne pochylił się z zegarkiem ku światłu płomienia.

— Trzecia.

— Jeszcze więc parę godzin spokoju. Przekłeta rosyjska wojna! Już mi do ostateczności obmierzła! Pchły, pluskwy, mróz, głód, ani się wykapać... Już i wody kolońskiej niema do nacierania się... Pierwsza rzecz w Wilnie: woda kolońska.

— Nie wiem, czy tam ją już znają, sire?

— Znają. W każdym razie będą ją mieli w jakim pałacu. Choć na raz. Ah! Ah! Licho

to wszystko nadało! O czem ty myślisz, de Narbonne?

— Pacierz mówię.

— Ah, ah... Ty wierzysz w chrystjanizm? Jaby w niego także wierzył, gdyby istniał od początku świata. Dlaczego miał nagle zacząć istnieć tysiąc ośmset dwanaście lat temu, a nie trzy tysiące, albo trzy lata temu? Proszę cię, de Narbonne, odpowiedz mi.

— Mędrsze głowy, niż moja, nie umiały na to odpowiedzieć, sire.

— Dlaczego ty pacierz mówisz, kiedy jesteś wolterjanin?

— Przez piękne wspomnienia dzieciństwa. Gdybym nie zmówił pacierza, moja nieboszczka matka martwiłaby się na tamtym świecie.

— Wierzysz w duszę? Ja myślę, że człowiek stworzyło gorąco słońca z błota, a Herodot twierdzi, że liman Nilu zamienia się w szczury i że można widzieć, jak się to dzieje. Czy kto wie, jak się tworzy mózg? Dusza tworzy się razem z ciałem. Jak ci wybiją dziurę w głowie, będziesz szalonym — gdzież wtedy będzie twoja dusza?...

To jest absurd, żebyście na sądzie ostatecznym mieli się pokazywać w ciele i kości... Dlaczegoż za parę zbrodni, popełnionych na ziemi, mielibyśmy być wiecznie karani?...

Co do Jezusa, zabrałem w Medjolanie oryginał Historji Żydów Józefa; widać tam doskonale, że wpisano tam między linje cztery, czy pięć słów o Jezusie, bo Józef wcale o Nim nie wspomina. Papież mnie dość namęczył o ten manuskrypt...

W każdym razie z Jezusem było tak samo, jak ze mną. Była wtedy na świecie dążność do kultu jednego Boga. Okoliczności sprzyjały. To tak, jak ja. Jeżeli z ostatniej klasy społecznej zostałem cesarzem, to dlatego, że okoliczności sprzyjały.

— Genjusz waszej cesarskiej mości — wtrącił de Narbonne.

Los bitwy, a nawet państw — odparł cesarz — zależy często od tego, czy artylerja konna może przejechać, albo nie. Gassendi był osioł, kiedy krytykował teraźniejszą artylerję. Niewiadomo, czy więcej znaczy genjusz wodza, czy dobra armija? Fryderyk Wielki nie był tyle strategikiem, ile był zuchwałym człowiekiem. Czasem ma się wrażenie, jakby nie znał wcale sztuki wojennej. Ja stworzyłem nową metodę. Fryderyk nie mógłby już teraz po mnie tak manewrować, jak manewrował. Pod Rosbach nie widzę nic genialnego. Gdyby był uderzył na lewe skrzydło nieprzyjaciół, jak ja to zrobiłem pod Austerlitz, to byłby wielkim wodzem. Ale on zrobił tylko to, co musiał, bo nie można było inaczej. Stan rzeczy pokierował jego myślą. Rustan, czy tylko czystego śniegu набраłeś, bo ciemno?

— Na wojnie, jak na wojnie, najjaśniejszy panie. Co najwięcej może się w nim znaleźć czyjś odmarznięty nos.

— Dureń jesteś. Gotuj prędko. Wiesz o tem, że śnieg, to nie woda, i że jak się stopi pełny garnek, to ani go połowa nie zostanie?

— Podług rozkazu, sire.

- Błazen jesteś... Wiesz, de Narbonne, Aleksander Wielki to był także tylko żołnierz. Więcej zawdzięcza swojej falandze macedońskiej, niż swoim dyspozycjom strategicznym. Nie wie się o nim ani jednego genialnego ruchu. Cezar, o, to był wódz! To jest człowiek razem nadzwyczajnego geniuszu i nadzwyczajnej odwagi. Ze wszystkich sytuacji, w które go popchnie odwaga, wydobywa się przez geniusz. Jego bitwy w wojnie domowej to są prawdziwe bitwy i przez wojsko, z którym walczy i przez przeciwnych wodzów. Aleksander był tegim grenadjerem. Zresztą i politykiem. W sporach z Macedończykami zawsze miał rację, jak ja z wami. Jednak największym wodzem był Hannibal. Pobić Rzym i szesnaście lat siedzieć pod nosem Rzymianom w Italji, na honor, nie bagatel! A obok niego historia postawi mnie...

Gdy Rustan wyjmował z torby czekoladę pod oknem, Napoleon wyskoczył nagle z łóżka, podreptał boso ku rzeczom, rozłożonym w kącie, wydobył puszkę blaszaną i oświadczył:

— Czekaj. Wiesz co? Wsypiemy kawy do czekolady; choć nie mielonej, nic nie szkodzi. Piliśmy to we Włoszech z Dessaixem. To były czasy! Krzyczano koło mnie: niech żyje oswobodziciel Włoch! Miałem dwadzieścia pięć lat. Wcześniej, co? Wtedy sobie pomyślałem, czem mam być. Zdawało mi się, że świat ucieka mi z przed nóg i że lecę w powietrze!

Cesarz podreptał zpowrotem do posłania, usiadł na niem i znów się zawinał we futro.

— Aleksander Macedoński miał lat szesna-

ście, kiedy zdobył Teby; ale był synem króla, a ja adwokata z Ajaccio.

Rzadko kto kiedy, a może nikt nigdy nie czuł tego, co ja. Wielkie wypadki wogóle decydują w życiu wielkich ludzi. Najlepszym przykładem tego był Mahomet. Człowiek jest człowiekiem, ale czasem dużo potrafi. Wielki człowiek jest jak żar pośród palnych materiałów.

Czy zastanowiłeś się kiedy, de Narbonne, że mahometanizm podbił pół świata w lat dzie sięć, podczas kiedy chrystjanizm potrzebował na utrwalenie się lat trzysta?

Mahomet więcej odpowiada ludziom Wschodu. Jezus jest dla nich za subtelny. Mahomet działał, to był polityk. Trafił na sprzyjające okoliczności, tak, jak ja. Tożsamo Luter... Genjusz... Siła moralna decyduje więcej o zwycięstwie, niż liczba... Danton mawiał: odwagi, potem odwagi i jeszcze odwagi!

— To też miał odwagę—ozwał się de Narbonne — kazać rżnąć.

— Dobrze zrobił. Rzeź wrześnieiowa zrobiła efekt. Zobaczono cały naród wzburzony, wszędzie krew, mordy. Danton był niepospolity człowiek. A przedewszystkiem wiedział, że jak się idzie naprzód, to nie powinno się zostawiać nieprzyjaciół za sobą.

— Dlatego zapewne Fortuna, idąc ku waszej cesarskiej mości, uprzątnęła Dantona.

— Być może. Gdyby się był nie odłączył od Robespierre'a, byłby żył. Pieniądze belgijskie spaczyły mu charakter.

Wszystko to byli ludzie niepospolici. I Marat i Robespierre. Niewielu tak się zaznaczyło

w historii, jak oni. To nie był byle kto! Marjusz i Sulla wcale nie będą dłużej pamiętani, niż oni. Robespierre zresztą mógł być stać się dyktatorem, gdyby był generałem. Żołnierz wogóle nie jest republikaninem. Dlatego dobrze zrobiłem tworząc legję honorową dla wszystkich.

Już?

— Już, najjaśniejszy panie — odpowiedział Mameluk, który mieszał łyżką w garnku.

— To dawaj.

Rustan nalał dwie złote filiżanki, dla cesarza i dla hrabiego de Narbonne. Cesarz porwał łączywie, sparzył się, zaklął, dmuchał i pił. Skończywszy jedną filiżankę, kazał nalać drugi raz. Pił już wolniej i pijąc mówił:

— Miło tak. Ciemno. Pijemy czekoladę, jak dzieci w święto, kiedy się wcześniej obudzą.

— Ładne święto! — westchnął de Narbonne. — Zaraz się zacznie lekcja profesora Kutuzowa.

— Ba, gdybym go miał w lecie! Wszystko zrobił klimat. Los przeznaczył mnie do akcji w ciepłych krajach. Gdybym był został w Egipcie, byłbym teraz cesarzem całego Wschodu. Z Egiptu do Indyj nie jest dalej, niż z Paryża do Moskwy.

Trzydzieści tysięcy regularnego wojska, sześćdziesiąt tysięcy uzbrojonych fellachów, w trzech kolumnach, każda kolumna tak rozłożona, aby woda po drodze mogła wystarczyć, żywności na pięćdziesiąt dni, byłbym zdobył Indje... W Afryce byłbym zajął wszystko po Góry Księżycowe. Mówiłem ci nieraz, że byłbym przyjął mahometanizm. Bo to jest wszystko

jedno. Moralność Jezusa jest moralnością Platona. Wszystkie religje, od Jowisza, głoszą moralność. Sokrates, Platon, Mojżesz, Mahomet, Berthollet, Laplace — są ateistami. Powiadają, że Pascal i Newton wierzyli, ale ja myślę, że oni tylko tak opowiadali publiczności.

Tak, tak, wszystko to jest materja. Począwszy na roślinie, kończąc na człowieku... Za tysiące lat ludzie będą inni, jak dziś. Może wynajdą sposób wiecznego życia... Nie będą mieli religji, ale prawa, moralność dla klas wyższych, władzę dla kanalji... Moralność... Cóż to jest?... Co mi zakazuje poślubić moją siostrę? Moralność. A na pustyni?...

— Rzeczywiście, że nie wiem, co odpowiedzieć — rzekł de Narbonne.

— To przynajmniej jesteś uczciwy, jak lekarz, który się przyznaje, że nic nie wie naprawdę. Mnie się wydaje, że człowiek nie jest niczem innem, tylko utworem fluidów elektrycznych i atmosfery. Mózg wchłania te fluidy i wywołuje życie, dusza składa się z nich, a gdy się umrze, fluidy wracają do eteru i są wchłaniane stamtąd przez inne mózgi. Dusza rośnie z dzieckiem, a zamiera ze starością. Człowiek powstaje z eteru.

— Niedawno powstawał z błota — zauważył pod nosem Rustan, czyszcząc buty cesarza.

— Cymbał jesteś! Gdybyś nie był, tobyś wiedział, że pierwszą ideą była adoracja słońca. Człowiek powstał z atmosfery rozgrzanej przez słońce, tylko po pewnym czasie to ustało.

— Hm — mruknął w tem miejscu de Narbonne.

— Co? — zapytał, zauważywszy, to Napoleon.

Chrząknął lekko i bez potrzeby.

Potem oświadczył, że trzeba wstawać, a myślał, jak wejść na niezawodny dla siebie teren.

— De Narbonne — ozwał się ni stąd ni zowąd — zapamiętaj to sobie: dwadzieścia pięć tysięcy ludzi naprzeciw dwudziestu tysięcy nie jest tem samem, co dwieście tysięcy naprzeciw dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Armje nie stoją do siebie w stosunku geometrycznym, ale w stosunku arytmetycznym. Pięć tysięcy ludzi, oddzielonych od dwudziestu pięciu tysięcy, nie może niczego dokonać i nie da się zdysymulować, podczas kiedy pięćdziesiąt tysięcy może poobić samo przez się całą prowincję i nieprzyjaciel nie może łatwo poznać, czy ma przed sobą dwieście, czy dwieście pięćdziesiąt tysięcy...

— Bez wątpienia, najjaśniejszy panie — odpowiedział adjutant.

Napoleon zamyślił się.

— Jakto dobrze dla nas, że niema światła, któremiby można na daleką odległość oświetlać obozy lub fortece nieprzyjacielskie... Ale to niezawodnie będzie. Także wynalazek Fultona najpewniej stanie się zdobyczą świata. W 1805-ym nie mogłem czekać na wybudowanie całej floty parowej, choć wbrew temu, co mówią o mnie, zrozumiałem doskonale doniosłość wynalazku. Gdybym ja był zaczął budować statki parowe, to i Anglja byłaby je zaczęła budować. To nie dałoby się robić w sekrecie. Ale to będzie, to tylko kwestja, czy wolność mórz — jak twierdził Fulton — sprowadzi wolność całego świata. Ja myślę, że wolności całego świata nie sprowadzi nic nigdy. Zawsze będą silniejsi i słabsi, a na-

turalną potrzebą, możnaby powiedzieć: naturalnem prawem silniejszego jest podbój. Tak, tak, zawsze będą zgromadzenia pięciuset i Bonaparte.

Zaczął się śmiać.

— Zimno było—rzekł po chwili—ale zawsze lepsza była noc, niż wczorajsza, którą przepędziłem w powozie, nie zmrużywszy oka. Ciekawym jak będzie jutro? Gdybym nie był sobą, tobym wątpił, czy się wydostaniemy z Rosji. Ale to byłoby zbyt śmieszne, gdyby mnie zatrzymali panowie Kutuzow, Zyzagow i Wittgenstein. Natura lubi wprawdzie przechodzić od wzniosłości do komizmu, ale na taką śmieszność nawet natura sobie nie pozwoli. Niema wodza obecnie, któryby był dla mnie niebezpieczny. Nasi generałowie, z wyjątkiem Davouta, są djabła warci, jako strategicy. Jak można się było dać pobijać takiemu Wellingtonowi w Hiszpanji? Człowiekowi, który jest niezawodnie odważnym żołnierzem, ale na wielkiej strategji rozumiejącym się, jak ja na gotowaniu omletów. A propos, de Narbonne, zjadłbyś omlet?

— Aux fines herbes?

— Albo z konfiturami?

— Najjaśniejszy panie, nie jest godnem wielkiego monarchy dręczyć swoich poddanych.

— No to każ podać.

Obaj zaczęli się śmiać. Cesarz, ubrany już, spojrział na zegarek i rzekł:

— Jeszcze jakiś czas uplynie, zanim zacznie się rozwidniać i zanim zaczną strzelać. De Narbonne, co ty myślisz, co ja mam ogłosić o tej wojnie?

— Prawdę.

— Prawdę? Dla takich ludzi, jak ja, niema ani prawdy, ani nieprawdy. Polityka zna tylko interes.

— Jednak na końcu zawsze prawda zwycięża.

— I to nie. Zwycięża szczęście.

Począł chodzić po kuchni.

— Rustan, jest tam jeszcze co czekolady? — zapytał po chwili.

— Niema, sire.

— To źle.

— De Narbonne, ja nie mogę powiedzieć prawdy o tej wojnie.

— Ona sama za siebie przemówi, najjaśniejszy panie.

— Tak... Masz rację... Zresztą, trzeba naprzód przejść granicę... Wydostać się stąd... Czy ty myślisz, że mój nimb — —

Nie dokończył. Ścisnął pięści, stanął w miejscu, tupnął nogą i rzekł prędko:

— Kaźcie mi konia kulbaczyć! — a potem, zwracając się do Rustana: zapal świece i ogólnie. Piorunem! Raz dwa!

Rustan wypadł z drzwi do koni cesarskich Napoleon zaś odezwał się spokojniej:

— Odpocząłem. Mogę myśleć o tem, o czem chcę. Moja głowa jest tak, jak stół z szufladami. Mogę otworzyć, którą chcę, a inne zamknąć. Dzięki temu mogłem zawsze tak dużo rzeczy naraz robić. Ale teraz baczność! Bo jeżeli z tej rosyjskiej kamery wyjdę, powiem, że gwiazda moja nie zgasła i nigdy nie zgaśnie. Tylko psst! Cicho! Niech oni wszyscy myślą, że nie wątpię

o niczem. To jest Połtawa! To jest tak, jak z Karolem XII-ym! Ale naprzód!

Berezyna, linja zbawienia, toczyła fale przed Wielką Armją.

Nadludzkim genjuszem, mimo najfatalniejszych błędów podkomendnych jenerałów, mimo, że się ziemia i niebo sprzysięgły, aby szczątków Wielkiej Armji wraz z nim nie wypuścić z granic rosyjskich prowadził ją ku Berezynie tem pewniejszy, tem spokojniejszy, im zguba zdawała się bliższą i bardziej nieuchronną. A wszyscy już wątpili i nikt już nie wierzył. Wrogie zdarzenia piętrzyły się jedne na drugich i on sam, gdy zajęciem Borysowa o dni cztery ubiegł marszałka Oudinota admirał Czyczagow, w momencie rozpaczy wykrzyknął: Zapisane więc jest tam w górze, że będziemy popełniać same błędy!... Ale to był moment tylko.

Rdza nie chwyciła się stałi.

A wszyscy wątpili i nikt nie wierzył.

Oto pewnego wieczoru, z przymkniętymi oczyma udając sen, usłyszał, jak jego najbliżsi towarzysze, Duroc i Daru, wypowiedzieli słowo: więzień stanu...

Więzień stanu -- on?! Pan połowy Europy?! Zwycięzca wszystkich, król królów Zachodu?!

Lecz odrzucił bohaterską propozycję ułanów polskich, że go znanymi sobie przesmykami wywiodą z matni i doprowadzą do Wilna, życiem własnem ręcząc za bezpieczeństwo. Był sercem armji i nie mógł jej opuścić. I nie chciał!

Jenerałowie rosyjscy pewni byli ujęcia wielkiego cesarza. Nie wiedzieli tylko, komu ta chwała przypadnie.

— No, księżno pani — mówił generał Czaplic do księżny Zeneidy, która ze swymi kozakami ciągnęła po za linią wojska — teraz Napoleon już nasz!

— Ziomkowie pańscy będą panu wdzięczni — odpowiedziała księżna.

Czaplic popatrzał na nią, jak żbik. Ale pohamował się. Trawił go urok tej kobiety, odkąd ją zobaczył. Trawił tem więcej, że widocznie pogardzała nim, jako renegatem. Za spojrzanie zuchwałe, które na nią rzucił, gotów był do nóg jej paść i trzewiki całować.

— Co z nim zrobicie, jeśli go dostaniecie żywcem? — zapytała z błyszczącemi oczyma Olga Zastrowówna, która aż tu, mordując maruderów i rannych dwudziestu narodów, ze swymi chłopami dobiegła.

— Co? — odpowiedział generał Czaplic. — Odeśle się go do Petersburga, jako więźnia stanu.

— Dajcie go wprzód mnie! — zawołała Zastrowówna.

— A cóżbyście z nim zrobili, Olgo Piotrówno?

— Za każdą stopę mojej ziemi, na którą wstąpił obcy najeżdźca, winien być rozpalonem żelazem dotknięty; za każdą kroplę krwi, którą w ojczyźnie mej wytoczył, za każdą uncję męki, którą w ojczyźnie mej zadał, winien być drutami splecionemi smagany; za każdy atom naszego powietrza, który wrogiemi ustami wetchnął w pierś, deptany być winien butem podkutym!

— A potem Bonapartego zakwasić, posolić i zjeść — roześmiał się Czaplic.

— Ja słyszałam, że przy Czarnieckim poległo trzech Czapliców — ozwała się księżna Ze-neida.

Jenerał zaczerwienił się, ale się opanował.

— Być może — rzekł zinnmo. — Ale ot u was, Olgo Piotrówno, natura! Nie chciałby ja z wami wojować. Bóg nie daj przypadek, aż ja naraz spalony, zasieczony knutem i butem rozgnieciony, niczem żaba. Nie wiadomo, która śmierć gorsza? No, no!

— Za nic Chrzanowska z Trembowli — przerwała mu księżna.

Czaplic popatrzał na nią złemi oczyma.

— A księżna pani zna doskonale polską historję — rzekł powoli.

— Staram się poznać historję kraju, który wydał Kościuszkę, Pułaskiego i jenerała Czaplica — rzekła księżna, która czytała wiele, a poczyniała coraz bardziej nienawidzić tych, co ścigali Bonapartego.

Czaplic popatrzył na nią. Znadto był Polakiem, aby majestatyczny, do ostatniej fibry wykwintny urok, nie był dlań najwyższym urokiem. Z drugiej strony wściekłość go rozpie-rała na jej drwiny.

Ona zaś mówiła: — Tak, jenerale, znam mniej więcej historję świata, a kto jest moim przyjacielem, ten odgadnąć winien, co ja myślę w tej chwili...

Tymczasem Napoleon zmuszony porzucić projekt przejścia u źródeł Berezyny, łudząc i zwodząc wodzów rosyjskich, używając fałszywych pozornych poszukiwań brodu i korzystając z podłej zdrady Żydów, którym zwierzano się z niby

obranych punktów przeprawy, a którzy natychmiast, wzięwszy jedne umyślnie wypłacone pieniądze francuskie, lecieli po drugie rosyjskie do obozu Czyczagowa: dotarł pod Studziankę i mosty kazał budować. Tu dopiero okazał się błąd spalenia z rozkazu cesarskiego parków inżynierskich w Orszy, oraz rozum generała inżynierji Eblé, który sześć furgonów narządził wyprosił. Z rozebranych chałup poczęto budować, w braku materiałów, mosty. Te się waliły. Z wysiłkiem naprawiano je, mając tylko dwa furgony węgli gotowych. Obręcze z kół odpadłych, które Eblé kazał swoim ludziom zbierać po drodze, służyć miały za kłamy — i ocalić cesarza i armję.

Sam z pontonierami pracował w wodzie wśród kry po szyję. Rzeka ani nie marzła, ani nie była wolna od lodu. Z 25-go na 26-ty listopad budowano w nocy, niemal przy blasku ognia generała Czaplica, na odległość armatniego strzału od jego stanowisk. Droga za Berezyną była zagrodzona.

Cesarz, który nocował w Starym Borysowie, w pałacu Radziwiłłów, pewnym był okropnego starcia. Mysz by nie przeszedł — wołali żołnierze, zaś generałowie powtarzali sobie, że, jeżeli cesarz jeszcze i teraz wyjdzie cało z niebezpieczeństwa, trzeba będzie uwierzyć istotnie w jakąś ponad nim gwiazdę wyjątkowej i niebywalej opatrności.

Wojsko cesarza przygotowywało się do boju. Pod ogniem armatnim kończone będą być musiały mosty, które jeden celny strzał był zdolny w niwecz obrócić.

Ze skronią opartą na ręce leżała w domku wiejskim litewskim księżna Zeneida. Szła ona za armją Napoleona i za armjami rosyjskimi, ciągnięta jakąś siłą magnetyczną. Powzięty w chwili szalonej fantazji zamiar „zapolowania na Bonapartego“ okazał się odrazu dziecinną niedorzecznością. Należało wrócić. Jednak nie wracała. Ani mrozy, ani trudy, ani niebezpieczeństwa, ani niedostatek żywności, którego nawet przy ogromnych środkach pieniężnych i ogromnych zapasach nie można było czasem uniknąć, nie wstrzymywały jej, choć szła bez celu. Olgę Zastrowną gnała za Wielką Armją fanatyczna nienawiść, fanatyczna chęć zemsty — ale ją?

Losy Rosji, jaką знаła, jaką widziała, były jej obojętne. Z pochodzenia nie czuła się Rosjanką, sposobem myślenia, pojęć, upodobań i obyczajów, wreszcie była od niej najdalszą. Ani dla ścigania Francuzów, ani dla oglądania triumfów Kutuzowa, Czyczagowa, Tormasowa, Płatowa, czy Wittgensteina, ciągnęła za rosyjskiem wojskiem. Ciągnął ją magnes wielkiego cesarza.

Czuła to, że na polach rosyjskich odbywa się to, czego nigdy przedtem świat nie widział i nigdy potem nie zobaczy. Widziała olbrzymią, jaką nigdy jeszcze nad żadnym śmiertelnym nie płonęła, gwiazdę, spadła z chimur i wlokącą pęki swoich promieni po śniegu, w którym z sykiem gasły. Widziała zjawisko bogów zajęcia godne, przy którym wojna trojańska i wszystkie wyprawy świata wydawały się bladym widmem. Daniem jej było patrzeć na pierwszy akt tragedji, którą przeczuwała większą, głębszą, straszniejszą

i boleśniejszą, niż wszystko, co wyobraźnia poetów wymarzyćby mogła. Jak od widoku wieży kościelnej, której mury się rysują, oderwać wzroku jest niepodobna, tak oczy jej przylgnęły do osoby Bonapartego i szły za nim, szeroko rozwarłe.

Widziała te „łowy“, które odbywała kikuset tysięczna armja rosyjska, prawdziwe łowy na orła, choć nie przez sokoły wiedzione. Zdawała sobie sprawę, jakie góry, jakie Alpy przeciwności pokonywać musiał ten człowiek, płacąc swoją pychę i dumę. Zresztą nie był on już dla niej człowiekiem. Było to jestestwo jakieś, jakiś płód sfer, który zmuszony był toczyć bój z ludzkim światem. Wszystko, co było ludzkim, było mu przeciwne. Zarówno jego cielesna powłoka i cała jego armja ludzka, jak ci, którzy byli jego wrogami. Gdyby działać był mógł wichrami i gromami, jak działa burza, świat cały nie byłby mu się oparł.

I któż to temu elementowi, który przez lat piętnaście potrzasał światem, jak workiem rupieci, dla którego powstawały nowe prawa człowieczego bytu, zastąpił drogę, kto grozi mu zniweczeniem, wzięciem w niewolę, może śmiercią? Jenerał Czaplic.

Śmiech porwał księżnę Zeneidę.

W tej szalonej tragedji, która ją uniosła, unosi, w tej prometejskiej, czy heraklesowskiej tragedji, „gwoździem“ ma być jenerał Czaplic?!

Nie, zbyt małe, zbyt niskie!

On miałby przerwać ciąg dramatu, który powinien najdalszym wiekom w historii świata kartę

wypaloną czerwonymi z płomienia literami zostawić?! Nie! Zbyt niegodne! Jestże tu Aleksander Macedoński, któryby węzeł gordyjski Napoleona Bonapartego mieczem swym przeciął? Jestże tu rzymski Cezar, któryby mógł raz jeszcze powiedzieć: zwyciężyłem — jak tylekroć razy rzucił te słowa Bonaparte, aż stały się one niemal na jego ustach bezdźwięczne, codzienne?...

Zerwała się, zawdziiała na siebie płaszcz iurtrzany, kazała podać sobie konia i dwunastu kozakom z pochodniami sobie towarzyszyć i ruszyła do kwatery Czaplica.

Generał, usłyszawszy jej głos pośród wart, wypadł z chałupy, w jakiej zamieszkał. Stał w najwyższem zdumieniu.

Księżna Zeneida zsiadła z konia i weszła do kwatery jenerała, w której świeciły się świece w latarniach. Czaplic poszedł za nią.

— Jenerale — odezwiała się doń — udasz, że nie wiesz, iż Bonaparte buduje mosty naprzeciwko ciebie i odstępisz.

Czaplic spojrzał, jakby miał z szaloną do czynienia. Zdumienie jego podniosło się jeszcze. Księżna przysiadła, na stole się opierając tyłem, i patrzała nań.

— Księżno — zaczął po chwili jenerał.

Ale księżna Zeneida przerwała mu:

— Uczynisz, o co cię proszę, jenerale, nie wątpię o tem.

— Ja?! Nigdy! — wykrzyknął Czaplic. — Ja, wypuścić Bonapartego?! Za nic w świecie!

— Przychodzę cię ocalić od sławy Herostrata.

— Przychodzisz mi, księżno, odebrać wieczną sławę! Ale to żart!

— Bynajmniej. Proszę pana o to.

Czaplic spojrział na nią nieufnie.

— Czyżby Bonaparte? — rzekł.

— Nie. Bonapartego widziałam raz jedyny w Moskwie. Ani nie mówił odtąd ze mną, ani nie pisał sam, czy przez kogokolwiek. Nie on mnie przysłał z prośbą do generała Czaplica.

— Księżno — rzekł Czaplic — zniósłem już wiele ironji księżnej pani, ale w tym razie nie wydaje mi się ona właściwą. Zwycięzca z pod Rivoli, Arcole, Lodi, Marengo, Ulm, Austerlitz, Jeny, Frydlandu, Smoleńska i Moskwy nie przejdzie przez swoje mosty, naprzeciwko których stoi tylko mały generał Czaplic. Sic fata tulere — tak losy zdarzyły.

— Przypomnienie polsko-łacińskiej edukacji. Wszak tak? Mały generał Czaplic okaże się wielkim, jeżeli Bonapartemu przejść przez Berezynę pozwoli.

Czaplic spojrział zapytująco.

Księżna zaś mówiła:

— Ponieważ generał Czaplic wie, że ma do czynienia z genjuszem wieków i że gdyby zatrzymał i wziął w niewolę Napoleona, byłoby to tak, jakby orłu podciął skrzydła.

— Lecz jeżeli ten orzeł rzucił się na trzodę, którą między innemi i mojej pieczy powierzono?

— Mówmy dokładniej, sam się nad nią do opieki, mój generale, przypytałeś. Ale mniejsza o to. Jesteś pan cywilizowanym człowiekiem. Rozumiesz to dobrze, że Bonapartego można zwyciężyć, pobić, upokorzyć, ale nie wolno tamo-

wać mu dalszej drogi lotu. Zważ, jenerale, że na takiego człowieka długie wieki świat czekać musi. Jeszcze nikt nie wie, do jakich przeznaczeń Bóg go powoła. Rozniósł on płomienie z ogniska rewolucji francuskiej. Jesteśmy sami, przyznasz, jenerale, że rewolucja francuska jest nową erą świata. Jeżeli grunt jej przygotowywali Rousseau i Voltaire, to owoce jej rozdał światu Bonaparte.

— Przez autokratyzm i podboje?

— Nie; przez reformę i odrodzenie społeczne. On umrze i jego autokratyzm i podboje się skończą, a reforma i odrodzenie zostaną.

— Czy i u nas?

— Nawet i tu, chociażby tylko jako ziarenka w ziemi na czas kiełkowania czekać miały. Słuchaj, jenerale: w powieści byłabym zakochana w Bonapartem, otwartabym w tej chwili moje futro i wykrzyknęła: za cenę tej ofiary ocal Bonapartego! Tego nie potrzeba. Ty, biorąc do niewoli Napoleona, zasłużyłbyś się niesłuchanie, byłbyś niezmiernie nagrodzony i stałbyś się głośny na świat cały. Lecz karjera Bonapartego byłaby zamkniętą, nie wyszedłby on już bowiem poza granice Rosji i cały świat, jenerale, wydałby na ciebie wyrok potępienia. Bonapartemu trzeba zostawić wolny bieg, tak, jak nikt nie powinien tamować biegurzeki, któraby się wylała z jeziora w pustynię, gdyż nikt niemógłby przewidzieć, jakie obszary użyzni i jakie miasta u jej brzegów powstaną. Bonaparte ma dopiero czterdzieści dwa lata, jest w sile wieku, jego kampanja rosyjska, właśnie dlatego, że przegrana,

może być punktem zwrotnym jego genjuszu, a w dziele pokoju, jako prawodawca i twórca ustaw i instytucyj, okazał się on równie wielkim, jak w roli wodza. Tacy ludzie, jak Bonaparte, są etapami ludzkości, są jej epokami i jej przeznaczeniem. Są to inżynierowie, którzy budują drogę pod koła rydwanu, który wiezie ludzkość drogą przeznaczenia. Jenerał Czaplic nie stanie się zawadą.

Barwy rumiane wykwitły na twarzy księżnej Zeneidy. Piękna, wspaniała, jakby promienna wzruszeniem, czarowała Czaplicą. Patrzył na nią, zapomniawszy o Bonapartem. Łowił jej słowa, jej głos, jej oddech, jej spojrzenie.

Był moment, że chciał poprostu zatrzaskać drzwi — ale nie śmiał. Bał się. Zbyt wysoko stał ten gość niespodziany. Jej samej, czy jej krewnych zemsta znalazłaby go pod ziemią i dosięgła, choćby rangą feldmarszałka nagrodzoną była niewola Bonapartego.

Niewiele on zresztą dbał o to, co ona mówiła. Tylko wzrok tej kobiety krępował go, jak sploty węża. Czuł, że traci swą wolę i że uczyni wszystko, co ona zechce. Nieodpartą mocą zapanowała nad nim.

Ona musiała odczuć to. Spoglądała na niego dziwnymi, zielonemi żrenicami i rzekła:

— Gdy wstanie świt, jenerał Czaplic cofnie się. Daje mi na to słowo honoru żołnierza.

— Będzie to zdrada, księżno pani, za którą sam sobie w łeb powinienem kulę wpakować.

— Czy kto może wiedzieć, że jenerał wie, gdzie się Bonaparte znajduje?

— Nie. Ani admirał Czyczagow, ani generał Wittgenstein nie zdają sobie sprawy z właściwego miejsca pobytu francuskiej armji. Wszyscyśmy jej szukali. Wprowadzono nas w błąd bardzo zrećźnie.

— Czy potrafisz pan upozorować swój odmarsz?

— To najłatwiej. Ale nie upozoruję go sam przed sobą.

Czaplic zawahał się i spojrzał w oczy księżny Zeneidy; co myślała, wyczytał, ale nie powiedziała nic. Uczuł dla niej wdzięczność, wdzięczność tak żywą i wielką, że wyciągnął do niej rękę, mówiąc:

— A więc słowo żołnierza: wypuszcze Bonapartego.

— I myśl pan o tem, co ci mówiłam — odrzekła księżna, ujmując jej dłoń.

Jak dymem zaczadzony słyszał ją generał odjeżdżającą z przed jego kwatery.

Gdy wstawał świt, gdy generał Eblé ośmiu jeszcze godzin potrzebował do skończenia mostów, ujrzeli napoleońscy żołnierze pułk piechoty z dwunastu armatami i oddział kozaków, oddalające się; to była arjergarda Czaplica, który się cofał.

Francuzi nie śmieli wierzyć własnym oczom. Potem porwani radością poczęli klaskać w ręce, krzyżeć. Rapp i Oudinot wpadają do cesarza. Sire — mówią mu — nieprzyjaciół ściga obóz i opuszcza pozycję! — To nie może być! — odpowiada cesarz, ale Ney i Murat przybiegają i potwierdzają raport. Wtedy Napoleon wychodzi przed swoją kwaterę jeneralną i patrzy; widzi

ostatnie linje kolumny Czaplica, ginące w lesie i, w uniesieniu, woła: oszukałem admirała!

W tej chwili dwa działa nieprzyjaciela ukazały się i dały ogień. Został wydany rozkaz oddalenia ich również strzałami armatnimi. Jedna salwa wystarczyła; była to nieroztropność, której zaniechano natychmiast z obawy, aby nie odwołała Czaplica...

Ale i tych strzałów Czaplic nie słyszał...

Zahuczały mu one w uszach i przebrzmiały. Zielone, niepojęte oczy księżny Zeneidy wiodły go precz z przed stóp Napoleona, a słowa, które mu mówiła, głuszyły mu huk armat. Generał Czaplic nie chciał zatrzymać biegu ducha na ziemi.

A gdy dywizja piechoty Legranda przemaszerowała most ze swemi działami wśród okrzyków: vive l'empereur! — widząc już żołnierzy swoich na drugim, zbawczym brzegu, cesarz nie mógł się powstrzymać od wykrzyku: jeszcze więc gwiazda moja świecił...

I świeciła istotnie. Admirał Czyczagow, który widział Napoleona „wszędzie”: po prawej ręce wskutek udanych prób przejścia Berezyny, od frontu, w Borysowie, ponieważ armja ciągnęła tamtędy, w Studziance, po lewej ręce, gdzie był istotnie Napoleon — manewrował tak, jakby mu cesarz „dyktował, co ma czynić, co do godziny i w najdrobniejszych szczegółach“. Zwrócili się do siebie plecami, jak na umówionego.

27-go listopada 1812-go roku około 2-ej po południu, po utorowaniu mu siłą drogi przez tłum, przeszedł cesarz Napoleon Berezynę z sześciu tyśiącami gwardji i korpusem Ney'a, zredukowanym do sześciuset ludzi; poczem natychmiast zajął po-

śród swych żołnierzy pozycję obronną przeciw ewentualnemu atakowi Czyczagowa.

Cesarz był wtedy zawsze gotów do walki osobistej, piechotą, ze szpadą w ręku na czele swych grenadierów. A wyjście z obręczy armij rosyjskich w głębi duszy uważał „za cud“.

Wtedy także pierwsza z Wielkiej Armji bohaterska dywizja generała Partenaua, należąca do arjergardy marszałka Victora, zbłąkana w śniegach, otoczona ze wszech stron, zgłodniała, zziębła i utrudzona, po uporczywym boju, dostawszy się na łód na jeziorze, ukryty zdradnie pod śniegiem, a słaby, złożyła broń.

Rozpoczęła się klęska wojskowa. Wielka Armja ginęła od mrozu, od głodu, od trudu, lecz żaden jeszcze pułk nie pochylił swego sztandaru, żaden żołnierz jeszcze nie oddał dobrowolnie swej broni. Wodzowie rosyjscy ujrzeni, że i napoleońskie wojska można zwyciężać. Duch w nich wstąpił. Wittgenstein, Płatow i Czyczagow skomunikowali się i rozpoczęli akcję.

Odtychczas trzy armje rosyjskie, północna, zachodnia i południowa, połączyły się; dowódcy komunikowali się między sobą¹.

Było 28-go listopada. Wielka Armja miała dwa dni i dwie noce do przetoczenia się; powinna była ubiec Rosjan. Ale nieład ogarnął wojska cesarskie i brakło materiału na dwa mosty. Dwa razy, w nocy z 26-go na 27-y, załamał się most przeznaczony dla wozów i przejście zahamowało to na siedem godzin; po raz trzeci załamał się

¹ Opis przejścia przez Berezynę cytuję umyślnie najściślej według Ségura, który ją w 1812-ym r. przebywał, jako adjutant Napoleona.

27-go o czwartej wieczorem. Z drugiej strony maruderzy, rozproszeni w lasach i wsiach okolicznych, nie skorzystali z pierwszej nocy. I 27-go, ze wschodem, wszystko tłoczyło się naraz na mosty.

Ujrzano w jednej chwili masę olbrzymią ludzi, koni, wozów, zatłaczającą wąskie wejście na most. Pierwsi, popychani przez następujących, odpychani przez strażę i saperów lub zatrzymani przez rzekę, zostali zmiażdżeni, zdeptani lub wepchnięci w lody, zakrywające Berezynę. Podnosiły się z tego niezmiernego i przerażającego tumultu już to głucho pomruki, już to wielki hałas, pomieszane z jękami i straszhliwemi klątwami.

Generał Eblé oświadczył cesarzowi, że sześć dni nie wystarczy, aby przejechała taka masa wozów. Ney radził, aby je spalić. Berthier sprzeciwił się temu. Cesarz, który wyrzucał sobie nieszczęście tylu ludzi, uwożących swe mienie na owych wozach, stanął po stronie Berthiera.

W nocy z 27-go na 28-y jeden tumult ustąpił drugiemu. Mosty opuszczono, maruderzy rzucili się do Studzianki. W jednej chwili zamieniła się ona w niekończący się biwak. Zimno i głód zatrzymały tu nieszczęśliwych, których niepodobna było stąd ruszyć. Cała ta noc straconą została dla przejścia rzeki.

Victor, z sześciu tysiącami ludzi, zastaniał ich przed Wittgensteinem. Lecz o świcie 28-go, gdy ujrzeli przygotowania do bitwy, usłyszeli grzmot dział Wittgensteina nad głowami, a Czyżagowa grzmiące równocześnie na drugim brzegu, porwali się wszyscy naraz i w zamieszaniu rzucili się ku mostom.

Ich trwoga była słuszną; ostatni dzień wielu tych nieszczęśliwców nastąpił. Wiatgenstein i Platow, z czterdziestu tysiącami armji północnej i zachodniej, atakowali wzgórza lewego brzegu, którego bronił korpus Victora, po stracie dywizji generała Partoureaux zredukowany do sześciu tysięcy ludzi. Równocześnie po prawym brzegu Czyczagow z 27 tysiącami armji południowej wyruszył ze Stachowy przeciw muszкетom Oudinotowi, Neyowi i Dąbrowskiemu, ogarniając przeważając siłą. Tam 2-gi i 3-ci pułk ułanów Księstwa Warszawskiego, 18-ty i 19-ty litewskich bohaterską okryły się zławą. Na prawem skrzydle przy Neyu walczyły szczątki V-go korpusu. Tam mężny sędziwy Zajęczek, z niezagojonymi z pod Sioleńska i Tarutyna ranami, na ramionach adiutantów swoich wstąpił, dowodził, dopóki mu kula armatnia kolana nie strząsała. Dowództwo po nim wziął Kniaziewicz i również ranny ustąpił, zdając komendę Lwercowi i Krasniskiemu. Padł ranny muszкет Oudinot, padł ranny dwukrotnie generał Dąbrowski, przy którym wybito prawie do nogi pułk strzelców litewskich jego dywizji.

Obie armje rosyjskie usilowały zająć wyloty obu mostów. Więcej niż sześćdziesiąt tysięcy ludzi „dobrze odzianych, dobrze odżywionych i kompletnie uzbrojonych“¹ walczyło przeciwko ośmnastu tysiącom półnagim, źle uzbrojonym, umierającym z głodu, odciętym rzeką, otoczonym bagnami, pod naciskiem więcej niż pięćdziesięciu tysięcy morderców, chorych i rannych, oraz ol-

¹ Ségur.

brzymiej masy bagaży. Marszałek Victor przeżył cały dzień 23-go listopada odpierając skutecznie ataki armji Wittgensteina. Trzy pułki polskiej piechoty, przybyłe z Hiszpanji, zaprawione w boju z okropnym wrogiem, szalały. Marszałek Ney, na czele Francuzów, Sasów i polskich pułków w liczbie ośmiu tysięcy, zmusił Czyczagowa do cofnięcia się korpusem do Stachowy. Walczyły tam pułki legji nadwiślańskiej, 17-ty i 14-ty pułk piechoty polskiej, 15-ty pułk ułanów z Józefem Dwernickim na czele.

Podczas tych bojów cesarz Napoleon pieszko pośród swej gwardji stał w Brętowej, kryjąc wyłoty mostów, gotów osobiście do ataku w razie potrzeby. Wojska Victora i Neya były dziesiątkowane i chwiały się pod naporem wielokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela, lecz nie ustąpiły ze swoich krwawych stanowisk.

Około południa pierwsze kule dział rosyjskich poczęły padać na mosty, przez które pełniły się tłumy, z końmi i wozami. Strach i rozpacz wybuchnęły w niewypowiedzianej potęgde.

„Wtedy, jak zawsze w dochodzących do ostateczności sytuacjach, pokazały się nagie serca, czyny bezecne i czyny wspaniałe“. Jedni otwierali sobie szablą w rękę ohydłą drogę. Drudzy okropnie jeszcze wozami tratowali masy, tłoczące się pod kołami. Inni płakali i wzywali pomocy. Chorzy i ranni z rezygnacją odłączali się i siadali na śniegu spokojnie, aby czekać śmierci.

Z mostów spychano się w rzekę. Kobiety z dziećmi na rękach zanurzały się w nurt, „w miarę, jak same tonęły, podnosząc w górę swe

dzieci; już zalane z głową trzymały je jeszcze wytężonemi rękoma nad sobą“.

Podczas tego strasznego zamętu most dla artylerji zachwiał się i załamał. Kolumna, maszerująca po nim, napróżno chciała się cofnąć: fala ludzi z tyłu idących, nie wiedząc o wypadku, nie słysząc krzyków, pchała przed sobą i wtrącała w odmet tych, co szli naprzód.

Wszystko rzuciło się ku drugiemu mostowi. Masa jaszczyków, ciężkich furgonów i armiat napłynęła ze wszech stron. Nagle wtrącone w zbity tłum ludzi, poczęły go rozбивać; potem wyważone z kolei, uderzając jedne o drugie, przewracając się, miażdżyły tych, którzy się między nie dostali. Na tych zaporach kłębiły się coraz nowe gromady, zrozpaczone, nieprzytomne, wyjące wniebogłosy. Przewróceni w dół zębami i paznogciami chwyтали się nóg przechodzących nad sobą. Ci odtrącali ich, jak wrogów.

Żony, matki przyzywały napróżno rozdzielającym głosem mężów i dzieci, od których jeden moment oddzielał je bezpowrotnie. Wyciągały do nich ręce, błagały, aby się rozstąpiono, aby pozwolono im się do nich zbliżyć. Ale unoszone przez tłum, bite i kopane, upadały nawet niedostrzeżone. W tym strasznym chaosie, przy świcie wściekłego huraganu, grzmocie dział i zgrzycie kul, wśród wybuchów granatów, wśród klątw, jęków, krzyków i złorzeczeń nie słyszano skarg deptanych i duszonych ofiar.

Najszczęśliwsi docierali do mostu, przekraczając góry rannych, kobiet, dzieci, przewróconych, na pół zadławionych, i deptąc wprost po ich

ciałach. Wdarłszy się wreszcie na wąski most mieli się za ocalonych, ale każdy koń padły, każda deska złamana, czy wyważona w jednej chwili zatrzymywały wszystko.

Na drugim zaś brzegu, u wylotu mostu, było bagno, w którem ugrzęzło mnóstwo wozów i koni, tamując wyładowywanie się. Tam powstała formalna walka. Silniejsi mordowali słabszych i darli się po ich ciałach naprzód.

„Lecz z drugiej strony ileż szlachetnych poświęceń!... Żołnierze, nawet oficerowie zaprzęgali się tam do sanek, aby wyrwać z tego złowrogięgo brzegu chorych lub rannych towarzyszy! Dalej, poza tłumem, kilkunastu żołnierzy stoi nieruchomych: oni trzymają straż przy konających swoich przełożonych, którzy się powierzyli ich opiece. Zaklinali ich oni, aby myśleli już tylko o własnem ocaleniu; odmawiają i raczej wołają własną śmierć lub niewolę, niż opuścić swych szefów“.

Antek Jamrozikowski zbył konia; wiedział, że o nowego nie będzie trudno, a koń mu w tem miejscu przeszkadzał. Antek nie przystał wprawdzie do żadnej z band łupieżczych, które się utworzyły pośród maruderów, broni nie rzucił i z szeregu nie wystąpił. Z Moskwy wioził on dosyć pieniędzy „pobieranych“ w torbie przewieszanej przez ramię; miał tam zegarki, pierścionki, tabakierki złote i uważał, że było to jedynem, co było zrabować warto. Jednak tu pod Berezyną, nie mógł nad sobą zapanować. Tyle dobra wszelakiego tu się nagromadziło, tyle miało wpaść w ręce kozackie, że nie byłoby sumienia, któreby ten widok znieść mogło obojętnie. Zwijał się

więc pomiędzy ludzi i co się dało, mnogo, zwłaszcza pozubionych sakiewek, pochwycił i do torby pchnął. Gdy już jednak ostatni pchalił nadchodziła, runął Antek na most, mocnymi kulakami, ulańskimi butami i nadwiślańskim pyskiem drogę sobie torując.

Wtem matka jakaś, idąca koło niego, zachybotała się, pięcioletniego chłopczyka, który obok niej się znajdował, złapała gwałtownie, sama się na moście utrzymując z wysiłkiem wśród naciśniętym; oboje zawisli prawie nad przepascią i drugi chłopczyk trzyletni z objęcia się jej wysunął i w wodę wpadł.

Kobieta wydała niehumaniczny krzyk rozpacz; Antek Janrozikowski, nad Wisłą wychowany, z mostu skoczył.

Dziecko dopadł prawą ręką, ale w lewej dla pewności w iloku, torbę z majątkiem złodziejskim dzierzył. Sekundę wisiał tak nad powierzchnią rozkrzyżowany, z dzieckiem w jednej, torbą w drugiej ręce. Wtem Polacy, przechodzący się przez most, usłyszeli żalostny głos Antka: Psia ci mać! Trza ci było, trznicieli zatracony do wody lecieć!!!

I torba Antkowa, obładowana złotem, wypuszczona z palców, w jednej chwili pograżyła się w wodzie; Antek zaś, mając rękę wolną, z dzieckiem płynął ku brzegowi.

— No, ulań, spisałeś się! — powiedział mu oficer polski, który mu się wydobyć z dzieckiem dopomógł.

Antek Janrozikowski tylko westchnął z rezygnacją i podał dziecko matce, która cudem

ocalona z mostu, w niezrozumiałym mu języku, ręce przed nim złożwszy dziękowała.

— Santo! Santo! — słyszał do siebie mówione.

— Santo? Jedne litere dodać po es! — mruknął. — Wszystko djabli wzięli! Drugi raz się wojna moskiewska nie zdarzy! Santo!....

Noc z 28-go na 29-ty pomnożyła jeszcze klęskę. Jej mrok nie zasłonił tłumów przed armatami rosyjskimi. Na śniegu, który otaczał koryto rzeki, czarna masa ludzi, koni i wozów, pełna wrzawy, dawała dostateczny cel artylerzystom.

Koło dziewiątej wieczorem okropny stan rzeczy jeszcze się pogorszył, gdy marszałek Victor rozpoczął odwrót i gdy jego dywizje rozpoczęły otwierać sobie straszne przejście pośród tych nieszczęśliwych, których dotychczas broniły. Jednak, ponieważ arjergardę pozostawiono w Studdiance; tłum zmarzniętych lub zbyt przywiązanych do swych bagażów osób nie chciał korzystać z przebycia rzeki tej ostatniej nocy. Nadaremnie podpalano wozy. Dopiero dzień zgromadził ich, wszystkich naraz i zapóźno, u początku mostu, na który się rzucili. O wpół do dziewiątej rano, generał Eblé, widząc nadciągających Rosjan, podłożył ogień.

Katastrofa osiągnęła punkt kulminacyjny. Mnóstwo wozów, trzy działa, kilkanaście tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci pozostało na przeciwnym brzegu. Zrozpaczeni klębili się nad rzeką, rzucano się w pław lub skakano na kry; byli tacy, którzy rzucili się z głową schyloną na most

w środek płomieni. Most się załamał. Z ognia padli w łód...

Kozacy sypnęli się na ten tłum. Rozpoczęła się rzeź, którą uśmierzył rabunek. Śmierć zastąpiła niewola.

Dwanaście tysięcy zabitych i rannych zostawiła Wielka Armja na brzegach Berezyny; piętnaście tysięcy zabitych i rannych i trzy tysiące dwieście zabranych w niewolę zostawiła armja rosyjska.

Ze strasliwemi obrazami w oczach stał nad rzeką Zaremba. Nigdy żadna najkrwawsza bitwa nie wytłumaczyła mu na źrenicach tej grozy, jak berezyńska przeprawa. Wszystko, co mogło sprząć się okropnego, sprzęgło się na tej rzece w paru ostatnich dniach listopada. Żywioł wody głębokiej i przepadłej, kry lodowe, mroź, przepastne moczary, tumult nie do opisania, przerażenie, szal, granaty, walące w masy ludzi bezbronnych, jak pioruny, walka dookoła podobna do zmagania się bestyj dzikich — oczy stały się panoramą piekielnego widoku. Poszczególne momenty spletały się; w pamięci jeden chaos tworzyły błyszczące z przerażenia, lub wściekłości białka ludzi najbliższych i dalekie masy, kłębiące się, jak rojowisko gadów, na które wrzącego popiołu nasuto. Wir rąk w górę wzniesionych z wyciągniętymi rozpacznie palcami i zwiniętych zakrwawionych pięści, szturm wozów, podobnych do przevalających się w hucie żużli, ryk i jęk, grzmoty armat, jakieś postacie, wybiegające z kłębu wielu tysięcy, inne rozpacznie nie mogące się zeń wydrzeć, zęby, świecące z kłających ust, ciała krwawe,

deptane, nieludzkie skręty członków w nieprzeznaczonych dla człowieka pozycjach powstałe — wszystko odmalowało się potworną potęgą wizji wzroku i słuchu. I te dwa mosty, dwa mosty Danteskie, mosty, które zdawały się być czemś współżywym, których tarcice i słupy pod naporem żywych ciał czemś jakoby podobnem się stały, mosty, zda się, przerażone własnem swem drganiem, chwianiem się i słabością, podległe ruchom toczącej się przez nie masy, mosty, które także jakoby w szalonej grozie poglądały w głucho szumiące nurty, płynące pod nim..... Ona jedna, Berezyna, rzeka, zdawała się być poza wszystkim. Równo i niewstrzymanie topiel jej zagarniała ludzi, konie, wozy, żywych i umarłych, wypryskała i gasła bez śladu nad wpadłemi w nią granatami, zalewała usta krzyczące mężów, spazm kobiet, płacz dzieci, piynęła ciągle, ciągle, symbol czasu, który wszystko zagarnia. Gdy ziemia ponad nią szalała, ona spokojna, wieczna, ciągła, szła i szła, unosząc ból, śmierć, życie, przerwane prawo szczęścia, zmiażdżone pragnienie życia. W osłupieniu patrzył, w pierwszym dniu ją przebywszy i w odwodzie stojąc, na Berezynę Zaremba. Otóż nic innego, tylko taka Berezyna zalała i zatopiła istnienie Teresy Mirskiej; jej życie, jego szczęście, ich prawa i pragnienia. Berezyna pochłania armję wielkiego cesarza — — z szumem, z nieubłaganym, głuchym szumem, z płytami złowrogiej zimnej kry na fali zbliża się ku niemu, nadpływa...

Spojrzał Zaremba na Napoleona. Wpółśród grenadjerów swoich stał ze szpadą w dłoni.

Dojrzał Zaremba jego spojrzenie. Ach, te oczy
lwa — — stały się oczyma wulkanu.

Jakież moce, jakież ognie wewnętrzne, jakież
przesuwające się wewnątrz lawiny wrzącej siarki
wypełniają duszę i serce cesarza... Stoi on sam...
Jak wódz naprzeciw rosyjskich żołnierzy — —
jak duch naprzeciw przepaści wodnych Berezyny.
Gdyby ją jak Herkules mógł ująć u gardła i ści-
snąć, zatamować i nogą przydeptać! I co to
jest być wielkim! Jakże się burzyć, jak szaleć
musi duch cesarza, na żelaznem wędzidłe jego
panowania nad sobą trzymany!...

Ścisnął szablę Zaremba i w siedle się po-
prawił, a za chwilę, jak wicher, za danym rozka-
zem, gnał z ulanami do ataku. Ujrzał przed sobą
twarz kozacką. Zapomniał o wszystkim. Ucał
jedną tylko żądzę: zadawania śmierci.

*

*

*

Wielka Armja, jej szczątki dobyte z błot za
Berezyną posuwały się ku Ziemblinowi. Ani
most na Dzwinię, która powinna się była stać
grobem tych szczątków, ani dwadzieścia trzy
mosty na nieskończonych nie do przebycia inaczej
moczarach, nie były zniszczone. A drzewo było
u ich podpraw tak suche, że „fajka kozacka by-
łaby wystarczyła do podpalenia“. Dni kilka stali
nad niemi Rosjanie. Wzięta między Berezynę a te
bagniska i Dzwinię Wielka Armja, bez żywności,
bez osłony, sieczona paraliżującym członki hura-
ganem, byłaby się stała wraz z wodzem łatwą
pastwą. Czy Fortuna nie śmiała jeszcze tak

nagle w odmęcie odwróconego losu Bonaparte'go pogrążyć? Żaden z wodzów rosyjskich nie zastąpił mu drogi. Byli tacy w armji napoleońskiej, którzy przypuszczali, że „uszanowanie dla osoby cesarza, żywione przez wielu Rosjan, wstrzymało ich od zadania mu tego ostatniego ciosu“¹.

On już dzień i noc, trzy dni i trzy noce czuwał nad wojskiem, patrząc, skąd zaatakowany zostanie, podtrzymując w niem ducha i otuchę, wydając rozkazy, jakgdyby marszałkowie stali jeszcze na czele potężnych swoich korpusów. Była to gra dziwna i tragiczna, było to dojmujące do szpiku stosowanie zasady, że „ten jest pobity, kto się za pobitego uzna“, że „wyobrażnia rządzi światem“. Było to przejście do porządku dziennego nad ruiną majątku, by folwark ocalić, niesłyszenie wyroku lekarza jeszcze na godzinę, na dwie.

Zdruzgotany olbrzym „nie widział“ swojej klęski, a generał adjutant hrabia de Narbonne, wykwinny minister Ludwika XVI-go, siedział na trzaskającym mrozie na zaśnieżonym pniaku zgnitej sosny, pięknie się goląc i wykwinnie włosy fryzując i pudrując. Młody Turenne patrzył nań w zdumieniu.

— Dalibóg — rzekł — nie wiem, kim się więcej zachwycać: czy cesarzem, który wydaje rozkazy nieistniejącym korpusom, czy panem jene-

¹ Brandt. Czyczagow usprawiedliwiał się, że palenie mostów byłoby się na nic nie zdało, o ile byłby przyszedł mróz i ściał lodem rzeki i bagna, co się też stało' gdy je Wielka Armja za sobą spaliła.

rałem, który w ten mróz i wiatr, w tych bagnach przeklętych, tak straszną tualetę robić potrafisz?

— I masz ochotę—dodał któryś z oficerów.

— Moi panowie — odpowiedział hrabia de Narbonne — sądzę, że wybrałem lepsze zajęcie, niż gryźć paznogie i narzekać, z czego zresztą nikomu nic nie przyjdzie.

— A z tualety?

— A proszę panów — odparł hrabia de Narbonne:

Pytał raz wiatr w pustyni psa, co ogon w górę podniósł, dla kogo przyjął tak dumną posturę?
Na to mu pies odpowie: kto nie ma osoby,
ten nie może rozumieć potrzeby ozdoby.

— Hahaha! — zaśmieli się oficerowie. — A cóż to nas generał za pustkę uważasz?! Nakształ wiatru w pustyni?

Zaś hrabia de Narbonne:

Pysznił się raz przed wiatrem młyn, że skrzydłem śmiga,
a waszeć gonisz tylko światami, jak fryga,
ni to desek, ni gwoździ — — kiedy się tak chwalił,
wiatr zadał nieco silniej i młyn cały zwałił.

— No, to my mamy już satysfakcję! — zawołał Turenne.

Wtem nadszedł cesarz.

— A! U panów wesoło? Chwała Bogu. Jeszcze dotąd zrozumieć nie mogę, dlaczego Czapllic pozwolił mosty dokończyć na Berezynie? Wojsko rosyjskie musi być bez głowy. Bo

i w tych bagnach powinni nas wytopić, jak myszy. Jeżeli będę kiedy na starość pisał pamiętniki, te dwa fakta podam jako fenomena wojenne. W tym kotle, w jakim teraz jesteśmy, żadne woły Hannibala z chrustem zapalonym na rogach nicby nam nie pomogły.

— Gwiazda najjaśniejszego pana pali się tu zamiast chrustu — ozwał się ktoś ze sztabu.

Napoleon spojrzął w tę stronę; widocznie był wdzięczny. Hrabia de Narbonne zrozumiał, że nadeszła już chwila, kiedy Bonapartemu potrzeba było mówić o jego gwieździe. Straszliwe przygnębienie chował on w sobie, jak sztylet wbity w pierś pod płaszczem. Niemniej, choć rana była ukryta, krew uciekała.

Cesarz wszedł do domu, który służył mu za kwaterę. Gdy pojawił się przed nim hrabia de Narbonne, rzekł doń:

— Dajesz pan dobry przykład. Tylko ten jest pobity, kto się uważa za pobitego. Ja sam nie pokazuję po sobie, co czuję.

Począł chodzić po pokoju. Po chwili zatrzymał się przed hrabią de Narbonne i wydobył z za koszuli na piersiach małą torebkę, zawieszoną na tasemce koło szyi.

— Patrz pan.

De Narbonne spojrzął.

— Wiesz, co to jest? Trucizna. Noszę to na sobie od czasu wojny hiszpańskiej, kiedy szedłem na Madryt. Nigdy nie można być pewnym, co nastąpi. Myślałem, że nad Berezyną może mi to przyjdzie poćkać.

— Uchowaj Boże! — zawołał de Narbonne.

Cesarz uśmiechnął się.

— Stare nalogi. Bóg. Bóg był mi na to potrzebny, abym mógł zawrzeć konkordat. Choć kto wie... Jednak co do mnie, gdybym był Bogiem, tobym się tak objawił, żeby nikt o mnie nie mógł wątpić.

— W rozkazie dzianym do świata — uśmiechnął się hrabia de Narbonne.

— Napisawszy gwiazdami, a słońce by odczytało. Albo się jest, albo nie. Być może zjesz, że Bóg kiedyś dawał się poznać ludziom i pozostała pamięć o tem. Nasza wiara może być tylko tradycją. Ale dlaczego o pewnego dnia miałby się Bóg przestać objawiać? Byłoby to abdykacja. Będąc Bogiem nie abdykuje się. Jak pan myślisz, w jakiej postaci ja przyjdę do historii?

— W szarym płaszczu i w małym kapeluszu, sire.

— Nie o tem myślałem. Cezar przeszedł jako zdobywca Galji i twórca cywilizacji Europy zachodniej. Ja byłem reformatorem. Duch rewolucji potrzebował mnie, aby przyoblec ciało. Jestem człowiekiem przeznaczenia. Tymczasem musiałem we Włoszech uciekać w nocy przed pobitymi Austriakami, którzy wtaranili się w odwrocie na moją kwaterę, z łóżka w majtkach, ze spodniami w ręką. Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas. Wówczas byłem najchudszy człowiekiem we Francji. Teraz musiałbym się otruć... Jednak chciałbym mieć jeszcze raz w życiu most pod Arcole. Wówczas miałem świat przed sobą...

— Teraz go najjaśniejszy pan ma pod sobą — ozwał się de Narbonne.

— Może już tylko minem. Prusacy nienawidzą mnie; co do Austrii, jestem jej zięciem, ale wnawiam w siebie tylko, że oni zapomnieli klęsk i upokorzeń. Mam czasem uczucie, że moje dzieła cywilne przetrwają moje dzieła wojenne... De Narbonne, wiedz mi, lepszą może część obrał błogosławiony Bonawentura Bonaparte w swoim cichym klasztorze... Byłbym sobie wszystkich kapłanów zjednał, gdybym go był kazał zrobić świętym. Ale byłbym się za- nadto ośmieszył...

Przecie i ja jednak nie byłem stworzony do tego, czem zostałem...

Gdy cesarz pozostał sam, raz jeszcze wydobyl z za munduru pakiecik z trucizną i popatrzał nań.

— Kto wie, czy nie chciałem za wiele? — szepnął.

*

*

*

Mróz straszliwy, dwudziestosześciostopniowy spadł na armję rozbitą. Konie padały tysiącami, ludzie marli z zimna, jak od zarazy. Wszystek duch upadł pod okropną klęską fizyczną. Nie było już ani Boga, ani praw i związków ludzkich, nie, tylko śmiertelne cierpienie i śmierć. I kłątwy, miotane we wszystkich językach Europy, na Polskę i polską wojnę.

Cesarz nie słyszał już nic. Szedł lub jechał pośród tych nieszczęśliwych, pod osłoną świętego

szwadronu, z pięciuset oficerów wybitych pułków sformowanego, paru tysięcy gwardji i polskich szwoleżerów, którzy nie tracąc fantazji opierali się głodowi, trudowi i mrozom. Szedł lub jechał drogą śmierci i konania, nie patrząc już na nic. Trupy mościły mu drogę. Leżały za nim, wokoło witały go, gdy nadchodził. Żołnierze podobni do widm, do upiorów okropnych, poubierani w futra, szuby, tak męskie, jak kobiece, w żydowskie żupany, czapki rozmaitego rodzaju, kożuchy, przez południowców na nogi rękawami obuwane i wiązane na szyi, sukmany, siermięgi, ornaty i kapy kościelne, ostatka sił dobywali, aby się z tej „djabelskiej krainy“ dostać do Wilna. Brud, robactwo pożerały ich ciała, palily ogniem żywym. Ludzie na postojach zdzierali z siebie odzienie do naga i nagiemi plecami tarzali się po podłodze, krew ze strupów sącząc. A trwoga padła taka, że jeden krzyk: kozacy!—rozpędzał ich, jak stado kuropatw widok jastrzębia. Demoralizacja, upadek, zatracenie osiągnęło najwyższego stopnia.

Nie było już armji. Była to ucieczka pięścią Bożą zdruzgotanych różnojęzycznych narodów, wieża Babel klęski, wznosząca się ku pamięci najpotężniejszej istoty ludzkiej.

Nie było wodzów, ni komendy. Hufcami wlekli się martwce skazani na zagładę, ślinę z krwią z ust spękanych od piekielnego mrozu toczący. Jeńcy, Rosjanie z pod Berezyny, zjadali trupy i ginęli w konwulsjach.

Dookoła zaś wrzał bój, pojedyncze, utrzymujące karność bataljony odpierały wroga, marszałek Ney zamykał odwrót z karabinem w rękę.

Napoleon spieszył na kwaterę do Mołodeczna, pałacu Ogińskich. Gdy podjeżdżał pod podwórze, wzrok jego padł na grupę ciał na śniegu. Młodziutki żołnierz leżał na wznak na płaszczu ułańskim z głową wspartą o piersi młodszego jeszcze od siebie ułana. Napoleon przypatrzył się bacznie. Kto to? — zwrócił się do jadącego obok hrabiego de Narbonne.

— Starszy widocznie padł od rany, czy wycieńczenia; młodszy zmarł tej nocy, podtrzymując tamtemu głowę. Podobni, jak bracia—odpowiedział de Narbonne.

Cesarz przerwał mu:

— To synowie tego Slugne, pamiętasz, za Niemnem, w lipcu. Obiecałem ich oddać ojcu oficerami. Jedźmy!

Ruszył w klus i wjechał w bramę podwórca pałacu, opuszczonego przez właściciela.

Wcielony w szwoleżerów dla niezłomnej wytrwałości Wartałowicz zobaczył z konia i poznał trupy Słupściów. O Jezul! — jęknął w myśli.— To ci dwaj panice, którzy go pod Ostrownem uratowali od śmierci! Choć rozdzielili się w bitwie, snadź spotkali się znowu i wszystko przetrzymali razem, aż do tego momentu...

Wartałowicz także przetrzymywał wszystko. Bój, głód, mrozy, fatyga i nędza były dla niego niczem: on ochraniał cesarza. Rozumiał, że muszą być tacy, z których każdy sobie z osobna musi powiedzieć, że życie i wolność cesarza od niego zawisły.

On chronił i bronił cesarza, a siły jego, miast

upadać, potężnieć się zdały. Zawsze prosty żołnierz, choć wielu innych przy nim z prostych żołnierzy na podoficerów już awansowało. Nawet bez krzyża.

Wstydzono się niemowę zaprezentować do nagrody. Ale on nie dbał o to. Spełniał to, czem go w Pucimuszkach napojono. Nie o orderu mu szło, ale o blizny. Aby mógł ze szczerą prawdą Napoleonowi powiedzieć:

„lecz ty patrz na nasze blizny”...

Wartałowicz wierzył wprawdzie święcie, że cesarz nie może być zwyciężony i że powróci raz jeszcze rozprawić się z Rosją. Lecz cesarz zmuszony brnąć po śniegach, nocować czasem w karecie, on, o którego dworze i wspaniałości tyle się książd proboszcz Fasolkowski naczytał i tyle naopowiadał

Wartałowicz by mu był na postojach nogi własnymi piersiami ogrzewał.

Cesarz zajął kwaterę w pałacu. Zastał tam długo niewidzianych kurjerów Francji. Oko w oko stanął wobec kraju, któremu zabrał kilkaset tysięcy ludzi i któremu część ich tylko zwróci. Zobaczył swój tron złoty z orłami i literą „N”, który mu Francja ofiarowała, gdyż stał się dla niej wielkim. Usłyszał on olbrzymi jej, pytający głos: co uczyniłeś?

Słońce jasno świeciło z nieba; a w tem słońcu wydawała mu się być widną daleka twarz Francji. Pytała ona, co uczynił i czego dokonał jako jej monarcha, jako wódz kroci jej synów?

Żądała prawdy. Daleka i podniosła patrzała nań z takim niepokojem, z taką trwożną, we wnętrzościach rodzoną, ciekawością, że jedyne, co można było jej odpowiedzieć, była prawda.

Ale przyznać się do klęski? On?!

Do klęski jakiej świat nie znał jeszcze?

On?!

Do klęski, którą pycha, przedewszystkiem pycha zgótowała?!

Mózg Napoleona zwinął się, jak wąż...

Przez wąskie wargi przeleciał mu błysk chytrłości górala z Korsyki. Tak jest, powie prawdę — zresztą musi, ukryć się ona nie da — ale okręci ją w takie mnóstwo omówień, frazesów, szczegółów, wyłuszczeń, słów, tak ją rozwodni i omgla, że zgubi w tych fałdach nagą jej okropną rzeczywistość. A zanim cały istotny rozmiar klęski Francja pozna, będzie w Paryżu już sam, uprzedziwszy szczątki Wielkiej Armji i jej usta — i rany śmiertelne.

Nietylko jednak o Francję szło. Austria i Niemcy podobne były do uwiązanych na łańcuchu niedźwiedzi, które tańczyły w takt, jak im cesarz francuski grał, dopóki potężna maczuga w jego ręku unosiła się nad ich łbami, potracąca je w piersi, a w razie buntu mogła im kości potrzaskać. Anglja i Hiszpanja, ten tygrys niezwalczony i ten ryś zażarty, który się bronił i nie chciał dać skrepować, wietrzyły jego moc. Nie można było na chwilę wątpić, że gdy ujrzą maczugę jego pękniętą w dłoniach u drzewca, porwą się, jak wściekłe, do nowych bojów i zamachów na jego wszechwładzę.

Podźwignie głowę legitymistyczna partja królewska Bourbonów, podźwigną głowę starzy pierwotni rewolucjoniści; zachwieje się czyto w przywiązaniu szczerem, czy przymusowem, czy w zaufaniu, czy w zniewoleniu trwogą mnóstwo serc dziś jeszcze oddanych cesarstwu. Dlatego niedość omówień, frazesów, szczegółów, wydarzeń, słów, mających na celu osłabić wrażenie sprawozdania z klęski, które zawierać się powinno w jednym wyrazie: *klęska* — ale trzeba przekonać, że choć armja-maczuga w ręku pękła, to jednak ręce te są tak silne, jak były, wykrzesać potrafią nową i władać nią tak, jak władały. Należało, nie zdradzając się nawet z przypuszczeniem, o czem się myśli, stawiając się pozornie ponad możliwość wszelkich przypuszczeń, powiedzieć groźbę przeciw wszystkiemu, cokolwiekby się gdzie na ruinie Wielkiej Armji budować pomyślało.

Cesarz chodził z rękami w tył założonemi, oficer zaś służbowy z piórem w ręku czekał na rozpoczęcie dyktatu.

Krok cesarski znamionował rozdrażnienie nerwowe, nad którem usiłowała zapanować wola i chęć skupienia w sobie wewnętrznego spokoju. Od czasu do czasu cesarz stawał, jakby już miał dyktować i znów poczynął chodzić wpoprzek sali. Żołnierska, uczciwa, twarda szczerłość, która była zasadą duszy cesarza, walczyła w nim z wrodzoną mu chytrnością i perfidją; ambicja i pycha oponowały racjom rozumu. A nawet samym sobie. Bo jeżeli ambicja i pycha wzdrygały się na myśl wyznania klęski, to niemniej

podnosiły się na myśl roli włóczkowej roboty, zamiast rzucenia na stół ołowianej kulki o jednym dźwięku.

Lecz wreszcie cesarz stanął i zaczął dyktować:

„Mołodeczno 3-go grudnia 1812.

Aż do 6-go listopada czas był śliczny i marsz armji odbywał się z największem powodzeniem. Zimno zaczęło się 7-go; od tej chwili traciliśmy każdej nocy setki koni, które ginęły na biwakach. Przybywszy do Smoleńska jużśmy utracili mnóstwo koni kawaleryjskich i artyleryjskich. Armja wołyńska rosyjska była skierowana na nasze prawe skrzydło. Opuściło ono linję operacyjną na Mińsk i jako główną wytyczną swoich operacyj przyjęło dyрекcję na Warszawę. Cesarz dowiedział się 9-go o tej zmianie linji operacyjnej i zdawał sobie sprawę, co uczynić by mógł nieprzyjaciel. Jakkolwiek groźnym wydawał mu się pochód, w tak straszny czas, nowy stan rzeczy zmuszał go do tego. Spodziewał się przybyć do Mińska, a przynajmniej nad Berezynę, przed nieprzyjacielem; 13-go wyjechał ze Smoleńska; 16-go spał w Krasnoje. Zimno, które rozpoczęło się 7-go, wzmogło się nagle i od 14-go przez 15-ty termometr wskazywał 16 i 18 stopni poniżej zera. Drogi pokryły się gołoledzią; konie kawalerji, artyleryji, trenu ginęły każdej nocy nie setkami, ale tysiącami, zwłaszcza z Francji i z Niemiec. Przeszło 30,000 koni zginęło w krótkim przeciągu czasu, nasza kawalerja cała została spieszoną; artyleryja i furgony znalazły się bez zaprzęgów. Trzeba było opuścić i zniszczyć znaczną część

dział, amunicji i zapasów żywności. Armja, tak piękna 6-go, miała zupełnie inny wygląd od 14-go, prawie bez kawalerji, bez artylerji, bez furgonów. Pozbawieni kawalerji nie mogliśmy zasięgnąć wiadomości na ćwierć mili naprzód, bez artylerji zaś nie mogliśmy ryzykować bitwy i śmiało jej oczekiwać; trzeba było maszerować, aby nie być zmuszonym do bitwy, której brak amunicji nie pozwalał nam sobie życzyć; trzeba było zajmować taką przestrzeń, aby nie zostać otoczonym, i to bez kawalerji, któraby patrolowała i utrzymywała komunikację kolumn. Ta trudność, dodana do nadzwyczajnego, nagle powstałego zimna, czyniła naszą pozycję przykrą. Ludzie, których natura nie zahartowała dosyć silnie, aby stać ponad wszelkimi zmianami losu i powodzenia, zachwiali się; stracili wesołość, dobry humor i nie przewidywali, tylko same nieszczęścia i katastrofy; ci, których stworzyła wyższymi nad wszystko, zachowali swoją wesołość i zwykle obyczaje i widzieli nową chwałę w pokonywaniu coraz nowych trudności.

Nieprzyjaciół, który widział na drogach ślady okropnej klęski, jaka spadła na armję francuską, usiłował z niej korzystać. Otaczał wszystkie kolumny kozakami, którzy, jak Arabi w pustyni, zagarniali furgony i wozy odosobnione. Ta.... kawalerja, która....

.

okazała się straszną przy sprzyjających okolicznościach. Jednak nieprzyjaciół musiał zaniechać wszystkich poważnych prób, jakie chciał przedsięwziąć; pobity został przez wicekróla, naprzeciw

którego zajął stanowiska, i utracił tam wielu ludzi.

Książę Elchingen¹, który z 3,000 ludzi tworzył arjergardę, wysadził w powietrze szanice Smoleńska. Został on osaczony i znalazł się w sytuacji krytycznej; wydobył się z niej z nieustraszonnością, która go cechuje. Trzymając przez cały dzień 18-go nieprzyjaciela w oddaleniu od siebie i odpierając go niezlomnie, w nocy uczynił manewr od prawego boku, przeszedł Borysten i omylił wszelkie rachuby nieprzyjaciół. 19-go armja przeszła Borysten do Orszy, a armja rosyjska, zmęczona, straciwszy wiele ludzi, zaniechała tutaj swoich usiłowań. Armja wołyńska skierowała się od 16-go na Mińsk i maszerowała na Borysów. Generał Dąbrowski bronił wejścia na most w Borysowie z 3,000 ludzi, 23-go był zmuszony i zniewolony opuścić tę pozycję. Nieprzyjaciel przeszedł wtedy Berezynę, maszerując na Bobrujsk; dywizja Lamberta stanowiła awangardę. Drugi korpus, dowodzony przez księcia Reggio², otrzymał rozkaz udania się na Borysów, aby zapewnić armji przejście Berezyny. 24-go książę Reggio spotkał dywizję Lamberta o cztery mile od Borysowa, zaatakował ją, pobił, wziął 2,000 niewolników, 500 furgonów armji wołyńskiej, i odrzucił nieprzyjaciela na prawy brzeg Berezyny. Generał Berkheim z 4-ym pułkiem kirasjerów odznaczył się piękną szarżą. Nieprzyjaciel uratował się paląc most, który miał przeszło 300 sążni długości.

¹ Ney.

² Oudinot.

Tymczasem nieprzyjaciel zajął wszystkie przejścia Berezyny; rzeka ta ma 40 sążni szerokości¹; miała na sobie dosyć lodu, a brzegi jej otaczają bagna na 300 sążni długie, co czyni ją przeszkodą trudną do przebycia. Wódz nieprzyjacielski ustawił swoje cztery dywizje w różnych punktach, o których przypuszczał, że armja francuska będzie chciała tamtędy przechodzić.

26-go, ku końcu dnia, cesarz, omyliwszy nieprzyjaciela rozmaitemi ruchami, dokonanemi 25-go, pomaszerował do wsi Studzianki i rozkazał natychmiast, pomimo dywizji nieprzyjacielskiej i w jej obecności, rzucić dwa mosty przez rzekę. Książę Reggio przeszedł, zaatakował nieprzyjaciela i pędził go przez dwie godziny; nieprzyjaciel cofnął się do mostu pod Borysowem. Generał Legrand, oficer wielkiej zasługi, został tu ciężko raniony, ale nie niebezpiecznie. Cały dzień 26-go i 27-go odbywał się przemarsz armji.

Książę Bellune², komendant 9-go korpusu, dostał rozkaz posuwać się za księciem Reggio, zasłonić tyły i zatrzymać armję rosyjską Dźwiny, która nań następowała. Dywizja Partouneaux tworzyła arjergardę tego korpusu. 27-go, w południe książę Bellune przybył z dwiema dywizjami pod most pod Studzianką.

Dywizja Partouneaux wymaszerowała w nocy z Borysowa. Jedna brygada tej dywizji, która formowała arjergardę i która miała rozkaz spalić mosty, wyszła o siódmej wieczorem, przyszła

¹ Brandt Podaje szerokość na 150—160 kroków.

² Victor.

między 10-tą i 11-tą; szukała pierwszej brygady swojej i jenerała dywizji, który wraz z nią wymaszerował dwie godziny przedtem i z którym się nie spotkała w drodze. Poszukiwania były daremne; poczęto się niepokoić. Wszystko, co można było zrozumieć, to, że pierwsza brygada, wymaszerowawszy o 5-ej, straciła kierunek prawidłowy o 6-ej; zwróciła się na prawo, zamiast na lewo i uczyniła w nocy trzy mile; że w nocy i zziębnięta zbliżyła się do ognia nieprzyjacielskich, które wzięła za ognie armji francuskiej i, otoczona, została zniesiona. Ta okropna pomyłka miała nas kosztować 2,000 ludzi z piechoty, 300 koni i trzy działa. Krążyły wieści, że generał dywizji nie znajdował się razem z kolumną i maszerował osobno.

Po przejściu całej armji 28-go rano, książę Bellune strzegł mostu na lewym brzegu; książę Reggio, a za nim cała armja była na brzegu prawym.

Skoro Borysów został opuszczony, armje Dźwiny i wołyńska skomunikowały się; postanowiły atakować. 28-go, późnym dniem, książę Reggio zawiadomił cesarza, że został zaatakowany; w pół godziny później książę Bellune został zaatakowany na brzegu lewym; armja chwyciła za broń. Książę Elchingen udał się w pomoc księciu Reggio, a książę Trevizo¹ za księciem Elchingen. Wywiązała się żywa walka: nieprzyjaciel chciał oskrzydlić nasz prawy bok. Generał Doumere, komendant piątej dywizji kirasjerów, tworzący część 2-go korpusu pozostałego nad Dźwiną,

¹ Mortier.

rozkazał szarżować 4-mu i 5-mu pułkowi kirasjerów w chwili, gdy legja nadwiślańska wchodziła w las, aby przebić centrum nieprzyjaciela, który został pobity i rozproszony. Dzielni kirasjerzy rozbijali kolejno sześć kare piechoty i rozproszyli kawalerję nieprzyjacielską, przybyłą na pomoc piechocie; 6,000 więźniów, dwa sztandary i sześć dział wpadło w naszą moc.

Ze swej strony książę Bellune atakował potężnie nieprzyjaciela, pokonał go, zabrał 500 do 600 jeńców i trzymał go poza możliwością strzału armatniego na most. Jenerał Fournier wykonał piękną szarżę kawalerji. W boju nad Berezyną armja wołyńska wiele ucierpiała. Książę Reggio został raniony; jego rana nie jest niebezpieczną; otrzymał kulę w bok.

Nazajutrz, 29-go, pozostawaliśmy na placu walki. Mieliliśmy do wyboru dwie drogi: na Mińsk i na Wilno. Droga na Mińsk przerzyna środek lasu i dzikich bagien, i armja nie może się tam zaopatrywać w żywność. Droga na Wilno przeciwnie idzie przez bardzo dogodne okolice. Armja bez kawalerji, z małym zapasem amunicji, straszliwie zmęczona pięćdziesięciodniowym marszem, wlokąca za sobą chorych i rannych z tyłu walk, potrzebowała dostać się do swoich magazynów. 30-go kwatera jeneralna była w Plechtchennitsy¹; 1-go grudnia w Staiki, a 3-go w Mołodiecznie, gdzie armja otrzymała pierwsze transporty z Wilna.

Powiedzieć, że armja potrzebuje odświeżyć swoją karność, postawić się na nogi, znaleźć konie

¹ sic.

dla kawalerji i artylerji i odnowić materiał wojenny, oto jest rezultat sprawozdania. które się czyni. Odpoczynek jest jej pierwszą potrzebą. Materiał wojenny i konie przybywają. Jenerał Bourcier ma już więcej niż 20,000 koni remontu w różnych punktach. Artylerja pokryła już swoje straty. Jenerałowie, oficerowie i żołnierze wiele wycierpieli z powodu trudu i niedostatku. Wielu straciło bagaże wskutek ubytku koni; niektórzy wskutek napadów kozackich. Kozacy zabrali mnóstwo ludzi odosobnionych, inżynierów, geografów, którzy zdejmowali pozycje i oficerów rannych, którzy szli nieoględnie, woląc ryzykować, niż maszerować porządnie i w konwoju. Raporty jeneralnych dowódców, komenderujących korpusami, dadzą poznać oficerów i żołnierzy, którzy się najbardziej odznaczyli i szczegóły wszystkich tych pamiętnych wypadków. Podczas całego pochodu cesarz zawsze znajdował się pośród swojej gwardji, której kawalerją dowodził książę Istrii¹, a piechotą książę Gdańska². Jego cesarska mość był zadowolony dobrym duchem, który okazywała jej gwardja; była ona gotowa zawsze iść wszędzie, gdzieby okoliczności tego wymagały; ale okoliczności były zawsze takie, że sama jej obecność wystarczała i że nie była zmuszoną występować czynnie.

Książę Neuchâtel³, wielki marszałek⁴, wielki koniuszy⁵ i wszyscy adjutanci i oficerowie Domu

¹ Bessières.

² Lefèbvre.

³ Berthier.

⁴ Duroc.

⁵ Caulaincourt.

Cesarskiego towarzyszyli zawsze Najjaśniejszemu Panu.

Nasza kawalerja była tak pozbawiona koni, że trzeba było połączyć oficerów, którym pozostało po koniu, aby utworzyć cztery kompanje po 150 ludzi każda. Jenerałowie spełniali tam funkcje kapitanów, a pułkownicy podoficerów. Ten święty szwadron, dowodzony przez jenerała Gruchy, a pod rozkazami króla Neapolu, nie tracił z oka Cesarza podczas całego pochodu“.

Cesarz, który w trakcie dyktatu chodził po pokoju, nagle zatrzymał się.

To wszystko, co dotąd powiedział, było wszystko wymierzone przeciw niemu. Jakkolwiek to przedstawiał, cokolwiek opowiadał, czemkolwiek od głównej i jedynej ważnej treści uwagę Europy chciał odwrócić, wirując w szczegółach nawet czwartego rzędu: fakt nie przestawał być faktem. Maczuga pękła u drzewca.

Dobitnie, wyraźnie, podnieconym głosem podyktował:

„La santé de sa Majesté n'a jamais été meilleure“.

Oficer pomimowoli podniósł wzrok na cesarza, ale cesarz nie chciał tego spostrzec. Ten kretyń uważa, że to wygląda na bezczelność z mojej strony — pomyślał, lecz w tym momencie, rzuciwszy oczy w okno, zobaczył rzecz dziwną. Nad leżącymi w końcu podwórza ciałami ludzkiemi stał wysoki człowiek w szlachetnej polskiej szubie i kłaniał się w stronę pałacu. Raz po raz. Czy widział cesarza na ten dystans przez zamknięte okno? Dzień był jasny i słońce świeciło.

Cesarz chwycił za lunetę i odepchnął szyby.
Spojrzał i zawołał:

— De Narbonne!

Z sąsiedniej komnaty wyszedł generał adjutant.

— De Narbonne — weź lunetę — patrz — kto tam się kłania do mojego okna?

Hrabia de Narbonne popatrzył, położył lunetę na stole i rzekł głosem, który zadrżał:

— Najjaśniejszy panie, to Slugne.

— Slugne?!

— Stoi nad zwłokami swoich synów i kłania się w okna waszej cesarskiej mości. Musiał wyjechać naprzeciw nich, narażając się na wszystko; znalazł ich prędzej może, niż się spodziewał.

Napoleon umilkł. Wyjął z tabakierki szczyptę tabaki i oparł z nią rękę o stół.

— Ale żeby mnie na taki dystans wypatrzyć? — rzekł.

— Na to trzeba — — hrabia de Narbonne nie dokończył.

— Mieć oczy orła, albo być szalonym i czuć oczyma — rzekł cesarz.

— Lub, najjaśniejszy panie — —

— Wiem! — krzyknął cesarz. — Wiem, co chcesz powiedzieć: lub stracić synów! Przeze mnie!

Dwa razy zatoczył cesarz koło po komnacie gwałtownym krokiem, poczem odezwał się do hrabiego de Narbonne z wymuszonym spokojem:

— Zanieś temu Slugne'owi tytuł hrabiego i dwakroć sto tysięcy franków.

— Najjaśniejszy panie — odpowiedział de

Narbonne z głębokim ukłonem — tego nie uczyni wasza cesarska mość.

— A więc rób z nim, co chcesz! — rzekł cesarz, porwał gwałtownie kapelusz, leżący na stole, przeszedł do innej sali i zatrzasnął drzwi za sobą.

A zatraskując drzwi, zatrzasnął także szufladę z familją Ślupściów w pamięci — na pozór. Sztafetę z biuletynem rozkazał wysłać do Paryża. Lecz to było głupstwem.

W ogromnej jakiejś sali balowej, czy koncertowej pałacu młodeczniańskiego krążył teraz cesarz, ważąc rzecz, której ciężar przygniatał mu barki ku ziemi.

Lada dzień przedrą się do Europy wiadomości fatalne — — a wówczas...

Oto nędzny jakiś generał Mallet potrafił pogrzebać tak łatwo wszystkie instytucje cesarstwa. I nikt, nikt przez dwadzieścia cztery godzin nie pomyślał o Napoleonie II, o cesarzowej regentce!...

Byłoż to więc wszystko zewnątrz blachą złotą, a wewnątrz próchnem?

Dokładne czytał wiadomości. Śmiech brał, śmiano się w Paryżu, a jednak...

Czytał i oczom nie wierzył.

Generał Mallet, fanatyk republikański, odsunięty, potem uwięziony, potem zamknięty w domu zdrowia, wymknął się stamtąd 22-go października, udał się do koszar Popincourt, przedstawił jako generał Lamotte, oficer komendy placu w Paryżu i na mocy depesz sfabrykowanych, przekonał, że Napoleon umarł 7-go października w Moskwie, senat zaś, na zgromadzeniu nocnem, obwołał rzeczpospolitą. Dano mu oddział żołnierzy,

z którymi uwolnił z więzienia sprzedawczyków angielskich generałów Guidal'a i Lahori'ego, którzy mu dopomóc mieli, a ponieważ podstęp im nie wyjął, szli mu więc na rękę tem odważniej. Aresztowano ministra policji Savary'ego i prefekta policji Frocho't'a. Przez 24 godzin Paryż był pod władzą Malleta. Dopiero katastrofa z komendantem placu generałem Hulin, który Malletowi się oparł i do którego Mallet strzelił z pistoletu, wywołała reakcję. Poznano go, odkryto spisek. Ostrożny, przenikliwy i energiczny adjutant major Laborde być może ocalił cesarstwo; uwolniono władze policyjne z ministrem. Czternastu spółników Malleta, oszukanych zresztą przez niego, uwięziono, poddano pod sąd wojenny i dwunastu z nich rozstrzelano. Paryż trząsł się ze śmiechu, zestawiając generała Malleta i Napoleona, nie omieszkując wsadzić w środek ministra policji. Jednak Napoleon odgadywał, że republikański Mallet był niczem więcej, jak narzędziem w ręku rojalistów.

Łatwiej było usunąć republikę z Malletem, niż cesarstwo z Bonapartem — ale jakże łatwo było z republikańskim Malletem usunąć cesarstwo Bonapartego!...

Napoleon wściekał się. Wiedział on, gdzie szukać trzeba źródła spisku. To te salony paryskie, które go, równie jak Anglja, nigdy nie uznały *cesarzem*, dla których równie jak dla Anglii, był, mimo koronacji i uznania Europy, zawsze, *uzurpatorem*, to one uknuły ten spisek. Mallet, oszukując udaną wieścią o śmierci Napoleona, nie wiedział, że sam jest tylko manekinem arystokracji francuskiej. Arystokracja to francuska

do której salonów on, cesarz, nie miał wstępu, znalazła drogę i do jego więzień i domów zdrowia i umiała ukuć przeciw niemu śmiertelną broń z lekkiego dowcipu — — na 24 godzin zwała go z tronu dowcipną wiadomością o jego śmierci, lekko puszczoną w świat przez półwarjata.

Nikt nie śmiał się go pytać, wobec czego czuje się bezsilnym, ale on musiałby wyznać, iż jedyna rzecz, wobec której czuje się bezsilnym, to salon arystokracji francuskiej. Tu kuto zatrute dowcipy i drwiny, wiedząc, że *„ten człowiek boi się więcej epigramu, niż bataljonu“*.

Tam to, w salonach książąt, markizów i hrabiów francuskich, piękne damy o wąskich owalach twarzy, wąskich nozdrzach, wąskich ustach, wąskich dłoniach i stopach i wąskim mózgu i sercu wiodły *„o panu Bonaparte“* rozmowy, których każde słowo napojone było szyderczą ironją; tam wykwintni panowie rzucali nań obelgi, za które powinni byli pójść pod bagietami pod sąd. Tam nie był on cesarzem, ale bestją piekielną i wachmistrzem, parwenjuszem, jak zbożacy hotelarz, i złodziejem świętego tronu królów Francji. Tam wyśmiewano każdy jego adwokacki krok po schodach i posadzkach, po których stąpał Ludwik XIV, le roi-soleil, parodje jego polowań w królewskich lasach, jego „wielkie i małe wstawania“, jego imitację dworu Burbonów, porównywaną do imitacji grandeccy lwa przez „un cochon enragé“ w lwiej skórze. Tam w dzień i w nocy, w godzinę każdą i w każdą minutę życzo no mu złamania karku i nie wątpiono, że minuta taka nadejdzie.

Przez płatnych szpiegów, przez sieć tę, którą osnuł Paryż, Francję, państwo swoje i Europę całą, przez tę sieć, której oczyma zaglądał do alków kobiecych i widział, komu i kiedy się kobiety oddają, której uszyska słyszał każdy szept gabinetów dyplomatycznych świata—znał on wnętrze salonów francuskich, choć pregi te były dla niego — nieprzystępne.

Lecz te salony bały się go. Drżały przed zmarszczeniem jego brwi. Były to satyry i nimfy wysmiewające Jowisza. Potrzeba było na nie spojrzeć tak, jak on to umiał.

I inne jeszcze ważył rzeczy w umyśle, a na myśl o nich ciemniało mu w oczach.

Dzielili go od Francji Prusacy, Prusacy, którymi gardził więcej, niż jakimkolwiek innym narodem na świecie, o których mówił, że jedyną korzyścią z wojny pruskiej w 1806-ym, jaką zdobył, był zabrany z Poczdamu obraz, przedstawiający Fryderyka Wielkiego — — otóż ci Prusacy, poznawszy stan jego armji, mogli armję tę do szczytu zdruzgotać, jego samego uwięzić! On musiał być wpierw w Paryżu, musiał patrzeć stamtąd groźnie na tych, którzyby rozbitym jego żołnierzom wstręt w drodze do domu czynić chcieli. Stamtąd nad nimi on czuwał — przy nich nie znaczył już nic, gdy z Wielkiej Armji pozostały strzępy.

Tam, w Paryżu, stworzyć trzeba było nowe pieniądze, nowe zasoby i środki, nową armję francuską i włoską, stamtąd położyć twardą i mocną pięść na karku sprzymierzonych wasali.

Odjechał po naradzie sztabowej w Smorgoniach w kilkoro sani w towarzystwie Caulain-

courta, Duroca, Moutona. jenerała Lefebvre-Desnouettes, Mameluka Rustana i lokaja. Eskortowali go ułani polscy. Na koźle sani cesarskich siadł oficer Dunin-Wąsowicz, któremu wręczył parę pistoletów ze słowami: w razie ostateczności zastrzel mnie, a nie daj mnie wziąć żywcem!

.

....Żołnierze, oto wasze sztandary! Te orły służyć wam będą zawsze za punkt zborny. Te sztandary będą wszędzie, gdzie wasz cesarz uzna je za potrzebne do obrony jego tronu i ludu...

Przysięgacie poświęcić wasze życie w ich obronie i dźierać je stale waszą odwagą na polu zwycięstwa...

Przysięgacie?...

...Co to jest? Jakaż to muzyka? Jakiż to głos cudowny?...

...Jakież to róże sypią się z za gorsu pięknej kobiety pod jego ostrogi — — komuż to mówi on: do widzenia na drodze zwycięstwa...?

Jakiż to las szumiących serc?...

.

Jakież to serca biją, jakichż to dwieście tysięcy serc mówi w ciemnościach: chwały miałyśmy dosyć i ty także przez nas...

Rzeki krwi ludzkiej utworzy morze twojej chwały...

Wszechmocna ręka twoja, jak wszechmocna ręka od Boga zesłanej zarazy, odbiera nam nasze życie w męczarniach...

Widziałeś już góry ciał człowieczych pobitych dla twojej chwały...

Widziałeś cierpienia, od których widoku wzrok staje się obłąkany...

Boś przyszedł, człowiek obcy, nieznany, przyszedłeś, Napoleonie Bonaparte, z Korsyki, aby ze śmierci i męki ludzkiej w Europie zbudować sobie jednemu piramidę chwały... piramidę chwały...

.

Zielone oczy szatańskie, zielone oczy ironji piekielnej — — pióro przed oczyma — — pisz, pisz do Petersburga, Napoleonie Bonaparte...

.

Cesarz poruszył się w swojej karecie na saniach. Przez okna czarna noc patrzyła w głąb, czarna noc drogi hańby i klęski...

Głuchy szczełk broni ułańskiej — — las litewski.

Ucieczka.

Setki tysięcy ludzi dwudziestu narodów wylały swoją krew.

Ah! Bah!

Francja? Polska? On jest!

Niech ginie wszystko, byle on trwał, on był!

Palce cesarza kurczowo się ściskają; on ścisła w swoich palcach ludy, plemiona, pokolenia. Wszystko, wszystko dla jego chwały!

Świat wydał krocie tysięcy bohaterskiej młodzieży, świat wydał lwów jenerałów, aby byli progami jego szturm na szczyty Olimpu!

Uchyła mu się Jowisz piorunami w dłoni.

Uchylają się bogowie potężni. Wszedł. Stał na szczycie Olimpu. Naokoło próżnia, nicość dokoła.

On jeden sam, złote orły wokoło, większe, świetniejsze, niż orzeł Jowisza.

Miljon dwieście tysięcy ludzi porwie i spiętrzy! Powrócił! Powróci strasznie się zemścić. Jak Attyla, po którego końskich kopytach trawa nie rosła, przejedzie Rosję, w perzynę miasta i wsie obróci, Moskwę do reszty zrówna z ziemią, Petersburg do nóg nagniel! Ukarze!

Poznają go!

• Jeszcze nie znali!

Jeszcze lew nie uczynił największego skoku, skoku, po którym milknie pustynia i długo, długo w ciszy leży śmiertelnej.

Na to się ludzie rodzili, aby byli strawą jego armat.

Stanie znów z orkiestrą salw. Wygna z serca litość, ludzkość, współczucie. Podniesie się, jak smok Apokalipsy, w okropnościach wojny ukarze, zemści się, zemści...

Naokół siebie rozniecicie płomienie! Zdruzgoce Prusy, złamie Austrię, niczego oszczędzać, z niczem się liczyć nie będzie! Ogniem tylko będzie, płomieniem! Poznają go! Gniewem Bożym go nazwą, jak niegdyś Attylę. Aleksander o pokój błagać go będzie! Poznają go! Świat drżał tylko dotąd—teraz zacznie się łamać i walić!...

• • • • •

Cezarze, Cezarzel..

Jęk jakby jakiś w ciemnościach...

I znów wojny okropność?!

Znów rozdzierający serce płacz matek, sióstr i żon?!

Znów chłopcy młodzi z kręgu domowego ogniska wydarci?!

Znów zaciśnięte usta, znów zaciśnięte pięści,
znów klątwy po cichu miotane — — znów wojna!
Cesarz znowu chce wojny!

Znów?!

Kochałeś niegdyś Francję?

Złota, szczęśliwa, bogata przytuliła cię, przy-
jęła za swego, obcego głodomora, przybłędę.

Dziki góral korsykański wszedł w ten kraj
błogosławiony...

Cesarz marzyć począł.

Młodość jego, jak bajka...

Olśniła go Francja! Niczem, niczem być,
tylko jenerałem republiki francuskiej!

Honor zwać się Francuzem.

Krew przelać za tę nową ojczyznę...

Tak, tak — — o jasne, o szczere, o święte
uczucie!

Lecz przyszły zwycięstwa.

Przyszła sława i chwała i własnej swej mocy
poznanie i pewność.

Drżąca ręka młodego jenerała poczęła się
w stalową obłóczyć rękawicę!

Czyż zwyciężać trudno?

Jestże więc sam naokół?

Jestże sam jeden, że nikt mu czoła prze-
ciwstawić nie może?

Jestże najsilniejszy?

Jegoż to krok, który ziemię uginać poczyna?

Francja — — —

maż być potężniejsza od niego?

Maż Francja krępować jego ramiona?

Maż on jej służyć?

Nowe zwycięstwa — —

nowa sława i chwała, triumfy — — —

żaden naród nie rodzi tylu żołnierzy, tyle dzielności i męstwa, tyle bohaterskiej młodzi i wodzów rycerskich...

Więc co?

Więc nie korzystać?

Więc nie uwierzyć, że Fatum, Fortuna umyślnie posłały go do takiego kraju, umyślnie taki kraj mu oddały?

Czyżaż chwałę i sławę on dźwiga?

Swoją i Francji.

Nie jestże mu Francja obowiązana?

A gdy raz to zrozumiał, raz to pojął — — poczuł się królem ziemi.

Wieki na niego czekały.

Jak Aleksander Wielki nie w dzikiej Scytji, lecz w Grecji się urodził, jak Juljusz Cezar, nie w upadłej Grecji, lecz w triumfującym Rzymie powstał, tak jego wywiódł los z ciemnej, skalistej Korsyki i powiódł go do Francji, kraju czynów, porywu, zdolności i śmiałości na wszystko, do pierwszego z krajów Europy.

Stał mu na zawadzie Ludwik XVI, przy którym byłby został pułkownikiem artylerji—i głowę ścięła mu gilotyna; wybuchła rewolucja, aby mu miejsce stworzyć; stali mu na przeszkodzie wielcy rewolucjoniści Marat, Danton, Robespierre, których zgładziła mu z przed nóg Charlotte Corday i gilotyna. Wszakże wszystko układało się, aby on mógł powstać.

Bóg więc, czy los oddał mu Francję.

Oddał mu kraj taki, w którym mógł stać się wszystkim, czem się stał.

Postanowiono widocznie tam w górze, aby przez ciąg jego życia najzdolniejszy do wszechofiar kraj wszystkie mu swoje siły oddał w rachunek, aby on ze wszystkich sił jego korzystał.

Tak — to jest widocznie postanowione tam w górze: dopóki on będzie żył, dopóty będzie władał Francją i przez nią dzieło swoje wykonywał olbrzymie.

.....

Polska, Francja — — bahl

Więcej było wielkich narodów, niż wielkich mocarzy.

Te narody nazywają się wielkimi, którym wielcy mocarze to miano przez swe istnienie nadali.

Nędzny naród Żydów wielkim jest przez Mojżesza, umarły naród Egipcjan przez wielkich faraonów.

Naród wszystko zawdzięcza bohaterom.

Zawdzięcza im tyle, że przez ciąg trwania żywota bohatera winien być ciastem i gliną w jego rękach, uległym, posłusznym, powolnym, jak Myrmidoni powolni byli Achillesowi.

Zresztą na kogóż świat patrzy: na Francję, albo na Polskę, czy na niego?

On jest dziś wszystkim, centrum świata i człowiekiem Europy.

Ciemna jego przyszłość nie jest zbadana.

Kłeska rosyjska jest może tylko bodźcem do nowych cudów...

Jego istota wzniosła się ponad Francję i Polskę, jak słońce ponad ziemią. Oba te kraje zniknęły w nim.

Czuje on w sobie prawo do czerpania z nich krwi dla swojej potęgi, jak dąb czuje prawo czerpać soki z podłoża, choćby przez to kwiaty olsze i modrzewie schły dookoła.

Francja i Polska muszą dać, czego żąda.

Czyż on ma ojczyznę?

Lub ma zobowiązania?

Czyż na trwania jego żywota, Bóg, Fatum, Fortuna nie oddały mu wszystkiego we władzę?

Jeśli urodził się człowiek z taką zdolnością władzy i z taką żądzą władzy i dowiódł jedno i drugie do zenitu — nie jest człowiekiem opatrnościowym, niema się prawa za takiego uważać?

Czy jeśli ktoś tak umie, tak chce rozkazywać, nie ma przywileju żądać, aby go słuchano?

Taki jest cel?

Celem jest tylko panowanie. Był czas, gdy marzył o panowaniu Francji, był czas, kiedy Polska wydawała mu się gwiazdą zgasłą, którą jego olbrzymi oddech może, a nawet powinien rozświecić. Był taki czas. I są słowa — — lecz pocóż kryć tajemnicę przed sobą samym? Celem istoty Napoleona Bonapartego jest panowanie.

Więc Francja i Polska dadzą ostatniego żołnierza.

Dwóch panowań na świecie współrzędnie być nie może.

Cara Aleksandra I-go stworzyła ziemia, jego stworzył duch.

Pół Europy i niemal pół Azji to Aleksander — — genjusz wieków to on.

Ktoś komuś ustąpić musi.

W pierwszym starciu zwyciężyła ducha ziemia — — lecz to próba była.

Miał Aleksander na swe zawołanie przestrzenie niezmierne, śniegi, wichry i lody, rzeki i bagna — co ziemia dać może.

Lecz widziałże kto kiedy pół miliona ludzi jednym ożywionych duchem?

Widziałże kto kiedy potężną moc, która dwadzieścia pobudziła różnojęzycznych narodów?

Próba wypadła źle.

Lecz to nie może być, byłoby to zaprzeczeniem wszelkim tradycjom życia, gdyby materja zapanowała nad duchem, siła ziemi nad siłą genjuszu.

Jak mityczne i mistyczne bóstwa oceanu i lądu, stoją naprzeciw siebie on i car Aleksander I.

Ląd oparł się: spiętrzył skały i oparł się od nawały wód. Lecz on, bóg oceanów, nie uległ zniszczeniu, trwa i potrafi wzdąć powtórny potop.

Tak Aleksander Macedoński zalał państwo Darjusza. Tak samo wówczas naprzeciw siebie stały duch i przestrzeń i ziemia i genjusz.

Snadź jest komunikacja między elementami natury i życiem ludzkości.

Walka oceanów i lądów powtarza się w historii ludzkiej.

Powtarzają się wodne i ludzkie potopy.

Tak Hunnowie spadli na Europę, tak Wielka Arinja runęła na Rosję, która jest częścią świata, tak żółta rasa runie znów z powrotem na Europę.

Jestto przelewanie się elementów ludzkich, wzorem przelewania się wód w epokach fatalnych.

Kiedyś historia porówna te fakta.

Lecz czyż człowiek, który czuje się potęgą żywiołu, może chcieć czegokolwiek innego, jak tylko rozwijania swych sił przyrodzonych?

Czy ostatecznością ruchu powietrza nie jest huragan? Ostatecznością energii człowieka nie maż być zamęt świata?

Niech! mali żyją w granicach; wielkość nie zna granic.

I dla tego Polska i Francja postawią nowych żołnierzy.

Zarzucają mu pychę.

Nie — — czy burza na oceanie rykiem fal wołająca: jestem olbrzymia! — jest pyszna? Jest nią — bo musi nią być.

Człowieczeństwo sarka — — dla pychy poświęcił ludzi krocie tysięcy — — to potęga dana mu przez przyrodzenie pochłonęła ich.

On spełnia tylko swe prawo.

.

W ciemności jechała przez las cesarska karetka na saniach. Liche pudło na jodłowych płozach skleconych.

Istotnie — — dziwne, tragiczne i śmieszne.

Historja się powtarza: te sanki podobne są do łodzi piratów, na której siedział uwięziony Cezar.

Lecz wyniosły Cezar spokojnie oświadczał im, że gdy tylko na ląd wysiądzie, wisieć będą. Wąsowicz na kozle ma pistolety i rozkaz zastrzeżenia cesarza w ostateczności.

Wszystko to ma w sobie taką różnicę, jaka jest między zimą litewską a włoskiem wybrzeżem.

Ponurość i tragizm poczyną otaczać cesarza, jak owa ciemność nocy i lasu za szybą karety.

I on przecie urodził się na suchej, skalnej,

ale słonecznej wyspie, nad błękitną i ciepłą wodą morza.

Skreśliła jego gwiazda. Skołowała krąg, stoczyła się na północ. Gdy cesarz przymknie oczy, widzi, zda się, jej szlak ze złotych iskier, olbrzymi łuk ognistej nici w kształt tęczy przewisłej na niebie z południa na północ.

Lśni i świeci..

Jest w tem symbol jakiś, nowożytny Cezarze! Od południa, z nad ciepłego morza, gwiazda twoja przetoczyła się na północ, wraz z latami twemi. Piąty krzyż na barkach ci usiadł. Zaczęłeś twe zwycięstwa na południu — — na północ podążyleś po klęskę.

Jest w tem coś, co każe ci myśleć. Piorunami władające twoje czoło marszczy się pod solowym kołpakiem. Otworzył oczy Bonaparte i wpół je w czarne dno karety.

Nie widział w niej nic. Nic i nic. Czuł, że oczy jego szeroko otwarte błyszczą, jak fosfor — — a jednak ani ich samych nie widać, ani one nie widzą nic.

Ciemność.

Nie mógł jej cesarz znieść.

— He co? — odezwał się.

Towarzysz podróży, księżę Vicency, spał.

Lub udawał, że śpi.

— Śpisz?

Coulaincourt chrapał.

Sanie skrzypiały po śniegu twardym od straszliwego mrozu. Napoleon szybko przypuścił, że przynajmniej dwudziestu ułanów musiało już zupełnie skończyć i spaść z koni.

Pożrą ich wilki.

Obliczał, ilu w przybliżeniu może doczekać dnia po tej zabójczej nocy?...

Lecz wyciągnął w ciemność prawicę, zwinął w pięść kułak i oparł na kolanie.

Sa majesté ne se portait jamais mieux...

.....

Jak przyjmą ten zuchwały frazes?

Jako urągowisko?

Jako wyzwanie opinji świata?

Gdy kilkaset tysięcy ludzi ginęło w piekielnych cierpieniach: sa majesté ne se portait jamais mieux?

Czy nie za śmiało?

.....

Nie!

On wraca, silny, jednakowy. Potrafi wszystko opanować — — —

głowa mu zwisała na piersi.

.....

Nieprawda!

Kłamstwo! Fałsz! Błaga!

Zdrowie jego, siła, moc, sprawność, energja, wiara, ufność w siebie zostały tam, w zgłiszczach Moskwy.

Moskwa pogrzebała największego ducha Zachodu — —

cesarz Napoleon nie powraca już ten sam.

Wie o tem.

Kłamię, bo musi.

Żelazny fatalizm wszechpanowania zmusza go do kłamstwa.

Dziś już zapóźno się cofać.

Nie można być Bonapartem i przestać nim być.

Można umrzeć, ale tylko umrzeć.

Depresja ośwładnęła cesarza.

W tej ciemnej karecie na płozach uczuł się zmęczony.

Radby był odpocząć.

Wygodnie, spokojnie panować.

Używać władzy, powagi, znaczenia, majestatu bez troski...

Z małym synkiem następcą tronu, jak tyłu królów używało...

Spokojnie.

Wśród cudnego kraju Francji, pierwszy z monarchów świata, otoczony podziwem, szacunkiem, uwielbieniem...

Ojcem narodów będąc...

Prawodawcą mądrym, kierownikiem, nauczycielem, mistrzem...

Ku podziwowi świata...

Wszak tyłu królów tak władało, tak pano-
wało — —

którym narody zachowały wdzięczność pozgoną — —

dosyć wojny...

Dosyć, dosyć!

Dość krwawych łun chwały nad światem,
dość! dość!!...

Ah!

Napoleon cofnął się wewnątrz karety—pchnął w nią. Co to? Widmo jakieś z gołą siwą krótko strzyżoną głową kłania mu się przez ciemne okno — —

to Sługne!

Sługne!

Kłania mu się — — okropne, sine — —
w ciemnościach widzi wyraźnie — — pręgę czer-
woną ma na gardle — — i kłania się, kłania — —
precz!!!

Precz, widmo!

Kłania się! Przewraca oczami! Ah! — —

rzucił sznur do karety!

Przez okno zamknął!

Sznur padł u nóg cesarza.

Ostrożnie, powoli cesarz wysuwa szpic buta.

Znajdzie — — dotknie...

Nie — — niema nic — — głupstwo — —

Sługne pokazuje ręką — —

powiesił się...

Na drzewie nad zwłokami dwóch „oficerów
napoleońskich“ wisi na sznurze od karabeli
własnej.

Wrony już krążą nad nimi.

To dziwne! Cesarz pamięta każdy wyraz
z przed sześciu miesięcy — —

— — oddam ich wam oficerami — —

— — będą się chlubić, że służyli pode-
mną...

Mózg, mózg utrudzony, zgwałcony mózg ro-
dzi widziadła, powtarza dźwięki głosu...

Przesilony mózg.

...Sa majesté ne se portait jamais mieux...

.

Jechał za saniami w eskorcie cesarza Za-
remba, a obok niemy ułan Wartałowicz.

Otóż Napoleon ucieka?!

Zbolałe kamiennym bólem serce Zaremby przerażone było. Bonaparte ucieka... Więc nic nie powstało? Nie wskrzesnął półtrup ojczyzny? A nie zgaśnieź to pół życia, które w nim cesarz wywołał, doszczętnie już teraz?

Największyż tedy wódz świata, z którym zaszczytem było dla przeciwnika przegrywać, ucieka.

Jakże wyglądać muszą w nędznej karcie na jodłowych płozach, w ciemności, te oczy, które nic dotąd prócz nadludzkich triumfów nie widywały?

Te oczy, pod których promieniami walczono i giniono z chwałą?

pod których światłem śmierć wydawała się świętem?

konanie lekkim?

Jakże one tam, w ciemności, w tej nędznej karcie wyglądają?!

Jakże wygląda tam, w tej ziemi twardej pod śniegiem, ciało Teresy — —

psiemi kłami rozdarte...

krwawość dziewczęstwa psy jej z łona puściły — —

psie zęby...

Zamroczyła się głowa Zaremby. Łęku się ręką chwycić musiał.

Nieś, koniu, nieś!...

Zaremby oczy wstecz poszły.

Wkopały się one w śnieg, jak dwa krety drapieżne, ziemię zmarzłą, toporami zrąbaną i zwaloną na trupa, rozkopały. I zobaczyły go tam — — krwawe, okropne szczątki.

Otóż ślubne łożo najpiękniejszej kobiety.

Oczy Zaremby poczęły wilczeć.

Na karku swoim nie miał on już głowy, lecz wilczy łeb.

W płaszczu ułańskim, z ułańskim pałaszem przy boku, na koniu w noc przez czarny bór litewski gna wilkołak.

Hu! hu!

Przed nim upiór w karecie. Widmo o oczach próchnem błyszczących. Ktoś, co był...

Wilkołak eskortuje upiora w noc, przez czarny bór litewski.

Zarembie wyciągnęły się szczęki.

Kąsałyby.

Psy zjadły mu żonę.

Leży tam oto, ścięta mrozem...

Gdyby legł przy niej...

Zrosłoby się ciało podarte, wybielałoby w atłas...

Tam, w ziemi zmarzłej, pod śniegiem, tam wrzałaby rozkosz zimna wilkołaka z martwicą — — tam, tam...

Zaremba czuł wilcze kły w ustach. Mróz szalony iskrzył mu się w mózgu, promieniał w nim, jak ogień huty żelaznej.

Zarembę wiózł koń — dalej, w noc, przez bór — —

w trop widma karety z chwałą cesarza...

Ścisnął Wartałowicz pikę w ręce żelaznej. Spozierał w ciemność, skąd by nieprzyjaciół cesarza wychynął, aby mu przebić jelita ostrzem, drzewcem łeb mu zgruchotać. Nie myślał Wartałowicz nic, jeno ksiądz proboszcz Fasolkowski wołał mu za uchem: Napoljona pilnujesz!

...Napoljona pilnujesz!...

Tak zdawał mu się głuszą wołać w słuch czarny litewski bór.

Wtem zakotłowało się dokoła.

Czarne kształty wynurzyły się z gąszczów, ludzie na koniach.

Kozackie hurra! zahuczało w powietrzu.

Spiął konia Wartałowicz.

Nim amen! ktoby zdążył powiedzieć, kozak z koniem runął na śnieg od pchnięcia lancą i końskimi piersiami uderzenia.

Napoljona pilnujesz!

Wartałowicz uczuł moc niedźwiedzia.

W tuman kozaków się rzucił — pierzchli przed straszną mocą siłacza.

A Zaremba zwał się z jakimś potężnym jeźdźcem.

Szablą, wyrwaną z pochwy, pikę mu złamał, samego w głowę rąbnął. Lecz kozak z konia się waląc za płaszcz go ułapił i z siodła wyciągnął. Runęli. Miotać się poczęli po śniegu. Kozak słabł od rany w głowę, lecz silny był. Objął ramionami Zarembę i tarzał się z nim. Zaremba wściekły zęby w gardziel mu utopił. Poczuł krew ciepłą na zębach. Począł żreć. Jak wilk. Furja go szalonym uczyniła. Ciało żywe gryzł i żuł w zębach, charcząc. Ile piekła w duszy jego było, tyle mu w zęby zażarte spłynęło. Zagryzł na śmierć kozaka. Podniósł głowę.

Naokół była już cisza. Tu owdzie dźwignął się ktoś, kształt. ciemny z nad śniegu, i jęcząc opadł. Ranni, którzy zostali.

Kozaków, karety cesarskiej, eskorty ułanów polskich ni śladu.

Zaremba był zdrów. Wstał.

Był ocalony, czuł to. Zagryzł i nie oszalał dlatego.

Wsiadł na konia, który nie odbiegł i ruszył w cwał za kareta z uratowanym cesarzem.

Podczas walki z kozakami, którzy nie domyślali się, kogo atakują, Napoleon trzymał rękę na piersi, gotów za koszulę sięgnąć i woreczek z trucizną wydobyć, gdyby go pochwycić miano, a Wąsowicz rozkazu nie spełnił. Chciał cesarz żyć, chciał władać, ale nie bał się śmierci i nie byłby się zawahał; natomiast dać się pojmać w niewolę kozakom byłoby szczytem ośmieszenia się. Koń kozaka, któryby go złapał za kołnierz i wywłókł z karety, przejechałby kopytami po całej jego chwale.

Gdy grzmiały naokoło wystrzały pistoletowe i brzęczał szcęk szabel, cesarz ucho miał nastawione na świst szyderstwa, które zawisło nad nim w całej Europie.

Zgromadził pół miliona ludzi, siedział w Wilnie, siedział w Moskwie, do cara pisał, czas tracił, armję wygubił, uciekł od niej i kozak go za kołnierz wyciągnął z karety. Europa nie śmiała by się, ale ryczała... Człowiek Europy!...

W szubie zielonej z rękawami w tył związanemi maszerowałby obok kozaka potrząsającego knutem na tysiącu rysunków. „L'empereur Nicolas¹ Buonaparte” na tysiącu rysunków tańczyłby trepaka przy bandurce, nahaju i fajkach kozackich.

¹ Wrogowie Napoleona zaprzeczali nawet jego imieniu Napoleon.

Jak niegdyś olbrzymi Jerzy Angielski kołysał na dłoni pigmeja konsula Bonapartego, tak teraz olbrzymi car Aleksander dawałby pszyka w tył jego cesarskiej mości lilipuciej figurze Nicolasa I-go Bounapartego. Szyderstwo i pogarda Europy rozszalałyby się. A Francuzi, których setki tysięcy powiódł na śmierć okropną, opluliby jego głowę podłego tchórza.

Bonaparte wiedział, że mąż żony przemocą zgwałconej, w niczem niewinnej, odrazy do niej nabiera, wstręt uczuwa, w klasztorze ją zamyka — — tak samo jego, gdyby go wzięto w niewolę, Francja okryłaby hańbą. Odjazd od armji dla ratowania tronu i jej samej nazwanoby wyłączenie nikczemną ucieczką — — z równą wściekłością zdeptanoby glorię jego głowy, z jakim entuzjazmem wieszano mu ją u skroni.

Ułani polscy ocalili cezara.

Za karetą cesarską kłusował niemy Wartałowicz, duszę mając rozśpiewaną po zażartym boju pieśnią świętą, którą z Włoch przywiezły legjony.

*

*

*

L'abbé de Pradt archevêque de Malines, ambasador francuski w Warszawie, siedział na fotelu, palił lulkę i namyślał się. Księżna Jabłonowska prosiła go na śniadanie, księżna Lubomirska na obiad, księżna Sapieżyna na herbatę. L'abbé de Pradt tonął w mitrach. Pociągnął palcami lewej ręki po wygolonej lisiej swojej twarzy, wzdłuż policzków po brodzie do końca, gdzie palce złączył na chwilę i namyślał się.

U księżnej Jabłonowskiej dawali jeść dobrze, u księżnej Lubomirskiej lepiej, na herbatkach księżnej Sapieżyny bywały delicje w abundancji niezmiernej.

Tak, tak, pójdzie tylko do Lubomirskiej i Sapieżyny. U Jabłonowskiej pewny jest karaś w śmietanie, zrazy i kołduny. Kuchnia tam jest dobra, ale wulgarna, „patriotyczna“. Obladować się tam, to znaczy zepsuć sobie impet do indyków z truflami i pasztetów Lubomirskiej — jeść będzie można, ale to już nie to. A potem przecie te przedziwne „tureckie“ czy kijowskie smakołyki Sapieżyńskie...

Ah, ah! Tonie się w arystokracji polskiej po uszy. Mitry brzęczą w około! Radziwiłowskie, Lubomirskich, Jabłonowskich, Sapiehów — — Czartoryscy trzymają stronę imperatora Rosji... Tonie się w przepychu, w bogactwie... Pojutrze obiad u ordynata Zamoyskiego, będą przyjęcia u Potockich, ah, ah!...

Dziki, obrzydły, nędzarski, nikczemny kraj, ale arystokrację ma pierwszej klasy!

Wszyscy oni uznają Napoleona. Spodziewiają się po nim Bóg wie czego, wierzą weń. Mało ich obchodzi jego pochodzenie — mają swego niby króla, Saskiego Wettina w Dreźnie, księcia od wieków dziewięciu. Bonaparte jest im potrzebny. • O tyle jest im potrzebny, o ile szkodliwy jest arystokracji francuskiej. Tam jest uzurpatorem, tu opiekunem.

Bonaparte — — Bonaparte — kanalia!

Bodajby kark skrećil!

Szelma na tronie Burbońskim! Genjusz rewolucyjny...

Ale wszystko to minie przecież kiedyś, skończy się. Na tron francuski powrócą królowie z Bożej łaski, legalni. Prawda, że może kretyni i niedołągi, ale z Bożej łaski.

Ten wół Ludwik XVIII! Hahaha!...

Wyprawa moskiewska staje się coraz ciemniejszą.

Cesarz łąze w swoich biuletynach, łąze Maret książę Bassano w swoich depeszach w Wilnie rezydujący — to niewątpliwe — tam musiało coś zająść...

Napoleon nie wracałby w zimie, gdyby nie musiał, przez pół Rosji z Moskwy nad Niemnem...

Nie, nie...

Czy to nie będzie Talleyrandowski „początek końca“?

Mądry jest książę Benewentu. Mądry, przewidujący i przebiegły. Podziwiał Bonapartego, jako generała, bał się go, jako konsula, nie wierzy w trwałość jego cesarstwa.

Tak, tak...

Jeżeli Napoleon straci urok — — mogą nastąpić wielkie zmiany.

W czymże leży urok Napoleona? W jego niepokonalności. Dupont pod Baylen zdradził, że mogą być pobijani jego jenerałowie i żołnierze, bo i w to nie wierzono; od tego czasu pobijają ich w Hiszpanji. Wellington miał tam sukcesy... Nietylko głupi Hieronim Bonaparte, ale nawet Davout nie potrafił osaczyć Bagrational... Teraz Napoleon sam wraca w zimie przez śniegi i podczas mrozów rosyjskich — —

tak, tak, mogą nastąpić wielkie zmiany.

Pierwsze niezawodnie spróbują podnieść się Prusy. Hardenberg pracuje tam nie na żarty.

Oszukał on mądrze i Napoleona i książąt niemieckich. Napoleon nie pozwolił mieć Fryderykowi Wilhelmowi więcej, niż 42 tysiące żołnierzy. Ale Hardenberg zrobił kadry z 42 tysięcy, w których musztruje rekrutów, odsyła ich do domu i bierze innych. Mundury chowają się na składzie. Napoleon myśli, że Prusacy mają tylko 42 tysiące wojska, oni go zaś mają 150 tysięcy.

Haha!

Jak mądrze Hardenberg „naśladował“ zwyczaj francuskie! Szlachta straciła przywileje w armji. To „naśladownictwo Francji“ — a dla książąt niemieckich to środek przywiązania do nich szerokich warstw społecznych.

Napoleon gra grę więcej niebezpieczną, niż myśli. Jeszcze jest panem świata — lecz Aleksander I, Metternich, Talleyrand, Fouché to niebezpieczni partnerzy. No i mały ksiądz Pradt także...

I Anglja...

Napoleon przeciąga strunę...

Lecz jeżeli istotnie powraca zwycięzcą, jak głosił w biuletynach...

W takim razie kto wie? Talleyrand twierdzi, że Bonaparte musi upaść. Opiera on to na właściwościach charakteru samego Bonapartego w równej mierze, jak na usposobieniu Europy. Jednak ten początek końca może się jeszcze nie zacząć — — może się zacząć o wiele później — — kto wie — — może się i nie zacząć jednak...

W Austrii nienawidzą Bonapartego, nienawidzi go cesarz Franciszek, przecież jednak Napoleon jest jego zięciem...

Bądź co bądź, król Rzymu, Napoleon II, jest wnukiem cesarza Franciszka...

Kto wie...

Lecz jeśli Rosja zwyciężona ugnie się bezwzględnie pod prawo systemu kontynentalnego...

Gdyby jednak Austrija nie chciała wystąpić przeciw Bonapartemu, nawet choćby tylko zachować neutralność — Anglja będzie bezsilna.

Wojna hiszpańska — tak — to jest cień w nodze Bonapartego, może strzała Achillesa. Parys - Wellington może go tam zranić śmiertelnie. Wyrzucenie Francuzów z Hiszpanji byłoby śmiertelnym ciosem dla sławy i uroku Bonapartego. Dla jego stanowiska. To nie jest niemożliwe. Gdyby potem Anglicy zaatakowali Francję od strony Pirenejów...

Jeśli Aleksander I został pobity, zechce się pomścić. Ten słodki, subtelny causeur nie przebacza uraz. Jeżeliby przegrana wojna w Hiszpanji i Aleksander ośmielili Prusy.

Wtenczas wszystko zależałoby od Austrii...

Marja Antonina była arcyksiężniczką austriacką i ucięto jej w Paryżu głowę...

Ale wszystko rozbić się może o piekielny genjusz Bonapartego!

W jednym nadzieja: że jeśli wróci zwycięzcą do Paryża, nie pozostanie spokojny. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

Hm — — jednak nic, nic wiedzieć nie można. Bonaparte może wszystkich przygnać jeszcze bardziej do ziemi, niż dotąd, może, zabezpieczywszy

się od Rosji, dajmy na to nawet za cenę Wielkiego Księstwa Warszawskiego, i oddawszy po zawarciu pokoju zadowolonej Rosji pod opiekę Prusy, udać się osobiście do Hiszpanji i sprawić tam nowe Lodi, Arcole i Rivoli. To jest możliwe. Faktem jest, że ilekroć potknął się, fortuna powetowała mu to w dwójnasób: po spetzłej wyprawie na Anglię miał Austerlitz, po Eylau miał Frydland, po Aspern Wagram. Jeżeli nawet w wojnie rosyjskiej szczęście zdradziło go — — nic nie można wiedzieć...

L'abbé Pradt ujął gęsie pióro i począł pisać wy tłumaczenie do Jabłonowskiej, wtem weszła księżna ordynatowa Radziwiłłowa.

L'abbé de Pradt zerwał się z fotela; księżna była wzburzona. Przywitała się prędko; siadła na drugi fotel podsunięty i rzekła z miejsca:

— Zwycięstwa, o którem donoszono, nie było.

— Wiem o tem.

— Co pisze książę Bassano z Wilna?

— Nic nie można wiedzieć naprawdę.

— Kozacy grasują w Księstwie.

— To jeszcze niczego nie dowodzi. Kozacy mogą grasować, a korpusy regularne rosyjskie mogą być pobite. Tak było od początku.

— Bonaparte niedba o tyły Wielkiej Armji?

— Dziś tyły te są zwrócone ku Północy.

— Chodzą jakieś wieści o nowem zapotrzebowaniu koni dla cesarza.

— Nie słyszałem.

— Jeżeli mi jeszcze przyjdą zabrać Sułtana, sama w łeb strzelę temu, kto przyjdzie. Już dosyć tego. Jesteśmy zrujnowani wszyscy. My

sami w ordynacji ponieśliśmy na wiosnę przez przemarsz wojsk miljonowe straty.

— Niestety — współczuł ksiądz Pradt z westchnieniem.

— Nic więc pewnego? — podjęła księżna.
Nic.

— Zobaczymy się u Lubomirskiej, prawda? Miasto jest jak z galarety, wszyscy się trzęsą. Czy Bonaparte może być pobitym?

— Sądzę, że nie; tak, chyba nie...

— I ja jestem przekonana... Ale te przygotowania dla armji, które ekscellencja każeś robić?

— Staram się przysposobić żywność i co potrzeba dla trzystu tysięcy ludzi i pięćdziesięciu tysięcy koni. Napoleon albo wraca, bo musi, albo, bo chce. Może to być równie cofanie się z konieczności, jak cofanie się na leże zimowe. Liczę, że 15-go grudnia Wielka Armja będzie nad Wisłą.

— Cesarz ma być niezadowolony z Księstwa?

— Tak przynajmniej pisze księżę Bassano. „Nic nie zrobiono“ — to są słowa cesarza.

— Cóż dopiero na Litwie!

— Tak, to prawda; nic lub tak, jak nic.

— Napoleon zdawał się nie dbać o to.

— Może, od lipca zmienił zapatrywania.

Francuzi warszawscy nie wierzą w dwuznaczne wieści.

— Ba! Niedawno generał Dutailis krzychał mi w ucho, że to jest świętokradztwo mówić cokolwiek na temat wyprawy najjaśniejszego pana. W nic nie wątpić, nic nie myśleć, wszy-

stko, co jest poza Napoleonem, lekceważyć: to jest podług generała Dutailis obowiązkiem każdego Francuza. Tak też i robią panowie z Wielkiej Armji. U nich świat zaczął się od Rewolucji, a stanął na Napoleonie. Doświadczenie wieków jest głupstwem. Świat obecny — to Bonaparte.

— I u nas wielu tak myśli. Ja sama nie wiem — czasem mi się zdaje, że Bonaparte to nie człowiek. Jakiś Michał archanioł, czy Gabriel z ognistym mieczem w ręku. Czasem znów bać się zaczynam, że Pan Bóg go za śmierć księcia D'Enghien ukarze... lub za pychę nadmierną w myśl słów Ewangelji świętej... Więc jednak nic pewnego. Wpadłam tylko po to. Na moment. Proszę nie zapomnieć o mnie. Czy wiesz już, ekscellencjo, o zaręczynach Marcysi?

— A! Już? Biegnę winszować!

— Bardzo kontenci. Wszyscy jesteśmy zadowoleni. Ślub w maju.

— Oo!

— On musi wracać w Poznańskie; dla interesów. Przyjedzie w kwietniu. Do widzenia.

Księżna Radziwiłłowa wyszła; ksiądz Pradt znów pogrążył się w zadumie.

Nigdzie nie będzie mu tak dobrze i miło. Dlatego, że jest cudzoziemiec, dlatego, że jest Francuz, dlatego, że jest ambasadorem Napoleona, dlatego wreszcie, że jest francuskim księdzem, wielki świat polski prześciga się w okazywaniu mu sympatji, zainteresowania, honorów. Gdyby jakaś katastrofa wyrwała z rąk Napoleona Księ-

stwo Warszawskie, wszystko to by się skończyło i nie zaczęłoby się nigdzie... Tymczasem tak miłe są te panie, tak grzeczni ci panowie. Wielki świat się bawi. Marjaże, stosunki, intrygi, rywalizacje — — ksiądz Pradt trzyma rękę na pulsie, staje się potrzebny, coraz potrzebniejszy, jego zachodni rozum przeważa, jego francuski spryt i dowcip dominuje, obudza zaufanie, ksiądz Pradt jest przyjacielem polskiej arystokracji. Napoleon trafnie ją ocenił, posyłając jej księdza, i to właśnie jego. Ten wielki świat z nazwiska jest przerażająco mały z duszy. Nietylko on, ksiądz Pradt, ale każdy pierwszy lepszy sprytny jezuita może nim kręcić, jak chce. Ksiądz Pradt lekko pogardza nim — mózg z trocin możnaby mu wybaczyć, ale to są w większej części tchórze. Boją się Napoleona, boją się Aleksandra, boją się rewolucji, boją się własnego społeczeństwa — nie chodzi im, poza małemi wyjątkami, o nic, tylko o utrzymanie fortun i zachowanie prestige'u.

Wtem rumor pewien uczynił się w wejściowym salonie. Otworzyły się drzwi i otulona w futro wysoka postać, ciężko stąpając w futrzanych butach, zakutana po oczy, zjawiła się podobna do widma¹. Ksiądz Pradt zerwał się zbliżył i dojrzał profil przybyłego.

— Ah! To pan, Caulaincourt?! Gdzie jest cesarz? — wykrzyknął zdumiony.

— W Hotelu Angielskim; oczekuje pana.

¹ Histoire de l'ambassade dans le Grand Duché de Varsovie en 1812. Par M. de Pradt, archevêque de Malines, alors ambassadeur à Varsovie. Paris, 1815.

— Dlaczegoż nie wysiedliście w pałacu?
 — Nie chce być poznanym.
 — Czy macie wszystko, co wam potrzeba?
 — Daj nam pan burgundu i malagi.
 — Piwnica, dom, wszystko do waszego rozporządzenia. Ale dokądże tak jedziecie?

— Do Paryża.

— A armja?

— Niema jej już.

— A to zwycięstwo nad Berezyną, a te sześć tysięcy niewolników księcia Bassano?¹

— Przesada... Kilkuset ludzi, którzy uciekli... Było tam dobrze co innego do roboty, jak ich pilnować.

— Mój książe, jest się nad czem zastanowić i wszyscy prawdziwi słudzy cesarza powinni się połączyć, aby mu dać poznać prawdziwy stan rzeczy.

— Proszę! Ja sobie przynajmniej nic nie mam do wyrzucenia pod tym względem. Ale chodźmy, cesarz czeka.

W dziedzińcu hotelu stało troje sani. Jedna, mała karetka, na pół rozbita, na płozach z czterech kawałków jodły — to były sanki cesarza.

Drzwi niskiej małej salki otwierają się tajemniczo; godzina pół do drugiej. Mameluk Rustan przygotowuje obiad. Książe Vicency idzie do drugiej salki, anonsuje księdza Pradta cesarzowi i wprowadza go.

¹ Napoleon wziął około stu tysięcy niewolników podczas kampanji 1812-go r., z których ani jednego nie wywieziono z granic cesarstwa rosyjskiego. (Marbot).

Był w niskim pokoju, zimnym, okiennice pół zamknięte, aby zachować lepiej incognito. Gburowata służąca, Polka, dmuchała z całych sił na ogień z mokrego drzewa, które z trzaskiem więcej ociekało wodą w kąty komina, niż dawało ciepła.

Książd Pradt widział cesarza ostatni raz w Dreźnie, gdzie w przedpokojach cesarskich „panował tłok królów i książąt udzielnych“.

Cesarz spacerował po pokoju, odziany we wspaniałą szubę, krytą zieloną materją ze złotymi potrzebami, na głowie miał kaptur futrzany, buty w berlączach.

— Ah! Pan ambasador! — i roześmiał się.

Książd Pradt trzasnął z myśli, jak z biczem. Podsunął się żywo i, niby niepomny etykiety, z niby pełnego serca, zawołał:

— Ah! zdrów pan jesteś! Jakże się niepokoiłem o pana! ale przecież nakonieć!... Jakże jestem szczęśliw, że pana widzę!...

Żaba — pomyślał cesarz i począł bez odpowiedzi z futra rozbierać się w ręce ambasadora.

— Jak się tu panu powodzi w tym kraju? — spytał.

Książd Pradt cofnął się i przestał być wyłany; tego chciał cesarz. Trzy kroki w tył — marsz!

— Otrzymałem najjaśniejszy panie, raporty dziś rano — odpowiedział, przełykając żółciową ślinę — dwa bataljony nowego zaciągu pod Kryłowem nad Bugiem rzuciły broń po drugim strzale; na tysiąc dwieście koni stracono tam także ośmset z winy tych samych rekrutów;

pięć tysięcy Rosjan z armatami maszeruje na Zamość. Ciało dyplomatyczne cudzoziemskie, które tu ma przybyć z Wilna, wątpię, aby się mogło ostać w Warszawie, tak samo, jak i ambasada. Sądzę, że należy je cofnąć przed nadejściem nieprzyjaciela. Księstwo i Polacy są rozbici i zrujnowani.

Żmija! — pomyślał cesarz i zapytał żywo:

— Któż ich zrujnował?

— Sześć lat ostatnich; nieurodzaj zeszłego roku i system kontynentalny, który im zamknął cały handel.

Świnia!

— Gdzie są Rosjanie?

— Za plecami waszej cesarskiej mości.

— A Austriacy?

— W odwrocie.

Pies!

— Cóż Polacy z Księstwa Warszawskiego?

— Służyli w armji waszej cesarskiej mości Ośmdziesiąt dwa tysiące ludzi.

— Nie widziałem żadnego.

— Ponieważ zostali rozproszeni po korpusach francuskich.

— Czego chcą Polacy?

Należać do Prus, jeżeli nie mogą mieć własnej niezawisłości.

Kanajje!

— Dlaczegoż nie do Rosji?

— Ponieważ uważają rząd pruski jako deskę w rozbiciu.

— Trzeba postawić dziesięć tysięcy kozaków polskich; lanca i koń wystarczą¹; zatrzyma się tem Rosjan.

— To się na nic nie zda, najjaśniejszy panie.

— Owszem!

— Sądzę, że tylko armja dobrze zorganizowana, dobrze płatna i dobrze żywiona może oddać usługi.

Małpa!

— Pozwól, najjaśniejszy panie, że poskarżę się na paru funkcjonarjuszów francuskich w Księstwie. Ludzie bez wychowania i zdolności.

— A gdzie są ludzie ze zdolnościami?

— Austriacy z księciem Schwarzenbergiem nie spotkali się z sympatją na Wołyniu. Mówił mi książę Ludwik Lichtenstein, który przyjechał do Warszawy z powodu rany otrzymanej nad Bugiem i którego miałem zaszczyt przyjmować u siebie, człowiek niezmiernie dystyngowany i wytworny —

— Dobrze, dobrze; cóż ten dystyngowany i wytworny książę powiedział?

— Że Austriacy nie spotkali się z sympatją na Wołyniu.

— Aha! Do widzenia. Proszę przyprowadzić Stanisława Potockiego i ministra finansów².

Cesarz przez cały czas nie ustawał chodzić po pokoju, książd Pradt obserwował jego hu-

¹ Czy istotnie wygłosił takie zdanie Napoleon, niepodobna wiedzieć; cytuje je książd Pradt.

² Matuszewicza.

mor. Od czasu do czasu przestawał mówić i zamyślał się, ksiądz Pradt obserwował wyraz jego twarzy.

Podano obiad.

Cesarz siadł przy stole i zaczął się śmiać.

Dwie czerwone łapy smolucha polskiego w spódnicy podały z za drzwi Rustanowi wazę z zupą.

— Malmaison, Tuilerje, Erfurt, co?

Caulaincourt, Mouton, Lefebvre, Desnouettes milczeli.

— Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas.

Po obiedzie przeciągnął się cesarz i przespał trochę.

Obudzono go. Ksiądz Pradt ze Stanisławem Półockim i ministrem finansów Księstwa przybyli około trzeciej.

Wstał i wyszedł, mówiąc ze śmiechem:

— Jakże to ja już tu długo jestem w Warszawie?... Od tygodnia?... Ach, nie, od dwóch godzin! Od wzniosłości do śmieszności jeden krok tylko. Jak się pan ma, panie Stanisławie, i pan, panie ministrze finansów?

— Jesteśmy niewymownie szczęśliwi, najjaśniejszy panie, widząc cię zdrowym po tylu niebezpieczeństwach — rzekł Potocki.

— Niebezpieczeństwa? Jakie? Ja żyję w agtacji. Im więcej zamętu zrobię koło siebie, tem więcej czuję się wart. Tylko tchórze w koronach tyją w pałacach; ja na koniu i w obozach. Od wzniosłości do śmieszności jeden krok tylko...

Widzę, że jesteście bardzo zaalarmowani.

— Ponieważ nic nie wiemy, tylko to, co przynoszą wieści publiczne.

— Bah! Armja jest wspaniała. Mam sto dwadzieścia tysięcy ludzi. Wszędzie biłem Rosjan. Nie śmieją stanąć nam do oczu. To już nie są żołnierze z pod Frydlandu i Eylau. Wilno utrzyma się. Idę zgromadzić trzysta tysięcy ludzi. Powodzenie rozzuchwali Rosjan. Wydam im dwie albo trzy bitwy nad Odrą i w sześć miesięcy będę znowu nad Niemnem. Więcej ważę na moim tronie, niż na czele armji. Opuszczam ją z pewnością z żalem, ale trzeba czuwać nad Austrią i Prusami. A na moim tronie więcej ważę, niż na czele mojej armji. Wszystko, co się stało, to jest nic. Nieszczęście. Skutek klimatu. Nieprzyjaciół nie sprawił tu nic. Biłem go wszędzie. Chcieli mnie odciąć od Berezyny. Śmiałem się z tego durnia admirała Zazy — — Zaza — — Zyzagowa. Miałem wyśmienite wojsko i armaty. Pozycja była świetna. Tysiąc pięćset sążni bagien, rzeka...

Cesarz przeszedł się po pokoju, przystanął, znów ruszył z miejsca i od początku powtarzać począł, co powiedział, czyniąc wrażenie człowieka, który, mówiąc, o czem innem myśli w głębi umysłu.

Poczem ożywił się i dodał:

— Ci, którzy byli słabi moralnie, źle znosili trudy kampanji; ci, co się czuli silni, nie upadali na duchu. Tak, nie upadali na duchu, ci, co się czuli silni. Takich było dużo. Dużo było nie poddających się niczemu. Tak.

Znów zapadł w zadumę i znów się ożywił.

— Ba, czy to raz! Pod Marengo byłem bity do szóstej wieczorem; nazajutrz byłem panem Włoch. Pod Essling stałem się panem Austrii. Ten arcyksiążę myślał, że mnie zatrzyma; coś tam już nawet ogłaszał; moja armja poszła już półtorej mili naprzód; nie uczyniłem mu honoru dawania dyspozycji, a wiadomo, co to jest, kiedy ja je wydaję. Nie mogłem przeszkodzić, aby Dunaj nie wezbrał o szesnaście stóp przez jedną noc. Ah! Gdyby nie to, z monarchją austriacką byłby koniec. Ale było napisane w niebie, że mam się ożenić z arcyksiężniczką. Hahaha! To tak. Czy to raz? Pod Marengo byłem bity do szóstej wieczorem. Pomimo to nazajutrz Włochy miałem u nóg. Toż samo stało się po bitwie pod Essling. Wagram. Djabeł nadał, że Dunaj wezbrał przez jedną noc o szesnaście stóp. Na to nie miałem rady. Gdyby nie to! Pahl! Austriacka monarchja znikłaby z horyzontu. Ale widocznie opatrność postanowiła, abym się ożenił z arcyksiężniczką. Hahaha!... Taki sam Dunaj miałem w Rosji. Nie mogłem zakazać, aby nie było zimno. Co rano meldowano mi, że przez noc straciłem dziesięć tysięcy koni. Bagatela!

Cesarz chodził i powtarzał to samo pięć, sześć razy. Myślał o czem innem, tłumiał rozpacz i srom, śmiał się i gadał do obecnych.

— Nasze konie normandzkie nie są takie wytrwałe, jak rosyjskie. Nie wytrzymują ponad dziewięć stopni mrozu. Toż samo i ludzie. Takie Bawary, ani jeden nie został. Można mi może powiedzieć, że za długo siedziałem w Moskwie. Być może. Ale było ładnie. Mrozy zaczęły się

wyjątkowo wcześniej. Ale czekałem tam na pokój. Piątego października posłałem Lauristona celem negocjacji. Namyslałem się, czy iść do Petersburga. Miałem czas. Do południowych prowincyj Rosji albo spędzić zimę w Smoleńsku. Wilno się utrzyma. Zostawiłem tam króla Neapolu. Ah, ah! To wielka karta polityki. Kto nic nie ryzykuje, ten nic nie ma. Od wzniosłości do śmieszności jeden krok tylko. Rosjanie się pokazali! Cesarz Aleksander jest kochany. Mają chmury kozaków. To to jest coś, ten naród! Chłopi koronni kochają rząd. Szlachta siadła na konia. Proponowano mi zniesienie poddaństwa, nie chciałem tego zrobić, byliby wszystko zmasakrowali. Toby było zbyt straszne. Prowadziłem wojnę regularną z Aleksandrem. Ale kto by był przypuścił, że dostanie się taki cios spalaniem Moskwy?! Teraz nam to przypisują, ale to oni sami zrobili. Toby było godne Rzymu... Mnóstwo Francuzów za mną poszło. Ah! To są dobrzy poddani. I odnajdą mnie... Trzeba jednak koniecznie wystawić korpus kozaków polskich. Dziesięć tysięcy. Panowie polscy na Rusi sześć tysięcy posłali Aleksandrowi. Na Litwie ofiarowano mi teraz, rychło wczas, po sześciu miesiącach, piętnaście tysięcy lekkiej jazdy. Rychło w czas! Po pół roku. Śmieszne głupstwo! Trzeba to było zrobić w tydzień po mojem przejściu Niemna. Kawalerja taka byłaby uchroniła kraj od pustoszenia przez kozaków, utrzymała komunikację Wilna z Moskwą i oszczędziła moją kawalerję. Doznałem w tej wojnie bardzo lichego poparcia ze strony Litwy i Księstwa Warszawskiego, a raczej nie doznałem go wcale ani od

kraju ani od rządu. Na Rusi posłali panowie polscy sześć tysięcy kozaków Aleksandrowi, a mnie co? Ofiarowuje się piętnaście tysięcy jazdy litewskiej, kiedy wracam do domu...

Książd Pradt słuchał i dumał. Zaczął on coraz bardziej przypuszczać, że Księstwo Warszawskie zginie, ale wiedział także, że „piekielny genjusz“ Bonapartego jest nieobliczalny, a względy arystokracji polskiej od wszelkiego wypadku zachowania warte, gdy więc cesarz stanął, aby zaczerpnąć oddechu, wsunął:

— Los Księstwa Warszawskiego jest w wysokim stopniu oplakany i godzien litości.

— Cóż im trzeba?

— Pieniędzy, najjaśniejszy panie.

— Dobrze. Dwa do trzech milionów w monecie piemontkiej i trzy do czterech milionów w banknotach z kontrybucji kurlandzkiej. Napisz pan rozkaz dla ministra finansów. Przyjeżdżają dyplomaci zagraniczni z Wilna? Tak?

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Niech ich diabli wezmą! Szpiegi! Nic nie robią, tylko węszą i wysyłają listy do swoich dworów. Szpiegi! Nic, tylko donoszą. Tak. Trzy do czterech milionów kontrybucji kurlandzkiej. Banknotami. Resztę monetą. Tak.

Ogień zgaśł na kominie. Wszyscy przestępować poczęli z nogi na nogę z zimna, ale cesarz chodził i mówił i nie zwrócił na to uwagi.

— Przez Śląsk, najjaśniejszy panie, należałoby jechać — ozwał się Matuszewicz.

— Ah, Ah! Prusy!

Bah! Od wzniosłości do śmieszności jeden

„krok tylko... Czy mnie poznano? Nie? Wszystko mi jedno. Bah!

Ph! Co mnie to może obchodzić! Będą wiedzieli, że tu byłem, czy nie, mniejsza o to. Jak się jest mną, można się w każdej postaci pokazać i nigdy się sobą być nie przestanie. Zresztą nie poznano mnie. Szedłem piechotą od mostu na Pradze i widziałem, że nikt mnie nie poznał¹. Ani jeden człowiek. Zresztą nikt nie przypuszczał...

Tak, tak, nikt...

Nikt.

Od wzniosłości do śmieszności jeden krok tylko...

Panowie—zwrócił się nagle do ministrów — bądźcie pewni mojej protekcji. Nie lękajcie się niczego. Ah, ah, głupstwo!

No, jadę! — —

Gruchnie, czy nie gruchnie? — myślał książę Pradt i, skłoniwszy się, oświadczył, iż w pałacu ambasady wszystko jest najściślej i niezmiennie przygotowane do pełnienia rozkazów jego cesarskiej mości. Obaj ministrowie złożyli mu najpodaniej życzenia dobrego zdrowia. Przerwał im:

— Nigdy się nie miałem lepiej! Choćby mnie djabli brali, to i tak się będę miał dobrze! Tem lepiej nawet!

Odwrócił się, wdział futro i ruszył ku schodom, poczem wsiadł do sanek, które zaraz z miejsca o mało nie wywróciły, uderzywszy o słup przy bramie, i uwiozły „Cezara i jego fortunę“.

* * *

¹ Napoleon oglądał fortyfikacje nad Wisłą.

Siedział Kolski pod strażą w obozowisku rosyjskiem i miał czas na rozpamiętywanie swojej ciężkiej szlacheckiej. Nie zbłądził się szlachcic mazowiecki! Przetańczył i huzara i dragona i kozaka w trepaku, honor mazowiecki utrzymał...

Gdy Kolski myślał, robiło mu się gorzko w gębie — jakoś po paru dniach niewoli triumf i walor szlacheckiej ciężkiej począł mu się przedstawiać z innej strony.

Drżał też, bo pamiętał, że słowo dał, o owo poselstwo do hrabiego Daru. Jużci niczem innym ono nie mogło być, tylko zdradą lub próbą zdrady Napoleona... Gdy mu list wręczą, wręczą mu też zapewne i pistolety na drogę, a wtenczas będzie wiedział, co zrobić...

Ot — wkopała go fortuna. Bodaj lepiej było do zwykłej niewoli pod knut i but się dostać. Tam choć z głodu marło, przynajmniej w kupie i bez myśli.

Jego zaś widocznie trzymano od wypadku, widocznie jednak także wypadek stawał się coraz mniej potrzebny, gdyż nikt się już z oficerów osobą Kolskiego nie zajmował. Zdany był na łaskę i niełaskę żołdatów. Albo Napoleon zginął, albo dostał się do niewoli, albo potrafił wydostać się z matni i zemknąć, że już i zdrada hrabiego Daru stała się albo zbyt uczynna, albo niemożliwa.

Jakieś sprawy przytrzymywały widocznie dywizję rosyjską w miejscu, bo się już piąty dzień z miejsca nie ruszano, ale piątego dnia wieczorem wszedł do komory baraku, w której trzymano Kolskiego, kniaź X. i oświadczył mu:

— Bonaparte przekradł się przez Berezynę. Czart mu pomagał. Myśmy napróżno stracili ty-

dzień czasu na placówce, która wcale nieprzyjaciela nie widziała. Ruszamy w pogoń za Francuzem. Pan, panie poruczniku, dasz nam tylko słowo honoru, że przeciw nam z Napoleonem walczyć nie będziesz, i jesteś wolny. Takiego tam tancmajstra ja gubić nie będę — powiedział pan generał. A chcesz, to porzuć służbę Napoleońską i do nas przystań. Wezmę pana do swojego szwadronu. Masz tu przecie i pokrewną szlachtę podobno.

Kolski pomyślał: książę głupio mi kwestję stawia; że z Napoleonem walczyć nie będę, mogę dać słowo, wstąpię do korpusu Poniatowskiego — i zaręczył.

Kniaź nie dał mu konia, ale kazał mu zwrócić pistolety i szablę i puścić swobodnie z obozu.

Ruszył przed siebie.

Kołując szukał sposobu przedostania się do Wilna. Lecz już o świcie, gdy po przebytej w lesie nocy schylony był nad jakimś opuszczonym popieliskiem i szukał w niem szczątków jadała, silna jakaś ręka schwyciła go niespodzianie za kark. Kolski drgnął; znajdował się w mocy chłopów rosyjskich, wieszateli i rezunów.

Niebawem nadeszła ku niemu młoda dziewczyna w tułubie, snadź dowodząca chłopami.

— Francuz? — zapytała.

— Nieznajomy — odpowiedzieli chłopci.

— Coś za jeden?

— Polak. Szlachcic. Oficer szwoleżerów.

— Skąd się wziąłeś poza rosyjskimi pułkami?

— Byłem w niewoli.

— Uciekłeś?

— Puścili mnie.

— Kto?! Psa, który przyszedł nas kąsać?! Rabusia, który nas napadł?! Łotra, który ziemię naszą zalewał krwią, targał się na nasze domy i ołtarze?! Kto cię puścił, ty padlec?!

Kolski przypatrzył się dziewczynie. Żołnierzy widział walczących z sobą, a tyle nienawiści nie widział jeszcze w niczyich oczach nigdy. To podnieciło go.

— A ty mnie nie przezywaj, bom oficer i szlachcic — rzekł zuchwale.

Dziewczyna wpiła weń niebieskie oczy.

— Z Napoleonem przyszedłeś?

— Tak.

— W Moskwie byłeś?

— Byłem.

— Ile zabiłeś ludzi?

— Nie rachowałem.

— Ile zgwałciłeś kobiet?

Kolski uśmiechnął się.

— Gdzie? W Moskwie? Niestety znalazłem tylko jedną i ta za zgwałcenie wzięta trzy ruble.

— Padlec! Deptałeś ziemię cudzą!

Kolski milczał.

— Wnosiłeś ogień i żelazo w ziemię cudzą!

Kolski popatrzył w oczy mówiącej.

— Byłeś najeźdźnikiem ziemi cudzej! Przyszedłeś zabrać jej wolność!

Kolski zrozumiał, że go tu czeka coś okropnego. Zaciął zęby; straszne chłopcy stały koło niego, jak wilki, kiedy krew wietrzeje.

— Złodzieju, rabusiu, kacie cudzej ojczyzny! — wołała dziewczyna.

Zginać, to zginać! — pomyślał Kolski i burknął:

— Całuj psa w nos!

— W krzyż! Bydlę! — wrzasnęła dziewczyna i zakomenderowała.

Chłopi, snadź świadomi rozkazu, podprowadzili Kolskiego pod dwie młode brzózki i przywiązali do nich jego ręce, rozciągnawszy mu ramiona.

— Wasyl! — zawołała dziewczyna. — Nogi, którymi deptał cudzą ziemię, które brodziły w cudzej krwi, przetrącić!

Ogromny chłop zbliżył się z pałką w rękach.

— Krwawe łyzy, które z twych oczu pociekną, wrogu, niech spadną na chwałę wolności, na ziemię oswobodzoną!

Chłop zamachnął się. Kolski uczuł straszliwy ból naprzód w jednym kolanie, potem w drugim i omdlał.

Od wiszącego na rękach, przywiązanych do młodych drzewek w krzyż, Olga Zastrówna odchodziła z chłopami.

* * *

Nieuległe ciągnęły z pogromu polskie pułki pod Józefem Poniatowskim. Nie utraciły ani jednego orła i przyprowadziły ze sobą działa. Łachmany czapek wyrzucały w górę, życząc w Warszawie przed pałacykiem pod Blachą zdrowia swemu wodzowi, z którym gotowe były pójść „choćby do piekła“. Poniatowski zaś te oświadczył im słowa:

„Żołnierze! W odezwie, którą dziś do waszej podaję wiadomości, niosę wam najchlubniej-

szą, jedyną, polskich rycerzy jedynie godną nagrodę i głos wdzięcznej Ojczyzny za zapewnioną na zawsze krwią waszą imienia Polaków sławę.

Otworzy się jeszcze męstwu waszemu pożądana do nabycia w boju nowych zasług pora. Lecz nim przyjazne losów ojczyzny koleje zwyciężskimi wam uwieńczyć się pozwolą wawrzynami, cieszcie się, że duch was ożywiający jest duchem całego Narodu. Wkrótce bracia wasi, powołani do świętego stawienia się na obronę ziemi polskiej obowiązku, ubiegać się będą o zaszczyt dzielenia z wami wojennych trudów i zastąpienia wzrastających na nowo waszych związek. Wkrótce nowych wojowników hufce, obok waszych umieszczone szeregów, ochoczo w wasze wstępujące ślady, dowiodą, że nie powierzchowność, ani jednostajność, lecz święta miłość Ojczyzny i odziedziczona od przodków waleczność zrównały polskiego żołnierza z niezwyciężonemi pierwszego w świecie wojska rotami. Będziecie pewnie umieli cenić tak szanownych braci waszych i współobywateli zapał, a wspierając doświadczeniem waszem pierwsze ich w polu sławy kroki, raz jeszcze okażecie światu, że Polak, jak dla Ojczyzny się rodzi, tak zawsze gotów jest umierać“.

Z odpisem tej odezwy niemy Wartałowicz, jeden z niewielu ułanów, którzy ze smorgońskiego konwoju cesarza przy życiu i zdrowiu zostali, uwolniwszy się na czas pewien ze służby do Pucimuszek, na plebanję najętymi saniami jechał. Okolica wolna była od kozaków i regularnego wojska rosyjskiego. Wartałowicz jechał w smutnych myślach pogrążony, ale z rzewnością duszy, z tęsknotą do swoich opiekunów i przyjaciół.

Był dzień niedzielny, gdy zbliżał się do wsi swojej, śródleśnej. O tej porze ksiądz proboszcz Fasolkowski, po mszy powróciwszy z kościoła, śniadanie jadał.

Znajdzie go przy stole przy kawie, obok panią Broniewiczową i organistę Bulikowskiego i ekonoma Szyszkę i kota Sułtana i szpica Trusia. I fuksje na oknie i wszystko, jak było. I portret cesarza na ścianie...

Blizny pokaże, a one za jego nieme usta mówić będą. Z dumą ksiądz proboszcz dotykać ich będzie. Za amperera nabyte...

Z bijącym ze wzruszenia sercem szedł w sień i do drzwi zapukał, ale, nie czekając odpowiedzi, do pokoju wkroczył.

Na jego widok zdumienie snadź ogarnęło wszystkich, wszyscy obecni byli, a może jakowaś i trwoga, jakoby widziadło ujrzano. Ks. Fasolkowski filiżankę z kawą do ust niósł i w drodze ją zatrzymał. Znieruchomiał. Lecz po chwili filiżankę na spodku postawił. Z zawiązaną pod brodą serwetą powstał z za stołu choć mały, lecz straszny, i chwyciwszy fajkę na długim cybuchu, co obok była oparta, wyszedł z zań i z podniesionym do góry cybuchem postąpił ku Wartałowiczowi.

Wartałowicz struchlał, a zarazem ujrzał, że twarz księdza Fasolkowskiego zżółkła jest i zestarzała. Mały staruszek stał przed nim chwilę z błyskawicami w niebieskich tłustych oczach, nagle machnął, w ramię go cybuchem palnął i piorunowym głosem krzyknął, pytając:

— Amperer?!...

Cisza śmiertelna zaległa pokój plebanji.

Wartałowicz zrozumiał. Wszedł on w czako ułański na głowie, we formie, jak go wobec przełożonych nauczono z palcami przy daszku. Zdjął czako, schylił głowę i szramę z pod Ostrowna pokazał.

Ksiądz Fasolkowski stał chwilę przed nim, dotknął potem głowy jego palcami, rzucił cybuch z fajką na podłogę i, wybuchając płaczem, skoczył Wartałowiczowi na szyję i zawisł na jego piersiach. Zaraz rozległ się cienki płacz pani Broniewiczowej i rozległo się buczenie organisty Bulikowskiego i chlipanie ekonoma Szyszki. Szpic Truś począł skomleć.

— Amperer! Amperer... pobity... — szlochał ksiądz Fasolkowski.

A gdy długo płakał, powrócił do fotela i siadł na nim, oparł ręce na kolanach i, nie pijąc kawy, zwiesił głowę na piersi.

Od czasu do czasu podnosił oczy łez pełne na Wartałowicza. Chciałby był w jego oczach widocznie wyczytać szczegóły strasznego nieszczęścia, skoro Wartałowicz opowiedzieć mu nie mógł. Potem pytać począł, a Wartałowicz głową mu potakiwał.

Bonaparty zdrów? Wróci? Odbije się? Będzie wielki, jako był i będzie wszystkich, jak pierwszej, zwyciężał? Polskę odbuduje?...

Pod wpływem potakiwań Wartałowicza, którego tymczasem przy stole posadzono i karmiono troskliwie, kolory się malować zaczęły powoli na żółtkłej twarzy księdza Fasolkowskiego, a gdy na zapytanie: bił? co? — Wartałowicz ski-

nał mocno głową, ksiądz Fasolkowski roześmiał się głośno z błyszczącemi jeszcze od łez oczyma. I tak rozmawiali tam oni długo, aż do obiadu. Ksiądz Fasolkowski pytał, potem wyszedł z za stołu serwetę odwiązawszy, siadł na krzesło okrakiem i jeszcze pytał, a Wartałowicz głową kiwał i uśmiechał się weselej lub smutniej. A gdy się obaj znużyli i słuchacze z nimi, chwilę panowało milczenie, poczem ksiądz Fasolkowski zsiadł z krzesła, podszedł i stanął naprzeciw portretu cesarza Napoleona na ścianie, popatrzył weń i rzekł uroczyście:

— Nie bój się! Hoho! Do razu sztuka! Co się odwlecze, to nie uciecze! Nie tacy bywali!

Dziewka służąca stół nakryła i obiad przyniosła, obiad obfity i smakowity, jakiego Wartałowicz dawno nie kosztował: barszcz na śmietanie z jajami na twardo, sztukę mięsa z chrzanem, kioskę kaszaną, kaczki z ziemniaczkami i pierogi leniwe z serem i rodzynkami do cukru, ku temu gorzałeczkę przednią, piwko i winko stare węgierskie, wytrawne, jakie ksiądz dziekan Pudrejkowicz do mszy pijał. Sławni byli z urody Pudrejkowicze, a ksiądz miał brata, co jeszcze u Radziwiłła w Nieświeżu był rotmistrzem. Ksiądz proboszcz mrugnął figlarnie do siostry pani Broniewiczowej i niby nic podśpiewał:

Pudrejkowicz był,
kochał, co miał sił,
za papuc bym siebie miała,
gdybym jego nie zechciała...

na co pani Broniewiczowa zarumieniła się po raz trzytysięczny, nie mogąc się oprzeć lek-

kiemu westchnieniu. Organista zaś Bulikowski usiadł przy klawicymbale, jak zwyczajnie w niedzielę, przebiegł po klawiszach palcami długimi i zaczął nosowo przez tabakę:

Krucze pióro we warkoczach,
a otwarte niebo w oczach — —
gdym ją ujrzał, wyznać muszę,
ledwom wstrzymał w piersiach duszę!

podłożyła pani Broniewiczowa cienkim dyszkantem.

Mościa panno, pozwól spytać,
kogo honor mam tu witac?
Podstolówna, podczaszanka,
czy zgoła wojewodzianka?

brzmiał chór księdza proboszcza Fasolkowskiego i ekonoma Szyszki, gościa zwyczajnego.

Żadnam ci ja urzędniczka,
prościutka na mnie spódniczka,
gorsecik niehaftowany,
ani bucik wyszywany,

Z ubogiej jam matki domu,
nie będę droga nikomu,
nie spyta się nikt o Zosię,
nie pomyśli o'mym losie.

Nie mówże tak, mój aniele,
bo mi iskry skaczą w ciele,
chociam ci ja nie Radziwiłł,
fortuniem się nie sprzeciwił,

chociam ci ja nie Sapieha,
znajdzie się nad głową strzecha,
a chociem i nie Sanguszek,

tu pani Broniewiczowa przestała śpiewać i odwróciła głowę za pilną robotą:

na dębowych nogach łóżko!

śmiał się po raz trzytysięczny i ze swawolnego wierszyka i z ambarasu pani Broniewiczowej ksiądz Fasolkowski.

Wartałowicz zaś to spozierał na śpiewających, to na swój postawiony w kącie pokoju zmordowany pałasz i czako ułańskie.

* * *

Monsieur de Raynval, sekretarz wielkiego koniuszego księcia Vicency, byłego ambasadora rosyjskiego, generała Caulaincourt, jechał do Paryża. Czternaście dni i czternaście nocy jechał monsieur de Raynval w towarzystwie księcia Vicency, wielkiego marszałka Duroca, generała Mouton, hrabiego Lōbau, przez Niemcy z wielkim strachem i w wielkim niepokoju. Zatrzymał się tylko w Dreźnie u swego przyjaciela i sojusznika króla Saksonji i pognął dalej. A za monsieur de Raynval grzmiało Aleksandra I-go:

Ktoś z nas, albo Napoleon, albo ja, musimy zniknąć ze sceny świata.

Monsieur de Raynval słów tych nie usłyszał jeszcze za swoją głowę, ale czuł je w powietrzu. Czuł je zawieszone w przestrzeni, jak komety złowrogie. Monsieur de Raynval nie wątpił w siebie — — lub może nie chciał dopuścić w swoją myśl zwątpienia. I nie! nie! car Aleksander nie pójdzie przecież za nim!

Dzieli go sprzymierzony i podległy panu de Raynval król pruski, dzieli go sprzymierzeniec i teść pana de Raynval, cesarz austriacki, od Francji, gdzie monsieur de Raynval ma w Paryżu swój tron imperatorski i centrum swojej potęgi.

Car Aleksander I nie pójdzie za nim do Europy — o tem niema mowy. W głowie mu to nawet postać nie może!

Mróz i głód, przestrzeń i czas, broniły go przed panem de Raynval w głębi jego mistycznego państwa — szczęśliwy, że zwycięzcę tyłu kampanij wygnał zeń z pomocą elementów, stanie u granic — — a może — — może — — odpowie jednak przed ludem swoim za spaloną Moskwę i dziesiątki tysięcy pomarłych jej mieszkańców z nędzy...

Sa majesté ne se portait jamais mieux — usłyszała to Francja cesarska, usłyszeli to południowi rojaliści i paryscy, starzy republikanie, usłyszał to Franciszek II i Fryderyk Wilhelm pruski, usłyszały to Anglja i Hiszpanja, usłyszał to świat. Sa majesté ne se portait jamais mieux. Więc dlaczego, dlaczego ten lęk? Dlaczego to przerażenie uszu — — ten dźwięk w nich nieustanny, ciągły:

Il faut que Napoléon ou moi disparaisse de la scène du monde...

Dlaczego nie było wojny z Anglją, z tą Anglją, która nazywała go mimo Austerlitz, Tylży, małżonki, arcyksiężniczki, córki cesarza, namazania papieża szefem narodu francuskiego, wypierała go z Hiszpanji, łamała jego system kontynentalny, dwukrotnie pobiła mu flotę, wydarła

Egipt, brała na żołąd swój Europę i podzegała ją przeciw niemu, poprzysięgła i za zadanie życia postawiła sobie jego zgubę — ale była wojna z Rosją sprzymierzoną, zaprzyjaźnioną, uległa jego arcywoli europejskiej na kontynencie?

Bonaparte zmarszczył czoło w brózdę.

Znał on przyczyny wojny rosyjskiej — polityczne, handlowe, osobiste — widział w niej nawet fatum — — lecz to nie było wszystko.

Było jeszcze coś więcej.

Czem się czuł?

Czuł się więcej człowiekiem Plutarcha, niż bohaterem współczesnym.

A jednak był najwyższym wyrazem istoty Zachodu. Europy.

Tak jest, był nim, pomimo, że pozornie wydawało się, iż całą cywilizację zachodnią, istniejącą do jego narodzin, szarpie i wstrząsa. Był nim, pomimo, że rozepchnął ramionami giganta mury gmachu tej cywilizacji. Rozepchnął, ale nie zwałił. On poderwał i podrzucił świat Zachodu do góry. Wypiętrzył jego siły i moce do najwyższych granic. Nazywał sam siebie człowiekiem Europy i człowiekiem opatrzniościowym — on miał być twórcą nowego rzeczy porządku. Jak Jan Chrzciciel, wielka rewolucja francuska utorowała mu drogę — on pisze nowe pismo z Grecji i Rzymu starożytnego wyrosłej romańsko-gotyckiej kultury, Zachód wcielił w siebie, skupił w sobie — większego wroga znalazł w Rosji, niż w Anglii. Bo Anglja była jego wrogiem osobistym, wrogiem jego uzurpatorskiej korony, wrogiem jego potęgi rywalizacyjnej francuskiej, wrogiem jego dążeń ekonomicznych,

ale on rzucił się na Rosję, aby ją wyprzeć o setki mil wstecz, ku Uralowi, ku Azji. Anglja była wrogiem Napoleona Bonapartego, który stał się cesarzem, królestwa przewracał i chciał ją zniszczyć, aby nie przeszkadzała za swoim kanałem, ale on rzucił się na Rosję, jak obawiający się wszystko, co posiada, Zachód, na wszystkiemu, co zachodnie, grożącą Rosję. Jego walka z Anglią skończy się z jego śmiercią, a może nawet skończy się jakimś traktatem, ale nie trzeba, aby „lub Anglja lub on zniknęli ze sceny, ze świata” — — ze sceny świata jednak zniknąć muszą albo porządek zachodni, albo Rosja.

On zatrzymał się. „Zdobycie Tulonu obwieściło go armji; armaty vendémiaire’a obwieściły go Francji; triumfy włoskie obwieściły go Europie; wyprawa egipska światu”. Ośmnastego brumaire’a kruszy tablice praw republiki i „staje sam na ołtarzu Francji”. Lecz zatrzymuje się. Nie rzuca wolności ludom, ale staje się wyrazicielem najwyższej mocy zaczepno odpornej, na jaką Zachód kiedykolwiek od początku swego istnienia się zdobył. Jestże to bezcelowe, przypadkowe? Czyż tylko żądza władzy wiedzie go do poddania swej woli kontynentowi, przez który wieją wichry Atlantyku? Nie — uzbraja cały Zachód i wyrusza na spotkanie Rosji, jako najwyższa moc rromańsko-gotycka. Nie wierzy on w nie i nie-nawidzi rządów tłumu. Jest arystokratą, do szpiku kości, swego genjuszu, a że genjusz ma władczy, pokrewieństwo widzi tylko we władzy. Lecz to wie, że on mógł iść dalej, że zatrzymał się w drodze, że jeszcze nie wcielił wszystkiego, co Zachód wydać może, że jeszcze tkwi w monar-

chizmie i w katolicyzmie — że byli przed nim i będą po nim genjusze ludzkości — —

— Caulaincourt — mówi po długim milczeniu w karecie — za lat pięćdziesiąt Europa będzie republikańska albo kozacka...

*

*

*

I znowu w milczenie zapada. Cóż oto uczynił? Niepokonany dotąd był nigdzie, a zwyciężał wszędzie, warunki pokoju dyktował w podbitych stolicach — — zbudował łuk triumfalny w Paryżu — — teraz wraca w strachu przed Niemcami pod nazwiskiem pana de Raynval, w roli sekretarza swego koniuszego, bez armii, z klęską za sobą, z niewysłuchanemi prośbami o pokój, dwukrotnie do Petersburga wysłanemi z Moskwy — — lecz nie powraca zwyciężony!...

W to jedno uderzyć może.

W żadnej bitwie, nikt go nie zwyciężył!

Zatem ma prawo, aby wierzono weń, jak wierzono dotychczas.

Jest tym samym wodzem.

Stracił wielu żołnierzy — lecz nie przegrał swego genjuszu wojennego i niezhańbione są jego orły zwycięstw. Znalazł przeciw sobie dość potężne żywioły natury, ale nie znalazł Scypionów, którychby mu lepiej było unikać. Czy ma się przyczynę czuć zawstydzonym wobec Francji?

Lecz napróżno powtarza sobie: nie zwyciężył mnie nikt nigdzie — — czuje, że się pod nim

załamuje belka, na której stał nad areną świata wysoko.

Skupia więc całą wolę swoją, chwyta ją w palce swoje, jak w szpony, zbija w masę jedną, jak kulę rzeźbiarską z gliny wilgotnej — — bo to jedno, to jedno ratuje go: że nie został pobity. Jeśli zachwieje się, jeśli nie stanie przed Paryżem, przed Francją, przed Europą, jak ten sam, którym go znano, zwycięzca — runie, sam siebie straci, sam siebie znieść chceć nie będzie i moc nie będzie. Więc musi wzniesć się ponad wszystko, jak de Narbonne wznosił się ponad mróz i trud, kiedy się golił nad Dźwiną — — i mimo wszystko musi mieć dla Paryża, dla Francji, dla Europy oblicze i prawo zwycięzcy.

I mieć je będzie!!

✱

*

*

Albowiem wie, co myśli Paryż, co myśli Francja, co myśli Europa zachodnia.

Biuletyn dwudziesty dziewiąty wstrząsnął całym jego imperium. Czy polały się potokami, na iluż ustach zawarczało złorzeczenie!... Płomienie Moskwy rzuciły ponury blask na powrót armji, a w Paryżu nie zapomniano przed dwoma miesiącami wybuchłego spisku Malleta. Dwie prawdy nowe poznało cesarstwo: że potęga Napoleona może zostać zaatakowaną otwarcie w stolicy i że Napoleon może ponieść klęskę. Cóż myślano? On wiedział. Myślano, że Napoleon nie może być pokonanym nawet przez żywioły.

Nie przypuszczano — i on nie powinien był dać się pokonać nawet żywiołom... Francja niezawodnie uczuła jak nigdy, że jej losy są związane z losem jednego człowieka — — a ten człowiek jednak nie posiada bark Atlasa, na których nie dygotał świat...

Przez dwanaście lat żyto w upojeniu i zapomnieniu się pośród triumfów — — lecz teraz zacznie się sąd. Teraz zacznie się usprawiedliwianie się samych przed sobą. Teraz zacznie się porównywanie trofeów i korzyści z Włoch z trofeami i korzyściami z nad Elby, z nad Szprewy, z nad Dunaju, Wisły — — aż do rzeki Moskwy i Berezyny... Gwałtowny, bezprzykładny przeskok od Tyłży do Moskwy wywołać musi gwałtowną i bezprzykładną irytację w narodzie.

Ale — — wielkie nieszczęścia — — czyż nie noszą w sobie żądz wielkiej ulgi — — a on czyż został zwyciężony przez kogokolwiek z ludzi?...

*

*

*

...Cóż pozostawił za sobą?

Był w Wilnie trzy kwadranse podczas powrotu. Zostawił miasto pełne prowiantu. Kazał księciu Bassano, Maretowi, powiedzieć Muratowi:

„Powiedz mu pan, że od niego zależy, aby odwrót przybrał inną postać; powiedz mu pan, że ocalenie armji jest w Wilnie i że liczę na niego“.

Przekonał się sam, że magazyny Wilna mają zasoby wszelkiego rodzaju na czterdzieści dni na sto tysięcy ludzi.

Pozostawił zaś jeszcze w każdym razie kilkadziesiąt tysięcy ludzi zdolnych do broni, gwardję w stanie dobrym i korpusy z nad Dźwiny, prawie nietknięte; pozostawiał Schwarzenberga z mało zniszczonym trzydziestotysięcznym korpusem austriackim i Yorka pod marszałkiem Macdonaldem z dwudziestotysięcznym korpusem pruskim. Murat stanie w Wilnie, zgromadzi rozproszonych z pod sztandarów, będzie miał siły, które całą potęgę Rosji zatrzymają, potęgę zresztą równie wyczerpaną, jak Wielka Armja, gdzie mróz, trud i głód wyniszczały całe dywizje bez walki.

W porządku, okryte i niegłodne, pomaszerują pułki francuskie, nadreńskie, włoskie, holenderskie, hiszpańskie do swej ojczyzny — —

pułki? — —

szczątki pułków...

Lecz będą i całe korpusy...

Z przyszłą wiosną — —

czy będzie mógł powołać znów setki tysięcy ludzi na nową wyprawę najeźdźczą bez interesu patriotycznego tych wszystkich ludów — — dla chwały i swego rozkazu?...

Lecz czas będzie o tem myśleć...

Otóż Drezno. Stolica sprzymierzona i przyjacielska, niedawny świadek kongresu królów. Incognito wjechał podbijacz państw w nocy, 14-go grudnia i udał się do francuskiego posła, barona de Serra.

Król saski pośpieszył go powitać. Otrzymał się z gorzkiego uczucia Bonaparte i dyktować

począł księciu Vicency i baronowi Serra depesze do armji, do Wilna, do Berlina, do Wiednia; poczem założył ręce w tył i, chodząc po pokoju, powoli, słowo po słowie wążąc, pisać polecił:

„Do Jego Cesarskiej Mości Cesarza Franciszka
w Wiedniu.

Drezno, 14-go grudnia 1812.

Panie bracie i kochany teściu!

Zatrzymuję się na moment w Dreźnie, aby napisać do Waszej Cesarskiej Mości i dać Mu o sobie wiadomość. Pomimo tak wielkich trudów, zdrowie moje nigdy nie było lepsze. Odjechałem 5-go tego miesiąca po bitwie pod Berezyną z Litwy, zostawiając wielką armję pod rozkazami króla Neapolu, ksiązę Neufchâtelu zatrzymał nadal funkcję szefa sztabu jeneralnego. Za cztery dni będę w Paryżu, pozostanę tam przez miesiące zimowe, aby zająć się najbardziej doniosłemi sprawami. Może Wasza Cesarska Mość uzna za właściwe posłać tam kogo w zastępstwie nieobecnego swego ambasadora¹, którego obecność pożyteczna jest dla armji.

Różne biuletyny, które ksiązę Bassano nieomieszka przesłać hrabiemu Otto², pouczą Waszą Cesarską Mość o stanie rzeczy. Miałoby duże znaczenie, w tych okolicznościach, gdyby Wasza Cesarska Mość zmobilizowała jeden korpus Galicji i Transylwanji, podnosząc w ten sposób swoje całe siły do sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Mam zupełne zaufanie w uczucia Waszej Cesar-

¹ Schwarzenberg,

² Ambasador francuski w Wiedniu.

skiej Mości. Przymierze, któreśmy zawarli, tworzy trwały system, z którego nasze ludy powinny wyciągnąć tak wielkie korzyści, iż myślę, że Wasza Cesarska Mość uczyni wszystko, co mi przyrzekła w Dreźnie, aby zapewnić triumf wspólnej sprawy i doprowadzić nas do przystojnego pokoju.

Może Ona być przekonana, że z mej strony, znajdzie mnie zawsze gotowym do wszystkiego, co może być dla Niej pożądanem, do zaświadczenia, jak wysoce sobie cenię nasze stosunki obecne i do złożenia dowodu najwyższego szacunku i poważania, z którymi pozostaję Waszej Cesarskiej Mości bratem i zięciem*.

Odczytał.

Błysk jakiś przeleciał mu przez mózg, światło do błyskawicy podobne. Doświadczał tego czasem przy grze w karty, czasem, w nierównie potężniejszy sposób, przy odgadywaniu ruchów politycznych i strategicznych przeciwnika.

Lecz blask ten zgaśł.

Nie. Nie ufać cesarzowi Austrii, gdy się ma jego córkę za żonę, jego wnuka synem swoim, niepodobna — — nie przystoi. W tej sytuacji nie możnaby być pewnym jakiegoś Fouchego, może nawet Metternicha i Talleyranda — — nie można nie być pewnym Habsburga, cesarza Austrii...

Poświęcił wprawdzie Wiedeń Marję Antoninę i jego dziecko i nie ratował ich, — — ale to było co innego, sytuacja była inna, konjunktury polityczne inne — — teraz nie potrzeba narażać własnego państwa, jak wówczas.

Nie — — wątpić w dobrą wiarę Franciszka II-go poprostu nie wolno...

I nie trzeba...

Przez własne wahanie nie trzeba nasuwać myśli — niech wahanie nie istnieje, niech wyrazu tego nie zna słownik dworu wiedeńskiego i paryskiego...

List tak pełny ufności jest szlachetnym rysem charakteru tego, który go pisze — — zobowiąże jeszcze więcej.

O zdradzie ze strony teścia niema mowy!...

A Lodi, Arcole, Mantua, Marengo, Ulm, Austerliz, Aspern-Essling, Wagram, odebrane prowincje, Illyrja... Lecz darowywał Franciszkowi II-mu poprostu tron...

Kto powali i nie zabija, wszak większą budzi wdzięczność, niż ten, co wcale nie powalił, nie walczył...

Podpisał:

„Napoleon“.

I zamyślił się.

Dlaczegoż jednak powiedziałeś na samym początku listu, tak samo, jak na końcu 29-go biuletynu, żeś nigdy nie czuł się tak zdrów, zatem taki silny — o Bonaparte? zapytał go głos jakiś.

Kto zapytał? Gdzie?...

Jaki głos?

Jaki to blask oczu, zielonych źrenic?

Głupstwo!!

* *

Żaden więc, żaden sen się nie ziścił?

Przymierze z cesarzem Austrii położyło kres idei podziału Europy na Imperjum Zachodu i Im-

perjum Północy — na Francję i Rosję; wojna rosyjska położyła kres idei wyparcia Rosji poza sferę interesów Europy...

Byłyż więc te sny puste?

Cóż wartą jest praca Syzyfa? Skutek nadaje powagę pracy. Jakiż jest skutek żywota twego — o Bonaparte?...

Ogromne cesarstwo Zachodu, Karola Wielkiego panowanie wskrzeszone — — lecz ty drżysz! — o Bonaparte!

Od lat dwu ty drżysz na twoim tronie, ty wahasz się!

Cesarz zasłonił ręką czoło pod kapeluszem.

Lecz jak grzmot grzmiało mu przeciw czołu: ty wahasz się!...

On wiedział, co to jest wahanie.

Znał je ze swojej młodości, póki niczem nie był.

Wahać się — to padać!

Napróżno, napróżno zasłaniasz czoło — wahałeś się przed kampanją rosyjską — padłeś!...

A więc nie będę się wahał! Austrija jest mi wierną, Prusy i Niemcy są wierne, jestem potężny, jak byłem...

O Bonaparte!..

Uporczywe zielone źrenice wpatrują się weń — — zna je — — to one — — te same...

I głos ogromny, a pełen syczącej, węzowej ironji, zapytuje:

czy jesteś ten sam?!

Napoleonie Bonaparte, cesarzu Francji i królu

Włoch, panie Zachodu, odpowiedz: — czy jesteś *ten sam*?!

Cesarz pochylił głowę.

* * *

15-go, o świcie, jechał na Lipsk i Moguncję. Zatrzymał się w Erfurcie, jak Drezno, miejsce hołdu królów, gdzie opuścił swoją karete na sianach i w powozie pośła swego przy książęcych dworach saskich, barona de Saint-Aignan, ruszył do Paryża. 19-go grudnia po północy stanął w stolicy imperjum.

* * *

Cicho na palcach, przy jednej świecy, niesionej przez kamerdynera, skradał się Bonaparte przez komnaty królewskiego pałacu Tuileryj. Prosto, jak wysiadł z powozu, nawet płaszcz nie zrzuciwszy z ramion. Bo wiedział on, że to będzie jedyny moment tej nocy powrotu. Gdy rano działa ogłoszą cesarza stolicy — trzeba będzie po walce z Rosją, rozpocząć walkę z łzami Francji, nie mniej ciężką, a może trudniejszą...

— Cicho! Mój syn śpi! — szepnął do kamerdynera, który zdawał mu się za głośno stąpać po dywanie.

Księżna Montmorency, która miała dyżur przy królu Rzymu, powstała z fotela, gdzie drzemała i, złożyła głęboki dworski ukłon.

Nie zwrócił uwagi, nie skinął głową, drżącą ze wzruszenia ręką odchylił kotarę nad łóżecz-

kiem, lecz nim spojrział, dał znak, aby postawiono świecę i opuszczono sypialnię dziecka.

Spojrział.

Dziecko spało.

Różowy i śliczny, ze złocistemi włoskami w kędziorach, z rączkami na kołderce, na wznak położony, z buzią pół rozchyłoną, spał następca tronu.

Spało orle...

Precz dumo! Precz myśli, że pierwszy to w koronie urodzony Bonaparte, że to dynasta, że syn cesarza Napoleona z cesarzówny austriackiej powity, pierwszem dzieckiem jest świata — precz pycho, precz ambicjo, precz miłości własna! Ostrożnie, delikatnie wysuwa się ręka ojcowska, ręka, której palce, są jako błyskawice burzy wojennej, ostrożnie, delikatnie dotykają palce ojcowskie włosków syna małego, postać cesarza pochyla się i usta, które piorunami rzucają, dotykają delikatnie, ostrożnie czoła dziecka. Ono śpi...

Uśmiecha się! Oh, gdyby się uśmiechnęło!

Lecz ono śpi, równo i spokojnie.

Cesarz wpatruje się w twarzyczkę syna, klęka przy jego łóżeczku i dwie łzy zakwitają mu w szalonych oczach.

Cisza zupełna w pokoju. Wargi Bonapartego poczynają szeptać: Boże błogosław mu! — — powstaje, ręką krzyż ponad dzieckiem czyni, ah! chciałby tak patrzeć lata całe, zawsze, w takiej ciszy, sam, w noc, między synem i Bogiem — — jutro zapyta go o swoich synów Francja.

.

Wychodzi z pokoju dumny, wyniosły, wyższy nad trud swój, wzruszenie, ród Montmorency, klęskę swoją i żalobę Francji — cesarz Napoleon Pierwszy.

Ah, to jutro! Te działa, które go obwieszczają!
To obudzenie się *teraz...*

.

Zagrzmiało.

To armaty paryskie.

Dzień jasny. Cesarz Napoleon obudził się.

Od 9-go maja nie spał w swem łóżku pałacowem, w swoim sypialnym pokoju, był albo w podróży, albo w polu, albo w dorywczem mieszkaniu. Przeciągnął się, rozciągnął członki. Wygodnie, wygodnie...

Już wszedł zwyczajny pierwszy pokojowiec cesarski, Constant.

— Otwórz okno na moment, niech odetchnę powietrzem, które Bóg stworzył—mówi cesarz.

Tak mawiał często.

Lecz w tej chwili rzuca bystre spojrzenie na pokojowca — — czy ma on ten sam szacunek, tę samą czołobitność, co dawniej?

Tak jest. Jest tak samo wcieleniem pełnej poszanowania służbistości — — a jednak...

— Constant, zamknij okno i każ zapalić — powiada po chwili.

— Pali się już, sire.

— Podaj mi szlafrok.

Constant spełnia rozkaz, cesarz wstaje i siada na fotelu przed ogniem.

— Listy.

Constant spełnia rozkaz i podaje na złoconej tacy.

— Gazety.

— Kto jest w pierwszym salonie?

Lecz nie, Napoleon nie chce wiedzieć — — w pierwszym salonie jest Francja...

Wchodzą mistrz garderoby i wielki marszałek, jak zwyczajnie, bez rozkazu — — jak zawsze — — wszystko zaczyna się, jak zawsze...

Wchodzą pierwszy lekarz Corvisart i chirurg przyboczny Yvan; cesarz mimowoli rzuca oczyma, gdzie jest architekt Fontaine i bibliotekarz Barbier, zwyczajni ranni goście, lecz nie woła ich...

Constant przynosi mu do wyboru filiżankę herbaty i filiżankę kwiatu pomarańczowego na złoconej srebrnej tacy — — jest więc tym samym cesarzem, którym był od dziesięciu lat?... Jak zwyczajnie: kosztuje — jeżeli najmniejszy posmak poczuje, odrzuci. Tak nauczył go Corvisart.

Na nogi bose kładą mu pantofle. Są te same zielone, stare i rozdeptane, które zostawił przed wyprawą, biorąc na wyprawę cały zapas. Pamiętano zatem, że nie lubi mieć nowych. Wstaje i idzie się kąpać.

Ma jakąś niechęć kapryśną i do cesarza Franciszka II-go i do Marji Ludwiki — żałuje, że wanna nie stoi w dawnym oratorjum Anny Austryjaczki, jak na początku panowania.

Ahl Rozkosz!

Włazi do wanny. Woda paruje. Niktby w tym ukropie nie wytrzymał, tylko on potrafi; tak samo, jak tylko on wiedział, że gdyby bitwę pod Austerlitz zaczął o sześć godzin wcześniej,

to byłby ją przegrał; jak tylko on jeden spostrzegł, że szarżująca na niego pod Eylau kawalerja rosyjska nim wjedzie na wzgórek, na którem on stał, wyprze z koni dech. Dla tego on stał spokojny, gdy cały sztab ogarnął popłoch.

Siedzi w wannie w chustce nocnej zawiązanej na głowie, z długimi końcami.

Nikt nie wchodzi do pokoju — nie przyнося mu podczas kąpieli żadnych depesz. Gdyby był de Narbonne... Lecz de Narbonne siedzi w Wilnie z Muratem.

.

Chciałby przewlec kąpiel, długo, jaknajdłużej — — lecz nie może — — czekają...

.

Podają mu kamizelkę flanelową i pantaloney. Wychodzi z wanny, wycierają go, ubierają i przyнося brzytwę. Rustan trzyma mu lustro, goli się. Boże! Jak wesołe były dawne czasy, gdy Rémusat uczył go golić się samemu!...

Z tą chwilą skończyła się trwoga, że przekupiony przez Anglję, Burbonów, czy jakobinów fryzjer poderznie mu gardło. Ile się nakaleczył, nim się nauczył. Ile było stąd nieraz zabawy!...

Niezawodnie świat pójdzie za jego przykładem, ludzie zaczną się sami golić, cyrulik przestanie być koniecznością życia. Łatwiej jest zresztą w tem naśladować go, niż w czem innem...

Teraz mycie: twarzy, rąk, potem zęby, potem skrobie język srebrną poślacaną skrobaczką.

Spokojnie. Nie dybią kozacy, ani nie czekają konie pocztowe.

Ah! Herr Tobias Koenig! Opatrzność sprawiła, aby mu nawet paznogie u nóg obcinał król...

Dowcip, który przestał powtarzać, widząc przelotny wyraz niesmaku na twarzy de Narbonne'a.

Na tego Koeniga ledwo patrzył, teraz uczuwa jakby lęk przed nim. Jest to Żyd niemiecki — wewnątrz duszy niezawodnie cieszy się z klęski, a co gorzej drwi!... Gdy się jest nawet Bonapartem, nie można takiego obcinacza paznogi i wycinacza nagniotków kazać powiesić lub wrzucić raz na zawsze do lochu. Aby nie drwił! Łatwiej było kazać pochwyć księcia D'Enghien. Żyd kłania się — Napoleon wyciąga nogę z paznogciami przerośniętymi w drodze prosto, sztywno, bez żadnego słowa powitania, bez żadnego poufalego żartu, zajęty gazetą. Bo ten Żyd, ten Tobias Koenig drwi zeń niezawodnie wewnątrz duszy.

Odrzuca kamizelkę flanelową i pantalone. Strumieniami wody kolońskiej zlewają mu całe ciało od głowy. Nakoniec ma wody kolońskiej dosyć, ile chce. On sam się trze szczotką po piersiach, Constant trze go ze wszystkich stron.

Przed wyjazdem, 9-go maja, jak tyle razy, powtórzył mu odwieczny dowcip: mocniej! mocniej! jak po ośle — lecz teraz nie śnie. Czy nie wzbudziłby w lokaju poprostu myśli, że kto zapowiadał jako rzecz pewną cudzy pogrom, a wybrał się po swój własny, ten...

Zagryza wargi pod falą pachnącej wody, ciekącej z włosów. Potem znów kamizelka flanelowa, czarny woreczek z trucizną na piersi na tasiemce koło szyi, bielizna, leciutkie pończochy z mery-

nosa, a na to białe jedwabne ubranie. Kapelusz, lornetka kieszonkowa, chustka batystowa, pachnąca wodą kolońską, bombonierka kryształowa ze złotem, z pachnącemi pastylkami do ust i tabakierka. Czy nie będą usiłowali podsunąć mu teraz, jak za konsulatu, w Malmaison, zatrutej tabaki?...

Może sami Paryżanie chcą mu zapłacić za mrozy rosyjskie?...

Paryżanie wstrętni, nienawistni ludzie! Ze swoją elegancją wersalską i złośliwością wielkomijską. Zna ich!...

Teraz wyjdź!

Wyjść musi...

Musi pokazać się Francji.

Wejdzie do salonu.

Jest tam sufit zczerniały, Marja Teresa z rysami Minerwy na plafonie i brzydkie pejzaże burbońskie. „Jakież to smutne, jenerale”—powiedział mu Roederer, za konsulatu, kiedy oglądali Tuileries.

On odpowiedział:

— Jak wielkość.

Lecz przez te pół roku ten plafon zczernieć jeszcze musiał — — i stać się smutny, jak klęska — —

smutny — jak żałoba...

Lecz trzeba wyjść.

Trzeba wyjść i stanąć pod nim.

Trzeba udowodnić, że najjaśniejszy pan nigdy nie czuł się zdrowszym. Trzeba samemu być punktem na 29-ym biuletynie z Mołodeczna.

Ah! Jeszcze zegarek!

Nie nosi go nigdy, teraz czeka, aż mu podadzą.

Czeka.

Nic nie pomoże — wyjść musi.

O, święty czas, gdy wyskakiwał z łóżka oficerskiego sam, aby świat porwać za ramiona!

Ale powstał oto — imperator Okcydentu, człowiek Europy — — jak był...

Komnata napętniona. Czekają.

Ileż oczu tkwi bez słów w jego twarzy... Jakież zuchwałe w swem milczeniu pytania, ileż jęku, ileż żalu, ileż bóleści i ileż wyrzutów!...

To cała Francja, to wszystkie rodziny, których synowie i ojcowie pozostali tam, w śniegach — —

to cała Francja przysłała tu swych przedstawicieli...

Niechże więc lew panuje!

Proste, twarde, zimno-spokojne są słowa cesarskie. Nic nie ukrywa. Wyznaje całe nie-szczęście, ale wyznaje je, jak władca, jak zwierzchnik. Wielka Armja utrzyma się w Wilnie, nie przejdzie Niemna, nikt na nią nastawać śmieć nie będzie, a przyszłość okaże, czy rok 1812-ty nie był chmurą przez słońce przeciągłą, aby słońce chwały tem jaśniej jeszcze błysło.

Nie usprawiedliwia się, ani tłumaczy; mówi, bo chce, bo pozostał tym samym, niezwyciężonym, bo gwiazda jego świeci ponad nim.

Skupia w sobie całą moc swoją, aby nie zadignąć. Nie śmie mu zadrzeć głos, przyćmić się oko. Panuje.

I O Bonaparte!

Ah! Co za męka!...

Lecz wrzód zanadto boli.

Arcykancierz, ministrowie spraw wewnętrznych, wojny, policji, wezwani są na konferencję. Jakto?! Jeden obłąkaniec mógł wstrząsnąć instytucjami cesarstwa, cesarstwem całem, od Atlantyku po Wisłę?!...

Generał Mallet mógł zepchnąć w cień ministrów, senat, cesarzową, następcę tronu, i on, cesarz, wstępuje na swój tron po interregnum?! Tron Napoleona Pierwszego był *wolny*?!

A prefekt Sekwany, pierwszy urzędnik cywilny stolicy, nagle i bez opozycji stał się agentem rewolucji raczej, niż stanął przy żonie i synu władcy, któremu składał przysięgę!

Rada stanu wielkiego cesarstwa powinna być gotową zginąć, broniąc monarchy, tronu i praw! Najpiękniejszą śmiercią byłaby śmierć żołnierza na polu honoru, gdyby śmierć urzędnika, ginącego w obronie monarchy, tronu i praw nie była chlubniejszą jeszcze!...

Cesarz wie, gdzie jest źródło buntu Malleta: leży ono w ideologii, w tej ideologii, która chce wstrząsnąć podstawami państwa i powołać lud do władzy, do której nie dorósł i do której nie jest zdolny!!...

W tej chwili spostrzegł nagle i w trakcie mówienia, że spisek Malleta, tak straszliwie go kompromitujący, daje mu zarazem podstawę do jeszcze ostrzejszego występowania przeciw wszelkiej samodzielności, wszelkiej swobodzie, wszelkiej wolności myśli, do jeszcze potężniejszego autokratyzmu, niż to było przed rokiem 1812-ym.

To jest chwila Samsona: albo się zachwiać i runąć, albo się zachwiać, uchwycić równowagę

i ścisnąć ludy swoje tak, aby żadna nawet myśl poza rozkazem nie mogła powstać w cesarstwie.

Nienawiść podniosła jego serce: nienawiść ludzi, którzy mogli się jednak przeciw niemu zbuntować kiedykolwiek...

Pełnemi blasku oczyma wiedzie po zgromadzonych. Myślicie, że jest to blask geniuszu? Nie! Jest to blask nienawiści!...

Słuchajcie! Od dziś rozpoczyna się walka, walka na śmierć i życie — myślicie, że z wrogami cesarstwa?! Nie między nami, między mną a wami!

Zobaczyliście, że jestem słabszy, niżście myśleli i niż ja sam myślałem, i tam na stepach Rosji i tu w Paryżu — jedno więc tylko uczucie między nami być może: nienawiści! Gdy uczuję was w mojem ręku jak wosk miękkich, wtedy was kochać zacznę. Wiedźcie, że dopoki żyję, ja nie mogę być niczem innym, tylko panem, świat cały nie może być niczem innym, tylko niewolnikiem, a przede wszystkim ty, Francjo, któraś mnie na swoich barkach wydzwignęła i której dałem tyle potęgi i tyle chwały, że równa się ona chwale i potędze wszechwieków świata!...

Oni nie rozumieją. Widzą jego oczy płonące, lecz nie rozumieją ich ognia i ich mowy. Biorą to może za ogień natchnienia nowych planów — jest to ogień żądzy bydlęcego posłuszeństwa!

Jakto?! Rewolucja nie jest wdeptana w błoto na wieczne czasy?! Tron dziecka Napoleona Wielkiego został zachwiany?!... mógł się zachwiać?!...

— Widzę — odzywa się po chwili milczenia cesarz — że dynastia nie wkrzewiła się korzeniami pośród członków rady stanu...

Słowa są gorzkie...

Głowy pochylają się.

Lew rzuca w tłum swą wolę — — —

senat przedstawi cesarzowi projekt uchwały dziedziczności tronu, koronacji cesarzowej i króla Rzymu.

Aby wzdęta grzywa lwa opadła mu na barki — — aby stała się „wola senatu“...

*

*

*

Siedzieli naprzeciw siebie ci dwaj ludzie, patrząc sobie w oczy. Jednego źrenice błyszczały ogniem gorączki, drugiego jakimś dziwnym, niewyraźnym światłem. Usta Poniatowskiego ściśnięte były konwulsyjnie, usta Schwarzenberga przygryzione zaciekle.

Milczeli.

Milczeli długą chwilę. Schwarzenberg przyjechał z Pułtusza do Warszawy, aby oświadczyć wyraźnie, że wobec zbliżającej się stu ośmdziesiąciotysięcznej armji rosyjskiej zakrywać dłużej Warszawy nie może i, z rozkazu cesarza Franciszka, ku Galicji cofnąć się musi.

Poniatowski pracował myślą.

Schwarzenberg miał przeszło 30,000 wojska, które nie brało udziału w pochodzie na Moskwę. Sto ośmdziesiąt tysięcy Rosjan było w istocie trzydziestotysięczną awangardą, zmęczoną i strudzoną długimi marszami, którym połączone siły Poniatowskiego i Schwarzenberga skuteczny opór stanowią mogły.

.. A więc?...

A więc Schwarzenberg poprostu nie chciał walczyć z wojskiem cara Aleksandra.

Aha!...

Oślaniał on od kilku tygodni osłabiony korpus polski przed pościgiem rosyjskim, to prawda, ale jakieś dziwne, niewytłumaczone wykonywał ruchy. Nie było to nic innego, jak tylko wymijanie i usuwanie się z drogi, a zbliżanie ku granicy austriackiej.

— Rozkaz mam z Wiednia usunąć się do Galicji—odezwał się Schwarzenberg.

— I uczynisz tak? — zapytał Poniatowski.

— Rozkaz jest cesarski — odpowiedział tamten.

— Cesarz austriacki jest sprzymierzeńcem Napoleona.

Po wargach Schwarzenberga przemknął ledwie dostrzegalny uśmiech.

— Jednak ja muszę słuchać przedewszystkiem poleceń z Wiednia — rzekł.

— Mój kochany, mówmy wyraźnie — zaczął Poniatowski i urwał. Schwarzenberg był jego gościem, był w jego pałacu Pod Blachą. Ale tamten jakby wyzywał.

— Co chciałeś powiedzieć, Pepi? Powiedz otwarcie.

Wyzywał.

— Dziwnie przypomina mi się rok 1809-ty— odpowiedział Poniatowski.

Schwarzenberg zaczerwienił się lekko.

— Jakto?

— Noblesse oblige.

— Nie rozumiem. Co masz na myśli?

Poniatowski popatrzył nań przez chwilę.

— Boję się ciebie obrazić — odparł.

— Ty mnie? To niepodobna. Za dawno się znamy i za dobrze. Mów.

Poniatowski zapalił lulkę, podsunął kapciuch z tytoniem Schwarzenbergowi, założył niby nie-dbale nogę na nogę i powiedział:

— Moznaby przypuścić, że tajne instrukcje zaczynają wchodzić w modę.

— Jakto?

— Tylko ze zmianą adresu, jak list pruski po Austerlitz.

— Tłumacze się wyraźniej.

— I że dobry wzór nie poszedł w las.

-- No dobrze, ale do czego ty zmierzasz?

— Kiedy się obrazisz.

— Daję ci słowo, że nie.

— A no, był niejaki książę Golicyn — Schwarzenberg zaczął się śmiać.

— A szelma jesteś, mój Pepi! Był niejaki książę Golicyn, jeżeli się nie mylę, w 1809-ym roku, kiedy niejaki Józef Poniatowski nieśmiertelną okrył się chwałą w pewnej miejscowości, zwanej Raszyn, który to książę Golicyn miał w tajnej instrukcji polecone unikać wszelkiego współdziałania z tak zwaną sprzymierzoną armją polską i wszelkiego starcia z tak zwaną armją austriacką, dla pozorów poświęcając paru trupków i parę strzałów armatnich w kierunku północnym. Ale zapominasz, że car Aleksander nie był nigdy teściem Napoleona.

Poniatowski pociągnął potężnie z lulki, puścił potężny kłęb dymu i rzekł:

— No i że co książę Schwarzenberg, to nie książę Golicyn.

Schwarzenberg zmieszał się.

— Jak to rozumiesz?

— No, że są pewne postanowienia, do których można było użyć Golicyna, ale nie możnaby było użyć Schwarzenberga.

Schwarzenberg czuł, że zbliża się moment decydujący rozmowy.

Radby był wszelkiego nieporozumienia z Poniatowskim uniknąć.

Zmienił ton i rzekł serjo:

— Jesteś pierwszym człowiekiem Polski, twoim obowiązkiem jest ratować przedewszystkiem Polskę.

— A gdzież ona jest?

— Jakto? Księstwo Warszawskie —

— Pozwól — do Księstwa Warszawskiego nie włączono jeszcze pruskiej Wielkopolski, rosyjskich prowincyj i austriackiej Galicji.

— Nasza rozmowa przestaje być dyplomatyczną.

— Ale zaczyna być szczerą.

— Więc źle się wyraziłem: jesteś pierwszym człowiekiem Księstwa Warszawskiego i twoim obowiązkiem jest dbać o Księstwo Warszawskie.

— Mylisz się, mój drogi.

— W czym? To nie jest twoim pierwszym obowiązkiem?

— Owszem. Tylko, że jestem pierwszym człowiekiem Polski i o nią dbać muszę.

— Gramy w ciuciubabkę.

— Chociaż widzimy jasno.

— Obaj?

— Ja z pewnością coraz jaśniej.

Schwarzenbergowi niemiłą stawała się rozmowa. Był przyjacielem Poniatowskiego od lat

dziecinnych, lecz był Schwarzenbergiem, a jakimże to księciem krwi, jakim wogóle księciem, jakże nawet wątpliwego pochodzenia szlachcicem był Poniatowski! Zachnął się w nim wielki, habsburski pan przeciw roli, jaką grał wobec Poniatowskiego, którego całą wartością rodową była babka Czartoryska i matka z hrabiów Kinsky'ch.

— Powiem ci wprost, że uczynię to, co uczynić będę miał rozkaz, a także, co jako austriacki feldmarszałek będę uważał za właściwe — rzekł sucho.

Poniatowski hamował się i odpowiedział:

— Masz się ośłonić mnie i Warszawę.

— Nie mam jej.

— Masz. We dwóch możemy nawet rozbić nadciągający korpus Rosjan.

— Te sto ośmdziesiąt tysięcy?

— Nie, te trzydzieści tysięcy, które pod Miłoradowiczem, Doktorowem i Sackenem idą na Warszawę.

— Więc choćby tak — za Miłoradowiczem, Doktorowem i Sackenem nadciągnie Wintzingerode, Tormasow, Kutuzow z Aleksandrem i cóż wtenczas?

— Zobaczymy.

— „Jakosch to bendze“ — nicht wahr?

Poniatowski zerwał się z fotela.

— Wiesz, jak ma być?! Oto my dwaj za-trzymanymy na sobie siłę rosyjską! Będziemy walczyć, jak lwy, jak bohaterowie! Twoje wojsko jest wypoczęte! I będziemy walczyli tak długo, aż Napoleon wróci z Paryża z nowym półmiljonem lub zagrzebiemy się pod murami Warszawy!...

— Za pozwoleniem — odparł Schwarzenberg, nie ruszając się z miejsca — dajmy nawet na to ty, ale za cóż ja? Czy jestem Polakiem?

— Jesteś napoleońskim żołnierzem, jesteś winien wierność

— Pardon. Jestem żołnierzem jego cesarskiej mości Franciszka Drugiego, jemu tylko jestem winien wierność, a co w stosunku do Napoleona postanowi cesarz Franciszek, to wykonam

— Zaczynam rozumieć — rzekł po chwili Poniatowski — a raczej przekonywam się, że zrozumiałem dobrze.

— Co?

— Że ty nie chcesz osłonić Warszawy.

— Widzisz przecie, że nie mam czem.

— Nie będę ci mówił o trzystu Spartanach, nie jesteś ani Polakiem, ani sprzymierzonym ze Spartanami Tebańczykiem; lecz powiem ci wprost: jakie stanowisko zajmował Golicyn w ośmset dziewiątym, takie ty zajmujesz teraz, grasz grę podwójną. Jakie masz instrukcje tajne z Wiednia, nie wiem, ale, że chcesz uprzejmość wyświadczyć Aleksandrowi, nie wątpię!

Poniatowski uniósł się, płomień wystrzelił mu na twarz, zoraną trudem wojny; Schwarzenberg zbladł i podniósł się z siedzenia, odkładając fajkę.

— Powiadasz? — podjął.

— Powiadam, choć gościem jesteś u mnie przyjacielem moim od lat więcej niż trzydziestu, że w twojej osobie cesarz Franciszek rewanżuje się w 1813-tych carowi Aleksandrowi za 1809-tych i Golicyna! — rzucił Poniatowski.

— Wyrażałeś się o Golicynie ujemnie niejednokrotnie, jeśli się nie mylę.

— Słuchaj, Schwarzenberg, jesteś u mnie, w moim domu, ale tu chodzi o Polskę i cesarza Napoleona! Muszę mówić prawdę!

— Przekonasz się!

— O czym się przekonam?

— Od miesiąca osłaniam cię! Poślałem nawet Regnierowi dwa pułki jazdy na front przeciw kozakom!

— Którzy na Sasów Regniera nie następowali!

— Mogłeś się przez miesiąc reorganizować w Warszawie pod moją protekcją!

— A gdy mam jakieś siły skupione i mogę działać, odstępujesz!

— Bo —

— Bo gdy je skupiłem, to wiesz, że we dwóch moglibyśmy być niebezpieczni dla Kutuzowa et caetera!

Schwarzenberg usiłował uśmiechnąć się.

— Jesteś bohaterskim żołnierzem — rzekł — ale polityka nie jest twojem polem. Pozwolisz mi się napić kawy?

— Proszę cię.

Schwarzenberg usiadł. Poniatowski klasnął w ręce na kamerdynera i kazał podać kawę, ale zamiar Schwarzenberga zrozumiał. Schwarzenberg chciał go uspokoić, może uśpić, może nawet spróbować badać jego myśli.

Nie był to już druh ze szkoły wojskowej i przyjaciel lat młodych — — nie! Z momentu na moment być nim przestawał.

Chodzić począł Poniatowski po pokoju, a cała jego dusza nabrzmiewała wzburzeniem.

Chodził wszczególnie salonu, a burza serca pierś mu rozpierała; coraz więcej i więcej, coraz gwałtowniej.

— Manewrowałem — podjął Schwarzenberg — z myślą o tobie i o Warszawie.

Poniatowski nie odpowiedział.

Schwarzenberg dopił szybko filiżanki. Wiedział on, że w Poniatowskim gotuje się krew.

Byłby chciał rozstać się z nim w pozornej przynajmniej zgodzie, przynajmniej w dyplomatycznym porozumieniu, dopóki nie staną naprzeciw siebie oko w oko, jak nieprzyjaciele. Ale przedewszystkiem chciałby był Poniatowskiego odwieść od Napoleona i pozyskać dla przymierza cesarza Franciszka z carem Aleksandrem, które nie było jeszcze postanowione, ale które było już kwestją czasu.

Zresztą naprawdę ono nie było zerwane nigdy.

Schwarzenberg wiedział równie dobrze, jak Metternich, że między monarchami Europy nie wygasa ani na moment przymierze przeciw Napoleonowi wspólna chęć zemsty, odwetu i zdruzgotania uzurpatora, który ich pozwalał sobie nazywać „braćmi“; wiedział, że ostentacyjne komplementy Aleksandra były chęcią zamydlenia oczu Napoleonowi, jak nawet małżeństwo z Marją Ludwiką miało w sobie myśl polityczną uspienia jego czujności; wiedział, że Anglja po 1805-tym, 7-ym, 9-ym, 12-ym podzegać będzie do wojny z Francją dopóty, dopóki Napoleona nie zwali; wiedział, że jeszcze najwierniejszym sprzymie-

rzeńcem Napoleona ze wszystkich, których do przymierza z sobą zmusił, był zmiażdżony, zбитy, sponiewierany, zbezczeszczony i bezsilny król Fryderyk Wilhelm pruski — ze strachu.

Schwarzenberg czekał momentu. Cesarz Franciszek, nauczony rozumu tylokrotnie, nie chciał się jeszcze zdeklarować wyraźnie. Schwarzenberg narazie miał nie szkodzić Rosjanom i nie pomagać Napoleonowi. A przede wszystkim zależało na odciągnięciu Poniatowskiego. Powinien on się być poddać z wojskiem swoim Aleksandrowi, tem samem umarzając kwestję Księstwa Warszawskiego, które wtedy samo przez się przedstawiało istnieć.

Napoleon wywlekał z grobu widmo Polski. Czynił to dla swoich celów, ale niemniej czynił to. Karykatura, czy parodia dawnej Polski, nazwana Księstwem Warszawskim, jednak przypominała ją, widmo wydobywało głowę i ręce z mogiły. Środkowa Europa potrzebowała postawić Bonapartemu stopę na piersiach, Polsce na czaszce. Inaczej trzy mocarstwa nie mogły pozbyć się strachu i niepokoju.

Opuszczenie Napoleona ze strony Poniatowskiego byłoby pierwszym czynem publicznym przeciw niemu, czynem o wiele mniej znacznym fizycznie, niż wojna hiszpańska, ale ogromnego moralnego znaczenia. Bernadotte i Moreau byli szubrawcami. Bernadotte był daleko w Szwecji, Moreau tylko zdolnym jenerałem, obaj zdradzili Napoleona z pobudek podłych, ale Poniatowski, odstępujący go po wojnie, która zwała się polską i miała pośrednio na celu restaurację Polski, odstępujący go z wojskiem, które miało za sobą

tyle napoleońskich pól chwały, byłby pierwszym głośnym protestem przeciw Bonapartemu, wogóle przeciw jego racji istnienia poprostu. Byłoby to więcej niż odstępstwo, byłoby to wyparcie się!

Z dokumentem bezpośredniego przejścia w szeregi wrogów!

Schwarzenberg wiedział, jaką grę trzyma w rękach, wiedział, jako dyplomata i wiedział także jako generał, czem byłyby siły polskie, zwrócone przeciw tyłom wojsk napoleońskich.

Korzystał on też z milczenia i ważył w głowie myśl, jak należałoby do Poniatowskiego się ozwać, kiedy ten nagle zatrzymał się przed nim i z wypiekami gorączkowego nawięcia na twarzy, z błyskiem w oczach, nie pamiąg nad sobą, krzyknął mu prosto w twarz:

— Zdradzasz!..

Schwarzenberg zerwał się. Ręka jego upadła na tło ojeści szpady, potem jednak cofnęła się; potem se snę w ręce rękawiczkę, lecz i tego zamiechał: stał moment przed Poniatowskim błady i wściekły, potem postąpił ku drzwicom. Poniatowski wiodł za nim oczami. Schwarzenberg odwrócił się ku niemu od drzwi.

— Wasza księżca mość — rzekł przyduszonym głosem — król Stanisław August już nie panuje, jesteście równi —

— Mości książę, o każdej godzinie i na każdym miejscu — odpowiedział Poniatowski.

Zabrzękała jeszcze za drzwiami salona szpada Schwarzenberga, potrafiwszy o krzesło. Poniatowski patrzył na drzwi i powtórzył: zdrajca!

Krew pulsowała mu w skroni. Chwilę stał koło komina, nim głowa myśl schwyciła, myśl,

która ustawicznie wracała, a którą teraz Schwarzenberg jeszcze podniecił.

Gdyby Napoleon był chciał posłuchać jego rady, był chciał, gdy błagalnie się na kolana przed nim rzucił, wyprowadzić go z pięćdziesięciu tysiącami Polaków na Wołyń... Płomień byłby ogarnął cały Wołyń, całą Ukrainę, za temi całą Litwę i Białą Ruś... Gdyby się nawet wyprawa do Moskwy była nie udała, Kutuzow nie mógłby ścigać Wielkiej Armji dalej, jak do granic etnograficznych rosyjskich. Mogła się była nie powieść kampanja Napoleona: cel jej, ten, w któryin zrozumiał ją, dla którego brał w niej udział Poniatowski, byłby spełniony...

Chodził książę po pokoju i czoło ręką pocierał. Duszo mu było i ciasno. Przewidywał następne wypadki — wiedział, że Murat nie zatrzymał Rosjan w Wilnie, że, zastawszy je trupami i konającymi, nie spożytkowawszy zapasów, niedobitki Wielkiej Armji opuściły miasto w dalszej ucieczce i w dalszym popłochu; wiedział, że Wittgenstein, Tormasow, Kutuzow i sam car Aleksander posuwali się naprzód. Jeżeli Schwarzenberg jawnie i otwarcie nie ogłaszał się stroną neutralną lub nawet może po stronie rosyjskiej, to tylko dlatego, że w Wiedniu czekano, namyślano się, kombinowano i nie chciano postąpić nieogłędnie. To nie ulegało wątpliwości. Postępowanie Schwarzenberga było tego aż nadto jawnem świadectwem. Były to manewry między Polakami, Napoleonem, cesarzem Aleksandrem, aby nigdzie za sobą mostów nie spalić — do czasu.

Co pocznie Napoleon? Cała potęga jego opartą była tylko na sile wojskowej. Wystawienie nowej armji po takiej klęsce i stratach wydawało się Poniatowskiemu na długo niemożliwe.

Być może, że już dla honoru samego, dla owego słynnego oświadczenia Czernyszewowi, że choćby Rosjanie byli na Montmartre pod Paryżem, jeszcze się na zabór Księstwa Warszawskiego nie zgodzi, gdyby Napoleon miał nową armję, walczyłby o nie — — lecz jest to niepodobne na teraz, aby ją miał.

Zginie więc ten ośrodek dawnej Polski z powierzchni świata — — i znów, jak przed jego wskrzeszeniem, rozleje się noc, dokądkolwiek mowa polska sięga.

Cóż księciu wtedy zostanie? Naśladować Kościuszkę? Nie czuł się na siłach. Umiąłby zginąć jako wódz regularnego wojska za ojczyznę, lecz zorganizować ruch rewolucyjny — — nie, to nie leżało w jego zdolnościach...

Chmury, chmury i chmury — — zewsząd na całym horyzoncie polskim. Jest pierwszym w kraju człowiekiem i ze znaczenia i z urzędowego nazwiska—jego głowy te chmury najbliższe...

Wtem bez meldowania się wszedł przyjaciel, wiceregimentarz Konfederacji Warszawskiej, Eustachy Sanguszeko.

— Był tu, słyszę, u ciebie Schwarzenberg? — rzekł. — Mówią twoi ludzie.

— Był. Przed pół godziną. Jeszcze filiżanka po nim nie wzięta.

— Widzę. No i co?

— Stoi jedną nogą nad Dunajem, drugą nad Wołgą, a nas środkiem przepuszcza.

— Nieźleby się może było postarać o parasol?

— I mnie się tak zdaje.

— Hm... Każ mi dać fajkę.

— Zaraz

Sanguszko siadł na kozetce, popatrzał na Poniatowskiego i zauważył:

— Ale cóżeś ty taki nieswój?

— O ten parasol mi idzie.

Sanguszko pociągnął parę razy fajkę, puścił parę kłębów dymu i odezwał się:

— Hm, mopanie, a gdzież ty jedwab na ten parasol kupować myślisz? W Paryżu, czy w Petersburgu?

— W Petersburgu nie kupię na pewno.

— A jeżeli ci z Paryża dostarczyć nie będą mogli?

Poniatowski, który stał przed kominem i grzał ręce w tyle za sobą, oparł się o gzyms.

— No, to co wtedy mopanie?

Poniatowski czuł w mózgu jakby kir; nic nie widział.

— Dąbrowskiego by się poradzić — rzekł po chwili.

— Et! — machnął Sanguszko z lekceważeniem ręką, ale po chwili spytał zdziwiony:

— Skądże tobie pan Henryk? Nie cierpiełeś go zawsze, a on ci zazdrościł.

— Nie, to ja jemu zazdrościłem i stąd moja niechęć. On powinien był być postawionym na czele sił wojskowych narodu. Ma talenta większe ode mnie.

Sanguszko popatrzał nań.

— O tem nie czas teraz radzić, mopanie, kto z was lepszy — rzekł. — Ważniejsze są rzeczy. Ale skąd ci ta skrucha mój, Józefie?

— Bo mnie rozpacz chwyta, bo nie wiem, co z nami będzie, bo jakiegoś działania będzie potrzeba, a to działanie może przejść miarę moich kwalifikacyj umysłowych.

— No, mopanie, i tobie ich nie brak. Dawałeś nieraz przykład samym nawet marszałkom francuskim w Rosji. Ale że, mopanie, źle się dzieje, to aż nadto jasne. Napoleon przemędrkował. Co on tam teraz wykombinuje w Paryżu, mopanie, trudno przewidzieć. Juści nie usiedzie i rąk na brzuchu z kręconemi palcami, jak mój świętej pamięci dziad, kiedy się jedenaście sto-dół w Sławucie naraz paliło, nie założy. Hm, mopanie, jakem Sanguszko, głupi jestem w tym interesie. Mnie się jednak przecie teraz wydawa, że więcejby może myśleć trza było o Aleksandrze, niż o Napoleonie — à la Adam Czartoryski.

— Tego nie uczynię — odpowiedział Poniatowski. — Nie wierzę.

— No, to teraz przynajmniej przycupnąć nam i niuchać, skąd wiatr zawieje. Cośmy mogli, tośmy zrobili. To fakt.

— Zapominasz jeszcze o jednym, Eustachy.

— No?

— Że możemy umrzeć.

— To zrobimy zawsze, niema obawy.

— Ale umrzeć dla kraju.

— Jak potrzeba nadejdzie, mopanie, któżby się wahał? Dziwna cię ogarnia egzaltacja, mój Józiu — — Dąbrowskiego nad siebie wynosisz, o śmierci gadasz — — ten szwab cię zirytował.

— Będziemy się bić.

— Co?! Kto? Z kim?

— Schwarzenberg przyśle mi sekundantów.

— Obraziłeś go? U siebie w domu?

— Zrzuciłem mu zdradę w rozmowie politycznej. Wyzwał mnie. Będziesz mi sekundował, Eustachy?

— Będę, mopanie. A drugi kto?

— Potocki, Klicki, wszystko mi jedno.

— Lepiej grubo, bo i on ci tam pierwszego z brzegu frajhera, ani gałgrafa, czy rałgrafa nie przyprowadzi... E, ale jeszcze poczekajmy. Jakoś ja w ten pojedynek nie dufam,

— Nie może być! Zbłąźniłby się, gdyby mi sekundantów jutro rano nie przysłał.

— No, poczekaj. Będziemy gotowi, mopanie, ale poczekaj. Zawsze mi się ten szwab nie podobał. Pludra wiedeńska! Księżę Schwarzenberg—o wa! Jeszcześmy tu takich nie widzieli! Niemiec. Wszystkich tych lichtensztajnow, lewensztajnow, ditrychsztajnow, dundersztajnow niemieckich tobym przez kij przesadził. Na koniu, mopanie, jak pudle siedzą! Cóż ty myślisz z wieczorem zrobić? Jabym w karty zagrał. Pójdźmy do Matuszewicza. Pamiętasz, że prosił?

— Dobrze, przyjdę. Ale nieco później. Mam jeszcze raporty do przejrzenia.

— Zostaw komu ze sztabu.

— Nie mogę. Muszę podpisać.

— No, to całuję cię. A nie zapóźnij. Będzie pani Kossakowska. Mniam, mniam, mopanie! Nikt nie ma takiej, tegoten, oficyny, drugi w całej Warszawie. No, adieu. Polecam się, mości księżu.

— Do widzenia. Przyjdę. Może mi już Schwarzenberg nie pozwoli więcej zagrać—roześmiał się Poniatowski.

Rad był, że Sanguszko wyszedł. Ten doskonały z pańska obozowy towarzysz począł go od pewnego czasu razić. Wszystko, co mówił, wydawało się Poniatowskiemu za płaskie jakieś, niesmaczne. Odstawał od swego dotychczasowego otoczenia, czuł to.

Staął znów przed kominem i oparł brodę na ręce, łokciem na gzymsie opartej.

Ciężkie przechodził w życiu potrzeby, bolesne i najboleśniejsze doświadczenia, los, który mu nie szczędził słodyczy, powabów i triumfów życia, hojniej jeszcze napawał go goryczą, upokorzeniami i utrapieniem, od starć z królem poczynawszy. Lecz wszystko to przyjmowała młodość bujna i silna, znosiła i zostawiała za sobą. Teraz nadchodzą nowe jakieś próby, może jeszcze cięższe, niż poprzednie, a młodość została już także za życiem.

W ustawicznej pracy, w trudzie, w wojnach, lub gotowaniu się do nich, nie miał czasu Poniatowski zastanawiać się nawet nad sobą. Wypadek posuwał go ku wypadkowi, wydarzenie rzucało ku nowym wydarzeniom. Od młodości — pół wieku...

Smutek, a i niepokój spadł na serce księcia.

Wszystko, w co naród obudzony z letargu i powołany do życia uwierzył, a czego on był wobec narodu i za naród reprezentantem, zbankrutowało. Jakaż straszna odpowiedzialność!.. Czy nie trzeba było wogóle iść za Czartoryskimi, ich politykę wieść — — lub choćby przed wojną ro-

syjską posłuchać tylu wezwań z Petersburga, stanąć raczej po stronie Lubeckiego i Ogińskiego Michała? Jakież to represje mogą spaść na odśloniętą Warszawę, na całe Wielkie Księstwo Warszawskie za udział w wyprawie francuskiej, za ośmdziesiąt tysięcy żołnierzy polskich w Wielkiej Armji, z których cesarz Napoleon „nie widział ani jednego“...

Jakże bolesnem echem rozbiegły się te słowa z Hotelu Angielskiego po mieście, jak sparzyły duszę księcia Józefa, gdy mu je powtórzono!...

Nowa znów jakaś tajemnica stoi przed narodem.

Nowe drzwi ciemne, gdy z hukiem armat i wyciem rannych zatrasnęła się brama napoleońskich nadziei...

I on to, on to ma klucz w zamek tych drzwi ciemnych włożyć i obrócić, on drzwi te pokaże, za którymi anioł li jutrzeński, czy straszny kościotrup w całun owity stoi?...

Czy nie lepiejby było złożyć ten ciężar z bark?...

Lecz naród w nim widzi reprezentanta swego bytu, swego życia, swego honoru...

Starym już — szepnął do siebie.

Gdzież dawna gibkość, dawna rzutkość, dawna wytrwałość!...

ah! — — dawny czar i wdzięk młodości?...

Westchnął — w westchnieniu łącząc wszystek gorzki żal, jaki mu duszę wypełniał.

Wtem lekkie, ledwo znaczne uchylenie drzwi sąsiedniego salonu zwróciło jego uwagę! — spojrzał: upudrowane włosy w lokach wyłoniły się z za drzwi i głosik cieniutki zapytał: czy można?

— Proszę — odpowiedział zdziwiony.

Drzwi rozwarły się i weszła przez nie postać kobieca w szubie futrzanej, otulającej ją całą. Była w maseczce czarnej, zasłaniającej oczy, nos i część twarzy. Gdy przed zdziwionemi oczami Poniatowskiego szuba podbita sobolami, a kryta czarnym aksamitem opadła z ramion na posadzkę, ukazała się strojna tancerka. Wysoko upiętą na głowie fryzurę opudrowaną miała na białe, szyję nagą w kolji brylantowej, szmaragdami i rubinami przetykanej, gors do pól piersi i plecy niżej łopatek niemal dekolutowane; ściśnięta w talji suknia z blado modrego była letniego najdelikatniejszego materiału, do kolan niemal krótka, ślicznie w górę upięta z tyłu, gładka z przodu, w drobne blado różowe kwiateczki polne barwiona, pończoszki białe, ażurowe, pantofelki z srebrzonego atlasu białego na wysokich ponsowych korkach, z klamerkami z brylantów, szmaragdów i rubinów; prześliczne ramiona, gołe do łokci, koronkami brabanckimi ubrane, bransolet żadnych, tylko na prawej ręce wąż giętki złoty, czarno emaljowany, wzdłuż grzbietu brylantami maleńkiemi sadzony, który trzy razy się owijał, a w głowie miał oczy z ogromnych dwóch rubinów i w pyszczku otwartym zęby z brylantów; w dłoni wachlarzyk z kości słoniowej, cudownie inkrustowanej brylancikami na trzonku, z pendencikiem z białej atlasowej tasiemki do zawieszenia na ręce. Przez ramię, z prawa na lewo, na wąskiej, złoczonej taśmie wisiła nad lewem biodrem prześliczna mała gitarka, politurowana jasno, z rękojęścią topazami i amety-

stami sadzoną. Długie białe rękawiczki kryły ręce wyżej łokci.

Osoba ta weszła z niesłychaną gracją, jakby wwionęła do salonu, z niewystłowioną zgrabnością zatoczyła półkole taneczne, błyszcząc i, mieniąc się blaskiem stroju i drogich kamieni i ujawniając końcami palców suknię przy udach, ze zwieszonym na pendenciku wachlarzem złożyła głęboki dworski ukłon przed Poniatowskim, który stał nawskroś zdumiony.

Nie czekając ujęła małą gitarę w dłoń, zabrzmiały łagodne i melodyjne akordy menueta i rozpoczął się taniec solowy, nie do wypowiedzenia czarujący, z ukłonami przed księciem, taniec, w którym każdy wdzięk ciała, oprócz widnych, modelował się z finezją i gracją niespotykaną i wyszukaną, a naturalną do upojenia. Poniatowski nie chciał przerwać widzenia, zapytał jednak wreszcie:

— Kto jesteś śliczna masko? I jakęś tu weszła?

Tancerka zatrzymała się i odpowiedziała dziwnie śpiewnym głosem spod maski:

— Przyjechałam karetą, puszczo no mnie.

— No, a jesteś, pani?

— Nieznajomą.

— Cel twego przybycia?

— Od ciebie zależy, mości księżę.

— Ode mnie?

— Tak jest, mości księżę.

— Czy mogę, piękna tancerko, pomóc zdjąć ci maskę?

— Jeszcze nie.

— A później wolno będzie?

— Być może.

W Poniatowskim szarman się budził. Smutki przytłumiły się — i ogólne i osobiste. Zawołał kamerdynera i rozkazał szampana, biskoptów i słodocy. Poczem schylił się, dorzucił własnoręcznie drew na ogień i postąpił ku tancerce, mówiąc.

→ Racz usiąść, pani.

Podsunał jej fotel.

Nieznajoma usiadła.

— Dalipan, podobnie cudownie cudnej wizyty się nie spodziewałem — rzekł, siadając obok na drugim fotelu. — Zali nie śnię?

I rękę wyciągnął, aby ją do dłoni tancerki położyć.

Nie bronila.

— Jam pani nawet nie powitał. Przepraszam.

Obrócił dłoń tancerki do góry i w zapięciu rękawiczki ustami poszukał.

Kamerdynier postawił na stole wino otwarte, kieliszki i zastawę.

Księżę nalał.

— Proszę. Ale tak będzie niedobrze.

— Bynajmniej.

Wesoły, młody śmiech zabrzmiał zpod maski.

W tej chwili Poniatowski zręczną ręką maskę z twarzy nieznajomej pani zesunął.

Krzyknęła lekko, spłoszona, on zaś olśniał. Fijołkowe, ogromne oczy w pół podłużnej oprawie z greckimi, cieninozłocistymi, wspaniałymi brwiami i długimi, czarnymi rzęsami świeciły wesoło, swawolnie i lubieżnie, nos szczupły, ledwo, ledwo zagięty ku dołowi, w najmilszym kształcie,

usta ponsowe niewielkie, a pełne, policzki pulchne i różowe — nic różu, nic blanszu i nic pudru na twarzy. Uszka maleńkie.

— Ależ, pan! — zawołał Poniatowski zachwycony. — Ależ pani jest doskonałą pięknoscią!

Piękna pani roześmiała się najswobodniejszym śmiechem.

Poniatowski ujął kieliszek z winem.

— Toast na cześć bogini Wenery, która mój skromny dom Pod Blachą odwiedziła.

Nieznajoma trąciła swoim kieliszkiem w jego.

— Na zdrowie twoje, książę!

Wychylili.

— Gościu mój cudny — rzekł Poniatowski, obejmując lekko stan pani — z jakiej krainy przybywasz?

— Z krainy miłości — odpowiedziała tancerka.

— Zwać cię wolno?

— Różą...

— Daruj śmiałemu pytaniu — jesteś wolną?

— Nie.

— Któż jest tym szczęśliwym?

— W tej chwili nikt.

— Mąż?

— Porzuciłam.

— Dzieci?

— Nie miałam.

— Pani—mówił Poniatowski, napełniając powtórnie kieliszki—zdawało mi się, że znam wszystkie piękne kobiety w Polsce, a nawet w Europie, widzę, że jesteś damą ze świata, jakim sposobem mogłem cię nie widzieć dotąd?

— Mam lat dziewiętnaście. Od trzech lat wydano mnie za mąż, a przedtem nie pokazy-

wano nikomu, chowano dla milionów. Aż uciekłam sobie.

— Aby?

— Aby ciebie zobaczyć, mój książę!

Poniatowski ukląkł na kolano. Piękność szła mu w krew, jak hiszpański napój ognisty.

Kłęcząc począł zsuwać rękawiczki z rąk nieznajomej. Ukazały się palce śliczne, długie, wykwintne, z różowemi, podłożnemi paznogiemi, masą kosztownych pierścieni strojne. Poniatowski począł je całować.

Pili.

Gitarke na wstędze zdjął potem książę, powstawszy, z ramienia tancerki, aby nie przeszkadzała. Nie chciał już pytać o nic, nie wiedzieć. Lekko, zwolna począł błądzić dłońmi po obnażonych ramionach pięknej pani i pochylać ją ku sobie. Już czuł, że mógł wszystko, ale chciał nadać temu urok największy, urok młodzieńczy. Wolno, wolno pochylał głowę nieznajomej ku sobie, aż usta ich spotkały się i spłynęły ze sobą.

Przestali mówić.

Coraz więcej, coraz więcej odstaniał się kostjum francuski, aż wreszcie oczarowanemu wzrokowi księcia wykwitł kwiat piękności nieznajomej tancerki tak cudny, jaki tylko grecki Praksyteles wymarzyć sobie zdołał.

— Zali sen? Zali sen? — powtarzał Poniatowski upojony.

Rozkosz rwać go zaczęła, lecz wszystko to miało mieć świeżość młodości. Tak chciał, tak czuł, że trzeba. A gdy dziewiętnastoletnie ramiona zawarły się nad nim, wydało mu się sa-

memu, że o lat trzydzieści, w wiedeńską młodość się cofnął.

Dniało już, gdy cudnej tancerce ubierać się pomagał. Zwiódł ją pod ramię ze schodów, pomógł wsiąść do czekającej karety — uśmiechnęła się przez łzy, ręką mu pocałunek od ust poślazała i konie ruszyły.

Oto jest ostatni blask młodości i życia — szepnął do siebie Poniatowski, gdy karetą zaturkotała z miejsca.

Powoli wracał po schodach na górę. W pokój pachniały jeszcze suknie, włosy i ciało pięknej nieznajomej.

Wieleż podobnych nocy przeżył tu, pod Błachą, w Jabłonie, w alkowach warszawskich, w Wiedniu, w Paryżu, w połowie Europy bez mała...

Żył w tem.

Wojował, kochał, był kochany.

Ułańska niosła go fantazja, ułańskie szczęście. Kobiety traciły panowanie nad sobą na jego widok, rzucały mu się w objęcia. Tak zbiegły lat dziesiątki — na wojnie i miłości.

Gdy kamerdyner go rozebrał do snu, gdy legł w łóżku, wydało mu się, że piękna nieznajoma tancerka tańczy jeszcze przed nim menueta przy dźwięku melodyjnej, łagodnej muzyki, z gracją niewysłowioną.

Westchnął.

Oto ostatni blask młodości życia — teraz pozostaje już tylko trud i śmierć...

.

Ta zaś, wierny druh Napoleona, z kosą w ręku powstawała znowu nad światem.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

KONIEC EPOPEI

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

KONIEC EPOPEI

TOM III

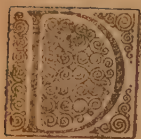
WYDANIE TRZECIE



WARSZAWA
M. OSTASZEWSKA I S-KA
AL. JEROZOLIMSKIE 23
1924



NEUMAN & TOMASZEWSKI



dziecko, siedząc na dywanie, śmiało się do rozpuku. Naprzeciwko niego leżał na brzuchu ojciec, cesarz Napoleon, i robił najpocieszniesze miny. Twarz jego przedłużała się lub kurczyła, oczy przymykały lub stawały się potwornie wielkie, kręcił nosem, marszczył się, jak gutaperka, i od czasu do czasu wybuchał śmiechem, tak, że śmieli się obydwaj razem. Nagle oparł się na łokciach, podniósł na kolanach korpus, brodę przytknął do dywanu i, rozszerzywszy oczy szeroko, pokazał zęby. Mały Napoleon II-gi, który trzymał w ręczce grzechotkę, zaskoczony, lecz nie-strwożony tym strasznym widokiem, palnął bez namysłu grzechotką w łeb potwora — potwór rozpląszczył się na dywanie. Łapy jego rozpadły się bezwładnie, on zaś sam począł w najkomiczniejszy sposób podrygiwać i podrzucać brzuchem, wywołując nowe kaskady śmiechu u zwycięzcy. Qiou! Qiou! — wołało radośnie dziecko.

Z sąsiednich drzew wychyliła się hrabina de Montesquiou.

— Qiou! Qiou! — wskazał malec opiekunce ofiarę swej odwagi i siły.

— Widzę! Widzę! — rzekła hrabina de Mon-

tesqiuou, z trudnością powstrzymując śmiech na widok ruchów cesarza na dywanie.

Wtem dał się słyszeć krok wojskowy w komnatach.

Cesarz podniósł głowę.

We drzwiach stanął adjutant cesarski ze słowami:

— Najjaśniejszy panie! Wszystko gotowe.

Cesarz wstał. Poprawił ubranie i pochwycił dziecko z dywanu w objęcia. Długo, długo trzymał je w ramionach, przyciskał do piersi i twarzy i całował, wreszcie ze łzami w oczach oddał je w ręce pani Montesqiuou.

Chciał odezwać się do niej, ale nie potrafił. Skinął na adjutanta i wyszedł.

W pół godziny później opuszczał Saint Cloud w małym, czarnym, trójgraniastym kapeluszu i w szarym płaszczu, ze szpadą u boku.

Stało się przeciwnie, jak myślał. Armja jego ni pod królem Muratem, ni pod księciem Eugenjuszem nie oparła się w Wilnie, nie wstrzymała ścigających Rosjan, dopóki by nowych sił nie zebrał we Francji i Europie i nie ruszył szczątkom jej na pomoc i na odwet i zemstę tak okropne, aby nawet wspomnienie nadludzkiej klęski 1812 roku w pamięci wieków zatarły. A gdy szczątki jego armji, opuściwszy Litwę, wlokły się podobne do trupów przez Niemcy, wbrew jego przewidywaniu Rosjanie nie zatrzymali się ani nad Niemnem, ani nad Wisłą, lecz posunęli się dalej.

Wzgardzone, zdeptane, zmiażdżone Niemcy, które ledwo dyszały pod stopą francuską, ocknęły się, porwały do boju. York i Massenbach, generałowie, którzy stanowili ze swoim korpusem

część jego wielkich wojsk pod marszałkiem Macdonaldem, stanęli otwarcie po stronie cara Aleksandra. Koerner, Rückert, Arndt, Fryderyk Schlegel, rozpalili serca i dusze niemieckie. Tugendbund chwycił za broń. Jak daleko sięgała mowa niemiecka, tak daleko zasięгло powstanie. Opierał mu się król pruski, tchórzliwy Fryderyk Wilhelm III, lękający się i Napoleona i własnej rewolucji patriotycznej. Lecz pójść z narodem został przymuszony. Z Berlina uciekł do Wrocławia, dalej od Francuzów, a 28-go lutego zawarł z Rosją aljans w Kaliszu. Blücher i Gneisenau bryznęli w oczy marszałkom francuskim.

Konfederację Reńską i protektorat nad nią Napoleona nominalnie obalono. Car Aleksander przybierał postać nowego Cezara lub Druzusa mściciela. Całe Niemcy, cała Rosja ziały nienawiścią i żądzą boju. Wellington z Anglikami zwyciężał generałów francuskich w Hiszpanji. Od Madrytu i Lizbony aż do Kopenhagi i Petersburga wszystko stanęło przeciw Bonapartemu, podczas, gdy Metternich balansował między myślą, że uczynienie pokoju pomiędzy Francją, Rosją i Anglią, byłoby „un coup de maître“, a myślą, że nie trzeba uprzedzać wypadków.

Albowiem widział on, że lew wojny jednym wstrząśnieniem grzywy zpod ziemi wydobył żołnierzy. „Piekielny“ genjusz Bonapartego potrafił z wyludnionej, skrzesanej poborami Francji nowe krocie tysięcy ludzi wydobyć. Byli to młodzieniaszkowie nieletni, lecz byli. Gotowi byli strzelać, choć nie umieli nabijać, ale przede wszystkim gotowi byli bić się i ginąć. Jęczała ziemia francuska, lecz oprzeć się woli

autokraty nie śmiała. Napoleon stworzył pie-
niądze, stworzył porządek i stworzył armję.
14 lutego mówił do Ciała Prawodawczego:

...Chcę pokoju; on jest potrzebny światu...
Nie zawrę nigdy pokoju, jak tylko pełen honoru
i odpowiedni interesom i wielkości mego ce-
sarstwa. Moja polityka nie jest bynajmniej ta-
jemnicza; do poznania były ofiary, które mo-
głem uczynić... Przyszłość powie, że Stary Świat
stracił swe prawa, a że Nowy je odzyskał...

Dynastja francuska panować będzie w Hi-
szpanji... Francja utrzyma nietykalność państw
swoich sprzymierzeńców...

Tak mówił. Nie chciał, nie śmiał, nie mógł
przypuścić, aby mu włos spadł z głowy! Nie-
dośćże było, że zawsze wierna fortuna odwro-
ciła się odeń w 1812-tym roku? I słońce niewa-
żaćmienia i gwiazda napoleońska zaćmić się mo-
gła. Lecz słońce nie gaśnie i gwiazda napole-
ońska zagasnąć może tylko z jego śmiercią,
a do tej jest daleko...

Lecz gdyby...

Przekłète myślił

Przekłète myśli zwątpieńł

Ona to, taż sama myśl zwątpienia prześla-
dowała go przed wojną rosyjską...

Ha, precz!

Potwór Europy powstaje przeciw niemu!

Trzeszczą wiązała gmachu!

Cóż za odpowiedzialność, cóż za obowiązek
wobec siebie, Francji!

Orzeł zagarnął okolicę skrzydłami, teraz mu
potężny wilk wchodzi w koło zdobyczne?!

Tyle zdobyć — — i tyle bronić musieć!

Podeszwę położyć na ustach Francji!

Niech słyszy, że pokój nie będzie zawarty,
tylko taki, który będzie odpowiedni wielkiemu
cesarstwu, to jest — —

wielkie cesarstwo: to on!

On sam!

Nowy Świat: to on!

Lecz pewnym być trzeba Francji.

Ona drży...

10,000 młodzieńców z bogatych, wrogich
bonapartyzmowi rodów utworzy gwardję hono-
rową — będą to zakładnicy wewnętrznego spo-
koju i poddaństwa.

Lecz nie cofnie z nad Pregļu, Odry, Wisły,
nie ściągnie wojsk swych z Włoch i Hiszpanji.
Zdusi Prusy, przerażeniem napełni Austriję, nie
nie uroni, nie nie straci, zdruzgoce cara Aleksan-
dra, wygna go hęć, precz, na północ, skruszy na
proch, potem sam, osobiście zwycięży zwycięzcę
marszałków, Wellingtona, w Hiszpanji — — i stwo-
rzy sobie pokój!

Pokój stanowczy, powszechny, trwały — —
pokój jego wszechwładzy — — chociażby to miał
być pokój trupów...

* * *

Chodził Poniatowski, wzburzony po swojej
kancelarji Pod Blachą.

— To powiadasz — zwrócił się do siedzą-
cego na kanapie z fajką w gębie Eustachego
Sanguszki — że broń należy złożyć i Ale-
ksandrowi się poddać? Tak?

Cyknał Sanguszko z fajki trzy razy i odpo-
wiedział:

— Głową muru, mopanie, nie przebijesz. Nikt nam nic zarzucić nie może. Nawet sam Napoleon. Któż, mopanie, pierwszy? Ojczyzna, Polska, czy cesarz francuski?

— Ah! — zachnął się Poniatowski.

— Zgubilibyśmy, mopanie, Polskę, dalej się przy Napoleonie upierając. Wspaniałomyślne idee Północy —

— Wierzysz im?

— Mopanie, gdy z jednej strony ogień, z drugiej woda, to pójdę tam, gdzie nie piecze.

— Bez wątpienia. Tylko abyś nie utonął.

— Trudno. A mam utonąć, to zawsze wolę, niż się upiec. Dla kraju mojego wolę mniejsze cierpienie, niż większe, choćby — — ale o tem i mówić, mopanie, niema co! Wspaniałomyślne idee Północy są gwarancją.

— Jednem słowem, Eustachy, odstępujesz mnie — przerwał Poniatowski.

— Nie, mopanie, ja tylko chcę ciebie nakłonić —

— Do wiary?

— Do rozsądku. Schwarzenberg —

— Zdradził!

— Niech sobie będzie. Schwarzenberg zdradził, Warszawy bronić nie możesz, co poczniesz, mopanie?

— Jest Kraków.

— Kraków?

— Tak!

— Cóż w nim uczynić zdołasz? Czy myślisz, że ci tam pozwolą siedzieć spokojnie? Wojsko zebrać, mopanie, i może do Warszawy wrócić?

— Gdy ja będę w Krakowie, w Warszawie będą kozacy. Nie o to idzie. Napoleona nie

odstąpię, bo mi honor nie pozwala, bo w nim jedyna jeszcze ostoja —

— Może nadzieja jeszcze?

— Może i nadzieja.

— Miałeś dowód, mopanie!

— Księstwo Warszawskie zbudował —

— Aby nas pchać wszędzie na front! Ośmdziesiąt tysięcy wojska polskiego wrzepił w śniegi rosyjskie i powiedział Pradtowi, że ani jednego polskiego żołnierza nie widział! Kanalia!

— Plan mam gotowy — począł mówić Poniatowski, jakby nie słysząc Sanguszki. — Schwarzenberg zdradził, ale Franciszek Drugi też ciem jest Napoleona, przeciw niemu nie wystąpi. Uczucia dla córki i wnuka nie dozwoliłyby mu tego w żadnym wypadku. Franciszek Drugi mógł nie chcieć występować przeciw Aleksandrowi, car rości sobie prawa do Księstwa Warszawskiego i Schwarzenberg, manewrujący koło Warszawy, mógłby się stać powodem zawikłań między Austrią i Rosją. Schwarzenberg postąpił na naszą szkodę śmiertelną, ale trzeba rozumieć. Tout comprendre c'est tout pardonner. Może być, że nawet zbyt się uniosłem, rzucając mu wprost w oczy nazwisko zdrajcy. Ostatecznie zrobił, co mu jego monarcha kazał. Ale Kraków co innego! Tam, pod opieką cesarza Franciszka, będę mógł zreorganizować moje siły — —

— Szlachetny człowieku — ozwał się Sanguszko — wszystko, mospanie, jesteś gotów usprawiedliwić, wszystko wybaczyć. Ja tam, mopanie, nie wiem, co myśli cesarz Franciszek Drugi i jego ekscelencja urwipoleć Metternich Pierwszy, ale wiem, co myślą patryjoci warszawscy,

do których, przyznaję szczerze, i sam siebie liczę. Cesarz Aleksander wyciąga do nas rękę, każdy krok z naszej strony za Napoleonem, każdy krok wstecz od tej ręki, każdy krok nawet samodzielny Polski, to, mopanie, afront dla Aleksandra — należy tę rękę przyjąć i z czystym sumieniem, że się wszystko, co sumienie i honor dyktowały, uczyniło, szpadę, mopanie, oddać.

— Eustachy — odpowiedział Poniatowski — włożyłeś czerwoną szablę do pochwy — wyciągniesz ją z niej, aby ją oddać?

Sanguszko podniósł oczy.

— Ja jeśli moją wyciągnę — mówił z mocą Poniatowski — to albo nią zwyciężę jeszcze, albo mi ją z ręki wytrącą!

— Otóż to! Otóż to! — zawołał Sanguszko.

Lecz Poniatowski odparł:

— Ale tylko z martwej ręki.

Stał ze żrenicami w przestrzeń wpatrzonemi, blady na twarzy, dziwnie uroczysty i w sercu swem zawarty.

Rozczulił się Sanguszko, powstał z kanapy, fajkę odłożył i, postąpiwszy ku Poniatowskiemu, ramionami go objął.

— Pójdiesz, mopanie, do Krakowa?

— Pójdę, tak mi dopomóż Boże!

— Ja zbawienie Ojczyzny widzę w zdaniu się na łaskę.

— Ja jej cześć w boju do krwi ostatka.

— W żadne, mopanie, jakiekolwiek zwycięstwo wierzyć już nie możesz.

— Wierzę w jedno niezawodne, nigdy ani człowiekowi, ani narodowi nie niemożliwe: honoru.

— Idealistą jesteś.

— Był nim Żółkiewski pod Cecorą.

— Bohaterem, mopanie, jesteś, duchem z herojów starożytnych rasy, lecz patrz, abys Polski dla honoru nie zgubił!

Odsunął Poniatowski Sanguszkę i rzekł:

— Jej zguba w rezygnacji!

Późnym wieczorem, w płaszcz owinięty, wyjechał książę Józef Ponomiński, sam jeden z bramy swojego pałacu. Przez ulice się snuł i miasto żegnał. Zbiegły się doń chwile przeżyte tu, upojenia, wesela, triumfów, szaleństwa pełne. Jechał domy oglądać, w okna patrzeć, gdzie jaśniał, gdzie się bawił, gdzie go topiono w rozkoszy. Śnieg padał mu na usta, jakby pocałunki zimne mu dając z chmur nad Warszawą rozpiętych. Jechał książę Józef, snuł się przez ulice, żegnając Warszawę. Samotnego ułana spotykali przechodnie, lecz nikt go nie poznał. Nikt nigdy tak jadącego księcia Józefa nie widział.

A rozkaz już był wydany do wojska, aby 5-go lutego gotowe było do wymarszu.

Ślubował Tadeusz Kościuszko na Rynku Krakowskim, z szablą swą w ręku, że albo nią zwycięży, albo sam na niej padnie.

Ślubu wypełnił połowę, ale i drugiej połowy nie spełnił w zupełności. Nie padł martwy na szablę pod Maciejowicami.

O wieleż, wieleż jaśniejsze miał Kościuszko przed sobą widoki! Porywała się Polska, jak z upadku doraźnego — — możnaż ją teraz porwać, gdy straszną próbę wojny wytrzymała, gdy tyle sił jej w śniegach przepadłych zostało?...

Tyle poświęceń daremnych duszę rozgoryczyło?

I w jakież imię, w czyjeż ją podnosić? Ktorego za półboga w Polsce miano, Napoleon, uciekł do Paryża...

Jakież hasło rzucić? Byli, co wołali: lud! Lud jest w Polsce, ludem Polska powstanie!... Kościuszkę wołał chłopów...

Poniatowski zatrzymał myśl.

Czuł, że stanął wobec jakiejs jakby góry, której objąć nie może. Ręce uczuł bezwładne, niezdolne. Jakieś słowa, jakieś myśli, jakieś uczucia duszę mu nawiedziły, ale zdefiniować tego, ani nazwać nie umiał. Wielki Napoleon chłopów francuskich wcielał w szeregi. Znał ich w kamaszach i w kaskach.

W Moskwie propozycje liberałów, demokratów rosyjskich odrzucił.

Jakież dalekie jest porównanie między głową Kościuszki a Napoleona... Być może, gdyby istniał człowiek, któryby duszę jednego i drugiego w sobie łączył...

Trzebaby się zdobyć na jakąś olbrzymią inicjatywę... Ogłosić jakieś manifesty, przy których nawet konstytucja Trzeciego Maja byłaby bładą...

Trzebaby wywołać, stworzyć, tworzyć nowe życie... Czy szlachta — myślał książę — która bądź co bądź jest rdzeniem, duchem, piersią, czołem i ramionami narodu, nie oburzyłaby się? Czy nie okrzyknęłaby go demagogiem?... A szlachta sama? Cóż ona? Na wezwanie Rady Generalnej, na uniwersał Konfederacji „Szlachta polska! do koni i oręża!” czemże odpowiedziała? Kilkuset jeźdźców, czterystu, stanęło... Szlachta nie zdobyła się na nic więcej... A chłopci stanęli.

Na lichych, małych konikach, bez broni, przekradając się przez kordony nieprzyjacielskie z szaloną odwagą...

I podziw obudzili Francuzów. Więc?

Mózg Poniatowskiego wysilił się. Myśl jego pracowała. Przeczuwał on coś, widział, wierzył, jednak na czyn zdobyć się nie mógł, wyłamać go z ducha nie zdołał. Kręcił się duch jego w zaklętem kole autokraty Napoleona, magnatów, szlachty, mundurów, przywilejów, manjer, formuł, pojęć, idei, w której całe życie swe przeżył. Jak-gdyby konno w krze wjechał i wydobyć się z nich nie umiał. Dokądkolwiek myśl zwrócił, zahaczał się, wstrzymywał.

Boże!... — jęknął sam do się. — Czegoś mi brak... Czegoś przegarnąć nie mogę!..

Widzę przed sobą jakieś światy... Za bramą... Lecz brak mi ramion Samsona — — bramy tej wstrząsnąć, otworzyć niezdolnym...

Ah, trudno! Za stary już jestem! Pięćdziesiąt mam lat. Być może, być może...

Lecz łatwiej mi już jest umrzeć, w czym ro-słem, niż nowości płodzić... Jeżeli przyjdzie dzień, tem lepiej... Mnie jedno tylko najwyższe, bom tylko żołnierz: czci polskiej, którą jak mon-strancję kapłan, w rękę przed narodem i światem trzymam, z rąk tych nie upuścić, w pył i kurz sto-czyć się nie pozwolić. Do tego powołanym się czuję. Niech inni, niech drugi Kościuszko nowe bramy Polsce otwiera. Dość będzie, jeśli, jak on chorąży, gdy mi ręce obetną, piersiami sztandar do ziemi w obronie przycisnę...

Za starym już na nowatora... Wiem, że umrzeć, jak Leonidas, potrafię.

Uderzył konia ostrogami i kłusem ruszył ku domowi—wyjechał pożegnać Warszawę, napotkał myśli, które były za nowe, za ciężkie. Gięło się pod nimi czako ułańskie, w myślach powstał męt...

Tymczasem do izby koszarowej, w której leniwo leżeli wieczorem na siennikach ułani, wpadł wachmistrz Dybul z gębą czerwoną i oczyma błyszczącymi.

— Słuchajcie chłopcy! — krzyknął. — Powiedział mi pan rotmistrz Zaremba, że rozkaz będzie odczytany jutro! Do Krakowa, ma się rozumieć, idziemy!

Porwali się żołnierze.

— Jakże to, melduję pokornie, panie wachmistrzu, Warszawę kozuniom oddamy? — zapytał ułan Makuch. — Bez wystrzału?

— Taki rozkaz będzie odczytany. Stul pysk i mores! — odpowiedział wachmistrz, ostatnim słowem nadając ton ogólnikowej sentencji.

Ale inni ułani uradowali się prawie, zwłaszcza ci, co z Polski przez Niemcy i Francję za Pireneje, z za Pirenejów przez Francję, Niemcy i Litwę do Rosji chodzili. Przykrzyło im się w miejscu.

Wtem wszedł do izby Antek Jamrozikowski.

— Gdzieś był? — zapytał go wachmistrz surowo, było już bowiem po „czasie“.

Antek Jamrozikowski nic nie odrzekł, tylko z za munduru i z za cholew począł wydostawać kielbasy, a z pod czaka, które mu dziwnie wierchem siedziało na głowie, wyjął spory salceson.

— On się prosił, żeby mógł chociaż na od-
chodnem z panem wachmistrzem porozmawiać —
rzekł, podając z poważną gracją salceson Dybu-
lowi.

— Ty plenię złodziejskie! — usiłował sier-
dzić się wachmistrz. — Znowuś ma się rozumieć
buchnąć?!

Za chałupą za nasą
..... sie chłop kielbasą.
Co ta zrobił, to ta zrobił,
kiej chałupę przyozdobił! —

odpowiedział spokojnie krakowiakiem Antek Ja-
mrozikowski, z salcesonem w ręku.

— No, pamiętaj, psiakrew! Żeby mi to
ostatni raz było! — surowo przykazał wachmistrz,
nęcony zapachem. — Ostatni raz, ma się rozu-
mieć, przyjmuję! Rozumiano?!

Pomimo woli podniósł salceson do nosa.

Wybuchnęli ułani śmiechem.

Zaperzył się wachmistrz Dybul:

— Czego się śmiejecie psiekości?! Kółtuny
akwizgrańskie! He?! Żeby was murzyńska cho-
roba pokręciła! Co?! Wartałowicz! Złamał ten
salceson w garściach, bom noża zapomniał.

— Antek, słuchaj ty psiakrew — zapytał po
chwili z pełną gębą — a na drogę, ma się rozu-
mieć, będziemy mieli? Ale ty, jucho, choćbyś
samego Kułuzowa ukradł, krzyżyka nie dostaniesz!
Ja w tem! Uczciwość żołnierska przedewszyst-
kiem! La vertiu militer avantul...

*

*

*

W piękny majowy wieczór jaśniał ogród pałacyku Pod Lipkami mnóstwem świateł. Ordynatowa Zofja z Czartoryskich Zamoyska żegnała podwieczorkiem wyruszającego, po paromiesięcznym pobycie w Krakowie, ku Napoleonowi księcia Józefa. W pięknych mundurach młodzi oficerowie błyszczeli pośród świetnych dam wielkiego świata. Gwarno było i bogato, jednak siłono się na sztuczną swobodę i weselość. Chmura trosk i niepokoju wisiała nad głowami. Najsroższy wróg wstąpił w granice. Napoleon podobno gotów był za cenę Księstwa Warszawskiego szukać porozumienia z cesarzem Aleksandrem. Polityka Austrii stawiała się z każdym momentem mniej dobrze wróżącą, jakkolwiek nie przechylała się jeszcze wyraźnie na stronę antynapoleońskiego angielsko-rosyjsko-pruskiego aljansu, ostatnia garść wojska polskiego miała opuścić ojczyznę i przedsięwziąć drogę tułaczą, na której jedynej wódz widział możliwość salwowania narodowego honoru.

Z głębokim smutkiem śliczna kuzyna patrzyła na pooraną zmarszczkami twarz, na zgnębione czoło, schylone w ziemię oczy tyle bliskiego jej sercu księcia Józefa. Siedział on zadumany w samotnej altanie, z głową na ręce podpartą i patrzył na szarzejące w mroku poza Wisłą mury Zamku Krakowskiego.

— O czem myślisz? — zapytała półszepem ordynatowa.

— Zapatrzyłem się w ten zamek i myślę, czy jego groby na zawsze zamknięte, bo gdyby tak było, toby ta ziemia nigdy już żywota sławy oglądać nie miała — odpowiedział Poniatowski.

— Czego spodziewasz się po Napoleonie?

— Dzisiejszej nocy dwukrotnie do czoła sobie pistolet przykładałem. Chciałem w łeb sobie palnąć, aby wyjść z tak trudnego położenia. Wszyscy mnie opuścili, Sanguszko Eustachy, druh tyloletni, Czartoryski Konstanty, Matuszewicz, Mostowski, nawet twój mąż nie jest już ze mną, nawet Kniaziewicz, nawet on, oficer tak mężny! W tym sprzecznym chaosie, kiedy książę Adam w imieniu cesarza Aleksandra, Antoni Radziwiłł w imieniu króla pruskiego naciskali na mnie, kiedy mi migotano przed oczyma koronę polską, bylebym Napoleona odstąpił, a partja zagorzałych, ale nieogłędnych patriotów warszawskich nasyłała mi bernardyna z żądaniem, aby „czynić osobno i narodowie, bez oglądania się na Francję“, kiedy widzę aż nadto jasno knowania przeciw mnie austriackie, a w kraju ospałość i przedewszystkiem tylko trwogę: odpowiedzialność za Polskę na moich barkach stała mi się za ciężka. Nie strzeliłem sobie w łeb, wziąłem determinację, nie odstąpię Napoleona. Dociągnę do końca. Ale zazdroszczę tym tam oto w podziemiach zamku za Wisłą śpiącym —
— leżą spokojni w chwale i nic im serca nie szarpie.

— Dlaczego trzymasz się tak uparcie Napoleona?

— Bo on jeden z władców przeciw Polsce nie występował, owszem, wskrzeszał ją z zmarłych —

— Dla własnej potrzeby.

— Lecz wskrzeszał. Bo wierność mu ślubowałem. Bo przy nim jednym w Europie pol-

ski żołnierz może polskim pozostać żołnierzem, a wreszcie kto wie? Bonaparte jest geniuszem, jakiemu dawno równego wieki nie wydały. Prawda, że przegrał kampanję rosyjską, ale w jakichże to okolicznościach nad moc ludzką ją przegrywał! Nie człowiek i nie ludzie go pobili. Czem innem jest wojna obecna, we właściwym jemu i jego armji klimacie. Jedno wielkie zwycięstwo nad Rosją i Prusami, Anglja zobaczy bezowocność swych milionowych subsydjów i cofnie je, Austria wtedy opowie się przy Napoleonie — jeszcze kto wie? Kto wie?

— Nie można przypuścić, aby Napoleon po raz drugi wyprawiał się na Rosję. Jest najbardziej do przypuszczenia, że zadowolni się już teraz po katastrofie zeszłorocznej hegemonją zachodniej Europy.

— Kto wie, kto wie...

— Tybyś się sam łudził, gdybyś w siebie usiłował wmówić wiarę w Bonapartego co do Polski; widzę to po tobie.

— Lecz cóż mam robić, gdyby i tak było? Poddać się? Czy nie piękniej zginąć z bronią w ręku? Czy, jeżeli nic stanowczego rzeczywiście dla kraju uczynić nie można, nie pięknie przynajmniej zostawić mu pamięć, że się umiało walczyć do końca i zginąć umiało?

— Tak, to pięknie...

— Pięknością więc ducha się krzepmy. Muszę ci powiedzieć, Zosiu, że dziwne miałem po drodze do Smoleńska widzenie, czy zjawisko. Byłem tak znużony, że, wyjechawszy naprzód przed wojsko, którem prowadził, zdrzemnąłem się w siodle. Wtem, ale mówię ci, tak wyraźnie,

jak ciebie tu oto, moja śliczna, oglądam, przyśniło mi się, że widzę Zawiszę Czarnego z przeciwka. Konno i w zbroi. Ażem się wzdrygnął. Tak to było mocne, że gdym już obudzony był, jeszcze patrzył w pierwszym momencie w ścieg, czy nikogo nie zobaczę?

Zofja Zamoyska obie dłonie splecione na ramieniu Poniatowskiego oparła:

— Jeszczem cię nigdy tak poetycko mówiącego nie słyszała. Joseph, ale ty się stajesz poetą!

Roześmiał się Poniatowski. Ona zaś milczała chwilę, potem ozwała się:

— Pomyśl, gdybyś koronę przyjął?

— Aby mi ją jutro z głowy strącono, jeśliby i dano? I mamże prawo do niej, odwagę prawa, ja, Poniatowski, po hańbie stryja Stanisława Augusta? Ale mam to uczucie, że w tych godzinach, w tych oto rękach trzepoce się, jak ptak, dusza polska. Bo niemasz jej ani u tych, którzy mi radzili rezygnację i poddanie się, ani u tych, którzy mi radzili wyczekiwanie wydarzeń i decyzję stosowną, ani u tych, którzy mi bezrozumną, samostną walkę z Rosją, czy podstępny, a najzgubniejszy napad na obóz austriacki na Prądniku radzili. Dusza polska na szabli mojej leży, na sumieniu mem i poczuciu, co jej się winno. Ale ramiona mi się gną i bodajby śmierć mnie uwolniła od tego wszystkiego!

— Na królu saskim oprzeć się nie możesz?

— Król saski jest między młotem a kowadłem, między Napoleonem, którego się jeszcze lęka a aljantami. Powiadam ci, Zosiu, śmierć by mnie tylko jedna była miła! A i tego mi pragnąć

nie wolno, dopóki jeszcze mam to przekonanie, że krajowi służbę winienem i że ją sprawić mogę.

— Pepi! Na cóż ci przyszło!...

Łzy zaszyły oczy ordynatowej; oparła dłoń na ręce Poniatowskiego miękko i delikatnie, z wezbranem łonem.

— Powrócisz z chwałą, Pepi — rzekła — powrócisz z chwałą.

— Powrócę z chwałą — — powtórzył Poniatowski bezdźwięcznie, jakby myśl jego nagle odbiegła w przestrzeń.

— Powrócisz z chwałą na Zamek.

— Na Zamek, z chwałą — — mówił tak za nią.

Głowa owisała mu ku piersi.

— Co ci jest?! — zaniepokoiła się pani Zamoyska.

Chwilę milczał, potem odpowiedział:

— Nic... Znużon jestem... Wszystko to, co przeszedłem, co przechodzę, stargało mi siły, zmordowało mózg i serce. Ah! Gdyby znów atak pod Raszynem! Znów nie, tylko bój, znów żadnej innej myśli, tylko komenda: naprzód! marsz! marsz! Ah! Gdyby to tylko! Urodzonym na dowódcę jazdy, a oto być mi trzeba i hetmanem Polski i jej kanclerzem i nieledwie jej królem w jednej osobie! Moja tu wola decyduje o jej jedynem jeszcze wojsku, lecz niczego moja wola o jej losach decydować nie zdoła! Wszystko, jak w chmurach! Za ciężko mi, za ciężko, za ciężko...

Sparł ręce na kolanach i jako starzec siedm-dziesięcioletni pochylił się cały ku ziemi.

Nie wiedziała, co powiedzieć ordynatowa Zamoyska. Chciałaby go była pocieszyć, pokrzepić. Lecz żadne słowo do ust jej, łzami zamkniętych, nie przychodziło. I tak milczeli oboje.

— Nie pasuj się tak strasznie ze sobą, Józefie — ozwała się wreszcie. — Obrateś już drogę jedną, więcej albo mniej zbawienną, Bóg raczy wiedzieć, lecz gdy sumienie tak ci dyktuje, idź w imię Boże do Francji... i wiedz, że tu pozostają, którzy kochają cię — —

Łzy zatłumiły jej głos.

Wtem zbliżyło się parę osób.

— A! Któż to — zapytał ktoś z nadchodzących, nie poznając w pomroku wieczornym osób w altanie.

Zamoyska zmogła się. Wszelki dyskretny uśmiech możliwy wydawał jej się w chwili obecnej świętokradztwem, zmogła się i, opanowawszy głos, poczęła śpiewać, na pozór swobodnie i wesoło:

Dziwował się kum kumie,
dziwował się kum kumie,
że nic robić nie umie,
że nic robić nie umie.

— Pani ordynatowa?!—zawołał jeden z gości, poznawszy Zamoyską.

— Śpiewam księciu Józefowi na odjeździe ku Francji kujawiaka.

— Hahaha! A to ślicznie!

— Jeszcze nigdy chłopska piosneczka tak dostojnymi ustami zaszczyconą nie była! Jejmość pani hrabina ordynatowa do wszystkiego: i do

tańca i do różańca — ozwał się głos szlachecki, nieco podchmielony.

— Jak waszmość widzi, panie deputacie, jak waszmość widzi — odparła pani Zamoyska, chcąc się pozbyć natrętów.

Lecz to nie było już podobnem. Grono wielbicieli księcia i grono pełne pokłonnego ducha dla niej samej otoczyło ją wraz z Poniatowskim. Usłyszała tylko szeptem powiedziane przez księcia Józefa w stronę Wawelu: do widzenia! — a to, nie wiedzieć czemu, wydało jej się, jakoby echem poszło w świat...

*

*

*

Zaremba, przybywszy z księciem Józefem do Krakowa, wziął był urlop i do brata, obywatela pod Rzeszowem w Galicji, pojechał. Reumatyzm mu dokuczał i znużenie kości łamało. Ale w domu u brata dopiero uczuł potrzebę spoczynku. Przez pierwszy tydzień w łóżku leżał, potem czas jakiś musiał na wacie kubrak nosić i z pokoju nie wychodzić. Brat, człowiek młodszy odeń lat parę, obywatel spokojny i domatorskiego usposobienia, żołnierskiemu duchowi daleki, dwie córki, panny dorosłe prawie, jedna siedmnaście, druga szesnaście lat, oraz bratowa, otaczali go opieką czułą i z adoracją nań patrzyli. Fajkę zawsze miał nabitą tureckim tytoniem i albo polewkę piwną z kaskami sera, albo kawę mocną pod bokiem.

Byłoby mu jak w raju, gdyby nie czarna melancholja, której nic rozpuścić nie zdołało, i nie troska i nie niepokój, które go obsiadły, chwili spokoju nie zostawiając. Czekał Zaremba

z dnia na dzień, z godziny na godzinę wiadomości, co uczyni wódz naczelny? Odstąpienie Napoleona wydawało mu się czemś niemożliwym, niepodobnem, czemś zbrodniczem poprostu.

Naprzód i przede wszystkim nie rozumiał Zaremba sprawy polskiej bez Napoleona, potem ewentualne odstąpienie go wydawało mu się dyshonorem, zdradą wojskową, наконец nie rozumiał bez Napoleona i siebie samego. Wszystko: polityka polska, polityka powszechna, patriotyzm i żołnierstwo przykuwało go do cesarza, a dalej: jakby on żył, gdyby nie był napoleońskim oficerem? Gdy myślał o tem. świat, zasłaniał mu się mgłą ciemną. W Zarembie urosła druga dusza: napoleończyka.

Przez lat kilkanaście budził się z myślą o cesarzu i zasypiał z nią. Imię cesarza było na jego ustach częściej, niż imię Boga, pamięci rodziców, Teresy Mirskiej, nawet Polski. Imieniem tem napełnioną była jego głowa cała. Podobnie też napełnione były głowy jego kolegów, jego podwładnych i jego przełożonych. Wszystkie te głowy były jak w ogromny kocioł pełny cesarza włożone.

Gdy ku wiosnie już począł wychodzić w pola i zamyślił się, nieraz zdawało mu się, że słyszy imię cesarza gdzieś koło siebie wymówione. Jeżeli gość jaki lub proboszcz do dworu przybył, nie mógł zrozumieć, jak może rozmowa wyłącznie się tylko o Napoleonie nie toczyć? Błędy jego podczas kampanji rosyjskiej znał, ale gdy sędzia z Rzeszowa począł je podnosić, wstał od kolacji pod pozorem nagłego bólu zębów, nie chcąc w domu brata awantury zrobić. Największą miał przyjemność, jeżdżąc do klasztoru oj-

ców bernardynów do Rzeszowa. Tam, obsiedziony wkoło, przy kubku miodu, opowiadał ciekawym mnichom boje i czyny wielkiego imperatora. Jezus Marja! Chryste Panie! Sancta Mater Dei! A niech go dunder świśnie! Matko przenajświętsza! Daj go katu! A to im dał! — grzmiało koło niego. Czestowali go ojcowie tabaką, kichał on i oni kichali i tak przy miodzie do białego rana schodziło. A panie rotmistrz dobrodziej, a Kadudal? Piszegru? Moro? Mości rotmistrz, Mantua? Lodi? Marengo? Austerlitz? Rotmistrzenku jedyny, a względem kobiet? he? co? Byk ryczący? Leo quaerens quem devoret? Józefina? Walewska? Marja Ludwika? A Luiza pruska? He? Prawda? O tej róży i Magdeburgu? O kanalia! Ogier korsykański! Każdy człowiek ma swoje ułomności... Nawet święty Augustyn nim djabła po-grzebał — potężnie kochał... Zechcesz waszmość pan, panie rotmistrz, być obecny? W piątek msza śpiewana na imencję cesarza jegomości się odprawi. Niech żyje zórw, niech zwycięży, niech tych pludrów i kacapów rozumu nauczył! Te Deum zaśpiewamy po ostatecznem zwycięstwie. A tymczasem: zdrowie jego cesarskiej mości cesarza Napoleona! Vivat! Wiw lemperer! Hura!

Wyjeżdżał z klasztoru Zaremba kałamaszką, która na niego w wozowni klasztornej czekała, upojony, i myślał po drodze, czy też w domu na stole swoim rozkazu powrotu do pułku nie zastanie? Serce biło mu za każdym przyjazdem. Lecz widocznie Poniałowski albo namyślił się, albo czekał rozkazu z Francji. Tymczasem Za-

remba gorzkie, żałosne i smutne znalazł sobie zajęcie.

Była w salonie na ścianie podobizna jakiejś prababki, Kąkolewickiej herbu Radwan z domu, osoby dziwnie pięknej, której twarz Teresy Mirskiej przypominała. Stawał przed nią długie chwile Zaremba z fajką w ręku, albo siadał naprzeciw i godzinami się w nią wpatrywał, nie widząc jej, ale tamtą w stepach pozostawioną, przez psy żartą.

Pewnego razu, gdy siedział tak, usłyszał za sobą cichy głos starszej Marynki:

— Stryju, o czem stryj tak myśli?

— Patrzę na portret podkomorzyny.

— Jakże, kiedy ciemno?

Spostrzegł się Zaremba, że powieki wśród myśli na oczy mu spadły i że mrok już szedł. Nie wiedział, co powiedzieć?

— A no, snadź zadrzemało mi się nieco. A myślałem, że ciągle patrzę!

— Piękna była prababcia?

— Znałem piękniejszą.

— Gdzie? W Hiszpanji może?

— Nie, u nas. Straszłą śmiercią umarła.

— Taka piękna?!

— W stepach na śniegu.

— Boże! I jakimże to sposobem?!

— Ponieważ ją opuszczono,

— A! Gdzie?!

— Sama kazała.

— Nie pojmuję. Opowiedz, stryju, proszę cię.

— Co stryj opowiada? — zapytała młodsza panna Kazia, która w tej chwili weszła.

— Nic, nic, dziecko drogie — odpowiedział Zaremba.—Nic nie opowiadam. Przypomniała mi się jeno pewna tragedia. Gdym tu naprzeciw portretu pani podkomorzyny siedział.

— Ja uważam, że stryj często naprzeciw tej ściany siaduje — rzekła dziewczyna.

— Stryjowi prababcia podkomorzyna przypomina kogoś, ale osobę jeszcze piękniejszą. Czy opowiesz nam, stryju? Stryj powiedział, że w stepie na śniegu umarła — powiedziała druga.

— Ta śliczna dama? Jezusie dobrotliwy!

— Tak.

— Nie opowiem wam o niej, dzieci. To zbyt smutne i straszne... Fajka mi zgasła.

— Oto jest krzesiwo i hubka — rzekła Marynka.

— Skądże masz kochanko?

— Zawsze dla stryja nosimy przy sobie.

— I Kazia?

— A i Kazia. To nawet jej pomysł.

— Hm. Dobre dzieci. Powiedźcie mi: jest też gdzie jeszcze tutaj taka stara sofa tureckim adamaszkiem obita? Pamiętam, że dziadek mówił, że podobno była któremus z Zarembów, towarzysowi pancernemu, przez króla Jana darowana. Jest też gdzie jeszcze? Bo jej nie widzę.

— Na strychu stoi. Bo już się całkiem wysiedziała i rozlecieć chciała.

— A to szkoda.

Upadło z przed ust Zaremby słowo i zamyślił się. Panienki stały koło niego chwilę, potem Marynka usiadła do szpinetu i zaczęła śpiewać:

„Już księżyc zaszedł, psy się uśpiły
i coś tam klaszcze za borem...”

Zaremba słuchał. Za jedną piosenką poszła i druga i trzecia, czasem duetem. Wreszcie Marynka przestała grać, Zaremba usłyszał ciche kroki i szept:

— Stryj zasnął.

— Śpi.

Poczem cichutko wyszły panny z salonu.

Zaremba oparł fajkę o poręcz fotelu i oczy dłońmi zacisnął. Widział on biały step, step bez końca — — widzenie okropne...

Ocknął się dopiero, gdy mu lekko ramienia czyjeś palce dotknęły.

— Co? — zapytał.

— Stryju, zrazy z kaszą czekają — rzekła cicho Kazia.

— I kapłon z kompotem, dodała Marynka.

— Prosimy aści — odezwiała się z drzwi od pokoju jadalnego bratowa. — Chwała Bogu, sen asińdzieja pana brata krzepi. Prosimy na kolację.

Zaremba wstał z fotelu i odpowiedział grzecznie:

— Służę asińdźce, pani bratowo dobrodziko.

Podsunał się i ramię podał, aby do stołu doprowadzić.

Przy stole stał gospodarz z wódką gdańską i puharkiem.

— W ręce twoje, Marceli—wypił i nalał. — Siadajże. Wicek, podawać. Już też myślę, bracie kochany, że od nas nieodstaniesz.

— Szczęściem to dla nas będzie, panie rotmistrzu — rzekła bratowa.

— I honor domowi — dodała panna Kazia. Nagle kłaśnięto z bicia przed gankiem.

Zaczerwieniła się panna Marynka, a siostra spojrzała na nią z wymownym ironicznym nieco uśmiechem.

— Kasztelanic? — ozwała się matka.

— E, pewnie kto inny. — bąknęła panna Marynka.

W mig jednak pukanie od sieni słyszeć się dało i nim „proszę“ pan domu odpowiedzieć zdołał, przystojny, może dwudziestoletni chłopak, strojnie odziany, włosy w loki, żaboty, granatowy frak ze złotymi guzikami, biała atlasowa kamizelka w kwiaty, spodnie obciste, popielate, stanął we drzwiach.

— Kto inny? — szepnęła panna Kazia do siostry.

— Daj spokój! — odszepnęła Marynka.

Po kordjalnem witaniu zasiadł kasztelanic obok starszej panny, przedstawiony uprzednio Zarembie, którego z uszanowaniem w ramię pocałował. Rzucił Zaremba znaczące spojrzenie na brata i znaczące spojrzenie w odpowiedzi otrzymał.

Ożywiło się w domu. Do wina, które na stole stało, acz wysoko szacownego, stuletniego tokaju przyniesiono z piwnicy.

— A już, jak Ukrzyżowanego — mówił jeżdżąc młodszy Zaremba — a zaniechaj Bolesławie tego oczekiwania. Mają się jeszcze bić, to niech się tam już bez ciebie biją. Jużes i w wieku.

— Poniatowski starszy ode mnie czterema latami przeszło — odparł rotmistrz.

— Poniatowski wódz naczelny, ale ty jeno rotmistrzem jesteś. Wysoka to szarża, tamen myślę, jak Ukrzyżowanego, ma być wojna, to

i bez jednego, choćby tak dzielnego wojaka, będzie.
Sine uno milite bellum erit.

— A gdyby tak wszyscy powiedzieli, panie cześnikowiczu?

— Ale nie powiedzą. At, jużś zły, kiedy mnie cześnikowiczem nazywasz. Takiś sam i ty cześnikowicz, choć rotmistrem jesteś, jak Ukrzyżowanego.

— A wiesz aś — rzekła pani Zarembina — jutro u nas wieczorynka. I na twoją cześć. Sąsiedzi się zjechać chcieli, zdrowie aści wypić. Sekret miał być, ale mnie język świerzbiał.

— Dziękuję, pani bratowej kochanej, dziękuję. Honoru za wiele!

— Nawet z dalekiej okolicy się wybierają — dodał kasztelanic. — Sława pobytu pana rotmistrza w Mikulińcach ode dworu do dworu się rozchodzi. Wszyscy radzi dawną znajomość odnowić, lub się poznać z mości panem rotmistrem.

— Widzisz aś, widzisz, asińdzieju! — rzekła pani Zarembina.

— Ot, gdyby był kto drugi — potańczylibyśmy choć we dwie pary — ozwała się Kazia.

— A stryj asińdziej to nie kawaler? Jenobyty obuć! Na krzyż to nawet dobrze!

Zaženował się Zaremba trochę kasztelanica, że w pantoflach był i w podwatowanym kubraku. Szybko przebrać się w mundur poszedł.

Polka-mazurka już brzęczała na szpiniecie pod rękami pani Zarembiny, gdy wrócił. Tańczył kasztelanic snadź z kolei z Kazią; Zaremba, w mundur opięty, Marynkę do tańca poprosił.

Lecz gdy trzeci raz koło drzwi salonu się

przesuwał, zobaczyć w nich Wincentego lokaja, który mu znak dał ręką. Zatrzymał się.

— Cóż tam?

— Jest żołnierz do wielmożnego pana rotmistrza. Ułan.

— Ułan? Skąd?

— Z Krakowa.

Drgnął Zaremba, bratanicę przeprosił i wyszedł za służącym do sieni. Ujrzał tam znajomego ułana.

— Jamrozikowski?

— Podług rozkazu, panie rotmistrzu.

— Masz list?

— Nie. Ustne polecenie od pana pułkownika.

— Co takiego?

— Rozkaz powrotu do pułku. Idziemy do cesarza Napoleona.

— Na nowe boje? — wykrzyknęła Marynka, która w tej chwili weszła za Zarembą do sieni.

Antek Jamrozikowski wyprostował się jeszcze mocniej, łypnął oczami i ślinę połknął.

— Kiedy wyruszamy?

— Za dni kilka. Melduję pokornie, pan pułkownik prosił natychmiast powracać.

— Dobrze. Za godzinę wyjeżdżamy! Głodnyś?

— Są okoliczności, gdy głód zamilka od samego widoku, jak wilk przed pochodnią — odpowiedział Antek Jamrozikowski, spoglądając kątem oka na pannę Zarembiankę.

— Marynko, proszę, każ co dać zjeść żołnierzowi i konia popaść — rzekł Zaremba i poszedł się przysstrajać do wyjazdu.

Nareszcie — znowu pochód, znowu wojna! Jeżeli wojna, to z Napoleonem, nie przeciw niemu! Zaremba uczuł się odrazu rzeźwiejszy, silniejszy, zdrowszy. Jak rybie do wody, jak rybie do wody — mówił bratu, który mu perswadował, aby się niemocą wymówił. — A zresztą kto wie? Może mię drągiem od armaty po krzyżach prędzej jaki rosyjski, czy pruski kanonier wykuruje, niż doktor Bengteller i jego maści rzeszowskie. A przynajmniej takie smarowidło za darmo. Przytem, powiem ci, mój drogi, gdy na wasz miły dom patrzę, nie uspokaja się we mnie dusza, która ma o czem pamiętać, nie układa, ale wzbiera owszem. Mnie już tylko obóz, a pole.

— Zbyt gorącym patriotą jesteś, zbyt Napoleona wielbisz i czcisz.

— I jeszcze tam coś więcej, bracie, i jeszcze tam coś więcej. Nie pora o tem teraz, ani nigdy pora nie będzie. Daj księdzu waszemu te trzy dukaty, niech za duszę zmarłej świętej w stepach rosyjskich msze odprawi. Możesz mu zaręczyć, że świętą była. Znowu mi szabla przy boku dzwoni. Dobrze. Marsz, marsz w świat. Zwyciężaliśmy długo, to i nie odrazu pokonani być możemy.

— Nie wierzysz w zwycięstwo Napoleona? To półbóg przecie!

— Nie wiem. Chce się bić, czy musi, to i ja z nim. Napoleńczykiem umrę. To wiem, że jeśli go jaka kula nie zmiecie, nim on padnie, świat jeszcze zadrży! Bądź zdrow. Dom twój jest jak słonecznik, ale tam Poniatowski i *Bona-parte!* Francja i Polska!

— Bracie!

Łzami i uściskami żegnany, wsiadł Zaremba do bryczki, w burkę sławucką brata się owinąwszy, Antek Jamrozikowski na kozioł, koń zaś jego i dwa konie rotmistrza szły luzem, za bryczką uwiązane.

— Ułan, podobało ci się u mego brata? — spytał Zaremba Antka już jadąc.

— Melduję pokornie, panie rotmistrzu — odpowiedział Antek — gdybym nie był sobą, do wielkich przeznaczeń powołanym z kolebki, to bez urazy pana rotmistrza, może zgodziłbym się zostać tym młodym paniczem, co go kasztelanice m tytułowali.

— A do jakichże ty przeznaczeń powołanym się czujesz?

— Za pozwoleniem pana rotmistrza, ja już mam w kieszeni.

— Co?

Kawał tej kielbasy, co panu rotmistrzowi jasnie wielmożne panny do troków zapakowały.

— A ty złodzieju kanajło! Jakżeś to jednak porwał? Kiedy?

— Ma głowę Bonaparte, mam i ja swoją, za pozwoleniem pana rotmistrza — oświadczył ze spokojną pewnością Antek.

— Anim cię nie widział, żebyś się do tych troków przybliżył!

— Melduję pokornie, gdyby mnie pan rotmistrz był widział, mógłbym się zgodzić zostać kasztelanicem — odpowiedział Antek.

— Każę cię za złodziejstwo na pierwszym postoju między piki zamknąć!

— Trudno; nikt nie jest prorokiem w swoim szwadronie.

— A pocóż się przyznał? — pytał Zaremba, którego bawiły szelmowskie odpowiedzi Antka.

— Każdy człowiek ma ambycję. Nie chciałem, melduję pokornie, panie rotmistrzu, aby pan rotmistrz myślał, że ciarapare po niego przysłali.

— Stulże pysk, z twoją złodziejską ambycją! Kiełbasę zjedz, a między piki pójdziesz!

Ale Antek, który cztery lata w szwadronie Zaremby służył i wiedział, kiedy rotmistrz naprawdę grozi, zmrużył oko do stangreta i szepnął mu jedno krótkie słowo, które w jego opinii najdokładniej obrazowało: nic.



Napoleon rozumiał dobrze prawdę. Był już sam. Młoda armja jego chciała walczyć, ale naród francuski nie chciał już wojny. A wyrazem narodu francuskiego byli właśnie Napoleona marszałkowie i generałowie francuscy.

Oni to, którzy byli szponami u jego łap orlich, oni to uniemożliwili mu zwycięstwo nad Kutuzowem podczas odwrotu z Moskwy — i znów podobne słowa musiał im powtarzać... „Widzę dobrze, moi panowie, że nie chcecie już wojny. Berthier chciałby polować w Grosbois, a Rapp siedzieć w swoim pałacu w Paryżu...”

Lecz jakimże innym tonem przemawiał teraz! Nie śmiał już krzyczeć, nie śmiał już przezywać, wymyślać, tupać nogami — — miał za sobą straszną klęskę w Rosji, już zdradził się, że nie jest *niezwyciężony*...

O, jakże piekło go to uczucie!

Jakże paliła go twoga usłyszenia słów: najjaśniejszy panie, byliśmy już pobici...

Zaś gwiazda nad jego głową nie chciała się rozplomienić; zda się, jakoby wicher przeciwny nad nią wiał i przygaszał jej blask.

Bitwy pod Luetzem i Bautzen nie były stanowczymi zwycięstwami. Zwalczał, ale nie pokonywał. Nie miażdżył Rosjan i Prusaków, jak zmiażdżył Rosjan i Austriaków pod Austerlitz. Widział to. Wiedział, że powtarzane są jego wyrazy wyrzeczone po Bautzen, gdzie 18,000 nieprzyjaciół, 12,000 jego żołnierzy zasłało pole bitwy: „jako?! taka rzeź bez żadnego skutku?!...”

Były to słowa złej godziny.

Bo przecież ta wojna, ogłoszona Francji, jako wojna w obronie sprzymierzeńców, honoru i zdobyczy cesarstwa, ta pozorna ofenzywa, była istotną defenzywą, wypadaniem rysicy przeciw psom w gąszcze, nie, aby je zaczepić, ale żeby je od legowiska z młodemi odpędzić, aby ich doń nie dopuścić.

Niechęć Francji do dalszej wojny była mu meldowana — nie były to już szmery opozycji, był to rozgwar. Czuł zwycięstwo przed sobą, widział je. Lecz gdy Metternich, jako zbrojny medjator austriacki, zaproponował zawieszenie broni, aby ułożyć warunki pokoju i położyć tamę zamętowi w Europie, przyjął tę propozycję. Musiał ją przyjąć.

Wszystkie instynkty wodza, wszystkie instynkty człowieka, wszystkie instynkty samochowawcze burzyły się w nim przeciw zawieszeniu broni. Sprzymierzony nieprzyjaciół nie był

nigdzie na głowę rozgromiony, ale czuł się za-trwożonym, zbitym z tropu. Przez Ulm wiodła droga do Austerlitz, po Aspern-Essling nastąpił Wagram — — Luetzen i Bautzen mogły być podobnymi etapami. Nieletni chłopcy z Francji bili się, jak lwy — błyskawicowy łuk zwycięstw przeżył się. Jeden jeszcze wysiłek giganta, a może zaświecić nad jego głową całą glorią potęgi. Armja Aleksandra i Fryderyka Wilhelma topniała w walkach i trudach. Jeden blask starej gwiazdy, jeden uśmiech szczęścia — — a pokój będzie zawarty pod stopami cesarza Francji.

Ale czuwał nad tem kanclerz austriacki Metternich. Jego legitymistyczna dusza piętrzyła się przeciw uzurpatorowi z Korsyki, a jego dworackie przywiązanie do habsburskiego tronu kazało mu czekać na moment odwetu za doznane, tylo-letnie upokorzenia, na moment zysku. Austrija zbroidła się. Gdy dorzuci dwieście tysięcy swoich żołnierzy przeciw Napoleonowi, on musi być zgubiony. Należało zatłumaczyć go przed rozgro-mem wojsk prusko-rosyjskich, wydrzeć mu z rąk możliwość zwycięstwa, odepchnąć go poprostu od niej. Austrija przybierała postać zbrojnego pośrednika. Napoleon nie mógł odmówić propo-zycji zawieszenia broni w Pleiswitz i kongresu w Pradze, bo podeptanie podobieństwa pokoju mogło wywołać nieprzewidziane następstwa w znużonej, krwawej i wyludnionej poborami Francji. Struna mogła pęknąć. Metternich wi-dział, że Napoleon to wie.

— Z dwóch partyj naczelnych składa się Francja — mówił cesarz do hrabiego de Nar-bonne, który wraz z Caulaincourtem miał go

reprezentować na kongresie w Pradze — z partji byłych rewolucjonistów, którzy przy mnie wyrosli, ale których interesa finansowe cierpią wskutek ustawicznej wojny i z partji dawnego porządku, rojalistów burbońskich, którzy mnie nienawidzą — — niechże więc kongres w Pradze układa Europę. Jak długo żyję, Europa nie może istnieć beze mnie, owszem, Zachód Europy nie może istnieć bez mojej supremacji. Byłoby to tak nienaturalne, jakgdyby grusza rosnąca na miedzy przestała dominować ponad polami wokoło, dopóki jej nie zetną.

De Narbonne milczał.

Napoleon popatrział nań bacznie.

— Raczej dopóki nie padnie — poprawił się. — Co myślisz o Austrii? Cesarz Franciszek nie może przeciw mnie wystąpić.

— Najjaśniejszy panie, kiedy książe Schwarzenberg przyjechał niedawno — a długo nadzwyczajnie jechał — do Paryża z zapewnieniami przyjaźni austriackiej, wymknęło mu się wobec księcia Bassano pewne niebaczone słówko. Wymknęło się lub było powiedziane umyślnie.

— Jakież to?

— Obawiam się rozgniewać Waszą Cesarzką Mość.

— Mów!

— Książe Schwarzenberg powiedział: polityka zrobiła małżeństwo, polityka może małżeństwo odrobić.

Napoleon zbladł. Zbladł straszną swoją błądzącością, Oczy jego rzuciły dzikie błyskawice na hrabiego de Narbonne. Lecz opanował się i z wysiłkiem, obracając się w inną stronę, zapytał:

— Jenerale, czy zdajesz sobie dokładnie sprawę, dlaczego Anglja mnie tak nienawidzi?

— System kontynentalny. —

— Nie. Jest to walka inteligencyj. Anglja widzi, że Francja przeze mnie wchodzi w te sfery ducha, w które Anglję wprowadził ocean, co ją oblewa. Ocean rozszerzył komórki mózgu Anglika, który chce być człowiekiem wolnym; Francja po mnie nie zniesie duszenia myśli człowieka. Gdzie będą mieli przed oczyma tak potężny przykład umysłowości jednego indywiduum, tam nie mogą już powrócić pod ogłupiające jarzmo dawnych królów. Anglja jest indywidualizmem Europy — ona lęka się, że to, co uczynił z niej przez tysiąc lat ocean, to uczyni z Francji kilkanaście, czy kilkadziesiąt lat mego panowania. Więcej — duch mój, duch indywidualizmu, nie da się już zatrzeć w całej Europie. Anglja, która jest najrozsunniejszem i najcywilizowańszem państwem świata, obawia się rywalizacji przeze mnie. Dlatego jest zawsze stale przeciw mnie, dlatego druzgoce swojemi machinacjami każdy pokój i póty nie spocznie — —

Cesarz urwał.

Spuścił, potem znów podniósł błękitno-stalowe oczy na adjutanta.

— Anglja — rzekł głucho i jakby mimo woli — nie jest już dla mnie do pobicia... Muszę to sam wyznać otwarcie. Mogę ją ubezwładniać tylko w jej aljantach, samej nie...

Na czem się to skończy? — dodał do siebie...

Z ponurą myślą cofnął się z linii bitw do stolicy sprzymierzonego Fryderyka Augusta, Drezna. Wzrok publiczności palił go. Widziano

go tu przed kilkunastu miesiącami na czele pół-miljonowej armji i na czele królów w przededniu największego zwycięstwa w historii...

— Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas—błąkało mu się po zaciśniętych ustach.

Wszystko było teraz w rękach Austrii.

Napoleon odbył szybki przegląd ludzi austriackich i zatrzymał myśl na jednym tylko, na Metternichu.

Z czego zdaje sobie obecnie sprawę Metternich?

Że primo niepowodzenie Napoleona w Rosji zmieniło sytuację wszystkich potęg w Europie, a przedewszystkiem Austrii;

że secundo Europa chce i musi mieć pokój;

że tertio mocarstwem, które może i powinno doprowadzić do pokoju, jest Austrija;

że quarto ten pokój musi być rzeczywistym, a nie pozornym, bo taki leży w interesie Europy i Austrii;

że quinto trzeba korzystać z chwili i dać uczuć Napoleonowi swą wagę i swe znaczenie, a jeżeli się da, wyzyskać moment, ile się da.

To jedno; drugie: jakie Metternich może mieć o nim, Napoleonie wyobrażenie?

Ma on, Metternich zupełną rację uważać go za mniej strasznego, niż by to było pożądanem, niż by to było koniecznem nawet.

Nie on, Napoleon, ale Metternich przewidywał w Dreźnie, dokąd przyjechał z Franciszkiem II-gim przed kampanją rosyjską, metodę strategiczną Aleksandra I-go. Ale ponadto słyszał mnóstwo zapewnień Napoleona, że zwycięży ten, który będzie cierpliwszy — — i zwyciężył:

Aleksander 1-szy. Metternich słyszał cały szereg enuncjacyj i zapowiedzi Napoleona, z których nie spełniła się żadna. Metternich okazał większą znajomość ludzi, a przedewszystkiem większą znajomość charakteru i istoty cara Aleksandra.

Jeżeli był czas, że Metternich drżał przed nim, Napoleonem, to ten czas minął.

Napoleon zdradził swoje słabe strony nie tylko jako polityk w Hiszpanji i Polsce — on je zdradził nawet jako wódz. Sztuką wodza bowiem jest nie tylko wygrać wskutek nagłych obserwacyj i pomysłów bitwy, ale przewidywać okoliczności, wśród jakich przyjdzie mu bitwy staczać. Europa nie musiała już drzeć przed Napoleonem. Piorun Jowisza zagniewanego uderzył w dąb: oberwał liście, skruszył konary, ale dębu nie spalił, ani zwałił go z pnia — — owszem, sam się on rozpryskał.

Wobec tego właśnie Metternich pozwolił sobie na wystąpienie Austrii ze zbrojnym pośrednictwem.

Dlaczego powziął ideę, aby to pośrednictwo było zbrojne?

Gdyż wtedy i tylko wtedy mógł od zbrojnego pośrednictwa przejść do otwartej wojny. Był do niej przygotowany.

Dlaczego Metternich nie chciał, aby dotychczasowa wojna była dalej prowadzoną?

Ponieważ po zwycięztwach pod Luetzen, Bautzen i Wurschen musiał się obawiać kompletnej klęski Rosji i Prus, nowego wzmożenia się Napoleona i nowego niebezpieczeństwa dla Austrii; ważył się zaś na krok stanowczy, gdyż jego, Napoleona, nie uważał już za niezwyciężo-

nego i w ewentualnem przymierzu z potęgami nieprzyjawnymi mu nie przewidywał ryzyka.

Na czem także mógł opierać Metternich swe kalkulacje?

Na dwudziestu jeden latach ciągłych wojen, na znużeniu świata. Tak, znużenie świata wojną stawało się pierwszym aljantem zbrojnego medjatora. Granice państw zrujnowane, trony powywracane, ziemia prawie całej Europy krwią przesiąknięta. I jedni i drudzy chcieli odpoczynku: zwycięzcy, aby używać owoców zwycięstw, zwyciężeni, aby odetchnąć i nie drżeć przynajmniej o to, co im zostało. W najgorszej sytuacji zaś były Prusy. On, Napoleon, zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Ani dynastji Hohenzollernów nie obalił, jak uczynił to z Bourbonami, z domem hanowerskim, hesskokassel-skim, Orange i innemi, ani nie wymazał Prus z karty świata, jak uczynił to z Cesarstwem Niemieckiem, Hollandją, Piemontem, Państwem Kościelnem i Toskanją. Zachował on i dynastję Hohenzollernów i Prusy, ale zawisł nad nimi w najstraszniejszym despotyzmie i trzymał między egzystencją nie do zniesienia i ostateczną zagładą. Czemże więc była dla całej Europy i dla Prus medjacja Austrii!

Z drugiej strony Francja od roku 1792-go nie przestawała walczyć. Mimo wszystkich dobrodziejstw jego genjuszu, Napoleona, mimo całej chwały i blasku zwycięstw, za wiele wylała krwi... Ona także stawała się sprzymierzeńcem Metternicha — — ona.

Propozycja pośrednictwa była co do pory wybrana arcyministrzowsko: można Metternicha,

jako pośła cesarza Franciszka, przyjąć dumnie, ale nie można go przyjąć wcale; można przyjąć go jako medjatora, którego się nie potrzebuje, ale trzeba drzeć, aby cena, jaką każe sobie zapłacić za pośrednictwo, nie była zbyt wysoką. I jak w Rosji siedział w stolicy carów, prosząc przez Lauristona o pokój, tak teraz zwycięzca musi przeciw sobie sam własną ręką kuć broń, gdyż każda godzina niepoświęcona ostatecznemu pogromowi wroga nie oddała zwycięstwa, ale przybliżyć może jego własną klęskę, jeśli kongres w Pradze spełźnie na niczem, jeśli pokój nie będzie zawarty. Prusy i Rosja ochłona z przerażenia, ściągną posiłki i przygotowują się do dalszej kampanji pod osłoną armji austriackiej w Górach Czeskich.

Zapowiedziany Metternich miał przybyć do willi w ogrodzie Marcolinie'go w Dreźnie, gdzie była kwatera cesarska. Długo przed lustrem ze szpadą przy boku i w kapeluszu na głowie studiował się cesarz w salonie audjencyjnym.

Metternich nie powinien był widzieć w nim nikogo innego, tylko triumfatora. Przekłeta twarz! Dłońmi rozetrzeć chciał zmarszczki czoła, które mogły świadczyć o trosce myśli. Chwycił i gwałtownie nalał na ręce wody kolońskiej, a potem twarz począł masować. Przekłeta twarz! Nie chciała przybrać wyrazu spokojnej, pogardliwej, pewnej siebie dumy — przedewszystkiem spokojnej. Daremne wysiłki.

Gdy jutro nie jest w rękach człowieka, jak ten oto guzik u mego munduru, bezwarunkowo i bezwzględnie nie jesteśmy panami swej istoty —

szepnął. — Jeżeli się jest cezarem, jedna tylko śmierć powinna być niezależna od woli i rozkazu...

Czy los zaczyna się mścić? Fortuna odwracać? Ja muszę być posłuszny Francji?...

Przeklęty kraj!...

Usłyszał kroki. Zdjął kâpelusz i włożył go pod pachę, szybko odchodząc od lustra na środek pokoju. Kapelusz na głowie mógłby wyglądać na afektację dumy, nie na dumę samą.

Prostu mógłby się Metternichowi chcieć wydać wyższy, niż jest. Dosyć wysoki jest i bez kapelusza, tak, jak jest. Jest jeszcze panem połowy Europy... W której na obu skrzydłach wre wojna...

Wszedł Metternich. Rzucił twarzą — spokoj!

— Witam pana. Jak zdrowie jego cesarskiej mości mego teścia?

Metternich skłonił się.

— Dziękuję, wasza cesarska mość; dobre.

— A najjaśniejszej pani?

— Również; dziękuję, sire.

Napoleon utkwiał badawczy wzrok w rozumnych, zimnych, spokojnych źrenicach Metternicha. Metternich jest pewny siebie, jest spokojny... nie obawia się... Ma spojrzenie człowieka, który atuty trzyma w ręku.

Przytem Metternich bawi w Dreźnie od przedwczoraj, od 24-go czerwca. Widział się niezawodnie z jenerałami Francji. Był zresztą pośród nich choćby czekając na audjencję. Niezawodnie rozmawiał z nimi. Sztab jeneralny nie chciał wojny — Metternich to odgadł lub się nawet przekonał. To podwoiło jego pewność siebie. Nigdy nikt, żaden poseł, oprócz głupiego Dołgo-

rukiego przed bitwą pod Austerlitz, nie stał przed nim z tak zuchwałym umysłem — tylko że grubiańską, ordynarną arogancję rosyjską pokrywał tu wykwintny polor wiedeńskiego dworu.

Do tego już doszło, że śmiano się nie lękać!

Ha! Do kroćset!

Widzę, chcecie wojny — rozpoczął cesarz — dobrze, będziecie ją mieli. Zniweczyłem armję pruską pod Luetzen; pobiłem Rosjan pod Bautzen; chcecie mieć swoją kolej. Zobaczymy się w Wiedniu. Ludzie są niepoprawni, lekcje doświadczenia są dla nich niczem. Trzy razy osadzałem cesarza Franciszka na tronie; przyrzekłem mu pozostać z nim w pokoju do końca życia; ożeniłem się z jego córką; mówiłem sobie wtedy: robisz szaleństwo; ale stało się.

Żałuję tego dzisiaj...

Nie! Oczy Metternicha nie wyrażają żadnej obawy. Przeciwnie, wydają się nietylko pewne siebie, ale szydęrcze!

Metternich był pewny siebie. Słał do Paryża zapewnienia stałej przyjaźni, a układał się równocześnie ze sprzymierzonymi w Kaliszu z carem i królem pruskim. Szło mu o rozdrażnienie Napoleona, o doprowadzenie go do ostateczności. Zaręczył Aleksandrowi, że czy Napoleon przyjmie medjatorstwo Austrii, czy nie, jednakowo będzie zgubiony. Albo obalą go w końcu sprzymierzeni z pomocą Austrii — jeśli medjacji nie przyjmie — albo zachwieje cały urok jego potęgi, jeśli przyjmie. Metternich niósł warunki Austrii, jako honorarjum za pośrednictwo. Warunki równe pierwszemu krokowi abdykacji. Co mógł, powiedziały mu to twarze generałów i dworzan w przedpo-

koju Napoleona — bolesna troska wryta na nich. Szef sztabu jeneralnego, Berthier, szepnął mu prawie w drzwiach cesarza: nie zapominaj pan, że Europa potrzebuje pokoju, Francja przedewszystkiem, Francja nic, tylko pokoju! Metternich miał sprzymierzeńców w przedpokoju Napoleona. Dumna postawa cesarza była jeszcze groźna, ale była nad krawędzią upadku.

— Pokój i wojna — rzekł Metternich — są w rękach waszej cesarskiej mości. Cesarz, mój pan, ma obowiązki, wobec których nikną wszelkie inne względy. Los Europy, jej przyszłość i twoja, sire, zależą od ciebie. Między dążnościami Europy i twemi, sire, leży przepaść. Światu potrzebny jest pokój. Aby ten pokój zapewnić, trzeba, sire, abys cofnął się w granice zgodne z równowagą powszechną, lub też będziesz musiał, sire, być pokonanym w boju. Dziś możesz jeszcze zawrzeć pokój; jutro może będzie zapóźno. Cesarz, mój pan, rządzi się tylko głosem swego sumienia; na ciebie kolej, najjaśniejszy panie, poradzić się swego.

Ton i sposób, w jaki Metternich przemawiał do niego, był tak niezwykły, że Napoleon mimowoli czuł, że nie dotrzymuje placu, że już jest przez Metternicha zwyciężony. Czuł się zbitym z tropu. Zamęt wkraśl mu się w myśl.

— No więc! Czegóż chcecie ode mnie?! — zawołał, czując, że odzywa się jak żak szkolny, przyciśnięty do muru przez kolegów, a nie jak dyktator Europy. — Mam się sam zbeczcześcić? Nigdy! Będę umiał umrzeć, ale nigdy nie ustąpię cala terytorjum!

Oczy Metternicha prześwidrowały go. Napoleon zrozumiał ich ironiczny sens: to jest pan świata? Ależ Napoleonie, kto już tak mówi, ten sam się prosi, aby z nim ceremonji nie robić. Ty już sam wiesz, że się oprzeć nie potrafisz. Ty nas uprzedzasz, ty się zdradzasz!

Wyrwać coś z duszy! Rzucić Metternichowi w twarz! Nic — tylko fałszywy patos, z którego się samemu zdaje sobie sprawę?...!

— Wasi panujący, urodzeni na tronie — rozpoczął prędko — mogą się pozwolić zwyciężyć dwadzieścia razy i zawsze powrócą do swoich stolic; ale ja wyrosłem z szabli parwenjusa. Moje panowanie nie przeżyje o dzień jeden chwili, kiedy przestanę być silny, i, co jest prostą konsekwencją, straszny. Popełniłem wielki błąd, nie oceniając czem była dla mnie armja, najpiękniejsza, jaka istniała kiedykolwiek. Umieję bić z ludźmi, nie z żywiołami; mróz zwyciężył mnie i zrujnował. Przez jedną noc straciłem trzydzieści tysięcy koni. Wszystko straciłem, oprócz honoru i świadomości, co winien jestem dzielnemu ludowi, który, po tych niesłychanych klęskach, dał mi nowe dowody poświęcenia i przeświadczenia, jakie ma, że ja tylko jeden mogę nim rządzić. Naprawiłem straty ostatniego roku; patrz pan na moją armję po bitwach, które wygrałem. Każę jej przededefilować przed panem.

Metternich uśmiechnął się i odpowiedział, niebardzo kryjąc uśmiech:

— A to właśnie ta armja życzy sobie pokoju.

Metternich wszedł na właściwy tor; nie było co dłużej grać w ciuciubabkę.

— Nie, to nie armja, to generałowie chcą pokoju! — wykrzyknął Napoleon. — Nie mam już generałów! Mrozy moskiewskie zdemoralizowały ich. Widziałem najdzielniejszych płaczących, jak dzieci. Złamani byli moralnie i fizycznie. Przed dwoma tygodniami mogłem jeszcze zawrzeć pokój; dziś już nie mogę. Wygrałem dwie batalje; nie zawrę pokoju!

Po co te wynurzenia?! Jaki chaos! Gdyby się miało trzykroć większą i trzykroć bitniejszą armję, jak można prowadzić wojnę, jeżeli się „nie ma generałów?”

Metternich schowa pod korzec światło, które cesarz francuski sam na swoją sprawę rzuca — zapewne! Ale otóż mówił

Metternich mówił z flegmą, spojrzawszy na paznogie:

— Ze wszystkiego, co najjaśniejszy pan mi raczył powiedzieć, widzę jeden dowód więcej, że Europa i wasza cesarska mość nie porozumieją się. Twoje traktaty pokojowe, sire, nie były nigdy niczem innem, tylko zawieszzeniami broni. Klęski, jak powodzenia, pchają cię, sire, do wojny. Moment nadszedł, gdzie możecie sobie nawzajem rzucić rękawicę: Europa i wasza cesarska mość. Podniesiecie ją oboje. Ale nie Europa ulegnie w walce.

Rzecz szła na ostre. Nie było wyboru. Metternich, a za nim koalicja, godzili wprost. Cesarz odbił:

— Spodziewacie się mnie obalić przez jaką koalicję? Iluż was jest, skoalizowanych? Czterech, pięciu, sześciu, dwudziestu? Im liczniejsi

będziecie, tem ja będę spokojniejszy. Przyjmuje wyzwanie. Ale mogę pana zapewnić, że najbliższego października zobaczymy się w Wiedniu. Hehehe! Zobaczymy także wtenczas, ile są wari wasi dobrzy przyjaciele Rosjanie i Prusacy. Rachujecie na Niemcy? Ah! Ah! A jakże postąpiły w 1809 r? Aby trzymać na wędzidle ludy niemieckie, wystarczą mi moi żołnierze, a co do wierności panujących, gwarantuje mi za nich ich strach przed wami! Jeżeli ogłosicie waszą neutralność i jeżeli będziecie przestrzegali neutralności, zgódzę się na negocjacje w Pradze: A chcecie zbrojnej neutralności? Owszem. Postawcie trzysta tysięcy ludzi w Czechach i niech mi cesarz da słowo, że mi nie wypowie wojny przed końcem negocjacji; i tak być może.

Jowjalne spojrzenie spotyka się z zimnemi oczami Metternicha — lekko ciepły rosół z gwiazdkami z ciasta rozlany na stół marmurowy.

— Cesarz ofiarował mocarstwom swoje pośrednictwo, nie swoją neutralność — mówi Metternich — Prusy i Rosja przyjęły je — ty, najjaśniejszy panie, masz się zdeklarować. Albo przyjmiesz propozycję, którą ci uczynię i ustanowimy termin trwania negocjacji; albo odmówisz, a cesarz, mój pan, będzie się uważał za wolnego co do swych postanowień i stanowiska. Jesteśmy pod przymusem faktów, armja musi żyć; za parę dni dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi będzie w Czechach. Mogą tam stać parę tygodni, ale nie mogą tam stać przez kilka miesięcy.

Cesarz usiłował uśmiechnąć się swobodnie.

— Za pozwoleniem pańskim. Cesarz Franciszek może mieć najwyżej siedmdziesiąt pięć

tysięcy pod bronią teraz. Więcej nie wytrzyma cyfra ludności Austrii, wobec strat w poprzednich wojnach, ani nie postawi wasz system konskrypcyjny.

Metternich teraz uśmiecha się z kolei, ale szczerze, swobodnie.

— Czyż tak? — powiada z humorem. — Któż to tak źle poinformował waszą cesarską mość? Ma ona przecież środki na postaranie się o lepsze informacje. Zapewniam, że mogę przedstawić waszej cesarskiej mości kompletną listę jej bataljonów, a wasza cesarska mość byłaby mniej dokładnie powiadomiona co do armji austriackiej?

Metternich bawi się z nim, jak niegdyś Czernyszew w Paryżu! Lecz nie trzeba dać po sobie poznać, że się to widzi. Sucha odpowiedź:

— Jestem dobrze powiadomiony, mam bardzo dokładne raporty co do stanu waszych sił i jestem pewny, że się nie mylę. Pan de Narbonne poruszył całą masę szpiegów i jego informacje sięgają aż do waszych doboşów; mój sztab jeneralny uczynił toż samo; ale mimo wszystko, znam lepiej, niż ktokolwiek, braki takiego języka. Moje kalkulacje opierają się, oprócz tego, na danych matematycznych i dlatego właśnie są pewne. Koniec końcem nigdy się nie ma więcej, niż się może mieć. Chodź no pan tu.

— Cóż to? — zapytał Metternich, wprowadzony do kancelarji.

— Rachunki. Dokładny spis waszej armji.

— Aha!

— Mamy czas. Przejrzyj pan.

— Podług życzenia waszej cesarskiej mości.

— Mówiłem panu, że umiem się bić z ludźmi, ale nie z żywiołami. Wystaw pan sobie, w Rosji, przez jedną noc padło mi od mrozu 30,000 koni.

— Słyszałem, sire.

— Najtężsi generałowie płakali, jak dzieci.

— Słyszałem, sire.

— Gdyby nie mróz, byłbym, dziś w Petersburgu. Niepodobna nawet z francuską armją walczyć z siłą żywiołów.

— Bezwątpienia.

— Nieprawda, że Aleksander przewidywał rezultat kampanji. Bał się jej.

— Niewątpliwie.

— Tak, tak, tylko mróz ocalił Rosję przede mną.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ale pozwól, sire, że w tem właśnie, co mówisz, widzę dowód, że czas już kres położyć tym ustawicznym niepokojom. Fortuna może waszą cesarską mość zdradzić teraz tak samo, jak w roku 1812-ym. W zwykłym czasie armje tworzą tylko drobną część ludności — obecnie powołujesz, sire, pod broń całe narody. Twoja armja nie jestże poprostu całą generacją francuską, zrekrutowaną przed czasem? Widziałem twych żołnierzy—to dzieci. Wasza cesarska mość jest przekonana, że jest absolutnie potrzebną dla narodu; ale czyż zkolei nie potrzebuje ona tego narodu dla siebie? A kiedy ta armja młodzieniaszków wyginie, cóż poczniesz, najjaśniejszy panie?

Metternich pozwolił sobie dać policzek w twarz — — mówił poprostu, a prawda w tym razie była policzkiem. Szczery gniew ogarnął

Napoleona. Czuł, jak zbladł, jak twarz mu się skurczyła. Uniósł się.

— Nie jesteś pan żołnierzem i nie wiesz, co to jest dusza żołnierza! Urosłem na polu bitew, a taki człowiek, jak ja, magdziej życie miliona ludzi!¹

Cesarz czuł się uniesiony, a zarazem — comediantem tragediantem — chciał temu uniesieniu nadać w sobie właściwy sposób wagi: i jak lućcik w Wilnie wobec Bałaszewa na ulicę, jak porcelana z kominka pod Austerlitz, tak teraz jego własny kapelusz poleciał z ręki w róg pokoju. Spojrzał na Metternicha, szukając wrażenia z tragedji spotęgowanej komedją, którą mu przedstawił, i nie zawiódł się: Metternich przybił, cofnął się i oparł o konsolę między oknami. Lecz był spokojny i nieprzerażony. Tylko oczy jego znamionowały, że wybuch taki uważał za uprawienie do czegoś zuchwałego, co wprost w twarz cesarzowi odpowie. Napoleon byłby chciał cofnąć upoważnienie, które dał. Lecz Metternich już mówił:

— Dlaczego do mnie te słowa?! Dlaczego dla mnie, wśród czterech ścian, takie wyznanie?! Otwórzmy drzwi i niech od krańca usłyszysz to Francja! Nie ja reprezentuję sprawę, która przegrał

Cesarza dreszcz przeszył; spuścił na chwilę wzrok; przegrywał z Metternichem od początku rozmowy, a to, co uczynił, było nieopatrzenie fatalne. Cofnąć — niepodobna; przyznać się do obawy — nie!

— Francuzi — rzekł — nie mogą się skarżyć na mnie; aby ich oszczędzić, poświęciłem Niem-

¹ Metternich każe się podobnego słowa domyślać.

ców i Polaków. Straciłem trzysta tysięcy ludzi w kampanji rosyjskiej, ale w tej liczbie było Francuzów tylko trzydzieści tysięcy!

Na licach Metternicha odbiła się zgroza. I to było powiedziane fatalnie. W tej chwili cesarz przypomniał sobie, iż w Warszawie powiedział Pradłowi, że w całej kampanji rosyjskiej nie widział ani jednego Polaka. Jeżeli nawet *takiego* Metternicha zaskoczył — —

lecz ten już prawie krzyczał:

— Najjaśniejszy panie, zapominasz, że mówisz do Niemca!...

Cesarzowi zabrakło na sekundę gruntu pod nogami. Zwrócił się i milcząc postąpił parę kroków przed siebie; Metternich poszedł za nim. Przeszli przez salon i doszli do leżącego kapelusza. Wyglądał on śmiesznie; biedny, czarny, mały kapelusz, który miał spełnić zadanie ręcznego granatu, a który raczej spełniał zadanie nocnika, którym się niezręczna służąca, chcąc go wylać z zamachem, sama oblała. Cesarz chciał go kopnąć nogą. Na szczęście wstrzymał się. Za drugą turą biedny, śmieszny, błagalnie patrzący kapelusz — (zupełnie skompromitowany mimo-woli przez czyniącego błąd dyrygenta niewinny podrzędny oboista) — podniósł z podłogi i wsadził pod pachę. Ten ruch otworzył cesarzowi usta, w które tłoczyła się gorycz, gorycz przede-wszystkiem, gorycz szczera, prawdziwa i głęboka.

— Tak — odezwał się — zrobiłem kolosalne głupstwo, żeniąc się z arcyksiężniczką austriacką!

Metternich zajmował plac boju; Napoleon Wielki cofał się przed nim i czuł to. Spokojnie i z niebardzo maskowaną swobodą aż do poufności odpowiedziano mu:

— Skoro, najjaśniejszy panie, chcesz poznać moją opinię w tym względzie, powiem zupełnie szczerze, że Napoleon Zdobywca popełnił błąd.

Karty odkrywają się kompletnie.

— Ah! Ah! Zatem cesarz Franciszek chce zdetronizować swoją córkę?

— Cesarz — odparł Metternich — zna tylko swoje obowiązki i spełni je. Cokolwiek-bądź fortuna ma w zanadrzu dla jego córki, cesarz Franciszek jest przedewszystkiem panującym i interes jego ludów będzie miał zawsze pierwsze miejsce w jego intencjach.

Metternich nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Jego dyplomatyczny język był pokazaną zarazem i figą i pięścią pod nos.

— A więc dobrze. Dajmy na to, że dobrze. Czego więc mój teść życzy sobie za owe zbrojne pośrednictwo między mną, a Rosją i Prusami? Mów pan prędko — rzekł cesarz nerwowo.

— Podług rozkazu waszej cesarskiej mości. Zwrócenia Illyrii, połowy Włoch, zrzeczenia się protektoratu nad Związkiem Reńskim, opuszczenia Holandji, renuncjacji z tytułu medjatora Szwajcarji, odstąpienia Księstwa Warszawskiego, zwrotu Hiszpanji Ferdynandowi VII Bourbonowi i oddania Rzymu papieżowi.

Metternich skończył. Napoleon patrzył nań. Stali naprzeciw siebie, jeden oparty plecyma o Austrię, Prusę, Rosję, Hiszpanję, Anglię i nie-

chęć Francji do dalszej wojny, drugi o samego siebie. Żądania Austrii były więcej, niż zuchwałe, były beczelnie odważne.

— Ah, ah! — wykrzyknął cesarz. — Mam więc ustąpić z Europy, której jeszcze połowę zajmuję, i wywieść moje legje z bronią na ramieniu za Ren, za Alpy, za Pireneje! Nic więcej! I tylko tyle!? Gdy moje sztandary powiewają u ujścia Wisły i nad brzegami Odry, kiedy moja armja triumfująca stoi przed bramami Berlina i Wrocławia, kiedy ja jestem tu na czele trzystu tysięcy żołnierzy — to wy, Austrija, nie dawszy jednego sirzału, nie dostawszy nawet szabli jednej z pochwy, myślicie i pochlebiacie sobie, że zmusicie mnie do podpisania tego gatunku warunków?! Na mój honor! Kapitalne! I to mój teść powziął taki projekt! To on, mój teść, pana z tem przysyła?! Teraz dopiero widzę, jak bezdenne błęd popełniłem, poślubiając arcyksiężniczkę!

Chciałem zbudować most między teraźniejszością a przeszłością, między gotyckimi przesadami a instytucjami mego wieku. Przerachowałem się i czuję dziś cały rozmiar tej omyłki! Będzie mnie to kosztowało może tron, ale pogrzebie świat pod jego ruiną!

Zimny pot wystąpił na czoło Napoleona. Zwycięzcy wszystkich, jemu, po nowych zwycięstwach proponują poprostu początek abdykacji! Niemożliwe! Nie do uwierzenia! I to własny teść jego?!... Dreszcz wstrząsnął ciałem cesarza.

Metternich zaś mówił:

— Od waszej cesarskiej mości zależy pokój świata i oparcie swoich prądów na najsilniejszej

podstawie: na uczuciu powszechnej wdzięczności. Jeżeli wasza cesarska mość pozwoli wymknąć się z jej rąk tej chwili, gdzież mogą być granice i gdzie kres konwulsjom świata?

— Tak! Mój honor przedewszystkiem, a potem dopiero pokój! — wykrzyknął cesarz raczej sam do siebie. — Pierwej zginę, nim się dam zbezczęścić! Naprzód mój honor, a potem pokój! Cóż wy rozumiecie przez pokój? Rozkawałkowanie mego państwa? Gdybyście żądali tylko Włoch, Brabantu, Lotaryngji, i tak nie ustąpiłbym jednego cala terytorjum! Pokój zawrę tylko na podstawie status quo ante bellum! Dam część Księstwa Warszawskiego Aleksandrowi. Prusom nie dam nic, pomieważ mnie zdradziły! Jeżeli chcecie Zachodniej Galicji, jeżeli Prusy chcą części dawnych posiadłości, niech będzie! ale za kompensaty! Wy wtedy będziecie musieli odszkodować z kolei moich sprzymierzeńców! Illyrja kosztowała mnie trzysta tysięcy ludzi — jeżeli chcecie mieć, to poświęćcie równą liczbę ludzi!

O! moja odpowiedź.

Lecz Metternich był jak z drzewa wyciosany.

Rzekł:

— Nie przyszedłem tu, ani nie jestem powołany do dyskusowania warunków przyszłego pokoju, tylko wyłącznie mam porozumieć się co do pośrednictwa Austrii lub też skonstatować odrzucenie go przez waszą cesarską mość. Jeżeli pełnomocnicy spornych potęg się zgromadzą, Austrija spełni misję pośrednictwa z najkompletniejszą bezstronnością.

Oczy Napoleona przeszywały Metternicha. Chciał się uśmiechnąć pogardliwie, lecz nie mógł. To bezstronne pośrednictwo było łapką i maską. Chciano przecież tylko przewlec zawieszenie broni, przewlec kongres w Pradze, aby zyskać na czasie i za angielskie pieniądze uzbroić i ściągnąć tyle austriacko-prusko-rosyjskiego wojska, by ostateczne zwycięstwo nie mogło być wątpliwe. I to wszystko, całą tę ideę, intrygę i wszystkie te machinacje przedstawiał, uosabiał w sobie stojący tu oto przed nim Metternich. Cesarz niedługo szukał w głowie.

Na propozycje Austrii zgodzić się nie mógł i wszyscy o tem wiedzieli, że się nie zgodzi. Jeżeli się nie zgodzi, Austrija wystąpi przeciw niemu jawnie.

Był już mrok. Oczy jego nie mogły utkwąć w oczach Metternicha, gdy bluznął mu kłamstwo, którego bezpodstawność znał, obelgę umyślną, gniew zemsty:

— Metternich! Powiedz mi pan, ile ci Anglija zapłaciła za wypowiedzenie mi wojny?!

Metternich wzdrygnął się. Nie odpowiedział nic, ale to milczenie było wymowniejsze, niż słowa. Napoleon poznał, że w tej chwili stworzył sobie śmiertelnego wroga na śmierć i życie, który przed niczem się nie cofnie i niczego nie zaniedba, aby wziąć odwet. Uczuł niepokój wewnętrzny.

— Zobaczymy się jeszcze, nieprawdaż? — ozwał się uprzejmie, ujmująco, po długiej pauzie rozmowy.

Do usług waszej cesarskiej mości — odpo-

wiedział, siłąc się na spokój, Metternich — ale nie sądzę, abym osiągnął cel mego posłannictwa.

Napoleon odprowadzał go ku drzwiom; przy samych drzwiach klepnął go po ramieniu i z wymuszoną dobroduszością, z wymuszoną prawie jowialnością oświadczył:

— Hehe, wiesz pan, co nastąpi? Wy mi nie wypowiedzie wojny.

Metternich potrząsł energicznie głową, podnosząc głos:

— Zgubiony jesteś, sire! Miałem przecucie tego, idąc tu. Teraz, kiedy odchodzę, jestem tego pewny!

Przez otwarte w pokoju okno z ogrodu Marcoliniego popłynął na twarz Napoleona zapach późnego wieczoru: cofnął się i zamknął drzwi.

Marszałkowie i generałowie francuscy otoczyli Metternicha; lecz ten szedł ku wyjściu i ku swemu powozowi bez słowa. Gdy wsiadał, szef sztabu jeneralnego, Berthier, oglądając się, że nikt tu obok nie stoi, zapytał prędko szeptem:

— Cóż, jesteś pan zadowolony z cesarza?

— Tak — odpowiedział Metternich — dał mi wszystkie wyjaśnienia, których chciałem. Koniec. Już po nim!

* * *

Znużony do najwyższego stopnia wyszedł cesarz ze swego salonu. Wyczuł aż zanadto z rozmowy z Metternichem, co za ogrom niebezpieczeństwa zawisł mu nad głową. Wyczuł, lecz nie chciał uwierzyć. Rozumiał, że gdyby

uwierzył, byłby zgubiony, straciłby bowiem wówczas, *musiałby stracić*, nadzieję zwycięstwa.

Gdy najwierniejszy z jego sług, minister spraw zewnętrznych, Maret ksiązę Bassano, znalazł się naprzeciw z pełnym niespokojnych pytań wzrokiem—popatrzył nań i patrzył przez chwilę. To więc jest najwierniejszy sługa — ten człowiek, o którym Talleyrand się wyraził: Jednego tylko znam głupszego człowieka od jego ekscellencji ministra Maretą—jest nim ksiązę Bassano...

To jest najwierniejszy, najbardziej oddany człowiek na kontynencie...

Gorycz, jaką Napoleon czuł po rozmowie z Metternichem, spotęgowała się jeszcze. Zobaczył się sam — znów sam, jak w Moskwie, jak na stepach Rosji...

— Miałem długą rozmowę z Metternichem—ozwał się — walecznie się stawiał. Ile razy rzuciłem mu rękawicę, tyle razy ją podjął. Ale ostatecznie rękawica zostanie w moich rękach.

Spojrzał w oczy księcia Bassano. Oczy księcia Bassano zaświeciły triumfem. Napoleon o mało co nie wybuchnął: ośle! — i aby ukryć swój wyraz twarzy, spuścił powieki i zażył tabaki.

— No, zażyj pan — poczęstował Maretą.

Z największem uszanowaniem Maret wziął szczyptę z cesarskiej tabakierki.

Napoleon patrzył nań i przysłała mu oryginalna myśl do głowy.

— He — rzekł — ekscellencjo, gdybym, dajmy na to, został pobity, gdybyś i ty był przytem obecny i gdybyśmy tak nagle musieli uciekać, że ty musiałbyś wsiąść na mojego konia —

przypuśćmy, że ci konia zabito i że cesarskie były pod ręką — wsiadłbyś, co?

Świta cesarska miała ochotę roześmiać się. Księżę Bassano zaś zamyślił się i stropił. Nigdy podobna ewentualność nie przeszła mu widocznie przez mózg.

— No, cóżbyś zrobił? — nalegał Napoleon.

— Najjaśniejszy panie, do tego nigdy nie przyjdzie, nigdy więc nie uczulem potrzeby zastanawiania się nad podobną kwestją.

— Ale gdyby?

— Kiedy wiem, że tak nigdy nie będzie.

Napoleon zniecierpliwiał się.

— To dobrze. Przestań pochlebiać i odpowiedz!

— Najjaśniejszy panie — rzekł Maret sztywno — są ludzie, wobec których każde pochlebstwo jest prawdą.

— O do diabła! — zawołał cesarz. — Odpowiedzże pan na moje pytanie! Wsiadłbyś, czy nie?

Jestem pewny, że nieboszczyk Lannes wsiadłby był bez namysłu. O ile by mnie samego w dodatku w razie potrzeby nie stracił.

— Najjaśniejszy panie, sądziłem, że znajomą jest powszechnie skala delikatności uczuć świętej pamięci marszałka Lannes'a i moich — odrzekł Maret.

— No, odpowiedz pan, ekscelencjo, na pytanie najjaśniejszego pana — wyrwał się marszałek Macdonald.

Maret popatrzał nań z wyższością i odparł:

— Nie potrzebujesz mi, panie marszałku, wskazywać, jak się mam zachowywać wobec roz-

kazów najjaśniejszego pana, ale pytanie, które mi najjaśniejszy pan postawić raczył, jest tej kategorii, że rozstrzygnięte być może tylko przez najwyższe organa Domu Cesarskiego. Biorąc rzecz urzędownie, musiałby być w statut naszej etykiety wstawiony paragraf: czy w razie nagłej potrzeby ktoś nie należący do rodziny cesarskiej ma prawo posłużyć się cesarskiem siodłem lub też nie.

— Ah, ah! — zawołał cesarz. — Skoro tak mówisz, ekscelencjo, to każę wstawić paragraf, że cesarz absolutnie zakazuje w razie nagłej potrzeby posługiwać się swoim siodłem, dozwala natomiast skorzystać z każdego krzaka w obrębie imperjum lub też na terytorjum sprzymierzonym, czy spornem!

Otoczenie cesarza parsknęło. On sam roześmiał się, ale w mgnieniu oka śmiech zatrzymał. Za sobą miał swego teścia, który z mieczem dobytym wisiał mu nad karkiem, przed sobą najwierniejszego sługę, z którego śmiano się dookoła — — w środku był sam.

— Dobranoc, moi panowie — rzekł sucho — nie wiem, co nam jutro przyniesie. Austrija nie wypowie nam wojny, ale niemniej za kilkanaście lub mało co więcej dni książę Schwarzenberg otrzyma w Czechach znaczne posiłki. Musiałem zawrzeć to przekłęté zawieszenie broni, musiałem zgodzić się na mogący mię kosztować bardzo wiele kongres w Pradze — — a wszystko to dzięki wam! Przez was! Marek, mój przyjacielu, ty wiesz, że nawet Aleksander Wielki nie byłby został tem, czem został — mówił, unosząc się — gdyby był otoczony z jednej strony ludźmi bez

chęci, z drugiej ludźmi bez inteligencji!... Jutro zobaczysz się z Metternichem — nie dopuścisz, aby on powrócił bez porozumienia z nami do cesarza Franciszka. Skorośmy zabrnęli w ten kongres, brnijmy do końca. Dam ci instrukcje. Powtórzysz mu, co ja mu mówiłem. On ustąpi. Cesarz Franciszek nie zechce z nami wojny. Zbyt pamięta Austerlitz i Wagram, a oprócz tego jest moim teściem. Metternich chciał mnie zastraszyć, ale on wie, czem były wojny Austrii ze mną. Czy chcą znów ze mną zobaczyć się w Wiedniu? Zapytasz ode mnie Metternicha, czy uważają, że zachodzi jeszcze dalsza potrzeba urzędzeń w Schoenbrunie? Zapewnij go, że nic nie uroniłem z moich kwalifikacyj ogrodniczych... Dobranoc, moi panowie. Radbym was zaprząć do takiej roboty, abyśmy wszyscy razem zapomnieli, że przez was musiałem się oglądać na Francję i zawarłem zawieszenie broni, zamiast zetrzeć zdemoralizowane, strwożone, prawie pierzchające armije rosyjską i pruską, a potem pokazać, jak my dziękujemy za ofertę zbrojnych pośrednictw!

— Najjaśniejszy panie — ozwał się Maret — mówiłeś, że cesarz Franciszek nie wypowie ci wojny —

— Tak! — przerwał Napoleon. — Mój teść nie wypowie mi wojny, ale —

Urwał.

Palce jego uderzyły po stole.

— Ale — rzekł po chwili — Schwarzenberg powinien czekać moich rozkazów *tu*, przy nas, ze stu pięćdziesięciu tysiącami austriackich żołnierzy! Dobranoc, moi panowie!

Wielki szachista po raz pierwszy w życiu uczuł ciemną i pustą przestrzeń przed swoją myślą. W Rosji grał z nim partję Szatan, ale tu, pod Dreznem, przeciwnikami jego byli ludzie. I jacy ludzie? Aleksander Rosyjski, żaden wódz, a jako polityk wydający się dawniej żarliwym wyznawcą Napoleona i człowiekiem wpłatanym w koło jego cza-ru, a który teraz przed innymi zaprzysiął mu zgubę i przed innymi dążył do niej z całym wyteżeniem; Fryderyk Pruski, który kilka miesięcy temu jeszcze wydawał manifesty, ogłaszające światu jego wierność dla Napoleona i oddawał pod sąd wojskowy swoich generałów, Yorka i Massenbacha, za zdradę w Rosji — pod sąd, jak się pokazało fikcyjny — człowiek mały, tchórzliwy, niski, a jednak pod presją narodu wyciągający szpadę; Franciszek Austrjacki, chytrze i ostrożnie czekający, na którą stronę szczęście się przeważy; Bernadotte, następca tronu szwedzki, ów nikczemny karjerowicz, którego całą fortuną było to, że się ożenił z kobietą miłą niegdyś Napoleonowi, ów zdrajca Francji i głupiec, który śmie przypuszczać, że zająć może kiedykolwiek miejsce na tronie francuskim... A generałowie? Któż z nich jest czemkolwiek, któż z nich może przejść do historii z innej przyczyny, jak tylko, że los zdarzył mu wojować z Bonapartem? Ów Bluecher, Gneisenau, Bennigsen, Wittgenstein, Thielmann, Wassilczykow, Czernyszew et caetera — — któż to jest? Jaką częścią swego genjuszu wojennego, przy którym, jak gwiazdy przy słońcu, świecili tacy wojownicy, jak Dessaix, Pierwszy, Kleber, Ney, Dawout, Poniatowski, Dąbrowski, Massena, Lassalle, Lannes, Saint-Cyr,

mógłby pokryć wojskowe talenta wszystkich razem armij przeciwnych?

Uśmiechnął się z pogardą — lecz uśmiech zamarł mu znowu na ustach.

Jakiemże prawem, przez jakie wyroki on, który sam jeden w głowie swej miał więcej, niż wszyscy razem skoalizowani i nieskoalizowani monarchowie świata i wszyscy razem ich wodzowie, stał oto teraz nad szachownicą Europy mimo zwycięstw nieomal że z trwogą w sercu?...

Toż jest odpowiedź, toż wytłumaczeniem?

Jakoby olbrzymie czarne potwory dźwigają się z za głów koronowanych i z poza jeneralskich mundurów. Góry jakies jakoby, Alpy o barkach, na których chmury się opierają, wierchami w niebo wypiętrzone. To ludy! Zjawisko, którego nie widział dotąd, nie dostrzegął. Ten karzeł mały, tchórzliwy, bez ducha — — tam, na szczycie góry wielkiej, Mont Blanc, to król Fryderyk Wilhelm III-ci, przez bunt ludu niemieckiego w przestwór atmosfery gwałtem i siłą wypchnięty! Tam krwawe widmo Hiszpanji — Pireneje, które nie tylko nie przestały „istnieć“, ale grożą zawaleniem walczącym pod nimi wojskom francuskim! Ludy, ludy powstały przeciw — — one to zaćmiewają wzrok na szachownicy Europy...

Ah! ba!

Jedno zwycięstw!

Jedno zwycięstw!!

Jak psy do stóp przypadną, jak tylokrotnie przypadały! Nie będą ludy rządziły, dopóki on żyje! Nie zwalczy go bunt ludowy! Dopóki on żyje, ludy znać mają tylko jego wolę i ba-

gnety jego żołnierzy! Żaden lud nie jest dojrzwały do czynu, ani godny uwagi władcy. Są to tylko chwilowe ruchy narodów, jak ruchy wody na jeziorze podczas burzy. Jedno zwycięstwo — a ludy, narody, a za nimi ich wodzowie i monarchowie na twarz upadną, jak tylekroć padali!

A to zwycięstwo musi przyjść.

Niepodobna jest, aby on nie zwyciężył. Jaka konsekwencją matematyczną dałoby się tłumaczyć, gdyby większy wódz z lepszą armją nie zwyciężył? Byłoby to tem samem, jakby cyfra pięć miała być większą, niż cyfra siedem. Logika rządzi światem.

Pewne przyczyny *muszą* mieć pewne następstwa...

Czy racjonalniej jest przypuścić to, co jest *możliwe*, czy to, co jest *prawdopodobne*?

Dla człowieka racjonalniej jest przypuszczać to, co jest *prawdopodobne*.

Możliwem jest, że na równej drodze koń potknie się i złamie nogę, ale *prawdopodobnem* jest, że to się nie przydarzy.

Możliwem jest, że ojciec wystąpi przeciw własnej córce i własnemu rodzonemu wnukowi, ale *prawdopodobniejszem* jest, że tego nie uczyni.

Zamyślił się.

...*Możliwem* było, że zajęcie Moskwy nie zniewoli Aleksandra do zawarcia pokoju, *prawdopodobnem* było, że zniewoli — — okazało się, że słuszność była po stronie możliwości...

To prawda — — jednak karjera jego cała opiera się na rachunku *prawdopodobieństwa*...

Zmieniać dziś tę taktykę myśli — — za późno... i czy byłoby korzystniej?...

Nie. Mimo wszelkich doświadczeń: nie. Jest możliwem, to prawda, że nie mając przeciw sobie przestrzeni, odległości od Francji, mrozów, braku żywności, on, zwycięzca zawsze i wszędzie, może zostać pobitym przez tych, których zawsze i wszędzie pobijał w podobnych, jak obecnie, warunkach, ale czyż nie jest prawdopodobiejszem i o wielez prawdopodobiejszem przewidywanie wprost przeciwne?

Owszem — zwycięstwo jest pewnem. Dlaczego? Ponieważ według wszelkich premis, matematycznie logicznych, *musi* być pewnem.

Jest więc zupełnie usprawiedliwionem, że propozycji Austrii nie przyjmie — ale niepodobna jest uważać za rzecz serjo, aby dzień 10-go sierpnia, pomimo odrzucenia propozycji austriackich, miał być dniem poprzedzającym dzień przystąpienia Austrii do koalicji i dniem wypowiedzenia mu wojny przez Austrię...

Zresztą — — — gdyby po zgnieceniu Prus i armji rosyjskiej, wystąpić samemu odrazu, nie czekając, przeciw Austrii. Ukarąć ją za ową „zbrojną medjację“, która podobna jest do trójkąta, bocznemi kątami dotykającego Prus i Rosji, ale ostrzem zwróconego przeciw niemu?! Raz jeszcze ją zdeptać i zmiażdżyć i zemścić się?!

Ha! Zemścić się!...

Za grę polityczną Metternicha...

Zemścić się!

Uczucie to, jak płomień zagarnęło duszę. Jak karp, którego wieziono w wilgotnych pokrzywach, puszczone nagle w sadzawkę, uczuł się w żywiole. Ożywił się, uczuł krew tętniącą. Prawica jego skurczyła się, jakoby armję swoją całą mógł ścisnąć w niej, jak głównię sztyletu,

i pchnąć... Czemże właściwie było całe jego życie? Zemstą za to, że się nie urodził u szczytu — Bourbonem, Habsburgiem, choćby nawet tylko Hohenzollernem — — rodząc się z duszą pana, z duszą władcy!

Skrycie, poza plecami teścia, poza plecami Metternicha przygotować cios — — morderczy... Korzystać z tego, że Austrii nie dopuści do stanowczego wystąpienia: strach przed jego genjuszem i związek rodzinny...

Zadanie zatem rozwiązane. Szach Austrii, mat Rosji i Prusom; nowa partja: szach Rosji i Prusom, mat Austrii...

Propozycje Austrii, ultimatum, przywiezione przez Caulaincourta 7-go sierpnia, odrzucił; odesłał Caulaincourta do Pragi z modyfikacjami. Austrija, przestając być nawet pośredniczką, ma jeszcze do wyboru *aljans, neutralność i wojnę* — — rachunek prawdopodobieństwa wskazuje, że wybierze neutralność w ostatecznej decyzji — nie trzeba jej więc pozwolić wyobrazić sobie o sobie i o swoim znaczeniu: za wiele.

Napróżno Caulaincourt błagał o zgodę na przedstawienia Austrii, na cenę, za jaką ofiarowywała się uspokoić Europę — rachunek prawdopodobieństwa wskazywał: primo—że Austrija zastosuje się do modyfikacyj swych warunków, stosownie do jego życzenia; secundo—że jeżeli się nie zastosuje, to i tak o dwunastej w nocy, dziesiątego sierpnia, kongres się nie zerwie, gdyż ważność jego nie może na to pozwolić i dosyć będzie czasu na jeszcze dalsze targi.

Czekając na nowe wiadomości, przechadzał się po tym samym salonie, w którym przyjmował

Metternicha, i od czasu do czasu rzucał oczyma, mijając je, w lustro.

Widział siebie z rękami w tył założonemi, z wielką okrągłą głową, profilem rzymskim, szerokimi barkami i wydatnym brzuchem. Także widział swój mundur szaserski.

Hm — pomyślał — Napoleon Bonaparte...

Napoleon Wielki — dodał po chwili...

Napoleon Pierwszy...

Bonaparte...

Napoleon...

Chodząc wpoprzek salonu z kąta w kąt, spozierał w zwierciadło i oglądał się.

Takim przejdzie do historii.

Podobnie, jak do historii przeszedł Juliusz Cezar...

Takim przejdzie w pamięć Francji — — Włoch — — Niemiec — — Polski — — Europy — — świata...

Raz na zawsze.

Tak samo, jak Cezar.

Podług historycznej pamięci on sam oglądał Cezara w teatrze...

Ah! ah! Ba! I jego gotowi są kiedyś w teatrze pokazywać!

Nie! — to niepodobna!

Ależ tak, niewątpliwie tak będzie! Cyd, Hektor, Agamemnon, Cezar, Brutus, Korjolan — wszyscy bohaterowie przechodzą na deski teatru.

Uczuł szczególne jakieś zadowolenie próżności i zarazem pogardę.

Jego osobę ma udawać aktor?!

Aktor ma udawać jego triumfy?!

Hahaha! Udawać jego ruch, jego wygląd, charakteryzować sobie podług tradycji i portretów twarz, kłaść na wzór jego włosów ułożoną perukę, wypychać sobie poduszką brzuch, wdziawać „jego“ kapelusz, „jego“ buty, przypasywać „jego“ szpadę i, naśladowując go, zakładać ręce w tył, krzyżować je na piersiach, lub prawą zakładać za mundur, lewą w tyle, „tak jak on?“

Hahaha! O komizm i tragedia zarazem!

O zemsto bogów! iście bogów godna!

O konsekwencjo bytu, nieubłagana!

Co on przyswoił sobie z pomocą aktora Talmy, to mają imitować Talmy następcy?!

Któż więc przejdzie do potomności: Bonaparte, czy Talma?

Dzieła i wygląd Bonapartego z gestami Talmy?

Hahaha! Hahaha!

Jednak napadła go dziwna ochota. Zatrzymał się przed zwierciadłem i stał. Sam siebie będzie udawał, sam siebie pokazywał. Tak będzie wyglądał w teatrze — za lat pięćdziesiąt, za lat sto, za dwieście, za tysiąc...

Czynił pozy.

Śmiał się i marszczył brwi z pogardą — na przemiany.

Wraz z nim przejdą do potomności Józefina, Beauharnais, Eugenjusz, Murat, Ney, Fouché, Marja Ludwika, Pichegru — — Napoleon Drugi...

Oto Bonaparte podczas poznania się z Józefiną — — podczas koronacji — — podczas rozwodu — — na zgromadzeniu pięciuset — — po zwycięstwie...

Syk jakiś — — zielone oczy zaświeciły z przestrzeni — —

Napoleon Wielki podczas kongresu w Pradze...

Tupnął nogą! Odwrócił się od zwierciadła gwałtownie, przeszedł do stołu i siadł.

Sapał z irytacji.

Potem wziął cygaro i zapalił, ale nim jeszcze pociągnął, miotnął niem w kąt pokoju.

Rzucił okiem na stół i przejrzał papiery. W pasji zadzwonił.

Wszedł kamerdyner.

— Mapę! — wrzasnął prawie.

— Jaką? — wybąkał kamerdyner w przeobrażeniu.

— Jakiej mi potrzeba!!

Kamerdyner stał zakłopotany.

— Do wszystkich stu tysięcy djabłów! Ośle! Mapę! Słyszysz?!

— Najjaśniejszy panie — —

Zerwał się, złapał kamerdynera za kark, obrócił, kopnął w poly od fraka, wypchnął za drzwi, zwałił cały stos aktów, papierów, druków na podłogę i, schwyciwszy mapę Europy, rzucając ją na stół, gruchnął we fotel.

Porwał ołówek czerwony i marząc nim grubą krechę myślał: oto takiej przestrzeni Europy był panem wszechwładnym, absolutnym, dyktatorem!.. Tego nic nie zatrze w pamięci ludzkości!

Wtem zameldował się drugi ambasador z Pragi, hrabia de Narbonne.

Spojrzał.

De Narbonne był zmieszany.

— Ah, ah! To pan, jenerale? Cóż tam?

— Najjaśniejszy panie — kongres w Pradze rozwiązany.

— Rozwiązany?!

— Tak, sire.

...To nie było prawdopodobne — — jednak było możliwe... było możliwe...

— A Caulaincourt? — zapytał po chwili przez suche gardło.

— Caulaincourt jest w rozpacz.

Cesarz wstał z fotela i przeszedł dwukrotnie przez pokój, nim odezwał się znowu:

— Przyjechał z panem? Gdzież jest?

— Caulaincourt, najjaśniejszy panie, mówił mi, że na próżno prosił cię o przyjęcie warunków Metternicha. Jeszcze pozostał w Pradze. Jeszcze nie chce zrzec się ostatniej nadziei.

Wielkiemu szachiście napełniła się w tym momencie myśl — — groza niewytłumaczona, niepojęta, nie do odegnania wlała się w przestrzeń; przed nią, jak morze czarnej cieczy — — wszystkie rachuby i sądy były w tej myśli istotną pustką, w rzeczywistości miała ona przed sobą pustą przestrzeń, łudziła się majakiem — — stał się fakt: morze czarne grozy zlewa się nieodparcie — —

— De Narbonne! — rzekł — przyjmuję warunki Austrii bez wyjątku! Zawrę pokój! Dobrze!

— Powiem natychmiast posłowi Franciszka Drugiego przy twojej osobie, sire, hrabiemu Bubnie, aby jechał do swego pana i oświadczył mu wolę waszej cesarskiej mości, lecz obawiam się, że to będzie zapóźno.

— Z trzech więc kondycyj: aljansu ze mną,

neutralności, wojny przeciw mnie — wybierze ostatnią? Najmniej prawdopodobną? Tak?

— Sądzę, że tak, sire.

— Haha! — roześmiał się cesarz — ten łajdak Fouché miał rację. Kiedy mu pokazałem tabakierkę z brylantami za trzydzieści tysięcy franków dla Metternicha, powiedział mi: wasza cesarska mość myśli za to kupić Metternicha? Trzebaby mu dać miljony.

— Pan Fouché po sobie sądzi, najjaśniejszy panie. Głośne są powszechnie słowa waszej cesarskiej mości o Anglii i Metternichu — Metternich je powtórzył. Obraziłeś go śmiertelnie, sire, i nie usposobiłeś dobrze dla siebie, ani dla Francji — dokończył de Narbonne po chwili wahania.

Napoleon spojrzał nań.

— Tak, tak — rzekł — to było z mojej strony nieroztropne. Powinienem czasem więcej panować nad sobą, więcej się liczyć ze słowami... Zobaczysz jednak, że Bubna przywiezie mi pokój. Byłoby śmiesznością dla skoalizowanych trzymać się dnia, jakiegoś dziesiątego, czy trzydziestego sierpnia, gdy się ma do wyboru pokój, czy wojnę *ze mną*. Nota bene po Luetzen i Bautzen. Jestem spokojny. Tak, tak, zupełnie spokojny.

— Wasza cesarska mość nie życzyłaby sobie jednak sama dalszej wojny?

— Nie życzyłbym sobie? Hm. Czemu nie? Jeżeli wybieram pokój, to ze względu na Francję. Jest wycieńczona i pragnie pokoju. Tak, to jest jedyny powód. Chwilowo, przyznaję, wiadomość pańska podziałała na mnie, przyznaję. Mogę teraz zawrzeć pokój. Mam dopiero czterdzieści parę lat — mam czas — —

tak, tak, mam czas... Dobrze. Zawrę teraz pokój.

Dreszcz przenikał ciało cesarza. Był to dreszcz nerwowy, dziwny, dreszcz rozprężonych nerwów. Czarne morze grozy, które wlało się w duszę Napoleona, znikło; opanowała ją odwaga, duma, pycha swej istoty. Ale wywiązał się fizyczny dreszcz i opanować się nie dał.

De Narbonne — ozwał się nagle — a jeśli Metternich umyślnie stawiał mi warunki, o których wiedział, że ich nie przyjmę? Że mi na to moja ambicja, moje stanowisko, mój charakter nie pozwoli?

— Przyjąłeś je jednak ostatecznie, sire.

— Tak — — ale to może być wbrew jego intencji... Jeśli tak, skorzystaliby ze wszystkiego, aby do pokoju nie dopuścić. Czy mogłoby być prawdopodobnem, aby cesarz Franciszek od — dawna porozumiewał się poza memi plecami i świecąc mi bakę w oczy, z cesarzem Aleksandrem i królem Fryderykiem przeciw mnie i memu domowi?

— Nie jest to niemożliwe, sire.

— Możliwość i prawdopodobieństwo — — kto rozsądzi, jaka kalkulacja jest pewniejsza? Trzymałem się zawsze rachunku prawdopodobieństwa — — — de Narbonne, wrócisz do Pragi.

— Podług rozkazu, sire. Lecz po co?

— Powiesz wyraźnie Metternichowi, że jedynie wzgląd na to, *czem* jest wojna, skłania mnie do przyjęcia jego propozycji w zupełności, przywieziesz mi osobiście do podpisu traktat pokoju. Dwunasta godzina w nocy 10-go sierpnia

1813-go roku nie może i nie będzie decydować o losach świata...

Hrabia de Narbonne powrócił z Pragi do Drezna w dwa dni później i wręczył w milczeniu duży memorjał, z Habsburską pieczęcią, Napoleonowi. Cesarz badawczo spojrział na ambasadora i począł czytać:

„Podpisany, minister stanu i spraw wewnętrznych, ma polecone umyślnym rozkazem swego pana, uczynić następującą deklarację jego ekscelencji panu hrabiemu de Narbonne, ambasadorowi jego cesarskiej mości cesarza Francuzów, króla Włoch.

Od ostatniego pokoju, podpisanego z Francją w październiku 1809-go roku, jego cesarska i królewska apostolska mość poświęciła całe swe staranie nietylko, aby ufundować z tą potęgą stosunki przyjaźni i zaufania, które uczyniła podstawą swego systemu politycznego, ale aby uczynić te stosunki kitem pokoju i porządku w Europie. Pochlebiała sobie, że to wspólne zbliżenie, utrwalone aljansiem rodzinnym, zawartym z jego cesarską mością cesarzem Francuzów” —

— de Narbonnel zatem wojna! — zawołał Napoleon, podnosząc oczy z nad memorjału.

— Najjaśniejszy panie, przywiozłem jej wypowiedzenie.

Cesarz grzotnął memorjałem na ziemię. Dłoń jego spadła, jak błyskawica na szpadę równocześnie, gdy zrywał się z fotelu. Wypreżył piersi, wzniosł czoło i wykrzyknął: biada im!...

I stał tak chwilę. Lecz promień jego twarzy gasł powoli. Usiadł na fotelu, podjął me-

morjał z posadzki, położył go na stole i czytać począł. Niedługo ręka jego uchwyciła za czerwony ołówek. Począł zakreślać ustępy deklaracji wojennej, potem zawołał oficera od dyktatorów i wskazał mu miejsce do pisania.

De Narbonne opuścił komnatę.

— Co cesarz robi? — zapytał go szef sztabu ze stroskaną twarzą.

— Namysła się, czy nie złożyć korony i nie objąć redakcji „Monitora?”

— Jakto?

— Ekscellencjo, cesarz Napoleon, otrzymawszy wypowiedzenie wojny, nie dyktuje już bezpośrednio potem rozkazów do armji, ale dyktować będzie obserwacje swe nad treścią wypowiedzenia.

Berthier złożył ręce i w dół je-wyprężył.

— Dawny Napoleon bił w pysk, teraźniejszy się kłóci — rzekł de Narbonne.

Zaś cesarz Napoleon, uniesiony pasją, dyktował odpowiedź swoją na wystylizowany z nie-zrównaną perfidją manifest Metternicha. Punkt po punkcie zbijał zacierzewiony, w zaciekłym ferworze, aż zielone oczy szatańskie zaświeciły przed nim ponad głową biednego oficera, w którego ręce skrzypiało gęsie pióro, i zasyczały: synu adwokata z Ajaccio!

Cesarz trzasnął czerwonym ołówkiem o stół i rozpoczął dyktować rozkazy wojenne.

— Ah, ah! gdyby kurjer dojechał był przed dwunastą godziną w nocy 10-go sierpnia do Pragi?...

Snadź taka była wola przeznaczenia...

Jadąc pod wieczór konno koło publicznego drezdeńskiego ogrodu w towarzystwie jednego tylko mameluka; Rustana, spotkał cesarz dorożkę, w której znajdowała się wyniosła dama we wspa-
niałej jesiennej tualecie. Cesarz doznał uczucia, jakby osobę tę widział już gdzieś, ona zaś oddała mu pełen hołdu ukłon.

Napoleon minął powóz, jednak po chwili zwrócił się do Rustana.

— Słuchaj no, nie wiesz ty, kto to jest ta pani?

— Owszem, najjaśniejszy panie, to jest ta sama księżna rosyjska, którą wprowadzałem do pałacu na Kremlu.

— Ah, ah! Jedź, zatrzymaj ją! Cesarz chce z nią mówić.

Rustan dopędził powóz, do którego, zakręciwszy, podjechał Napoleon.

— Księżna Zeneida X.?

— Tak, sire.

— Co pani tu robisz?

— Jadę dorożką, sire.

— No tak — — ale skąd się pani tu wzięłaś?

— Przyjechałam z Wiednia.

— Umyślnie?

— Tak.

— Poco?

— Aby być świadkiem.

— Czego?

— Czy rozporządzasz swoim czasem, sire?

— Trochę.

— Pozwolisz mi przyjść do swego pałacu?

— Dobrze. Ale nie odpowiedziałas mi pani, czego pragniesz być świadkiem.

— Największych wydarzeń świata — odpowiedziała księżna po włosku — lecz trudno rozmawiać cesarzowi francuskiemu i księżnie rosyjskiej pomiędzy dorożkarzem Niemcem i masztalerczem Arabem.

— Więc jedź pani do pałacu Marcolini.

Księżna skłoniła się i kazała ruszyć.

Cesarz objezdną drogą kłusował do siebie — zielone oczy księżny miały w sobie coś z tych zielonych szatańskich spojrzeń, któremi jakoby spoglądała nań niekiedy ironja życia.

Przybył pierwszy i rozkazał wpuścić księżnę.

Weszła w parę minut później.

— Czy znałaś, pani, Walewską? — zapytał bez wstępu.

— Dlaczego pytasz mnie o to, najjaśniejszy panie?

— To była kobieta, która mnie może ze wszystkich najwięcej kochała.

— Słyszałam, lecz sądzę, że cesarzowa Józefina —

— Nie! — przerwał żywo. — Józefina kochała mnie bezwątpienia, ale zaczynała od mego genjuszu; a Walewska zaczynała ode mnie, a na moim genjuszu kończyła.

— Tak, to lepsze.

— Walewska kochała mnie nie tylko lepiej, ale i piękniej, bo cesarzowa Józefina kochała we mnie mnie i swoją próżność, a Walewska kochała we mnie mnie i swoją ojczyznę Polskę.

— To ślicznie powiedziane, sire.

— Eh, eh! Mają mnie za brutala. Pisałem przecież niegdyś wiersze. Gdybym nie był został

cesarzem, byłbym może został poetą à la Jan Jakób. Utopistą. Więc pani za mną przybyłaś?

— Szłam za tobą, sire, od Moskwy!

— Ścigałaś mnie pani? Wraz z Kutuzowem i Wittgensteinem? Wiem, były i kobiety.

— Ale ja nie atakowałam twoich żołnierzy, sire.

— Więc poco?

— Dlatego samego, dlaczego tu przybyłam; aby być świadkiem największych wydarzeń.

— Szczególna z pani osoba. Czy jesteś pani pisarką, jak ta podła baba de Staël?

Księżna Zeneida roześmiała się, odpowiadając:

— Nie, nie, nie jestem.

— Kimże więc do diabła jesteś pani?!

— Osobą bogatą, która może sobie pozwolić, na co jej się podoba.

— Zatem?

— Śledzę wielkie sprawy świata, sire, i sprawy wielkich ludzi. Nigdy nikt nie mógł mieć odpowiedniejszej pory.

Napoleon pomyślał chwilę, potem zapytał:

— Jakie wrażenie sprawił na pani odwrót z Moskwy?

— Okropnie smutne.

— Jesteś przecie Rosjanką.

— Pochodzę ze Skandynawji. Odczułam zaś całą krzywdę, jaka się stała.

— Komu? Mnie? Ja przecież byłem tym, który napadł.

— To nie to. Z tobą sire, szedł duch, który już prędko do Moskwy się nie wybierze drugi raz.

— Wiem o tem. To przepadło. Pobiję ich

wszystkich, ale drugiej wyprawy rosyjskiej nie będę mógł już podjąć.

— Sire, pamiętasz, że radziłam ci, abys Moskwę opuścił, bo cię śnieg zasypie?

— Tak, pamiętam.

— Wiesz, sire, co mi teraz przychodzi na myśl w obecnej chwili?

— No?

— Że ciebie zaleje morze czerwone.

Cesarz zawahał się.

— Jakto?

— Chroń się, sire, czerwonego morza.

Napoleon roześmiał się.

— Także już na Wschód drugi raz nie pójde. Ale czy masz pani dar jasnowidzenia, jak pani Lenormand?

— W stosunku do waszej cesarskiej mości: może tak.

— To osobliwe... Cóż więc księżna przewidujesz?

— To, po co za tobą dążę.

— To jest?

— Nowe olbrzymie wydarzenia.

— To bardzo naturalne. Moja epoka jest epoką olbrzymich wydarzeń. Na to nie potrzeba być wróżką, aby wiedzieć, że dopóki ja nie umrę, świat się trząść nie przestanie. Czy możesz mi pani jednak przepowiedzieć najbliższą przyszłość?

— Racz mi podać rękę, sire.

Napoleon wyciągnął prawicę. Księżna Zeneida ujęła ją. Jak magnes ciągnął ją Napoleon za sobą. Nieodparte, niepojęte niewytłumaczalne więzy przykuły ją do wozu Cezara. Gdy on z nad Niemna uciekł do Paryża, ona pojechała do

Wiednia i czekała tam biegu wypadków. Gdy po zawarciu przymierza rozpoczął się kongres w Pradze, z Wiednia udała się do kwatery cesarskiej, Drezna. Życie jej było jakby życiem wody, w której powierzchnię kamień ma uderzyć. Gładka szyba jej egzystencji czuła, że uderzenie to odbierze. I pragnęła tego. Coś kolosalnego, gigantycznego wisiało w powietrzu. Czuła to całym ciałem, całym duchem. Jak młoda narzeczona wie, co ją czeka po ślubie, nie zdając sobie sprawy z istoty faktu, z jego rzeczywistości, wiedząc tylko, że nastąpi coś, co uderzy w powierzchnię jej egzystencji, jak kamień w wody powierzchnię, tak czekała w rozgorączkowaniu zmysłów i umysłu.

Jej urodzenie, jej bogactwo, jej mózg: wszystko to było za wysokie, za duże, za silne na szarość życia. Potężny jeleń dopiero w gwałtownym nurcie czuje, że płynie.

Ręka Napoleona podlegała krótkim, lekkim drżeniom, których może on sam nie spostrzegał nawet!

— Najjaśniejszy panie — ozwała się księżna Zeneida — śnieg zamienia się w krew.

— Ma mnie więc czekać nowa klęska? Nie, tego się nie obawiam. Zbyt jestem silny.

— Jeszcze dziś — tak! — wykrzyknęła księżna jakby pomimowolnie.

Napoleon nie wzburzył się, ale zasępił. Wykrzyk księżny Zeneidy miał w sobie jakiś tragiczny entuzjizm. Ujął ją za przegub dłoni i, ściskając mocno, wyrzekł:

— Jeszcze dziś i jutro.

Lecz nagle doznał dziwnego uczucia — mdłości i zawrót głowy zatamowały życie jego krwi. Trwało to ćwierć sekundy, niemniej księżna dostrzegła ten moment.

— Sire, co to? — zapytała.

— Nic. O co pani pytasz? — odparł, nie chcąc się niczem zdradzić.

Księżna patrzała nań dużemi, szerokiemi źrenicami. On *jeszcze* jest potężny, *jeszcze* jest wielki... Napoleon nachylił się ku niej szybko i objąwszy ją wpół przygarnął ją ku sobie.

Wzrok ich zagłębił się w sobie. Błękitno-stalowe źrenice cesarza i jej zielonego połysku oczy społyły się z sobą wzajemnem spojrzeniem. Napoleon wyczytał znaczenie spojrzenia księżny: mówiło ono: czy nie będzie to ostatni uścisk za twojej potęgi?

Ogarnął go gniew. Puścił ją, dłońmi pochwycił gwałtownie obie jej ręce za przegubem i ścisnął mocno. Zdarł ją tym ruchem z siedzenia i przygiął niemal do swoich kolan gorsem. Ścięła usta, aby nie krzyknąć z bólu. Płomienie wzroku cesarza spadały na jej twarz, jak żagwie. To więc widywały jego kobiety, ale nie widywały tego gniewu... Uczuła się porwaną w objęcia, uniesioną w górę i rzuconą na szeroką otomanę. Doznawała wrażenia, jakby kształt, z płonącej lawy wykuty, zakołysał się nad nią. Gwałt, ból, uścisk żelazny ogarnęły, przenikły i opasały jej istotę. W ramionach Bonapartego kruszyła się jej cała istność fizyczna i psychiczna. Deptała ją moc, która budziła życie przy powstawaniu świata. Jednak to, czego doświadczała, musiało być podobnem do uczucia, na które walił się

huraganem gorący deszcz. Świat znikł. Działo się w przestrzeni, w praepoce, w kosmosie. Potęga tworzenia zstąpiła na nią, jak chmura Jowiszowa na owładniętą Io. Burza rozszalała się. Pod nawładem tego kataklizmu uścisku księżna Zeneida straciła oddech i świadomość siebie.

Gdy ocknęła się, była samą w komnacie. Przy niej na krześle leżała złota tabakierka z pokrywką, sadzoną w szmaragdy. Księżna powstała, poprawiła włosy i ubranie, końcem buta straciła tabakierkę w kąt i zwróciła się ku drzwiom. Nie było nikogo. W następnym pokoju mameluk wskazał jej boczne drzwi i wyprowadził ją na korytarz, a potem przez ogród do czekającej ją karety. Księżna szła, jak we śnie. Wsiadła i, rzucając mamelukowi sakiewkę złota, wybuchnęła śmiechem.

Jowisz i złota tabakierka z szmaragdami, zapewne od wszelkiego wypadku pod ręką gdzieś leżąca — dla dyplomaty, generała albo aktorki — cały Bonaparte...

Śmiejąc się wymieniła woźnicy adres. W dwie godziny później jej tabor podróżny opuszczał Drezno. Jednak nie do południowej Francji, jak zamierzała — — w ostatniej chwili kazała skierować do Paryża.

*

*

*

Wielki szachista rozpoczął grę. W jednym momencie ogarnął cały horyzont przed sobą. Jak olbrzymia ośmiornica, która ośmiu straszliwymi swymi nogami chwycić może łupy, rozwinął linje swej armji pod poszczególnymi wodzami, aby

wojska. koalicyjne czuły się zagrożone wszędzie i nieustannie. Plan kampanji miał dwa zadania: jedno niweczyć pojedyncze korpusy koalicji i nie dopuścić do możliwości skoncentrowania ważniejszych sił, a w ten sposób albo zdemoralizować nieprzyjaciela aż do cofnięcia się, albo też, otoczywszy, zdusić go swoją przewagą; drugie utrzymać w całości dotychczasowe napoleońskie władztwo, a zarazem prestige samego imperatora. Lecz ta kampanja miała jeszcze cel dalszy, cel fantastyczny, cel orła, który, napadnięty w gnieździe przez sępy, myśli dalej, niż o odparciu ich, myśli o zabiciu ich i zagarnięciu, jak wzrok jego sięga, przestworu nieba pod swe panowanie. Napoleon spodziewał się nie tylko pobić nieprzyjaciół — — zagrożony od wschodniej granicy przez koalicję Prus, Rosji i Austrii, od południa, po zwycięstwie Wellingtona pod Vittorją 21-go czerwca, otwarte mając dla inwazji angielsko-hiszpańskiej Pireneje, z angielskimi subsydjami za plecyma — on myślał o uniwersalnej klęsce koalicji i uniwersalnem państwie w Europie, które było snem jego życia...

Zamknął szufladę z pamięcią klęsk poprzedniego roku; odtrącił wszystko, co rozsądek i rozważa wskazywały — oparty na zgubnym rachunku prawdopodobnego stanowczego zwycięstwa nad wszystkimi w Saksonji, zwycięstwa, które zarazem byłoby klęską Wellingtona w Hiszpanji i Anglji za kanałem, zamknął oczy, aby wzbić się na skrzydłach marzenia w przestwory, słamtąd spojrzeć na ziemię, ujarzmioną w dole.

Mistrz położył ręce na naprężone struny. Palce jego, wiążąc akordy z akordami, dźwięki

zespalając z dźwiękami, miały mu wydobyć harmonję, którą słyszał we wnętrzu swego ducha. Energja, wola i genjusz, jak trzy arkany, miały spętać los Europy.

Naprzód pchnął Blüchera nad Katsbach. Potem, gdy koalicja usiłowała go otoczyć w Dreźnie, przeszedłszy Elbę, on sam Elbę przekroczyć postanowił, zając tyły koalicji i zagrozić wprost Berlinowi! Skradającego się pod jastrzębia na polanie tumaka, jastrzęb, wzbiwszy się nagle w górę i zatoczywszy koło na skrzydłach, byłby za grzbiet uchwycił. Koalicja byłaby zagrożona od jednego zamachu. Lecz Gouvion Saint-Cyr, przeznaczony na obronę Drezna, nadesłał depeszę, że ze swemi 18,000 Drezna nie obroni i Schwarzenberga nie zatrzyma. Niemcy, atakując przedmieście Pirna, wołali już: „do Paryża! do Paryża!...”

Napoleon zatrzymał się i w 120,000 pobił 200,000 Schwarzenberga pod Dreznem.

16,000 niewolnika, 10,000 rannych i poległych, 40 zdobytych dział wskrzesiło dni chwały. Wróg pierzchał — — lecz Napoleon nie pognął za nim zetrzeć go do ostatka.

Nagle, niespodzianie ogarnęła go mdłość i oślepił mózg w jego głowie. Z konia porwały go wymioty. Krew utraciła życie. W jednej sekundzie, odarty z sił, ciała i duszy, zwałił się, jak drzewo wśród powichru.

Nie było nikogo, ktoby go zastąpił. Ani jeden z marszałków nie pochwycił steru boju w ręce! Nie znalazł się bohater, któryby, jak niegdyś Bonaparte pod Arcole, ze sztandarem w dłoni powiodł, uniósł za sobą zastępy chorego cesarza! Jedno tylko było w ich duszach i na

ich ustach: „on nas wszystkich wygubił!“ Po-
ścig, który powinien był być piorunem, rozlał
się w rzekę powolną.

Zwalczona, pobita, uciekająca w popłochu
armia Schwarzenberga mogła się opamiętać
i ochłonać.

— Ah ah! — szeptał cesarz sinemi wargami
do otoczenia — wielki Turenne miał słuszość.
Najmędrsze kombinacje naczelnego wodza są
jedną czwartą — trzy czwarte zależy od przy-
padku. Gdybym pogoń był mógł sam prowa-
dzić, gdyby piekło nie podcięło mi nóg, wojna by-
łaby zduszoną, armii Szwarczenberga nic nie by-
łoby ocaliło przed rzezią albo kapitulacją! Był-
bym absolutnym panem sytuacji... Wiedział to
i cesarz, że rano można być u szczytu, a wie-
czór spaść na samo dno niepowodzenia!

Gdzież była moja gwiazda, gdy pozwoliła
zdradliwym przeniewierczym, podstępny, prze-
kłym Austriakom wymknąć mi się z ręki!...

Zaciskał pięści. Ze ścisłością matematyczną
obliczone zwycięstwo pod Dreznem, nie zawio-
dło ani w jednym szczególe. Cesarz miał nie-
przyjaciela pobić, ale tak, aby mu odwrót nie-
możliwić. Wszystko obliczył.

Jenerał Vandamme z 40,000 ludzi zajął sta-
nowisko u Gór Kruszcowych, które zabezpie-
czało odwrót koalicji, gdy będzie się cofać do
Czech, skąd przyszła.

Ścigając pobitych, miał cesarz naturalnie nie-
dopuścić, aby cała masa Szwarczenberga napot-
kała samego Vandamme'a. Lecz zachorował.
Nikt nie zmuszał marszałków francuskich do po-
śpiechu, Gouvion Saint-Cyr poprostu nie chciał

iść na pomoc Vandamme'owi, słysząc rozpaczliwy huk jego armat. Vandamme został pod Kulm pobity i wzięty z częścią swego korpusu do niewoli. Sprzymierzeni wyrwali się z paści i zdruzgotali genialny plan pogromu. Dzień, który miał być dniem triumfu, znowu zamienił się tylko w dzień rzezi. Kłątwa! Od Wagramu, od lat czterech, nie mógł Napoleon doprowadzić do ani jednego spotkania, które byłoby decydującem.

Czuł on, że staje się podobny do boksera, który popycha, prze przed sobą przeciwnika, jednak to noga mu się powinie, to pięścią w próżnię uderzy, to cios ramię przeciwnika nad głową powstrzyma — obalić go nie może. A gdy przeciwników stanęło na arenie więcej, niby zwycięża, a traci grunt pod nogami.

Przez niedyspozycję fizyczną, wywołaną czy trudem nadmiernym, czy jakimś wewnętrznem załamywaniem się sił, dzień Drezna, który w sieć zastawioną miał nagnać armję koalicyjną, a na jej czele trzech monarchów, cesarza austriackiego, cesarza rosyjskiego i króla pruskiego, który obok morderlitzkiej bitwy trzech cesarzy, mógł nosić tytuł niewoli trzech monarchów, który mógł być dniem niebywałego, bezprzykładnego triumfu w historii, zczeznął, pozostawiając trupy, rany i otwarte pole do nowych walk — i nowych prób losu. Cesarz widział coraz jaśniej, że los go opuszcza. Mdłości, osłabienie, wymioty sparaliżowały palce, które na rozpiętych straszliwych strunach miały uderzyć akord zwycięstwa.

Metternich, a wraz z nim teść Austriacki nie otrzymali odpowiedzi, jaką byli otrzymać powinni.

Cesarz otrząsł się z choroby bardzo prędko. Lecz teraz, jakby dla przekonania go, że przestał być wybrańcem i ulubieńcem fortuny, teraz właśnie, gdy zarwało się jakoby główne centralne rusztowanie—wszystkie odnogi zaczęły się gruchotać i walić. Jak pomór wybija sąsiadów, jednego po drugim, od domu lecąc do domu, tak koalicijni wodzowie gromili rozprzestrzenionych po Niemczech marszałków napoleońskich.

Macdonalda pobił Bluecher pod Katzbach, Oudinot, który poza łukiem koalicji wysłany był, aby zagrozić Berlinowi i zaszachować całą istotę koalicji, dał się pobić Bernadottemu pod Gros-Beeren. Davout, osamotniony tą klęską, opuścił Weimar.

Ney otrzymał rozkaz posunięcia się naprzód przeciw Bernadotte'mu i znów zagrozić stolicy Prus. Cesarz miał z 50,000 wesprzeć go. Lecz wiadomość o klęsce Macdonalda pod Katzbach przeszkodziła temu. Ney, pozostawiony samemu sobie, pobity został pod Dennewitz. Genjalny plan zatrzymania pochodu na Paryż przez własny pochód na Berlin prysnął. Naprężone struny spletały się, pękły — instrument nie wydał harmonji zwycięstwa.

Jenerałowie koalicji cofali się przed cesarzem, unikali z nim bitwy. Wilki unikały doga, zażerały rozbiegłe ogary. Skruszyła się moc w rękach Napoleona.

Nie dbał o drogę odwrotu do Francji, gdy ją wolną atakiem na Berlin utrzymać był pewny. Lecz po klęskach marszałków koalicyjne armje poczęły go obmotywać, otaczać, z planem zawarcia mu granicy francuskiej. Napoleon musiał

się cofać, a gdy szeregi jego topniały w walkach, sprzymierzeni rośli w siły przez nadciągające posiłki, w nadzieję i męstwo.

Daremne były usiłowania, aby zgnieść Bluechera, zanim nadciągnie z Rosji ze świeżą armją Bennigsen, zanim Schwarzenberg i Bernadotte potrafią się połączyć. Przez zasłane trupami napoleończyków Niemcy posuwał się Bernadotte swobodnie.

Ofenzywa i plan odcięcia od Francji stały się tak zuchwale widoczne, że cesarz po dwudniowym namyśle opuścił 7-go października Drezno, pozostawiwszy tam z 25,000 Gouvion Saint-Cyr'a, i pociągnął na Lipsk, punkt centralny wszystkich linii komunikacyjnych między Francją a Niemcami, którego nie mógł pozwolić sprzymierzonym zająć. Dnia 15-go października stanął w Lipsku.

Tak bratu w Galicji opisywał smutnem, struchlałem piórem rotmistrz Zaremba dzieje oręza napoleońskiego od chwili, gdy książę Józef dowiódł cesarzowi swoje polskie pułki. Ponury był żołnierz w pochodzie. Wiedział, że idzie na boje straszne, krwawe, jednak nie szedł już bezpośrednio walczyć o ojczyznę.

Via Warszawa, Kraków, Drezno, Kraków, Warszawa miał wracać, aby ziściły się przez Sokolnickiego posłane mu słowa Napoleona: „idę do Polski dla Polski...“ Nie dążył z nim żołnierz polski od Paryża i Madrytu przez Drezno ku Wiśle, ani go nad Wisłą nie czekał, aby ruszyć za Niemen — — ale rzeki rodzone opuszczał, aby dopiero po zwycięstwach nad Odrą, Elbą, Renem znowu rzekom rodzonym witanie pro-

mienne przynieść. Już nie wierzono w nieomylność i niezwyciężoność cesarza. Nad imionami Luetzen i Bautzen cieniem, mrokiem czarnym ścieleł się odwrót z Moskwy. Gwiazda napoleońska zadrgała na niebie, opadła — — zatrzymała się, wzniosła, lecz niewzruszoność jej przestała być wiarą.

Jedenaste przykazanie Boskie: z Napoleonem zwyciężać będziesz! — stało się ludzkim, nie Boskiem — —, omylnem.

Jednak żołnierz polski walczył z heroizmem. A zaprawny w okrutnej walce na stepach rosyjskich, znalazł rywala w przywiedzionych wraz z sobą chłopach krakusach. Cesarzowi brakło konnicy. Miotano więc kawalerją polską, rzucono nią nieledwie jak piłką z przed rosyjskich kozaków na węgierskich huzarów, z przed austriackich kirasjerów i ułanów na dragonów pruskich.

Zepchnięto na nią rekonesanse, patrole, służbę wywiadowczą, osłanianie korpusów i ściąganie nieprzyjaciela. „Dwoić się i troić“ musiał żołnierz polski. A walka trwała ciągła, nieustanna. Pomiedzy jedną a drugą bitwą trwały dzień po dniu potyczki. Nad Muldą 3,000 Sokolnickiego dziesięć dni walczyło bohatercko z dwunastoma tysiącami generała Mohra. Generał brygady Weyssenhof walczył z kozakami w Szwajcarii Saskiej, w dwa dni potem pod Peterswalde brał armaty. Tam dwustu szwoleżerów gwardji wciągnęto w zasadzkę i zniosło pułk huzarów pruskich. Brygada Weyssenhofa pod Dreznem, 13-ty pułk huzarów i 16-ty ułanów

czworobokiem przerznięły się przez hordy baszkirów, burzą strzał z łuków na nich sypiących.

*

*

*

Mianowany generałem naczelnie dowodzącym armją polską, zrównany w randze i pensji z marszałkami francuskimi, widział książę Józef ogromną różnicę w Napoleonie w stosunku do Polaków. Napoleon gorąco się zajmował ich wyekwipowaniem, cieszył jazdą „pigmejską” chłopskich krakusów, jak ich zwał, „polskich kozaków”, na małych konikach, na których widok śmiał się serdecznie, ale to zajęcie się właśnie świadczyło, jak bardzo przywiedzionego z Polski wojska, owego korpusu trzeciego swojej obecnej armji, potrzebował.

Zaremba, który miał teraz, przeznaczony czasowo do kancelaryjnych robót, sposobność częstego widywania księcia Józefa, widział w nim zmianę niezwykłą. Książę Józef walczył bohatersko i brawurowo, jak dawniej, ale nie był to ten sam człowiek. Jego pańskie, często lekkie i z ułańską manjery, ustąpiły zadumie i powadze. Był ustawicznie niemal od dnia przybycia w ogniu i przy komendzie, ale czynił to tak, jakby to było świętym obowiązkiem sumienia, nie obowiązkiem ochoty i mędrda. Coś sakramentalnego widział Zaremba nieraz w oczach księcia.

Zrezygnowana moc duchowa oświeciła ciało. Przed człowiekiem tym stało duchowe zadanie — jego głowa wznosiła się nad wojskiem polskim, a przez wojsko polskie nad całą Polską.

Poniatowski snadź czuł to. Widział raz Zarembe z przybocznego pokoju, jak książę w kwaterze swojej siedział na kanapie i w czako się swoje, naprzeciw na stole postawione, wpatrywał.

Rzucając z ukosa z nad stołu, przy którym pisał, oczyma, zobaczył Zarembe, że książę oczy zamknął, ale nie zasnął.

Poniatowski nie spał. W duszy jego wirowała zagadka Napoleona.

Dlaczego on tu wojsko polskie przywiódł, dlaczego je Bonapartemu oddał, dlaczego bierze udział w wojnie, której koniec jest wątpliwy, a która w razie przegranej może być klęską dla Polski? Wszystko, co mógł sobie odpowiedzieć, odpowiadał książę, jednak ani to, że Bonaparte był monarchą, który nietylko przeciw Polakom nie występował, ale nawet pośrednio działał w ich sprawie; ani że przy nim jednym istnieć mogło polskie wojsko; ani honor żołnierski, obowiązek względem wodza, któremu się przysięgło, pod którym się walczyło, z którym zwyciężano i przeżyło straszny odwrót z Moskwy; ani widoki Polski z nim związane — to wszystko nie było wszystkim. Surowy urok genjuszu osoby i sławy wojennej Napoleona pętał Poniatowskiego. Czasem tak połącznie, że się to wydawało nad najświętsze i nad największe wybijać...

Ten Napoleon czynił Polakom niejednokrotnie krzywdę: pchnął ich na San Domingo, aby nie mieli ich widok z przed oczu niechętnych usunąć; słał ich na pierwszy ogień, wyzyskiwał ich, ubliżał im nieraz, gotów był Księstwem Warszawskim w razie potrzeby handlować — — jednak

z pod przygniatającego uroku jego istoty wyzwolić się było niesposób.

Powstał książę i, zapaliwszy lulkę, przeszedł do pokoju Zaremby.

— Mości panie — rzekł — a napijesz się wasze gorzałki?

— Do usług waszej książęcej mości.

— No to proszę.

Kazał podać. Przeszedł się kilka kroków, popatrzył w okno i zapytał:

— Pilną masz aść robotę?

— Niezbyt.

— Pogawędzimy. Sam jestem. Starych druhów niewiele zostało. Oti Sanguszek, Sanguszek? Był ostatnim, po którym się spodziewałem... Przyjacieli... I Książę... Taki dzielny generał... Opuścili mnie... Tylu innych... Odstępstwo Sanguszki i Czartoryskiego Konstantego musiało fatalne wrażenie wywrzeć na oficerach?

— Mości książę, na magnatów już się dzisiaj mniej patrzy, niż za Rzeczypospolitą.

— A jednak — — powiem ci — — gdyby stryj mój król był się nazywał Radziwiłł albo Czartoryski, kto wie, czy rzeczy nie byłyby wzięty innego obrotu. Ja sam wiele musiałem połknąć gorzkich pigułek...

— Od głupców lub od ludzi podłych!!

Książę odwrócił się od okna. Domyślał się Zaremba, że myśli o niepewnym i wątpliwym pochodzeniu swej rodziny, o opowieści o Sapieży i arendarce, może przypomniawszy mu się afera ze Szczęsnym Potockim... Nie śmiał nic rzec, bojąc się, aby nie rzekł nic niedelikatnego.

— Mój rotmistrzu — ozwał się książę nagle — powiedz mi, aść, co aści trzyma głównie przy Napoleonie?

— Wiara w jego może pomimowolną służbę dla Polski i przywiązanie żołnierskie, mości książę.

— Więcej nic?

— Owszem, mości książę: uwielbienie.

— Otóż to, otóż to! Waść to nazywasz uwielbieniem, a ja podziwem, Walewska nazywa admiracją — — jest coś w tym człowieku, co spać, jeść, oddychać, powiedziałbym, kochać się, do miliona par djabłów, bez myśli o nim nie daje! Jego wzrok, jego ręka, jego kapelusz i płaszcz, brzuch, panie dobrodzieju, i buty — wypełniły nam dusze. Wiesz co, aść, rotmistrzu - - — może by tak nie było, gdybyśmy my, Polacy, mieli o kogo innego myśl opleść, niby w historii naszej. Ale my mieliśmy bohaterów raczej, niż wodzów. Bitwy wygrywali, wojną w Europie nie zaważyli, Polski straszną sąsiadom nie uczynili. Może byli — — może był Chrobry, może był Śmiały, może Witold, może Warneńczyk, może Tarnowski, Zamoyski, Żółkiewski, może Chodkiewicz, może Janusz Radziwiłł, Jeremjasz Wiśniowiecki, Czarniecki, Sobieski — może to byli wojenni genujsze — — jednak żaden na Zachodzie Europy ciężko nie zaważył, karty jej geograficznej nie zmienił, murów Polsce nie zmurował. Psie Pole nie powinno było być jedno. Gdybyśmy byli potężniejsi i od kresów zachodnich, bylibyśmy bezpieczniejsi i od wschodnich granic. Kto bije na prawo, bije i na lewo.

Otóż czy był wielki wódz zdobywca z urodzenia, czy go nie było—nie pokazał się. Gdzież

są nasi Kondeusze, Turennjusze, Wallensteiniowie, Gustawy Adolfy, Karolowie Dwunaści, Godfredy de Bouillon, Solimanowie — geniusze wojenni i zdobywcy? A wielu jeszcze było na Zachodzie i Wschodzie, nie mówiąc o starożytnych! U nas są bohaterzy bitw z Sobieskim na czele. Wzrok polski szuka i widzi jednego człowieka, który polskie zastępy prowadzi więcej, jak bóg wojny: to Bonaparte!

Książę zatrzymał mowę. Jego oczy wilgotne były, w przestrzeń puszczone.

Wzruszył się Zaremba, lecz gdy przypadkiem ku drzwiom wchodowym, które otwarte stały, spojrzał, ujrzał w nich niemego ukłana ze swego szwadronu, Wartałowicza.

— Mości książę, sztafeta — rzekł; Wartałowicz trzymał papier w ręku.

Poniatowski zwrócił się, zbliżył żywo ku Wartałowiczowi, wziął papier z jego ręki i przebiegł szybko oczyma. Rzucił go na stół Zarembie mówiąc:

— Złatw pan, mało ważne, ale pilne.

Potem ozwał się do Wartałowicza.

— Poczekaj. Napijesz się wódki?

— Niemy — rzekł z nad biurą Zaremba.

U Pana Boga? Jakże może służyć?

— Kapitałny żołnierz. Siłacz i śmiały.

— I zapewne dla niemoty nie awansuje? Bo widzę jednego szewronu nie ma. Biedny chłopak! Nazywa się?

— Michał Wartałowicz.

— Był w Rosji?

— Był.

— Był ranny?

— Był.

— W pańskim szwadronie służy?

Wyras twarzy Wartałowicza zajął księcia. Nalał kieliszek wódki, podał mu i rzekł:

— Wypij. Ułan, kiwnij głową, stałeś tu we drzwiach, kiedy mówiłem teraz do pana rotmistrza, o cesarzu?

Wartałowicz skinął głową potakująco.

— Rozumiałeś?

— Wszystko?

— I co powiesz? Pisać umiesz? Napisz.

Wartałowicz napisał:

„Z cesarzem Napoleonem biję się za Polskę“.

Podał księciu.

Poniatowski rozrzewnił się. Aksamitowski — zawołał na adjutanta, znajdującego się w sąsiedniej bokówce — masz tam co? Złota albo srebra choćby?

Wartałowicz zaczerwienił się. Poniatowski spojrział nań i pojął.

— Nie lękaj się, nie tobie dam. Ot masz tu pięćdziesiąt talarów saskich, wypijesz z kolegami za zdrowie cesarza — — i za moje też — — lub za śmierć pocziwą.

Hej, jak ci to? Wartałowicz? Słuchaj, Wartałowiczu, nie boisz się śmierci? No toś zuch! I ja nie. Ale słuchaj, podobnoś silny? Pokaż rękę. Psiakrew zatracona! Czysta stal! Jeszczem takiego ramienia nie spotkał! Słuchaj że, Wartałowiczu: jakbyś widział, że mnie kozaki albo Niemcy żywcem biorą, broń mnie, choćby pięściami, a nie wybronisz lub zobaczysz, że padam, to mi czako z głowy zerwij! Nie bój się nic!

Rotmistrz Zaremba i mój kasjer, major Aksami-
towski, świadkami, że z mojego rozkazu! Ze łba
mi zerwij! Moje czako ułańskie to jest dziś ko-
rona Polski! To jej godło! Ze łba mi zerwij
i na Zamek Krakowski nieś. Nie, żebym ja go
był godny. Ale że to czako go godne. Rozu-
miesz? Napisz odpowiedź.

Wartałowicz napisał:

„Podług rozkazu“.

— Dobrze! Daj rękę! Twarda psiakrew!
Awansować nie możesz, trudno. Kapral musi
gadać. Ale masz. To już tylko dla ciebie!

Wyjął Poniatowski scyzoryk z kieszeni i, wrę-
czając Wartałowiczowi, rzekł:

— Od naczelnego wodza wojsk polskich, na
pamiątkę. A jak się w najbliższej bitwie, czy
choćby potyczce dzielnie sprawisz, dam ci order
z własnego munduru, a może i krzyż cesarski
wyrobię. Ale pamiętaj, widzisz to czako? Gdyby
się chwiało, przybywaj! Ufam w twoją niemałą
siłę! Do zobaczenia!

Głos Poniatowskiego zabrzmiał dziwnie, oczy
jego jakby pomimowolnie w przestrzeń pobiegły.

Zaremba czekał już z gotowym reskryptem.
Wartałowicz wziął go, przytknął palce do daszku
i wyszedł.

— Mieć będziem straszną bitwę, panie rot-
mistrzu — podjął książkę — cesarz nigdy jeszcze
nie miał takiej bitwy. Ze wszech stron na nas
idą. Kolosalne masy. Większe, niż kiedykolwiek.
Tu się zaważą losy świata. Jeżeli Napoleonowi
uda się pogromić na głowę skoalizowanych, może
się bodaj potężniejszym stać, niż był. Ale gdyby
przegrał — to jeżeli nie po nim — po nas.

— Ośmielę się zapytać, na którą stronę chyli się przewidywanie waszej książęcej młodości co do najbliższego walnego starcia? — spytał Zaremba w pełnem poszanowaniu.

— Mam aspanu prawdę powiedzieć? Lękam się. Oni nas nie potrafią może pobić, ale lękam się, że my nie potrafimy ich zwyciężyć. Najbliższa walna bitwa może być strasznie krwawą, a jednak może nie przychylić stanowczo szans ani na jedną stronę, ani na drugą. A skądże nasz cesarz czerpać będzie rekruta na wypełnienie luk i szczerb w szeregach? Tu może leżeć tragedia, nawet katastrofa. Francja jest wyludniona. Taka bitwa mogłaby mieć domniemalnie to jedno dobre następstwo, że cesarz zdecydowałby się zapewne wtedy pościągać załogi i korpusy, które nie są przy nim skoncentrowane. Nie śmiem sądzić Napoleona, nie mnie to czynić, ale wręcz nie rozumiem, jak można teraz, w takiej chwili, nie skupić wszystkich sił, jakimi się rozporządza?! Gdyby mu od Pirenejów, czy od Holandji, czy skąd tam djabeł chce, nawet do samego Paryża wleźli, to jeżeli by tu w Saksonji, skoncentrowawszy wszystkie siły, jakie ma, na głowę koalicję rozgromił, nic mu nie robią! Tu jest potęga koalicji i tu ją zmiażdżyć potrzeba! Nie mogę pojąć, nie mogę zrozumieć! Dalipan! Taki mędrzec! Taki kombinator! Albo on coś myśli, czego żaden z nas nie wie i odgadnąć niech nie próbuje — — albo, a to, niestety, zda mi się prawdziwsze, mogą to być fatalne i zgubne w następstwach na wzór moskiewskich kombinacje, „rezony“ polityczne, które tak wojsko kłęło... Gdzieś słyszałem, że tylko bardzo wielki

człowiek może zrobić bardzo wielkie omyłki. W takim razie czasem lepiej być mniejszym. Barclay de Tolly i sztab angielski nie omylili się w zeszłym roku. Ale darmo. Napijmy się jeszcze po kieliszeczku.

Wypili.

Poniatowski siadł i wygodnie się wsparł na kanapce, zapaliwszy lulkę.

— Hej hej, mości rotmistrzu, diabli z nami w kości grają!

Zaczynam ja wątpić, czy miłą ojczyznę ujrzę... Ergo — — w lulce pociecha...

— O, Wasza książęca mość! — zaczął Zaremba.

— Cyt! Nie mów nic!... Kiedy byłem młody, raz w Jabłonnej — — a to co?....

Do uszu księcia doleciał śpiew:

Śmierci, druhu nieodstępny,
żołnierza siostró,
jak mnie weźmiesz, uszanujże
mą szablę ostrą!

Uszanujże moją szablę
krwawą, czerwoną,
popod darń mi ją pochowaj,
popod zieloną!

Popod darnię, popod rolę
pługiem oraną,
niechże mi tam leży cicho
w ziemię schowaną!

A gdy kopacz ją wykopie,
oracz wyorze,

niechże błysnie szabla moja,
błysnie pod zorze!

Niech ją pięknie do dom niosą,
stawia u proga,
aby zaś ją czyja ręka
wzięła na wroga!... Uha!,,

— Makuch, także żołnierz z mojego szwadronu — powiedział Zaremba, głos poznawszy.

Książę był w słuchu cały.

A to dziwne, to nie do uwierzenia! Nim jeszcze śpiew ten usłyszałem, przypomniało mi się, jak raz w Jabłonnej ścigałem dziewczkę w sadzie — — i tę piosenkę ktoś zaśpiewał niezdaleka i to mię tak zastanowiło, żem o dziewczce, choć ślicznej, zapomniał. To oryginalne! Parole d'honneur, żebyś nie uwierzył, gdybyś pewny nie był, żem usłyszał. Cały dzień mnie to potem prześladowało. Te strofkę ostatnią nawet zapamiętałem. Jakże to?

Niech ją pięknie do dom niosą,
stawia u proga;
aby zaś ją czyja ręka
wzięła na wroga!...

Ma foi! C'est presque incroyable!

— Rzeczywiście szczególny traf, mości książę.

— Sekundę przedtem mi się przypomniało. Otóż kiedy mię ta piosenka żołnierska w Jabłonnej zaskoczyła, takie mię zamyślenie opadło i tak, jakobym naprzód spojrział w przyszłość — i pomyślałem sobie, ale tak ledwie, ledwie,

tak, jakobym wcale nie myślał: czy mi też to kiedy nie zaśpiewają na dobranoc?... No i masz!

— Ah, mości książe! — odpowiedział Zaremba. — Wszyscyśmy śmiertelni, ale nikt nie wie, kto z brzegu?

— No prawda. Masz rację. Wola przeznaczenia. Co tam o tem! Ale to masz w swoim szwadronie kontrast: niemego i tenorzystę. A wyniźdź no waść do tego Makucha, czy jak tam, i każ mu co jeszcze zaśpiewać. Aksamitowski! Poślej ułanowi Makuchowi dukata przez ordynansa. On tam, widzę, konie moje kuć pomaga. Strasznie rad słucham żołnierskich pieśni. Dziś już, mości rotmistrzu, dziękuję. Moi adjutanci wystarczą.

— Adieu!

Zaremba wyszedł z poleceniem, a książe wsparł się w oknie.

Mroczyło się powoli, październikowy wieczór wczesny padał. Niedługo rozległ się głos Makucha:

Hej hej, panowie żołnierze.
który mnie na koń zabierze?
Bom ja jako łania
gładko uchowana,
prześliczne ręce moje... hoho!

Przy kim na koniu usiedę,
już tego nigdy nie zbędę,
śliczne ręce moje
jako dwa podwoje
owiną jego szyję... hoho!...

Któryż z was, który, ułani,
tak miłej nie zechce pani?
Oczy moje świecą
jako błyskawice,
usta moje pachnące... hoho!

Jechał Jaś młody w szeregu,
przyzwolnił półkroku w biegu——
„siednijże mi wpodłe,
a dzierz się na siodle”——
tak do niej z konia powiada... hoho!

Jadą a jadą wojacy,
pęc! pęc! z pod lasu żołdacy,
trzysta kul gdy gwiźnie,
niejeden się zśliźnie
z konia swojego ze siodła... hoho!...

Któż tam pierwszy zlatuje?
Kto pierwszy ziemię całuje?
Jaś to młody spada,
Już mu twarz zbielała,
taką na siodło wziął družkę!... hoho!...

Już go te ręce nie puszcza,
leży na drodze pod puszcza,
Już więcej nie wstanie,
pocóżes ułanie
śmierć brał za siebie na siodło?... hoho?

— Hej! Co wesołego! — zawołał książę
z okna.

Doleciał rozkaz, ułani koło koni się naradzili
i zaczęli chórem:

A czyjaześ, a czyjaześ
ty gruba Kaśko?

Co to niesies, co to niesies
popod zapaską?

Cy to niesies, cy to niesies
jakie tysiące?
Cy koronki haftowane?
Cy trzy zające?

Nie niesem jo, nie niesem jo
zodnego złota,
ani zodnych korunecek,
ani ta co ta!

Co jo niesem, co jo niesem,
byście wiedzieli,
nie ubendzie, choć się onym
kuzdy obdzieli!

— A kanalje! — krzyknął książę, śmiejąc się,
cofnął się od okna, bo chłód jął ściskać.

* * *

Cesarz spozierał dookoła siebie.

Wszystko, co się teraz działo, było poza
normą, urągało tradycji.

Jenerałowie stali się agentami dyplomatycznymi, wdrazali negocjacje i zawierali układy z własnej pobudki. Gabinety dyplomatyczne działały tylko zapomocą wojny. Schwarzenberg zawiera traktat z Rosją w Mińsku, potem w Warszawie, York von Wartenburg w Poscheraun. W trop za nim idzie Buelow.

Żadnego sprzymierzeńca, żadnego przyjaciela monarchy nie można być pewnym, gdyż rządzą

ludy i armje, które są obecnie tylko awangardą ludów. Król bawarski, duchem tak bliski Francji, król wirtemberski, najwierniejszy, najbardziej oddany z aljantów, wielki książę badeński zgłaszają swe niejako przymusowe, pod naciskiem swych ludów, odstępstwo. Wszak zresztą żaden z nich nie jest spokrewnionym bezpośrednio z Napoleonem, jak Franciszek austriacki. Cóż wypada czynić? Z szlachetną sprawiedliwością rozumieć tych książąt — — kazać ich rozstrzelać nie można... Całą namiętną urazę spuścić na ich gabinety i ich wodzów...

Jeden tylko król saski, były książę warszawski, stoi wiernie przy orłach napoleońskich.

A współzawodnikami w walce na śmierć i życie z Niemcami i Rosjanami przeciw Bonapartym któż jest? Francuski generał Bernadotte, francuski generał, marnie zabity pod Drezniem Moreau, współziomek, wróg najzaciętszy, Korsykańin Pozzo di Borgo...

Grunt się usuwa z pod nóg. Odstępstwo Bawarii zmusza posunąć się na Lipsk, chronić linię komunikacyjną z Francją. Lecz Drezna nie opuści.

Zostaną tu marszałkowie Gouvion Saint-Cyr i Mouton z trzydziestu tysiącami wojska. Niepodobna jest ogołocić z ochrony stolicy przyjaciela, nie można okazać, że się jest zmuszonym wyprowadzać z Drezna wszystkie siły, że choćby chwilowo traci się Drezno. Jakież wrażenie wywarłoby to na Sasach! Jakie na Francji i jej nieprzyjaciółach! Gdy się pozostawia załogę w Dreźnie i idzie się na Lipsk, jest to tylko zmiana frontu, manewr; gdyby się zeń wywiodło wszystką

siłę wojenną, byłoby to ustąpienie pod przymusem. Napróżno marszałkowie napomykają nieśmiało przy okazjach, że przecież po zwycięstwie pod Lipskiem, Drezno się natychmiast odzyska, 30 zaś tysięcy ludzi może rozstrzygnąć o zwycięstwie.

Są oni tylko dowódcami — nie noszą korony na głowach, nie muszą mieć równocześnie szpady w dłoni, teki ministerjalnej pod pachą i tronu pod sobą.

Byłoby może lepiej opuścić Drezno, opuścić Lipsk i, cofnąwszy się za Ren na czele potężnej armji, układać się o pokój... Byłoby może lepiej... Lecz kto od lat kilkunastu w kilkudziesięciu bitwach, w setkach potyczek zwyciężył, czyż może nie zwyciężać dalej, zawsze i do końca? Dlaczego by tak nie miało być? Jaka logiczna przyczyna zmusza do podobnej myśli?

Prawda, że wskutek rozproszenia wojsk nad Elbą, wskutek osadzenia Drezna pozbawia się 40,000 ludzi, podczas gdy walki pod Kulm, Katzbach, Dennewitz, Gros-Beeren pochłonęły 70,000 i skutkiem tego naprzeciw 300,000 nieprzyjaciół nie wystawi nawet 200,000 — — lecz pod Dreznem w sto dwadzieścia tysięcy pobił dwakroć — — lecz cofanie się poza Ren mogłoby fatalnie oddziaływać na młodego armji 1813-go roku żołnierza, lecz prestige, lecz prestige napoleoński!...

Tymczasem armje sprzymierzone waliły pod Lipsk.

Same nazwiska dawały poznać, jacy wodzowie jaką potęgę prowadzą.

Schwarzenberg, Blücher, Kleist, Wittgenstein, Pahlen, Benningsen, Sacken, Langeron, Wintzingerode, Colloredo, Lichtenstein, Wied, Barclay de Tolly, Stedingk, York, Bülow, Strogonow, Doktorow, Płatow, Bubna, Klenau, Meierfeldt, Gyulay, Górczakow, Kretow, Rajewski, Miłoradowicz — — Niemcy, Rosjanie, Szwedzi, Węgrzy, a ponad nimi następca tronu Szwecji Bernadotte, wielki książę Konstanty, książę krwi wirtemberski, książę Hessen-Hamburg, a nad nimi Fryderyk Wilhelm pruski, Franciszek austriacki, Aleksander rosyjski... Cztery armje toczyły się ze szczękaniem broni i turkotem armat. Jedni znani zdawna przeciwnicy, inni doświadczeni już w boju byli sprzymierzeńcy i nowi wodzowie, dotychczas nieznani...

Wiódł armję czeską książę Schwarzenberg, Austrjaków i Rosjan, do 150,000 ludzi.

Wiódł marszałek „naprzód!“, „Feldmarschall vorwärts!“, Blücher, armję śląską, skombinowaną z Prusaków i Rosjan, do 60,000 ludzi.

Wiódł Bernadotte armję północną, Szwedów, Rosjan i Prusaków, do 68,000 ludzi.

Prowadził Austrjaków i Prusaków Benningsen, armję polską, przeszło 40,000 ludzi.

Jechało z nimi armat 1,500. Jazdy było 50,000.

Trzeba było te wojska pojedynczo gromić: Schwarzenberga, nim się połączy z Blücherem, Blüchera, nim go dojdzie Bernadotte od berlińskiej strony — — lecz trzeba było działać pionem — — lecz dwa dni na namysłach i wazeniu planów zbiegło beczynnje i bezpłodnie w Dreźnie,

a tymczasem Schwarzenberg w dół, Blücher w górę posuwali się ku sobie wzdłuż Muldy...

Szli naprzeciw marszałkowie francuscy Ney książę Elchingen i Moskwy, Oudinot książę Reggio, Mortier książę Treviso, Victor książę Bellune, Marmont książę Raguzy, Macdonald książę Tarentu, Augereau książę Castiglione, z szefem sztabu jenerałnego, marszałkiem Berthier księciem Neufchâteau na czele; szli jenerałowie Lauriston, Regnier książę Massa, Latour-Maubourg, Sebastiani, Arrichi książę Padwy, Milhaud, Kellerman i polscy wodzowie: naczelny wódz książę Józef i stary Henryk Dąbrowski, Sokolnicki, Izidor Krasiński, Weysenhof, Kwaśniewski, Małachowski, Bronikowski, Krukowiecki. Nad wszystkimi z godności król Neapolu, Murat. Dowodzili około 180 tysięcy ludzi z 800 działami. Jazdy mieli około 25,000. Polaków było do 17,000.

Półmilion ludzi i około 2,300 armat dążyło przeciw sobie¹.

Lecz choć utarczki trwały nieprzerwanie, ostrożnie posuwały się główne korpusy armij koalicyjnych. Generalissimus Schwarzenberg i jego podwładni wodzowie wiedzieli, że tylko masą mogą Bonapartego pokonać, poprostu przydusić. Każdy z nich przedewszystkiem strzegł się pojedynczego spotkania. Chcieli oni zatoczyć krąg, pierścień śmiertelny. Podobnie wilki osaczają w kniei odyńca, zanim się rzucą na niego.

Poniatowski walczył sam, jak najmeźniejszy żołnierz. Ile dojrzeć mógł, śledził Michał War-

¹ Cyfrę i jednej i drugiej potęgi trudno jest podać bezwzględnie, gdyż różni autorowie wojskowi rozmaicie ją podają i ze znacznymi różnicami.

tałowicz czako wodza, a raz po raz, gdy rękę miał wolną, po kieszeni się, w której scyzoryk siedział, macał.

Polacy bili się z właściwem sobie, szczególnem i bezprzykładnem poświęceniem dla Napoleona. Oni jedni tylko oprócz Francuzów. Wszyscy inni wcieleni w jego armję ludzie, Hollendrzy, Włosi, Sasi Regniera i pozostałości z innych narodowości niemieckich, Badeńczycy, Hesseńczycy, Wirtemberczycy bili się pod przymusem, a Niemcy zerkali ku swoim, ku koalicji. Nadszedł ten czas, kiedy podwładni Napoleona nie tylko drżeli przed nim i równocześnie przed jego przeciwnikami, ale zaczęli się więcej przeciwników obawiać, niż jego samego.

Dwunastego września, nieopodal miasteczka Wachau w Saksonji, siedział sobie książę Poniatowski przed namiotem i pił kawę zrana. Wtem dzyn! dzyn! dzyn! ostrogi. Zsiadłszy gdzieś poza namiotem z konia, król Neapolu Joachim Murat pojawił się przed księciem.

— Bonjour! — powiada.

— Bonjour, co tam słyszać? — odpowiada Poniatowski, podnosząc się na pół na przywitanie.

— Kawę pijesz? Dajno!

— Zaraz.

Murat usiadł na polowem krześle.

— He, na moją duszę, ale się poczubimy!

— I ja tak myślę!

— Mały kaprał, pan szwagier, zamyślony.

— Nie dziwota.

— Albo, albo. Kości rzucił. Alea jacta sunt.

— Est — poprawił Poniatowski.

— He, Pepi — dobra ta twoja polska kawa, ale wiesz?!

— No?!

— Co ja tu za jałoweczkę w jednej oborze wynalazłem!

— No?!

Niemeczka, ale no, powiadam ci! Rarytas. Oczy, jak niebo! A ty co?

— Jakoś mi to nie na myśli teraz.

— Tobie! Nie wierzę! Mały kapral narzeka na mnie, że na każde dwadzieścia cztery godzin potrzebuję — aleś i ty nie gorszy!

Książę Józef uśmiechnął się.

— To minęło — rzekł.

— E?—zaniepokoił się Murat.—Nie wierzę! No ale mówię ci—rzepa! Trochę krowami zala-tuje, ale to nic!

— Sameś ją wygrzebał?

— Sam. Ledwie z konia wczoraj wieczorem zesiadł, zaraz się na poszukiwanie wybrałem. Mam węch! Gdzie jak gdzie — rznę do obory. Krowy tu, krowy tam—patrzę—doi. Ja do niej! Ona w krzyk! Pęc! Mleko się wylało!

— Jakto? Toś tak?

— A cóżeś ty myślał?

— No ale gdzie? Na gnoju?

— Burkę rzuciłem. Trochę się poplamiła.

— I pachnie, he?

— Wziąłem inną. Co gorzej, że mam ze sobą tylko jedno białe spodnie, a gdzieśm ko-lanem nieostroźnie utknął. Djabeł nadał, że właśnie w tych spodniach byłem. Napoleon mnie ostrzegął, że mogę kilku par potrzebować.

— No i co?

— Einmal ist keinmal! To jedyne mądre szwabskie przysłowie. No i na dziś zamówilem. Tanio — dukata dałem. Ale patrzno! Widzisz? Tam!

Na wzgórzu rychtowali się niespodzianie kozacy.

— Widzę — rzekł spokojnie Poniatowski.

— Kozacy. Jazda na nich! Bierz ułanów!

— Zaczekaj, tylko tej filizanki dopiję. Hej tam! Do ataku komenderować! Kawę mi tu ciepło trzymać — zwrócił się do ordynansa.

Dzyn! Dzyn! Dzyn! Murat leciał już ku koniowi.

Poniatowski wstał, otarł usta rogiem serwety, popatrzył ku kozakom, zmierzył dystans i kazał sobie wierzchowca podawać.

Za chwilę jak wicher gnali ułani; Murat i Poniatowski na przedzie.

Ze wzgórza na równinę spływali chmurą kozacy.

Jechał Wartałowicz na tęgim szpaku i w plecy rotmistrza Zaremby patrzył. Kazał go Zaremba w samym środku pierwszego szeregu postawić, gdyż za nim ze szczególną odwagą szarżowali żołnierze.

Z Wartałowiczem jak w taniec! — mówili.

Zbliżały się linie do siebie.

Wtem, kiedy już sto kilkadziesiąt tylko kroków je dzieliło i ułani podprowadzani przez księcia po równinie ku wzgórzu zrazu truchtem największy galop brali, ulewa strzał wzbiła się z poza grzbietów kozackich w powietrze i spadła, z zadaleka puszczone, poprzed pierwszym szeregiem na ziemię.

— Baszkiry! Kałmuki! — poczęli wołać ułani.

Dwaj świetni wodzowie mknęli naprzód. Burka futrzana rozwiała się na ramionach Poniatowskiego, biały pióropusz powiewał nad głową Murata.

— Marsz! Marsz! — zawołał książę, a koń jego wyciągnął się struną.

Marsz! Marsz!

Szalony pęd dech zapierał. Wartałowicz lance w pół ucha końskiego pochylił i patrzył na czako księcia. Nowa ulewa strzał ponad głowy kozaków padła na jeźdźców polskich.

Książę spiseń kozacką szablą odtrącił. Bój zawrzał. Zderzyli się jak drzewa powodzią niesione, gdy wir pchnie jedno na drugie. Zawyło hurra! kozackie.

Lecz kozacy poza pierwszemi szeregami zwrócili się nagle w lewo.

Podczas gdy Baszkiry i Kałmuki, rozpierzchając się po polu, z łuków jazdę polską razili z prawego boku, pułk kozacki unykał w lewo.

Spojrzał Poniatowski na Murata. Doświadczonemu wodzowi podejrzaną się ta ucieczka wydała. Lecz Murat zapamiętały, wrzeszcząc włoskie obelgi, gnał za kozakami z wzniesioną szablą.

Nie wypadało go opuścić samego. Skinął książę pałaszem i powiodł swoich, których po flankach zastaniały przed dziecą pojedyncze plutony. Murat dopadł kozaków i siekł; żołnierz się rozpałił i ścigał z wyteżonymi lancami. Gdy podprowadzony chytrze na bliskie wzgórza, inny pułk kozacki od prawej strony nagle się pojawił

i odrazu wyciągniętym galopem na ułanów Poniatowskiego bieć począł.

Dojrzał go książę.

Nie było mowy o porządnym kontrataku. Wyrwał kilkudziesięciu ułanów z najbliższych sobie i, w skoku niemal konia zwijając, przeciw ruszył.

Tuż za wodzem naczelnym znalazł się Warłałowicz.

Ci kozacy gruchnęli w ułanów jak taran. Spisną jeden księcia samego pchnął w prawą rękę niżej łokcia. Drgnął książę w siodle. Poznali go kozacy i sześciu objechało go wkoło. Wtem jako bijak cepów w dłoniach tęgiego chłopca upada na snop zboża, z takim zamachem straszliwym spadł na nich niemy ułan. Gdy książę jednego, co od piersi nacierał, szabłą ze siodła stracił, niby wichler młode drzewa, lanca Warłałowicza w młyniec puszczone dwu drugich z koni zniósł.

Gdy pękło drzewo od ciosu, niemy ułan szabli wydobyć nie zdążył, lecz najbliższego od prawej, przechyliwszy się, kozaka z kulbaki wyrwał i w nacierającego na księcia oficera, który już szpicem szaszki godził w plecy, jako worem mąki grzmotnął.

Dostał kozakiem w pierś oficer z taką mocą, że, krwią z ust buchając, w tył runął.

Szósty przed szabłą Murata, który w tej chwili się tu znalazł, wypchnięty siłą z tłoku w bok, pierzchnął.

Ale Murat, ujrzawszy kozaka przelatującego w powietrzu, swego ścigać zapomniał i gębę otworzył.

Już zaś prowadzony przez pułkownika Tolińskiego i adjutanta księcia Kickiego biegł na ratunek pułk polskich huzarów. Kozacy w tem starciu poszli w rozsypkę.

Ciekące krwią szable w pochwę włożywszy, wracali król Neapolu i księżę do obozowiska.

— He he he — mówił zasapany Murat — żeby nie twoja szarża, nie byłbym już więcej oglądał małego kaprała, ani mego tronu pod Wezuwuszem. Byliby mnie utłukli albo żywcem, co gorzej, wzięli.

— Odrazu mi się ten manewr kozacki podejrzany wydał — odparł Poniatowski — aleś wasza królewska mość z takim zapałem naprzód harcował, że, nie chcąc go samego zostawić, musiałem i ja za nim, nie zdążywszy komendy wydać, pędzić.

— No prawda, może trzeba było ostrożniej.

— Jak z białemi spodniami.

— Tototo! Aleś, to widzę, raniony?

— Głupstwo. Draśnięcie.

— Zuchy te twoje ułany! Na honor! Nie zepsuli się od Somo-Sierry. Ale że masz siłacza między nimi!

— No, albo cò?

— Nie widziałeś?! Prawda, za twoim grzbietem było. Porwał szelma jeden kozaka z konia jak kukłę i rzucił nim w oficera!

— Owa! Nielada sztuka!

— Ba! Nie wiem, czyby który z Gaskończyków nawet to potrafił u Francuzów!

Poniatowski wydał wargi z zadowoleniem.

— U nas to nic dziwnego — rzekł. — Mam takich siłaczy po pułkach.

— Może po Auguście Saskim? — zaśmiał się Murat.

— Szwaba nam na to nie trzeba. W piętnastym wieku rycerz Gniewosz z Dalewic kopją Mołdawianina z siodła nad głowy całego wojska w powietrze podniósł.

— Orlando furioso! Na moją duszę! Ranek nie stracony! Zaraz Niemki poszukam, bo mi się to należy!

Rozmawiając dojechali do stanowisk Poniatowskiego.

Książę cugle puścił, nogę przez kark koński przełożył i zsuwając się z siodła:

— Trzymaliście mi tu ciepłą kawę? — zapytał ordynansa.

— Brawo! — zawołał Murat na twierdzącą odpowiedź. — Król Neapolu prosi też jeszcze o drugą filiżankę! Na mój honor, miałem pokojówki, szwaczki, mieszczeni, szlachcianki, hrabiny, księżne i królowe, Włoszki, Polki, Francuzki, Rosjanki, Hollenderki, Hiszpanki, Egipcjanki, Murzynki, Żydówki, Cyganki, et caetera, et caetera, et caetera, ale mówię ci, tak mnie ten zapach krów podniecał...

Poniatowski siadł wygodnie, nogę na nogę założył, kazał sobie rękę opatrzyć i poczęli z Muratem po drugiej filiżance kawy popijać, lulkami ją przepykując. Wtem książę w czoło się uderzył.

— Ale! Prawda! Trzebaby się dowiedzieć, co to za jeden kozakami w powietrze rzuca? Kicki! Ułan, z VIII-go pułku, który kozaka z konia porwał i w oficera nim machnął?

Kicki udał się ku obozowisku żołnierskiemu i w kwadrans Wartałowicza wynalazł i przyprowadził.

— Niemy? — zapytał księżę, przypatrując się ułanowi.

Wartałowicz salutując skinął głową.

Księżę wskazał go Muratowi ręką.

— Brawo! — zawołał Murat. — Brawo!

I klasnął w ręce.

Księżę zaś wstał, przybliżył się do Wartałowicza, poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Zuch! Takich więcej!

Ze słońcem w duszy powracał Wartałowicz do swoich.

Dzień przeszedł spokojnie, a pod wieczór w szwadronie debatowano, skądby parę talarów wydobyć, żeby je pięknie przepić było można, a dukaty bowiem od księcia przez Wartałowicza przyniesione i wszelkie inne zapasy potonęły w kieszeniach markietanek i okolicznych szynkarzy. Gdy się naradzano, zwróciło uwagę ogólną, że Antek Jamrozikowski w szarzejący o jakie dwa tysiące kroków biały domek się wpatrywał.

— Co się tam w ten dom tak gapisz? — zapytał go jeden z ułanów.

Antek spojrzał nań z pogardliwą wyższością i spytał:

— Masz pieniądze na harę?

— Nie mam.

— A wymyślisz skąd wziąć?

Kajbym to potrafił!

— No to mordę w dyby i nie przeszkadzaj mądrzejszym, furo siana! Czy ty myślisz, że jak

cesarz plany robi, to się go taki za pozwoleniem
świński ogon jaki marszałek pyta, o czym myśli?!

Ułan zgłupiał, a Antek dalej myślał.

Nakoniec wstał i zwrócił się do wachmistrza
Dybula, jak inni strapionego:

— Melduję posłusznie, panie wachmistrzu,
mówił mi jeden wołyżer, że z jenerałem Weis-
senhofem sam cesarz gadał i że go marszałek
Mouton za szarżę pochwalił.

— No to, ma się rozumieć, co z tego?

— Pan wachmistrz nie przeczuwa?

— Całuj psa, ma się rozumieć, w gębę!
Czego chcesz?

— Pan wachmistrz widzi ten biały domek,
tam?

— Widzę.

— Tam jest kwatera jenerała Weyssenhofa.

— A ki mi djabli do tego! Czy to moja?

— On nam dziś zafunduje hary.

— Czyś się wściekł?! Pójdiesz go prosić?!

— Prosić?! Antek Jamrozikowski?!

— No przecie mu, ma się rozumieć, nie
ukradniesz?

— On nam sam zafunduje. Mogę iść?

— A idź do djabła, psiawiaro! Gdzie chcesz!
Antek poszedł. Niedługo potem usłyszał
jenerał Weyssenhof dobrze sobie znaną pieśń
dziadowską:

A u Szyrwintów kościół murowany,

Przez Wajzengopa pobudowa-a-a-ny,

A u altarni Swienty Mikołaj stoi

I z wielkom dzidom djabłu oczy ko-o-o-o-li!

Jenerał Weyssenhof, który nad instrukcją na jutro przy stole pod oknem w swojej kwaterze siedział, podniósł głowę, posłuchał i otworzył okno.

Usłyszał westchnienie.

— A kto tam śpiewa? — spytał.

— Ułan z VIII-go pułku — odpowiedział Antek.

— A cóż ty takie dziadowskie pieśni śpiewasz?

— Melduję pokornie, to tak pomimowolnie. W całym wojsku nie mówią o niczem, tylko o zwycięstwie pana jenerała, na które cesarz patrzył, i tak mi się samo od siebie poemat o jednym sławnym przodku pana jenerała przypomniał...

— Masz, durniu! — rzekł jenerał i trzy talary Antkowi wyrzuciwszy, okno zamknął.

— Masz, durniu! — powtórzył powróciwszy Antek ułanowi, z którym rozmawiał, rzucając mu srebro. — Różnij po wódkę!

Wachmistrz Dybul zaś mruczał pod wąsem do kaprała Kowalo: co za szkoda! z takim talentem człowiek! cóż kiedy psia jucha felerowata! złodziej kanalja!

*

*

*

Dzień po dniu walczył Wartałowicz, nurzając się we krwi i śmierci. Dzień po dniu patrzył na czako ułańskie naczelnego wodza, unoszące się nad polskim wojskiem, a przez wojsko ponad całą Polską. Dzień po dniu widział szablę

naczelnego wodza migającą matowem, zmartwia-
 łem światłem ponurej jesiennej pogody nad sze-
 regami współbraci i przeciw szeregom wroga.
 Z marsem na czole i płomieniem w oczach sku-
 pionego w sobie męża, ale z brawurą, lekkością,
 gibkością młodzieńca w ciele, wiódł Poniatowski
 szarżę po szarzy, podprowadzał lub osobiście ude-
 rzał. 13-go pod Liebertwolkowitz nie powiodły
 się ataki kawalerji francuskiej; wściekły jej wódz,
 król Neapolu, porwał nazajutrz 3,000 jeźdźców
 i grzmotnął nimi w kozaków Pahlana. Rozbił.
 Trup gęsty z obu stron zasłął równinę pod Wa-
 chau. Kozacy pierzchli z szablą francuską i lan-
 cą polską w grzbiecie po krwawym oporze. Lecz
 pruska kawalerja przybiegła im na pomoc, w tem
 dwanaście kirasjerskich szwadronów.

Ujrzał Wartałowicz żelaznych jeźdźców prus-
 kich na ogromnych koniach i dziwnego doznał
 uczucia. Dreszcz go przeszył. Nie lęku, bo go
 nie znał, ale niepokoju, wstrząsu nerwów. Prze-
 kłuło mu coś serce, coś, czego nazwać nie
 umiał. Nie był to wróg ani sroższy, ani większy,
 ani bardziej mu nienawistny, niż którykolwiek
 inny.

Ława żelaznych jeźdźców, waląca nań z ło-
 skotem, była straszliwie posepna, straszliwiej, niż
 jakabądź inna, które widywał od wiosny 1812-go
 roku. Nigdy jeszcze na tym dystansie, który
 go dzielił w szarzy od wroga, nie widział on
 tak twardego żołnierza naprzeciw siebie. Poza
 głowami huczały z obu stron armaty. Pod hu-
 kiem tych armat szła śmierć w żelazo zakuta,
 tak potężnie streszczona, jakiej nie spotkał.
 Skurczył się w sobie. Już najeżdżali. Naprzód

się paru susami wyrzucił i olbrzymiego oficera, który o kilkanaście kroków przed swoimi gnał, w pancerz lancą ugodził na piersi.

Pędzili obaj na siebie tak gwałtownie, że ręka Wartałowiczowi od ciosu w tył się comnęła, aż go z siodła omal nie wyrrywając, i zdrętwiała do łokcia; rozegnany zaś oficer, choć pancerz ostrza nie puścił, jakby się zachłysnął, drgnął w sobie cały i przegiął się w zad. Poprosto, jak dawny kopijnik, wysadził go Wartałowicz z siodła.

I byłby spadł, gdyby tuż obok jadący kirasjer lewicą, cugle puściwszy, nie podparł.

Ogromny rapier spadł na lancę Wartałowicza i przeciął ją, jak trzcinę. Wartałowicz konia wspiał i drugie chłasknięcie rapierem koń we wzniesioną szyję odebrał, zastąpiwszy jeźdźca. Padł, jak piorunem rażony. Ale nim padł, Wartałowicz zeń skoczył, stanął na ziemi i szablę wyrwał z pochwy.

— Polnischer Hund! — zagrzmiało mu nad głową i oficer natarł nań znowu.

Lecz szyki ułanów i szyki kirasjerów zwarty się z sobą. Wartałowicz był bez konia. Śmiało chwycił w tłumie wierzchowca oficera za cugle lewą ręką, szablą w niego samego godząc. W mgnieniu oka rapier czako mu przeszył, skórę z głowy zdzierając. Ból oślepił Wartałowicza. Olbrzymiemu wierzchowcowi pysk jakimś niedźwiedziem szarpnięciem ku sobie pociągnął i pchnął również szpicem szabli w górę. Pancerz cios poraz drugi zatrzymał. Wartałowicz uczuł, że zginie. Parli na niego kawalerzyści końmi, pochwa ułańskiej szabli zawadziła oń, pod brodę, że

ledwo się na nogach utrzymał, oficer zaś kirasjer, po nietrafnym sztychu w głowę, nowy mu w piers skierował.

— Ginę! — przemknęło Wartałowiczowi przez serce, i konia cuglami za pysk na kolana zwałił.

Sztych przeszedł mimo. Oficer stracił równowagę i naprzód się pochylił.

Wtedy go Wartałowicz gardą pałasza w kark trzasnął, że garda pękła i przysła w drzazgi, oficer zaś na bok na twarz runął.

— Herr Gott! Herr von Podbielski!... — wrzasnął ktoś nad Wartałowiczem.

Lecz jemu o konia szło, gdy jego własny na ziemi krwią z przeciętej w szyi arterji żygał i kopytami bił w agonji, tę usługę oddając jeszcze Wartałowiczowi, że go ciałem od bezpośredniego nacisku z tyłu bronił. Wierzchowca oficera dzierżył Wartałowicz w rękę i chciał dosiąść. Lecz zwierzę było jak wściekłe.

Porwawszy się z kolan, rzuciło łbem i wspięło się na zadnich nogach, pomimo żelaznej ręki na pysku. Chciało go ono wziąć pod przednie kopyta, uniósłszy go w powietrze bydlęcą mocą. Gdy spadło na nogi, Wartałowicz, ile miał sił, w brzuch je butem kopnął, aż jęknęło. Ze wszech stron wrzał teraz bój. Przednie szeregi zwały się i zmagaly ze sobą. Wartałowicz, będąc nie na siodle, był jak w kotle pod powierzchnią wrzącej wody. Życie zależało od tego, czy dosiądzie konia — inaczej, widział to, że zginie zdeptany i zduszony w tłoku. Aby konia utrzymać, rzucił szablę i chwycił oburącz za cugle. Skorzystał potem z mgnienia oka, puścił cugle i, chwyciwszy oburącz za siodło, skoczył. Koń

był wysoki, tak, że siodła okroczyć nie zdołał i zawisł. Lecz dźwignął się i wsiadł.

Teraz zwierzę ze swobodnemi cuglami łeb między nogi wsadziło, wierzgnęło, wspięło się i rzuciło w bok.

Wartałowicz wpadł na gromadę walczących. W szalonych susach olbrzymi koń, pomimo walki, sprawił wrażenie widma djabelskiego, zwłaszcza, że jeździec na nim od krwi z pod czaka był czerwony. Wartałowicz chwycił jedną ręką cugle i najszybciej, jak tylko zdołał, pasek od pałasza rozpinął; poczem pochwą odpiętą jął zadawać razy, podobne do uderzeń obucha.

— Pruska śmierć nie wzięła mnie — myślał.

Lecz pod naporem pancernych kirasjerów poczęły się łamać szeregi jazdy, wiedzionej przez Murata. Spychani cofali się na pierwotne pozycje, oprócz strat nic nie zyskawszy. Zrazu zwycięzcy, w końcu ponieśli klęskę.

Napoleon wściekłym wybuchem gniewu popowitał wiadomość o niefortunnym ataku Murata. Każdy żołnierz był mu teraz na wagę złota, każdy jeździec, wobec ogromnej pod tym względem przewagi skoalizowanych, na wagę podwójną. Krzyczał, wymyślał, kłął i tupał nogami. Potem uspokoił się i kazał sobie dać polewkę z wina z jajami.

Czekając na nią, w myślach pogrążony, wbrew swemu zwyczajowi nie po pokoju, w którym się znajdował, spacerować zaczął, ale przeszedł do sąsiedniego, stamtąd dalej i znalazł się w swojej sypialni.

Obok w pokoju, przeznaczonym dla pośledniego kamerdynera, drzwi były uchylone i na stole

świeciły się dwie świece. Zajrzał i list jakiś zobaczył koło świec.

Cofnął się.

Lecz ciekawość poczęła go nęcić.

Widocznie kamerdyner do kogoś pisał.

Znów zbliżył się ku drzwiom. Staął. Był coraz ciekawszy. Ciekawy, jak kobieta. Obejrzał się ostrożnie. Wszystkie drzwi dookoła były zamknięte, i nie słysząc było żadnego szmeru.

Wszedł.

Nadsłuchując i rzucając oczyma na lewo i prawo, począł się podkradać na palcach, jak złodziej — przystawał i słuchał — potem nagle przysunął się do stołu i szybko czytać począł:

Kochana Henrjetto!

Naprzód pozdrawiam cię, moja droga żono, a potem donoszę ci, że źle się z nami zaczyna. To błaznisko król Neapolu setki ludzi dziś przed chwilą wygubił. Jeżeli stary się nie wysadzi, to kto wie, co nam zrobią! Ale powszechnie sądzą, że on głupiec zaczyna. Dałby Pan Bóg, żeby się to już wszystko skończyło. Oczami jeszcze po swojemu przewraca, ale odkąd mu skórę w Rosji sprali, ani obcy, ani swoi już się tego nie tak boją. Mówię ci, jeżeli się teraz nie wysadzi, albo wojsko sztuki nie pokaże, może być hop! Ale cesarz już od trzech dni nie był, a jak nie chodzi, to go prze i wtedy jest do niczego. Właściwie żeby nie generałowie, a osobiwie, wojsko, to z niego już tak, jak nic. A dmie się to — cesarz! Właściwie wstyd nawet, choć to cesarz, u Bonapartego służyć, skoro się było gro-
omem u księżny Rohan. Nigdy tego zapomnieć

nie mogę. Człowiek do pańskich manier przyzwyczajony, do salonu, a ten tu tylko z obozu do obozu pomiędzy żołdactwo lata i człowieka ciągnie za sobą. Żeby on wiedział, co o nim mówią, jak go nazywają! Szara gnida albo coś na niebie, niby od tej gwiazdy, w którą wierzy, to między nami służbą zwyczajne mianowanie. Kiedy ja cię też zobaczę? Ale muszę iść, bo wołają. Pewnie się znowu temu tam omletu albo kurczęcia pieczonego zachciało! Zapomniał, kiedy rzodkiewka była dobra. Zaczekaj.

Tu list się kończył urwany. Kamerdyner poszedł zamówić polewkę.

Cesarz począł się cofać od stołu. Ostrożnie i powoli. Nadśłuchiwał. Usłyszał jakieś kroki. Wzdrygnął się i susem wpadł do sypialni, przytykając drzwi tak, jak były, za sobą.

Kamerdyner wchodził do sypialni z polewką.

Po co tu leżysz, kpie? — wrzasnął cesarz. —

Czekać tam, w kancelarji!

Kamerdyner zwrócił się.

— Stój!

Staął.

— Po coś tu szedł, co?!

— Myślałem —

— Nie na to jesteś, żebyś myślał, bałwani!

— Nie znalazłszy —

— Milcz! Co?! Ty śmiesz mnie odpowiadać? Ty? Mnie zuchwale do oczu?! Czekać! Marsz do dyżurnego oficera i zameldować się na cztery tygodnie o chlebie i wodzie! Nie! Precz ze służby! Ja cię nauczę! A ty łotrze!

Cesarz przypadł, porwał cukiernicę złoconą

z tacy i grzmotnął nią w lokaja, osypując go mialkim cukrem.

— Precz! W pole! Na! oczy mi się nie pokazywać! Ty mnie tu! Ah! Ah! Tegoby, brakowało!

Kamerdyner cofał się, nie wiedząc, czy ma tacę z polewką postawić, czy zabrać z sobą.

— Żonę masz?! — zapytał Napoleon.

— Mam, najjaśniejszy panie...

— To napisz jej, że cię cesarz własnoręcznie wyrzucił! Jeszcze tu?!

Kamerdyner postawił tacę na stole i zwrócił się do drzwi swego pokoju.

— Tyłem się do mnie obracasz?! — krzyknął cesarz. — Uchybiasz mi?! Rok twierdził! Pięć lat!

Zwabieni hałasem adjutanci zatrzymali się w sąsiednim pokoju.

— De Courcy! Tego draba pod straż! Najbliższym transportem do najbliższej twierdzy, jaka jest w naszych rękach! Pod sąd!!

Oficer skinął milcząco na lokaja. Ten prze-
rażony, z wybałuszonymi oczyma, postąpił ku niemu. Wyszli.

Cesarz w szalonym rozdrażnieniu zapomniał • polewce, przeszedł zirytowanym krokiem do gabinetu i zasiadł nad mapą. Oficerowie stali dookoła, on zaś szpilkami o główkach laku rozmaitego koloru operował, raz tu, raz tam je wbijając. Przeszło godzinę to trwało, bez jednego słowa. Potem powstał, ziewnął, przeciągnął się i rzekł:

— Spać mi się chce. Rustan! Kąpiel! Dobranoc, moi panowie!

Przestał pracować, ponieważ, mimo całego wysiłku woli, nie mógł sobą ovladnąć. Wyrażenia z listu lokaja skakały mu w głowie i zaślaniały oczy, jak śmierzące nietoperze. Daremnie przymuszał się nie myśleć o tem. Szpilki z kolorowemi główkami mieszały mu się i plątały, gdyż co chwila zapominał o nich, a czytał o sobie „ten“, „temu tam“, „szara gnida“ etc. Wszystko jednak, przezwiska, wymysły, treść listu mniej go irytowały, niż pogardliwy sposób wyrażenia się o nim: „ten“, „on“, „ten sam...“

Siedział w salonie milcząc i żuł gorycz, jakiej dawno nie doświadczył, gorycz, która zalewała mu mózg i truła go całego, paraliżując w nim każdą myśl inną. Nagle zaczął się śmiać, śmiać się tak szalenie, jak tego już oddawna nie czynił. Wszyscy przeciw niemu powstawali: car Aleksander, cesarz austriacki, król pruski, Anglja, Hiszpanja, Szwecja, trzy ćwierci Europy — — i ten lokaj, Andrzej Blanc, czy Truc. Ale ten śmiech nie był szczery, ani pomógł. Przygniatana irytacja cesarska dochodziła do zenitu. Większa jednak wściekłość ogarniała go na siebie samego, niż na owego Andrzeja Blanca, czy Truca. Być sobą, skradać się na palcach, czytać ukradkiem list lokajski — — i to wyczytać!...

Jakie to wszystko obrzydliwe! nikczemne!...

— Rustan! — zawołał nagle. — Idź do kapitana de Courcy i powiedz mu, że cesarz każe wolno puścić lokaja Andrzeja Blanc, czy Truc, i, ponieważ nagle traci służbę z powodu zuchwalstwa, wypłacić mu z kasy podręcznej trzymiesięczną pensję, nim sobie inną służbę wynajdzie. Nie śmie jednak szukać służby w Paryżu, ani

w obrębie sześćdziesięciu mil wokoło Paryża. Także u nikogo z oficerów, lub urzędników cesarskich prywatnych, lub publicznych.

Rustan wyszedł, cesarz zaś mruknął do siebie.

— Niech idzie do pani Staël albo do Chateaubrianda.

I strumieniem chlusnęły mu na czoło wszystkie napaści, paszkwile, anonimowe listy, wszystkie usiłowania ludzi wrogich, aby go opluć i pokąsać.

Czyż i orła wszy gryzą? — pomyślał. — Lecz przypuścić można, że orzeł prawdziwy niewiele sobie z tego robi. I ta jest właśnie różnica między nim, a mną...

Ileż to razy przyoblekał twarz w maskę boga marmurowego, i świat tę olimpijskość podziwiał, gdy właśnie nie chciał się zdradzić, że jakaś myśl boląca przemknęła mu przez głowę, że jakieś dotkliwie nadleciało wspomnienie... Koniec końcem jest się tylko człowiekiem...

Za dwa dni zaś wstanie dzień, który zdecyduje o nowej politycznej karcie Europy. Rozegra się dramat: kto będzie panem?

Nigdy jeszcze w dziejach świata nie zależało tyle kwestyj naraz od wyniku jednej bitwy.

Podług stawu grobla — tylko jego genjusz mógł do takiej bitwy doprowadzić.

Rozstrzygnie się tu kwestja przyszłości Prus, doli Austrii, niewoli Polski i stanowiska Francji — Anglja, Hiszpanja, Włochy, Holandja, Rosja — wszystko w grze — kwestja Napoleońska.

Dotąd zawiodło wszystko, na co liczył.

Okazało się, że za wielkie miał wyobrażenie o wartości słowa: „teść i zięć“ i wpływie związ-

ków rodzinnych; okazało się, że mądrze wyraził się ambasador de Narbonne, gdy rzekł: prawdziwą jest opinia, że Austria szuka korzyści przez małżeństwa, ale prawdziwszem jeszcze jest włoskie przysłowie: gdy burza minie, śmiej się ze świętego.

Okazało się, że chytrze podsuwana jeszcze z Paryża Franciszkowi II-mu idea, iż przymierze z mniej przeważającym potęgą, niż przed rokiem 1812-tym, Napoleonem, jest większą gwarancją solidnego sojuszu z Austrią — trafiła równie na chytry węch w Wiedniu.

Okazało się nakoniec, że ci, którzy się nazywali aljantami, byli nimi z musu i przy pierwszej sposobności stanęli przeciw.

Wszystko teraz zależy od wielkiej wygranej. A potem od tego, aby za cenę wszelkich ustępstw postawić Rosję przeciw Austrii i Prusom.

Podstępne błyski zaświeciły w oczach cesarza; zmartwychwstałym swoim po wiekach profilem stał się podobny do tych rzymskich cesarzy, którzy w jednej ręce dzierżyli zabójczy miecz, a w drugiej zabójczą truciznę. Usta jego przybrały wyraz okrucieństwa. Teraz głowa jego wolną była od zmory pełnego pogardy listu lokaja — widział w szalonej wyobraźni nowy Wagram i nową Jene — dwa ciała poranione i pod dwiema jego we wnętrznościach im grzęznąciami stopami — siebie zaś, ponad rzuconą pod stopy Aleksandra całą dawną Polskę, wyciągającego doń rękę z uśmiechem odnowionego efektu... Potem grom w Hiszpanję i dalsza walka handlowa z Anglią...

Bernadotte wygnany ze Szwecji. Pozzo di Borgo rozstrzelany. Metternich zaproszony na

bal dla rodziny Habsburskiej w Wiedniu... I znowu te słowa naokół: „jedni mówią, najjaśniejszy panie, że jesteś bogiem, drudzy, że jesteś djabeł, ale wszyscy zgadzają się na jedno: że jesteś więcej niż człowiekiem...”

* *

Zmęczony utarczką pod Wachau, rzucił się Poniatowski na polowe posłanie w kwaterze i ciemię na rękach, pod głowę założonych, wsparł. Zwolna uciszyło się dookoła, i powoli wódz oczy przymknął. Czy sen był zupełny, czy półmarzenie — zobaczył Poniatowski ogród duży, pełen szpalerów, alei, fontan, krzów, drzew fantastycznych i kwiatów, muzykę niewidzialną usłyszał, a niespodzianie ze szpalerów, alei, z poza fontan, krzów, kwiatów, drzew poczęły się wysuwać pary i tańczyć menueta. Ubrane były prześlicznie, modą francuską króla Ludwika XV-go, pełne gracji, urody, jasności i ciepła. Lecz wzrost ich nie był zwykły — nie mierzyły one więcej, niż pół ludzkiego wzrostu, tak, że niektóre kwiaty sięgały im do twarzy, a lilje, róże wybijały — nad głowy. Bawiło się oko wodza tym widokiem.

Niby był tam obecny, a niby nie był. Niby widziały go pary tańczące, a niby nie widziały.

Nagle ustawiły się przed nim półkolem, wysuwając się z tańca, i zaśpiewały:

Pójdź do nas, pójdź do nas, pójdź do nas,

W podziemie! w podziemie! w podziemie!

Jakoby grzmot przetoczył się po niebie, i pomiędzy menuetowe pary szabla kawaleryjska w pochwie z rzemieniami upadła. Bez żadnego brzęku, jakoby była cieniem, choć była prawdziwą.

Wzdrygnął się Poniatowski, patrzący na cichość tego upadku, i ocknął.

— Kicki, jesteś tam? — zapytał.

— Do rozkazu waszej książęcej mości — odpowiedział adjutant z sąsiedniej izby.

— Jest tam kto z tobą?

— Są oficerowie dyżurni.

— Kto?

— Jest major Aksamitowski, rotmistrz Zarembe, kapitan Krasiński, kapitan adjutant Blé-champ, który coś pisze, i kilku poruczników od szwoleżerów.

— To dobrze. Poproś tu do mnie Aksamitowskiego, Zarembę, Krasińskiego i każ dać karty i parę butelek wina.

— Zaraz.

Oficerowie weszli.

— Nie uwierzycie waćpanowie, zdrzemnąłem chwilę i jaki szczególny sen miałem — zaczął. — Jeszcze czuję się pod wrażeniami. Przed wyjazdem z Warszawy osobiwią i niewytłumaczoną dla mnie miałem wizytę tegoż dnia, kiedy był u mnie Schwarzenberg; z tej niewątpliwie wizyty sen mi się dziś urodził...

Opowiedział książę; zadumali się oficerowie.

— No, co waćpanowie na to? Nie prawdaż, że osobliwe widzenie?

— Trzebaby się jakiegoś znachora o znaczenie spytać — rzekł Kicki.

— Sen mara, Bóg wiara — rzekł Aksamitowski.

Zarembie myśl w przepaść upadła. Bo tak cicho, jak ta szabla kawaleryjska w pochwie z rze-

mieniami, ścięta była z nóg jego ukochana Teresa Mirska, na śniegach rosyjskich.

— Ja myślę — ozwał się po chwili kapitan Krasiński — że to znaczy zwycięstwo i złożenie szabli po zawarciu pokoju.

— Ba! — odpowiedział Poniatowski. — Dobrze! Ale pocóż mnie te kuse figury w podziemiu do siebie wołały?

Krasiński wzruszył ramionami i poruszył dłoń na znak niewiadomości.

— Wiecie, waćpanowie, co? — rzekł książę. — Ja myślę, że to może koniec nadchodzi.

— O na Boga! Czyj? — wykrzyknął prawie Kicki.

— Czyj? Nie twój, bo nie tobie się śniło, tylko mnie. No, ale wam powiem, że już i zmęczony porządnie jestem i jakoś mi się wszystko odmieniło. Do Rosji ciągnąłem z ochotą, myślałem, że mnie Napoleon usłucha i na Wołyń mnie pośle, rewolucję w prowincjach ruskich wywołać. Odkąd mi tego wzbronił, spełniałem mój obowiązek. No, ale mniejsza z tem! Raz kozie śmierć! Potasuj no asan karty, panie Kicki. Łupniemy wiścika. Szkoda, że Sanguszk i księcia Konstantego niema. Byłyby dwie partje z Bléchampem.

— O! Był książę Konstanty dobry gracz! — rzekł major Aksamitowski. — W Witebsku równe sto dukatów do niego nie wiem, czy więcej, niż w pół godziny, przegrałem.

— Ale chyba w djabełka, czy w baccarat?—

— Ale! W pikietę!

— Toście musieli modą Ksawerego Braniczkiego grać?

— Bez mała, mości książę.

— A to szelma! Nic mi nie mówił. Ale to mu się chyba raz tak udało. Wogóle kiepsko grał. No — wychodź, Kicki, nie marudź! I tak, czuję, lewą zagarniesz. Sanguszek, o, ten to lubił karcięta! Moo — paa-nie, moo — paa-nie, chlup go!! bij go w łeb! Moo — paa-nie, moo — paa-nie, a z kiermasza dobra nasza!... Moo — paa-nie, moo — paa-nie i w Sławucie *panie* buciel...

Oficerowie roześmieli się.

— Jakby się żywego księcia Eustachego słyszało! — zawołał Aksamitowski.

— Smakowity węgiel — zauważył Krasiński.

— Z wysokiej też piwnicy — odparł książę. — Przysłała mi go dwie beczki do Krakowa hrabina Erdoedy, moja kuzynka, przez Kińskich. Jaka pani, takie i wino. A to ma do siebie, że pić możesz, urzniesz się, a głowa na drugi dzień nie boli.

— Co nam też to jutro przyniesie? — ozwał się po chwili Krasiński. — Książę rozdaje.

Smutek owiał grających.

— Jutro? — rzekł po długim milczeniu przy rozdawaniu kart Poniatowski. — Dawniej mówiło się: Napoleon wie — ale teraz, to chyba wie jeden tylko Pan Bóg. Cesarz nadrabia miną, wmawia w siebie i w drugich pewność zwycięstwa, ale jest przygębiony, widać po nim. Byłby to cud, gdyby w półtorej setki tysięcy ludzi, z połową armat i konnicy, wygrał przeciw przeszło trzechkroć stutysiącom. Nie wiem, czy się tu nawet cesarski genjusz i cesarska fortuna nie załamie?

— A wtedy co? proszę mości księcia — spytał Zaremba.

— Wtedy mój rotmistrz, odwrót w porządku za Ren, ku Francji, to jest, co Napoleon powinien był dawno zrobić. Ewakuacja Niemiec, układ, aby załogi z Gdańska, z Torgau, z Moguncji et caetera, gdzie tam jeszcze stoją, z honorem i bronią wypuszczono i pokój lub też wojna dalsza, à outrance, pościg za Francuzami, ale wątpię, aby się na to koalicja ważyła.

— Dosyć im będzie chyba zamknąć Napoleona w granicach Francji — rzekł Kicki. — Jeżeli nota bene i to kiedykolwiek potrafią! Bo co do mnie, jestem pewny wygranej!

— Tak — odparł książę — Francja i Napoleon mogą jeszcze, nawet w razie klęski tutaj, wyjść cało. Nie przypuszczam też, żeby cesarz Franciszek, nawet w razie nieprzypuszczalnego pogromu, sam podniósł i zezwolił na podniesienie ręki na rodzoną córkę i rodzonego wnuka aż do katastrofy — ale kto zapłaci za wszystko to księstwo Warszawskie.

— Djabli wezmą? — spytał Aksamitowski.

— Albo już nie wzięli? Na kim się mełło, na nas się skrupi. Księstwa nikt już z ręki rosyjskiej nie wydrze, chyba się cud stał!

No więc polco my tu? Poco jeszcze tę krew polską przeewać?! — wybuchnął Kicki.

— To ty tego jeszcze nie wiesz? — odpowiedział poważnie książę Józef. — Bo tu walka przeciw tej krwi nieprzyjaciołom, bo mamy obowiązek względem Napoleona.

Kicki pochylił głowę.

— Dobrze — rzekł — ale jeżeli cesarz nie dla nas uczynić nie zechce?

— Nie może być! — odparł żywo Poniatowski. — Mogą zajść takie okoliczności, bo wszystko jest możliwem, że nic dla nas uczynić nie będzie mógł, ale żeby nie chciał?! Honoru nie pozwoli! Mało dziesięć razy mi powtarzał, że dopiero teraz nauczył się Polaków cenić i kochać, że dotąd miał ich tylko za tęgich żołnierzy, zwłaszcza kawalerzystów, ale teraz widzi, że to są ludzie pełni honoru i poświęcenia, warci lepszego losu, że nigdy o nich nie zapomni.— —

— Lecz, mości książę — odezwał się po francusku kapitan Bléchamp, który wszedł w tej chwili — mówił mi adjutant marszałka Augereau, że cesarz nie oświadczył mi wyraźnie, ale można się było domyśleć z tego, co mówił, iż gdyby mu się za cenę Księstwa Warszawskiego udało pozyskać cesarza Aleksandra, to by się nie wahał.

Poniatowski uniósł się, aż wstał z krzesła.

— To kłamstwo! — zawołał, rzucając karty na stół. — Księstwo już jest zajęte i Napoleon może go nie móc odzyskać, ale żeby miał nas za jakieś korzyści sprzedąć: nigdy! Marszałek Augereau, tak samo jak Lannes, pomimo, że się obaj bili pod nim znakomicie, zawsze był cesarzowi niechętny! Napoleon jest politykiem, musi nim być, ale jest człowiekiem honoru!

Usiadł. Oczy wszystkich oficerów patrzyły z wyrzutem na kapitana Bléchamp, lecz ten wręcz odpowiedział księciu:

— Wasza książęca wysokość, nie śmiem sądzić, o ile jednak dotąd moim prostym żołnierskim rozumem mogłem o cesarzu Napoleonie powziąć mniemanie, nad wszystko inne stawia on siebie i swoją własną osobę.

Poniatowski milczał chwilę, potem rzekł:

— Mój Bléchamp, wy Francuzi macie heroiczną odwagę, którą zawsze uwielbiałem, i cudowną inteligencję, którą podziwiam, ale z drugiej strony macie jakąś krytyczną suchość w myśli, która mnie zawsze raziła. Kto ma tak wielki mózg, jak Bonaparte, ten musi mieć także równie wielką duszę!

Bléchamp skłonił głowę; widać było po nim, że myśli inaczej, lecz odezwać się już nie śmie.

Księżę nie powrócił już do kart. Humor mu się popsuł i odprawił oficerów pod pretekstem, że idzie spać.

O tejże zaś samej porze w kwaterze w Reudnitz, Napoleon dyktując, biuletyn o bitwach dni ostatnich, z akcentem wsadzał weń frazes: „we wszystkich tych bitwach ks. Poniatowski okrył się chwałą“.

Jakaś wdzięczność, jakieś ludzkie uczucie przejęło wyniosłe serce cesarza. Zamyślił się. Jednak ci Polacy walczą pod jego orłami od lat ośmnastu, jednak ten księżę Poniatowski, synowiec królewski, od lat kilku służy mu z niewzruszoną wiernością i niewyrównanem męstwem... On to przybył do Paryża w 1813-ym roku z ostrzeżeniem przed przygotowaniami Rosji do wojny... On dobrze radził pod Smoleńskiem i gdyby był jego próśb, za które rozstrzelaniem zagroził, posłuchał, wynik kampanji w 1812 roku byłby inny, a zatem nie stałby teraz pod Lipskiem, niemal osaczony przez nieprzyjaciół... Księstwo Warszawskie nie było jako nagroda dla Polaków budowane, był to manewr polityczny przedewszystkiem, warta francuska postawiona w tyle Austrii,

w tyle Prus i w tyle Rosji. Księstwo to zresztą faktycznie przestało już istnieć i małe są szanse, aby zmartwychwstało ponownie.

Ci Polacy są pozbawieni wszystkiego. Jeżeli walczą jeszcze, to dla idei patriotycznej, z nienawiści, z żądzy sławy, z zamiłowania w boju, z przywiązania do osoby cesarza i dla wiary w niego. Jest to przytem żołnierz bitny i zdolny nawet do cudów na polu walki, czego dał dowód pod Somo-Sierra, pod Smoleńskiem i tylekroć razy, gdzie się zdarzyło. Kto wie, może potrzeba będzie jutro, czy pojutrze podobnego tamtym wysiłku, męstwa i ofiary?... Może od takiego cudu heroizmu garści utanów, zależeć będzie jutro wygrana — — może — — może — — może ocalenie nawet...

Tak jest!

Józef książę Poniatowski, naczelny wódz jeńderalny VIII korpusu, rangą zrównany już z marszałkami Francji, podniesiony zostanie do godności marszałka Francji...

Poniatowski spał. Lecz nagle ocknął się. W pokoju palił się nieopodał ponad głową kioek w oliwie, aby w każdej chwili można było spojrzeć na zegarek, mając światło pod ręką. Poniatowski ocknął się z wrażeniem, że ktoś jest w pokoju. Dreszcz go przeszedł. Przez pokój przepływał cień czarny, jakoby ulatał już na dwór ku oknu.

Więc był w pokoju!

Cień nieokreślonej postaci, powiew, ale widoczny; jakoby sztandar zwisły, czarny, z włókien czarnego wiatru utkany.

Był w pokoju! Tuż! Nad łóżkiem!

Poniatowski oprzytomniał i odpadł go lęk. Ale przystąpiła ku niemu pewność prędkiej śmierci. Z nieodpartą, sianowczą mocą. Tak silnie i nieodwołalnie, że przestała być czemkolwiek straszmem. Księżę przeżegnał się i leżąc półgłosem mówić począł:

— Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą... módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

Dosłyszał ten szept adjutant Kicki z drugiego pokoju.

— Czy księżę co mówi? — zapytał.

Lecz Poniatowski nie odpowiedział mu. Zaniepokojony więc Kicki wstał z tapczanu, płaszcz zarzucił na siebie i wszedł do pokoju księcia.

Przy świetle knotka w oliwie ujrzał księcia, wznak w łóżku leżącego, z palcami modlitewnie zetkniętymi pod brodą i twarzą białą zupełnie.

Zląkł się i poskoczył naprzód.

Poniatowski zwrócił nań żrenice zupełnie jakby już z poza tego świata.

— Mości księżę! — krzyknął Kicki w przerażeniu.

— A co? — zapytał Poniatowski głosem stłumionego dźwięku, jakby wewnętrznym.

— Zdawało mi się, że wasza księżęca mość mówi głośno?

— Modliłem się. Idź spać. Jeszcze ciemno.

Kicki zmartwił się i rozrzewnił.

— Mości księżę, pozwól mi tu zostać przy sobie... Przeczucia księcia niepokoją, spać nie dają...

— To nie przeczucia, mój mości, to pewność. Idź spać.

— Bądźcie pewni: gdy przyjdzie moment, umrę, jak przystoi.

He, wiesz—mówił, opierając się na łokciu—taką mam odwagę śmierci, jak nigdy. Polsce, temu nieszczęśliwemu narodowi, daje Pan Bóg od czasu do czasu piękną śmierć hetmańską— a przecie może kiedy da jej i Winkelrieda, dawszy hojnie Hektorów... Idź spać.

Kicki w poszanowaniu cofnął się z pokoju.

Ale spać już nie mógł. O świcie, gdy księcia słyszeć było, że śpi twardo, a inni oficerowie się pobudzili i przeciągali na posłaniach polowych, odezwał się półgłosem.

— Książę mi dziś w nocy o śmierci gadał. Twarz miał tak białą, jak kreda. Gdyby on zginął, nie zastąpi go ani Dąbrowski, ani Sokolnicki, ani generał Krasiński, ani książę Sułkowski, bo żaden ani tej sławy, ani tego znaczenia, ani tej tradycji wojennej, ani, co przedewszystkiem, tej miłości żołnierza i tego uroku osobistego nie ma.

Zaremba zaś powiedział:

— Życie niektórych narodów jest podobne do życia niektórych ludzi: nic im nie ma być oszczędzone. Więc jeżeli nic nie ma być oszczędzone Polsce, to książę Józef, ten jedyny jej człowiek, z którym się monarchowie liczą i na którego narody patrzą, przedwcześnie zginie.

Lecz major Aksamitowski siepnął się żywo, wyskakując z pod płaszcza:

— Cichobyście, aspanowie, byli! Kruki! Nikt nie wie, co komu pisało!

Zamilkli, aż po chwili odezwał się Blechamp:

— A, już gdyby wasz książę zginąć miał pod Lipskiem, ani jeden z oficerów polskich szta-

bowych chybaby go przeżyć nie powinien, ani nie mógł. Z piersi mur mu zrobimy! Obcy jestem Francuz, pojęcie honoru u Francuzów przecie się narodziło, a kiedy jestem w pobliżu Poniatowskiego, to takie mam uczucie, jakby ktoś do lampy mego honoru kubek pachnącej oliwy dołał. Przy tym człowieku ja sam stoję się większym rycerzem. Od niego poprostu jakaś zaraza rycerskości wionie! To Bayard polski!

— Polegaj na nim, jakby na Zawiszy — rzekł dumnie Zaremba.

*

*

*

Odkąd Poniatowski czuwać mu nad swoim czakiem polecił, chodził niemy Michał Wartałowicz jak we śnie. Zamyślony był tak, że słowa komendy jakby przez mgłę słyszał, a gdy nikt nie widział, scyzoryk wodza do ust podnosił i całował.

Dziwna też uroczystość spłynęła na niego — powierzono mu oto straż nad sercem Polski. Niby na monstrancję narodu, na czako wysokie wodza naczelnego patrzył, i sam nawet czarny trójgraniasty kapelusz cesarza niźli mu przytem z oczu. Gdy się dowiedział, że cesarz marszałkiem Francji księcia mianował, przykrość uczuł. Polski, tylko Polski winien być księżem Józef Poniatowski.

I słyszał Wartałowicz, co w wojsku mówiono. Duma mieszała się tam z goryczą. Za stracone Księstwo Warszawskie, za nieodbudowaną ojczyznę, mimo takiej masy polskiej krwi na francu-

skiem kole młyńskim, nagradza Napoleon?... Wyższy to ma być zaszczyt niż naczelne polskiego korpusu dowództwo?... Kogo cesarz i z kim chce zrównać?

Poniatowskiego, który głową wszystkich marszałków w cnocie żołnierskiej przewyższa, z tymi marszałkami?... Prawda, że większego honoru ani wódz jej, ani armja polska osiągnąć nie mogła, ale byłoby się obejść mogło — — książę Józef Poniatowski: to najwyższy tytuł... I sami marszałkowie podobnie czują, skoro Macdonald oświadczył pomiędzy kolegami: „podziękujmy cesarzowi, że nas takim, jak Poniatowski, zaszczycił kolegą...”

Nie mógł Napoleon więcej się księciu wywdzięczyc, ale bez dokumentu tej wdzięczności książę był, czem był...

Zaremba patrzył na Poniatowskiego i widział dziwny cień, leżący, jakby barwa skały odbitej ledwo widoczna na jeziorze, na jego twarzy i oczach. Ów sztandar czarny, który w nocy podług opowiadania księcia przez pokój mu przepłynął, przepłynął także przez twarz i oczy księcia.

Widział też Zaremba cesarza. Postawę miał dumną, a lice posępne. Snadź sam się czuł naprzeciw równych sobie. Ta samotność i walka monarsza dawała mu jakąś osobliwą godność i wyniosłość.

Wojsko cesarskie ponure było, jak dni jesienne, chmurne, szare i wilgotne, które nastaly. Wszędzie zastanawiano się, że cesarz nie wydał zwykłej proklamacji przed bitwą, że nie kazał wziąć paradnych mundurów, że milczący i po-

sępny odbywał rekonesans, a nawet gdy rozdawał orły na lewem skrzydle młodemu pułkowi korpusu marszałka Augereau, które pierwszy raz widział, gdy rozentuzjasmowani rekruci rzucali czapki w górę, krzyczeli: „vive l'empereur!” i przysięgali mur pierwej paść koło tych orłów, niż go opuścić—na wąskie wargi cesarza wykwiłało tylko złudzenie uśmiechu.

Jakaś też ciężkość, jakaś ociężałość cechowała jego ruchy i jego słowa. Cesarz nie chciał tej bitwy, musiał ją tylko stoczyć, widocznie.

Wszystko, co wyteżone było, aby tej bitwy uniknąć, aby pojedyncze armje skoalizowanych pobić, nim się zgromadzą, nie udało się — — przed cesarzem stał dzień, jakiemu nawet podobnego nie znał i nie doświadczał w życiu.

Trzy potężne, nad wszelki wyraz złowrogie strzały armatnie przedarły milczenie mgieł rannych 16 października pod Wachau. To Schwarzenberg głosił atak, to Napoleon spóźnił się z rozkazami komendy.

Właśnie Antek Jamrozikowski popręg pod siodłem dopiął i prześlicznie nucił przytem pod nosem:

Schwarzenberg mi robi trumnę,
Schwarzenberg mi robi trumnę!
A ja jemu umrę,
Schwarzenberg mi robi trumnę...

Fryderyk mi grób muruje,
Fryderyk mi grób muruje!
Niech mnie pocałuje,
Fryderyk mi grób muruje... — —

na osobiście mu tylko znaną andrusowską nutę, gdy owe trzy armaty zahuczały.

— O hop! — wrzasnął Antek, przerywając poemat i wskazując czempredzej na konia.

Cesarz Napoleon się spóźnił z rozkazami komendy. Pod ulewą granatów jazda jego na konie wsiadała.

— Czy zauważyłeś, kolego? — szepnął szef szwadronu Mielecki do Zaremby.

Zaremba kiwnął posępnie głową. Nie było zresztą komu już odpowiedzieć, gdyż Mielecki z urwaną szczeką zwałił się z siodła, na które wsiadł przed momentem.

Wszczęła się walka wściekła.

Cesarz wiedział, o co mu chodzi. Party przez cara Aleksandra, Schwarzenberg nie czekał przybycia Benningsena. Jeszcze skoalizowanych było na polu mniej, jeszcze było więcej szans zwycięstwa.

Męstwo Poniatowskiego zdawało się być wytrwalsze jeszcze, niż uprzednio kiedykolwiek. Starcia jazdy, od których serca zapierały się w jeźdźcach i koniach, trwały do nocy.

Wartałowicz dowiedział się, że księżę odebrał postrzał w prawą rękę. Zadrżał. Nie widział tego blisko. Walczył on i przewracał pod Grobern kirasjerów Lewaszowa, potem zaraz opierał się kirasjerom Nostitza. Nie ustąpił. Nie ustępował piędzi ziemi ani on, ani wódz naczelny, ani nikt z polskich żołnierzy.

Wtem austriacki generał Meerfeldt zaplątał się w tłumulcie.

— Łap! — wrzasnął srogowasy w boju wachmistrz Dybul.

Wartałowicz rzucił lancę na ziemię i żelazną łapą chwycił cugle przy karku konia jenerała. Na wachmistrza Dybula wpadł huzar austriacki. Wartałowicz puścił cugle i obłąpił z konia jenerała za ramiona, aby się bronić nie mógł, a huzara, który od lewej ręki na Dybula parł, kopnął butem lewym i strzemieniem niżej kolana, że tamtemu snadź kość pękła, bo zawył i na grzywę twarzą upadł.

— Ma się rozumieć!—krzyknął oswobodzony wachmistrz.—Do obozu!

I schwyciwszy z przepędu za przegub ręki jenerała, szpadę mu wyrwał, i obaj z Wartałowiczem z cenną zdobyczą cofali się z pośród walczących.

Cesarz napróżno wyteżał siły. Marszałek Ney powiódł źle powierzone mu dywizje przeciw Blücherowi i Bernadottemu nad Parthą, gdzie walczył pod nim Dąbrowski. Napoleonowi, gdy się dowiedział o tem, przeszła przez głowę nieuchwytna, a jednak dostrzegalna myśl: nóż zarzewiały może źle ukroić, a rękę krającego zakazić.

Widział wczesną jesienną noc nadchodzącą, a nie widział zwycięstwa. I nie doczekał się. Noc położyła kres walce.

Ze zdławioną pierśią ustąpił przed nią z placu.

Sześciokrotnie 130,000 Schwarzenberga rzucały się na pozycje francuskie, zdobywały je sześciokrotnie i sześciokrotnie traciły. Nie cofnął się, odparł ataki, zadał wrogowi większe straty, lecz nie pokonał.

Gdyby był miał 30,000 ludzi Moutona i Gouvion-Saint-Cyr'a, pozostawionych w Dreźnie...

Wydał rozkaz, aby namioty cesarskie ustawiono na noc pod Probstheyde.

Tam zameldowano mu o wzięciu do niewoli generała austriackiego hrabiego Meerfeldta. Kazał przyprowadzić go natychmiast.

Odwołano Meerfeldta od kolacji polowej, którą jadł ze sztabem jeneralnym francuskim, grzecznie i gościnnie podejmowany, i zawiedziono do cesarza, oddawszy mu z rozkazu cesarskiego szpadę.

Cesarz siedział na niskim stolku nad kupką węgla i drzewek płonących, nad którymi ręce przygrzewał, gdy Meerfeldt zobaczył go przed sobą.

Napoleon powitał go i utkwiał w jego oczach długie, głębokie spojrzenie.

— Znamy się — rzekł.

Meerfeldt milczał wyprostowany.

— Szesnaście lat temu przysłano pana z prośbą o zawieszenie broni, podpisane w Leoben.

— Tak jest, sire.

— Pan zawiózł do Wiednia traktat pokoju w Campo Formio.

— Tak jest, sire.

— Pan w nocy po Austerlitz przybył do mnie od cesarza Franciszka z propozycjami pokoju.

— Jednem słowem znamy się.

Pana widocznie przeznaczyła opatrzność do odgrywania roli w dziejach Bonapartego. Ona to kazała szwoleżerom czy lansjerom polskim pojmać pana do niewoli. Widocznie.

Oddano panu szpadę?

— Tak jest, sire.

— Wszakże mogli pojmać każdego innego generała. Pana przeznaczeniem jest być posłem między monarchami.

Pan wie, jaki jest wynik walki?

— Wiem, sire.

— Krew, mord, trupy i nic. Aspern, Luetzen, Bautzen. Pan wie, że po Aspern był Wagram, po Bautzen Drezno.

— Wiem, sire.

Cesarz chwiał się wewnątrz. W 100,000, którymi osobiście dowodził, nie pobił 130,000 którymi osobiście dowodził Schwarzenberg; Ney nie zatrzymał nadeszłych od Berlina Bluechera i Bernadotte'a. Niepokój go ogarnął, gdy jechał z pola. Dlatego wezwał Meerfeldta.

— Jenerale — zapytał po chwili — czy jesteś żonaty?

— Tak, sire.

— Twój teść żyje?

— Tak, sire.

— Czy wyświadczyłeś mu kiedy jaką przysługę, za którą winien ci wdzięczność?

Podpisałem mu weksel na dwadzieścia tysięcy talarów, sire.

— Ja zaś darowałem trzy razy tron Franciszkowi Drugiemu, jenerale.

Czy winien mi wdzięczność?

Meerfeldt nie odpowiedział. Ale Napoleon nie czekał już odpowiedzi.

Począł mówić z goryczą i skargą w głosie:

— Cesarz Franciszek postąpił w stosunku do mnie fatalnie. Okazał się niewdzięcznym człowiekiem, złym aljantem, zdraдлиwym przyjacielem, a przede wszystkim złym teściem. Doprowadził

do takiego dnia, jak dzisiaj. Przecież to okropne. Walczono zacieklej prawie, niż pod Borodinem. W interesie ludzkości, w interesie świata leży, abyśmy się porozumieli. Kto wie, co może przynieść jutro i co się jutro może wydarzyć?

Nasz aljans polityczny jest rozbity, prawda; ale między pańskim monarchą i mną istnieje inny jeszcze aljans, a ten jest nierozzerwalny. Do niego się odwołuję.

Nigdy nie wątpiłem o ludzkich uczuciach cesarza Franciszka. Do nich się odnoszę. Jedź pan do niego i oświadczyć mu pan, co poleciłem mu oświadczyć przez Bubnę.

Cofnę się za Ren. Będę marzył o szczęściu Francji, jak marzyłem o jej sławie. Chcę żyć w pokoju. Hehe, Austria chce włożyć kaganiec lwu i nie uważa, że to dosyć, że obetnie grzywę i wyrwie pazury? Co?

A potem — — to jeszcze nie wszystko. Jest jeszcze jedno. Austria, zyskując kosztem Francji, nie zyskuje, ale traci. Zastanów się, hrabio Meerfeldt. Nie za dużo jest ani Austrii, ani Francji, ani Prus razem, aby nad Wisłą powstrzymać wylew napółkoczowniczego ludu, którego olbrzymie państwo rozciąga się od nas aż do Chin...

Rozumiesz pan?

Ale to jest, choć może jeszcze więcej ważne, dalsze. Teraz to, co najbliższe. Odstąpię Polskę, oddam Illyrję, zrzeknę się protektoratu nad Konfederacją Reńską, wycofam wojsko z Hiszpanji, Holandji, Miast Hanzeatyckich i zawrę pokój morski, obejmujący Anglię. Oddzielę od cesarstwa królestwo włoskie, byle pozostało samoistnem państwem. Na takiej podstawie proponuję

zawieszenie broni, a za cenę tego zawieszenia ofiaruję się ewakuować bezzwłocznie Niemcy i cofnę się za Ren.

W ciszy nocnej, nad przygasłemi węglkami, w fałdach namiotu, wysilone słowa Napoleona słyhać było jak stukot łamigłówek, a pot wystąpił mu na czoło. Siedział na niskim stołku i patrzył na Meerfeldta, ah! jak czując się niepodobnym do imperatora świata!...

Meerfeldt milczał.

Cesarz równie milcząc wstał i podał mu rękę na pożegnanie. Był tak oszołomiony tem, co sam mówił i w jakich warunkach, że ręką czegoś szukał niby koło siebie, chustki, tabakierki, czy zegarka. Obecnym adjutantom kazał odprowadzić obarczonego misją jënerała z honorami do najdalejszych placówek.

— Phi — szepnął jeden z arystokratycznych cesarskich adjutantów — Napoleon ofiarowuje, co tak czy tak będzie musiał oddać. Tu l'as voulu Georges Dandin.

* * *

Napoleon był przyciśnięty do Lipska. Gdyby był dwa dni wcześniej wydał bitwę, gdyby się był dwa dni w Dreźnie namyślał, byłby był zapobiegł niepomysłnej kawaleryjskiej utarczce Murata 14-go października i nie byłby stracił kilku mil okolicy koło miasta. Ale na wojnie nie odzyskuje się czasu. Nadciągały dalsze korpusy koalicyjne i zamykano go w żelazny pierścień, zagrażając nawet odwrotowi ku Francji.

Napoleon powinien był po bitwie pod Wachau korzystać z wolnej jeszcze drogi i cofnąć się.

Cofnąć się...

W ciężkiej zadumie myśl po myśli przesuwiał przez swą olbrzymią głowę i nie decydował się. Nietylko nie decydował się, ale nawet nie pamiętał, że niegdyś czynił to, energicznie i ryzykownie.

Jenerałowie czekali, dziwili się i niecierpili. Ale żaden rozkaz z kwatery cesarskiej w Stoetteritz nie wychodził. Ani odwrotu; ani uwolnienia Lipska od niezmiernych fur bagażu wszelkiego gatunku, które czy w obronie, czy w odwrócie stanowić będą potworną przeszkodę; ani budowy mostów na rzekach, które armja miała za sobą. Nic. Co cesarz miał na myśli? Czy dwunastu tysiącami Sasów Regniera i dwiema dywizjami trzeciego korpusu, które nie walczyły dotąd, miał nadzieję opierać się całym armjom koalicyjnym, 130,000 ludzi, które naciągały pod Bennigsenem, Bernardottem i Colloredem na miejsce bitwy pod Lipsk?

Ani rady marszałków zaatakowania ze swej strony Schwarzenberga, zanim tamci nadciągną, nie przyjął. Ograniczył się do zorganizowania korpusów, które najwięcej ucierpiały w boju, i skompletowania zużytej amunicji.

Chmurny i posępny zdawał się on, dawny władca losu, składać w jego ręce wagę czynów. Fatalizm jakiś spadł na jego duszę, jak sierpniowy śnieg w wysokich górach na zieloną jeszcze spada polanę.

Widział to Poniatowski. Ale ta zagadka cesarska w umyśle jego krwawe przybrała kontury. Zwycięstwo byłoby cudem — — odwrót

może być klęską — — ostatnią strażą, arjergarda arjergardy będą Polacy, będzie on...

Tak było zawsze.

Napoleon sam osobiście przybył na prawe skrzydło i sam osobiście, przy biciu w bębny i szeregach ustawionych w paradzie, wręczył mu buławę marszałka Cesarstwa — — ale tak czyniąc, jakoby mu był powiedział: w tym znaku umrzesz...

Jeżeli Napoleon w tej strasznej wojnie miał jakąś myśl ustawiczną, to nie stracić sympatji Francji. U krawędzi postawił ją kampanją rosyjską, ale bił w to, że dziesiątą prawie tylko część zgubionych stanowili Francuzi. Dziś armja jego — to, poza dwunastu tysiącami Sasów, poza poszczerbionemi już ogromnie kilkunastu tysiącami Polaków — kwiat i młode pędy Francji. Brak decyzji, brak stanowczej wytycznej działania, brak przygotowania ewentualnego odwrotu — zastąpią Polacy.

Krwawą kąpiel nam cesarz gotuje...

Widział to Poniatowski, rozumiał, czuł, lecz milczał. Nie chciał ducha odejmować wojsku. Dopiero gdy stary zaufany Aksamitowski, przeliczając pieniądze, ozwał się: mości książę, nie wiem, jak to będzie? Hojność waszej książęcej mości jest większa, niż zapasy kasowe — — machnął ręką i rzekł:

— Mniejsza o to! Może i tego za wiele.

Kazał podać koło południa śniadanie w namiocie i zaprosił doń Zarembe. Polubił tego żołnierza o żałobnej twarzy i nieugiętem męstwie.

— Panie Zarembo — ozwał się, przepiwszy do jenerała Kwaśniewskiego wódką — waćpan

wyglądasz tak, jakbyś poezję pisywał. Nie pisujesz?

— Nie, mości książę.

— I ja nie. Ale gdy poginiemy, niewątpliwie ksiądz dziekan Woronicz elegję o nas skomponuje.

— Kwaśno tu i będzie — rzekł jenerał Kwaśniewski.

— Nic dziwnego, gdzie waszmość pan się znajdujesz, jenerale.

— Oj i kwaśno i słono! — ozwał się Kicki.

Cesarz czy śpi, czy ki djabeł — nikt nie wie właściwie, co ma robić i czego się spodziewać?

— Będziemy walczyli — rzekł Zaremba.

Po jego słowach zapadło chwilowe milczenie, które książę przerwał.

— To wiemy wszyscy — — będziemy walczyli...

Nie będziemy się obawiali umrzeć. Ale to nie dosyć — — trzeba umieć umrzeć. Czy uważacie panowie, że jest to jedna z części sztuki i nauki wojskowej? Żołnierz nie tylko nie powinien się lękać śmierci — — on także powinien umieć umierać. Najpiękniej w Polsce umarł Żółkiewski; równie pięknie byłby umarł Zawisza, gdyby był nie umarł, broniąc odwrotu obcego cesarza. Ah, prawda!...

Książę urwał.

— Lecz i tam wówczas Bóg mu powierzył honor Polaków — rzekł po chwili.

Mości panowie! Przychodzi mi coś do myśli. Jak tu jesteśmy, koło rycerskie, powstańmy: na-

łać pełne szklenice! Mości panowie: na cześć pamięci śmierci Zawiszy Czarnego!

W milczeniu stojąc wypito. Zdała dochodził odgłos armat, walczących pod Euteritz kawalerzystów Marmonta z kozakami i huzarami Wasylczykowa z korpusu Sackena armji śląskiej Bluechera.

Usiedli milcząc.

Nikt nie śmiał się odezwać. Czuli, że duch księcia błakał się ponad nimi i poza nimi daleko... Oczy jego, wniesione w górę, pełne były marzenia i zadumy — aż uśmiechnęły się, a potem uśmiechnęła się twarz cudownie uroczym uśmiechem.

Książę zdawał się ulecieć myślą gdzieś precz od pola bitwy, w jakiś inny świat...

Lecz ozwał się:

— Przypomniał mi się taki dwór, gdzie, ciągnąc do cesarza pod Smoleńsk, wstąpiłem na kawę. Stary dziad tam zawołał: dzieci, wnuki, to wódz z pod Raszyna! — a taki mały, może pięcioletni chłopczyk, ukląkł i w but mię pocałował, wołając: książę Józef Poniatowski!... Tam taka dziewczynka, może lat ośmiu czy dziewięciu, kwiatów mi z ogrodu przyniosła i na serwecie położyła z dygiem, wyuczonym przez bonę Francuzkę, a niewiele co od niej starszy braciszek pałasza mego w kącie mi pilnował.. To bardzo było miłe i ładne. Nie wiem, czy się kiedy jeszcze co podobnego powtórzy?... Dziw, jak mi się teraz całe życie przez myśl przesuwają — jakgdybym tonął, bo to podobno wtedy tak się dzieje... No, ale co tam! Nieżołnierskie rzeczy.

Na bok wszelkie poruszenia — vivat wino i pieczenia! Proszę waszmościów — żwawo!

— A że to czas krótki,
po kieliszku wódki — rzekł Kwaśniewski.

— A to rosyjski zwyczaj — jedzenie wódką przepłukiwać — ozwał się Aksamitowski.

— Panie marszałku — zaczął Kicki.

— A to co?! — zawołał książę. — Czy nie wiesz, że wymówiłem sobie u cesarza mundur i tytuł dotychczasowy? Ani mi się waży tak mię tytułować! Ale patrzcie no! Adjutant cesarski.

W istocie zbliżał się pędem oficer francuski.

Przywiózł on rozkaz. Poniatowski przeczytał i oświadczył:

— Cesarz ściąga się bliżej Lipska i bliżej lewego skrzydła armji, aby nie zostawić luki między gros armji a niem. Ja z całym moim korpusem i czwartą częścią kawalerji mam prawe moje skrzydło oprzeć o Connewitz, lewe rozciągnąć do Probstheydy. Panowie! do rzeczy!

Otarł usta, zapalił lulkę i kazał sobie konia podawać.

Około ósmej wieczorem zameldowano cesarzowi ogólny ruch skoalizowanych naprzód i przygotowania ich do ataku.

...Jutro...

Jutro, jak czarny ptak gigantyczny, rozpostarło skrzydła nad Lipskiem...

Wartałowicz brusił szablę, pociągając ją po wyprężonym rzemieniu. Wydawała mu się za mało ostra, stępiona na pancerzach kirasjerskich. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale czuł dzień wielki swego życia przed sobą.

— Jutro, ma się rozumieć, chłopcy: święto! Nigdy jeszcze cesarz tak nas nie potrzebował!

Jutro, ma się rozumieć, tych psu-bratów musimy rozpedzić na cztery wiatry! Wartałowicz, nie poszkapisz się? — mówił wachmistrz Dybul do swoich.

Wartałowicz się uśmiechnął i skinął głową.

— W tobie honor szwadronu, ma się rozumieć! A ty, Antek, złodzieju warszawski?

Antek Jamrozikowski spojrzał na Dybula i odpowiedział powoli, buły sobie pucując:

— Pytała się krowa cielęcia, czy syn, albo córka jego matki są w powinowactwie z jej potomstwem i kto jest matką jego samego?

Wachmistrz Dybul zastanowił się; widział, że Antek kpi, ale nie zrozumiał co gada. Ograniczył się do rozkazu.

— Stul pysk! Mordo grubijańska! Żeby, ma się rozumieć, nie jutrzejsza bitwa, to jabym ci tu cielę i jego matkę przedstawił! Jak nie zginiesz, to ja ci tu powiem o krowie i o cielęciu! Widzisz go! Nie śmiać się! mordy w dyby, psie juchyl!

Samotną noc spędzał Poniatowski. W mundur ubrany leżał na łóżku polowem z wieczora, nie chcąc towarzystwa. Mówił, że chce się wyśpać. Ale nie spał.

Doznawał on szczególnego uczucia, podobnego niby do uczucia, jakiego doznawał, będąc młodym chłopczykiem, przed pierwszą komunją. Gotował się do przyjęcia sakramentu śmierci, którą widział przed sobą od paru dni niemal że nieuchronną. Życie zaś przesuwalo mu przed oczyma duszy obrazy, dalszy ciąg obrazów wstecz.

I pojął, czego nie uświadomił sobie dotąd, że było dwóch Poniatowskich, na końcu wolności i na początku niewoli Rzeczypospolitej; dwóch Poniatowskich, stryj król, którego imię i pamięć przeklinano — — i on...

Więc jakoby wagi unosiły się nad ziemią polską i jej narodem. Na jednej wadze imię Stanisława Augusta Poniatowskiego; na drugiej wadze imię Józefa Poniatowskiego. Widział to wyraźnie.

Znał on duszę króla. Król był dobry i chciał dobrze — słaby był i niezdolny udźwignąć, on, najśłabszy z królów polskich, najcięższych w wiekach Polski godzin. Nie sprostął zadaniu — nie za złą wolę i złe czyny, ale za brak sił i ducha rzucano na niego anatemę. I imię Poniatowskich stało się głośnie — pod klątwą. Nie było w domach królów takiego drugiego imienia. Domy trwały. Wydawały panów czczonych i panów przeklętych. Tu — jeden tylko był człowiek dotąd, jeden król, i obmierzłej narodowi pamięci.

Co za tem — któż? Dziad kasztelan krakowski, niby twórca idei Familji, raczej awanturniczy kondotjer, służący na przemiany Karolowi szwedzkiemu, Sasom i Leszczyńskiemu; ojciec Andrzej — generał austriacki i nic więcej: prymas — niegodny pamięci — — dwóch było tylko Poniatowskich: król i on...

Waga z nazwiskami unosiła się nad ziemią polską.

Na jednej leżała strzaskana korona — — na drugą —

wydało się księciu, że powstaje na nogi i, jak kamień ciężki, rzuca życie swoje — — —
waga zakołysała się — —
o szczęście!

ciężar jej przewyższył ciężar strzaskanej korony
Stanisława Augusta — —

imię Józefa Poniatowskiego przyciągnęła ziemia
polska bliżej siebie — —

opadło na tę ziemię i legło na niej — — —
wtem ręka jakaś zimna dotknęła piersi, dotknęła
serca księcia...

Przecucie śmierci, które go nawiedziło przed
paru dniami, stało się jeszcze pewniejszym, wy-
rażnem, jak jawa.

Księżę był zrezygnowany i gotowy.

Myśl jego biegła teraz kołem, żegnając ży-
cie. I zasnął.

Aliści trudem wojennym, gorączką boju, nie-
wywczasem, a i od ran rozogniona wyobraźnia
jego, nasyłała mu w tej porze sny, które były
mu towarzyszami ustawicznymi.

Ujrzał księżę rzecz dziwną.

Oto, jak oczyma daleko sięgnąć, była ziemia
zasłana martwymi ciałami.

W białych całunach leżały zwłoki różnej
płci i wieku — — jak okiem sięgnąć.

Kraj śmierci.

Zmartwiał on na ten widok.

Za głowę się chwycił i chciał uciekać.

Wtem z oddali, gdzieś z niesłychanej
odległości zobaczył pochód idący.

W pośrodku kraju śmierci, jak to snem,
otwarła się droga szeroka, zielona i wkroczył na

nią tłum dzieci lat różnych, chłopców większych i mniejszych.

Mieli oni na sobie wszyscy zbroje złote, pancerze, hełmy z otwartymi przyłbicami, nogi, w złote blachy okute. Przy boku miecze złote i złote korony na głowach.

Tłum złotych królewiczów.

Rósł on i rósł. Ciągnął i ciągnął skądś z odległości i ciągnął ku niemu. Przebóg!

Cóż nieśli?!

Oto ci, co na przodzie szli, na zdobytych mieczach błyszczących, ze sobą skrzyżowanych, na rusztowaniu z mieczów stalowych, nieśli jego burkę wojenną, a na burce jego szablę ułańską i czako.

Dziecko o jasnych włosach, niebieskich oczach i cudnie pięknej twarzy miecz środkowy, podstawny, centr rusztowania, w ślicznej ręce rycerskiej, w palcach żelaznie mocnych trzymało.

Przez kraj śmierci szedł ten huf złoty, ogromny.

Taka radość, taki szal szczęścia porwał księcia, że rzucił się naprzód — — i oto gna na koniu, lecz w obłokach, jakby cień, cień jeźdźca — gna przez huf złotych królewiat, cień szabli z pochwy dobywa i woła komendą: naprzód! za mną! marsz! marsz!...

Aksamitowski i Kicki pod ręce go trzymali.

— Mości książę! — rzecze Aksamitowski. — Przeraziłeś nas! Porwałeś się z łóżka na nogi z komendą do ataku!

— Sen miałem — odpowiedział Poniatowski, jeszcze w widzeniu pogrążony — ustawnie mnie

teraz sny nawiedzają... sny dziwne... Dajcie wody szklanę.

Podano.

— Ah, zaiste — mówił — gdybym wiedział, że się po śmierci śni tak pięknie... Nie żal by było umierać... Konia! Pojedziemy posterunki •patrzeć.

Przypasał pałasz odpięty, burkę zarzucił, czako wdział i wyszedł ku koniom swoim.

Stały one w szopie; latarnie się świeciły stajenne.

Książę zatrzymał się i patrzył.

Obejmował wzrokiem łby swoich wierzchowców zgrabne i śmiałe, ich grzywy jedwabnie czesane, karki w łuk gięte, ich grzbiety mocne pod siodło, zady krągłe do skoku, wsparcia się i zwrotu, ogony odsadzone wschodnie i nogi ich sprężyste, silne, jak u jeleni. Patrzył i wmiłowywał się.

Wskazał, którego osiodłać mają.

Gdy wyprowadzono, oparł się, ująwszy cugle w dłonie o krawędzie siodła i, choć pół wieku liczył, nie tykając nogą strzemion, wzniosł się i wskoczył. Potem zaraz konia zwrócił i rzekł do świty:

— Za mną!

W cwał z miejsca ruszył. Przy świetle księżycy niepewnem, groble i płoty przeskakiwał, w coraz potężniejszy galop wpadając. Aż gdy na łące podmiejskiej się znalazł, koniem zwinął i, łuki czyniąc, toczył nim, że oficerowie ledwo wydażyć mogli. Na karabiny w kozły ustawione natrafił. Bez namysłu, w szalonym susie wierzchowca skoczył przez nie, ale tego nikt już za

nim nie powtórzył; wyminięto. Zapamiętał się jeździec. Koń mistrzowską ręką wiedziony, wzrosłemi weni od dzieciństwa nogami wypychany, począł nie biegać, ale latać zda się ponad ziemią. W świetle księżyca, w mroku nocnym nie jeździec to już, ale widziadło konne krążyło w przestrzeni.

Nagle konia w ziemię wrył i półgłosem zakomenderował:

— Proszę!

Poczem ruszył ku nocnym wedetom na objazd.

Ale więcej myślał o tem, że na koniu siedzi. Wspominał zwroty i skoki, które z zagasłą lulką w zębach na nim przed chwilą wykonał, i rozkoszował się cuglami w rękę, kolanami przy siodle, stopami na strzemionach.

Używał jazdy. Tej jazdy nie bojowej, ani pochodowej, gdzie koń jest narzędziem walki, lub przebywania przestrzeni, ale tej jazdy eleganckiej, kawaleryjskiej i kawalerskiej, jazdy jeźdźca zawodowego życiem i amatora duszą. Słuchał tętentu kopyt równego, harmonijnego, wyjazdowego, przywykły oddawna do gradu kopyt podczas szalonych szarż i tupotu masowego podczas marszów wojennych.

Księżę Józef czuł, że to jest jego jazda spacerowa ostatnia. Z fantazją czako na głowie przesunął, cugle z lewej powodnej ręki niedbale w prawe palce przerzucił, lewą zaś w bok się wsparł i klusem jechał, starając się żelazo strzemion pod stopami wyczuć, jakby dotknięcie to chciał wrzeźbić w martwe niedługo swoje stopy na wieczność.

Kłusował tak w blasku miesięcznym, używając swego czaka, burki, munduru, w których martwo i nieczule leżącym widział się w przezcuciu i wyobraźni.

Świetne godziny żyć!

Gdy z balkonów wysokich konno skakał, a za nim kark narażając, imitował go przez emulację Wincenty Krasiński, człowiek chciwy odznaczenia, karjery i wyniesienia mało znacznego między arystokratycznymi rodami... Gdy na czele najświetniejszej młodzieży lampart nad lamparty, faworyt kobiet, Don Juan warszawski, hulaka, utracjusz, lekkoduch, przygód miłosnych poszukiwacz, czujący swą urodę i siły młode, pełen blasku od korony stryjowskiej, konno ulice Warszawy przebiegał, budząc serca w piersiach księżeń i praczek, panien i mężatek...

Na pikiecie, nieopodal gajów stało dwóch ułanów.

— Hasło? — zapytał, przejeżdżając mimo bliższego.

Lecz ten na usta wskazał i wzniósł rękę do salutowania.

Książę poznał Wartałowicza, skinął lekko głową ku niemu, hasło od drugiego odebrał i pokłusował dalej.

Wartałowiczowi miękkie serce stopniało w piersiach.

Wiódł oczyma za księciem i myślał: jaką mosiężną ma twarz Napoleon, jaką złotą ma twarz Poniatowski...

Drugi ułan trącił go lekko w bok i szepnął:

— Te, nie masz gorzałki pod płaszczem?

Wartałowicz dał mu zrozumieć, że i nie ma i mieć tu nie wolno.

— E, brajda! Jak cesarz, ani pan wachmistrz Dybul nie widzą, to co? Głupi bykul Tybyś nawet Pana Boga nie oszukał, jakbyś widział, że nie patrzy! Te — żebyś mi konia pottrzymał? Widzisz tam to światelko? Ja wiem, że tam jest szynk. Księżę już był, to tu nikt teraz nie przyjedzie. Zalecę i za pół godziny się wrócę. Nie zluzują nas, aż za półtóry. No?

Wartałowicz wziął lancę na troku wiszącą i do piersi ją Antkowi Jamrozikowskiemu ostrzem przytknął.

— O! Widzisz go! Głupi! Może ci się boję? Ty sakramencki pocięglu! — mruczał Antek. — Poczekaj! Jaki święty! Przebiłby mię! Pogański filarl

Wtem w ciszy nocnej od gajów zatętniły konie, tęgo idące.

Wartałowicz lancę cofnął i obaj ułani nastawili oczy i uszy.

Wyjawiły się w poświacie księżyca dwie olbrzymie postacie, w blachy i hełmy kirasjerskie odziane.

— Kto idzie? — zawołał Antek.

— Swój! — odpowiedział kirasjer, zbliżając się szybko. — Kirasjerzy Dziekońskiego.

— Hasło?

Wtem obydwaj kirasjerzy wspięli konie i w największym pędzie ku pikiecie się rzucili.

Nim Antek Jamrozikowski, który zgłupiał, lancę w garść złapał, olbrzymim koniem kirasjer konia mu obalił, ze swego skoczył i na leżącego się rzucił. W Antku odrazu dech zaparło.

Drugi tymczasem z mieczem na Wartałowicza napadł. Wartałowicz, który lancę w toku trzymał w garści, w jednej chwili pchnął, a pchnął tak śmiertelnie, że ostrze wbił w gardło pod podpinkę hełmu i kirasjera, choć olbrzym, podniósł w siodle na ostrzu.

Z rykiem przygłuszonym, snadź z językiem przebitym, spadł z konia napastnik.

Drugi, który, z bawolą siłą Antka przydusiwszy, łeb mu z czakiem przygotowanym fartuchem obwiązał i powrozem ramiona okręcił, spojrział do góry i zawołał: już!

Lecz, gdy nad sobą zamiast towarzysza, zobaczył ułana, odskoczył od Antka ku koniowi, który, widać wyuczony, stał bez ruchu. Wartałowicz lancą pchnął ponownie. Stało się jednak, czego nie przewidywał. Olbrzym kirasjer lancę za ostrzem dopadł lewicą i zatrzymał, prawicą miecza dobył. Jeden cios i koń Wartałowicza, w czoło z okropną mocą cięty, wspiął się w bok i runął z jeźdźcem. Drzewce lancy pękło.

Wartałowicz w upadku zsunął się z siodła na prawą stronę, nie dał się przylec, lecz upadł na kolana. W mgnieniu oka natarł nań kirasjer nim pałasz z pochwy mógł wydrzeć, za gardło go ścisnął, zadławił i miecz wzniosł do cięcia.

Ale całą tę piorunującą prędkość scenę obserwował jednym, niedowiniętym okiem, Antek Jamrozikowski, który już wszystko pojął. Zerwał się na równe nogi, a ponieważ ręce miał obezwładnione sznurem, przez konia swego, który się z ziemi nie podnosił, szalony dał sus i w tył kirasjera z całego rozmachu łbem palnął.

Raz był tak potężny, że Antek rymnął w jedną stronę, kirasjer z Wartałowiczem w drugą. Lecząc, mu gardło przewracając się puścił, Wartałowicz, który padł na wznak, leżącemu na brzuchu kirasjerowi rękę z mieczem przede wszystkim do ziemi przycisnął.

Nagle pojawiło się nad nim cudaczne widmo. Worek z nogami, który szybko z ziemi się podniósł, przypadł i siadł okrakiem na dźwigającym się z ziemi kirasjerze. To jednak był chłop nad wyraz silny, bo mimo, że mu Wartałowicz rękę prawą przygniół swoją, podniósł się na pół z Antkiem na czworakach.

Wtedy odetchnął z zaduszenia Wartałowicz. Ukląkł, lewą ręką pałasz wyciągnął i do karku go, jak kindżał dzierżąc, szpicem kirasjerowi przyparkł. Z worka zaś dobył się chrapliwy głos:

— Szrajen pardon!

— Pardon! — grzdęknął kirasjer.

— Zebeł ab!

Kirasjer rozczapierzył palce nad mieczem. Wartałowicz puścił jego rękę, aby miecz na bok odrzucić, lecz w tym momencie worek zadarł nogi do góry, zakotłowało się, olbrzym tulnął się wznak, strącając z siebie Antka, zerwał się na nogi i ku koniowi swemu, jednakowo bez ruchu stojącemu, ponownie skoczył.

Szabla Wartałowicza zadzwoniła na grzbiecie pancerza bez skutku, lecz sztych przez udo zatrzymał uciekającego na chwilę, a wtedy Wartałowicz go dopadł za kraj mundura i pociągnął tak potężnie, że skrzył kirasjera ku sobie, i uderzywszy go trzonem rękojeści w blachę na piersi, ze strzemienia w tył przewalił. Teraz objął mu,

oburącz ramiona, rzuciwszy pałasz, i, grzmotnąwszy, jak snopem o ziemię, ciężarem go swoim przycisnął.

Zaczęło się pasowanie z olbrzymem, który, choć ranny, tak straszliwą miał siłę w kościach, iż Wartałowicz czuł, że go nie utrzyma w uścisku. Aliści Antek Jamrozikowski, któremu się powi- jak z głowy podczas koziołka zsunął, wyskoczył i siadł kirasjerowi na głowie całym ciężarem. Snadź go przydusił, bo się ten mniej wrywać począł korpusem z żelaznego objęcia Wartałowicza, nogami natomiast walił, jak wściekły.

— Te, draniu — rzekł Antek do towarzysza — puść go i ty go teraz ściśnij za gardło, po swojemu.

Wartałowicz w mgnieniu oka co miał mocy gardziel kirasjerowi zdławił.

— Trzymaj, nie puść, sakramencki draniu! — upominał Antek.

Kirasjer prał butami, jak opętany, lecz coraz wolniej, coraz słabiej i ustał.

— Kura w kojcu, herb po ojcu — rzekł Antek i zlął z głowy kirasjera. Ten leżał już bez ruchu.

— Poczekaj, draniu, siadę na nim na pan- cerzu od wszelkiego wypadku, a ty mi prędko sznur odwiąż.

A to ci rozrywka żołnierska! Żebyś był edu- kowany, tobyś wiedział, że to się nazywa iun epizud militer.

Ale żeby nie to lewe oko, co?

Tak. Teraz zwiążmy mu łapy — no, si git — teraz nogi. Myślałem, żeś go uśmiercił, ale nie. Gaj weg! Nie taki węzeł trza zrobić. O!

Rozumiesz? Wyuczyły się psiewiary dwóch słów po naszymu i pojechali niewolnika dostać do komendy na spytki. Musieli na mnie trafić, psie dusze pruskie! Dwa życia ocaliłem, tylko, że psia-krew, jedno pruskie, bo ty nie możesz gadać: pardon! — i byłbyś go musiał zabić. He, ale ci wybrali morowych chłopów! Patrzno! Jaki ol-brzym ten, co leży! A tamten to ci był jeszcze większy! Mój koń nogę złamał. Dostrzelić go nie można, bo alarm. Musi biedak dnia czekać. Twój ma kość i nos przecięty, od upływu krwi zdechnie. Wuala iun epizud!

Ale Wartałowicz dał mu znak ręką, aby dał baczenie.

— Widzisz, świnió — szepnął mimo to Antek — jak ci się wywdzięczyłem, chcesz mi po wódkę iść nie dać?! Naprzód, żebym był poszedł, to byłbyś tu sam został i byłyby cię te morowce zjadły, potem najszlachetniejszej części ciała mego nie żałowałem dla ciebie, choć po wojnie o nobilitację się wystaram i będę miał prawo do korony, jako szlachcic. Ale herb to mi muszą dać odpowiedni. W żółtem polu zgadnij co? Przez co się kto odznaczy, to mu klejnot dają. To ci dopiru będzie familja! Niczem Potoccy! Jamrozikowscy herbu „...w pan-cerzu!“ Co?! A ty co?! Czemeś sobie podobnem na nobilitację zasłużył? Pika, szablą w brzuch czy w łeb, to kuźden potrafi, ale głową! Wroga zwalić, towarzysza ocalić?! Pokaż mi takiego drugiego w całej armji, co łbem kirasjera na półtora sążnia potrafi podrzucić?!

Byłby Antek Jamrozikowski nie przestał marmotać, gdyby nie ponowny tętent koni, lecz ze strony przeciwnej.

— Cytl! — szepnął i szablę wyciągnął.

Jeźdźców zbliżało się kilku. Poznał w świetle księżyca. Książę wracał z podjazdu.

— To osobliwa—usłyszał jego głos—gdzież posterunek, który tu stał?

— A ot, stoją dwaj ułani, ale bez koni — rzekł drugi jeździec.

— Hasło?! — zawołał Poniatowski.

— Wagram! — odpowiedział Antek.

Książę podjechał ze swiątą. Zobaczył konie leżące i dwa ciała na ziemi,

— Co to jest? — zapytał. — Co się stało? Antek zameldował o wypadku.

— Ten drugi żyje?

— Rusza się — rzekł Kicki.

— Dać go tu!

— Melduję pokornie: nogę ma przebitą.

— Trzymaj konia — rzekł książę do Wartawowicza i zsiadł.

— Lebst du? — zapytał kirasjera, poznając mundur pruski.

— Ja wohl! — odpowiedział kirasjer zachrypłym głosem.

— Sage alles! Was für einen Befehl hast du empfangen?

Kirasjer milczał.

— Na! Sprichst du? Kanalie?!

— Nie rozumiem — odpowiedział kirasjer.

Książę aż drgnął cały.

— Polak?! — spytał.

— Melduję pokornie: tak.

Księciu głos się zatamował na chwilę.

— A ten drugi?

— Także.

- Z czyjego korpusu?
- Pana jenerała Gnajzenała.
- Skąd pochodzisz?
- Z pod Środy.
- W Wielkopolsce?
- Ja wohl, Herr Oberst.
- Ma księcia za pułkownika od ułanów —
wtrącił Kicki.
- Mniejsza! Twój kamrat skąd?
- Także z pod Środy. To mój brat.
- Ze wsi?
- Ja wohl, Herr Oberst.
- Mielście rozkazane żywcem kogo po-
chwycić z polskich placówek?
- Ja wohl, Herr Oberst.
- Wybrali was, czyście się zameldowali
sami: kto pójdzie na ochotnika?
- Sami my się zgłosili, melduję pokornie,
panie pułkowniku.
- Była nagroda?
- Ja wohl, Herr Oberst.
- Jaka?
- Pięć talarów la kuzdego.
- Rozumiesz, żeś na swoich się porwał?
- Dyc tys temu! Po polsku musiał znać,
kto chciał jechać.
- W czyjem wojsku służysz?
- Ich melde gehorsamst, in der Armee zaj-
ner Majestet Kenigs Fridrich Wilhelm des Dritten
fon Prajsen.
- Rozumiesz, co gadasz?
- To rozumiem, ucyli nas.
- A ci ułani w czyjem wojsku służyli?
- W cesarza Napoleona.

— Pod czyją komendą?

— Księcia Józefa Poniatowskiego.

— Kim jest książę Józef Poniatowski?

— Melduję pokornie: naczelnym wodzem wojska polskiego.

— Ileście mieli dostać za niewolnika Polaka?

— Kuzdy po pieńć talarów.

Książę zasłonił twarz ręką i umilkł.

Odwrócił się i wsiadł na konia.

— Ośmiele się, mości książę, co z nim? Kula w łeb, naturalnie?—ozwał się Aksamitowski.

— Puścić wolno! — rzekł książę i klusem ruszył z miejsca.

Koń kirasjera stał o kilkadziesiąt kroków.

Wartałowicz rozwiązał sznury kirasjerowi i wziął się nogę mu czem przewiązać.

— Ale! Durniul Jaki miłosierny! — burczał Antek.

W tej chwili, minawszy się z księciem, z dwoma ułanami na zluzowanie warty, nadjechał kapral.

— Książę kazał tego tu puścić wolno—rzekł Antek.

Kirasjer, uwolniony ze sznurów, podniósł swą olbrzymią postać i z przewiazaną przez Wartałowicza nogą, podziękowawszy „Bóg zapłać“, pokulał ku koniowi, który się pał o kilkadziesiąt kroków.

— Czemu ci go też nasz książę kazał puścić wolno?—zastanawiał się Antek.

Ale Wartałowicz zrozumiał, że to ze zbytnej boleści w sercu.

Bez słowa książę wracał na kwaterę. Dopiero, gdy z konia zsiadał przy świetle pochodni, zroz-

paczonemi oczyma, zrozpaczoną twarzą ozwał się do Kickiego:

— No i powiedz! Takie bydlę?!...

Ten epizod z kirasjerem głęboko zapadł mu w duszę. Gorycz ją zalała. Oto tu chłop polski za pięć talarów na ochotnika przeciw swoim ochoty się podejmuje, oto tam świeżo obdarzony obcym tytułem hrabiowskim magnat mówi po rozbiorze: rosyjskie, pruskie, czy austriackie bagnety przynajmniej nam porządek w kraju i spokojną administrację fortun zapewniają. Ówdzie mieszczanin na dostawach wojennych dla nieprzyjaciela robi miliony... Szlachty w imieniu ojczyzny na wezwanie przybyło — — czterystu... Złapał się Poniatowski za głowę, z konia zsiadłszy, łokciami o stół na kwaterze się wsparł i siedział nieruchomy, bólem, goryczą, rozpaczą, zwątpieniem i zniechęceniem ogarnięty. Rozpiekły go rany, zdjęły osłabienie i niemoc. Strudzonym śmiertelnie się uczuł, dalszej służbie niechętnym...

Wtem wspomniął złote dzieci i burkę swą, szablę i czako na mieczach błyszczących niesione — — i powstał.

.

Sprzymierzeni maszerowali na Napoleona.

100,000 przybyło im posiłków; jemu 12,000.

300,000 ludzi szło na mniej niż połowę armji cesarskiej.

Rozpoczęła się batalja, jakiej świat jeszcze nie widział, walka narodów, bój olbrzymów.

Z przerażeniem patrzył cesarz na bezsilność swego genjuszu. Podobny do orła nad stadem walczących bawołów, unosił on się, niezdolny ni-

gdzie uderzyć. Potworne siły zmagających się armij ubezwładniły moc jednego człowieka, chociaż był bogiem wojny. Wśród ryku dwóch tysięcy dział parto się, przewracano, gmatwano, szturmowano do siebie, jak do fortec. Ludzie ogłuchli, oślepli, napół tylko przytomni, podobni nie do siebie, ale do furek, wydzielali sobie życie z wściekłością piekielną. On patrzył.

W szarym płaszczu, w czarnym swoim, wieków pamiętce, kapeluszu, na białym koniu, patrzył na pole tej bitwy.

Oto taka bitwa była godna wahania się *jego* fortuny...

Kto się uzna za pokonanego, ten jest dopiero pokonanym — wrzało mu w myśli.

Wtem Saši przeszli na stronę koalicji, Wirtemberczycy, Hesseńczycy.

Zwracają ogień przeciw swoim dopiero co opuszczonym towarzyszom, mieszają ich, napętlają przerażeniem...

Rachuby oparte na nich niweczą...

Tu jednak ludy walczą przeciw niemu!

To ludy już, nie armje, prą na jego hufce, ludom, narodom on się oprzeć nie może... Tu patriotyzm walczy — — tu znów, jak na stepach rosyjskich, występuje przeciw niemu siła żywiołów...

. ,

Ah! Gdyby cud! Gdyby zwycięstwo!

Ziemia drży pod nogami...

Kołysze się i chwieje...

O wszystko tu idzie! O władzę, o potęgę o sławę i obrazę śmiertelną!

Drugi już raz monarcha w twarz mu plwał!

Nie odpowiedział car Aleksander w Moskwie na misję z propozycją pokoju Jakowlewa i Lauristona — — nie odpowiedział cesarz Franciszek na misję z propozycją pokoju generała Meerfeldta.

Czy najwyżsi ludzie największych doświadczeń muszą upokorzeń?

Czy to dlatego, że w najwyższe wieże najprędzej pioruny uderzają?...

Z pogardą zbyto go milczeniem, jego, pana połowy Europy, zwycięzcę wszystkich—nad nim przechodzi się do porządku dziennego!...

Ah! straszne te porządkiienne...

Pożar Moskwy i w śniegach ginące setki tysięcy ludzi — — — blisko pół miliona ludzi skłębione w walce pod Lipskiem...

Wyteża cesarz swój umysł.

Opanować chce, ośwładać walkę. Kierował niemi nieraz, jak rozdawca ról w teatrze.

Lecz każdy rozkaz jego rozbija się o masę skoalizowanych.

Gdziekolwiek dojrzy błędny manewr przeciwników, gdziekolwiek dostrzeże lukę, bok odsłonięty kolumny, nieskoncentrowane siły, posyła swe dywizje i brygady. Stara się rozbić, zmniejszać armję trzech władców sprzymierzonych.

Lecz wszędzie zaporą staje masa. Lukę wypełniają nowe zastępy, odsłoniętą kolumnę zakrywają świeże oddziały; nim dotrą jego żołnierze, pchnięte z tyłu, koncentrują się linje wrogów. Owszem: gubi swoich ludzi, pchając ich w gardziele kolosalnej armji koalicji.

Tu nie będzie zwycięstwa...
A potem?...

.
Z nad ziemię wyniesioną myślą walczył Poniatowski.

Czuł, jak glorię sobie, jako tęczę z niebios, wyrąbuje dowódczym pałaszem.

Nie szło tu o nieprawdopodobne zwycięstwo.

Szło tu o duszę Leonidasa ze Sparty, szło tu o Termopyle polskiego żołnierza.

Więc dziesięciokrotnej przewadze opiera się, nie ustępuje, sam na czele bataljonów piechoty w ogień je prowadzi. Pozycji swojej nie odda.

Szabla jego, rozśpiewana hymnem bohaterstwa, nad głową stalowe litery mu pisze.

Męstwo!

W tym znaku walczy nowy Zawisza Czarny, rycerz bez trwogi i skazy...

Pod Connewitz, Stoetteritz, Probstheydą, pod kwaterami cesarza i Poniatowskiego, prawe skrzydło i środek armji Napoleońskiej utrzymały się na pozycjach; lecz lewe skrzydło, gdzie przeszli do koalicji Sasi i Wirtembergowie, gdzie 40,000 Francuzów walczyło przeciw 120,000 — zostało przełamane, rzucone w tył, sparte do Reudnitz, o pół mili od Lipska.

— Najjaśniejszy panie — słyszy koło siebie, gdy wieczór zapadał — niepodobna się dłużej utrzymać, *musimy* się cofnąć!

— Ten tylko jest pobity, kto się sam za takiego uzna — odpowiada. — Pod Eylau zwyciężyliśmy, ponieważ pozostaliśmy na stanowiskach.

— Lecz wróg z nich ustąpił! Tu jutro nową będziemy mieć bitwę!

Cesarz rozkazał być zapewnić na każdy wypadek odwrót; w tym celu posłał korpus Bertranda dla otwarcia drogi bagażom i parkom ku Weissenfels. Teraz wiedział już, że ustąpić musi, choćby pociągnęło to za sobą opinię pierwszej przegranej bitwy.

Lecz chciał być przymuszony do odwrotu.

Jenerałowie artylerji Sorbier i Dulanloy zameldowali mu, iż wystrzelono od rana 95,000 ładunków i rozporządza się już tylko 16,000, wobec 220,000 wystrzelanych od pięciu dni i wobec zapasów, które znajdują się dopiero w Erfurcie i Magdeburgu.

Ciemność zapadła i zakończyła walkę.

W wyniosłem, samotnem sercu Napoleona zaległa noc.

Dzień, który nigdy nie miał nastąpić, nastąpił.

Dzień klęski.

Został pokonany.

Wydawał rozkazy odwrotu.

Ustąpić musiał przed nieprzyjacielem, zrzec się wszystkich zdobyczy.

Z tylu lat walk, zwycięstw — cóż zostało?

Nic.

Hiszpanja, Niemcy, Polska, Holandja — stracone.

Jak chmura wilków na rannego jelenia, rzuciły się na genjusz cesarski wyrzuty popełnionych omyłek i błędów.

Wojsko. pozostawione za Pirenejami, wojsko, rozproszone po twierdzach niemieckich, 30,000

zagwożdżonych w Dreźnie i dwa dni stracone tam na namyśle, nie cofnięcie się z 16-go na 17-go w nocy, po bitwie wachauskiej, gdy armja była jeszcze liczna, gdy połączona z siłami załóg niemieckich i drezdeńskich, mogły jeszcze zgnieść koalicję...

Lecz nie. Precz te myśli!

Precz wyrzuty i precz rozpacz! Precz to, co utracił!

Pozostał mu genjusz!

I Rzym chwiał się, nim zgniótł najeźdźczego Hannibala, i Cezar przegrywał bitwy, aby wszystkich na końcu pokonać, i Fryderyk Wielki przegrywał batalje i nie było wodza, któryby był nieomylny, któremuby zawsze szczęście sprzyjało!

Czuł cesarz, jak stalowe sprężyny jego mózgu odginają się, jak się preżą na nowo — czuł w sobie wstępującą moc, jakiej nie czuł od wagramskiej kampanji, czuł przypływ energii, młodości, ognia — czuł się znów Bonapartem!

Jeszcze jest sobą!

Łudzicie się.

Jeszcze pioruny na wasze głowy polecą! Jeszcze żyje generał z pod Arcole, Lodi, Marengo i z pod Piramid — jeszcze żyje generał Bonaparte!

Spokojny, trwały, żelazny, z gestem lwa odrzucił radę marszałków, aby spalić przedmieścia Lipska, które utrudniały obronę samego miasta, a które miało zasłonić marsz wsteczny armji. Nie! Jest to miasto jedyne wiernego mu ze sprzymierzeńców, miasto w jedynym kraju niemieckim, którego żołnierze przeszli na stronę

koalicji i przyczynili się do jego klęski, ale który otwarcie nie wzniosł przeciw niemu chorągwi buntu.

Nie będzie, paląc domy i mienie przedmiejskich Lipska mieszkańców, walczył, jak Atylla, choćby mu to sukces wojskowy zapewnić miało!

Godnym będzie siebie!

Niech zna świat, niech pamięta potomność, że ten, co, jak bóg wojny milionami żołnierzy miotał pod paszczę armat: bezbronnej cywilnej udności lipskich przedmieści nie narażał na zgubę, awet, gdy szło o jego własne ocalenie, może jego tron i państwo!

Niech zna świat i potomność, że nie poświęcił przedmieści saskiego miasta dla swojej korzyści, mimo złamania mu przysięgi przez saskich żołnierzy, mimo, że zdrada Sasów była kłosem, rzuconem mu pod nogi!

Przeszło 70,000 ludzi armji francuskiej, 20,000 rannych, prócz tych, którzy z trupami zostali na polu bitwy, olbrzymie tabory wozów i armat, wszystko to ruszyło w nocy przez Lipsk na Lindenau ku Luetzen, przez półmilową groblę i jedyny szereg mostów, wśród bezładu, tumultu, ścisku i okropnych scen, które przewyższały prawie sceny na Berezynie. Słabe oddziały, rozstawione we wsiach okolicznych, maskowały ten odwrót. Żadnych palisad, żadnych szańców obronnych koło miasta nie zgotowano.

Mrok nocny zaścielał horyzont.

Poniatowski siedział na koniu nieopodal bramy Grimma w otoczeniu świty, czekając rozkazu cesarskiego; cała jego siła polska nie wynosiła po okrutnych walkach 3,000 ludzi.

Czuł on, że Polacy wyjdą za Lipsk ostatni—
jeżeli wyjdą.

I nie omylił się.

Nagle pojawił się przed nim konno sam
cesarz.

— Dobry wieczór, panie marszałku! — rzekł.

— Do rozkazu waszej cesarskiej. mości.

— Jesteśmy w odwrocie. Na Plejssie, Elsterze i odnogach jest tylko jedna linja mostów... Ten osioł Berthier nie pomyślał o tem... Słuchaj pan! Z Macdonaldem będziecie zasłaniać odwrót armji, dopóki ostatni żołnierz, ostatni ranny, ostatnia armata i ostatni furgon nie wyjdą z miasta. Rozumiesz mnie pan dobrze?

— Rozumiem dobrze waszą cesarską mość.

— Macdonald pozostanie z jedenastym i resztą piątego korpusu Lauristona, to stanowi obecnie 10,000 ludzi; wielu masz Polaków?

— Niema 3,000 sire.

To wystarczy! Mniej było tych, którzy mi otworzyli drogę do Madrytu. 3,000 innego wojska by nie wystarczyło, Polaków wystarczy. Liczę na was. Z twoją siłą możesz bronić łuku od Grinnu do Peters-Thor. Nieprawdaż?

— Tak jest, sire.

— Liczę na was obu, panie marszałku Francji. Żaden z was, ani ty, ani Macdonald, nie jest Francuzem. Ale w tym wypadku wolę to.

Francuzi są waleczni; ale zbyt nerwowi. Most na Plejssie jest podminowany. Gdy już i wy, cofając się, przejdziecie przez most, osłoniwszy odwrót armji, zostanie wysadzony. Skoro połączymy się, pomyślimy, co robić dalej. Poło-

zenie jest ciężkie raczej pozornie tylko. Za Renem stawimy skuteczny opór sprzymierzonym, jeżeli do tego czasu nie zawrzemy pokoju. Trzeba będzie pewnych ofiar, bez wątpienia. Vandamme, Kulm sprawili to wszystko.

Także moja choroba. Gdybym był mógł ścigać Schwarzenberga po Dreźnie, gdyby nie klęska Vandamme'a — mimo wszystko dyktowałbym teraz koalicji warunki pokoju z Wiednia. Trudno. Przeznaczenie, ten król królów, chciało inaczej. No, ale do widzenia, drogi książę! Niema chwili czasu do stracenia. Pamiętaj, że jesteś potrzebny mnie, a przez to swojej ojczyźnie.

— Niech wasza cesarska mość odjeżdża. Uczynię z Polakami wszystko, co będzie leżało w naszej mocy.

— Bądź zdrow, panie marszałku! Będę myślał o tobie i twoich żołnierzach, nim się zobaczymy.

Poniatowski uczuł uścisk ręki cesarskiej — szczególny, mocny, serdeczny.

— Żegnam waszą cesarską mość — rzekł spokojnie.

— Bądź zdrow!

Ostatnie słowa rzucił mu już Napoleon z odjazdu z tętentu kopyt. Poniatowski w mroku objął oczyma odjeżdżającego cesarza. Dziwny, dziwny człowiek — — gdy nawet na śmierć nie ma pewną skazuje, słucha się go bez myśli o opozycji... Cesarz...

— Ładną misję nam Napoleon powierza — mruknął generał Bronikowski.

— Cicho pan bądź, jenerale — odpowiedział bez ceremonji książę. — Cesarz, jako wódz na-

czelny, ma prawo od nas tego wymagać. Ktoś musi być arjergardą. Honor to dla nas, takie zaufanie Napoleona. To samo zadanie zresztą poruczył Macdonaldowi.

— Wybrał Szkota i Polaka pośród marszałków — mówił Bronikowski.

— Cicho pan bądź, jenerale — powtórzył z naciskiem książę. — Jeżeli teraz na czele tego bataljonu piechoty, który stoi za nami, każę ci w tej chwili iść i uderzyć na całą armję Schwarzenberga, czy, jako mój podwładny, nie pójdziesz? I będziesz myślał, że mógłbym posłać kogo innego?

— Gdyby cię wzięto do niewoli, to będziesz Schwarzenbergowi menu doradzał — ozwał się któryś z jenerałów.

— Cóż to, że się znam na kuchni i na dobrem ułożeniu obiadu, to przeszkadza? — obraził się Bronikowski. — Może się miałem prędzej gdzie w domu dobrze jeść nauczyć, niż niektórzy inni.

— Nie kłóćcie się, moi drodzy. Niebawem z nas wszystkich befsztyki będą — rzekł książę i, uderzywszy konia ostrogami, ruszył ku Grimma-Thor, gdzie wydał rozkaz swojej piechocie obsadzić przez tyraljerów płoty, ogrody, mury, wykorzystać każdą zasłonę, każdy załomek terenu. W ulicę kazał zatoczyć kilka dział. W alejach postawił rezerwy. Do osoby swojej miał eskortę szwadronu, stu kirasjerów, Dziekońskiego, pięćdziesięciu krakusów, których reszta za kawalerję Dąbrowskiego i konną artylerję Schwerina poszła z odwrotem, i kilku ułanów.

Przejeżdżał tamtędy i zatrzymał się chwilę Zaremba.

Widział on, jak spokojnie, głosem zwykłym, bez żadnego podniecenia i rozstroju nerwów Poniatowski wydawał rozkazy; jeżeli co w nim zauważyć się dało, to znużenie i osłabienie fizyczne, spowodowane okropnemi nadludzkimi niemal trudami walk dni ostatnich. Ale duch opanował ciało księżęce. On utrzymywał jego postawę prostą i wyniosłą, on dumnie głowę szlachetną dźwigał z czakiem wysokiem do góry.

— Patrz — szepnął Kicki do Zaremby — ależ to narodowy święty...

— Oby nie był męczennikiem — odszepnął Zaremba.

— Zawiszę Czarnego wspominał dni ostatnich; przecież to brat Zawiszy!

— Młodszy, lecz większy.

Zaremba zwrócił się i odjechał do swego szwadronu. W pamięci jego stanęła postać męczennicy Teresy Mirskiej. O jakież i księżę i ona piękni! Uchylił Zaremba głowy i ból go przejął głęboki. Dlaczegoż jemu samemu nie dano być tak pięknym?...

Tęgi, ciężki, na swoim kasztanie nie mógł niczego innego dokazać, jak tylko szablikiem wywijać. Żadna glorioła nie opromieni mu głowy...

Ludzkie myśli... ludzkie myśli...

Walić się poczęły szeregi koalicyjne do szturm na miasto. Spostrzeżono odwrót Francuzów.

Rano, z polecenia Napoleona, wyszła deputacja miejska przez Peters-Thor błagać wodzów naczelnych koalicji o łaskę oszczędzenia miasta. Odepchnięto ją z pogardą.

Niedługo potem marszałek Macdonald sam z siebie w sprawie mieszkańców miasta wysłał parlamentarza — nadaremnie.

— Oślepli od zwycięstwa, w którym nie brali osobistego udziału i nie narażali się na włos! — wybuchnął Macdonald. — Nic ich nigdy nie zabolalo, więc w pięcie mają ból ludzki! Triumfatorzy!

Ostatnie słowo zasyczało w ustach marszałka; znał on podstawy tego triumfu, darowanego przez los! Triumfu słonia nad lwem.

Któż pierwszy leciał na miasto?

Pruski generał Blücher.

Lecz pchnął on oficera z propozycją, aby wojsko, znajdujące się w mieście, a było go jeszcze kilkadziesiąt tysięcy, złożyło broń.

Kto?! Żołnierze napoleońscy, Francuzi i Polacy! Komu?! Pruskiemu Blücherowi!...

— Widzi wachmistrz? — ozwał się porucznik ułański, stojący na placówce przed odmarszem, do wachmistrza Dybula. — Oficer pruski jedzie.

— Parlamentarz, ma się rozumieć — rzekł Dybul.

— W imieniu jego ekszellencji feldmarszałka Blüchera — zaczął, zbliżywszy się oficer, umyślnie szarżując polszczyzną.

— Niby co? — spytał z głupia frant porucznik. — Do kogo?

— Jestem wysłany z żądaniem złożenia broni — rzekł oficer.

Nagle ozwało się z szeregu z poza Dybula:

— Panie upicer, widziałeś pan perskie oko?

— Stul pysk! — huknął wachmistrz, zwracając się do Antka Jamrozikowskiego, on to się bowiem wyrwał.

— Milczeć! — wrzasnął nań porucznik!

Lecz jedna salwa śmiechu rozległa się po pół szwadronie; pięćdziesięciu ułanów ryknęło, jak jeden:

— Panie upicer, widziałeś pan perskie oko?!

Oficer pruski powstrzymał klątwę za zębami, bo był blisko, obraził się, zwrócił konia i odjechał z huzarem z białą płachtą na tyce i trębaczem.

W ten sposób Antek Jamrozikowski w imieniu Bonapartego odmówił złożenia broni przez armję cesarską.

Około ósmej godziny rano rozpoczął się szturm, prowadzony naprzód przez Colloreda, Kleista, Wittgensteina, Klenaua, Woronowcowa i Stedingha. Zgodnie pomieszani Austriacy, Prusacy, Rosjanie i Szwedzi parli na miasto.

Przyspieszono wymarsz wojsk z Lipska, który ciasnota wyjścia utrudniała do najwyższego stopnia. Stary król saski nie chciał opuścić swego pałacu. Jedyne wierny aliant Napoleona, obdarzony odeń diademem królewskim, z boleścią w sercu widział zdradę swoich 12,000. Jednym otoczony bataljonem saskim, pożegnał się z Napoleonem, którego już nigdy nie miał widzieć, ze łzami w oczach. Później cesarz, nie mogąc się wskutek strasznego tumultu i zatłoku wydostać przez bramę Ranstadszką, przejechał mu-

siał bulwar zachodni, aby dobić się do gościńca do Luetzen.

Mężne dotąd, bohaterskie wojsko cesarskie poczęła ogarniać panika; za wszelką cenę chciano się wyrwać z murów kamienicznych, ulic, ogrodów i przedmieść lipskich.

Arjergarda powstrzymała atak oblegających. Lecz pojedyncze oddziały jej cofały się przed wielokroć liczebniejszym nieprzyjacielem.

W mieście poczęto z okien strzelać do żołnierzy napoleońskich. Wpływały strumieniami kolumny koalicyjne przez zdobywane jedna po drugiej bramy. Szał patriotyzmu ogarnął Lipczan. Chustki poczęły wiać z okien, kwiaty padać pod buty wchodzących. Mieszczanki wypadały na ulicę ścisnąć i całować oficerów i żołnierzy, krzycząc: „die Kosaken sind doch schoene Leute!...“ Wycofywanie się armji napoleońskiej z miasta przybierało na tyłach cechy pogromu.

Poniatowski rósł w oczach.

W pozycji swojej oparty, ducha swoim dodawał, zinagając się z zalewającą go poprostu przemożną siłą nieprzyjaciół. Gdy cofać się był przymuszony, bataljonami piechoty Izydora Krasieńskiego atakował na bagnety, sam je osobiście w ogień prowadząc na nacierające regimenty austriackie i rosyjskie Colloreda i Wittgensteina.

Wtem pojawiły się przed nim czapki pruskie i zaostrzone lufy pruskich karabinów. Krzyknął: za mną! — i wichrem powiódł szarżę stu kirasjerów i pięćdziesięciu krakusów. Ci by byli przeszli Somo-Sierre. Lecz księżę ranę od kuli w rękę odebrał. Zsiadł, rękę kazał oban-

dażować i, na temblaku ją mając, napowrót objął dowództwo.

Nagle ostatki jeszcze Niemców w armji Napoleona, Hessi i Badeńczycy zdradzili jego orły i skierowali ogień na Polaków. Równocześnie tyraljerzy Sackena gruchnęli kulami na tłok na moście miejskim. Powstało zamieszanie, graniczące z oblędem, kłęb ludzi, koni, wozów z rannymi, powozów oficerskich, furgonów, jaszczyków, armat. Zdawało się, że się ta masa spiętrzy w górę. Na Berezynie były same tylko mosty wąskie; tu zaś na jedyny most pchano się z ciasnych ulic w panice już zupełnej.

Huk okropny rozdarł powietrze.

To oficer czy kapral, postawiony przy minie, pod most założonej, widząc płaczące się jeszcze między Francuzami mundury heskie i badenskie i słysząc, z różnych stron strzelanie, gdyż tyraljerzy z rosyjskiego korpusu Langerona wślizgnęli się a tu od bramy Hallskiej, przypuszczał w strachu i zamieszaniu, że to już koalicyjni żołnierze armję cesarską ścigają, lont przytknął i minę pod mostem zapalił.

Była jedenasta rano.

Wyleciały w powietrze setki ludzi i koni, rmaty i furgony; grad trupów i złamów spadł a jej brzegi i w Pleissę.

Poniatowski zachęcał: jeszcze dwie godziny dzielnego oporu, a arjergarda cesarska wyjdzie z miasta. O nas mniejsza!—lecz, gdy dowiedział się o wysadzeniu w powietrze mostu, rzekł:

— Panowie wiecie, co to znaczy? — do generałów Małachowskiego, Grabowskiego, Bronikowskiego i innych, którzy go otaczali.

A gdy nie nie odpowiedzieli, dodał:

— Ja wiem.

I z konia szablą błysnąwszy, znów do ataku z kirasjerami i krakusami się rzucił.

Lecz nadaremnie.

Party ze wszech stron przez Rosjan, Austriaków i Prusaków, coinać się znów musiał i przez ogrody tłoczony był ku Pleissie.

— Na Boga, książę! — krzyknął wreszcie generał Małachowski. — Życie swe dla ojczyzny zachowaj!

— Nikt nie jest zdolny bronić się dłużej! — zawołał Grabowski. — Poddaj się książę i żyj!

— Dla ojczyzny! — powtórzyli oficerowie.

— Rzuć się wasza książęca mość w Pleissę, wpław! — krzyczał Bronikowski.

Książę Józef popatrzał na nich. Oczy miał krwią nabiegłe, twarz jakoby ogniem rażoną, czoło zmarszczone i piersi dyszące.

— Il faut mourir en brave! — odpowiedział.

Nowy rój kul poleciał na jego sztab i eskortę z poza drzew i płotów ogrodowych przedmieścia.

Spiął konia i w Pleissę skoczył.

Za nim skoczył adiutant kapitan Bléchamp. Konia mu swoim koniem podparł pod huraganem kul. Lecz koń postrzelony łonąć zaczął i jeźdźca książęcego, osłabionego od upływu krwi, z sobą pociągać.

Bléchamp to był, który pomógł się księciu od konia uwolnić i na brzeg przeciwny wydobyć.

Zaremba, który ze swoimi ułanami w arjer-gardzie, ale nieprzeznaczonymi do ostatniej, tylnej straży Poniatowskiego, przez wysadzenie mostu wraz z 30,000 Francuzów i 150 armatami

w Lipsku zamknięty został, parł się na czele szwadronu tam, gdzie mu się wydawało, iż się księżę znajdować powinien. Zmiatali przed sobą przeszkody, ścieląc trupami drogę, podobni raczej do upiórów wściekłych, niż do ludzi istotnych. Szabla Wartalowicza, który lancę, jak zwykle, potrzaskał od uderzeń, wydawała się piorunem prawdziwym, odbierającym życie wprzód, nim ją oko najechanego dostrzegło. Uczyniło się około niego wolne miejsce, gdyż nawet towarzyszy prze-rażał. Niemy, blady, aż biały na twarzy, z zębami, z warg raz po razu błyskającymi, nie walczył z ludźmi, ale rąbał drzewo. Lby owisały na skórze, i ręce upadały na ziemię od jego strasznych ciosów. Nikt nie mógł mu stawić oporu. Cała siła jego, cała waleczność dotychczasowa wydała się teraz, jak senna; teraz się dopiero obudził.

Piekielny ogień jarzył się w jego żrenicach, wściekłość piorunowała z twarzy, a jego siła stała się podobną do siły skały potężnej, z wierzchu stromego lecącej. To już nie był żołnierz — to był duch krwi i mord.

Pustka utworzyła się koło niego, poza nim, bo wszyscy za nim zostali, natomiast wał wrogów był przed nim. I szedł sam, jako topór w haszcze.

Gnał on, nie patrząc na swoich, w ogrody błotne między Pleissą i Elsterą, pełne tyraljerów nadciągającego żołdactwa koalicji.

W głowie huczał mu rozkaz księcia, aby go nie dał wziąć żywcem, pięściami go bronił, a jeśli nie zdoła, czako jego uratował i na Zamek krakowski odniósł.

W jednym błysku myśli zrozumiał:
oto urodził się, był wychowany przez księ-
dza Fasolkowskiego, przyjęty do wojska przez
Zarembe, oszczędzony dotąd przez kule i mrozy
rosyjskie, aby wykonał rozkaz księcia — — na
to był...

Jeśli więc kto mu w wykonaniu tego roz-
kazu na drodze stawał: musiał ginąć, jak nieto-
perz od śmigi wiatraka.

Prędzej, Prędzej!

Niema takiej mocy, niema takiej potęgi, któ-
rejby księcia ze szpon nie wyrwał.

Nie widzi go, nie dostrzega. Z wzrokiem
wyteżonym, niemal ślepe rozdając ciosy, sam
jakby cudem przez nikogo nietknięty, dojdzie,
dojdzie jeszcze na czas...

Za temi zaroślami ogrodu, za tem wzniesie-
niem, może tam jest wódz naczelny...

Tam, niewidziany przezeń, bo pieszo idący,
książę Józef nowy strzał w bok otrzymał. Padł
na ręce oficerów sztabowych, lecz oprzytomniał
i z pomocą wydostał się na siodło konia, któ-
rego mu podano.

Wtedy go Wartałowicz ujrzał.

Dwa łby, na lewo i prawo, nacierające nań
z bagnietami, z bagnietami przekrojonemi na lewo
i prawo znikły.

W tej chwili wołano do księcia — powta-
rzając:

— Poddaj się księżu! Ocal się! Dla oj-
czyzny! Błagamy! Zaklinamy!

Poddać się?! On?!

Taką pychą rozgorzała, rozdęła mu się ra-
niona pierś, jakby tysiąc lat Polski w niej się

skłębiło. Poddać się?! On?! Wszyscy królowie polscy mieczami nań wskazują, z grobów wawelskich...

Cały Wawel mieczatni z grobowców zabłysnął...

Nie mógł już mówić wyraźnie. Chwiał się na siodle i siłą ducha tylko utrzymywał głowę na szyi bezwładnej. Lecz z ust jego wybiegły wyrazy:

— Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go tylko oddam!...

Niemy Wartałowicz nie usłyszał, zdaleka zobaczył te wyrazy, jak glorię nad głową księcia.

Wbił ostrogi w brzuch koński. Koń jęknął i rzucił się susem naprzód, wydarł się z jeźdźcem poprzód nadbiegających towarzyszy. Oddział pruskiej piechoty pędził z alei ogrodu, aby księciu drogę zastąpić.

Z oczyma, w czako wodza wlepionemi, gnał Wartałowicz przez wzniesienie małego pagórka, który przebywał. Nie zdołał zabiec drogi Prusakom, nie zdążył...

Lecz widział zdala krew broczącą, krew, którą Poniatowski był czerwony...

Księżę spostrzegł zachodzących mu drogę. W głowie jego był promień, lód w piersiach. Zimno śmierci ogarniało mu ciało. Olbrzymi rycerz w czarnej szmelcowanej zbroi błysnął mu przed oczy i huk złotych młodzieńców, czako jego na mieczach niosących! Poddać się?! On?! Spiął konia za tem runął z oczyma wzniesionemi i w Elsterę runął.

Wtem — widzi Wartałowicz — piechur nieprzyjacielski na cel go bierze, strzela — trafił,

w pierś pod serce, poznał to Wartałowicz po drgnięciu księcia.

Szablę swoją zakreślił nad głową, rzucił nie-ludzkim młynicem i twarz nią piechurowi strzaskał.

W tej chwili doznał go Zaremba z krzy-kiem, z krwawą bronią w ręku:

— Naprzód! Na pomoc księciu!

Lecz Wartałowicz konia wrył w ziemię.

To, co zobaczył z pagórka, zatrzymało w nim życie.

Widział on czako księcia chylące się i jak się schyliło, widział, jak z konia księżę Józef się zsuwał — — w nurty, w nurty wzdętej powo-dzia Elsteryl...

Nie dobiegnie z ratunkiem...

Czako księcia na wodę upadło — — —

Płynie...

On sam w nurcie się topi...

Czako płynie po falach...

Pięściami Wartałowicz w oczy oba uderzył.

Mróz przeszył serce Zaremby.

Sztab polski został na brzegu! Francuz Blé-champ rzuca się w Elsterę.

Płynie, chwytą księcia za ramię, z konia wła-snego wałami wody zdarty, pod ramiona go chwytą, głowę mu dźwignąć usiłuje — — lecz obaj znikli pod wodą.

— Ha! Zgroza! — woła ku sztabowcom pol-skim Zaremba, lecz kula, w łeb konia trafiająca, zwala go wraz z nim i przytomność odbiera.

Oślepiły Wartałowicz czuje, że koń pod nim się łamie; w tejże samej chwili cios okropny na głowę mu spada. Otworzył oczy. Oskoczony jest przez żołnierzy, którzy mu konia bagnetami ubili.

Czako moje na Zamek krakowski odnieś! —
śmigo mu w duszy.

Kolbą w skroń zwalony, rękoma chwyta
dwóch piechurów pod gardła. Jak szczury dusi
i ciska w błoto czerwone. Wtem drugi cios kolbą
czako mu druzgoce, trzeci czaszkę i mózg iskrzą-
cym żarem napęlnia. Runął.

Lecz chciał krzyknąć.

Co chciał krzyknąć?

Trzy słowa pieśni, której mu nigdy z innymi
zaśpiewać nie było danem... — —

gdy leżącemu na wznak wrogi piechur gardło
bagnetem otwiera...

Poczuł głos.

Zawoła pochłoniętemu przez fale Elstery
księciu Józefowi — — jego czaku na falach El-
stery — — jeszcze Polska...

Mrok wiekuisty pokrył duszę Michała War-
tałowicza, niemego ułana.

Trzydziestu ułanów z szwadronu Zaremby,
którzy jeszcze przy życiu zostali, stanęło przy-
ciśniętych do grupy drzew, skąd już wyjścia nie
było. Widzieli oni stamtąd, jak sztab księcia
Józefa, kilkunastu oficerów, bez oporu się poddał.
Nikt z Polaków za nim nie poszedł, nikt do El-
stery za nim nie skoczył, nikt z otoczenia księ-
cia nie umiał umrzeć dzielnie!...

Oni zaś sami poczęli ginąć jeden po dru-
gim. Nie szarżowali już; z koni dech był wy-
party, kroku ruszyć nie mogły. Spokojnie stojąc
na nich pod drzewami, czekali śmierci.

Tylko, gdy podsuwano się ku nim, by ich
wziąć żywcem, okazywali, że ich żywcem nie

wezmą, ani że się wziąć żywcem nie dadzą——
żołnierze Poniatowskiego.

Strzelano więc do nich, jak do celu, powoli,
wybierając.

— Kto też tu z nas, ma się rozumieć, zostanie ostatni? — ozwał się wachmistrz Dybuł do Antka Jamrozikowskiego.

— Rachujmy! O! Lipkonia djabli wzięli!

— To siódmy — rzekł wachmistrz.

W tym momencie jęknął, krwią z ust chlusnął i rozkrzyżował ręce ósmy, Kulczycki.

— Hej, Makuch! — zawołał Antek Jamrozikowski. — Dobra nasza! Dalej go:

Jak to szumnie, jak to ładnie,

kiedy ułan z konia spadnie! —

umilkł, kulą śmiertelnie w samo czoło trafiony,
i zwałił się z konia.

K O N I E C.

U.C. BERKELEY LIBRARIES



C096414767

